



Izabela Kawczyńska

Balsamiarka

I. Larwa. Zanim spotkałam diabła

1. Sekreta, znaczy rozdział pierwszy, w którym masturbacja karana jest śmiercią

W wieku dwudziestu siedmiu lat, mając za sobą kilka pogrzebów i innych kataklizmów o różnej skali, porzuciłam myśl o pracy w burdelu i na dobre zostałam dziewczyną od zmarłych.

I pomyśleć, że wszystko przez moją babkę...

Ciągała mnie po kościołach. Najgorzej było w Wielkanoc. Jezus umierał każdego roku. Wisiał na krzyżu, jak wielka ryba. Wierzyłam, że pewnego dnia odpłynie. Zostawi nas samych. Odkryje, że nie można nas zbawić.

To było piekło, a nie dzieciństwo. Wychowywałam się pośród gorsetowych Madonn o pudrowanych twarzach. Gdziekolwiek spojrzeć — gotyckie dziewice: figury patrzące pustym wzrokiem spod gipsowych powiek, portrety w złożonych ramach, kościelne witraże mieniące się w słońcu jak barwne jaszczurki. Na ścianach u babki czyhały na mnie święte obrazki, a na nich drobne alabastrowe kobietki w błękitnych peniuarach. Do dziś na widok zdjęć trupio białych gejsz przechodzi mnie dreszcz — nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mają w sobie coś z maryjnych wyobrażeń.

Babka nie ustawała w staraniach, by zrobić ze mnie dobrą chrześcijankę. Wieczorami układała mnie do snu, gasiła światło. Urządzała kurs katechezy, serio, w zupełnych ciemnościach. Moje powieki stawały się ciężkie. Język zaczynał się plątać. Ilekroć mówiła „dusza” — „dupa” przekręcałam. Nienawidziłam, kiedy mnie kąpała. Jej polakierowane paznokcie — dobry Boże, te miały chyba z metr. Wpychała je we mnie, twardsze niż skała.

— Jesteś podrapana, jakbyś walczyła z tuzinem dzikich kotów — dziwiła się matka.

Babka nie pochwałała nowoczesnego wychowania. Doszywała mi falbany do krótkich spódniczek. Wyrzuciła mój pierwszy stanik. Z zemsty naplułam jej do galaretki, kiedy nie patrzyła. Przy każdej okazji próbowała mnie wpędzić w poczucie winy.

— Dziecko, Jezus cię widzi!

— Jezus? Jeśli w tym stuleciu zstąpi na ziemię, to tylko po to, żeby pójść na koncert Nirvany. Kochała dziewice.

„Wszystkie kobiety powinny być czyste jak Maryja!” — powtarzała mi do znudzenia.

Osobiście nie widzę w tym całym niepokalaniu niczego cudownego. Nie chciałabym być w ciąży z kimś, o kim nic nie wiem — ani czy istnieje, ani jak wygląda, chociaż Bóg musi być przystojny, sądząc po Chrystusie.

Jeśli chodzi o żelazną zasadę — dziewictwo aż do ślubu — całkowicie szanuję czyjś wybór. I to był mój wybór. Przez chwilę. Babka klepała różańce, ja w pokoju obok modliłam się po swojemu: „Jezusie, chroń mnie przed chłopcem, który potrząsa moim sercem jak drinkiem pina colada z lodem”. Ale kim byłam, żeby Jezus miał zawracać sobie głowę?

Pamiętam naszą ostatnią Wielkanoc. Dreptałam za babką, w przyzwoitej sukience, takiej do samych kostek, z długim rękawem i bez dekoltu. Pod szyją uwierała mnie wysoka stójka, przy każdym kroku falował na piersiach gipiurowy żabot i babka mówiła, że wyglądam jak anioł. Nie byłam aniołem. Przy wejściu do kościoła zgubiłam ją w tłumie. Ukradkiem wśliznęłam się na schody prowadzące na galerię. Chór groził zawaleniem. Wyminęłam butwiejące krzesła; schowałam się w najciemniejszym kącie, nie zważając na osypujący się ze ścian tynk o konsystencji i barwie pudru dla niemowlaków.

Na dole śpiewali święte hymny, ja dotykałam mojego ciała. Czułam, że Biblia pomija parę tematów, a nikt nie chciał ze mną o tym rozmawiać. Tej wiosny było mnie tak wiele, jakbym pod skórą miała rzekę, która wzbierała i nie chciała przestać. Oni modlili się na kolanach, ja, na wysokościach, z ręką w majtkach, czułam, że zaraz odlecę. Ale nie odleciałam. Z trudem łapałam

oddech, jakbym zbiegała ze zbocza stromej góry i za nic nie mogła się zatrzymać. Krzyknęłam, kiedy świat wybuchł we mnie. Potem w jednej krótkiej chwili zakwitło tysiąc kwiatów, cały ogród naraz. „Alleluja” — śpiewali na dole, kiedy zmartwychwstałam. Otrzepywałam wymiętą sukienkę, zastanawiając się, jak z tym ogrodem w brzuchu będę żyła dalej.

Dalej było lato, a po nim jesień z plagą motyli. Rzadkie, trzecie pokolenie *aglais urticae* szybowało w powietrzu. Roilo się od nich na trotuarach, hydrantach, trawnikach pełnych rozwrzeszczanych dzieci. Wszędzie znajdowałam wielobarwne skrzydła, miazdzone butami, wcierane w ziemię.

— To zły znak — stwierdziła babka z ręką na sercu, zupełnie jakby składała przysięgę.

Mineły trzy dni i matka wróciła do domu niemiłosiernie obładowana, w dodatku później niż zwykle.

— Byłaś na zakupach? — spytałam.

— Na jakich zakupach? Mamusia nie żyje. Całe szczęście, że zdążyłam zabrać najcenniejsze rzeczy, zanim reszta rodziny zwęszyła trupa.

Chociaż babka nie była moim pierwszym nieboszczykiem, to właśnie ona swoim nagłym zniknięciem uświadomiła mi, że też kiedyś zniknę. Będą po mnie płakać? Mają wystarczająco dużą trumnę, żeby pomieścić zasuszone rośliny, bezdomne psy, kalekie ptaki, wszystko, co zbierałam, nie pytając po co? Tu by się przydała trumna większa od autobusu; grób wielkości stadionu. Powinni zakopać mnie naprawdę porządnie, na wszelki wypadek dwa razy.

Życie jest niewyobrażalnie kruche. W dniu, w którym pękł mój kot, poczułam to mocniej. Znalazłam go na podwórku, tuż obok piaskownicy, w której bawiły się dzieci o włosach w kolorze piasku, nic o nim nie wiedząc. Leżał tam nieruchomy, z rozprutym brzuchem, z futrem umazanym w kale. Ścierwo, na którym blakły czarne łaty.

— Ktoś go zatłukł. Nie wszyscy ludzie lubią koty — rzeczowo stwierdziła matka. Pewnie miała rację.

Niewiele wspólnego mam z ludźmi. Odkąd pamiętam, jestem jak lalka. Duża, miękka lalka. Potrafię chodzić, sikać, mówić. Jeśli nacisnąć właściwy guzik, wołam: „mama!”, „tata!”, śmieję się albo płaczę. Dobra ze mnie lalka. Udaję coś żywego, porządnie udaję. Robię to tak, że diabło boli.

Ludzie, chcąc znać przyszłość, czytają horoskopy, ja jeżdżę na cmentarz. Przysiadam obok zmurszałych grobów. Wsłuchuję się w odgłosy stetryczalego miasta. Z daleka gorączkowa kakofonia przypomina dźwięki pod wodą: szum ulicy, brzęczenie tramwaju, śmiech dziecka, nawet płacz — wszystko wytlumione i bezbolesne. Lubię cmentarze. To jedyna przyszłość, jakiej możemy być pewni.

Jeśli chodzi o mojego pierwszego umarłaka, był nim ojciec kuzyna. Miałam wtedy pięć lat. Może cztery. W wiejskim kościele pachniało roztopioną stearyną i octem. Mężczyzna leżał w otwartej trumnie, pośród kwiatów, świec i koronek. Przeraził mnie widok odstających, fioletowych uszu i niebieskiej zuchwy, przytwierdzonej do głowy szarym lnianym sznurkiem, jakiego używa się na poczcie do wiązania paczek. Prawe oko zmarłego pozostawało częściowo otwarte; światła świec pełgały w dropiatej tęczęwce, a potem wpełzały w źrenicę, w jej małe, puste nic.

Później też widywałam tego trupa. Pojawiał się w najmniej spodziewanych okolicznościach, zupełnie jakbym nosiła go ze sobą. Do dziś zdarza mi się na placu pełnym przechodniów dostrzec to samo rybionose oblicze — z obcego pejzażu znajomy błękit wypływa ku mnie niczym ciało topielca.

W mojej pierwszej szkole śmierdzący octem ojciec kuzyna stał się nieomal legendą; mogłam nim przelicytować wszystko, nawet dziurę w nodze córki dyrektora, jaka została jej na pamiątkę

bliskiego spotkania z zębami ocynkowanych sztchet; i tak miała szczęście: ładnie ją potem poskładali. „Pokaż” — prosiliśmy, więc dyrektorka unosiła batystową spódnicę, a wtedy my, tuzin niewiernych Tomaszów, dotykaliśmy jej blizn palcami, czując trochę ciekawość, ale bardziej przerażenie — okaleczona wiotka łydka wyglądała co najmniej obrzydliwie, przywodziła na myśl oskubaną z piór, bezgłową kurzą szyję.

Można więc powiedzieć, że w kwestii trupów miałam już niejaki doświadczenie, tyle że z babką było inaczej. Tym razem oglądałam śmierć z bliska. Nie wyglądała tak jak na filmach. Na przykład kostnica — ta zupełnie mnie rozczarowała; była całkiem zwyczajna. Drzwi, na nich tabliczka z napisem „Pro Morte”, a za drzwiami sala wyłożona kafelkami w kolorze świeżo zmielonej kawy; pośrodku sali coś w rodzaju blatu na metalowym wózku o czterech białych kółkach. Na tym właśnie blacie, niby kurczak w ogromnej brytfannie, leżała sobie naga babka. Udawała, że śpi, podczas gdy wózek przy każdym dotknięciu jeździł raz w jedną, raz w drugą stronę, dopóki nie zablokowałyśmy kółek butami. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że wystarczyło nacisnąć hamulec.

Wielu rzeczy jeszcze nie wiedziałam. Na przykład, że niepozorna zielona plama po prawej stronie, tuż pod zębami, to znak, że ciało zaczęło się rozkładać. Po dwóch tygodniach leżenia pod ziemią zamieni się w ciastowatą breję. Upłynie rok, a może kilka lat, zanim zniknie — to nie jest pewne, znaczy, że zależy od takich rzeczy jak wilgotność, poziom wód gruntowych i rodzaj gleby. Tak czy inaczej na końcu śmierć obgryzie babkę do samiotkich kości, ale na razie babka jeszcze była. Dotknęłam pomarszczonej dłoni; poczułam, jak przechodzi na mnie śmiertelny chłód.

Ludzie nie myją swoich zmarłych. Nawet ich nie oglądają. Wszystkim zajmują się specjaliści. Pakują ciała do chłodni, wyciągają na kilka godzin przed pogrzebem i robią co trzeba. Są nieludscy, precyzyjni i bardzo się dziwią.

— Nie dam obcym dotykać się do mamusi — powiedziała im matka. Nienawidziła płacić za coś, co mogła zrobić sama.

Naprawdę się zdziwili. Pokazali nam co i jak i wyszli.

Tak więc w dzień pogrzebu myśleliśmy trupa. Ciało pachniało dojrzałą kobietą; jest w tym coś z nadpsutego mięsa, odrobina mydła, woń mokrego psa, zapach jaśminu i pereł, oczywiście gdyby perły w ogóle miały jakiś zapach. Obwisła skóra, upstrzona żółtymi plamami, marszczyła się na szyi, nadając babce wygląd infantki w kremowej kryzie. Spomiędzy siwych kępek na głowie prześwitywała różowa łysina. Usta, nos i uszy były całkiem sine. Na łonie i pod pachami rzadkie siwe włosy wiły się jak larwy; były nawet w szczelinie między pośladkami.

Wytarliśmy ciało ręcznikiem i zaczęło się ubieranie. Czułam się tak, jakbyśmy stroiły dużą lalkę. W dodatku zepsuta. Ręce babki stawiały opór; ciągnęliśmy z całej siły i przez chwilę myślałam, że jak nic jej te ręce powyrywamy, no i kto to będzie naprawiał?

— To przez stężenie pośmiertne — mówiła do mnie matka, rolując na udach zmarłej grube, beżowe pończochy, a do babki, która zaczynała już z lekka trącić: — Wstydz się, mamusiu, wszystko zasmradzasz.

Najpierw majtki, potem halka. Elegancka koronkowa sukienka okazała się za ciasna. Musiałyśmy zostawić rozpięty zamek, przez co babka leżała w trumnie z gołymi plecami. Stopy babki spuchły do tego stopnia, że przypominały nogi ludzi ze słoniowacizną. Z trudem wcisnęłam je w trumienne buty — takie z tekturową podeszwą — w których już nigdzie się nie dojdzie. Żal mi było ubierać w nie babkę, zwłaszcza że wybierała się w najdłuższą podróż, ale moja matka miała wysoce pragmatyczny umysł.

— Inne buty? — pytała. — Po co? Przecież nie zakopimy dobrych.

Zaczesalam włosy nieboszczki w wiotki, drobny koczek. Na trzy-cztery podniosłyśmy

trupa — matka za ramiona, ja za te słoniowe stopy — i ułożyłyśmy w wyściełanej kremową satyną trumnie. Na koniec matka wyjęła z babki sztuczną szczękę i było tak, jakby w miejscu ust otworzyła się czarna dziura gotowa zassać mnie do wewnątrz.

Pośród falbanek i koronek babka z tą swoją łysawą głową i bezzębnymi, sinymi ustami przypominała niemowlaka. Zimnego niemowlaka. Wiedziałam od matki, że kiedy przychodzimy na świat, też jesteśmy sini; skóra zaróżawia się dopiero po pierwszym oddechu. Wyglądało na to, że przez całe życie każdy z nas nosi w sobie dziecko, którym był na początku. Na końcu to dziecko, które jest złym wilkiem, wydostaje się na zewnątrz i zabija.

Ciała dzieci i zmarłych są tak delikatne, że powinnyśmy dotykać ich wyłącznie wargami, a jeśli już dłońmi, to w jedwabnych rękawiczkach. Ale nie miałam jedwabnych rękawiczek. Ucałowałam czoło babki. W kąciku jej ust wytarłam kciukiem zaschniętą krew. Skóra na twarzy zdawała się cieńsza niż pergamin. Nałożyłam makijaż, tak jak to robią na amerykańskich filmach, nie żałując podkładów i szminek, aż trup wygląda lepiej niż za życia.

— Coś ty zrobiła? — zdenerwowała się matka. — Toż to zwyczajna kurew.

Nie było czasu tego ścierać. Przyszedł mężczyzna w spodniach na szelkach i zanitował wieko. Trumna była felerna. Przy każdym ruchu miniaturowy Chrystusik bujał się na krzyżu. Przypominał małpkę z głową na sprężynie — pstryk i już się kiwa. Obce maszyny w obcej fabryce pomalowały go żółtą farbą, nadając mu wygląd Chińczyka.

— Panie kochany, pan to poprawi — prosiła matka.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Nieboszcze i tak się poszczęściło. Teraz wszystko robi się w Chinach. U tych ryżojadów trumny jak dla lalek, połowa przychodzi za krótka. I jak tu chować ludzi? Z podkurczonymi nogami?

Nie było rady: babka dostała trumnę z tańczącym Chińczykiem. Tancerz uwodzicielsko kołysał biodrami, ilekroć trumna podskakiwała na wyboju. Elektryczny wózek, za którym szedł żałobny kondukt, prowadził mężczyzna w błękitnym uniformie. Wiózł babkę cmentarną alejką, nad którą szumiały drzewa, ociekając słońcem. Zastanawiałam się, czy żółta esencja zdoła przecisnąć się przez szpary wieka.

Na pogrzeb założyłam pantofelki na obcasie, przyozdobione błękitnym kwiatkiem. Były trochę za duże; kołysałam się w nich na boki zwyczajem pijaków. Wózek z bezzębną, wymalowaną babką jechał naprawdę szybko i musiałyśmy prawie biec, trzymając się z matką za ręce; czułam się przez to jak mała dziewczynka.

Podobno w dzieciństwie byłam szczęśliwa. Niewiele pamiętam — musiałam udawać dużo z tego szczęścia. Matka nie była pewna, czy ma dziecko. W trakcie dnia setki razy zaglądała do łóżeczka, w którym pod kocykiem w czerwono-niebieską kratkę spoczywałam ja — zerwana róża. Nie poruszałam się na jej widok. Zero reakcji. Leżałam tam z otwartymi oczami, patrząc na świat bez ciekawości i bez niechęci, niczego nie dając i nic nie chcąc w zamian.

— Mogłaś umrzeć, a ja nawet bym nie zauważyła.

„Tak nie powinno być” — pomyślałam.

Matki i dzieci powinna łączyć specjalna więź — tak uważam. Kiedy jedno umiera, drugie powinno poczuć to w sobie, gdzieś w środku, głęboko. Lodowate ostrze zadające śmiertelny cios. A potem żyć dalej.

Ojciec odszedł od nas, kiedy byłam mała. Dzwonił raz w roku, na święta. Jego niski głos wydobywający się ze słuchawki przypominał buczenie mechanicznej zabawki. Przez długie lata wierzyłam, że mój tatuś to gadający miś panda, jedna z tych drogich maskotek, jakie w drodze do szkoły widywałam na witrynach sklepów.

Ojciec przysyłał też kartki. Mam ich całe pudło. Kiedy przeprowadziłam się na wieś,

zamierzałam je spalić, ale ostatecznie wyniosłam je na strych, gdzie obrastają kurzem. Wybierałam te w czerwone i różowe serduszka, z brokatem poprzyklejanym na konturach. Kartki urodzinowe, imieninowe, pocztówki z wakacji. Na każdej to samo: „Mojej drogiej córce”. Na dole drobnym maczkiem dodawał zwykle, że mnie kocha. Przez całe życie próbowałam mu wierzyć. Ale tam, nad groźną czarną jamą, na dół której opuszczali ciało mojej babki, zupełnie jakby wodowali statek, pomyślałam, że tak naprawdę ani to, ani nic innego nie ma większego znaczenia. Życie przypomina obowiązkowy zastrzyk w gabinecie higienistki: „Zaraz się zacznie” — myślisz, nawet nie poczujesz i jest już po wszystkim.

A kiedy zakopywali moją babkę, zapytałam, czy mają dużą trumnę dla niej i maleńką dla mnie, w biedronki, pieski, coś dla dzieci. Ziemia łopata za łopatą spadała na wieko, na zawsze odgradząc świat żywych i martwych. Uklepaliby na babce dorodny kopczyk, a wyglądało to tak, jakby ziemia zaszła w ciążę. Ksiądz zawodził głosem kastrata. Człowiek w błękitnym uniformie udeptywał ziemię wokół grobu. Załobnicy kolejno podchodzili do nas, złożyć kondolencje. W oczach mieli wyraz: „tak nam przykro”. Wszyscy. I bardzo zimne ręce.

Mężczyźni ledwo chwycili moją dłoń, puszczały ją w pośpiechu. Kobiety cmokały tuż przy moim uchu, całując powietrze. Nienawidzę, kiedy ktoś tak robi. Ale dobrze wiem — tam, nad grobem babki, wpęzła we mnie śmierć, a oni, ci zimnoręcy, ubrani na czarno ludzie, bali się nią zarazić. Patrzyłam, jak znikali, jeden po drugim, na końcu powleczonej słońcem alei, nie odwracając się za siebie, jakby uważali, że jesteśmy winne. Czułam się winna, że ktoś mi umarł.

— Jest już po wszystkim. — Matka chrząknęła, otrzepując ręce.

No i wtedy zaczęłam płakać, jakbym już nigdy nie miała przestać.

A potem zabrali mnie do szpitala. Nie mogłam oddychać. Zrobili wszystkie badania. Byłam zdrowa jak ryba, mimo to dusiłam się — złota rybka wyrzucona na brzeg.

Najpierw pomyśleli, że jestem w ciąży. Później, że oszalałam. Wysłali mnie do psychoanalityka. Przypominał wyżła. Opowiadałam mu moje sny.

Ten, w którym babka stoi przede mną, ale nie mogę jej dotknąć, więc znika. Wokół rzędy luster. To jest tak wymyślone, że powtarza się w nieskończoność.

I ten, w którym trzymam w ręku sztylet, wbijam w jej pęknięte serce. Przychodzi lekarz, mówi: „No tak, drugi zawał, powinnaś, dziecko, bardziej uważać, potłukłaś wazon w irysy, urodzinowy prezent od dziadka”.

Nawet ten najgorszy, w którym zabrania mi wyjść wieczorem. Boi się, że jestem zakochana. Wrzucam do muszli jej tabletki na serce, splukuję wodę — chcę, żeby umarła.

— Dziewczyno, jesteś zupełnie normalna — powiedział „wyżeł”.

— Ale jak ja mam z tym żyć?

— Przykro mi, czas minął.

Matka czekała na korytarzu.

— Spryciarz z tego konowała. Tyle pieniędzy za godzinę pracy! Właściwie, co ty mu nagadałaś?

— Pytał o sny.

Szłyśmy przez parking.

— Sny? Skubany. Wiedziałaś, że to szarlatan.

Wsiadłyśmy do auta. Włączyła silnik i ruszyłyśmy. Światła ulicznych latarni przypominały kwiatostany podświetlanych pęcherzy. Albo lśniąca ikra. Mijałyśmy inne samochody, a w nich ludzie, którzy cieszyli się, smucili albo nie czuli nic. Wcale.

Płynęłyśmy, kručąc, przez wielkie, wieczne miasto.

To, co wydarzyło się potem, wyglądało na sen. Śniło mi się jeszcze przez wiele nocy.

Na skrzyżowaniu pojawia się motocyklista w żółtym kasku. Jego motor rzeździ. Kiedy z dużą

szybkością wbija się w bok naszego samochodu, matka klnie na czym świat stoi, ale ja wreszcie oddycham głęboko.

Jak dziecko wyniesione z płonącego domu.

2. Kolekcjoner sennych kobiet

Utrata dziewictwa była dla mnie jak wypadek samochodowy. Cieszyłam się, że to przeżyłam. Widywałam tego chłopca codziennie w autobusie.

— „Wszystko będzie dobrze”? Optymistyczny tytuł — zagadnął w dniu, w którym czytałam książkę Dereka Mahona.

Nie miał pojęcia o irlandzkiej poezji. Studiował malarstwo. Naprawdę miał talent. Sądziłam, że składa się z samych zalet, ale, niestety, był bardzo religijny. Chrystus ukrzyżowany, Chrystus w gaju oliwnym — uwieczniał na płótnach cukierkowe rysy, przywodzące na myśl hermafrodytów z wybiegów mody. I serce, wielkie czerwone serce, płonące w piersi dobrego Boga.

— Jesteś artystą. Nie masz ochoty namalować tego inaczej?

— To znaczy?

— Wyobraź sobie jezioro Genezaret: lazuruwa toń, wiatr kołyszący fale, pośrodku łódka, w niej uczniowie.

— A Jezus?

— Pod wodą.

Miałam za sobą kilka randek i wszystkie, co do jednej, zakończyły się fiaskiem. Być może kiedy obiecujemy sobie zbyt wiele, musi nas spotkać rozczarowanie. Tak było ze mną. Za każdym razem. W dodatku, za sprawą matki, ilekroć szłam na randkę, czułam się nieskończenie winna, jakbym popełniała zbrodnię przeciwko ludzkości.

Jeśli chodzi o malarza, wkrótce staliśmy się nierozłączni. Po kilku tygodniach podarował mi odziedziczony po prababce pierścionek, taki z ametystowym oczkiem. Był pewien, że któregoś dnia zostanie jego żoną. Według niego nasza wspólna przyszłość miała być usłana różami — on, oczywiście, stanie się sławny, ja, jego jedyna prawdziwa miłość, urodzę mu tuzin złotoustych aniołków i nic a nic nie będę się starzeć.

Chwilowo, jak większość artystów, był biedny i niedoceniany. Zmęczony Chrystusami zamierzał namalować akt. Chciał, żebym mu pozowała. Koniecznie bardzo wcześnie rano. Mówił, że o świecie jest najlepsze światło, ale tak naprawdę tylko wtedy mogliśmy być u niego sami.

Ranne wstawanie to dla mnie tortura. W autobusie siłą woli powstrzymywałam się, żeby nie zasnąć. Cudem wysiadłam na właściwym przystanku. W jego pokoju pachniało terpentyną i świeżą kawą. Rozebrałam się, ziewając.

— Boże, jesteś idealna.

Pomyślałam, że zwariował. Nie czułam się idealna. Właściwie nigdy nie czułam się dość dobra. Matka, odkąd pamiętam, mówiła mi, jak źle wychodzę na zdjęciach. Jej zdaniem wszystko robiłam nie tak — nie potrafiłam mówić („W ogóle cię nie słychać!”) ani pisać („Tego nie można odczytać!”), nie umiałam chodzić („Człapiesz jak kaczką!”), miałam fatalną sylwetkę („Nie garb się, dziecko!”) i jeszcze gorszy gust jeśli chodzi o chłopców („Malarz? Taki od obrazów? Jak on zamierza utrzymać rodzinę?”). Ilekroć otwierała usta, kłuła mnie w pulchne serduszko, jakby jej język to wcale nie był język, tylko mały srebrny bagnet.

Ale tam, w pokoju malarza, otoczona przez zwielokrotnione boskie oblicza, czułam się piękna jak Śpiąca Królewna. Usiadłam na taborecie. On zaczął malować. Musiał mnie budzić, żebym nie spadła. Miał takie ciepłe ręce.

Myślicie pewnie, że zrobiliśmy wówczas to, co w podobnych okolicznościach zwykle robią

zakochani, ale, niestety, mieliśmy pecha — akurat tego dnia jego ojciec wrócił wcześniej z nocnej zmiany. Ubierałam się w pośpiechu.

— Nie bardzo się udał. Kończyłem z pamięci — skarżył się malarz kilka dni później, pokazując mi gotowe dzieło. — W dodatku ty byłaś taka senna.

Ja uważałam, że obraz jest piękny.

— Obiecuj mi jedno: nikt poza nami nie będzie go oglądał.

Przysiągł na swoje serce.

Coraz mocniej chcieliśmy się kochać.

— Czy znów mam przyjechać o trupio bladym świcie?

— Odpada. Nasz pierwszy raz musi być idealny. Zapamiętamy go na całe życie.

Znalazł ogłoszenie o kempingowych domkach. Jego artystyczna dusza karmiła się wizją nas obojga w oddalonym od świata anielskim zakątku. Tam, w otoczeniu świec, srebrnych kandelabrow i — jak mawiał malarz — „morza róż płatków”, mieliśmy wyznawać sobie dozgonną miłość, splatając ciała jak węże. Dostał na tym punkcie obsesji. Miał problemy ze snem. Przestał malować.

— Pieniądze. Zawsze te pieniądze. Dlaczego musiałem urodzić się biedny?

— Może powinnam sprzedać pierścionek? — spytałam, przyglądając się mojej dłoni, na której fioletowym blaskiem migotał lilipuci klejnocik.

— Nawet o tym nie myśl. Jest w mojej rodzinie od pokoleń.

Któregoś dnia zupełnie nieoczekiwanie wyszeptał mi do ucha, że wszystko załatwione. Domek wynajął na przyszły weekend.

Byłam przerażona. W dzieciństwie tyle nasłuchiwałam się od babki o Maryi i jej dziewictwie, a potem od bladej ze strachu matki przed każdym wyjściem na randkę („Szanuj się, dziecko!”). Słowem spodziewałam się czegoś wielkiego, wydarzenia, potężnego jak piorun, które raz na zawsze odmieni moje życie.

Wśród maturzystek z mojej szkoły byłam jedyną dziewicą. Reszta dziewczyn przypominała kocice: ocierały się o chłopców, mruczały zalotnie; do tego chichotały, Bóg jeden wie z czego. W plisowanych spódniczkach, pasiastych podkolanówkach i różowych trampkach przyozdobionych kokardkami z brokatu sprawiały wrażenie niewiniątek, ale — mimo powyciąganych swetrów, przetartych na kolanach dżinsów i trój ze sprawowania — to właśnie mnie przypadła w udziale rola cnotki niewydymki. Kocice traktowały mnie jak zadżumioną. Zaciągały się papierosami w szkolnej ubikacji, plotkując o chłopcach, którzy — niczym nurkowie szukający skarbów — wpadali w nie głęboko i szybko. „Byczki onanizujące się w pochwach” — tak o nich mówiły.

Pamiętam, jak pewnego razu w ramach wymiany przyjechał do nas uczeń ze Stanów. No więc ten Bob czy John na widok małego fiata chwycił się za głowę, wydając z siebie słabe „oh my God”, a po chwili omal nie zemdłał, po tym jak z malucha wysiadło czterech grubych mężczyzn. Podobnie ja bladłam setki razy, słuchając opowiadanych przez „kocice” historii o chłopcach wytryskujących jak spieniony szampan, wielokrotnych orgazmach i innych rzeczach, od których kręciło mi się w głowie. Świat nurzał się w rozpuście, niby wieprze w błocie, a ja nie miałam o tym pojęcia.

Oczywiście nie byłam święta. Od owej pamiętnej Wielkanocy, kiedy ukryłam się przed babką w kościele i później, po babki pogrzebie, masturbowałam się wiele razy. Przestałam po tym, jak wytrysła ze mnie ciepła, pachnąca miodem ciecz i ściekła mi po palcach. Przez kilka dni czułam ucisk w podbrzuszu, potem wszystko minęło. Mimo to byłam pewna, że umieram. Sądziłam, że choruję na jakąś egzotyczną śmiertelną chorobę. W myślach widziałam już własny pogrzeb. Zastanawiałam się nawet, jaką kartkę z tej okazji przyśle mój ojciec.

— Głuptasie, to żadna choroba, tylko *seminatio*, taki damski wytrysk — wyjaśniła mi jedna z „kocic”, Joanna, czesząc przed lustrem puszystą czarną grzywkę. Przy każdym ruchu szczotki jej włosy unosiły się w górę, przyciągane siłą elektrostatyczną, i pomyślałam, że to nie jest dziewczyna, tylko zaczarowany kot sypiący złote iskry.

Joanna do dziś przysyła mi listy. Prawdziwe listy na prawdziwym papierze. Z koperty wysypują się szeleszczące, sztywne kartki, niegdyś białe jak bandaże, teraz usiane czarnym atramentem. Pismo Joanny to śmieszne ślimaczki, pełne zawijasów. Lubię oglądać znaczki na kopertach, układam listy według kolorów tych znaczków i tak o nich myślę: błękitny list, żółty, zielony, list z małą foką toczącą czerwoną piłkę.

Joanna pisze do mnie z Kalifornii (to słowo kojarzy mi się niezmiennie z lemoniadowym światłem przesączonym przez grubą plaster miodu). Czasami, stojąc na progu domu, zamykam oczy i myślę o setkach, tysiącach, milionach listów, powiązanych sznurkami, nieruchomych i cichych jak uspione owady, i wszystkich ludziach towarzyszących im w podróży — pracownikach poczty, pilotach samolotów, konduktorach pociągów i moim listonoszu, który cały w uśmiechach rzuca mi pod drzwi każdą z przesyłek, a potem odjeżdża na rowerze o zardzewiałej ramie, dzwoniąc na wybojach: dzyń, dzyń, dzyń.

Wielu z nadawców umarło, kiedy listy były w drodze, ale adresaci będą czytali ich słowa, nic o tym nie wiedząc. Jakby wcale nie było śmierci, jakby śmierć została oszukana — w ten właśnie sposób mówią do nas umarli.

W ostatnim liście Joanna pisała o trawiącej ją od wyjazdu chorobie. Leczyli ją prądem (tak, moi mili, elektrowstrząsy znowu są w modzie). „Podłączyli elektryczny bluszcz do mojej głowy, «nic nie będzie boleć», powiedzieli, a potem przepuścili przeze mnie transmisję końca świata. Czy to nie dziwne, że pomyślałam wtedy o tobie?”

Nasza przyjaźń zaczęła się tam, w szkolnej ubikacji. Joanna przerwała szczotkowanie kruczoczarnych włosów (właściwie miały kolor świeżego asfaltu) i przyjrzała mi się uważnie, jakbym była czymś szczególnie ciekawym.

— Powinnaś się cieszyć. *Seminatio* to bardzo rzadka sprawa.

Ale nie cieszyłam się. Wcale. Prawdę mówiąc, czułam się popsuta. To nic miłego mieć powódź między nogami. Potrzebowałam kogoś, kto mógłby mnie naprawić. Nie zamierzałam czekać z tym do ślubu.

Poszłam nawet do ginekologa, ale trafiłam na prawdziwą kostuchę. Od progu wiedziałam, że mnie nienawidzi. Zwracała się do mnie głosem pełnym niechęci, a wszystko dlatego, że stałam tam taka niewybaczalnie młoda, a ona była pomarszczona i brzydka — tak wyglądają begonie, kiedy już przekwitną. To przykra rzecz znaleźć się z kimś takim w jednym pokoju. Do tego bez majtek.

Kościastą ręką wskazała fotel. Z trudem dosięgałam stopami do podpórek, które przypominały strzemiona (kobieta przede mną musiała być naprawdę wysoka). Czułam, jak drętwieją mi nogi. „Kostucha” jedną ręką w gumowej rękawiczce poprawiała okulary na krecich oczach, drugą sondowała moje krocze, podczas gdy ja udawałam, że jestem martwa — leżałam i gapiałam się prosto w światło lampy, zastanawiając się, który mężczyzna projektował ginekologiczne fotele. I czy próbował na nich leżeć.

Potem starucha wsadziła we mnie coś, co przypominało kaganiec. Grzebała długo i mocno, i z takim przejęciem, jakby spodziewała się wyciągnąć perłę, ale żadnej perły ze mnie nie wyciągnęła, więc kazała mi się ubrać, wypisała receptę i zawołała: „Dawać następną!”. Po wyjściu z gabinetu czułam, że nie znaczę więcej niż dopuszczone do obrotu mięso.

Mimo to w przeddzień wyjazdu z malarzem dosłownie drżałam z przejęcia. Pierwszy raz w życiu byłam zakochana. Wierzyłam, że to już na zawsze.

Powiedziałam matce, że przenocuję u Joanny, i pojechaliśmy.

— Domek numer cztery? Jeszcze nie jest wolny. Jakaś para wynajęła go na kolejną godzinę — oznajmił mężczyzna w recepcji. — Wszyscy przyjeżdżają tu tylko po, żeby się pieprzyć.

Kiedy przechodziliśmy obok, z czwórki dobiegały głośnie jęki. Kobieta wrzeszczała: „Jeszcze, jeszcze!”. Na koniec wydała odgłos jak dobijane zwierzę.

— Trzeba czekać — oświadczył zrezygnowany malarz, więc poszliśmy na spacer.

Obok domków biegła szosa; na drugim planie znajdował się mały lasek, na pierwszym zatoczka, po której, machając na przejeżdżające tiry, spacerowało kilka kobiet-lalek. W odblaskowych kurteczkach i krótkich spódniczkach prężyły się, wypinały tyłki. Zastanawiałam się, czy nie jest im zimno.

Zanim minęliśmy tirowy, podjechał czerwony sportowy samochód. Kierowca zatrąbił. Najwyższa z kusych dziewczyn, kręcąc biodrami, ruszyła w jego stronę. On otworzył drzwiczki. Ona rozpięła kurtkę; wyglądała prześlicznie w obcisłej bluzeczce z głębokim dekoltem.

— *W żopu piatdiesiat, w paszczu dwadcat* — tłumaczyła zachrypniętym głosem.

Raptem on złapał ją za pierś, ona wyrwała się, krzycząc, że za to trzeba płacić, więc koniec końców nazwał ją głupią kurwą i zatrzasnął drzwiczki.

— Co jest, Natasza?! — wołały zaniepokojone koleżanki po tym, jak samochód odjechał z piskiem opon.

— *Ot, sobaka. Chotiel jebat besplatna.* — Splunęła, poprawiając stanik.

Zaczął padać śnieg. Weszliśmy do lasu. Pod naszymi stopami zapadało się błoto. Marzec zaczął się tego roku seria roztopów, ale teraz nagły chłód pokrywał wszystko cienkim białym szronem. W górze wisiało słońce, drogocenny koral dwa razy dziennie nawlekany na nitkę horyzontu, chociaż, jeśli mam być z wami szczerą, to wcale nie był koral ani klejnot, w ogóle nic cennego, tylko olbrzymia kula w jednym z tych intensywnych odcieni żółci, jakie spotyka się czasem w moczu cukrzyków.

„Mam przywidzenia” — pomyślałam na widok polany pełnej stokrotek. Ale to nie były kwiaty. Wokół, gdziekolwiek spojrzeć, walały się zużyte prezerwatywy i plastikowe folie.

Wróciliśmy do recepcji. Domek był już wolny. Musieliśmy pootwierać okna, tak mocno pachniało seksem tamtych dwojga. Kaloryfery nie grzały. Wkrótce w pokoju zrobiło się zimniej niż w kostnicy.

Malarz włączył radio. Kręcił gałką, próbując znaleźć pościelową melodię, ale właśnie tego dnia zachorował papież. Na każdej stacji mówili tylko o tym.

Nawlekałam świeżą, wykrochmaloną pościel na pierzynę śmierdzącą cudzym potem. Pościel w kilku miejscach była dziurawa. Nie byłam pewna, czy malarz dokładnie tak to sobie wyobrażał.

— Jesteś gotowa? — spytał, kiedy skończyłam.

Kiwnęłam głową, chociaż nie byłam. Kiedy mnie rozbierał, zastanawiałam się, gdzie jest kobieta, która leżała na tym łóżku przede mną, i czy ja też będę krzyczeć z rozkoszy.

— W porządku. Zaczynam — oznajmił malarz z takim przejęciem, jakby inaugurował koniec świata.

Byłam zimna jak trup. Trzęsłam się, szczękając zębami.

Nie zagrały archanielskie trąby. Łóżko zaczęło trzeszczeć. Spojrzałam na zegarek. Była dwudziesta pięć. Dwudziesta siedem, gdy skończył.

Otuleni w koce wyszliśmy na ganek. Śnieg spadał na moją dłoń białymi hostiami. Zaczynała się zamieć. Przybłąkał się do nas pies stróża. Ogromny i zziębnięty, ciepłym cielskiem grzał moje stopy. Zawołany przez pana pobiegł w jego stronę i stał się czarną plamą pośród ukośnie

padających małych, białych strzałek. Z oddali słyszałam jeszcze jego szczekanie. Wszystko we mnie było ciche jak śnieg.

Po mojej nodze, wywołując swędzenie, ściekała wodnista ciecz, ale to nie był mój miód. Ciecz miała zapach kredy i przepoconych tramppek. Wytarłam ją w koc, na którym zostały białe plamy. Malarz uśmiechnął się głupkowato. Zrobiłam to samo, jakbym była ustawionym naprzeciw niego lustrem. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Wyobrażam sobie, że tak wygląda lawina w Himalajach — biały jęzor wdziera się w doliny, wszystko wokół zamarza i tylko ja, otoczona przez pokrywy lodu, ciągle jestem żywa, nie dlatego, żebym była lepsza od innych, po prostu zamarzam wolniej niż reszta.

Siedząc obok malarza, tam, na drewnianym ganku, wpatrzona w wirujące w powietrzu drobinki śniegu, świetliste tak bardzo, jak gdyby w każdej ukryto miniaturową lampę, przypomniałam sobie pewne zdarzenie. Z tych zabawnych.

Kiedy miałam sześć lat, wpadłam do domu, wołając:

— Babciu, gonił mnie bengalski tygrys!

Babka wyjrzała przez okno i zobaczyła żółtego pieska.

— Wstydz się tak kłamać! Idź, przeproś Boga, porządnie, na kolanach.

Gdy wróciłam, spytała:

— No jak, przeprosiłaś?

— „Przepraszam cię, Boże, że się pomyliłam, wzięłam małego pieska za tygrysa”. Wiesz, babciu, tak mu tłumaczyłam, a on na to: „Wcale ci się nie dziwię, jak zobaczyłem go po raz pierwszy, też pomyślałem, że jest tygrysem”.

— Gdzie jest obraz? — spytałam malarza, zaglądając do jego pokoju w poniedziałek rano.

— Jaki obraz, kochanie?

— Mój obraz!

— Pamiętasz, jak wspomniałaś o pierścionku? Zaświtał mi wtedy pewien pomysł. Zaniósłem do galerii kilku Chrystusów, ale nie chcieli słyszeć o zaliczce, mówili, że na to jest za mały popyt. Sprzedają głównie akty, to co miałem zrobić?

Tak oto wisiałam sobie naga na ścianie galerii w samym centrum miasta.

Pojechaliśmy tam z malarzem, ale nie miałam siły wejść do środka. Czekałam przed drzwiami, wciskając zmarznięte dłonie do kieszeni płaszcza, przestępując z nogi na nogę zwyczajem skazańców w łagrach, o których kiedyś czytałam. Mimo to nie mogłam wykrzesać z siebie ani odrobiny ciepła. Czułam, że zamarzam. To działo się od wewnątrz — w moim brzuchu rozrastała się mateczka Rosja, miałam tundrę zamiast serca. Chociaż nie, właściwie zamiast serca miałam ogromną czarną dziurę. Śnieg sypał z nieba — białe confetti — roztopiał się w wiosennym słońcu, zanim spadł na ziemię, a ja czułam się jak trup, zimna i nijaka.

Na wystawie galerii wisiało kilka biało-czarnych grafik — co do techniki, na oko były to akwaforty i linoryty, w kwestii tematu *écriture féminine*, nie mam zdania, jeśli chodzi o styl. Spoglądało na mnie kilka dziwnych kobiet: jedna z pękniętym brzuchem, z którego wypadła małeńka perła, druga to była wydrażona kukielka i mleko płynęło z jej ust, a jeszcze inna miała nagie piersi, anielskie skrzydła, źrenice w kształcie pestek i nóż wbity w serce. Niektóre trzymały w ramionach robaczywe dzieci, inne czarne małpy, obnażające lśniące zęby, ciała ślimaków w strzaskanych muszlach, a nawet czaszki, które winorośl porastała bujnie niczym rozmnożona osobliwa narośl i winnymi pędami uparcie pięła się w górę, oplatając ciała kobiet, pół aniołów, pół kalek, by w prawym górnym rogu wydać owoc, dorodne, kształtne grono, które kusilo: „zjedz!”.

Zaprawdę czułam się pęknięta jak one — te siostry moje, te matki. Zdawało mi się, że słyszę, jak szepczą do mnie zza brudnej szyby: „Daj spokój, dziecino, takie jest życie”.

Po godzinie, która trwała całą wieczność, malarz wyszedł z galerii z pustymi rękami, za to z uśmiechem triumfu na twarzy.

— Co z obrazem? Zgodzili się wymienić go na inny?

— To niemożliwe. Kupił go od nich prywatny kolekcjoner. Zapłacił niezłe pieniądze. Czy to nie cudownie? — Mówił bardziej do siebie niż do mnie. — Mój pierwszy sprzedany obraz! I wiesz co, kochanie? Zamówili jeszcze kilka twoich aktów. Zanim zacznę malować tak całkiem z pamięci, muszę cię jeszcze trochę pooglądać. Dasz radę wyrwać się w ten weekend? Trzeba wcześniej zarezerwować domek.

Nigdy nie zrozumiał, dlaczego jak płatek śniegu na słońcu wyparowałam z jego życia, oddając mu drogocenny pierścionek.

3. Dolly nie całkiem niebieskousta

— No więc? — Lekarz splatał i rozplatał palce nad wypolerowanym blatem biurka, to wznosząc, to burząc kościstą wieżyczkę. Jego olbrzymia głowa w kształcie balonu kołysała się na cienkiej szyi i za każdym razem, kiedy przez uchylone okno wpadało ciepłe powietrze o zapachu paproci i prażonej kukurydzy, miałam wrażenie, że odfrunie. Wolałabym, żeby odfrunął.

Na ulicach trwał festyn. Zanim trafiłam do budynku szpitala, minęłam ludzi w dziwnych przebraniach. Rozpoznałam wśród nich gondoliera, nadwornego błazna i siedem syren paradujących z nagimi piersiami, o ile nie liczyć drobnych cekinowych meduz przyklejonych do siedmiu par sutków. Te piersi pewnie miały powód, żeby tak paradować, ale tego dnia nic mnie nie obchodziło. Przeciskałam się z trudem przez hałaśliwy tłum. Nie chciałam spóźnić się na wizytę.

Niepotrzebnie się spieszyłam. Przesiedziałam trzydzieści minut w poczekalni w kolorze wymiocin, razem z ludźmi o spojrzeniach pozbawionych wyrazu. Na wszelki wypadek poszłam do łazienki sprawdzić, jak jest ze mną. Spojrzałam w lustro — miałam to samo. Wróciłam dokładnie w chwili, gdy przeraźliwie chuda pielęgniarka, właściwie kościotrup, wyczytywała moje nazwisko. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Doktor Paluch, psychiatra”. Oksydowane litery przepłynęły przed moimi oczami, po czym rozmyły się, jak gdyby splukane deszczem.

Lekarz nie przypominał tego pierwszego, „wyżła”. Był przystojny. Bardzo przystojny, jeśli nie liczyć zbyt dużej głowy. Wskazał na krzesło, niewygodne jak diabli, potem założył okulary w złożonych oprawkach. Rozdzielał nas szeroki blat biurka w kolorze nadgniłych wiśni. Przez upiornie długą chwilę milczeliśmy oboje, patrząc na siebie w ciszy, nad tym blatem.

— Więc?

Ja milczałam dalej, podczas gdy on nerwowo splatał i rozplatał palce, które układały się w wieżyczkę, to znowu w konchę, gładką i jasnoróżową. Dziesięć palców wieńczyło dziesięć idealnie spiłowanych paznokci. Skóra na jego dłoniach lśniła czystością, zdawała się wprost fosforyzować. „Z takiej skóry naziści zrobiliby abażur — pomyślałam. — Śliczne różowe cacko, które niby mała aureola przystroiłoby lampę stojącą na mahoniowej półce pośród innych bibelotów: embrionów w porcelanowych naczyniach, wypolerowanych czaszek, złotych zębów Żydów, wielkiego słoja z wypreparowanym szkieletem karła (gdzieś o tym czytałam)”. Aż przeszły mnie ciarki.

Coś popsuło się w mojej głowie. Od historii z malarzem gdziekolwiek byłam, cokolwiek robiłam, przed moimi oczami pojawiały się straszne obrazy. Było pewne, że nie chodziło wyłącznie o pęknięte serduszko. Nie chodziło także o piętno pomyłki ani o miałość tego, co stanowiło desygnat słowa „miłość”. Byłam nadwrażliwa niczym oko człowieka z fotofobią. Wzdrażałam się przed brutalnością faktów. Do dziś tak się wzdragam.

— To dlatego, że jesteś taka pierwsza naiwna — mówiła Joanna.

Owego lata, przyciągana hipnotyczną siłą, niby ćma do światła, wracałam do galerii, do

moich kobiet-kalek, dopóki nie znikły z wystawy. Czułam się równie kaleka jak one, ale nikt nie chciał sprawić, bym znikła.

Kątem oka wszędzie dostrzegałam śmierć, jej małe zwiastowania. Liliowe krwiaki na dłoniach starych zakonnicy, a dalej, na drugim planie, osobliwy kontrast — zakochani, ukryci za krzakami bzu, wrzeszczący w ekstazie jak dzieci w agonii. Poza tym siedem siwych gołębi żerujących na gołęmbim ścierwie, plus tłuste czerwce w koszu na śmieci, pełzące po nadgryzionym hot-dogu. Patrzyłam, jak spada z nieba kolejne słońce; wcale nie miałam ochoty go złapać. Tak musi się czuć skazaniec w celi śmierci — nie widzi przed sobą żadnej przyszłości.

Wolałabym zniknąć. Albo przynajmniej stać się nieważką ową nierealną, cudowną nieważkością znaną mi ze snów, w których latam. Niestety, rzeczywistość była nie mniej niewzruszona niż wmurowana w ziemię ławka, na której siedziałam, obracając w dłoniach pocztówkę z napisem: „Gratulacje, mój aniołku. Kochający tata”.

Park był pełen światła, ja — bezbrzeżnie pusta. A mówiło się, że przeżywam najlepsze lata życia.

Zdałam maturę, dostałam się na studia, nawet matka była ze mnie dumna („Psychologia? No, no, córca!”), ale ja nie byłam pewna, czy wstając z łóżka, robię to naprawdę czy tylko spoglądam w lustro na cudze odbicie. Miałam wrażenie, że jestem niekompletna, jak cienie przedmiotów po wybuchu bomby atomowej. Bałam się, że popadam w obłęd. Bez przerwy było mi zimno. Zakładałam dwie pary rajstop pod grube spodnie, trzy pary wełnianych skarpet, na górę kilka warstw bluzek. Z czasem przestałam przebierać się do snu. Na ubrania noszone za dnia po prostu wciągałam flanelową nocną koszulę, a mimo to trzęsłam się z zimna. Wyprosiłam od matki puchową koldrę, naszpikowaną kaczym pierzem. Była ciężka jak diabli. Leżąc pod nią, czułam się tak, jakbym leżała w grobie, pod grubą warstwą ziemi.

To właśnie mniej więcej w tamtym czasie zaczęły mnie dręczyć myśli o śmierci. Gdziekolwiek spojrzę, widziałam zwiastuny rozkładu: motyle na wycieraczkach, ścierwo rozjechanego psa, mięso na ladach sklepów mięsnych, w dziecięcych wózkach, w jedwabnych sukienkach długonogich kobiet i w ustach ich mężczyzn — to samo mięso. Czaiło się wszędzie wokół i we mnie, nadpsute i robaczywe.

Pojechałam z Joanną na Przystanek Woodstock, ale zamiast ludzi widziałam trupy, same trupy. Zamiast murawy — przyszłe groby. Tysiące trumien do wypełnienia.

No i sny. Z tym było najgorzej. Umierałam każdej nocy, niezliczoną ilość razy, w różnych kombinacjach. Pośród kalejdoskopowych podświadomych obrazów zjawiała się *fanciullina morte*, dziewczuszka śmierć Felliniego; w moich snach przybierała niezmiennie kształt bławatkowego topielca — wypływała ku mnie ze stawu o barwie źrenicy ściętej szronem. Księżyc robaczywił w rozwartej toni, a ja śniłam o moich kościach zakopanych w ziemi, ciele rozkładającym się, tak jak każde inne mięso, o tłustym robaku pełznącym we mnie, wewnątrz. Przerażona budziłam się z krzykiem i wtedy naprawdę chciałam uwierzyć w jakiegokolwiek piekło albo niebo.

To trwało tylko chwilę, ta moja chęć nawrócenia. Zaraz potem przypominałam sobie o zwierzętach w rzeźniach, zastanawiając się, jak właściwie miałyby wyglądać ogrody Edenu. Nikt nikogo nie będzie pożerał? Będziemy żyć w zgodzie przez całą wieczność? Jak na broszurkach jehowych?

Pewnie, że potrzebowałam pomocy. W tajemnicy przed matką zapisałam się na wizytę w państwowej poradni, a teraz siedziałam w gabinecie psychiatry i z wielkim wysiłkiem otwierałam usta, próbując wytłumaczyć, co właściwie mi dolega. Przypominało to śpiewanie operowej arii w betonowym basenie, kilka metrów pod wodą.

Lekarz nie wzbudzał zaufania. Nerwowo wiercił się na krześle, wodził po pokoju

rozbieganym wzrokiem. Wyglądało na to, że ledwo radzi sobie sam ze sobą.

Opowiadałam głównie o snach, ale doktor Paluch nie wierzył w te bzdury od Junga. Widocznie jego sny były gorsze od moich. Założę się, że każdej nocy śniło mu się piekło: sala pełna luster i nigdzie nie można się schować.

— Mówisz, że dostałaś się na psychologię? Świetnie. — Zacierał ręce jak ktoś, kto wietrzy dobry interes. — Bardzo rozsądnie z twojej strony, że przyszłaś. Każdy, kto chce leczyć innych, powinien wcześniej uprzątnąć bałagan we własnym ogródku. Trzeba się pozbyć wszystkich swoich świrów. Będzie to proces bolesny i długi, ba, może zająć całe życie. Lepiej ci zrobią prywatne wizyty. Zapiszę cię na przyszły czwartek.

Sięgnął po notes oprawiony w błękitne płótno, coś jak imitacja zamszu. Zauważył, że przyglądam się stojącemu na biurku zdjęciu jego żony — drobna brunetka o topazowych oczach, o ustach cienkich jak nóż — i oblał się rumieńcem. Przyszło mi na myśl, że usta jego żony naprawdę są ostre i za każdym razem, kiedy on chce ich dotknąć, nie robi tego, żeby się nie zranić.

Nie poszłam do niego ani w następny czwartek, ani w żaden inny. Nie było mnie stać na prywatne wizyty. Nie żebym miała się lepiej. Przeciwnie. Podejrzewałam u siebie manię prześladowczą. Zdawało mi się, że chodzi za mną jeden facet. Tyle że ten facet naprawdę za mną chodził. Wyglądał jak sympatyczny sąsiad-psychopata, taki, który trzyma w lodówce ludzi w kawalkach. Mimo upału nosił błękitną dżinsową koszulę z długim rękawem i takie same spodnie w kolorze indygo. Widywałam go wielokrotnie na mojej ulicy. Tego dnia kręcił się obok placu zabaw.

Przyniosłam do kuchni starą lornetkę ojca — jedną z niewielu należących do niego rzeczy (oprócz niej zostawił kilka za małych koszul, popsute radio, a z czasów, kiedy był myśliwym, tuzin wypchanych zwierząt i swoje dwa największe trofea: matkę i mnie).

„Dżinsowy” psychopata, oglądany w powiększeniu, miał na oko czterdziestkę, ale sprawiał wrażenie maminsynka: pulchne policzki, zero zarostu, fryzura z hitlerowskim przedziałkiem, druciane okulary i wodniste oczka. Był spokojny, przeraźliwie spokojny, przypominał ocean przed sztormem. „Może jest duchem” — pomyślałam, odkładając lornetkę, i zabrałam się za szykowanie śniadania.

Było południe. Matka w pracy wypruwała sobie dla mnie żyły — tak zwykła mawiać. Ja przez całe wakacje snułam się po domu niczym zjawa. Wieczorami wychodziłam do klubu z Joanną, która od czasu naszej rozmowy w szkolnej łazience uważała mnie za ciekawe dziwadło.

— To ta zakonnica, o której tyle wam mówiłam. — Puszczala oko, przedstawiając mnie swoim znajomym.

Dla nich byłam sensacją sezonu. Przyglądali mi się z natrętną ciekawością, a ja czułam się trochę dumna, ale bardziej zawstydzona. Tak musi czuć się lew skaczący przez płonące obręcze albo cyrkowy niedźwiadek tańczący przy dźwięku werbli, kiedy widzowie wstrzymują oddech, a potem krzyczą: „brawo!” i „bis!”.

Czasami, późno w nocy, po powrocie z klubu, stawałam nad łóżkiem matki. Obserwowałam cienie przesuwające się po jej zwiędłej twarzy, kiedy uliczne latarnie to zapalały się, to znowu gasły. Matka przez sen zgrzytała zębami (tak robią ludzie, którzy mają robaki). Otóż w owe parne letnie noce oczami wyobraźni widziałam, jak to robię — biorę ostry nóż, rozpruwam jej brzuch i chowam się w nią z powrotem. I nigdy, przenigdy się nie urodzę.

Niestety, facet w dżinsie nie był duchem. Tego wieczoru czekał na mnie przed blokiem. Śliniąc się i gestykulując, próbował wcisnąć mi w ręce święte obrazki.

— Bierz, powiadam, bierz z tego, dziewczeczko, to jest diabeł w koronie, a imię jego Jezus.

Ale ty nie jesteś taka jak tamte, suki rozpasane, malowane kurwy, zaprawdę, ty jesteś czysta. — Mówiąc to, dźgnął mnie w ramię szponiastym, brudnym paznokciem wskazującego palca.

Matka zawsze mi powtarzała, że wariatom trzeba przytakiwać, więc powiedziałam, że pewnie, że jestem, ale teraz muszę już iść.

— Bo tamte... — Machnął ręką w bliżej nieokreśloną stronę. — ...tamte to wszystko dziwki. Matka moja dziwka i siostra też dziwka. Kobiety to suki, ciągle się łajdaczą, ale ty, święta dziewczeczko, jesteś inna.

Przez kilka kolejnych dni zaczął się na mnie jak snajper. Próbowалаm go wymijać, uważając, żeby nie opryskał mnie śliną, która przy każdym słowie wytryskiwała z jego ust, jakby był małą fontanną.

Trzeba przyznać, że dręczona przez wizje rozkładu i katastroficzne sny, z ubraniami w kilku warstwach piętzącymi się na mnie mimo upału, byłam może nieco ekscentryczna, ba, nawet dziwaczna, jednak w porównaniu z „Dzinsowym” wydałam się sobie zupełnie normalna.

Na wszelki wypadek poszłam na policję. Funkcjonariuszy było dwóch: jeden spasiony, drugi z wąsem.

— Ten mężczyzna pani groził?

— Grozić nie groził, ale bełkocze i wszędzie za mną chodzi.

Nie bardzo mogłam się skupić, bo ze ściany mrugały na mnie rozebrane kobiety z wielkimi cyckami. Naprawdę wielkimi. W formacie jeden do dwóch. Kobiety też były dwie, na ten rok i na zeszły.

— Czy on w ogóle coś pani zrobił? Napastował albo pobił? — spytał wąsaty.

— Raz złapał mnie za pośladek.

— Pośladek? To stanowczo za mało. Proszę się zgłosić, jak już coś zrobi — pouczył mnie spasiony i odprowadził do drzwi.

Zastanawiałam się, czy gdyby chodziło o jego córkę, uważałby tak samo.

Na korytarzu dwóch policjantów paliło papierosy.

— I o co tyle krzyku? Że ją zdeflorował? Przynajmniej ma to dziewczucha za sobą — powiedział pierwszy, drugi pokiwał głową.

Zgasili niedopałki i otworzyli jedne z szeregu drzwi, identycznie nijakich. W głębi pokoju, do którego weszli, dostrzegłam drobną dziewczęcą twarz, całą w siniakach. Wyglądała na szesnaście, może siedemnaście lat. Na widok mężczyzn poruszyła się niespokojnie — zdobycz złapana w pułapkę. Drzwi zamknęły się ciszej niż wieko trumny, a ja po prostu tam stałam. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam przestać płakać.

„Tylko dlatego, że jestem kobietą, muszę rozkładać nogi dla ciebie i dla twojego ojca, i dla twojego przyjaciela? Jeśli noszę obcisłą sukienkę, maluję usta czerwoną szminką, tylko dlatego możesz nazwać mnie dziwką?” — pytałam samą siebie. „Tak, dziecko, dlatego” — odpowiedziałby świat, gdyby świat w ogóle to obchodziło. Ale świat był zajęty kolejnym obrotem, razem z którym kwiaty, złaknione światła, obracały delikatne kielichy ku słońcu, obracały się głowy mężczyzn, kiedy dziewczyny w sukienkach z organzy szły ulicą, kołysząc biodrami (błogosławione niech będą ich biodra), zmarli obracali się w proch w swoich grobowcach, w cichych termitierach — obracało się wszystko i wszyscy, ja też.

Jeszcze tego samego dnia „Dzinsowy” zażądał ode mnie butów; uważał je za coś w rodzaju relikwii. Uratował mnie przypadkowy autobus, który akurat zatrzymał się na przystanku i do którego, niewiele myśląc, wsiadłam.

Przez kilka następnych tygodni miałam spokój. Facet w dzinsie zniknął z horyzontu, dosłownie wyparował jak ciało oblane kwasem. Do czasu...

Którejś niedzieli jechałam do klubu, na spotkanie z Joanną. Wsiadłam z tramwaju

i ruszyłam ścieżką biegnącą wzdłuż parku. Kolonie chitynowych chrząszczy krążyły wokół drzew, tworząc ruchome, brzęczące korony. Zapadał zmierzch. Z oddali dolatywały dźwięki transowej muzyki — znak, że byłam coraz bliżej.

Nagle poczułam szarpnięcie. Z początku sądziłam, że potknęłam się, lecę do tyłu i za chwilę upadnę, ale nie upadłam. Kiedy dotarło do mnie, że ktoś trzyma mnie za szyję, próbowałam krzyknąć.

— Poczekaj, dziwko, wyrucham cię na cacy — dyszał mężczyzna tuż przy moim uchu, zatykając mi usta rękawem śmierdzącej dzinsowej koszuli. — Matka Boska Kurewska teraz ci nie pomoże.

Zrozumiałam, kto to taki, i że — mówiąc krótko — jest już po mnie.

W następnej chwili zostaliśmy otoczeni; otoczyły nas pnie brzóz — białe, strzeliste kolumny — a on ciągnął mnie między nimi, jakbym była kukłą ze słomy, marzanną, jaką topi się na wiosnę w stawie; jakbym nie ważyła nic, wcale. Próbując się bronić, obcasami butów rozrywałam trawę, aż jeden z pantofelków zsunął się z mojej stopy. To zabawne, co myśli się w takich chwilach; ja pomyślałam, że jestem Kopciuszkiem — uciekam z balu, zanim karetą zamieni się w dynię.

Kątem oka zobaczyłam jeszcze dwóch mężczyzn. Byli nago. Biegli ku mnie z głębi parku. Ich obwisłe przyrodzenia dyndały niczym serca dzwonów. „Więc już jestem trupem” — przeszło mi przez głowę.

Musiałam zemdleć, ponieważ następną rzeczą, jaką pamiętam, był czubek buta tuż przy mojej twarzy — czarny aksamitny pantofelek z błękitnym kwiatkiem, ten z pogrzebu babki. Zdobiący go kwiat był wymięty i oblepiony ziemią, mimo to na jego widok nieomal rozplakałam się ze szczęścia. Ten zwyczajny damski bucik był z pewnością kawałkiem materii, a skoro nadal istniała materia, to znaczy, że wcale nie poszłam do piekła.

Gdzie zatem byłam, jeśli nie w piekle? Leżałam na tylnym siedzeniu samochodu, z pantofelkiem pod głową. W powietrzu unosił się zapach cytrynowego odświeżacza i orientalnej wody kolońskiej (piżmo, wetiwer, drzewo sandałowe). Nie miałam pojęcia, jak się tu znalazłam. Podniosłam się z trudem. Mimo wielu warstw ubrań każde miejsce na moim ciele było małym krwiakiem. Wyjrzałam przez okno. Samochód stał przed klubem. Moje oczy raził błękitny neon, to zapalając się, to gasnąc. Wystarczyło wysiąść i udawać, że nic się nie stało, ale nie czułam się na siłach, by spotkać się z kimkolwiek, nawet z Joanną.

— W porządku? — zapytał kierowca, odwracając głowę. — Jesteś bezpieczna. Odwiozę cię do domu.

Krzyknęłam z wrażenia — tak mnie przestraszył (myślałam, że jestem tam sama, słowo daję). Przyjrzałam mu się uważnie. Był to jeden z tych golasów z parku, z tym że teraz był raczej w ubraniu. Z uczuciem ulgi podałam mu adres.

— Dziewczyno, ale jazda. Przyjaraliśmy z kumplem i tak nam gandzia poszła w czachę, że postanowiliśmy poganiać po parku, bliżej natury, te sprawy. Kumpel spietrał, kiedy zasłabłaś. A o tamtym fajfusie możesz zapomnieć, będą go chyba musieli poskładać. — Przyjrzał mi się w lusterku. Milczałam. — No nie mów mi tylko, że mam cię zawieźć na komisariat!

Wydałam z siebie jęk, coś jak krzyk pustułki, więc dał mi spokój. Odezwał się dopiero pod moim blokiem.

— Wygląda na to, że jesteśmy na miejscu. Dziewczyno, wszystko w porządku?

Nic nie było w porządku. Czułam się brudna. Z trudem wysiadłam z auta, jakby moje ciało wcale nie należało do mnie. Miałam problemy ze złapaniem równowagi z jedną nogą w bucie, drugą bosą. Musiałam wrócić po pantofel i torbę.

— Dziękuję — powiedziałam, a właściwie zatrzeszczałam, jak robią to czasem stare szafy

w domach pełnych wilgoci, bo przyszło mi do głowy, że powinnam golasowi podziękować. Chciałam zrobić to jakoś wylewniej i nawet próbowałam, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

— Luzik, dziewczyno. Wiem jak jest. Mam siostrę.

Tej nocy bałam się zasnąć. Przełączając kanały, przypadkiem natrafiłam na film porno (prawda, że wszyscy oglądamy je tylko przypadkiem?). Film nosił tytuł „Blue Lips Dolly”. Na ekranie wiła się w spazmach rachityczna piękność w ostrym makijażu, z silikonowym biustem i ustami pociągniętymi błękitną szminką. Przez ten makijaż przypominała królową Nefretete.

Do dziś, kiedy myślę o wydarzeniach tamtego lata, zamykam oczy i widzę jej twarz.

Fabula jak zawsze — od przodu, od tyłu, od przodu, potem seks grupowy. W ostatnim kadrze Dolly podnosi się z łóżka ruchem leniwej kotki. W oczach ma coś, co przypomina wodospad, ale ja wiem, że to jest śmierć. Wygląda jak odbicie alabastrowej katedry z małą katedrą wewnątrz i jeszcze jedną, i jeszcze. Nigdy nie zdołasz się wydostać.

Jak w tych snach, w których przechodzisz z pokoju do pokoju, wierząc, że tam będzie wyjście, ale za każdymi drzwiami jest następny pokój.

Film dobiega końca. Ekran staje się czarny. A ona idzie ku mnie, Dolly Niebieskousta. I raz, i dwa. I raz, i dwa. Rozchyła wargi i wszystko połyka.

4. Czyje róże z prosektorium?

Wysłali mnie po więcej zab.

Protestowaliśmy, kiedy na początku pierwszego semestru kazano nam kroić zwierzęta. Rektor był nieugięty. Przyglądał nam się z niechęcią, co ja mówię, z dziką wściekłością. Na jego szyi ktoś powinien zawiesić tabliczkę z napisem: „Uwaga, zły pies”. Myślałam, że lada chwila zacznie toczyć pianę z ust, a potem po kolei rzuci się nam do gardeł, ale nic takiego się nie stało; zamiast tego uderzył pięścią w blat biurka, sekretarka wymownym gestem wskazała nam drzwi i było po wszystkim.

Tak więc my, studenci psychologii, humaniści, musieliśmy raz w tygodniu odrywać się od teoretycznych rozważań Masłowa i Junga. Zaopatrzeni w kitle i gumowe rękawiczki wyruszyliśmy do tej części miasta, gdzie mieścił się zakład neurofizjologii.

— Dobrze ci to robi — sucho stwierdziła matka.

Wyznawała prostą życiową zasadę — co nas nie zabija, to nas wzmacnia. Tyle że to nieprawda — to nas zabija na raty.

Prowadzący zajęcia docent miał urok ameby. Pierwszego dnia, przechadzając się pomiędzy lśniącymi jak klejnot blatami, opowiadał nam o zakładzie. Jego głos naśladował trzeszczenie podłogi.

— Nie odławiamy zwierząt z wolności, nie ma takiej potrzeby, kochani, mnożą się u nas jak oszalale. A co najważniejsze, najmilsi, zabijamy humanitarnie.

Wierzyłam mu do dnia, w którym skończyły nam się żaby.

Docent wytłumaczył mi drogę do podziemi — tam trzymano materiał do badań. Korytarz, którym szłam, wypełniały potępięcze odgłosy. Mijałam sale pełne klatek; myszy, króliki, psy, koty — dziesiątki par błyszczących oczu. Miałam wrażenie, że występuję w kiepskim horrorze. Z gęsią skórką i burzą w żołądku trafiłam wreszcie do pokoju asystentki docenta. Wyglądała jak Budda, ale nie ten z czasów ascetycznej młodości. Była bardzo zajęta: poprawiała świeżą trwałą przed lustrem; włosy sterczały jej na wszystkie strony. Na ścianach wisiały zdjęcia zwierzątek, wycięte z kolorowych czasopism: kociaki z kokardami na szyjach, wyżeł medalista na wystawowym podium, pies wielkości kucyka — największy spośród dogów.

— Czego chcesz? — warknęła grubaska.

Wytłumaczyłam, po co przyszłam.

— Moglibyście oszczędzać te żaby — westchnęła, gapiąc się w lustro. — Padają mi tu jak muchy. Znowu będę musiała nałapać świeżutkich.

Pośliniła dłoń i poprawiła odstające pasmo włosów, tuż nad czołem. Wreszcie spojrzała na mnie z niechęcią.

— No i co tak stoisz? Chodźmy! Załatwimy jedną małą rzecz po drodze.

I zaprowadziła mnie do pokoju, w którym student biologii pastwił się nad kotem.

Właśnie dobiegał końca zabieg trwający od sześciu godzin. Głowę uśpionego zwierzęcia umieszczono w imadle w celu dość makabrycznym: zamontowano na niej cokół, czyli kaniule i elektrody; przypominało to komputerowe gniazdko.

Miałam czas, żeby obejrzeć sobie to wszystko z bliska, bo grubaska wdała się w ożywioną rozmowę z tym studentem-sadystą.

— Szkoda, że schroniska nie chcą oddawać zwierząt tak chętnie, jak dawniej. — W którymś momencie do moich uszu dobiegło jej narzekanie; nie żebym od razu podsłuchiwała. — Wszyscy kochamy naszych milusińskich przyjaciół, a ja to już najbardziej, ale bez przesady, musimy przecież mieć materiał do badań.

Student nie wiedział, jak radzą sobie inni; on sam kupował koty od rolników; jeden mruczek kosztował u nich pół litra czystej.

— No coś takiego! Zrujnują nam zakład! — oburzyła się grubaska.

Jak dowiedziałam się dużo później, kot z cokołem żyje od pół roku do dwóch lat. To znaczy, o ile wytrzyma. A jeśli nawet wytrzyma, po zakończeniu cyklu doświadczeń czeka na niego słoik z formaliną. Właściwie to tylko na mózg. Reszta łąduje w śmietniku.

Jeden student biologii, piszący pracę magisterską z fizjologii zwierząt, zużywa od dwunastu do dwudziestu kotów. Ten tutaj był już bardzo zmęczony. Czoło zroszone miał potem, a na kitlu pod pachami widać było duże żółte plamy. Przez chwilę jeszcze o czymś szczebiotał z grubaską, ale nie mogłam skupić się na tym, co mówili — widziałam tylko tego kota. Był lśniący i czarny, prawdziwy pechowiec. Z cokołem na głowie wyglądał jak koci królewicz w małej koronie.

— W tej klasie badań wystarczyłby szczur. — Na koniec ku niezadowoleniu grubaski student-sadysta nieoczekiwanie zwrócił się do mnie, a brzmiało to jakby za coś przeproszał. — Sęk w tym, że z kotem jest o wiele wygodniej. Po prostu ma dużą głowę.

A potem ruszyliśmy dalej, przez labirynt korytarzy. Po drodze minęliśmy salę zwaną ptaszarnią. Ptaszarnia była pusta, tylko gdzieś w kącie wały się pióra. Zapytałam, po co im sala z piórami.

— Kiedy cały rok zalicza sekcję, zużywa się naraz czterdzieści pięć ptaków — łaskawie wyjaśniła grubaska. — Wiadomo, tak nie powinno być, ale zakład oszczędza jak może, dlatego jeden gołąb przypada na dwie osoby.

Korytarz wił się zwyczajem węży w prawo, w lewo, znowu w prawo, aż wreszcie zaprowadził nas do przeszklonej sali przypominającej olbrzymie terrarium. Czerwone lampy rzucały mdłe światło. Na stole, taboretach, nawet na podłodze stały głębokie naczynia pełne mętnej wody. Do tego kilka rachitycznych roślin, trochę kamieni i piasku. Ani śladu żab.

— Zaczynaj! — Grubaska wskazała palcem na jedno z naczyń, więc z wahaniem zanurzyłam w nim ręce.

Na próżno. Tutejsza woda przypominała Morze Martwe, które właściwie jest jeziorem. Ciecz sprawiała wrażenie mlecznej; była tak mętna, że nie mogłam w niej dostrzec niczego, nawet konturów moich dłoni. W tamtej chwili musiałam wyglądać jak Wenus z Milo, czyli „facetka bez rąk” — jak zwykła mawiać Joanna. Jakkolwiek wyglądałam, po omacku przeszukałam dno naczynia i po upływie kilku minut wyciągnęłam dwa kamyki — jeden pomarańczowy,

a właściwie czerwony od tych lamp w górze, drugi czarny, w układające się symetrycznie ciemnoczerwone plamki. Poza tym znalazłam trochę mokrego piasku i zardzewiały kapsel.

Asystentka nie kryła rozczarowania:

— Trzeba zawołać kogoś do pomocy. Zdaje się, że o tej porze mają tu u nas zajęcia chłopcy z medycyny.

Odwróciła się na pięcie i już była za drzwiami. Bałam się, że nigdy nie wróci. Chodziłam nerwowo z miejsca na miejsce. Miałam wrażenie, że coś mi pełźnie po nogach, jakaś wilgotna, lepka rzecz — nic przyjemnego. Zdawało mi się, że maszeruje przede mną parada ropuch i każda ma twarz asystentki.

Wróciła. Niosła duży słoik. Za nią wszedł chłopak. Wyglądał jak anioł. Poczulałam, jak uginają się pode mną nogi.

— Tego psa to pan sobie innym razem pokroi — mówiła do niego lukrowanym głosem. — Sam pan widzi, taka bidula w życiu sobie z tym nie poradzi. Aż strach pomyśleć, drogi chłopcze, kogo oni przyjmują na tę psychologię? — Trzepocząc rzęsami, kokietowała go na całego. Potem zwróciła się do mnie, cedząc sylaby, jakby mówiła do upośledzonej: — A ty, jak będziesz już miała pełen słoik, wrócisz do mnie do pokoju. Trafisz, dziecko?

Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, ale ten chłopiec był po prostu piękny. Gdyby miał cenę, kupiłabym go, zamknęła w klatce, zносиła mirrę, kadzidło i złoto, wszystkie dary należne bogom, a potem patrzyła, jak dzień po dniu umiera w nim uroda, jak więdnie i ginie. O tak, patrzyłabym cierpliwie. Ponieważ nienawidzę piękna. Zaprawdę, piękno jest nie do zniesienia. Słońce, którego nie dosięgnę, horyzont, którego nie dogonię, doskonale miękki deszcz, którego nie zdołam złapać, choćbym na wzór hinduskich bóstw miała wiele rąk. Dlatego na widok tego chłopca miałam ochotę roztrzaskać mu głowę, ale być może wtedy byłoby jeszcze gorzej.

Jackie Kennedy opowiadała, że kiedy usłyszała strzały, spojrzała na JFK i zobaczyła jego otwartą czaszkę, a wewnątrz mózg, ten różowy, mięsisty kwiat (JFK już nie żył), i że było w tym piękno, tak wiele piękna. Dobrze rozumiem Jackie. Piękno prześladowało mnie, odkąd pamiętam. Było dosłownie wszędzie, nawet tam, gdzie inni zdawali się go nie dostrzegać: w wybitych zębach (ach, jak one lśniły), w krzywych kręgosłupach starych garbatych kobiet, zgiętych pod własnym ciężarem niczym łądygi ciężkie od plonu, w otwartych głodem ustach żebraków (tak, nawet tam), w ścierwie mojego pękniętego kota, kiedy śmierć rosła i rosła, a nade wszystko w ziemi na wieki wieków ruchomej, zdawałoby się rozmnożonej od migoczących w słońcu nitek robactwa, amen.

Albo wczoraj, kiedy wyszłam przed dom i poruszany wiatrem ogród to oddalał się, to powracał leniwą falą, duszny od woni krzewu dzikiej róży, ciężkiego od kwiatów (czy znacie te kwiaty, delikatne i gładkie jak małe, różowe filiżanki?), a powietrze oblekło się w koralowy całun, bo oto słońce spadało. To mógł być poród, to mógł być pożar lasu (co łączy porody i pożary? jedno i drugie są czerwone, trwają godzinami). Z nadmiaru piękna czułam się oszołomiona, wprost odurzona. Przypominało to uczucie utraty równowagi, połączone niekiedy z wrażeniem wirowania otaczających mnie przedmiotów. Na domiar złego wczoraj o zmierzchu owo wrażenie było wszechogarniające i tak potężne, że przez chwilę nie mogłam zaczerpnąć oddechu. Nie wiem jak wam, ale mnie zdarza się to nader często.

Nie byłam odosobniona z tą moją obsesją. Byli tacy, na których piękno działało jeszcze gorzej. Na przykład pewien kanibal pochodzący z Japonii — miły, nieśmiały chłopiec zamieszkały w Londynie — pewnego dnia zabił i zjadł swoją dziewczynę. Zrobił to na surowo, w dodatku z miłości.

— Miko, och, moja Miko. Była pełna światła — powiedział któregoś wieczoru, uśmiechając

się do mnie z ekranu telewizora. — Żyliśmy obok siebie, oddzieleni ciałami, skórą, tym wszystkim, co zawsze oddziela. Była zbyt piękna, żebym mógł to wytrzymać. W chwilach fizycznego zespolenia jej osobność sprawiała mi niewysłowny ból. Zrozumcie, to przecież zupełnie normalne, że chciałem zatrzymać Miko na zawsze.

Mówił w języku, który rozumiałam; nie wiecie nawet jak bardzo. Ten kanibal był dla mnie przestrogą — nie należy przesadzać z tą całą miłością. Ja nie zamierzałam nikogo pożreć.

Tak więc w czerwonym pokoju, w towarzystwie tuzina Martwych Mórz uwięzionych w plastikowych naczyniach, kątem oka obserwowałam pięknego chłopca i drżałam z niepokoju, świadoma żyjącego we mnie drapieżcy, który przez lata pozostawał w uśpieniu, a teraz szykował się do morderczego skoku. Ten drapieżca mógł w jednej chwili pożreć moje serce, chłopca i cały ten pokój też.

Chłopiec niczego nie zauważył. Bez cienia obawy pokazał mi, jak łapać żaby. Zanim słoik był pełen, zdążyliśmy porozmawiać o Freudzie i Bogu.

— Obaj byli Żydami, wiedziałaś? — spytał na koniec, zakręcając wieczko.

— O Zygmuncie tak, ale wytłumacz mi, o co chodzi z Bogiem.

— To proste, Maryja była Żydówką, więc Jezus w połowie był Żydem. A naziści — pomyśl, dziewczyno — to dopiero banda idiotów, modlili się do niego, żeby pobłogosławił Holocaust.

I wtedy to się stało — drapieżca we mnie zamarł w bezruchu i ja zamarłam z wrażenia, kiedy chłopiec po raz pierwszy przyjrzał mi się uważnie. Przyjrzał? Co ja mówię?! Zlustrował mnie centymetr po centymetrze od stóp do głowy, a potem na boki i po skosie.

— Daj mi swój numer — powiedział na koniec. — Jak będziesz grzeczna, zabiorę cię gdzieś na randkę.

Niestety, z tą całą grzecznością od dziecka miałam problem. Chcecie przykładu?

„Bądź dobrą dziewczynką, pocałuj wujka” — mówiła babka przy okazji cotygodniowych rodzinnych wizyt; popychała mnie przy tym w stronę zgrzybiałego starca (bo mój wujek był starcem i miał lat czterdzieści), wokół którego unosił się zapach zepsutego sera, budzący we mnie grozę większą, niż musiał budzić napalm w sercach Wietnamczyków w ich małych, ślicznych wietnamskich wioskach.

Wcale nie byłam dobra. Kopałam wujka w kostkę i uciekałam z pokoju, pozostawiając na progu zdumioną babkę w charakterze żony Lota.

Było więcej niż pewne, że „żabi chłopiec” za kilkanaście lat też stanie się czymś wujkiem, postrachem małych dziewczynek, któremu z uszu i nosa będą wyrastać włosy (w dzieciństwie nie wiedziałam, że ludzie stają się starzy, myślałam, że wujek taki się urodził). Ale na razie ów chłopiec był bardzo pewny siebie, tak jak wszyscy, o których od dziecka mówiono: „Spójrz, jaki on piękny”. Jasne, że piękny; tylko stać i klaskać.

Istna plaga, ci chrześcijańscy chłopcy o doskonałych uśmiechach na doskonałych twarzach, i każdy sądzi, że jest półbogiem, bo umie doprowadzić dziewczynę do orgazmu.

Ten tutaj próbował mnie pocałować, ale odwróciłam głowę. Zabrałam słoik i wyszłam bez słowa. W słoiku wierciły się żaby. W moim brzuchu — tysiąc motyli. Miały skrzydła w kolorze indygo, z pawim oczkiem wielkości piłki. Żałowałam, że nie miałam na powiekach cienia zrobionego z ich pyłku. Że nie miałam szminki, różu, czegokolwiek, żeby się podobać.

Kiedy po raz drugi tego dnia weszłam do pokoju asystentów, grubaska rozmawiała przez telefon.

— Nic się nie martw, kochanie. Wszystko się ułoży. — Na mój widok kiwnęła palcem, więc podałam jej słoik. Klinując słuchawkę między ramieniem a policzkiem, rozmawiała dalej, odkręcając wieczko. — Ktoś powinien się o ciebie zatroszczyć. Nic nie zastąpi kobiecej ręki.

Z trudem wyciągnęła żabę za wierzgającą nogę, ponieważ żaba wcale nie chciała zostać

wyciągnięta. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy po pierwszym uderzeniu o kant biurka zaczęła wrzeszczeć. Przeszła po drugim. Po trzecim szeroko rozdziawiła pyszczek. Najwyraźniej właśnie o to chodziło grubasce, bo zostawiła ją w spokoju i zabrała się za następną żabę. Układała je jedna obok drugiej i kiedy tak leżały — wiotkie, oszołomione, z otwartymi pyskami — przypominały kiszzone ogórki o pokrytych brodawkami skórkach.

— Co powiesz na to? — mruzczała grubaska. — Wpadnę do ciebie po pracy, ugotuję obiadek, rosół z kluseczkami, taki jak lubisz. — Zaśmiała się do słuchawki.

Uderzała jeszcze wiele razy. Mówiła bez przerwy; w jej głosie czuć było cipę. Żaby wrzeszczały, ja wpatrywałam się tępo w kolorowe obrazki.

Asystentka odłożyła słuchawkę dokładnie wtedy, gdy słoik był już pusty. Wyglądała na zadowoloną z siebie; pogwizdywała wesoło jak człowiek, któremu coś się udało.

— Żabki, zielone żabki, i co dalej? Ach, całkiem zapomniałam. Trzeba zrobić tak, żeby nie cierpiały.

Wyjęła z szuflady nożyczki i wprawnym ruchem odcięła każdej z żab górną część pyszczka. Potem niektórym wciskała w rdzeń kręgowy zardzewiały drucik. Oszołomione płazy budziły się nagle z apatii i chociaż nie miały kawałka głowy, wierzgały i podskakiwały, ze wszystkich sił próbując się uwolnić.

— Wyglądasz, jakbyś miała się rozplakać. Powinnaś wiedzieć... — skarciła mnie grubaska — to tylko odruch. To tylko żaba.

Końcówką długopisu zmiażdżyła mózgowie w tych odciętych kawałkach — dwie minuty wcześniej każdy z nich był żabią głową — i ten jej długopis zrobił się od tego lepki i czerwony.

— Gotowe — powiedziała. — Teraz na pewno nic ich już nie boli.

Po wszystkim wracałam korytarzem, niosąc żaby pod szczelnie zakręconym wieczkiem. Były nie całkiem żywe i martwe nie całkiem. Przypominały kawałki mięsa w marynacie; podskakiwały z każdym moim krokiem. Wsłuchiwałam się w dobiegający z mijanych sal psi skowyt, myśląc o tym, jak wiele słoików trzeba jeszcze zapełnić. Jak wiele grobów.

— W samą porę — powiedział na mój widok docent. — Czas na trochę praktyki, najmilsi.

Na jego znak założyliśmy kitle i rękawiczki. Potem zgromadzeni wokół blatu patrzyliśmy, jak wyjmuje ze słoika żabę po dekapitacji, rozkrawa oliwkową skórę, spina klamrami fałdy mięśni i wydobywa z głębin pulsujące serce. Spoczęło w jego dłoni jak zimny księżyc.

Zagląдалиśmy w inne żaby, ale wszystkie wyglądały tak samo — muślinowe kwiaty, kwitnące poza swym sezonem. Kroiliśmy, grzebaliśmy w środku, wyjmowaliśmy, co wyjąć się dało. Inne zostawialiśmy w jednym kawałku, przykładaliśmy do chropowatej skóry bibułki nasączone kwasem, a wtedy ciała wierzgały, ukazując naszym oczom *danse macabre* płazów. Jakby wcale nie wiedziały, że są martwe.

— Najmilsi, obserwujcie uważnie. Oto podziwiacie królestwo odruchów w czystej postaci.

W kącie blatu na szkiełku leżało serce pierwszej żaby. Uderzało coraz wolniej. Kurczyło się pozbawionym sensu wysiłkiem, bez krwi, którą mogłoby tłoczyć, bez ciała, w którym rozbrzmiewałoby jak mały dzwon swą sekretną melodią. Pomyślałam, że to serce jest lepsze od nas wszystkich. Poczułam się naprawdę smutna, kiedy po czterdziestu minutach stanęło. Ale to nie był koniec.

— Czas pobawić się w Boga — obwieścił docent, wyjmując z szuflady fiolkę z napisem „Atropina”.

Skropił serce, a ono zaczęło bić, jakby było nowe. Cud, prawdziwy cud! Patrzyłam na pulsujący klejnot, w myślach powtarzając słowa kościelnego hymnu, tak jak je pamiętałam, czyli raczej źle: „Śmierć? Gdzie jest twoja? Gdzie jest jej zwycięstwo?”.

Następnego dnia rano zadzwonił „żabi chłopiec”. Umówiliśmy się zaraz po moich

wykładach. Z ponurą miną czekał przy bramie zakładu.

— Nici z naszej randki. Kumpel nawalił. Bo wiesz, mamy taki układ, że chodzimy na zmianę. Ale, cholera go wie, zakochał się albo zatrul, bez przerwy siedzi w wucecie. Muszę iść na zajęcia, inaczej szlag trafi notatki.

— Jeśli chcesz, mogę pójść z tobą.

— Mówisz poważnie?

Kiwnęłam głową.

— Świetnie. Chodźmy.

Zapomniał dodać, że zabiera mnie na randkę do prosektorium.

Sala była duża i jasna, wyłożona mlecznobiałymi kafelkami. Na regałach pod ścianą stały cylindryczne naczynia i szklane prostopadłościaste wypełnione niegdyś przezroczystym, obecnie mętnym płynem, w którym mózgi dryfowały na wzór żelatynowych meduz. Dziesiątki osobnych oceanów z zamkniętą w nich miniaturową rafą. Wycięte serca w kształcie koralu, tętniaki niby drżące ukwiały, do tego sznurki żył, podobne do cienkich łodyg podwodnych roślin — jednym słowem morze. Martwe. Cierpliwe w błękitnej konstrukcji.

Mieli też słoiki z dziećmi. Ich pomarszczona skóra przypominała powiekę grubej kobiety albo kawałki kurczaka zanurzone w płynnym cieście, a potem rzucone na gorący olej. Najgorsze były te z rozszczepem podniebienia i pępownią okręconą wokół szyi, na kształt małej aureoli. Golaski upchnięte za szkłem jak żółte pikle. Płody pijawkonose i zimne.

Embryony, z których zrobiono mniejsze preparaty, nie wyglądały ludzko. W zależności od stadium przywodziły na myśl jaszczurki (przez te ogony) albo transparentne rybki. Miałam wrażenie, że za chwilę odpłyną.

— Te dzieci nie miały rodziców, czy jak? — dziwiła się dziewczyna o niezdrowej cerze, potrząsając słojem, w którym embrion objął się o szybę. — Za nic bym nie pozwoliła, żeby moje dziecko wsadzili do słoika.

— Faj! Co za paskudztwo — podchwycił student siedzący najdalej. — Wyobraź sobie, stary: *darling* ci zaciąga i nie chce się wyskrobać, no to kupujesz ten cały niemowlęcy badziew, godzisz się z myślą, że będzie z ciebie tata, a tu wyciągają jej z brzucha takiego Frankensteina.

Nie słyszałam, co mówili dalej. Wwieźli przykryte prześcieradłem ciało. Ci na zielono obnażyli je i zaczęli kroić. Studenci pisali, a ja patrzyłam.

To, co działo się później, do złudzenia przypominało happening. Lubię happeningi. Pamiętam taki, w trakcie którego młoda dziewczyna nacinała żyłką swoje ciało. To był protest przeciwko okupacji Tybetu czy coś w tym rodzaju. Z białych przedramion strużkami ściekała krew o antracytowym połysku i barwie tak świeżej, że wprost nie mogłam oderwać od niej oczu. Ilekroć widzę coś takiego, sprawiam wrażenie zahipnotyzowanej. Nie ruszam się z miejsca, nawet nie mrugam, po prostu chłonę ten obraz, jakbym chciała zamknąć go w sobie i przechowywać aż do śmierci.

Leżące na prosektoryjnym stole ciało jeszcze niedawno należało do grubasa. Teraz było niczyje. W dziecięcym przedstawieniu ten mężczyzna z powodzeniem mógłby grać wieloryba. Był siny. Miał niebieskie wargi i język wywalony na wierzch. Oczy jak dwa stalowobłękitne naboje. Nikt mu nie zamknął powiek. Kiedy go kroili, wpatrywał się w lampę zawieszoną na suficie. Patrzył prosto w światło. Zastanawiałam się, co też tam widzi.

Przypominał mojego ojca, ale nie byłam pewna. Widywałam go tylko na zdjęciach.

Ci na zielono uwijali się nad nim. Ostre przedmioty błyskały w ich rękach.

— Nigdy nie widziałem równie owłosionego krocza — zdziwił się jeden z profesorów. Nawet zrobił zdjęcie.

Po pierwszym cięciu naszym oczom ukazał się białozółty tłuszcz, nic więcej; dopiero po

drugim — dużo głębszym — z brzucha trupa wysypało się różowe confetti.

Nie sądziłam, że w tak krótkim czasie można z człowieka wydobyć wszystko, jak na torturach. Tyle że to nie były tortury. Patroszyli go pierwsza klasa. Wymawiali przy tym łacińskie nazwy: *jejunum et ileum*, *corpus ventriculi*, zupełnie jakby celebrowali mszę. A on po prostu leżał tam, milcząc. Błękitny kwiat pośród nas, innych kwiatów. Nie mrugał nawet. Nie oddychał. Pozwalał, by kradli z niego cały muślin. I pomyślałam, że kiedy żył, musiał być trochę kupcem bławatnym, a trochę plantatorem. Sprzedawał różowe bele arabskiego jedwabiu, uprawiał też maki, pola maków. I że po śmierci robi to samo.

W powietrzu unosił się trupi smród. Kilku studentów wyszło w trakcie sekcji. Dziewczyna z brzydką cerą omal nie zemdląca. Wyprowadzili ją z sali, śniętą i bladą. Chłopiec nie mógł robić notatek — bez przerwy gapił się na mnie. Ja czułam się smutna i mniej więcej martwa. Żałowałam, że nie mam ze sobą atropiny. Całego morza atropiny dla wieloryba na blacie, żeby wprawiła w ruch jego ciche serce.

Przypomniały mi się słowa, które od pogrzebu babki powtarzałam w myślach jak mantrę: „To wszystko jest sen, a kiedy się obudzisz, obudzisz się na dnie Martwego Morza i nikt nie przyjdzie cię uratować”.

Po wszystkich profesorowie uklonili się, jak aktorzy w kukielkowym teatrze, kiedy już skończą pociągać za sznurki. Nie byłam pewna, czy mam bić im brawo. Student starszego roku zaszył trupa czarną nitką. Wprawnymi ruchami kładł fastrygę, jak moja matka, kiedy faszkuje wydrażoną rybę, aż ta ostatecznie robi się dwa razy grubsza niż była. Ale mężczyzna pozostał pusty; futerał, z którego wyjęto instrument.

— Ufff... ale spasione żabsko nam się przytrafiło — żartował chłopiec, kiedy szliśmy do wyjścia.

Na korytarzu stały w wiadrze róże Blue Moon i dalie o długich łodygach.

— To kwiaty dla umarłych... — Wręczył mi ułamaną główkę błękitnej róży. — ...więc równie dobrze możemy je zatrzymać.

Uparł się, że odprowadzi mnie na przystanek, ale nie chciałam.

— Kiedy cię znów zobaczę? — spytał.

— Zadzwoń — odpowiedziałam.

— A wiesz, co mówią do siebie syjamskie bliźnięta w słoiku z formaliną: „W co się teraz pobawimy? W zapasy”.

Poczekalam, aż zniknie za zakrętem i wyrzuciłam różę do śmietnika.

Dzwonił wiele razy. Nigdy nie odebrałam.

Złożyłam podanie u rektora. Powołałam się na wolność wyznania. „Jestem buddystką — napisałam — moja wiara zabrania krzywdzenia wszelkich stworzeń”. To nie była prawda, chociaż po owej fatalnej randce czułam się obojętna wobec spraw tego świata, jakbym faktycznie była buddystką.

Tego wieczoru, po powrocie z prosektorium, nie mogłam zasnąć, a kiedy wreszcie zasnęłam, przyśniłam się sobie, błękitna i martwa. Wyglądałam jak ktoś, kogo dawno temu znałam. W sali wyłożonej białymi kafelkami właściwie nie byłam już ludzka. Nie bardzo.

Nade mną w mlecznych kłoszach lamp niczym fosforyzująca ciecz wrzało światło. Z moich dłoni i stóp wyrastały kwiaty: róże Blue Moon, dropiate orchidee, chabry o charakterystycznych w kształcie płatkach, maki w kolorze tętniczej krwi. I wtedy, w tym śnie, zrozumiałam, że wszystko w porządku, że też jestem kwiatem, kiedy tak leżę z otwartym brzuchem, cicha, na wieki wieków bławatna.

5. Uwaga, uwaga, zły wilk powraca!

Tego mężczyznę gdzieś już widziałam. Oto stał przed moimi drzwiami, ściskając w jednej

dłoni niebieski prochowiec, w drugiej czerwone tulipany zawinięte w na wpół prześwitujący, podobny do kalki papier; nie mogłam nie zauważyć, że te jego dłonie były okropnie owłosione, wręcz nieprawdopodobnie. W znoszonym garniturze o zapachu nafty, z filcowymi łatami na łokciach i kolanach, wyglądał na żebraka, no w najlepszym razie na domokrażnego sprzedawcę kwiatów. To znaczy wyglądałby tak, gdyby nie nadwaga.

Wchodząc po schodach, obcy mężczyzna okropnie się zasapał; wypuszczał powietrze ze świstem, a ja patrzyłam to na jego czerwoną z wysiłku twarz, to na porośnięty kępkami włosów pępek wystający spomiędzy brzegów poźółklej, za ciasnej koszuli — brakowało w niej guzika albo dwóch.

— W czym mogę panu pomóc? — wreszcie spytałam.

— Nie poznajesz mnie, aniołku? To ja, tatuś.

— Ach tak? — To było wszystko, co powiedziałam.

Z początku myślałam, że to trup, którego kroili pewnego dnia w prosektorium — powrócił do żywych i wpadł z wizytą. Ale to był naprawdę on — ojciec.

Matka była wściekła, z tej wściekłości wręcz blada. W tym miejscu powinnam chyba wyjaśnić, że w moim języku „matka” to znaczy „dwie tony śniegu” i „nigdy już nie spać”. No więc matka wrzeszczała tak głośno, aż zbudziła dziecko sąsiadów (ono jedno miało rację, że zaczęło płakać); ojciec, paradny w tym swoim prastarym garniturze, czekał w przedpokoju, pocąc się niemiłosiernie; ja nagle poczułam się zbędna w tym układzie („trzeci tancerz w tangu” albo coś takiego, a przynajmniej mniej więcej) i udając, że wcale mnie nie ma, patrzyłam przez okno na śnieg, który nie chciał przestać padać.

— Przyjeżdża taki i w biały dzień dzwoni porządnym ludziom do drzwi, jak gdyby nic się nie stało. Na dodatek te kwiaty. Dobrze wie, że nie znoszę tulipanów — utyskiwała matka; nie najlepiej zniosła powrót marnotrawnego ojca.

Czerwone kule leżały na stole. Przypominały małych drapiezców, powiedzmy: lisy z trudem oddychające przez szeleszczący papier. Albo tuzin noworodków. Czułam, że są głodne. Ale przede wszystkim te nieszczęsne tulipany przywodziły na myśl rany broczące czerwienią spod sterylnych bawełnianych zasłon, kiedy człowiek na sali operacyjnej za dotknięciem chirurgów zamienia się w samo ciało.

Jeszcze jedno powinnam wyjaśnić — mój stosunek do ojca był więcej niż dziwaczny. W dzieciństwie uwierzyłam, że tatuś jest złym wilkiem.

To zaczęło się w dniu, w którym — po raz pierwszy i ostatni — zabrał mnie ze sobą na polowanie. Pojechaliśmy, o dziwo, sami, bez matki. Ojciec mówił, że tak będzie lepiej, ponieważ musi mi coś wyjaśnić.

Kiedy myślę o tym teraz, po tylu latach, widzę jasno, że tamten wyjazd stał się początkiem końca mojego świata.

Oczywiście nie wiedziałam o tym wtedy, gdy, przebijając się przez śnieżne zasy, dojechaliśmy do domku za miastem. Była to niedziela przed Bożym Narodzeniem. Wigilijne polowanie, zgodnie z tradycją zaczęło się od mszy polowej. Duszpasterz — wcześniej nie miałam pojęcia, że myśliwi mają swoich duszpasterzy — na prawo i lewo rozdzielał kapłańskie błogosławieństwo.

— Do obowiązków myśliwego należy hodowla i ochrona zwierząt — tak mówił.

— Polowanie jest tylko pewnego rodzaju satysfakcją wieńczącą cały ten trud, bracia. A teraz pomódlmy się do świętego Huberta, naszego patrona, niechaj nas wspiera. — A potem modlił się, oj, modlił, i to jeszcze jak!

Myśliwi złożyli sobie życzenia, dzieląc się opłatkiem. I ja się z nimi dzieliłam, i życzyłam im wszystkiego najlepszego, a potem szłam w nagonce, uderzając kijem w drzewa pokryte korą

i koronką szronu, wołając „a-a-a” i „hejże hej”. Gdzieś w oddali ze srebrnej fuzji strzelał mój tata. Sądziłam, że to świetna zabawa.

Wreszcie wszystko ucichło. Las sprawiał wrażenie wymarłej ziemi. Razem z resztą nagonki wyszłam na polanę nieopodal młodnika. Dopiero tam dotarło do mnie, że to nie polowanie tutaj urządzamy — urządzamy tutaj jedną wielką rzeźnię.

Właśnie kończono uroczysty pokot, układając zabite zwierzęta według hierarchii. Rano, na mszy, ksiądz mówił o tym, że w noc wigilijną, o północy, zwierzęta przemówią ludzkim głosem. Jeśli miał na myśli także te tutaj, to znak, że naprawdę wierzył w cuda.

Truchła dzików i zajęcy leżały na śniegu w karminowych, parujących kałużach, podczas gdy ludzie ubrani w kurtki khaki uwijali się wokół nich z nożami. Nazywało się to „patroszenie zwierzyny”, ale tak naprawdę ci ludzie w khaki mieli w sobie coś z artystów — przypominali rzeźbiarzy, którzy, odłupując z kamienia zbędne fragmenty, powołują do życia kubistyczną rzeźbę.

Przewodniczący kółka łowieckiego położył dwa odyńce jednym strzałem. Właśnie kończył odcinać im jądra. Skrwawione i śliskie poturlały się po śniegu; zatrzymały się tuż przy moich stopach. Jeden z dzików był tak wielki, że gdybym chciała, mogłabym schować się w nim jak w pustym futerale. Ale nie chciałam. Patrzyłam na nieruchome, sztywne od szronu ciała, myśląc o tym, że dla nich to wcale nie była zabawa. Jasne, że czułam się oszukana; oj, jeszcze jak!

Jedno ze zwierząt, nieumiejętnie postrzelone, żyło nadal. Tego zająca — bo to był zając — jakoś nikt nie dobił; po prostu leżał tam, cały we krwi, i machał łapami, jakby chciał wykopać sobie w śniegu grób.

Potem było ognisko; wszyscy bawili się, śpiewając, ale głównie pijąc, i mieli świetne humory. Wszyscy poza mną i ojcem. Ojcu nie poszło najlepiej. Trafił jedną lichą sarnę; ustrzelił ją na zbiorowym polowaniu, więc inni myśliwi mieli mu to za złe. Była bardzo drobna; właściwie wyglądała jak dziecko. Patrzyłam, jak ojciec wbija w nią nóż aż po rękojeść z bawolej kości; z rozciętego brzucha wysypały się długie, różowe wnętrzości, podobne do monstualnych dżdżownic. Na koniec prawa ręka, ta bardziej owłosiona, zanurkowała w czerwonym mięsie i wydobyła pęknięty klejnot — serce. Mimo to wierzyłam, że sarna jeszcze wstanie. Ale nie wstała. Była martwa na amen, więc ojciec zawlókł ją do spiżarni. Zamierzał ją pożreć — to było jasne.

„No ładnie — pomyślałam. — Kiedy już z nią skończy, gotów wziąć się za mnie”.

To właśnie wtedy zrozumiałam, że tatuś jest złym wilkiem, chociaż wyglądał bardziej jak niedźwiedź, no w każdym razie, że jest jakimś dużym zwierzęciem o niekoniecznie dobrych zamiarach.

„Hola, hola, bestio” — nieraz mówiła babka. Odkąd pamiętam, gniewała się na ojca za to, że zbałamucił jej córkę, moją matkę.

I oto uwięziona w chacie zasypanej śniegiem znalazłam się, jak to się mówi, w oku cyklonu, ale nie groził mi cyklon; było znacznie gorzej — zapowiadało się na to, że tatuś mnie pożre. Nie zamierzałam poddać się bez walki. Poczekałam, aż zły wilk zaśnie i wywlokłam ze spiżarni truchło.

Tamtej nocy byłam Czerwonym Kapturkiem, zagubionym w wielkim, groźnym lesie. Zwierzę, choć wydrążone jak dziupla, niemiłosiernie mi ciążyło. Zdawało mi się, że w sarnich oczach dostrzegam zdumienie, a może smutek, a może jeszcze coś innego, na co nikt nie wymyślił nazwy. Wleczone przeze mnie ciało pozostawiało w śniegu ślad szeroki na cztery stopy (miałam krótsze stopy, kiedy byłam dzieckiem). Z każdym krokiem robiło się cięższe. Ilekroć uderzało o grudę zmarzniętej ziemi, wołałam myśleć, że to wcale nie sarna, tylko ogromna pluszowa zabawka.

Czas stał w miejscu albo płynął, a ja brnęłam przed siebie, jakbym szła białym, zimnym tunelem. W którymś momencie poczułam senność i lekkość (musiałam zgubić po drodze sarnę). Nie pamiętam, co było ze mną dalej. Dopiero nad ranem zaniepokojony ojciec ogłosił moje zniknięcie. Myśliwi urządzili na mnie nagonkę: uderzali w pnie drzew i wołali „a-a-a” i „hejże hej”, aż któryś znalazł mnie w lesie, a potem niósł przez zasy, z gorączką trzysta stopni, opatuloną w koc. Żeby nie umarła.

Później, w szpitalu, dręczyły mnie koszmary. Zdawało mi się, że ojciec pochyła się nade mną, ma wielkie żółte oczy, długie uszy i ostre zęby, krótko mówiąc, jest złym wilkiem z bajki; no więc ten wilk wbija mi w brzuch nóż po samą rękojeść, a wtedy wysypują się ze mnie miniaturowe sarny i wszystkie są martwe.

Tak sobie migotałam w sennych majakach, a potem nastąpił koniec świata.

— Od dzisiaj będziesz chodziła do przedszkola — tuż po moim powrocie do zdrowia oświadczyła matka.

Jechałyśmy brudnym autobusem przez zaspane miasto. Siedziałyśmy naprzeciw siebie. Matka nie patrzyła mi w oczy. Udawała, że wcale mnie nie ma. Pomyślałam, że ciąży na mnie jakaś straszna wina, ale nie mogłam sobie przypomnieć, co takiego zmalowałam w tym szpitalu. Myślałam i myślałam, i nic nie przyszło mi do głowy ani tam, w autobusie, ani później w przedszkolu.

— Powinnaś iść do zerówki — powiedziała matka — ale wytłumaczyłam dyrektorce, że jesteś głupawa. Przydzielono cię do starszaków, tu jest twoja sala.

Stałyśmy na korytarzu, ona — duża, ja — całkiem mała, i czułam, że zaraz zacznę płakać.

— Mamusiu... — Złapałam ją za spódnice.

Strzepnęła moją dłoń jak robaka.

— To wszystko twoja wina! Żałuję, że cię urodziłam. Przez ciebie umarł tatuś.

Patrząc na oddalającą się matkę, byłam kompletnie zaskoczona. Tak czułam się dotąd tylko raz w życiu, kiedy, przybierając akrobatyczną pozę godną cyrkówek, oglądałam własną pleć w lusterku, ale zamiast niej znalazłam w sobie surowe mięso i pomyślałam, że mam tam ranę i że trzeba mnie zaszyć, zanim wszystko ze mnie wypadnie. Ale nie wypadło, a ja żyłam dalej. Umówmy się, że to było życie.

Nie przypadłam do gustu żadnej z przedszkolank. Było to zbiorowisko podstarzałych kobiet-kruków (tak mówiono na nadzorczyńnię w obozie Ravensbrück i jeszcze inaczej: „kobiety-wrony”) z fałszywymi uśmiechami przyklejonymi do zimnych twarzy. Przyjrzały mi się surowo, po czym jedno z tych ptaszysk zaprowadziło mnie do dusznej jadalni pełnej zbutwiałych stołów, przykrytych tandetnymi ceratami w kiczowaty wzorek. Obok dzbanków z mlekiem — tak naprawdę był to sam kozuch — na porcelanowych talerzach o złotych obwódkach i obtłuczonych brzegach leżały kanapki pokryte cienką warstwą klejowatej mazi w kolorze kupy.

— Macie szczęście, dzieci. Dzisiaj na śniadanie będzie pasztet z saren — powiedziała kucharka.

Tego już było za wiele. Postanowiłam rozpocząć dywersję. Napchałam do kieszeni tuzin kanapek i przy pierwszej okazji spuściłam je razem z wodą w sedesie, no i oczywiście zostałam przyłapana. Uznano, że bardzo im przykro, ale jestem aspołeczna i się nie nadaje; za długo siedziałam w domu z rodzicami. „Niech te wstrętne ptaszyska mają po mnie jakąś pamiątkę” — powiedziałam sobie i zanim zdążyli mnie wyrzucić, na pożegnanie nasikałam do olbrzymiej donicy z fikusem, stojącej w pokoju jadalnym przedszkolank.

Opieki nade mną podjęła się babka. To od niej dowiedziałam się, że ojciec wprawdzie żyje, ale już gdzie indziej. Nie nudziłam się, dopóki żył z nami. Ilekroć przeszkadzałam rodzicom, matka zamykała mnie w szafie, a trzeba wam wiedzieć, że przeszkadzałam im prawie zawsze.

To właśnie w tej szafie nauczyłam się, że istnieją dwa życia — to we śnie i to na jawie. Z czasem przestałam rozróżniać, które z nich jest na niby, a które naprawdę. Na jawie ludzie przypominali przedmioty, wypchane zwierzęta albo zasuszone owady w gablocie entomologa, przekłute srebrną szpilką, samym jej koniuszkiem. Rodzili się i umierali, jakby nie było żadnej różnicy. Drugie życie, to we śnie, rozwijało się z pierwszego na podobieństwo papierowych kwiatów rzuconych w wodę. Wystarczyło zamknąć oczy i pod powiekami stawały się ryby o liliowych płetwach, żaby z zielonkawymi gronami brodawek, migoczącymi na skórze niczym diadem, lisy w sierści z weluru i rdzy, a wszystko to tak doskonale jak w dzień początku albo sądu.

Myślicie pewnie, że to straszne mieć takie dzieciństwo, ale nie macie racji. Przeciwnie, muszę się wam przyznać, że w tej starej szafie, pachnącej lawendą z kulek na mole, otoczona przez futra zwierząt, które matka od czasu do czasu wyprowadzała na spacer, przez prochowce ojca, jego pstrokate, jedwabne krawaty, strzelby, pudełka z pastą do butów, lśniąca jak asfalt po deszczu, i przez wiele innych jeszcze rzeczy, których dziś już nie pamiętam, a które wówczas tuliłam do policzka niby najdroższe skarby, no więc tak naprawdę tylko tam, w tej szafie, czułam się szczęśliwa. A przynajmniej po swojemu szczęśliwa — to było już dużo jak na mnie.

Moje podwójne życie skończyło się wraz z odejściem ojca. Babka cieszyła się, że jej córka po latach feralnego małżeństwa wreszcie została sama i będzie żyć jak dziewczyna. Do tego z dzieckiem. Prawie Maryja.

Potrzebowałyśmy pieniędzy, więc matka zatrudniła się w fabryce guzików, gdzie od ósmej do szesnastej wypruwała sobie dla mnie żyły. Jako dziecko, oglądając jej nadgarstki, zastanawiałam się, jak ona to robi, że nie ma po tym śladu, zupełnie nic, nawet najmniejszej blizny. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że najcenniejszą bronią jest język — zabija bez rozlewu krwi.

Odtąd całe dni spędzałam u babki wśród Jezusków i gorsetowych Madonn. Czasami przyjeżdżała po mnie matka. Przebywanie w jej towarzystwie zdawało mi się gorsze niż długi spacer po rozbitym szkłe, do tego na kolanach.

Wymyśliłam sobie wtedy nową zabawę: na ulicy na widok statecznych panów, idących pod ramię ze swymi równie statecznymi żonami, ogarniało mnie takie ożywienie, że od biedy można to było uznać za atak epilepsji — zgrzytałam zębami, wywracałam oczami i drżałam na całym ciele — a potem rzucałam się za nimi w pogoń, wołając „tata, tata!”. Oczywiście żaden z nich nie był w najmniejszym nawet stopniu podobny do ojca, ale lubiłam wkurwiać matkę.

Odkąd pamiętam, tatuś niczym spalone drzewo rzucał cień na moje życie. Za jego sprawą nie przystąpiłam do bractwa kanibali jedzących święte ciało. Nigdy nie wypowiadałam się z grzechów i nie biłam się w pierś, wołając: „moja wina!”. Naprawdę martwiło to babkę.

— Na co mi przyszło? Mam wnuczkę poganę!

Ksiądz proboszcz był nieugięty.

— Kościół nie uznaje rozwodów. Nie ma ojca, nie będzie Boga — oświadczył.

Tak więc w dniu komunii dzieci z mojej klasy stałam na kościelnym podwórzu i płakałam. Wszystko przez jagodzianki. Obok ścieżki prowadzącej do kościoła zakonnice ustawiły swój kramik. Była tam herbata w kubkach i wyłożone na wiklinowych tacach bułki z jagodami — poczęstunek dla tych, którzy po raz pierwszy przyjęli Najświętszy Sakrament. Zadzwończyły dzwony i oto wysypali się z kościoła wyfraczeni chłopcy, za nimi dziewczynki w komunijnych sukienkach druzgoczących pejzaż swą martwą bielą. Komuniści przechodzili obok mnie ze śmiechem. Ci bardziej złośliwi wywalali na wierzch fioletowy język. Wyobrażałam sobie, że to wcale nie od jagód, tylko od rtęci: te dzieci przegryzły termometry i — jak ostrzegęła mnie babka — umrą na wieki wieków, amen.

— Spójrzcie, siostry. Ta dziewczynka płacze z tęsknoty za Bogiem — wzruszyła się jedna

z zakonnice.

Na pocieszenie przyniosła mi ciastko i pogłaskała po głowie. Byłam więcej niż zadowolona. Skoro dostałam jagodziankę, mogą zatrzymać sobie Boga.

Kiedy ojciec zaczął przysyłać do mnie kartki poobklejane brokatem, sądziłam, że napisał je jakiś inny tata; taki, jakiego nigdy nie miałam. A ten tłścioch, który powrócił teraz, po tylu latach, był dla mnie kimś nieskończenie obcym. Wieczorem, w dniu jego przyjazdu, wyszłam z domu. Nie chciałam słuchać kłótni rodziców. Przypominali stare manekiny przyszyte do siebie sizalową nicią — choć materiał skurczył się i wyblakł, łączący je szew nadal trzymał.

„Źle zrobiłam” — później pomyślałam. A jeśli się pozabijają? Wrócę i znajdę na podłodze dwa ciała, w nich rany otwierające się jak usta. I wszędzie płatki, krwotok płatków.

„Zbrodnia w afekcie — ucieszą się sąsiadki. — Kto by pomyślał, takie emocje w naszym bloku”.

Żywi będziemy chodzić na palcach — tak powinno się chodzić w pokoju umarłych. My zostawimy odciski i ślady, ich obrysują białą linią. Jakby pojechali w poślubną podróż, tak będzie, jakby spoczęli w małżeńskim łożu, wśród atlasów, koronek, zmęczeni miłością, i zapomnieli się obudzić. Jej ręka obok jego głowy, jego palce na jej biodrze. To są jej rzęsy albo jego, nic już nie jest pewne. My będziemy łkać i zawodzić, a oni będą naprawdę spokojni, spokojniejsi nawet niż w najgłębszym śnie, takim, w którym nic już się nie przyśni.

Przyjdzie detektyw z błyskową lampą i zacznie tropić, kto tu zawinił.

„Tulipany — wtedy mu powiem. — To one ich zabiły”.

Kiedy wróciłam, kwiaty udawały niewiniątka; stały w wazonie, pijąc wodę przez długie łożyski. Po kilku dniach zwiędły — najpierw zrobiły się czarne, potem płatki, jeden po drugim, skurczyły się i opadły. Wyrzuciłam je do zsypu, jak martwe owady.

Byłam pewna, że ojciec lada dzień wyjedzie, ale wcale nie miał takiego zamiaru; przeciwnie — zamieszkał z nami. Przywiózł ze sobą porcelanowe świnki — wysyłałam mu po jednej na każde urodziny — policzyłam je i poczułam się stara.

Nadeszły święta. Chociaż ojciec siedział przede mną, nasłuchiwałam bez przerwy, czy nie dzwoni telefon; tak bardzo weszło mi w nawyk czekanie na tatusiowe życzenia — na tych kilka drogocennych chwil, jakie znajdował dla mnie raz do roku.

— Co tobie, córca? Znowu uganiaasz się za jakimś chłopcem? — spytała matka.

Dobrze wiedziała, że to nieprawda. Od czasu prosektorium miałam randkową traumę. Poza tym nigdy za nikim się nie uganiałam. Co najwyżej podróżowałam od archetypu do archetypu.

Ojciec zamieszkał w swoim starym pokoju, za to spał na zupełnie nowym tapczanie, w krótkim czasie swym monstrualnym ciężarem doprowadzając go do ruiny. W nocy nie czekał aż zasną i nie przekradał się na palcach do pokoju matki, jak to miał niegdyś w zwyczaju, nie wślizgiwał się do jej łóżka i nie wypełniał całego mieszkania monotonnym skrzypieniem, jakie powstaje wówczas, gdy łączą się dwa ciała, aby poruszać się w jednym rytmie, no więc ojciec nie robił żadnej z tych rzeczy, choć matka pewnie by tego chciała. Ja nie mieściłam się w szafie, mimo to udawaliśmy, że wszystko jest jak dawniej.

A potem zaczęły się ferie. Wyjechałam w góry, ale nie nauczyłam się jeździć na nartach. Za to poznałam parę anarchistów. Mężczyzna był grubo po czterdziestce. Jego twarz szpecił podwójny podbródek. Rzadkie rude włosy nosił zaczesane na łysiejące czoło — nie dodawało mu to uroku. Dużo młodsza żona kiwała głową zwyczajem kwok. Jej kasztanowe loki na kształt kasztanowej chmury falowały przy każdym ruchu. Nie była ładna, ale miała w twarzy coś miłego. Zastanawiałam się, czemu on jej nie kocha. I czy ona o tym wie. Kiedy spojrzałam jej w oczy, mimowolnie przygryzła wargi. Na przednich zębach zostało jej trochę szminki w kolorze tętnicznej krwi. Wiedziała, to było pewne.

— Skoro jesteście za całkowitą swobodą, dlaczego żyjecie w małżeństwie? — spytałam, patrząc z okna schroniska na barwne figurki szybujące po stoku. Jedna po drugiej znikwały w czystej, mroźnej bieli.

— Och, to żaden problem. Żyjemy w otwartym związku. Popieramy totalną seksualną wolność.

— Otwarty związek powiadasz?

Przytaknął.

— Czyli kiedy twoja żona zechce cię zdradzać, nie będziesz miał nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie. — Mówiąc to, położył mi rękę na kolanie.

Kwoka uśmiechnęła się jednym z tych zimnych, sztucznych uśmiechów.

— Próbowałeś już tego? — spytałam, odsuwając krzesło.

— Wiele razy, skarbie.

— Pytam, czy twoja żona tego próbowała?

Wieczorem wszedł bez pukania do mojego pokoju. Usiadł na łóżku, aż zatrzeszczało.

Gładząc koldrę, spytał:

— Czyli jak, kochanie, wolisz spać od strony okna czy przy ścianie?

Był pijany. Wyglądał jak łysiejaca czerwona małpa. Wolałam nie czekać na to, co jeszcze ma mi do powiedzenia. Albo pokazania. Wyruszyłam na poszukiwanie jego żony. Znalazłam ją przy barze.

— Obawiam się, że twój mąż pomylił pokoje — powiedziałam.

Popatrzyła na mnie, jakbym była wariatką, ale go zabrała.

Kiedy po feriach wróciłam do domu, wyszło na jaw, że ojciec jest chory. Czerwona rzeka rozlała się w jego głowie, a on sikał po nogach. Upadł w przedpokoju i nie mógł się podnieść.

— Wszystko w porządku — mówiłam do niego jak do rannego bohatera na wojnie.

— To zaraz minie. Wszystko będzie dobrze.

Nie przypominał złego wilka. Bezbronny i przerażony trzymał mnie za rękę, zupełnie jakby to on był moim dzieckiem. Kiedy bałam się ciemności (po zgaszeniu światła coś pożerało moje lalki), a potem starej pocziwej śmierci (zabiła mi kota — wiedziało o tym całe podwórko, wiedział robaczek, który wyszedł mu z brzucha), ojca przy mnie nie było. I nagle to ja byłam ta dorosła, a on maleńki, mogłam go schować w jednej dłoni. A gdyby umarł, wyniosłabym go z domu w pudełku po butach i zakopała pod drzewkiem czereśni. Ale nie umarł. Trzymałam go za rękę, gładziłam policzek i w ciągu tych kilkunastu minut przeżyłam z nim więcej niż przez całe moje życie.

Przyjechała karetka. Ojciec był tak ciężki, że sanitariusze nie zdołali go podnieść. Sapali i stękali, zrobili się purpurowi na twarzy, a on nie drgnął nawet o milimetr. Leżał w kałuży moczu, wyglądał przy tym jak ogromna ryba. Myślałam, że już zawsze będzie tak leżeć — obcy ludzie będą tu przychodzić ze swoją bielą, strzykawkami, igłami, będą nakłuwać bezbronne, milczące ciało, patrząc bez lęku, jak obraca się w kamień.

— Tu trzeba kogoś do pomocy. Panienska zawoła sąsiadów albo poczekamy, aż gruby sam wstanie.

Mój blok był bardzo chrześcijański; ludzie przepędzali mnie, jakbym była żebraczką. Jedna z sąsiadek groziła mi wrzątkiem; widocznie wzięła mnie za jehowę. Pomogło mi dwóch młodych mężczyzn, mieszkających razem na ostatnim piętrze.

„Hifiaste pedały” — mówił o nich ojciec. Teraz na ich widok nie zdołał nic powiedzieć, chociaż próbował. To, co wyszło z jego ust, nie przypominało żadnego słowa.

Mężczyźni wspólnymi siłami podnieśli wieloryba, mojego ojca, i ułożyli na noszach. Pod jego ciężarem skrzypnęły żaloznie.

W szpitalu, czekając na korytarzu, próbowałam się modlić. „Pobłogosław, Panie, nasze dary” — tylko tyle pamiętałam z nauk babki. Pośród rurek i szumu ojciec milczał. Ci w białych kitlach grzebali w jego głowie, a on spał narkotycznym snem i — tego jestem pewna — śnił piękne sny w koralowym pałacu, głęboko pod wodą. Po operacji lekarz bawił się w Boga.

— Raczej przeżyje — powiedział.

„Alleluja” — śpiewałam. Gdzie były anioły, które miały to śpiewać?

Zaczął się czas pielęgnacji — kleików, zupek, basenów i pieluch — jakby zamiast ojca przyjechało dziecko: tłusty, łysy bobas. Matka dotykała jego twarzy z nabożną czułością. Codziennie stawiała przy łóżku tulipany w wazonie, jak on wiotkie i pomarszczone; zbijały się w barwną plamę, czasami żółtą, innym razem czerwoną.

Nie potrafiłam zrozumieć matki. Czy kobiety naprawdę marzą tylko o tym, żeby być czyjąś żoną? W zamian za złotą obrączkę będą gotować obiady, ścielić łóżko, rozkładać nogi i pastować buty. W szpitalach, zimnych jak kostnice, urodzą tuzin aniołków o błękitnych oczach; bez narzekania. Gdyby ktoś mi wówczas powiedział, że ja także zechcę się bawić w małżeństwo, z pewnością nie potrafiłabym w to uwierzyć. Jak mało wiedziałam o sobie. Jak wiele miałam się jeszcze dowiedzieć.

Ojciec powoli wracał do zdrowia. W południowej Afryce wybuchła wojna, u nas wybuchła wiosna, a po niej miało nadejść lato, choć nie było pewne, czy przez te wszystkie wojny do tego czasu świat nie ulegnie zagładzie. Dla łysiejącego anarchisty, którego spotkałam pewnego dnia, wracając z wykładów, świat skończył się już teraz.

— Moja żona, sam nie wiem jak to możliwe, zdradziła mnie. Uwierzysz? — Ścisnął moją dłoń, jakby chciał ją zmiążdżyć.

Dwa razy mocniej ścisnął ją ojciec, zanim odwiozłam go na stację.

— Falszywy lisek! — histeryzowała matka. — Dobrze wiedział, że jest chory. Potrzebował pielęgniarki, a nie żony. A teraz, patrzcie, cwaniaczka, wylizał rany i czmycha!

Słyszałam, jak tłucze porcelanowe świnki, jedną po drugiej, jakby to one były czemuś winne.

— Dlaczego odchodzisz? — spytałam ojca w aucie w nadziei, że przynajmniej tym razem wyjaśni mi coś, zanim zniknie.

— Tak trzeba, aniołku. Uwierz, robię to dla ciebie.

— Jak byłam mała, też odszedłeś dla mnie?

Spąsował na twarzy.

— To takich rzeczy was uczą na psychologii? Jak rozmawiasz z tatusiem? Wstydź się, młoda damo. Tatusia trzeba oszczędzać.

„Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki”, mówią, ale ja patrzyłam, jak ojciec porzuca mnie po raz drugi. Właściwie czułam się tak, jakby wtedy, w przedpokoju, tatuś naprawdę mi umarł.

— Odwiedzisz mnie czasem?! — zawołał przez okno na stacji.

Pociąg właśnie ruszył.

— No jasne — skłamałam.

Stałam na peronie; machałam ręką, myśląc, że to nie koniec świata. Nie będę musiała dłużej dźwigać jego braku jak garbu. Robiłam to przez wszystkie te lata.

Żegnaj, ukochany zmarły. Niczego już nie ma pomiędzy nami.

6. Bawelniane dziewczyny i majtki, i sezon hekatomb

— Wiesz, że zamordowano Kasię? — pewnego dnia jak gdyby nigdy nic rzuciła matka, nie przerywając jedzenia śniadania, a trzeba wam wiedzieć, że zawsze nieznośnie przy tym mlaskała. Ja skończyłam jeść chwilę wcześniej i właśnie dopijałam kakao.

Świat nie miał litości; mimo wojny w Afryce jakoś nie chciał się skończyć, zmuszając do

wspólnego życia mnie i matkę. Po wyjeździe ojca widywałyśmy się wyłącznie z samego rana. Potem ona szła do pracy, ja na uczelnię. Wieczorami instynktownie unikałyśmy spotkania, jak ludzie, którzy są sobie obcy, chociaż mieszkają pod jednym dachem.

Miałam wrażenie, że wszystko się powtarza. Dokładnie tak wyglądały nasze relacje, kiedy — mając dziewięć lat — niczym córka marnotrawna wróciłam do matki. A wszystko za sprawą babki.

Problem w tym, że babka była mistyczką. W wieku sześciu lat spadła z drzewa i przeżyła własną śmierć: na uśmierzenie bólu podawano jej zupkę z maku; „lekarstwo” podziałało, i to na tyle skutecznie, że babkę uznano za martwą. Zbudziły ją dopiero krzyki zrozpaczonej prababki. Ale to było już na babcinym pogrzebie: prababka zemdląła, ludzie — wobec cudu — padli na kolana, a ksiądz dał susa przez okno. Od tego czasu babka miewała wizje: a to ukazała jej się Matka Boska, a to Jezusek w stajence puścił do niej oko.

Niestety, treserka była z niej kiepska. Skutki religijnego wychowania, jakiemu mnie poddawała, były odwrotne do tych, których się spodziewała. Na przykład ta historia z nadstawianiem policzka. Kiedy uderzyła mnie córka dyrektora, panna „kurza łydka”, zrobiłam tak, jak uczy Biblia, a kiedy tamta uderzyła także w ten drugi, och, tylko na to czekałam; skoro Jezus nie powiedział, co dalej, uznałam, że mogę zrobić to, co zawsze chciałam. „Fajnie jest być chrześcijanką” — myślałam, przewracając kaleką dyrektorską na ziemię i ciągnąc za włosy. Wyfroterowałabym nią korytarz także w drugą stronę, gdyby mi nie przerwano. Nikt nie docenił moich starań — mnie wyrzucono, ona została.

W ten oto sposób wróciłam do domu i było tak, jakbym obudziła się nagle w środku średniowiecza. W owych mrocznych czasach Kasia stanowiła jedyną przeciwwagę dla katastrofy, której na imię było „Moja Matka”.

Naprawdę ją kochałam. Każdą wolną chwilę spędzałyśmy razem. Była słońcem, wokół którego kręciła się reszta świata. Miała urodę Mauretanki: wydatne kości policzkowe, szeroki nos, mięsiste wargi. Piękna? Pewnie, że piękna. Jak te dziewczyny, o których mówią, że spały z miastami, całymi państwami, z każdym. Aż chce się ich dotknąć, chce się je skrzywdzić; tak, tamte dziewczyny.

Nie wiem, komu Kasia zawdzięczała egzotyczną urodę, ale na pewno nie matce, która mimo upływu lat nic się nie zmieniła — nadal jest brzydka. Spotykam ją, ilekroć przyjeżdżam do domu (robię to naprawdę rzadko). Ma krzywe nogi, podwójny podbródek; nosi sukienki w kolorze wrony i bursztynowy krzyżyk na srebrnym łańcuszku — wygląda przez to jak zakonnica. Odnoszę wrażenie, że całymi dniami czai się przy oknie, tuż za firanką, tak żółta i tłusta, jak gdyby była z wosku, tylko po to, by na mój widok natychmiast zbiec po schodach. To powtarza się za każdym razem — jej czerwona spocona twarz tuż obok mojej, świszczący, płytki oddech, zimne, rybie oczka, kiedy potrząsa moją dłońią, jakby pytała, dlaczego ja przeżyłam. Właściwie nigdy jej nie lubiłam.

Ona chyba nie lubiła własnej córki, a już na pewno nie lubiła tego jej piękna. Właśnie dlatego kazała jej nosić workowate sukienki z wysokim kołnierzem i czarne rajstopy z grubego nylonu, cerowane nieskończoną ilość razy. Kiedy reszta dziewczyn uczyła się chodzić w butach na obcasie, dla Kasi kupowano płaskie pantofle z satynową wstążeczką. Wyglądała jak baletnica — mały biały ptaszek.

Czasami przychodziła do szkoły cała w siniakach. Matka biła ją smyczą; nie obchodziło jej, gdzie trafia.

— Znowu mnie jakiś kochaś obląpiał. Miał tysiąc ust i wszystkie w liliowej szmince — żartowała Kasia.

Zdarzało się, że zamiast do szkoły szłyśmy na wagary, czyli do mnie. W wielkim garnku

farbowałyśmy majtki na fioletowy kolor. Lubiłam patrzeć, jak barwnik wżera się w bawełnę, pokrywając tandetne kwiatuszki i misie. Przymierzałyśmy bluzki mojej matki — te z dużym dekoltem — i szpilki. Nakładałyśmy na twarze makijaż. Na cierpliwej lustrzanej tafli ćwiczyłyśmy pierwsze pocałunki, o smaku truskawek i malin.

W koszu na śmieci Kasia znalazła kiedyś zużyty podpasęk.

— Jest piękna — piszczała z zachwytem. — Jak łąka pełna czerwonych maków.

Z tą krwią to wcale nie było zabawne. Stałam się kobietą w kolejce u rzeźnika. Matka stale mnie tam wysyłała. Było to coś w rodzaju kary.

Nienawidziłam wszystkich rzeźników świata od czasu, gdy któregoś lata pojechaliśmy do ciotki na wieś. Po drodze, w pobliskim miasteczku, zatrzymaliśmy się na lody. Ojciec zaparkował przed miejscową ubojnią (miałam pięć lat i nie rozumiałam, co znaczy to słowo), a kiedy wróciliśmy, już z lodami, okazało się, że nasz nowiutki samochód jest porysowany odtąd dotąd. Przed nami stał wóz z naczepą pełną cieląt i to właśnie ten wóz jak nic musiał być przyczyną nieszczęścia, które objawiło się nam tamtego dnia w postaci rysy w chorobliwie żółtym lakierze.

Ojciec zamierzał urządzić kierowcy awanturę nie z tej ziemi, ba, nie z tego układu planetarnego, ale szoferka była pusta. Za to naczepa była niemiłosiernie załadowana małymi krowami o wilgotnych chrapach. Wokół unosiła się duszna woń zwierzęcego potu i łajna. Rodzice lamentowali i klęli na czym świat stoi; ja, nie zważając na przestrogi matki, bawiłam się z cielakami. Przemawiałam do nich czule, głaskałam, całowałam, podczas gdy jeden z cielaczków, graniasty, w łaty chiaroscuro, lizał mnie po dłoni długim szorstkim językiem.

— Jak on ma na imię? — spytałam kierowcę, kiedy wreszcie przyszedł.

— Cielęcina. Palce lizać! Zapraszam jutro od siódmej.

Tak więc matka, wiedząc, że tego nienawidzę, przy każdej okazji wysyłała mnie do mięsnego i to właśnie tam stałam się kobietą.

Pamiętam upał, bzyczenie much krążących nad mięsem, półtusze wiszące na hakach, widoczne przez otwarte drzwi do magazynu, plastry wołowiny (jaskrawoczerwone od saletry), poukładane na metalowej ladzie, po bokach której biegły wąskie rowki — tam zbierała się zakrzepła krew; w powietrzu unosił się jej drażniący zapach.

Wiele lat później przekonałam się, że stoły do mycia ciał w kostnicach zaprojektowano podobnie jak chłodnicze lamy — rowki biegną równolegle z obu stron i kończą się odpływem u dołu, poniżej stóp leżącego, któremu jest już wszystko jedno. Nie miałyśmy takiego stołu, kiedy myłyśmy babkę; dano nam tylko gąbkę i wiadro.

W dniu, kiedy zaczęłam krwawić, haki — raz po raz trącane przez rzeźnika — wyginały się pod różowym ciężarem (w prawo, w lewo i znowu w prawo — tak się kołysały). Mięso śmierdziało. Muchy pstrzyły. Rzeźnik z trzaskiem łamał kości, odrabując siekierą partie żeber, wybrane przez kobietę stojącą przede mną w kolejce; z wysiłku wystawiał przy tym język, jakby za chwilę miał się oblizać. Na mój widok oblizał się naprawdę. Zostaliśmy w sklepie sami, jeśli nie liczyć tej kobiety od żeber; starannie pakowała swoje zakupy, niczym cenne trofea.

Rzeźnik zawsze mnie onieśmiałał. Matka mówiła, że powinnam być dla niego miła, inaczej, myk-myk, odrąbie mi głowę jak świni. Nie bardzo w to wierzyłam, niemniej widok tych wszystkich trupów działał na moją wyobraźnię. Coś jak płótna Francisa Bacona, tyle że w trójwymiarze. Oczywiście wówczas nie znałam Bacona. Znałam za to portret uśmiechniętej świnki i wy także na pewno go znacie — zdobi każdy sklep mięsny, zupełnie jakby ta świnka wołała: „Oto ciało moje, bierzcie i jedzcie!”

Ten, kto przykleił świniom ów groteskowy uśmiech, najwyraźniej nie widział z bliska martwego prosiaka. Ja widziałam. Tego dnia na ladzie leżała rozłupana świńska czaszka. Obnażone zęby wcale nie przypominały uśmiechu. Taki sam wyraz twarzy miał rzeźnik, kiedy

podalam mu pieniadze, a on chwycil mnie za palce, niby przypadkiem, pozostawiajac na nich cienka warstwe tuszczu.

— Coś ci cieknie, dziewczynko — powiedziała kobieta od zeber, zanim stamtąd wyszłam, i myślałam, że chodzi jej o trzymany przeze mnie pakunek.

Krew przesączała się przez brudny papier. Przesączała się także przez fioletowe majtki i czerwoną strużką płynęła po mojej nodze. Zanim doszłam do domu, miałam jej pełno w prawym bucie. Nie byłam pewna, co to za rzeka i czy już zawsze będę w niej brodzić. Przyszło mi do głowy, że to stygmaty, o których mówiła mi babka, i nie wiedziałam: śmiać się czy płakać.

— Leje się z ciebie jak z zarzynanej świni. Umyj się, bo wszystko mi ufajdasz — tylko tyle powiedziała matka.

W prymitywnych plemionach w dniu pierwszego krwawienia którejś z dziewczynek stare kobiety malowały w kącikach ust i na brodach rytualne znaki zwane „liniami kapania”, młode wznosiły ku niebu drobne dłonie, różowe jak konchy, wydając z siebie śpiewne, świergotliwe odgłosy, dziękując milczącym bogom za czerwone błogosławieństwo, a brzmiało to jakby wołały: „święto! święto!”. Chłopcy krzywili się z zazdrości — oni nie umieli sami z siebie krwawić, ot tak, regularnie, bez żadnego uszczerbku; dlatego na znak inicjacji musieli przyozdabiać skórę serią głębokich nacięć — jasne, że to bolało. Jak cholera! Kiedy na niebie pojawiała się Luna, opiekunka kobiet, mężczyźni uderzali w bębny, obciążone srebrną warstwą blasku i skórą upolowanych zwierząt, i z każdym uderzeniem martwe zwierzęta ożywały, wydając z siebie to ryk, to warkot. W rytmie owej pośmiertnej muzyki przez całą noc tańczono i śpiewano. Ale moja matka była cywilizowana. Traktowała krwawienie jak chorobę, dopust boży, w najlepszym razie — ranę do obandażowania.

Za drugim razem to stało się na bierzmowaniu kuzyna. Tym razem faktycznie wszyscy śpiewali „amen, amen”, cały kościół, a ja ku rozpaczy matki poplamiałam tiulową spódnicę i kościelną ławę czerwoną farbą, rzucającą się w oczy jak gronostaj w zimowej szacie pośrodku lasu, kiedy nie ma śniegu. Potem było już całkiem zwyczajnie (jako sygnał ostrzegawczy rdzawa plamka na majtkach), ale ostatnio zaczęłam krwawić na dzikiej plaży. Na wzór pierwotnych kobiet siedziałam nago w kucki, patrząc na spadające słońce, na jego wielki, piękny zachód, a potem poszłam popływać, zostawiając na piasku czerwone ślady.

Jeśli chodzi o Kasię, stała się kobietą najpóźniej z nas wszystkich.

— Powinno tak boleć? — spytała któregoś dnia na przerwie, trzymając się za brzuch.

— Różnie. Czasami okres boli, innym razem wcale.

— Nie pytam o ciotkę, tylko o tampon. Nie mogę wytrzymać. Myślisz, że to normalne? Pchałam z całej siły, a i tak wcisnęłam tylko kawaleczek.

— Katarino... — Tak na nią mówiłam, a dokładniej Katarino Piękna, Tygrysia Lilio. — ... właściwie gdzie ty ten tampon wsadziłaś?

Poszłyśmy do szkolnej łazienki. Weszła do kabiny; po chwili zza cienkiej ścianki usłyszałam pisk, westchnienie ulgi i odgłos szczyń bryzgających w emaliową muszlę. Cewka moczowa — oto gdzie tkwił bawełniany pocisk.

W dniu pogrzebu mojej babki Kasia też ronila czerwień, ale inaczej. Przebrała się za zachód słońca. Jej nogi całe były we krwi; nylonowe rajstopy, a pod nimi jatka.

— Ty krwawisz! — zawołałam.

Przyjrzała się sobie ze zdumieniem. Zdjęła nylony; wytarła nimi czerwony bałagan. Mówiła, że przed wyjściem z domu goliła nogi brzytwą ojca i że widocznie zacięła się parę razy — więcej niż parę — ale aż do tej chwili nic nie poczuła. Serio. Kiedy ja myłam w kostnicy babkę, Katarinę Piękną zawieźli na pogotowie, założyli kilka szwów i skierowali do psychiatry.

— Państwa córka nie jest już dzieckiem. Szaleje w niej burza hormonów. Nie należy

przesadzać z nadmierną kontrolą.

— Że co? — Ojciec Kasi był przygłuchy i chudy jak tyczka; stojąc obok żony wyglądał jak Flip obok Flapa.

— Stasiu, wychodzimy. On nam próbuje wmówić, że to z naszej winy — powiedział „Flap” i wyszli, i nigdy więcej do tego nie wracali, nawet po śmierci Kasi.

Jeśli chodzi o Stasia, wołałam już ojca, którego nie miałam. Dobrze pamiętam dzień, w którym go poznałam. W radiu na każdej stacji leciała Nirvana. Kurt Cobain strzałem w usta wyprowadził się z tego świata — a niektórzy mówili, że nie zrobił tego sam — pozostawiając po sobie drapieżny ukwiał z tyłu czaszki, mózg na podłodze i piosenki, które puszczały w kółko; nie chciałam, żeby kiedykolwiek przestali. Siedziałyśmy u Katariny, śpiewając „Smells Like Teen Spirit”, aż sąsiedzi zaczęli stukać w ściany. Głupie i zaraźliwe — tak się czułyśmy.

W pokoju Stasia stały rzędy akwariów. Za sprawą światła rozszczępionego w wodzie wyglądały na niebieskie lampiony. Skrywały podwodne skarby: jaskrawe barwy ryb, pióropusze wodorostów, bąbelki lecące w górę, jakby ktoś się topił. Były tam nakrapiane arlekiны i inne, z podwójnymi ogonami, podobne do małych pawi. Welony raz po raz zawracały, ciągnąc za sobą złote treny. Gupiki dźwigały pękate głowy.

— Wodogłówki! — wołała Kasia, stukając w szybę, i gupiki robiły do niej „gup, gup!”.

W jednym z naczyń, o kształcie kuli, delikatny ruch kołysał miniaturowym morzem. To pływały żółwie o policzkach rosyjskich matrioszek. Wyjęte z wody dreptały nieporadnie, zostawiając na dywanie podłużne mokre ślady. Za oknem szumiało miasto. Kurt Cobain ciągle śpiewał. Wpatrzona w akwaria zapadałyśmy w błękitny ocean. Ryby wypuszczały białe nitki z jelit. W dużym słoiku pływała tylko jedna. Miała pękaty brzuch, a w nim kilkanaście czarnych kropek prześwitujących przez różową skórę.

— Ta jest żyworodna. Musi być oddzielnie, inaczej pozostałe zjedzą jej dzieci.

Raptem jeden z welonów zakołysał się lekko, a potem wypłynął brzuchem do góry. Przypominał posążek ze złota; zdawało mi się, że nadal płynie, ale było to tylko złudzenie optyczne, falowanie płetw unoszonych przez wodę. Reszta ryb tłoczyła się wokół, gryząc, całując, nie jestem pewna.

— Więc to już? — szepnęła Kasia. — Tak lekko idzie ta cała śmierć?

Zaczęła płakać. Przytuliłam ją do siebie, a ona w odpowiedzi pocałowała mnie niespodziewanie, wpychając mi w usta wilgotny język.

Wszedł nagle. Jej ojciec. Miał twarz króla. Na widok jego majestatu Kasi ze strachu zaczęła drzeć powieka. Pomyślałam: „Oho, koniec świata jest bliski”.

— Nie będziesz pożądał bliźniego swego! — stał tam i krzyczał. Jakby był krzykiem, niczym więcej. Nawet na schodach, na parterze, nawet przed blokiem było go słychać.

Tej nocy lampiony zgasły. Wylał do sedesu wszystkie oceany. Jeśli chodzi o żółwie, napuścił wrzątek do wanny i patrzył, jak jeden po drugim spadały na dno. Wychodząc do pracy, zabrał je ze sobą w pudełku po butach.

Katarinie Pięknej kazano iść do spowiedzi. W kościele ze strachu szczękała zębami i wywracała oczami na wszystkie strony, co nadawało jej wygląd iście apokaliptyczny.

— Bóg mnie ukarze, zobaczysz — szeptała.

— Chyba nie wierzysz na serio w to gównno?

Bóg niezmiennie milczał, ja podsłuchiwałam, co mówiła Kasia. Ksiądz kazał jej opowiadać po kolei, ze szczegółami, i jeszcze czy dotykała się w różnych miejscach, no i o kim wtedy myślała. A potem w ramach pokuty zadał trzydzieści zdrowasiek w intencji zdrowia papieża Polaka.

Jak już wiecie, miałam to szczęście, że ominęła mnie pierwsza spowiedź święta i wszystkie

następne, wiem za to co nieco o grzechu — ciężko przeżyć bez niego choć jeden dzień.

No więc tamtego dnia, wracając z kościoła, na wystawie sklepu z bielizną zobaczyłyśmy satynowy stanik w kolorze czerwonego wina, zdobiony wstążkami (dosłownie mrowiem wstążek), i obudził się w nas grzech pożądania. Weszłyśmy do środka. Ekspedientka spojrzała na nas ze zdumieniem; spytała o rozmiar, ale o rozmiarach nie miałyśmy bladego nawet pojęcia.

— O, tamten! — Katarina Piękna na chybił trafił wskazała palcem.

Wchodząc do przebieralni, miałam wrażenie, że wkraczamy do zakazanego świata — oto za bordową kotarą ukażą się naszym oczom burdelowe buduary. Buduarów nie było, były za to sutki Kasi. Miały kolor dojrzałych malin. Moje były po prostu różowe.

Przez dobry kwadrans pomagałyśmy sobie nawzajem zawiązać wszystkie wstążeczki i zapiąć te wszystkie haftki śliskich balkonetek, przy rozpinaniu których naszym przyszłym chłopcom miały drzeć ręce. Kiedy nasze starania zakończyły się wreszcie sukcesem, spojrzałam w lustro i ze zgrozy zamarłam — w satynowych stanikach wyglądałyśmy równie ponętnie, co patroszone ryby. Pewnie, że miałyśmy piersi, ale te nasze piersi przypominały maleńkie brzuszki wróbli, poruszające się w górę i w dół, w górę i w dół z każdym maleńkim oddechem.

— Nic nie szkodzi. Wypchamy sobie bimbały chusteczkami higienicznymi — zdecydowała Katarina.

I wypychałyśmy, a potem już tylko ona wypychała, bo — jak już wiecie — mój śliczny stanik wpadł w ręce babki, arcycenzora do spraw staników i całej reszty bielizny też.

Kasia bez przerwy łąpała oczka w nylonowych rajstopach; zamalowywała je lakierem w kolorze żuka gównojada. Jeśli idzie o malowanie, naprawdę miała talent; właśnie dlatego poszła do szkoły plastycznej. Ja wylądowałam w państwowym liceum. Popołudnia nadal spędzałyśmy razem; rozmawiałyśmy wówczas o istotnych sprawach, na przykład: jakie fryzury mają być modne w przyszłym sezonie i czy istnieje życie pozagrobowe.

Wiele razy wyobrażałyśmy sobie miłość i jak to będzie za pierwszym razem, ale na to, co miało przytrafić się Katarinie Pięknej, to chyba nikt by nie wpadł.

Zaczęło się zwyczajnie. W wakacje razem z resztą klasy pojechała malować w plenerze cukrowe impresjonistyczne pejzaże. I wszystko byłoby pięknie, gdyby Stasiu nie przyjechał bez zapowiedzi. Zastał ją śpiącą z zadartą sukienką i chłopcem trzymającym głowę na jej nagim brzuchu. Hałas postawił na nogi cały hostel. Chłopiec był blady. Kasia płakała. Stasiu zrzucił ją z łóżka i nazwał dziwką.

— Nic nie zrobiłam, tatusiu.

— Tatusiu? Ty chyba nie jesteś moim dzieckiem.

Zawiózł ją do ginekologa; chciał sprawdzić, czy nadal jest dziewicą. Przez jakiś czas jeszcze była. Po wakacyjnym incydencie starsi chłopcy zaczęli krążyć wokół niej jak muchy nad mięsem. Spędzałyśmy razem coraz mniej czasu, aż wreszcie przestałam ją widywać. Za to z mojego okna mogłam co wieczór oglądać tyczkowane sylwetki czekających na nią wyrostków.

Oni wszyscy zdążyli dorosnąć. Zmienili się w odpowiedzialnych małżonków i statecznych ojców, a ja zastanawiam się czasem, czy pamiętają dziką dziewczynę, o której rozpowiadali, że rzuca się na nich niczym tygryś, rozpina rozporek i ssie, jakby chciała odgryźć, sama nadziewa się na palce, do tego ma smak soczystej brzoskwinki. Być może kiedy gaszą światło i dosiadają swoje żony o ciałach fok albo słoni morskich, myślą właśnie o niej.

— Jakby składała się z dwóch głodnych zwierzątek, pożerających cię żywcem, jedno u dołu, drugie na górze — opowiadali sobie nawzajem i z podniecenia ich głosy stawały się podobne do dźwięku, jaki wydaje z siebie prąd, kiedy iskrzy. — Mówię ci, stary, ta mała to jest diablina w ciele dziewczynki.

Zazdrościli temu, który zdobył jej majtki. Traktował je z namaszczeniem godnym relikwii.

— Powiadam wam, wdychajcie! — wołał. — Oto woń nieba: zapach świeżej pipki.

Trzymał te majtki w metalowym pojemniku na cukier, przyozdobionym w serduszka i ptaszki o kanarkowych dzióbkach. Rozpaczwał przez tydzień, kiedy ktoś je ukradł.

Wkrótce na naszym bloku pojawił się napis: „Chcesz się spuścić, idź do Kasi”. Wybałuszał się na nas przez dobrych kilka dni, zanim zamalowano go mlecznobiałą farbą. Nie wiem, czy to była klątwa, nie znam się na sprawach tego rodzaju; wiem tylko tyle: choć napis zniknął na zawsze przy okazji remontu sąsiedniego bloku — przyjechała ekipa w czapkach w gołęmb kolorze i takich samych waciakach pobrudzonych wapnem — fatum nie przestało ciążyć nad Kasią i wkrótce jej życie zaczęło się rozpadać.

Zakochała się w swoim wychowawcy. To z jego powodu wsadziła głowę do piecyka, jakby chciała upiec wielkiego indyka. Matka, która ją znalazła, wybiegła przed blok, cała w spazmach; wrzeszczała, że to wszystko nasza wina, zabiła ją ta przekłeta dzielnica. Przyjechało pogotowie, lekarz wypisał akt zgonu. Katarinę Piękną spakowano do plastikowego worka. Wtedy ciągle była dziewczicą.

Pierwszy stosunek odbyła w kostnicy. Obudziła się, widząc nad sobą twarz obcego mężczyzny. Podobno ten mężczyzna do dziś skarży się na impotencję. Na swoje nieszczęście owego wieczoru uprawiał miłość ze zwłokami, jak to miał w zwyczaju, tyle że tym razem stało się coś, czego nie przewidział: trup, który nie był trupem, podniósł się i zaczął krzyczeć, odzyskawszy przytomność za sprawą ruchów frykcyjnych.

Kasia po zmartwychwstaniu bardzo się zmieniła. Zaczęła chodzić w czarnych sukienkach i zaczesywać bujne włosy gładko do tyłu. Nosiła na szyi ogromny medalik z Najświętszą Panienką. Stale przygryzała wargi, z których krew ściekała na brodę, nadając jej wygląd dziewczyny jedzącej wiśnie. Zrezygnowała z cukrowych impresjonistycznych pejzaży i w ogóle z malarstwa. Przeniosła się do szkoły z internatem, prowadzonej przez zakonnice. Wreszcie wyjechała na studia do innego miasta. Nie przyjeżdżała nawet na święta. Czas mijał i — aż wstyd się przyznać — prawie o niej zapomniałam.

Aż któregoś wieczoru po powrocie z zajęć znalazłam ją leżącą na wycieracze przed moimi drzwiami. Twarz miała spuchniętą od płaczu. Poznała tego chłopca, króla pośród chłopców, i była pewna, że to już na zawsze. Pokazała mi zdjęcie — mały skurwysynek — ale ona była piaskiem pod jego stopami. Zaręczyli się przed miesiącem, a teraz odkryła, że ją zdradził. Mówił, że musiał się wyszumieć; że chyba lepiej zanim przysięgnie jej wierność przed Bogiem, księdzem i całą resztą.

— Może on ma rację? Mężczyzna potrzebuje więcej doświadczeń. Mówią, że z każdym podbojem zyskuje na wartości, niczego nie traci — hudiła się, to wysmarkując nos, to płacząc.

On niczego nie stracił. Na jej palcu nadal lśnił zaręczynowy pierścionek z czarną perłą. „Czarna perła przynosi pecha” — pomyślałam. Ale Kasia widziała to inaczej: on jest tym jedynym, obiecał, że się zmieni, i ona mu wierzy.

— Słyszysz? Zamordowano Kasię. Podobno zrobił to jej mąż. W mieszkaniu to było ponoć gorzej niż w mięsnym. Dwadzieścia trzy lata i ciało w kawałkach. Mój Boże, ile się nacierpi ta jej biedna matka.

Zwymiotowałam do umywalki. Ciepłe kakao płynęło ze mnie fala za falą; nie sądziłam, że kiedykolwiek przestanie. Pomiedzy atakami torsji przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze. Wydawało mi się, że na dnie oka dostrzegam maciupenką podobiznę Kasi.

Tygrysia Lilio, kiedyś byłaś dzika. Gdzie jesteś teraz, Piękna Katarino?

— Skończysz wreszcie z tym rzyganiem? — Pod drzwiami łazienki niecierpliwiła się matka.

Nie mogłabym jej odpowiedzieć, nawet gdybym chciała. Co prawda skończyło się we mnie kakao, ale teraz z moich ust tryskała rzeka wymiocin w kolorze lilaróż. I wtedy pomyślałam, że

może to coś na dnie mojego oka, to wcale nie jest Kasia, tylko stara pocziwa śmierć, i że trzeba wypuścić ją na zewnątrz, a ona poradzi sobie ze wszystkim, wypełni łazienkę, dom, całe pieprzone miasto.

Moja matka nie rozumiała takich spraw. W przeciwieństwie do mnie była przekonana, że panuje nad swoim życiem. Ja nie panowałam nad niczym. Nie mogłam nawet przestać rzygać.

Raptem, nadal wypuszczając z siebie rzekę lilaróż, jej *panta rhei* nie do zatrzymania, przypomniałam sobie sen, jaki śniłam po mojej ostatniej rozmowie z Kasią (wcale nie wiedziałam, że jest ostatnia). Przyśniła mi się wówczas dwugłowa antylopa. Na imię miała Dziewica-Dziwka. Głowy bez przerwy klóciły się między sobą i każda była nieszczęśliwa. Aż przyszedł myśliwy. Zalśniło ostrze. Głowy zadrżały. Kiedy je zostawił, mogły już tylko leżeć i krwawić.

Kwadrans później rzeka przestała płynąć, pozostawiając we mnie wyschnięte koryto, a ja, pochylona tym razem nad wanną, odkręciłam kurek po lewej, ten z błękitną kropeczką, i wpatrując się w odpływ jak w źrenicę nieznanej białej istoty, która nikomu nie współczuje i niczemu się nie dziwi, po raz pierwszy poczułam nieubłaganą, bolesną pewność (to uczucie nachodzi mnie do dziś, sprawiając, że z trudem łapię oddech) — jeden po drugim przepadną wszyscy ukochani i ani powtarzanie, że to nie może być prawda („A jednak — mrugała do mnie źrenica — najprawdziwsza prawda!”), to stać się nie mogło, to wcale się nie stało („Dziewczynko, chcesz się założyć?”), ani trzymanie głowy pod lodowatą wodą, żadna z tych rzeczy nie odda mi ich z powrotem.

— No nareszcie — powiedziała matka, kiedy wyszłam z łazienki, z mokrymi włosami, tak pusta, jakbym była wydrążona. — Na przyszłość rzygaj do sedesu, to się o wiele łatwiej sprząta.

Następnego dnia przed wyjściem z domu schowałam dłonie do kieszeni. Tak na wszelki wypadek. Czulałam się przeklętą. Jak człowiek, który ma taki dar, że czegokolwiek dotknie, na jego oczach obraca się w proch — wszystkie budynki, wszyscy ludzie — aż na końcu ten człowiek zostaje sam w zburzonym mieście. W strzelistej katedrze usypanej z piasku.

7. Nagi kuzyn, czyli o tym, jak spotkałam diabła

— Po moim trupie! — oświadczyła matka, bo właśnie zakochałam się po raz drugi.

Jasne, że wojna między nami była czymś nieuniknionym, niemniej *casus belli* pojawił się z najmniej spodziewanej strony i muszę się wam przyznać — wcale nie byłam na to gotowa. Ale po kolei.

Kiedy pewnego dnia, we wrześniu, kuzyn przekroczył próg naszego mieszkania, wypatrywałam, czy nie ciągnie za sobą trupa swojego ojca, niczym latawca na sznurku, z tych błękitnych, furkoczających na wietrze jak ptaki. Nie ciągnął. W ogóle nie był do niego podobny. Przyjechał na podyplomowe studia. Zamieszkał w starym pokoju ojca. Miał mnóstwo książek i profil Apolla.

W dzieciństwie naprawdę go nienawidziłam. Ukradł mi klaser, a w nim srebrną monetę z papieżem. Udawałam, że o niczym nie wiem. Z kolei on zachował dyskrecję po tym jak ksiądz, w ramach prywatnych rekolekcji, kazał mi klęczeć na kościelnej posadzce przez upiornie długą godzinę.

Z tym księdzem to było tak:

Matka wysłała mnie na wieś akurat w sam raz na procesję czerwcową. Razem ze wszystkimi musiałam maszerować polną drogą, śpiewając: „Święty, święty!”. Już po pierwszej stacji miałam tego dosyć. Uwierały mnie za ciasne lakierki: matka upierała się, że nie kupi mi nowych, dopóki te nie są zniszczone.

„Przecież są dobre” — tak mi powiedziała.

Ale one wcale nie były dobre — były za małe o dwa numery! Wystarczyło kilka kroków —

na palcach i pięcie zrobiły mi się bąble wielkości ziaren fasoli. Nie wiem jak wy, ale kiedy mnie bolą nogi, nie mam ochoty na nic, a już na pewno chodzić.

W ogóle tego dnia czułam się jak więzień. Ciotka nie spuszczała mnie z oka. Jakby ciotki było mało, matka wysłała mnie na wieś w towarzystwie naszej sąsiadki, starej panny, która do dziś nosi w sercu Boga. „Mam Chrystusa w sercu”, zwykła mawiać. Myślę, że ten Chrystus jest naprawdę mały.

To było prawdziwe piekło. Szłam obok kuzyna. Słońce rosło nad nami z każdym krokiem, i raz, i dwa, sprawiając ból oczom. Bożocielny kondukt toczył się ze śpiewem. Kobiety, ubrane na czarno, kiwały się jak płaczki. Wzdłuż ścieżki powiewały kolorowe wstążki: czerwone, żółte, niebieskie. Grzeczne dziewczynki biegły przodem, rzucając na ścieżkę płatki róż. Czterej zakonnicy nieśli złoty baldachim, pod którym puszył się ksiądz — paradował dumny niby paw, w pulchnych dłoniach trzymając monstrancję. Tuż za nim na błękitnej poduszce frunęła w powietrzu gipsowa Maryja. „Taka to ma dobrze — powiedziałam sobie. — Nie musi chodzić i pewnie nigdy nie robią się jej bąble”.

— O Jezui! — w tej samej chwili krzyknęła sąsiadka i z ręką na sercu upadła na ziemię.

Powstał straszliwy zamęt. Ciotka zalała się łzami. Sąsiadkę skropiono święconą wodą. Płaczki pochyliły się nad omdlałą, wachlując jej twarz czarnymi chusteczkami; wyglądało to na zlot czarnych motyli. Wykorzystując zamieszanie, schowaliśmy się z kuzynem w wysokiej trawie. Zdjęłam buty, z ulgą stwierdzając, że nawet mały Chrystus czasem się przydaje.

Wkrótce opuściliśmy sąsiadkę i procesja ruszyła dalej. Przypominała czarny karawan; raz-dwa zniknęła za zakrętem. Z oddali niósł się jeszcze śpiew. Wyszliśmy z powrotem na ścieżkę. Ale co to? — przecierałam oczy ze zdumienia, bo w międzyczasie ścieżka zakwitła. Staliśmy pośrodku różanego morza. Pod moimi bosymi stopami falowały na wietrze ofiarowane Maryi kwiaty.

Wtedy kuzyn zapytał:

— Chcesz zobaczyć, jak sikam?

Nie odpowiedziałam, kucnęłam tylko. Pomyślał chyba, że chcę. Wyjął ze spodni siusiaka. Przez chwilę nic się nie działo. Kuzyn skrzywił się nagle, jakby niósł straszliwy ciężar. Siusiak napęczniał i chlusnął znieczeka żółtym strumieniem w sam środek różanego morza, w te boziowe płatki.

— Pójdiesz, synu, do piekła. — Zaniósłam się śmiechem. Nie chciałam być gorsza.

— Czekajcie, maryjne kwiatuszki, już ja wam pokażę!

Kiedy jest się małą dziewczynką, sikanie wcale nie jest takie proste, jak mogłoby się zdawać: wystarczy chwila nieuwagi i można nasikać sobie do buta. Spojrzałam na moje bosa stopy, no i to był ten moment, kiedy podziękowałam małemu Chrystusowi po raz drugi.

Ciągle kucając, jedną ręką uniosłam sukienkę, drugą opuściłam majtki. Patrzyłam, jak chudy żółty wąż sunie wskroś ścieżki i chowa się w trawie. Nie zdążył się schować, a my już biegliśmy. Za nami biegł wiatr. Dogonił nas na łące pełnej dmuchawców o owalnych, półprzezroczystych koronach. Rety, ile tego było! Ich nasionka frunęły za nami na małych pierzastych spadochronach, całkiem jakby chciały nas zatrzymać. Ale tego dnia nie zatrzymałyby nas nikt i nic, nawet Bóg.

Zaraz za łąką był stary cmentarz. Kuzyn mówił, że pochowano na nim żołnierzy. Tak naprawdę to wcale nie był cmentarz, tylko trawnik zryty przez krety: dzień po dniu zapadają się groby, nagrobki murszeją, toczy je pleśń, zarasta trawa i niedługo nikt nie będzie pamiętał, że oni tu zostali i że kiedyś byli.

— Wyglądasz jak Chrystus! — nagle zawołał kuzyn, wskazując na jedną z nagrobnych figur; tych figur było naprawdę dużo: naraz wszystkie zwróciły ku nam zimne, puste oczy, jakby patrzyły na nas z otchłani.

Kuzyn miał rację. Kamienny Jezus był mojego wzrostu, włosy miał długie, jak ja potargane, i w ogóle taki był do mnie podobny, że mógłby ktoś krzyknąć: „Spójrzcie, to ta miastowa tam stoi wśród mogił!”

— To Jezus jest dziewczynką? — zdziwił się kuzyn.

Długo się tak dziwił. Ja dziwiłam się sennej jaszczurce, która wyrosła przed nami na środku piaszczystej drogi, kiedy wracaliśmy. Wpatrywała się w nas nieruchomym okiem, póki nie czmychnęła, spłoszona moim cieniem.

Ogromna kula słońca stała w bezruchu na niebie. Skowronki dławiły się śpiewem, szybując coraz leniwiej, jakby nie mogły się doczekać zmierzchu, który da im znak, że czas, aby wreszcie spoczęły w gniazdach, gdzie sen rozpręży ich małe jęczyczki. Na razie był dzień i słońce przykuwało nas do ziemi nieludzkim ciężarem, jakby ktoś wlewał w nas roztopiony ołów.

Postanowiliśmy schować się w kościele, a potem niczym królik z cylindra magika pojawić w stosownym momencie w trakcie wieńczącej procesję mszy. Plan wydawał się doskonały. Kuzyn ukrył się w konfesjonale, ja — pod jedną z tylnych ławek; miałam sześć lat i byłam tak mała, że jeśli tylko chciałam, dałabym radę wcisnąć się wszędzie, a chciałam akurat tam. W kościele panowała grobowa cisza, raz po raz zakłócana brzęczeniem much. Nie wiem, czy to przez upał, czy przez monotonne musze bzyczenie, ale w jednej chwili odpłynęłam, daleko, hen, hen. Obudził mnie dopiero dźwięk dzwoneczków. Zaraz potem zaintonowano pieśń na wyjście. „Do diabła! — pomyślałam. — Przegapiłam szansę na cudowne objawienie”.

Nad moją głową zaszurały buty, coś jak przemarsz wojska. W jednej chwili kościół opustoszał. Pozostałam na tyłach wroga. Byłam urodzonym szpiegiem. Wyszłam spod ławki i podeszłam do głównego ołtarza. Chciałam z bliska przyjrzeć się Bozi. Tak jak myślałam, była bardzo mała. Gdyby stanęła na podłodze, sięgałaby mi najwyżej do pasa. Dotknęłam jej palcem. Lepiła się od kurzu. Maryja brudaska. Miejscami odchodziła z niej błękitna farba. Oczy miała krzywe — jedno większe od drugiego — i obtłuczony ogromny nochal. Musiało być jej ciężko — Chrystusik był tłusty jak prosię, a ona trzymała go jedną ręką. On także był brudny.

— No tak być nie może. Zaraz zrobimy z wami porządek.

Tarłam Maryję rękawem sukienki, aż brud zaczął schodzić. Za to Chrystusik za nic nie chciał się umyć.

— A to brudna świnią.

Zebrawszy ślinę w ustach, strzyknęłam, a pluć, trzeba wam wiedzieć, potrafię pierwsza klasa. Na kulfonie dziecięczechka zawisł gęsty glut. Usłyszałam kroki, odwróciłam się i zamarłam. Pulchny proboszcz wobec takiej profanacji zamarł także. Kiedy się wreszcie odezwał, głos miał piskliwy z wściekłości, jakby poddano go kastracji albo jakoś tak.

— Poczekaj, zarazo, tylko podrośnij, własnoręcznie spalę cię na stosie. A ty, Boże, patrzysz i nie grzmisz, gdy szatański pomiot szarga świętości! — mówiąc to, zamachał pięścią w stronę nieba, jakby komuś groził.

Potem kazał mi klęczeć, więc klęczałam, tak na wszelki wypadek, żeby mnie nie spalił. Proboszcz, widząc, że jestem potulna bardziej niż stado baranków, trochę się rozchmurzył. Nawet pogłaskał mnie po głowie.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Raz jeszcze przyjrzałam się figurze, ale nie dostrzegłam w niej nic świętego. Może trzeba ją rozbić, żeby to zobaczyć? O co właściwie ten proboszcz się złościł? Woleli modlić się do brudaski? No najwyraźniej.

Tak sobie klęczałam, myśląc o tym wszystkim, i jeszcze, co robi Bozia, kiedy chce jej się sikać, i że Bóg mieszka w kościele wielkim jak pałac, choć jest taki mały, że wcale go nie ma, i pewnie klęczałabym tam do dzisiaj, ale znalazł mnie kuzyn i zabrał do domu. Musiał mnie nieść przez całą drogę — od zimnej posadzki zdrętwiały mi nogi.

— Dzieci, idziemy po dary. Macie wyglądać jak siedem nieszczęść — oświadczyła ciotka w jakiś czas po owej nieszczęsnej procesji.

Bo trzeba wam wiedzieć, że były to czasy, gdy na adres plebanii dobrzy ludzie z Ameryki przysyłali paczki dla biednych. No więc najbiedniejsi byli u nas lekarze, prawnicy, masarze — widywano ich odjeżdżających spod plebanii późno w nocy; ich auta były załadowane dobrami nie z tego świata, a przynajmniej tak twierdziła ciotka.

— Tak być nie może. Nam też się coś należy — powiedziała i żeby zrobić lepsze wrażenie, zabrała ze sobą swojego kuzyna i mnie w charakterze biednej sierotki; pożyczyla nawet jakiegoś dziecko od sąsiadów.

Inni chyba też wpadli na podobny pomysł, bo przed plebanią zebrał się spory tłum dzieci. Czekaliśmy całą wieczność. Kiedy wreszcie weszliśmy do środka, ksiądz wcale nie chciał nas przyjąć, ale na mój widok podrapał się po tyłej głowie i ostatecznie wręczył ciotce niewielki kartonik. Na paczkę składało się, co następuje: wilgotny cukier, zatęchła mąka, roztopiona czekolada, stare kakao i śmierdzący chlorem proszek do prania. Ciotka była wściekła; rzuciła się po pokoju jak ranna hiena. Co do mnie, byłam więcej niż szczęśliwa. „Biedna sierotko... — powiedziałam sobie — od dzisiaj będziesz każdego dnia klęczeć na zimnych kościelnych posadzkach, bez marudzenia; tu, na wsi, dają za to czekoladę”. I nawet przez jakiś czas klęczałam, ale czekolady nikt mi więcej nie dał.

Przez resztę owego lata bawiłam się w cmentarz. Spacerowałam wzdłuż szosy i zawsze znajdowałam coś martwego. W ogrodzie ciotki urządzałam pogrzeby wróblom, żabom, popielatym myszom, jaszczurkom o zasuszonych odwłokach, z których skóra odchodziła, szeleszcząc jak papier. To ja pochowałam ślepe kocięta, które ciotka uczyła pływać, ale ostatecznie skończyło się na tym, że wyprawiła je w podróż na samo dno beczki. Nad rzędem kocich mogiłek ustawiłam lalki — na mój znak kiwały gumowymi głowami. Lalki nie za bardzo nadawały się na żałobników: nie umiały płakać — ale to mnie nie zrażało. Szczerze mówiąc, urządzałam pogrzeby wszystkiemu, co tylko wpadło mi w ręce, nawet kurzej łapie, którą pewnego dnia znalazłam na dnie talerza: wystawała z zupy, celując we mnie różowymi szponami. Tak więc zbierałam to wszystko i kiedy nikt nie patrzył, zakopywałam w ziemi. Jakby to wcale nie były trupki, tylko skarb piratów.

A potem stała się tragedia. Niewielka, ale jednak. Złe psy dostały się do moich grobów i wszystko z nich wywlokły. Po kilku dniach pochowane przeze mnie zwierzęta wyglądały całkiem inaczej: śmierdziały, zrobiły się czarne i nie miały oczu, jakby tam, pod ziemią, nie istniał świat, który można by było oglądać. Kuzyn przez cały dzień sprzątał z podwórka szerniałe ścierwa, białe kości i czaszki. Ja bałam się żuków grabarzy z pomarańczową pręgą na odwłokach, podłużnych, kosmatych robaków i mrówek, które kuzyn wytrząsał z tych truchełek garściami, specjalnie żeby mnie straszyc i żebym piszczała. No i piszczałam — oj, jeszcze jak!

Poza tym była burza, kiedy ukryliśmy się w stogu siana i zewsząd otaczał nas kumarynowy zapach ściętej koniczyny; był mój upadek z dzikiej jabłoni, na której rajskie jabłuszka zawiązywały papużkowo zielone cierpkie owoce i był nasz pierwszy całus, pod tą właśnie jabłonią, niewyobrażalnie wprost zaśliniony; i nie pamiętam, co jeszcze było owego lata, ale kiedy odjeżdżałam, kuzyn strasznie płakał.

Teraz, po tylu latach, wszystko znów odżyło między nami. A matka dostała szału, kiedy weszła do łazienki bez pukania — jak to miała w zwyczaju — i zastała nas nagich.

— Ty zmijo! — Sekundę później wykręcała mi rękę. — Wyhodowałam potwora. Własnym mlekiem wykarmiłam taką ciemnotę.

To nie była prawda. Nigdy nie karmiła mnie piersią, wołała odciągać pokarm i wylewać do sedesu, ale jak każdy zapamiętała przeszłość w wygodnej dla siebie wersji. Twierdziła na

przykład, że zawsze lubiła muzykę poważną — mówiła tak, bo ojciec bardzo ją lubił — no więc matka też ją lubiła, tylko musiała mieć na nią nastrój, ale jakoś nigdy go nie miała. Szkoda, bo w tej scenie wyobrażam sobie ścieżkę dźwiękową z Bacha. Albo marsz żałobny.

Zaciągnęła mnie do mojego pokoju, pchnęła na łóżko, a sama z teatralnym westchnieniem opadła na krzesło. I kiedy tak przed nią siedziałam, poczułam się obnażona bezbrzeżnie i bezradna. Zupełnie jak wtedy, gdy w wieku ośmiu lat niefortunnie spadłam z łóżka, łamiąc przy tym obojczyk. Pamiętam to dobrze — matka, lamentując nad swoim losem („Takie dziecko to skaranie boże!”), posadziła mnie na tapczanie, daleko od ściany. Nie mogłam się o nic oprzeć. Każdy ruch, każdy oddech sprawiał mi ból. Wpatrywałam się w zegar, prosząc Boga, żeby, jeśli może, spróbował go przewinać, ale najwyraźniej nawet Bóg był bezradny wobec zegara i mojej matki, która zanim zabrała mnie do szpitala, ze stoickim spokojem zjadła śniadanie, wykąpała się, wysuszyła włosy, założyła czarną sukienkę i czarny kapelusz, wreszcie dała mi ręką znak, że już czas, a ja pomyślałam, że wybieramy się na mój pogrzeb.

„Gdzie ja to wszystko mieszczę, te niepotrzebne wspomnienia?” — zastanawiałam się teraz, podczas gdy matka wpatrywała się we mnie wzrokiem bazyliuszka — aż dziw, że nie zmieniałam się od tego w kamień.

Obchodziło ją tylko, czy z nim spałam. „Spółkowanie” — tak to nazwała. A ja żałowałam, że nie zdążyłam.

— Nie będziesz mi tu średniowiecza urządzać. Kazirodztwo? W moim domu? Nigdy!

— Ale ja go kocham.

— To się nie liczy. Tyle lat wyrzeczeń i za grosz szacunku. Chcesz mnie ośmieszyć przed całą rodziną? — Pocierała nos dłonią. Robiła tak zawsze, kiedy była wściekła. — Gdybyś mnie szanowała, w ogóle nie przyszłoby ci to do głowy. Co ty wiesz o miłości? Pierwsze lepsze portki. Księżna Diana, ta to dopiero kochała.

— Chcemy się pobrać. To chyba nie zbrodnia?

— Ty chyba oszalałaś! Nikt nie udzieli takiego ślubu.

— Owszem, udzieli. Nawet kościelny. Wystarczy dyspensa.

— Nigdy! Rozumiesz? Nigdy! — wrzeszczała.

Uderzyła mnie w twarz. Odruchowo nadstawiłam drugi policzek (trzeba przyznać, lata życia z babką nie poszły tak całkiem na marne); dopiero przy trzecim policzku próbowałam się zasłaniać. Rozwścieczyło to matkę. Zerwawszy się z krzesła, zaczęła okładać mnie pięściami. Celowała w piersi i brzuch. Biła z całej siły.

— W mojej rodzinie nie będzie dańniaków! Nie będziesz, kurwo, rodzić potworków!

Znacie ten moment, kiedy chcecie wierzyć, że to wszystko wcale nie dzieje się naprawdę, musicie się tylko obudzić? Nie mogłam się obudzić, chociaż próbowałam. „Więc jednak jej się udało, ostatecznie mnie złamała” — zdążyłam pomyśleć, zanim zemdlałam.

Kuzyn wyprowadził się z samego rana. Nie wiem, jakie piekło urządziła mu matka, ale musiało być niezłego formatu. Nad ranem jego zielone oczy były czerwone i mętne.

— Jedź ze mną — prosił, stojąc w drzwiach.

Milczałam. Matka czekała w kuchni. Wiedziałam, że wszystko słyszy.

— Teraz już rozumiem, czemu zawsze byłaś smutna... — Pocałował mnie i wyszedł.

— Grzeczna dziewczynka — chwaliła mnie matka.

To jest ten moment na filmach, kiedy bohaterka uświadamia sobie, że na peronie zostawiła walizkę i miłość, więc szarpie za ręczny hamulec pociągu, a potem biegnie w strugach deszczu (deszcz, koniecznie!), dogania ukochanego, rzuca się w jego ramiona (wygląda to zawsze tak, jakby skakała z mostu), a potem oboje są mokrzy i szczęśliwi, i tak już do końca.

To nie był film. Stałam i gapiłam się na drzwi. Czułam, że wybuchnę, jakbym pod skórą

miała nitroglicerynę. Ale nie wybuchłam. W ogóle nic nie zrobiłam.

Przez jakiś czas kuzyn pisał do mnie wzruszające listy, takie, w których ciągle mnie kocha. Potem przestał. Wtedy zaczęłam płakać. Wiedziałam, że przegrałam.

Zachowywałam się jak automat. Po powrocie z zajęć zamykałam się w pokoju i godzinami gapiałam się przez okno. W nocy nie mogłam spać. Obserwując światła przejeżdżających aut, układające się na suficie w dziwaczne wzory, podobne do plam Rorschacha, splatałam dłonie na piersiach i wyobrażałam sobie, że leżę w trumnie. Wreszcie wschodziło słońce i spodnia strona moich powiek stawała się czerwona całą czerwienią tego świata.

A potem w ogóle przestałam wstawać. Za to jadłam bez przerwy, aż stałam się tłusta jak sztucznie tuczona gęś, której wpychają zimną metalową rurę prosto do gardła; przez tę rurę pompują karmę — jeszcze i jeszcze — aż pęknie coś w środku, w tej gęsi. Ja też chciałam pęknąć. Chciałam być brzydka i martwa. I żeby świat się skończył. Już! Zaraz!

Po miesiącu, kiedy wreszcie wstałam, przypominałam księżniczkę zamienioną w paskudne żabsko.

— Nareszcie wyglądasz zdrowo — triumfowała matka.

„Dosyć!” — tak sobie wtedy pomyślałam. To był ten moment, kiedy ja i świat mieliśmy siebie po dziurki w nosie.

Okazja trafiła się sama: zadzwoniła Joanna i wyciągnęła mnie do klubu, nad drzwiami którego pulsował neon układający się w litery „Błękitna Iguana” czy jakąś inną, równie egzotyczną nazwę, i w tym klubie właśnie zrobiłam coś, czego — dobrze to wiedziałam — nie wolno robić pod żadnym pozorem: zmieszałam ecstazy z alkoholem (mowa o starym dobrym ecstazy i — możecie mi wierzyć — w tamtych czasach wziąć kilka dropsów znaczyło tyle, co zostać kopniętym przez konia).

Nie zrobiłam tego przez przypadek. Naprawdę chciałam się zabić...

Barwne figurki młodych ludzi podrygiwały w dzikim tańcu. Joanna ocierała się na parkiecie o krocze nochatego młodzieńca, a ja, siedząc na miękkiej sofie, w rytm pulsującego stroboskopu łykałam piguły, jedną po drugiej, popijając je wermutem. Jeszcze dziś, kiedy o tym myślę, czuję w ustach ten sam owocowy smak z nutą włoskich ziół, rozwijający się harmonijnie na wzór polifonicznej melodii.

To, co stało się potem, przypominało szkolną wycieczkę, jeszcze z czasów liceum, na której jedna z „kocic” wrzuciła mi do kawy LSD, a ja, nic o tym nie wiedząc, patrzyłam przez szybę pociągu na machające do mnie drzewa, na druty wysokiego napięcia splatające się w monstrialną pepowinę, na końcu której niczym świetlisty płód kołysał się świat.

Kiedy wiele lat później drugi raz oglądałam otaczające mnie pejzaże z perspektywy Lysergsäure (to jest opowieść, której nie sposób opowiedzieć: dwanaście godzin pod lysergidem, dawka czterysta mikrogramów), wszechświat przepływał przez moją głowę, póki całkiem nie rozpuścił się we mnie i póki ja nie rozpuściłam się całkiem we wszechświecie, aż na końcu nie byłam już sobą, kimś, w ogóle niczym oddzielnym i w tej wszechjedności nie było niczego, czego można by się bać, nikogo, do kogo można by tęsknić. Lubię myśleć, że tak jest po śmierci.

Ale tam, w pociągu, było inaczej. Kiedy zatrzymaliśmy się na stacji, za szybą wybuchły pełne wrzącego światła latarnie i jarzeniówka w przedziale zaczęła śpiewać (tak w praktyce wygląda synestezja). Zdałam sobie sprawę, że coś jest ze mną nie tak, bo ze ścian wagonu wyrosły długie, gęste włosy. To właśnie wtedy w szybie, tam, gdzie powinnam znaleźć własne odbicie, zobaczyłam pół zwierzęce, pół boskie stworzenie, otoczone aureolą neonowych bąbelków. W każdym bąbelku poruszały się embriony o chropowatych, jaszczurczych ogonach, setki, tysiące, miliony, całe skupiska embrionów, ułożone w kwiatostany pęcherzyków, okrągłych jak ikra. Wydałam z siebie ciche „ach!” w chwili, gdy zrozumiałam, że to ja jestem tym stworzeniem odbijającym się w szybie, i poczułam się tak śmiertelna i lekka, jakbym zstępowała do wnętrza martwej gwiazdy. Ponieważ, zaprawdę, spadałam do środka gwiazdy. Ponieważ patrzyłam w ślepe oko Boga.

W klubie „Błękitna Iguana” dno owej gwiazdy było nieco twardsze. Spadłam z sofy na podłogę i za nic nie mogłam się podnieść. Z ust zaczęła kapać mi ślina — wtedy się przestraszyłam. Figurki dalej tańczyły, ale były coraz mniejsze, coraz bardziej nierealne. Ktoś, stojący najbliżej, na mój widok zaczął panikować. Panika rozeszła się po sali jak fala uderzeniowa po wybuchu bomby. Nawet Joanna straciła głowę.

Och, jakże byłam naiwna, sądząc, że tak będzie lepiej — umrę sobie i spotkam Boga, i on mi wreszcie wyjaśni, do czego służy życie, ale zamiast tego spotkałam diabła, nosił satynowy stanik i czerwone szpilki, wyglądał trochę jak ciotka, trochę jak „chrystusowa” sąsiadka, jak Dolly i Kasia, jak moja babka, jak moja matka (to oczywiste), ale najbardziej jak ja sama, jakby diabeł był supłem zaplecionym ze wszystkich kobiet od początku świata.

— Nie tak szybko, kochanie — powiedziała pramatka, czyli diabeł. — Będiesz żyła, ja ci to załatwię.

I otworzyłam oczy. I zobaczyłam nad sobą naprawdę paskudne oblicze. „Jest tak brzydkie, że żadnym cudem nie może należeć do Anioła Stróża” — pomyślałam. Sekundę później zdałam sobie sprawę, że to twarz jednego ze znajomych Joanny, „Prosiaczka” (ponieważ był przeraźliwie chudy, zabawnie było tak na niego mówić).

— Wiewiórka, dobrze będzie, tylko, cholera, deczko jesteś sina.

„Prosiaczek” znalazł się na rzeczy. Wiedział wszystko o dragach. Z miejsca zdjął mi buty, poluźnił ubranie. Wiedziałam, że jestem w dobrych rękach. Z ulgą zamknęłam oczy i zapadłam w ciemność.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, kiedy kilka godzin później odzyskałam przytomność, był

księżyc w pełni, przepływał przed moimi oczami jak śnięta ryba. Po chwili mój wzrok przyzwyczał się do półmroku, a ja zdałam sobie sprawę, że to nie księżyc, ale twarz dziewczyny z chorobą Cushinga.

Właściwie nie był to szpital, tylko burdel. Leżałyśmy pokotem, tuzin bladych ciał jak omotane w prześcieradła tłumoki. Stare kobiety, suche jak jaszczurki, poupychane obok młodych, i wszystkie półżywe, za przeszklonymi drzwiami, jakbyśmy spoczywały pośrodku klejnotu.

Do sali weszły dwie pielęgniarki. Jedna zatrzymała się przy moim łóżku, przez chwilę pochylała się nade mną. Zdażyłam zauważyć, że skóra na jej twarzy pokryta jest siecią żyłek, niczym dno starego porcelanowego kubka. Druga otworzyła okiennice ruchem tak zmysłowym, jakby rozkładała nogi, ukazując małe kocie niebo. W szybie odbijały się usta wilgotne jak penis świni — to kobieta siedząca na łóżku obok okna rozchyliła wargi i wystawiła język. Robiła sobie zastrzyk z insuliny. W ciągu kolejnych dni będzie robiła ich jeszcze tak wiele, aż na jej brzuchu wykwitnie mały siniak, ale w chwili, gdy na nią patrzę, trafia na zrost, syczy, strzykawka upada na podłogę; żadna z pielęgniarek tego nie widzi.

Na moje szczęście nikt nie podejrzewał, że chciałam się zabić, i całą sprawę uznano za wypadek. W przeciwnym razie trafiłabym do wariatkowa jak każdy samobójca partacz. Zresztą w przyszłości i tak miałam tam trafić.

Następnego dnia obudziłam się, słysząc głos Joanny. Myślałam, że to sen, ale ona naprawdę trzymała mnie za rękę, czytając na głos wypożyczoną ze szpitalnej biblioteki książkę. Był to poradnik hodowcy pszczół; lektura w sam raz dla żeńskich oddziałów.

Szło to mniej więcej tak:

Królowa spoczywa w jednym z żółtych plastrów w woskowym domu o słodkiej woni miodu. Obcięto jej skrzydła, żeby nie mogła stamtąd uciec. Bezwolna i cicha musi pozostać w miniaturowym brzęczącym więzieniu. Jej jest królestwo. Na zewnątrz trwa być może życie, dni mijają, drzewa rzucają cień rozłożysty jak baobab, a potem zachodzi kolejne słońce, ale ona nic o tym nie wie. Karmią ją sztucznym cukrem firmy Tate&Tate. Od czasu do czasu wrzucają do jej komnaty trutnia; „masz go kochać” — mówią, więc ona go kocha, jakby był klejnotem. Po wszystkich ci w białych fartuchach małymi szczypcami miażdżą mu głowę, a potem ona rodzi dzieci, dużo dzieci; śpią obok niej, zamknięte w szczelnych, żółtych plastrach. Na końcu przychodzi dym, za sprawą tych, którzy ją karmili, więc okopconca i senna pozwala się stamtąd zabrać. Być może jest im wdzięczna, myśląc, że są zbawieniem, ale oni wyjmują plaster po plasterze. Wkładają je do olbrzymich maszyn. W tych plastrach, oprócz miodu, znajdują się także jej dzieci i kiedy bęben maszyny zaczyna się obracać, ona słyszy przez sen ich krzyk, ale nie może na to nic poradzić.

No więc dobrze... tak naprawdę to szło trochę inaczej.

Lubiłam, kiedy Joanna czytała. Jej ciepły, niski głos znaczył dla mnie tyle, co świeża bryza nad pachnącego solą morza w kurortach kuracjuszy wracających do zdrowia.

Dni przesuwwały się mimowolnie. Czasami matka zjawiała się przy moim łóżku, podobna do upiora. Kręciła głową, mamrocząc: „Dziecko, dziecko”. Wtedy udawałam, że śpię.

Aż któregoś dnia w trakcie obchodu ordynator skrzywił się na mój widok; wziął mnie za symulantkę; „ty diable!”, pogroził mi palcem, a potem wyrzucili mnie z bezpiecznego kokonu szpitala z powrotem w świat, zimny i groźny, nad którym jak gdyby nigdy nic wisiało sobie całkiem nowe słońce.

II. Poczwarzka. Z głową w króliczej norze

8. Uciąć jej drzemkę

Teraz będzie o tym, jak próbowałam żyć normalnie. Bóg mi świadkiem, próbowałam. Ze wszystkich sił. Nie skończyło się to dla mnie najlepiej, a zaczęło się od snu.

Przyśniło mi się, że rodzę moją matkę. W tym śnie było tak:

— Proszę przec. To nie wczasy! — wrzeszczy położna.

Ma nieświeży oddech i kiedy pochyla się nade mną, muszę odwrócić głowę.

Ale to jeszcze nie było najgorsze — motyle, wszędzie motyle! Szybowały nade mną, jak gdyby nigdy nic. Identyczne okazy *aglais urticae* zwiastowały niegdyś śmierć mojej babki. Te tutejsze, tak sobie wtedy pomyślałam, być może też są jakimś zwiastowaniem, ale czy złym, czy dobrym, nie miałam pojęcia — nieszczęśliwie dobrze znam się na znakach tego rodzaju; z zasady skłonna jestem każde *augurium* brać za fatum.

Motyle podążały za mną z sali przyjęć, gdzie zostawiłam biżuterię i ubranie, jakbym była Inaną zstępującą do podziemnego świata, dalej, przez wąskie korytarze, przez które szłam w fartuchu sznurowanym na plecach, świecąc gołym tyłkiem (w połowie drogi zaczęłam krwawić), aż do białego pokoiku. Przyszło mi go dzielić z czterema krowiastymi matkami, stworzeniami o ciężkich, nabrzmiałych wymionach, zwieńczonych lepkiemi guziczkami sutków — odznaczają się wyraźnie spod cienkich satynowych szlafroczków, zupełnie jakby były czterema parami dodatkowych oczu i jakby te oczy mogły na mnie patrzeć. Tyle o sutkach. Ich posiadaczki nie zwracają na mnie uwagi; leniwe i senne przewracają się z boku na bok. Położna najpierw wygoliła, potem wymyła mnie dokładnie i teraz leżę pośród nich, dziewicza niczym pierwszy śnieg, czystsza niż zakonnica.

Na zewnątrz my, kobiety, przypominamy trochę burdel, a trochę ptaszarnię, ale tutaj wszystkie jesteśmy nijakie — właściwie taki widoczek: drzewa ogołoczone z liści przez huragan.

Co jakiś czas pielęgniarki przynoszą dzieci: płaskonose, wrzeszczące stworzenia podobne do Eskimosów. Eskimosi są głodni. Uciszą się dopiero, gdy poczują mleko; w powietrzu unosi się jego słodkawy zapach; kiedy jedzą, wodniste i ciepłe cieknie im po brodach. Ja jedna nie mam dziecka. Mam za to wysokie wzgórze zamiast brzucha, a niżej szczelinę, głęboką jak rana. Skóra wokół owej szczeliny została natarta jodyną; położna zrobiła to naprawdę porządnie i kiedy tak leżę — łysa i czysta — czuję się znowu jak mała dziewczynka.

Noworodki skończyły jeść, więc pielęgniarki wnoszą je z powrotem, zabierając ze sobą ich płacz, a brzmi to tak, jakby ciągnęły dziurawy balon na bardzo długim sznurku.

Tak więc leżę w małym, białym pokoju. Dali mi zastrzyk i nic już nie czuję, nawet płodu, który spoczywa we mnie głęboko, jakbym była kopalnią. Czas mija, a ja w tym czasie, jak zgodnie twierdzą świeżo upieczone matki, stopniowo staję się sina. Masz ci los; gdyby mój malarz miał mnie teraz malować, na obrazie moja twarz i wypucowane jodyną krocze jak nic miałyby odcień paryskiego błękitu. Nie wiem, czy znacie ten błękit, ja w każdym razie znam ten szpital. Pamiętam, jak kiedyś liczyłam w nim odległość od porodówki do kostnicy, ile kroków je dzieli, i okazało się, że mało; to było wtedy, kiedy mój tatuś dostał wylewu i sikał po nogach, a ja modliłam się na korytarzu.

Ale oto zjawiają się studenci; wkładają gumowe rękawiczki i grzebią we mnie bez cienia emocji; nawet nie udają, że ich coś obchodzi. Przychodzi lekarz, poprawia okulary, wygląda przez okno, potem wygląda, jakby się wahał, wreszcie nurkuje między moje nogi. Zastrzyk dawno przestał działać, więc boli mnie wszystko; nawet jego palce, które są teraz we mnie razem z połową dłoni — one też mnie boją.

— Aha! — mówi lekarz z triumfem, jakby coś wiedział, chociaż nie wie nic.

Gdybym go spytała — jestem pewna — nie umiałby mi wyjaśnić żadnej ze spraw istotnych, na przykład do czego służy życie, a jednak zastygam, pełna nadziei. Trwa to długo, naprawdę długo, tak długo, aż myślę, że lekarz musiał zasnąć, serio, z połową dłoni we mnie, ale właśnie wtedy — niczym dyrygent szykujący orkiestrę do koncertu — wolną ręką daje mi znak.

— Wysokie C, poproszę.

Więc posłusznie wydaję z siebie wysokie C, jakbym była dzwonkiem.

Na łóżku obok leży E z bemolem. Lekarz wskazuje nas na zmianę, a my dzwonimy jedna przez drugą. Przez długi czas nie jest z nas zadowolony; wreszcie osiągamy dźwięk o odpowiedniej czystości, a wtedy studenci biją nam brawo. Dopiero po tym zawożą mnie na porodówkę. Niestety, motyle są tam przede mną. Setki. Tysiące. Barwnym skrzepem oblepiają ściany. Nad wszystkim buczy zepsuta świetlówka — można od tego oszaleć.

Każą mi się położyć na prosektoryjnym stole. Robię, co mówią, i nawet się nie dziwię, skąd taki stół na porodówce; niczemu się już nie dziwię. Przenika mnie śmiertelny chłód, całkiem jak wtedy, gdy dotykałam trupa mojej babki. Linoleum, które dostrzegam kątem oka, upstrzone jest ciemnymi plamami — czyjaś krew wżarła się jak rdza i tak już zostało. „To bardziej miejsce zbrodni niż porodówka” — przechodzi mi przez głowę; wszystko przez tę krew. W powietrzu unosi się gryzący zapach sterylności, wybielaczy i śmierci. Wokół krzątają się ludzie w gumowych rękawiczkach.

Teraz opowiem wam o tych ludziach. Z początku są spokojni; z chwili na chwilę stają się coraz bardziej nerwowi i czerwoni na twarzach. Problem w tym, że nie potrafią wyjąć ze mnie dziecka.

— Nie będziemy czekać w nieskończoność — mówi położna, ta z cuchnącym oddechem, przynosi nożyczki i rozcina mnie stąd dotąd.

Wyszarpuje mi z brzucha coś, co w pierwszej chwili przypomina mrożonego indyka; potem podnosi dłoń do ust, ale nie po to, żeby je wreszcie zatkać, tylko żeby krzyczeć.

No to ja już wiem, że coś poszło nie tak.

Przybiega lekarz-dyrygent i wrzeszczy. Jeśli byłam dzwonkiem, właśnie się popsulam; nie wydam już z siebie żadnego C. Dyrygent jest wściekły — bardzo brzydko z mojej strony, to mógł być naprawdę piękny koncert. Być może powinnam mu współczuć, ale współczuję sobie i salowym, bo w tym całym bałaganie najgorzej mają biedne salowe: potrzebują mnóstwa bawełny, kiedy wycierają z podłogi moje czerwone morze; właśnie wystąpiło z brzegów.

Dziecko nie płacze, bo, owszem, jest tam z nami dziecko. Świdruje mnie wodnistymi oczkami; przechodzą mnie od tego ciarki. Tak naprawdę to wcale nie jest dziecko, tylko plastikowa laleczka z twarzą mojej matki.

— Nieprawda. Jestem twoim dzieckiem — mówi laleczka. — Musisz mnie kochać.
— A potem zaczyna płakać, jak prawdziwe dziecko.

Właściwie chcę jej wierzyć. Mogłabym schować ją z powrotem, ale nie mam czasu myśleć o tym teraz, bo oto nakłuwają mi przedramiona; podłączają mnie do zimnych maszyn — te maszyny robią ping i pong, i jeszcze jakoś inaczej, i wszystkie wyglądają jak automaty do kawy — jakby nie wiedzieli, że jest już po wszystkim. Moja matka uśmiecha się do mnie uśmiechem Mona Lisy.

— Już czas, dziewczynko — mówi. — Teraz cię zabiję. Zapomnieli przeciąć pępowinę, więc będziesz mnie rodzić już zawsze, a ja już zawsze będę cię zabijać.

„Nie ma co, mam przesrane” — przechodzi mi przez głowę. Próbuje krzyczeć, ale nie mogę, jakbym usta miała pełne wody. Motyle są spokojne. Więc? Czy powinnam się wreszcie obudzić?

Obudziłam się z krzykiem. Leżałam, wsłuchując się w odległy dźwięk dzwonu, a potem zrozumiałam, że to nie żaden dzwon, tylko moje serce: brzmiało tak, jakby wcale nie biło w mojej piersi, tylko w oddali, hen, na wysokiej wieży.

Nazajutrz wstałam później niż zwykle. Mój Boże, ale cóż to za smród? Poszłam do kuchni sprawdzić, czy aby ktoś tam nie umarł, bo — słowo daję — w całym mieszkaniu cuchnęło wprost nieznośnie. Wszystko przez rybę i matkę. Na kuchennym blacie walały się rybie wnętrzności, pomiędzy nimi pławny pęcherz lśnił jak diament. Szybkimi ruchami wprawnych

palców matka spomiędzy ości wybierała mięso. To, co jeszcze przed chwilą było rybą, stopniowo ulegało dezintegracji; kawałek po kawałku trafiało do obtłuczonego garnka, który pamiętał beztroskie czasy Katariny i farbowanych majtek. Pomyślałam, że rybi pęcherz ma kształt mandorli, jaka otacza Chrystusów na średniowiecznych obrazach, nie wiedziałam tylko, gdzie są te Chrystusy, kiedy ich potrzebujemy. A może mandorla jest pusta, jak każdy pęcherz? Może tam, w środku, nie ma nic, czego można dotknąć i co dotknie w zamian? Mandorla pęknięta, mandorla strzaskana? Jedno było pewne: umrę. I żaden Chrystus nie umrze za mnie. Ani nikt.

— Łaskawie wstałaś? Co się z tobą dzieje, że śpisz do południa? — nie przeczuwając wzbierającej we mnie furii żywiołów zapytała matka, wrzucając do garnka tłusty kawałek mięsa.

Patrzyłam na przedwcześnie podstarzałą kobietę. Była mojego wzrostu, miała taki sam kolor włosów, nogi dużo zgrabniejsze od moich i o niebo lepszy profil. Filetowała rybę długim, ostrym nożem. Więc oto matka moja? Nie było powodu, żeby się jej bać: nie była żadnym Bogiem.

„Niewdzięczne z ciebie dziecko — mawiała często matka. — Zawsze byłaś taka. Wykapany tatuś. Masz mnie i dach nad głową, i nawet ci nie przyjdzie do głowy, że nie wszyscy na tym podłym świecie mają się tak dobrze”.

No o tym to akurat coś wiedziałam. Zaraz po wyjściu ze szpitala za sprawą sąsiadki — tej z Chrystusem w sercu — odbyłam praktyki w miejscu, które mogło być cyrkiem, ale nie było nim, tylko quasi-szpitalnym oddziałem dla chorych dzieci; prowadziły go zakonnice. Ilekroć wchodziłam do niskiego budynku o ścianach bielonych wapnem, miałam wrażenie, że to jednak cyrk: okratowane łóżeczka, jak małe klatki, a w nich figurki osobliwych stworzonek o ogromnych głowach i owadzych tułowiach, z których wyrastały przeraźliwie chude, pajęcze odnóża. Gdziekolwiek spojrzeć — zdeformowane ciała. Widok jak z gabinetu luster. Ale najgorszy był hałas. Wystarczyło przekroczyć próg, a już spowijał mnie krzyk dzieci z urazami mózgu, podobny do okrzyków malców w lunaparku, kiedy kolejka wspina się po torach, powoli, powoli, a potem, myk-myk, pędzi w dół — no więc tu było tak samo, tylko tysiąc razy straszniej.

Co do sąsiadki, nie żyłyśmy w zgodzie. Nasze stosunki popsuły się za sprawą majtek (czerwonych) i procesji (czarnej). Traf chciał, akurat wtedy, gdy wierni, śpiewając i wielbiąc, sunęli pod naszym blokiem, wywieszałam pranie na balkonie. Widząc to, sąsiadka, która właśnie wyjrzała przez okno (obok niej za szybą błyszczał w słońcu oprawiony w złotą ramę papież), zawołała, żebym zdjęła majtki, bo narażam święty sakrament na uszczerbek, na co ja do niej, że wcale nie zdejmę. Tak sobie krzyczałyśmy jedna przez drugą, a ci od procesji stali tam, w dole, z zadartymi głowami i rozdziawiali usta zwyczajem gapiów. Koniec końców sąsiadka się pogniwała; mówiła, że uraziłam jej uczucia religijne albo jakoś tak; myślę, że trochę przesadzała, bo ten papież w złości nawet się nie skrzywił.

Jej gniew nie był jak grom; przejawiał się całkiem ludzko: zatraskiwaniem frontowych drzwi tuż przed moim nosem, przebicciem mi opon w rowerze i całą resztą tego rodzaju postępków z szerokiego asortymentu miłości bliźniego; żałowałam, że nie mam psa, który mógłby narobić jej na wycieraczkę.

Rety, obraziła się ta sąsiadka na amen! Kto wie, być może mały Chrystus w jej sercu także się obraził. Tak czy inaczej, na wieść o moim wypadku, oboje puścili wszystko w niepamięć — to się chyba nazywa miłosierdzie — i sąsiadka, sądząc, że dobrze mi to robi, zaproponowała mi praktyki u zakonnice.

— Zobaczysz, owieczko, z Pańską pomocą zdołasz współbudować tę Armie Bożą. Świętą walkę trzeba kontynuować za wszelką cenę, *ad maiorem Dei gloriam* i Pana Boga naszego w Trójcy jedyne. Walczmy więc, wiemy wszak z kim i o co. Zatem czy przystąpisz, owieczko, *Deo et Patriae*, by w miarę swoich skromnych możliwości wesprzeć znaczne wysiłki nadobnych zakonnice, owych oddziałów na ordynansach Pana Jezusa? Proszę przemyśleć to i przemodlić.

Zgodziłam się chętnie. Nie powiem, ciekawiło mnie kółko zwariowanych niby-kobiet. W dzieciństwie też chciałam być jak one.

— Byłabym ja zakonnica, gdyby nie to pod spódnicą — zartowała z tej historii Joanna.

Ale ja naprawdę zamierzałam wstąpić do zakonu, konkretnie do klarysek. Wszystko po to, żeby udowodnić babce, że dam radę. Już ja ci pokażę, tak sobie wtedy myślałam, stanę się jedną z tych twoich silnych jak He-Man, jak Superman, jak sam Superbóg zakonnice, ale matka wybiła mi to z głowy. Dobry Jezu, co też ona wygadawała; że klaryski śpią w trumnach i inne takie. Wszystkie zakonnice, jakie widziałam, były ubrane na czarno i miały blade twarze, zaczęłam więc sądzić, że są wampirami. Zanim poszłam na te praktyki, kupiłam srebrny krzyżyk i główkę czosnku — tak na wszelki wypadek.

Przyznaję, wolontariuszka była ze mnie kiepska. Do opieki nade mną przydzielono siostrę Bożenkę. Nawet jej zazdrościłam; ho, ho, to nie byle co mieć Boga za męża. Swoją drogą, z tego Boga to niezły casanova — rety, ile on miał żon! Po tygodniu myślałam, że oszaleję, a wszystko przez te stuknięte siostrzyczki — kobiety bez ozdób, zapachu i szminki — i przez małych Chrystusów w ich małych sercach.

A z dziećmi było naprawdę źle, aż szkoda o tym mówić. Wycierałam ślinę kapiącą im na brody, karmiłam, cesałam, podcierałam tyłki; nauczyłam się przy nich, że dotyk jest wszystkim. Zazdrościłam zakonnicom ich wewnętrznej siły; lubiłam patrzeć, jak się modlą: klęczą na zimnych kafelkach i poruszają ustami, nie wydając dźwięku — ryby wyrzucone na brzeg.

Matki zjawiały się u nas rzadko, ale zawsze robiły to w wielkim stylu. Jak ta kobieta, która pewnego dnia z trudem przecisnęła się przez drzwi wejściowe, mamrocząc: „Gównno, znowu gównno”. Drogę torował jej baniasty brzuch. „Jeszcze tydzień, góra dwa i będzie rodzić” — powiedziałam sobie. Z twarzą w siniakach i ze złamanym nosem wyglądała jak kiepski bokser (na takich mój tatuś mówił „kelnerzy”), który przez całe życie nie robił nic innego, tylko padał na deski.

Ciągnęła za sobą kilkuletniego chłopca z taką siłą, jakby zamierzała mu oderwać rękę. Z tym dzieckiem też nie wszystko było w porządku: miało przykrótkie rączki, monstrualnie wielką głowę, przypominającą głowę ośmiornicy, a te jego usta to były całkiem jak papuzi dzióbek. Szarpane przez matkę, podskakiwało — spójrzcie, oto laleczka w teatrzyku, a lalkarz, myk-myk, pociąga za sznurki. Na sztruksowych spodenkach powiększała się jasnobrązowa plama. I płakał ten chłopiec, ale po cichutku.

Kobieta uzgodniła coś z jedną z zakonnice, teatralnie ucałowała malca w czoło (zrobiła to tak pięknie, że należała jej się za to najwyższa możliwa punktacja — dziesięć, a może nawet jedenaście) i zostawiła go na korytarzu, jak gdyby był przedmiotem, powiedzmy: zabawką, w dodatku zepsutą. Jak wszystkie dzieci tutaj.

O dziwo, lubiłam swoją pracę, ale kiedy przywieźli do nas autystyczną dziewczynkę — po tym, jak wbiła kredkę w szyję koleżanki i trysnęła z tej szyi krew, jak rozsypane czerwone korale — pomyślałam, że jednak powinni mi za to płacić. No i wtedy zaczęły się moje problemy z zakonnkami.

— Jak mogłaś powiedzieć Marcysi, że umrze? — pewnego dnia w ubikacji zagadnęła mnie siostra Bożenka.

Ja właśnie sikałam, ona myła ręce.

Bo Marcysia, ta autystyczna dziewczynka, opowiadała mi o chomiku, którego trzymała pod łóżkiem, w pudełku po butach, kiedy jeszcze mieszkała z mamusią. Którejś nocy zamknęła pudełko, ale zapomniała zrobić w nim dziurki; rano chomik nie chciał się ruszać i Marcysia chciała wiedzieć, czy to jest śmierć i czy pewnego dnia z nią stanie się to samo.

— Powinnaś jej odpowiedzieć, że Jezus umarł za nas wszystkich — pouczała mnie Bożenka,

kiedy już obie myłyśmy ręce.

— Świetnie. Czyli nikt nie będzie musiał umrzeć sam za siebie? — chciałam się upewnić.

Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

— Śmierć istnieje, ale jest sprawą tymczasową. Po niej nastąpi zmartwychwstanie i życie wieczne.

— Ale tak dla wszystkich?

— Dla tych, którzy zasłużą.

— Rety, to mi ulżyło. Nie chciałabym zmartwychwstać razem z Hitlerem. A siostrzyczka wie o tym z pewnego źródła?

— To nie jest kwestia wiedzy, ale wiary — warknęła Bożenka.

Musiałam wyprowadzić ją z równowagi, bo wychodząc z łazienki, trzasnęła drzwiami.

Od tej pory przy każdej okazji powtarzałam dzieciom, że o nic nie muszą się martwić.

— Każdy zmartwychwstanie. Świnki morskie, chomiki, żółwie, wasze popsute gumowe lalki i wasz mały piesek też. Bóg wszystkich zbawi. Będziemy mieszkać w niebie z naszymi zwierzętami.

— A niebo zrobione jest z psiej sierści? A Bóg ma uszy jamnika? — pytały, jedno przez drugie.

— Tak, tak. Trzeba w to wszystko wierzyć, dzieci — odpowiadałam, jak chciała Bożenka, i naprawdę nie wiem, dlaczego zakonnice wyrzuciły mnie z praktyk zaraz po świętach, po tym, jak Marcysia znów chwyciła za kredki, ale tym razem w nikogo ich nie wbiła, tylko narysowała śliczną stajenkę: Maryję, Józefa, gwiazdę i żłóbek, a w nim, zamiast Jezusa, pieska.

Ostatniego dnia u zakonnice pakowałam rzeczy, całowałam dzieci jedno po drugim i modliłam się w duchu; modliłam, a jakże: „Dobry Boże, który czasami jesteś zły, a częściej nie ma cię wcale, niniejszym odwołaj moją subskrypcję na wielkie, masowe zmartwychwstanie; zakopcie mnie dwa razy, na wszelki wypadek”.

Wracając z praktyk, przyglądałam się ludziom w autobusie. Sprawiali wrażenie żywych trupów. Kobieta w czerwonym płaszczu karmiła swoje dziecko parówką cielejącą.

— Co robisz, kobieto? — chciałam jej powiedzieć. — To było czyjeś dziecko. A teraz, takie przemielone, czy pomyślałaś, jak ono zmartwychwstanie?

Milczałam. Gapiłam się w szybę. Otaczało mnie stetryczone miasto. Ludzie w samochodach, na ulicach rozjaśnionych tu i ówdzie latarniami pełnymi wrzącego światła i ci, których niewyraźne kształty raz po raz migwały za szybami sklepów, kościołów, domów — kiedyś to wszystko będzie martwe. A obok, na oddzielonych wysokim murem cmentarzach, zmarli w cichych termitierach toczyli swój robaczywy żywot. Żywi kupowali gwizdki, sztuczne ognie, confetti i szampany. Byłam im obca i mniej więcej żadna. Co wspólnego mam z tobą, miasto? Co wspólnego mam z sobą samą?

O tym wszystkim myślałam teraz, siedząc w kuchni i patrząc to na rybę w kawałkach, to znowu na matkę. Cuchnęło coraz bardziej. Otworzyłam okno, ale to nie pomogło; przeciwnie: lato zdążyło się już porządnie nadpsuć i teraz śmierdziało rybnym sklepem. Z oddali dobiegał dźwięk kościelnych dzwonów. Upał zalewał ulice i skwery. W powietrzu wisiała burza.

I wtedy właśnie matka zrobiła coś, czego nie zwykła robić: próbowała pogłodzić mnie po głowie. Strąciłam jej rękę jak natrętą muchę; zrobiłam to odruchowo, zanim zdałam sobie sprawę z tego, co robię.

— Dlaczego jesteś taka? Przecież nie jestem trędowata. Jeszcze się gniewasz o tamto?

„Tamto” w języku matki mogło oznaczać tylko jedno: historię z kuzynem, której omal nie przypłaciłam życiem. Na samo wspomnienie robiło mi się słabo, ale matka lubiła do tego wracać. I miała tym razem asa w rękawie.

— Dowiedz się, niewdzięczna dziewucho, przed czym cię uchroniłam! — Wręczyła mi zdobiony ornamentami kartonik. — Przyszło dzisiaj.

„Mamy zaszczyt zaprosić...” — zaczęłam czytać, ale nie skończyłam. Matka wpatrywała się we mnie niczym sadystyczny snajper po oddaniu strzału. Chciała sprawdzić, jak głęboko utkwiała kula. Nie. Nie bolało. Prawie wcale.

— Od razu się na nim poznałam. Możesz mi podziękować — triumfowała. — Jesteś jeszcze naiwna i młoda. Tamta bidula nie miała czujnej mamusi. Zna kuzynka pół roku i już chodzi z brzuchem.

Powiedziałam, że nie bolało? Kłamałam.

— Wyobraź sobie, co za chamy, wcale nie zamierzali nas zaprosić. Dopiero po moim telefonie łaskawie to przysłali i, możesz mi wierzyć, ostatni raz do nich dzwoniłam. Trzeba cię w try miga wydać za męża, niech sobie nie myślą. A może by tak za Lolka, kuzyna ojca, skoro gustujesz w rodzinie? Ani on młody, ani ładny, ale dla ciebie wystarczy z nadstatkiem.

I wtedy właśnie coś we mnie pękło. Wiem, to się zawsze tak tylko mówi i właściwie nikt nie wie, jak ci wszyscy ludzie żyją dalej — chodzą, jedzą, śpią — tacy pęknięci. Co do mnie, po prostu wybuchłam śmiechem. Śmiałam się i śmiałam, i niechby ktoś spróbował mnie powstrzymać. Myk-myk, całe życie przeleciało mi przed nosem, jak gdyby było taśmą filmową puszczoną z dużą szybkością. Na każdej klatce owej taśmy w miejscach, gdzie widniała dotychczas twarz mojej matki, wypalała się czarna dziura; nie mogłam na to nic poradzić. I nie chciałam.

— Dziecko, co tobie? — Matka pomyślała, że zwariowałam.

Być może miała rację. Sama też nie wyglądała zbyt dobrze: stała w przedpokoju, zaciskała w dłoni nóż do patroszenia ryby i wpatrywała się we mnie niczym przestraszona dziewczynka. Jej błyszczące, mokre od łez oczy sprawiały wrażenie szklanych. Przez te oczy przypominała zwierzątko wypchane przez ojca, jeszcze jedno trofeum pośród jego jeleni, dzików i saren, które wisiały na ścianach, gapiąc się na nas w milczeniu od tyłu już lat, od zbyt wielu lat.

Wyciągnęłam z pawlacza walizkę po babce i zaczęłam wielkie pakowanie. Kiedy skończyłam, moja sarnia matka ciągle tam stała. Zaciskała na rękojeści noża chude białe palce, ale straszna to ona wcale nie była.

Więc ja się jej bałam? Naprawdę? Ilekroć czytałam „Alicję” Lewisa Carrolla, w postaci Czerwonej Królowej rozpoznawałam matkę. Lewis musiał ją znać — to było dla mnie więcej niż jasne.

Zamknęłam walizkę i ruszyłam przed siebie; Czerwona Królowa zagroziła mi drogę.

— Zamierzasz mnie zabić tym nożem? — zapytałam.

— Dlaczego nie? — odpowiedziała. — Mogę uciąć ci głowę.

Przyznaję, do twarzy jej było z rolą Stabat Mater.

Jedna rzecz zastanawia mnie do dzisiaj: czy — jak u Carrolla — Czerwona Królowa zmieniałaby się w małego kotka, gdybym wtedy zaczęła nią potrząsać? Ale stało się inaczej.

— Należysz do mnie! Urodziłam cię! — krzyczała.

— Gówno prawda! Urodziłam się sama.

Uderzyła mnie w twarz. Oddałam. No, tego nikt by się po mnie nie spodziewał.

Zaraz, zaraz... nie dajcie się nabrać, wszystko to było tylko na pokaz, a z tej mojej matki to była, przyznaję, niezła aktorka. Krzyczała i tupiała, ale w sumie wyglądała na zadowoloną — teraz mogła mnie już sobie spokojnie nienawidzić.

— Won, psie! — ryczała jak zranione zwierzę.

Zabrałam walizkę i z uczuciem ulgi trzasnęłam drzwiami. Nie byłam psem. Już nie.

Śniło mi się, że rodzę moją matkę. Ale to nie była matka, tylko laleczka z odkręcaną głową.

— Byłaś niegrzeczna — mówi laleczka.

— S pierdalaj, mamusiu.

Odkręcam jej głowę. Podrzucam w górę. Wysoko.

9. Raz-dwa do wariatkowa i częściowo z powrotem

Tego roku umarł papież, a ja zaczęłam moją pierwszą pracę.

Trafiłam do wariatkowa — z wysoką żelazną bramą, ozdobioną secesyjnymi festonami, z budką portiera i szpitalnym ogrodem, pstrokatym od czerwonych róż i jeszcze czerwiejszych tulipanów — no więc trafiłam do tego stukniętego miejsca, na wszelki wypadek oddzielonego murem od jakże zdrowej reszty świata. Specjalnie dla mnie kupiono błękitny kitel. Śnieżnobiałe zarezerwowano dla lekarzy (nie byłam prawdziwym lekarzem); brudnobiałe nosiły pielęgniarki, zielone salowe i sprzątaczkę; pacjenci chodzili w szlafrokach w kolorze wymiocin. Był to isticie diabelski system: wystarczył jeden rzut oka i już wiedziało się, kto jest kim i jak należy go traktować.

W tamtych dobrych czasach nie przyszłoby mi nawet do głowy, że trafię tu kiedyś w nieco innej roli — krótko mówiąc, mniej dobrowolnie. Ale wtedy nie miałam o tym pojęcia i — muszę się wam przyznać — z radości skakałam pod sufit.

— Grunt to nie dać po sobie poznać, że boisz się świrów — instruował mnie pielęgniarz, brodaty, barczysty, z piegami na nosie.

— Kiedy ja się wcale nie boję.

— A miałaś już z nimi do czynienia?

— Pewnie, przez całe życie.

Po brawurowej ucieczce od matki mieszkalam to tu, to tam. Byłam oszołomiona wolnością jak dzikie zwierzę, które za długo siedziało w klatce. W tamtym czasie waletowałam w akademiku, u znajomej Joanny, Fiony. Mój Boże, Fiona — ta to dopiero była szalona.

— Jak patrzę na siebie w lustrze, to nie mogę na siebie patrzeć — marudziła każdego dnia, stając na wadze.

Chciała być lżejsza niż motyl. Szczerze wierzyła w wirtualne piękno, w te wszystkie półboginie celebrytki, prężące boskie ciała na lśniących ekranach. Joanna próbowała przemówić jej do rozsądku, ale rozsądku Fiona miała mało.

— Naprawdę chcesz wyglądać jak kościotrup? Zrozum, to jest trend propagowany przez spedałonych kreatorów mody. Oni po prostu nienawidzą kobiet.

— A modelki? — protestowała Fiona. — Spójrz tylko, jakie są piękne. Te wystające bioderka, ach, te żeberka! A łopatki, a obojczyki! Prawdziwe cacka. Jakby były wyrzeźbione.

— Pewnie, pewnie. A gdyby któraś chciała zrzucić pół kilo, musiałyby chyba obciąć sobie stopę.

Ale Fiona koniecznie chciała być jak one.

— Jak nie jesz nic przez trzy dni, właściwie nie czujesz już głodu — tłumaczyła mi kiedyś. — Fakt, że czasami zemdlejesz, ale ogólnie jest całkiem w porządku.

Mówią, że szaleństwo jest zaraźliwe; być może to prawda; tak czy inaczej, mieszkając u Fiony raz-dwa wróciłam do normalnej wagi i przestałam wyglądać jak paskudne żabsko. Moja matka — jestem pewna — płakałaby na mój widok jak wierzba.

Nie miałam nic przeciwko dziwactwom tej chudej, drobnej dziewczyny o małych piersiach i pełnych ustach (Joanna mówiła na to „usta melodyjne”); rzecz w tym, że przez te jej piersi i usta, i chłopca nie mogłam się wyspać. Nie jestem święta, możecie mi wierzyć, ale wołałabym, żeby poczekali, aż zasną. Tyle że oni wcale nie zwracali na mnie uwagi. Serio. Mogłam tłuc garnkami, puszczać Nirvanę na cały regulator, zapalać i gasić światło — dalej robili swoje. Uprawiali seks, jakbym nie istniała. Z tego wszystkiego gotowa byłam sądzić, że jestem tylko

duchem snującym się to tu, to tam, podczas gdy oni wydają z siebie kocie jęki.

— Dobrze, że masz mocne nerwy — powiedziała Fiona nad ranem, kiedy wreszcie zostaliśmy same. — Jak tylko cię poznałam, wiedziałam, że dasz radę. Ktoś musi na to patrzeć, inaczej mu nie staje. To pewnie dlatego, że jestem za gruba.

Muszę wam powiedzieć, że seks — kiedy ogląda się go z boku — wygląda naprawdę zabawnie: spocone ciała podskakują w najlepsze na studenckim tapczanie, z czego jedno, to o wyglądzie patyczaka, robi to, leżąc na plecach z rozłożonymi nogami, a drugie, porośnięte dosłownie wszędzie krótkimi, kręconymi włosami, podobnymi do włosów łonowych, dyszy i sapie jak lokomotywa z wierszyka Tuwima: „Tak to to, tak to to, tak to to, tak”...

W tej sytuacji — sami rozumiecie — praca była dla mnie prawdziwym wybawieniem. Jak tylko dostałam pierwszą pensję, z miejsca wynajęłam kawalerkę z widokiem na cmentarz. Ludzie nie lubią rzeczy, które przypominają im o śmierci; z tego powodu mieszkania obok cmentarzy, kostnic czy rzeźni nie są specjalnie popularne. „Tym lepiej dla mnie” — pomyślałam; spakowałam rzeczy i z ulgą zamknęłam za sobą drzwi akademika. Chciałam się wreszcie wyspać.

— Co ja teraz zrobię? — płakała uwieszona na moim ramieniu Fiona. — Mój chłopiec, mój Boże, on chce mnie zostawić. Mówi, że za bardzo się do ciebie przyzwyczaił. Myślisz, że coś się poprawi, jak schudnę?

No więc nie, nie bałam się świrów; zdążyłam do nich przywyknąć.

Jeśli chodzi o mój oddział, był to bastion dziwaków różnej maści. Na przykład „Lady Makbet” co kwadrans szorowała dłonie.

— Coś tu trąci rybą — skarżyła się pielęgniarce, ale prawda była taka, że to „Lady Makbet” śmierdziała; stale gmerała między nogami.

Albo ta niedorozwinięta dziewczyna chora na AIDS, z wiewiórczym meszkiem nad wargą, wiecznie głodna i pobudzona; na mój widok roześmiała się, pokazując rząd żółtych zębów.

— Dobrze sobie. Myszy polne podają się u nas za psychologa. — Zobaczyła, że przyglądam się jej szeroko otwartym ustom (pewnie, że się im przyglądałam) i jak nie wyskoczy z tym swoim larum: — Patrzcie tylko, ta mysz chce mi ukraść moje śliczniutkie zęby z porcelany.

Był mężczyzna z aniołami na ramionach; mówił, że te anioły śpiewają i śpiewają, i nigdy nie mają dość. Jak tak, to nic dziwnego, że zwariował. Inny mężczyzna, prawie dziecko, z czaszką zdeformowaną po tym, jak na piłkarskim meczu kibice przeciwnej drużyny uderzali w nią baseballami; widocznie pomylili go z piłką. Zdarzało się, że chodził nago, gorsząc pielęgniarki; miał bardzo piękne ciało.

Była Lala, hebefreniczka, o długich rzęsach i kasztanowych włosach, skręcających się w małe sprężynki, dużo sprężynek. Chciała, żeby ją kochać. Dosłownie. Z miejsca położyła mi rękę na łonie. Po wyjściu spod prysznic spacerowała korytarzem jak ją Pan Bóg stworzył.

— No wiesz co, Lala, powinnaś się wstydić. Tak biegać z gołą dupą?! — wołała za nią salowa.

— Wstydić to ja się będę w grobie.

No i była Baśka: pomarszczona, siwa i zdrowo pokrecona. Każdego popołudnia wpadałam do niej na obłąkaną herbatkę.

— Wie pani, z tą moją babką to dziwna historia... — zaczynała Baśka, a ja już wiedziałam, że prędko nie skończy. — Mówili, że umarła, a tu jadę sobie tramwajem i oczom nie wierzę: patrzę, babka moja. Da pani wiarę? O ty, babko niedobra, żarty sobie robisz, na niby umierasz, przed własną wnuczką po świecie się chowasz? Dalej ją okładać. A ludzie jak nie narobią krzyku. I o co tak krzyzczeć? Że babkę swoją targam? Wielkie mi sprawy. Ale tamci w lament. Złapali mnie i dalej pomstować za babkę. Potem to się okazało, że to ponoć nie babka była, tylko obca pani. Prawda, że wyglądała inaczej, ale ten płaszcz, co go miała na sobie, był przecież mojej

babki, tej, cośmy ją pochowali. No to jak ona nie babka, jak w płaszczu mojej babki? Od razu poznałam: ten płaszcz to była moja babka. Ale jak mnie ludziska szarpali, na następnym przystanku płaszcz wziął i uciekł. W mojej rodzinie bez przerwy są takie przypadki. Widziałam już i stryjka, świętej pamięci, przed laty, i mamusię, niech jej ziemia lekka będzie, w lecie na targu. Ja nie wiem, czemu rodzina mi znika, po świecie się chowa. Czy ja im coś złego zrobiłam?

Oddział, do którego mnie przydzielono, mieścił się w osobnym budynku, położonym na skraju ogrodu. Był to śliczny secesyjny pałacyk. W trakcie wojny urzędowało tu gestapo. Latem, kiedy otwierano zakratowane okna, gotowa byłam sądzić, że nadal trwa wojna — wszystko przez krzyki dochodzące z innych budynków. U nas było cicho. Moi podopieczni nie byli niebezpieczni; opalali się w ogrodzie albo snuli po korytarzach, coś tam do siebie mamrocząc. A jeden udawał rybę: pływał po korytarzu tam i z powrotem albo rzucał się po podłodze, wypełniając szpital tym swoim rybim trzepotaniem. Salowe nazywały go karpiem i dwa razy w tygodniu wpuszczały do wanny.

— Wy to macie dobrze... — skarżył się pielęgniarz z innego oddziału — u was sami starzy albo chorzy. Nie przepracuje się człowiek, nie spoci. U nas zapieprz od rana do nocy. Jak przyjmą takiego byka, co się pociął, ile się trzeba naszarpać, zanim się jeden z drugim skurwysyn uspokoi. Ale nic się nie bój, dzidzia, ze mną nikt nie wygra. Jak mistrzu zawiąże kaftan, to nie ma mocnych, każdy się posra.

O lekarzu z mojego oddziału wszyscy mówili z takim uwielbieniem, jakby był wcielonym Bogiem albo kimś okropnie, ale to okropnie ważnym. Kiedy go poznałam, przestraszyłam się, że to ten sam chłopiec, który zabrał mnie na randkę do prosektorium i to powinno być dla mnie przestrogą. Kłóciliśmy się stale. Nie pochwalał moich metod pracy z pacjentami. Na przykład z Anną.

— To ciężki przypadek katatonii. Jest już bardzo stara. Szkoda na nią czasu. Po prostu leży i gapi się w sufit. — Tak powiedział lekarz, a kiedyś, stojąc nad jej łóżkiem, zamiast ją zbadać, machnął tylko ręką; nie powinien był tego robić.

W dniu, w którym zachorowała jedna z salowych, nie miał kto umyć Anny; zgłosiłam się na ochotnika.

— Psycholog salową, no patrzcie, państwo, coś takiego. — Siostra przełożona (ja i reszta personelu nazywaliśmy ją parokrotnie przełożoną) kręciła ze zdziwienia głową. — Pani tu długo miejsca nie zagrzeje. No nie z takim podejściem.

Anna — kiedy ją rozebrałam — przypominała woskową lalkę z panoptikum. Albo kobiety z łagrów — była przeraźliwie chuda i wyschnięta na wiór. Miała amputowane obie nogi na wysokości kolan. Jej pomarszczona skóra wyglądała jak lniane prześcieradło, które skrećano i skrećano, póki nie wyciśnięto z niego wody do ostatniej kropli. Słowem — obraz nędzy i rozpacz, zwierzęcej, kobiecej i człowieczej też.

„Zaraz, zaraz... gdzieś to już widziałam — przeszło mi przez głowę. — Czy to nie było przypadkiem w galerii sztuki przed kilku laty, po tej hecy z malarzem?”. Tak, nie było wątpliwości: Anna to jedna z tamtych kobiet-kalek; zeszła z wystawy i teraz leżała na szpitalnym łóżku, obleczona w ciało.

Uniosłam ją lekko, oparłam o siebie i zaczęłam myć jej włosy, białe jak bawełna. Miałam wrażenie, że myję trupa. Było w tym coś ze zniekształconej piety: młoda kobieta trzymająca w ramionach starą kobietę.

— Powinniście mnie dobić. Leżę tu jak popsuta kukła.

— Powinniśmy ją dobić — powiedział wieczorem lekarz. — Właściwie to byłby akt miłosierdzia.

Siedzieliśmy obok siebie we włoskiej restauracji. Nie zdziwiłam się wcale, kiedy mnie

zaprosił; dobrze wiedziałam: jeśli kobieta i mężczyzna stale się kłócą, to musi coś znaczyć. No i miałam rację; przez cały wieczór lekarz wpatrywał się we mnie rozanielonym wzrokiem.

Spotykaliśmy się coraz częściej. W powietrzu czuć było, że coś iskrzy, ale cokolwiek to było, po historii z kuzynem nie miałam na to siły. Jeśli w ogóle potrzebowałam mężczyzny, to czyściciela (wiecie o kim mówię?), faceta z filmów o mafii, który po krwawych scenach mordu przychodzi i wszystko sprząta. Jego jest czarne, czarne serce. Jego są pełne ługu wanny.

Tymczasem życie w wariatkowie toczyło się niemrawym biegiem: ktoś dostał ataku hysterii, ktoś inny zobaczył w ogrodzie czarną dziewicę, Murzynkę Matkę Bożą w asyście siedmiu tłustych karłów (no prawie jak Śnieżka) — znaczy, że wszystko cacy i normalnie.

Po jednej z wizyt siostr z Caritasu zastałam Baškę przed lustrem; stała tam zawinięta w białe prześcieradło, z ażurową firanką naciągniętą na siwe włosy w charakterze welonu — całkiem jak małe dziewczynki, kiedy bawią się w ślub i małżeństwo, i w „żyli razem długo, aż do śmierci”.

— Te siostrzyczki, co tu były, mają znaleźć mi męża — powiedziała, promieniejąc ze szczęścia, aż w jej policzkach zrobiły się małe dołki. — Oj, wydałabym się za jakiegoś księcia, oj, chętnie. Bo ile ja mam być tą całą dziewicą? Już mi wystarczy, przez tyle lat to ja dziękuję, już się nabyłam. Teraz męża bym chciała, oj, bardzo. W białej sukni iść do ślubu. A może to grzech tak mówić? Mnie do spowiedzi trzeba? — Bo Baška miała fioła na punkcie grzechu (salowe skarżyły się, że daje się im myć tylko w grubych rękawiczkach, do tego specjalną gąbeczką) i nawet teraz, mówiąc do mnie, spuszczała oczy zwyczajem wstydliwych podlotków. — Kochanej pani psycholog to wszystko powiem, jak na spowiedzi. Ja czysta jestem jak Święta Panienska. Mogę pokazać.

— Ale co pokazać?

— Czystość, rzecz jasna. — I z miejsca zaczęła rozwijać prześcieradło.

To nie był widok z tych najpiękniejszych. Już, już miała rozchylić nogi, ale w ostatniej chwili zdążyłam ją powstrzymać.

— Nie trzeba. Wierzę na słowo — wykrztusiłam.

— To i dobrze, bo bardzo się wstydę. No i mogłoby mi uciec to moje dziewictwo.

Przekwitły róże i tulipany, minęło lato, a ja na dobre zadomowiłam się w wariatkowie; chwilami czułam się jak Alicja po drugiej stronie lustra. Przez długi czas nie działo się nic wartego wzmianki. A potem zjawił się Zbyszek. Miał trzydzieści trzy lata, tyle co Chrystus, kiedy przybili go do krzyża, ale Zbyszek nie wiedział, kim jest ten cały Chrystus. Przyznaję, trochę mnie to zaskoczyło; do tej pory sądziłam, że z Jezusem i krzyżem jest jak z coca-colą: znają to wszyscy na całym świecie.

— Czy to jakiś pan? On też tutaj mieszka? — pytał Zbyszek. — A wahała pani nogi w Wąchocku? Wahała? Bo ja wahałem. Ty powiedz, ty powiedz! To były czarne nogi czy straszne?

Z tego Zbyszka to był cwany lisek, oj, cwany; ilekroć któregoś z pensjonariuszy odwiedzała rodzina, zadawał im niewinne pytanie, o godzinę, o pogodę albo coś w tym rodzaju, udając, że jest jednym z nich — słowem, że ma wszystkie klepki na miejscu; ale wystarczyło, że ktoś wziął go na serio, raz-dwa zaczynał swoją chorą litanie, a ci biedni ludzie mogli już tylko stać tam i przytakiwać. Bo ci biedni ludzie bali się Zbyszka.

On też się bał. Że umrze. Więc wymyślał historie, w których już to zrobił: tonął pośrodku oceanu, konał z pragnienia na pustyni, trafił go piorun, poćwiartowali ludożercy i wszystko to naraz.

Któregoś ranka czekał na mnie przy bramie.

— Czy ja umrę? — spytał. — Umrę dziś? Jak Anna?

Tego dnia myłam ją po raz ostatni. Zamknęto jej powieki, ale niedokładnie; w jej oczach

znalazłam całkiem obcy wyraz. I to była pierwsza różnica między obrazkami „Mycie Anny żywej” a „Mycie Anny martwej”.

Kiedy skończyłam ubierać ciało, przyjechali mężczyźni z białą trumną, jak mleko; włożyli do niej Annę, zamknęli wieko i odjechali. A na naszym oddziale wszyscy krzyczeli, a jakże, jakby bali się, że ci od trumny mogliby wrócić. Właściwie mieli rację. Kiedyś przyjadą także i po nas — ani w nagrodę, ani za karę — zabiorą stąd na zawsze. I chociaż będą cisi jak koty, my ich usłyszymy: ty, odważny człowieczku, i ty, tchórzliwy, stary i młody, i ty, dziecie, pójdźcie wszyscy, nie pytając dokąd, bo oto czeka na was morze.

— Pani to jednak nie jest normalna — powiedziała siostra przełożona.

Wszystko przez to, że nie pozwoliłam wyrzucić rzeczy Anny. To był mały kartonik, to całe jej życie: cztery zasuszone główki irysów, indyczo czerwone korale, kilka zdjęć, na których z trudem rozpoznałam ją w zdrowej, uśmiechniętej kobiecie. Do dziś trzymam to wszystko na strychu, ale po co, nie wiem.

Tego wieczoru pomyślałam, że żaden czyściciel się nie zjawi, choćbym czekała sto lat. W sumie nie miałam wiele do stracenia, a już na pewno nie miałam tyle czasu. Lekarz adorował mnie ze wszystkich sił i taki był mną zachwycony, że ostatecznie pozwoliłam, żeby po kolacji zaprosił mnie do siebie. Byłam ciekawa, co z tego wyniknie. Wyniknęła jedna z tych nocy, o których Francuzi mówią *une nuit blanche*. Do świtu robiliśmy miłość. Powinnam być szczęśliwa, ale nie byłam. Przy każdym jego ruchu czułam się tak, jakby on wcale nie był moim *babe*, tylko grabarzem, który kopie we mnie grób.

Pamiętam dobrze nasz pierwszy świt, zimny i trupio blady. Ja, nijaka, milczałam. On, zmęczony, zaciągając się papierosem, opowiadał o swojej byłej i o tym, jak w dniu ślubu uciekła mu sprzed ołtarza. Udawał, że już jej nie kocha. Ja też coś udawałam.

A potem w wariatkowie zawrzało od skandalu. To było zaraz po pogrzebie Anny. Cycata pielęgniarka przyłapała pod prysznicem Lale ze Zbyszkciem.

— Pieprzyli się jak jakieś pieprzone króliki! — Z tym swoim wrzaskiem nadawałaby się w sam raz na fest histeryczkę. Była matką trójki dzieci; nie sądziłam, że widok splecionych nagich ciał robi na niej aż takie wrażenie.

Siostra parokrotnie przełożona poprosiła mnie o interwencję. Wzruszyłam ramionami.

— Oboje są dorośli. Mają do tego prawo.

— To, że cieszy się pani względami lekarza, a tak, wiemy tutaj o wszystkim, nie znaczy jeszcze, że nie obowiązuje pani regulamin naszego zakładu.

— A czy jest taki regulamin, który zabrania pacjentom stosunków seksualnych?

Obie dobrze wiedziałyśmy: w żadnym zakładzie nie ma tego rodzaju przepisów; udawano po prostu, że seks nie dotyczy upośledzonych i chorych psychicznie. Na samą myśl o kochających się pacjentach te wszystkie mamuśki — krowiaste pielęgniarki, cycate blondyny i płaskie brunetki — trzęsły się z obrzydzenia. Jak cytrynowa galaretka. Jakby tylko one miały prawo mruczeć (uhu, uhu), jak bałtyckie foki, pod swoimi mężami, przyjaciółmi mężów, sąsiadami, sklepikarzami, fryzjerami, licealistami, kochankami wszelkiej proveniencji i maści.

— A więc to tak? Zamierza pani z mojego oddziału zrobić burdel! — wrzasnęła siostra przełożona, aż zadrżały ściany i spadł z gwoździa tandetny obrazek: wyblakła plaża, w tle błękitne morze, gotowe wystąpić z brzegów i wszystkich nas połknąć. — Doprawdy, pani jest nieodpowiedzialna. Co z ewentualną ciążą? A jeśli dziecko urodzi się chore? Gdyby to zależało ode mnie, wszyscy nasi pacjenci i inni chorzy na umyśle byłiby obowiązkowo trzebieni.

— Chciała pani chyba powiedzieć poddani sterylizacji? — spytałam, żeby się upewnić.

— Chciałam — przyznała.

— A może posunąć się jeszcze dalej? Jak za czasów gestapo? W końcu mieścimy się

w budynku z tradycjami.

Wierzcie mi, poczułam ciężar tego spojrzenia; cud, że nie padłam tam trupem.

— W sumie masz rację, ale tak być nie może — powiedział lekarz, zapalając papierosa. Leżeliśmy w łóżku i właśnie wbijał mi łokieć w plecy. — Personel nie powinien być narażony na podobne widoki.

Za oknem miasto brzęczało jak podziemny ul, bo właśnie tak musiałyby brzmieć olbrzymi ul słyszany spod ziemi. W wieżowcu naprzeciwko światła to zapalały się, to gasły. Myślałam o ludziach żyjących tam swoim małym życiem. Ilu z nich kocha się w tej chwili? Ilu umiera, otwierając usta, jakby pozdrawiali kogoś z oddali?

— Obiecuj, że porozmawiasz z Lalą.

Obiecałam, ale nie zdążyłam. Siostra przełożona była szybsza — wymogła na dyrekcji przeniesienie Lali do innej placówki. Z tęsknoty Zbyszek dostał szału; trafił w łapy pielęgniarsadysty, tego od kaftana. Czułam się tak bezsilna, że nic, tylko krzyczeć. Jakbym nie miała wpływu zupełnie na nic, na moje życie też.

— Zniosłaś do mnie połowę swojego mieszkania. Chyba będziemy musieli się pobrać — żartował lekarz.

Nocowałam u niego coraz częściej. Przyglądałam mu się, kiedy spał. Opuszkami palców rysowałam maleńkie kółka na jego powiekach i większe na piersiach, a on szeptał przez sen imię swojej byłej. Kiedy nie spał, nie lubił, żeby go dotykać.

— Zobaczysz, żabciu, będziemy razem bardzo szczęśliwi — powtarzał kilka razy dziennie i nie wiedziałam, czy chce przekonać mnie, czy siebie.

Ja w każdym razie zamierzałam mu wierzyć albo chociaż udawać. Porządnie udawać. Robić to tak, że diablo boli. I jeśli go kocham, myśleć mniej. Zamieszkać w jego małym mieszkanku; urodzić mu małe dzieci; żyć z nim normalnym życiem, aż do normalnej śmierci. Jego było moje czarne serce.

10. Skacz, króliczku, nikt cię nie złapie

W dniu mojego ślubu rzygałam jak chory kot. Wszystko przez plastry glonów z sushi. I przez Joannę, która urządziła u siebie mój wieczór paniński. Nie będę ukrywać: to była kłapa; Joanna zniknęła w sypialni ze striptizerem, Bradem (wyglądał jak młody Brad Pitt), podczas gdy ja utknęłam w kuchni z tuzinem obcych kobiet, milczących jak na stypie.

Pewnie jesteście ciekawi, jak to się stało, że nazajutrz miałam wyjść za mąż i nie wrócić aż do śmierci? No więc ja też byłam ciekawa. Zastanawiałam się nad tym, siedząc w kuchni; przyglądałam się milczącym kobietom o zaciętych twarzach i z nudów wcinałam sushi, próbując sobie przypomnieć, jak do tego doszło, po kolei i od początku.

Kiedy lekarz wspomniał o małżeństwie, myślałam, że żartuje. Okazało się, że mówił poważnie. Albo mnie kochał, albo był uparty. No więc był uparty. Nie wiedziałam o tym, kiedy się oświadczył.

Nie układało nam się zbyt dobrze, a czasami w ogóle nam się nie układało. Gdy wytrysnęła ze mnie powódź, lekarz odskoczył jak oparzony. Dobry kwadrans zajęło mi wyjaśnianie, że ta bezbarwna ciecz na prześcieradle to wcale nie jest mocz. Uwierzył dopiero po obejrzeniu kilku filmów porno, tych z rodzaju *squirt*.

— W porządku, nie jesteś nienormalna, ale przyznasz, że to raczej przykre. Całe łóżko mokre. Czuję się, jakbym znów był małym chłopcem. Jesteś w stanie to powstrzymać?

Tak więc robiliśmy razem jeszcze wiele rzeczy, ale żadna z nich to nie była miłość. A mimo to — uwierzycie? — powiedziałam „tak”, kiedy spytał. Byłam małą, głupiutką dziewczynką potrzebującą dużego misia. W imię normalności byłam gotowa na wiele. Byłam gotowa na wiele dla niego. Nauczyłam się gotować (mój miś lubił mięso, dużo mięsa), kupowałam seksowną

bieliznę i uśmiechałam się, zalotnie trzepocząc rzęsami, ilekroć tego ode mnie oczekiwał.

Pogodziłam się nawet z matką. To był czysty absurd — ta wizyta u niej. Kiedy otworzyła drzwi i stanęła na progu, lekarz zaczął coś tam trajkotać; po każdym jego słowie matka kiwała głową na boki, a ja już wiedziałam, że coś jest nie tak. Przez chwilę miałam wrażenie, że mnie nie poznaje. Miała na sobie podarty brzoskwiniowy szlafrok. Była bez makijażu. Jej brudne, sztywne włosy przypomniały mi o pewnej papudze, którą co rano widywałam na wystawie sklepu zoologicznego w drodze do pracy — owa zaniedbana ptaszyna z nudów skubała piórka; pomiędzy intensywną żółcią i papużkową zielenią różowiła się oszpecona łysa skóra — wyglądała jak mięso.

„Rety, co za burdel” — pomyślałam, gdy matka wpuściła nas wreszcie do mieszkania.

Dużo później w jednym z listów Joanna napisała mi o rzeźbie Christiana Boltanskiego, „Kanada”; coś jak pejzaż po Holocauście: w muzeum w Toronto na metalowych klamrach wisi kilkanaście biurowych lamp, na podłodze leży w nieładzie używana odzież — bluzki, sukienki i spodnie — setki, a może tysiące; jeśli chce się obejrzeć pozostałe eksponaty, trzeba po prostu przejść po tych ubraniach. Joanna napisała, że czuła się tak, jakby deptała ludzkie ciała. Jedno wam powiem: ten cały Boltanski musiał podpatrzeć to u mojej matki.

Brodząc przez sterty ubrań, przeszliśmy do pokoju i usiedliśmy przy stole. Mówił głównie lekarz. O naszym przyszłym ślubie, o weselu i jeszcze o tym, że po wszystkim będziemy żyć długo i szczęśliwie, więc w sumie o niczym. On trajkotał, ja przyglądałam się matce. Przypominała pacjentów z naszego oddziału, tych w ciężkiej depresji: niewiele ją obchodziło; ożywiła się dopiero na wieść o przyjeździe ojca.

— Ma do mnie wrócić, załatw to! — rozkazała głosem Czerwonej Królowej, jak za starych dobrych czasów.

— Świetny pomysł, mamusiu. Mogę mamusi mówić „mamusiu”? — familiarnym tonem zagadnął lekarz. Chciałam kopnąć go pod stołem, ale nie zdążyłam. — Że też sam na to nie wpadłem. Tatus mógłby zatrzymać się tutaj. Tym sposobem nie wydamy pieniędzy na hotel. — Z tego lekarza, przyznaję, był okropny sknera. — I wszyscy będą szczęśliwi.

Matka była szczęśliwa już teraz. Cieszyła się jak mała dziewczynka. W podnieceniu wyciągnęła z kieszeni szlafroka sztuczną szczękę. Rozpoznałam w niej protezę babki, tę samą, którą matka wyjęła z jej ust w kostnicy. Przez chwilę bezwiednie obracała ją w dłoniach; wreszcie znudzona położyła na stole, obok nadpsutych resztek jedzenia.

Stół właściwie nie był już stołem, tylko makabryczną martwą naturą. A wyglądało to tak: czarny nadgniły ogryzek, rybnie ości, białe jak wszystko, co jest białe, chleb pokryty grubą warstwą zielonkawej pleśni, obok różowa plama wędliny, ruchoma od połyskujących srebrzyście much, a na brzegu stołu szczeka nieboszczki babki; lekarz nie mógł oderwać od niej wzroku.

— Z głową mamusi chyba coś nie bardzo, ale raz-dwa ją naprawimy. Zajmiemy się tym zaraz po ślubie — wyszeptał mi do ucha, gdy wychodziliśmy.

Od matki pojechaliśmy do księdza. Lekarz przedstawił mnie jako ateistkę, ale, Bóg mi świadkiem, ateistką nie jestem; nieraz zdarzało mi się dostrzegać ślady działania jakiejś wyższej inteligencji w piachu, rdzy i rzeczach pękniętych.

Ksiądz zaprosił nas na plebanię; tam — niczym błoniasty nietoperz, cały w czerni — przycupnął za biurkiem. Najpierw uważnie popatrzył na mnie świdrującymi świńskimi oczkami, potem przedstawił lekarzowi cennik i ostatecznie wyraził zgodę na nasz ślub, pod warunkiem że owoce owego mezaliansu zostaną wychowane zgodnie z zasadami jedynej słusznej wiary.

Dopilnować tego miała daleka kuzynka lekarza, gorliwa katoliczka, w dalszej przyszłości matka chrzestna naszych dzieci — tak postanowił lekarz — w bliższej moja druhna.

Przygotowania do ślubu przypominały lawinę: pierwsze ruchy, przypadkowe i chaotyczne,

miały miejsce z dala ode mnie, na niedosiężnych szczytach, później wielkie masy śniegu stoczyły się ze zboczy, porwały mnie i niosły z ogromną prędkością, bezwolną jak przedmiot. Byłam w samym centrum wydarzeń, ale tak naprawdę nie można było powiedzieć, że w tym uczestniczę. Za oknami przetoczyła się zima, po niej nastąpiła wiosna i w końcu nadszedł kwiecień — ten właśnie kwiecień, w którym miałam zostać najszcześniejszą dziewczyną na świecie.

Poza tym wszystko było białe: obrączki z białego złota, bielizna, tak jasna i czysta, że niemal sterylna, za ciasny gorset, uszyty z jedwabiu, welon o barwie ludzkich kości i nieludzko niewygodne buciki na dwunastocentymetrowym obcasie — wszystko jak chciał lekarz. Zwłaszcza sukienka. Zanim ją wybrał, zwiedziliśmy sto sklepów — te sklepy były jak jedno wielkie muzeum bieli. Była najdroższa ze wszystkich i najbrzydsza. Przez niezliczone tiule, gipiury, wstawki z organzy i misterne koronki przypominała krowi żołądek, jaki matka pokazała mi kiedyś przy okazji gotowania flaków — śliski biały worek z mnóstwem wyrzuceń i zawijasów. Lekarz był zachwycony, ja nie za bardzo.

— Misiu, a może by tak coś skromniejszego? — prosiłam.

— Nie ma mowy, żabciu. Wszyscy będą patrzeć wyłącznie na ciebie. Tego dnia musisz wyglądać niezmiernie pięknie.

No więc tego dnia rzygałam jak chory kot. Joanna znalazła mnie o świcie, wiszącą nad wanną.

— Mój Boże! — Zadrżała z przerażenia, jakby ujrzała diabła.

Wcale jej się nie dziwię: wyglądałam gorzej niż trup; byłam wiotka i blada, i tak słaba, że ledwie mogłam ustać na nogach. Z trudem wyprowadziła mnie z łazienki.

— Tu jest rękawek, teraz druga ręka i zapniemy sweterek. — Pomagając mi się ubrać, mówiła do mnie jak do dziecka; czułam się jak dziecko.

Pojechaliśmy taksówką. Po dwóch minutach jazdy oznajmiłam: „siusiu” i musieliśmy się zatrzymać. Nic na to nie poradzę, przy każdym zatruciu moje nerki pracują jak oszalałe, jakby chciały odfiltrować całą wodę naraz. A człowiek właściwie zrobiony jest z wody.

No więc najpierw do mnie, po ekwipunek panny młodej, a potem do mojego rodzinnego domu. Sikalam pięć razy w jedną i trzy w drugą stronę, zanim wreszcie dotarliśmy do matki. Możecie mi wierzyć — nie było to łatwe. Mężczyźni to urodzeni sikacze. Leją gdzie popadnie. W biały dzień stają pod murem, odwracają się plecami do całego świata, a kiedy odchodzą, zostaje po nich mokra plama. W hałaśliwych metropoliach i w sennej scenerii prowincjonalnych miasteczek widziałam wielu sikających mężczyzn i żadnej kobiety, ale tego dnia wystawiałam swoją żeńskość na widok publiczny, kucając kolejno: w parku pod bzami, za śmietnikiem na końcu ślepej uliczki, za murem obok ruchliwej jezdnii, nieopodal zapchanej liśćmi studzienki, modląc się: „Boże, jeśli istnieje, spraw, żeby nikt tu nie przyszedł”, nie wiem gdzie, ale głośno i długo, i po raz siódmy — koło przedszkola dla upośledzonych dzieci, próbując schować się za przydrożnym słupem.

Za ósmym razem taksówkarz nie wytrzymał.

— Płacić i wysiadać! — warknął. — To jest taksówka, a nie obwoźny kibel.

— Pan będzie tak miły... Jesteśmy prawie na miejscu, a koleżanka dzisiaj się chajta — przekonywała Joanna, krztusząc się ze śmiechu. — To nie jej wina. Ona tak z przejęcia.

Taksówkarz popatrzył na nas groźnie, więc wysiadłyśmy. Pomyślał chyba, że z niego żartujemy. Joanna żartowała naprawdę, ja, niezmiernie blada, schowana za autem, zajęta byłam opróżnianiem pęcherza.

— Panna młoda zaraz skończy. Pan nie będzie bez serca, pan zaczeka.

— A pierdolę w czapkę! — Zatrzasnął drzwi i odjechał.

Dalej poszliśmy na piechotę, a raczej dowlokliśmy się do celu, obwieszone ślubnymi fatalaszkami w kolorze lawiny. Przed drzwiami matki byliśmy wykończeni; tak zmęczeni muszą być himalaiści, kiedy już zdobędą najwyższe szczyty.

No i u matki, z wielkim trudem, przyszykowano mnie do ślubu.

Od mojej poprzedniej wizyty mieszkanie zmieniło się nie do poznania; podłoga wprost lśniła (powiedzieć: „lśniła” to za mało, bo ta podłoga świeciła jak neony w Tokio), uprzątnięto bałagan. Za to ja byłam wielkim bałaganem. Matka, ubrana w szykowną czarną garsonkę, uwijała się przy mnie, pachnąca, zadbana. Przypomniał mi się dzień, kiedy ubierałyśmy babkę w kostnicy, tyle że tym razem to ja byłam bezwolnym ciałem, prawie trupem. Na skutek odwodnienia moja skóra zaczęła wydzielać specyficzną woń, coś jak zapach myszy; ten mysi fetor sączył się ze mnie każdym porem. Przy sznurowaniu gorsetu omal nie zemdlałam. Sukienka nie dość, że była szkaradna, to jeszcze ciążyła mi niemiłosiernie; czułam się jak poczwarka w ciut za ciasnym kokonie — o wiele za ciasnym.

Ale największy problem miałam z butami. W moich ślubnych pantofelkach — tych na dwunastocentymetrowym obcasie — nie dałam rady zrobić ani jednego kroku; jak maszt w trakcie sztormu — tak się kołysałam. Wyglądało na to, że będę musiała iść do ślubu boso. Uratowała mnie matka: zajrzała do pawlacza i znalazła tam moje stare buty z błękitnym kwiatkiem, te z pogrzebu babki.

Ponieważ w tym całym zamieszaniu zapomniałyśmy z Joanną o ślubnym bukiecie (został w moim mieszkaniu), ojca wysłano do kwaciarni. Wrócił, spocony i czerwony na twarzy, i wręczył mi czarne tulipany.

Tak więc byłam gotowa.

Wepchnęli mnie do taksówki, obandażowaną w te wszystkie tiule i koronki, ściskającą w dłoni żałobne kwiaty. Obok mnie siedziała ubrana na czarno matka, przy niej Joanna z twarzą spuchniętą po miłosnej nocy, jak po długim płaczu, a z przodu ojciec; zrugany przez matkę za wybór bukietu, powtarzał w kółko, że bardzo mu przykro. Jakbyśmy jechali na mój pogrzeb — tak było.

Spóźniliśmy się dobrych dwadzieścia minut.

— Już myślałem, że się rozmyśliłaś — na mój widok lekarz próbował żartować.

Staliśmy przed kościołem i wszyscy stwierdzili zgodnie, że w życiu nie widzieli tak bladej panny młodej. Większość chyba mi współczuła; za to moja przyszła teściowa przyglądała mi się z wyrzutem. Było jasne, jak cholera albo jak biel mojej sukienki na tle pociemniałego nagle nieba (o, wielkie nieba!), no więc jasne było, że ją rozczarowałam. No cóż, nic nowego, w dzieciństwie stale patrzyła tak na mnie babka.

Potem za mosiężnymi drzwiami znikali kolejno: teściowie, Joanna, rodzice, pan młody. Ja weszłam ostatnia.

Zawsze uważałam, że kościoły — za sprawą panującego w nich półmroku i chłodu — nie różnią się od piwnic. Ten nie był inny. Idąc do ołtarza, obserwowałam grę światła na marmurowej posadzce: ultramaryna, sjena palona, a nade wszystko czerwień — pełznąca krwawa plama; to promienie słońca ożywiały postacie świętych na witrażach: Jan Chrzciciel tracił głowę pod ciosem topora, Jezus pochylał się coraz niżej pod ciężarem krzyża, Maria Panna, zawsze dziewica, frunęła do nieba na fioletowej chmurze i będzie tak frunąć bez końca.

Zatrzymałam się przed głównym ołtarzem, jak zwykła to czynić każda panna młoda. Ale ja byłam nadgorliwa: od razu padłam na kolana. „Powinnam dostać za to czekoladę” — tak sobie wtedy pomyślałam. Niestety, ksiądz nic dla mnie nie miał, nawet zrozumienia. Przy naszym pierwszym spotkaniu dał mi wyraźnie odczuć, że nie pochwała mojego braku wiary; teraz wyznawał swoją na wieki wieków amen. Gipsowy Jezus wisiał na krzyżu i mrugał do mnie

gipsowym okiem. Zdziwiłam się, że jeszcze nie odpłynął.

Sądząc, że nie znam rzymskiej liturgii, ksiądz bawił się w dyrygenta: we właściwych momentach dawał mi ręką dyskretne znaki — wtedy wstawałam, siadałam i klękałam, ale tak naprawdę, śmiertelnie zmęczona po bezsennej nocy, ze wszystkich sił próbowałam nie zasnąć; przed moimi oczami wirowały twarze gotyckich Madonn.

Lekarz nałożył na mój palec obrączkę — ponieważ spuchły mi dłonie, weszła tylko do połowy — a potem stałam tam, otoczona wianuszkami śniętych świętych dziewic uwięzionych w witrażach, na wpół przytomna i trupio blada. I pomyślałam o babce. Że byłaby dziś szczęśliwa, gdyby nie umarła.

Lekarz przysięgał mi miłość, wierność i że mnie nie opuści. Ja też coś przysięgałam. Ojciec chrapał w pierwszym rzędzie. Matka płakała na cały kościół, jakby pomyliła mój ślub z pogrzebem.

Nie mogę sobie przypomnieć — całowaliśmy się czy nie, zanim lekarz odprowadził mnie sprzed ołtarza, tak bezwolną, jakbym była kukłą. Na przykościelnym placu obrzucono nas ryżem, na szczęście. Na nieszczęście na jego widok zrobiło mi się niedobrze.

W błękitnym mercedesie, obwieszonym tuzinem balonów, płynęłam przez miasto jak śnięta ryba, a raczej chciałabym płynąć. Zamiast tego staliśmy w korku. Za nami lśniły w słońcu samochody weselnych gości; ciągnęły się aż po horyzont. Dzień, mimo że był to początek kwietnia, był upiornie gorący. W dodatku w aucie popsuka się klimatyzacja. Na próżno przykładam czoło do wilgotnej szyby, szukając odrobiny wytchnienia. Byłam pewna, że umarłam i poszłam do piekła.

Wreszcie, po godzinie, która faktycznie była piekłem, zajechaliśmy przed dom weselny. Orkiestra grała tandetne szlagiery. Jedzenia była masa; stoły dosłownie się uginały. Goście sunęli ku mnie w długim korowodzie; obściskiwali mnie jeden po drugim (obleśni wujkowie lekarza robili to nawet po kilka razy), coś mi tam wrzeszcząc do ucha. Nie wiedziałam, jak to wszystko przetrwam. Dobrze, że była tam ze mną Joanna. Bo to właśnie ona przyrządziła mi drinka. Co ja mówię? Drinka? To było jakieś cholerstwo w rodzaju koktajli Jerofiejewa. Zdawało mi się, że ten napój wypali mi w gardle dziurę i jak Jerofiejew będę odtąd mówić przez specjalny przyrząd przykładany do grdyki; wypiałam dwie kolejki i — o, rety — poczułam się tak dobrze, że mogłabym myk-myk przenosić nie tylko te stoły z jedzeniem, ale góry też.

Kiedy na sali pojawił się Brad, striptizer (a jego to kto tu zaprosił?), Joanna postanowiła znowu z nim zniknąć. Zamknęli się w damskiej łazience na dobrych kilka godzin, a stateczne matrony w gipiurowych szalach musiały sikać na podwórzu, chowając się za krzewem akacji, podczas gdy gipiurowe koronki zwisały smętnie między ich udami. Ja też tam z nimi byłam: jadłam, piłam i sikałam.

Wprawdzie dzień mojego ślubu nie wyglądał tak, jak to sobie wymarzyłam, ale mimo to czułam się szczęśliwa. A przynajmniej jak na mnie szczęśliwa. Wszyscy tańczyli, grała muzyka, całowaliśmy się, kiedy wołano: „gorzko, gorzko!”. Wniesiono tort i była to — kropka w kropkę — miniaturowa wersja mojej sukienki. Zaraz potem lekarz zniknął mi z oczu.

Mijał kwadrans za kwadrans, zaczęłam się niecierpliwić. Sprawdziłam na korytarzu, w kuchni, nawet w piwnicy. Pytałam mężczyzn wychodzących z męskiej ubikacji — nigdzie go nie było.

Wynajęty przez nas fotograf — o północy mieliśmy umówioną romantyczną sesję zdjęciową przy świetle księżycy — zaczął mi robić wyrzuty.

— Pani śliczna, zaczynamy albo zabieram się do domu.

Nie wiedziałam, co robić. Nerwowo biegałam po sali. Sukienka ważyła dobrych kilka kilogramów; czułam się jak żona arabskiego szejka — blada dziewczyna uginająca się w dniu ślubu

pod ciężarem kosztowności i falban — i tak jak ona myślałam, że zemdleję.

— Widzieliście mojego męża? — pytałam ludzi o obcych twarzach.

Ach, gdzie była Joanna, kiedy jej potrzebowałam? To znaczy... dobrze wiedziałam, gdzie jest i co robi, i miałam jej za złe, że zostawiła mnie samą, samiuteńką.

I wtedy pomyślałam, że kiedy tak biegam w tę i we w tę, cała na biało, jestem jak uciekający króliczek. Zerknęłam przez ramię, żeby sprawdzić, czy aby nie goni mnie żadna Alicja. Nikt mnie nie gonił, nikt mnie nie złapał. Za to ja złapałam pijaną druhnę, katoliczkę. Wierzcie mi, byłam zdesperowana; potrzasałam nią, aż z jej koka wysypały się loki na kształt małych żmijek, ale o nagłym zniknięciu lekarza nie wiedziała nic. Teściowie z dezaprobatą kręcili głowami. Ojciec chrapał w kącie sali. Matka, do tej pory siedząca spokojnie przy stole, na mój widok gwałtownie zerwała się z miejsca (wzięła mnie chyba za ducha) i szarpiąc za róg śnieżnobiałego obrusa, ściągnęła go na ziemię, razem z całą zastawą i głośnym brzdękiem. W jednej chwili na podłogę posypało się szkło, o które kobiety tańczące bosy poraniły sobie stopy. Na woskowanym parkiecie zakwitło naraz tysiąc krwawych maków.

„Dom wariatów” — pomyślałam, wychodząc na podwórze.

Tam go znalazłam — mojego męża. Szedł ku mnie, lekko się chwiejąc. Pomyślałam, że jest pijany. Był trzeźwy. W słabym świetle latarni kątem oka dostrzegłam obcą kobietę; ubrana w obcisłą czarną sukienkę przypominała czarną panterę, czającą się do skoku.

„Kto to?” — chciałam zapytać, ale nie zdążyłam.

Lekarz chwycił mnie za łokieć i, wyłamując mi rękę, zaciągnął do męskiej ubikacji. Nie powiem, byłam zaskoczona. Zaskoczył mnie widok trzech brudnych pisuarów. Na podłodze migotały w słabym świetle żółte kałuże śmierdzące szczynami.

— Obiecuj, że nie spanikujesz. — Lekarz próbował się uśmiechnąć, ale był to uśmiech trupiej czaszki rzeźbionej na sarmackich grobach, takiej z ukrytym w środku węzem.

Coś zimnego wspinało mi się po nogach i pelzło w stronę serca, jakbym wiedziała, co chce mi powiedzieć, chociaż tak naprawdę nie miałam pojęcia. Tak muszą czuć się ludzie na korytarzach oddziałów intensywnej terapii, zanim ktoś przyjdzie i im wyjaśni: „Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, jest nam bardzo przykro”.

— Bardzo mi przykro — powiedział lekarz, nie patrząc mi w oczy, a potem nabrał głęboki haust powietrza. Odruchowo zrobiłam to samo, jak ktoś, kto przeczuwa, że za chwilę pójdzie pod wodę. — Widzisz, mamy mały problem. Tamta kobieta na podwórzu to moja była narzeczona. Mówi, że mnie kocha. Że wróci do mnie, jeśli tylko... No, chyba sama rozumiesz. Pospieszylismy się z tym całym ślubem. Trzeba zaraz jechać do księdza, może da się to jeszcze odkręcić.

Nie słyszałam, co mówił dalej. Czułam się jak ktoś, kto właśnie dostał cios w tył głowy. Gdyby stanął przede mną Jezus i Maryja Panna, zawsze dziewica, i wszyscy święci, przyjęłabym to ze spokojem, ale, dobry Boże, nie coś takiego! Lekarz przysięgał, że aż do śmierci mnie nie zostawi; nie minęła nawet jedna noc, no i co?

Milczałam. Nie było nic do powiedzenia. Nikt mnie nie gonił, nikt mnie nie złapał, kiedy spadałam.

Lekarz wyszedł, a ja zaczęłam uderzać pięściami w ścianę. Nie mogłam krzyczeć. Gdybym zaczęła, usłyszeli by mnie wszyscy, jak ta pieprzona sala długa i szeroka. Usłyszały by mnie czarna pantera i ten, który nigdy mnie nie kochał. Byłam tylko ogrodem, przez który pobiegł, tratując wszystko wokół. Nieprawda, nie byłam ogrodem. Byłam bladą kobietą w ślubnej sukience, obrzydliwej jak krowi żołądek, porzuconą na własnym weselu w męskiej ubikacji śmierdzącej szczynami. Uderzałam i uderzałam. Kiedy moje dłonie zrobiły się sino-czerwone, przestałam cokolwiek czuć.

Kanarkowo żółta taksówka zawiozła nas z powrotem do księdza. Nieświadomi niczego goście sądzili pewnie, że jedziemy na sesję zdjęciową w blasku księżyca, ale tej nocy nie było księżyca, a jeśli nawet był, nie miał tu nic do powiedzenia. Z lusterka zwiślał fioletowy różaniec, na którym huśtał się fioletowy Jezus. „Czy mają duży krzyż dla niego i maleńki dla mnie?” — zapytałam, ale tylko w środku, w mojej głowie; nie było sensu mówić tego na głos — nikt by mi nie odpowiedział, a już na pewno ten cały Bóg. Więc po prostu jechaliśmy tak we czwórkę: taksówkarz, Jezus na krzyżu, ja i mój mąż. Jeszcze mój.

Ksiądz o świńskich oczkach — kiedy wreszcie nam otworzył — był najpierw bardzo zaspany, później bardzo zaskoczony. Wysłuchał lekarza i spojrzął na zegarek.

— Ponieważ od ślubu minęło tylko kilka godzin, mogę unieważnić małżeństwo, ale, mój synu, czy jesteś pewien, że wiesz, co robisz? — Lekarz bez wahania kiwnął głową. — A więc zgoda. Będzie tak, jakby ten ślub wcale się nie odbył.

Jakby tego wszystkiego nigdy nie było. Tak po prostu.

Zanim stamtąd wyszłam, ksiądz ze współczuciem położył mi dłonie na ramionach.

— Dziecko, twoje życie wyglądałoby lepiej, gdybyś wreszcie uwierzyła w Boga.

Nie wróciłam na wesele. Nie chciałam psuć im zabawy: Joannie, ruchającej striptizera Brada w damskiej ubikacji, mojej matce, ściągającej na ziemię obrusy i tłukącej zastawę (miała rację, trzeba było to wszystko roztrzaskać w drobny mak, powtarzam, wszystko), rodzicom niczyjego męża, pijanej drużynie, obcym gościom, bosym kobietom, roniącym krew jak małe kwiaty, i gipiurówym matronom w gipiurówym szalach, sikającym pod krzewem akacji. Niech się bawią. Niech o niczym nie wiedzą. Dla nich tej nocy nie będzie żadnej rzeźni.

Następnego ranka obudziłam się na podłodze w mojej kawalerce. Ubrana w jedwabny gorset, zaciskając nożyczki w poranionej, obolałej dłoni, leżałam na śnieżnym kobiercu usypanym z resztek tiulów i koronek; tylko tyle zostało z mojej ślubnej sukienki: białe, podobne do czerwonej skrawki. Zamiotłam je do plastikowego worka, wyszłam na podwórze ubrana w sam gorset i wyrzuciłam worek do kontenera na śmieci. Wróciłam na górę, myśląc, że to wszystko tylko mi się śniło.

Ale śniło mi się coś zupełnie innego.

To mógłby być pomnik, to mógłby być grobowiec, kiedy on odwraca ku niej twarz, zimną jak marmur. Powtarza jak Hamlet: „Laleczko, nie wariuj, żadna z ciebie Ofelia, obnosisz wszędzie swoje czarne serce, ale zobaczysz, któregoś dnia, laleczko, zagoi się w tobie całe martwe morze”. Ona próbuje w to wierzyć. Jak? Bardzo. A teraz dajcie jej cokolwiek, powtarzam: cokolwiek, a nie tylko maki — bardzo czerwone — co się w niej tak pięknie, tak bujnie rozrosły i nagle zapomniała, że jeszcze wczoraj umiała bez niego oddychać.

11. Rozdział jedenasty, a w nim dużo jest krwi i utrata, z którą będę musiała teraz żyć

Wokół zaroilo się od dzieci. Istna plaga. Gdziekolwiek poszłam, wpadałam na przedszkolaki, niemowlaki, berbecie rączkujące po trotuarach poplamionych słońcem; czyhały na mnie z wózekkami, piłeczkami, czapeczkami, z tymi swoimi matkami o oczach czystych jak niebo, na parkingach, w parkach, nawet w wariatkowie — nie chciały zostawić mnie w spokoju. A może to te ich matki uparły się, żeby mnie wkurwiać.

W tamtym czasie życie było dla mnie prawdziwą torturą. Każdego ranka z trudem zwlekałam się z łóżka (ludzie w depresji mają rację: codzienne wstawanie naprawdę boli!). I co z tego, że gdzieś tam, owszem, był świat, który ciskał gołębie pod wiatr, pozwalając, by fruwały, choć wyglądało to bardziej na hurtowe wniebowstąpienie, co z tego? Wystarczyło, że wyjrzałam przez okno, a tam już czekała kobieta z brzuchem tak okrągłym, jakby przed chwilą połknęła słońce. Od razu robiło mi się niedobrze. No to już lepiej nie wyglądać. Wcale nie wychodzić. A wszystko dlatego, że spóźniał mi się okres.

Bywały dni, kiedy pragnęłam na wieki wieków pozostać w mieszkaniu: zamurowana, jak mniszki zamurowywano w ponurych katedrach średniowiecza. Co tu ukrywać: moje życie przypominało klasztor o bardzo, ale to bardzo surowej regule; brakowało mi włosienicy, trumny do spania i więcej nic. Z takim nastrojem nadawałam się tylko na cmentarz. Na szczęście — jak pamiętacie — mieszkałam tuż przy cmentarzu; wynajmowałam kawalerkę na najwyższym piętrze kamienicy, ale czułam się tak, jakbym zamieszkała na najwyższym piętrze kwietnia, maja, czerwca czy jakikolwiek mieliśmy wtedy miesiąc. No więc mieliśmy kwiecień, dokładniej koniec kwietnia — tego roku był naprawdę gorący, tak gorący, że spokojnie można go było pomylić z czerwcem — a mieszkanie obok cmentarza miało te dobre strony, że każdego popołudnia bez wychodzenia z domu mogłam sprawdzić, czy świat istnieje nadal i dla kogo właśnie się skończył.

A teraz opowiem wam o moim hobby.

Każdej niedzieli ubierałam się na czarno (dobrze mi w czerni) i szłam na przypadkowo wybrany pogrzeb. Krótko mówiąc, odgrywałam rolę młodej wdowy. Przyznaję, przez pewien czas chciałam, żeby lekarz naprawdę umarł. Obnosiłabym się wtedy z moją piękną żałobą dosłownie wszędzie. Lekarz nie zamierzał jednak umierać, wskutek czego moja piękna żałoba musiała przybrać formę wewnętrznego łkania w oktawie kruszonego kwarcu, a znaczy to tyle, że siedziałam cicho. Na pocieszenie miałam te moje niedziele. A czas upałów, moi mili, to mistrzostwa florystyki żałobnej. Tamtego roku starzy ludzie umierali bez przerwy i jeśli miałam szczęście, mogłam się załapać na trzy, cztery pogrzeby. Na każdym ksiądz modlił się o rychły powrót zmarłych, ale moim zdaniem należało im się trochę spokoju — co najmniej kilka stuleci.

Widok lśniącej w słońcu trumny, znikającej pod gradami ziemi, kołł moje nerwy. No i na pogrzebach nie widywało się dzieci. Za to w pracy każdego dnia wyprowadzały mnie z równowagi dwie brzuchate pielęgniarki. Ich wezbrane łona przypominały mi, że nie krwawię, chociaż powinnam, i co to może znaczyć. Jakby tego było mało, córka kucharki, piegowata i smarkata, przychodziła do nas w odwiedziny razem z niemowlęciem; zawinięte w becik miało wygląd larwy, ale wszyscy powtarzali, że jest i słodkie, i śliczne, i nie wiem co jeszcze.

Jeśli chodzi o lekarza... żył, przytył, słowem miał się coraz lepiej. Ilekroć wpadaliśmy na siebie na korytarzu, zmieszany odwracał głowę, udając, że wcale mnie nie ma; w wykrochmalonym kitlu przemykał obok: biała, spłoszona mewa. No więc nie, nie chciałam mieć z nim nic wspólnego, zwłaszcza dziecka.

Dobrze, przyznam się wam do wszystkiego: lekarz nie chciał nawet słyszeć o antykoncepcji. Wystarczyło wspomnieć o pigułkach, globulkach, kremach, kapturkach czy gumkach, by w jednej chwili zszarpać mu nerwy. Wierzył w prawa natury, prawa kościelne i boskie poczęcie, a ja — jak już wiecie — gotowałam, uśmiechałam się i trzepotałam rzęsami. Czy byłam głupia? Pewnie, że byłam.

O naszym ślubie, którego nie było, plotkował cały oddział. Nikt z personelu nie patrzył mi w oczy. Słowem lekarz nadal był wszechstronnie uwielbiany, podczas gdy nie kto inny tylko właśnie ja zostałam potępiona; ba, potępiono mnie ochoczo i jednogłośnie, do tego z wielką werwą. Wszyscy gratulowali lekarzowi, kiedy opowiadał o swojej przyszłej żonie. Zastanawiałam się, czy znów mu ucieknie sprzed ołtarza jak mały biały królik, którego on przez całe życie będzie gonił, tratując po drodze czyjeś ogrody. Zrobi to, jeśli będzie rozsądna. Gdybym była rozsądna, sama powinnam tak zrobić.

Myliliam się, sądząc, że nie może być gorzej. Wkrótce wezwał mnie dyrektor i oznajmił, że — ogromnie żałuje, naprawdę — w ramach zmian kadrowych mój czas pracy zostanie zredukowany do pół etatu. Ale na tym nie koniec. Ktoś z personelu — mniejsza z tym kto — złożył na mnie skargę; za karę miałam zostać przeniesiona na oddział dla najcięższej chorych. Siostra parokrotnie przełożona cieszyła się, że wreszcie dostałam za swoje.

— Pani, zdaje się, lubi wariatów. Założę się, że zmieni pani zdanie, jak tylko pani śliczna buziunia pokryje się sińcami.

Tak oto trafiłam do jednego z tych ponurych szpitalnych budynków, z kratami w oknach i drewnianymi okiennicami zabitymi gwoździami, na wszelki wypadek. Sześćdziesiąt łóżek, pasy, izolatka, pokój do elektrowstrząsów, stalowe drzwi na końcu korytarza oddzielające nas od całej reszty świata i szpitala też.

Co się tyczy pacjentek, na pierwszy rzut oka mój nowy, żeński oddział nie wyglądał groźnie. W głównej sali trzaski w katatonii, pół kobiety, pół drzewa, a dalej, za oknem, ogród marmurowy od rzeźb — to wariatki spacerowały, prawa, lewa, kamiennym bulwarem, prawa, lewa, pod wypłowiałym niebem, dźwigając swoje chore insygnia. Najdalej blok A, brzęczący ul; w nim siostry Medei — te wrzeszczały najgłośniej rozpaczliwym skrzekiem dzieciobójczych matek, dopóki lekarze, cierpliwe białe zwierzęta, nie przyszli i nie nakłuli przedramion, a wtedy zasklepił się w gardłach ocean.

My, szpitalny personel, mieliśmy igły, neuroleptyki, kaftany, elektrowstrząsy, izolatki, dźwiękoszczelne pokoje, no więc mieliśmy swoje sposoby, cały arsenał metod i środków, ale w gruncie rzeczy byliśmy bezradni, och, jakże bezradni byliśmy wobec krzyku, który zawsze powracał.

Czy wiedziałam już wtedy, że w owej batalii z rozpaczą będę musiała przegrać i przegram? Bywały dni, kiedy mogłam to przeczuć. Stojąc za ścianą z pleksi, obserwowałam te biedne kobiety; zupełnie jakbym podglądała ryby w jednym z błękitnych akwariów ojca Kasi: nieme, nierzeczywiste stworzenia polerowane trupim światłem. I pomyślałam o Alicji. I o tym, co widziała po drugiej stronie lustra. Ja widziałam usta, otwierające się jak rany.

„Właściwie — powiedziałam sobie — cały świat zrobiony jest z ust”. Te u żebraka, brudne i głodne. Usta bitego, pełne krwi, bezzębne. Śmiejące się usta, wąskie niczym cięcie. Usta kobiety, obrzmiałe, wilgotne, rozchylone jak jej płeć. Krzyczące usta, piękniejsze od zachodów słońca. Usta w miłosnej ekstazie, jakby w samym środku spirali bez początku i końca. Usta tonącego, co wynurzają się z wody, by zacerpnąć ostatni, rozpaczliwy oddech. A na samym końcu nie ma już ust, jest tylko wypalony ul.

Choć mój nowy oddział nie wyglądał groźnie, był diabło groźny: to właśnie tutaj trzymano zabójczynię. Na przykład te dwie nastolatki, które w trakcie małej sprzeczki roztrzaskały koleżance głowę kamieniem; wcale nie miały złych zamiarów — były pewne, że ta roztrzaskana koleżanka za chwilę wstanie i będą się mogły ładnie przeprosić.

— Trochę ją zabiłyśmy — przyznała jedna z nich, słodko się uśmiechając (a kiedy się tak uśmiechała, wyglądała jak anioł, który dopiero co zstąpił z nieba, aż miałam ochotę śpiewać: „alleluja”, „hosanna” i całą resztę szlagierów). — Zabrałyśmy jej jedno życie, ale na pewno miała w zapasie kilka innych. Przecież to tylko gra: wystarczy wybrać właściwy przycisk.

Jeśli chodzi o siostry Medei, jedna w stanie somnambulicznym wyniosła noworodka do parku w środku nocy; znaleźli go dopiero nad ranem. Inna w napadzie szału udusiła niemowlę pluszowym misiem (jak potem zeznała, chciała się wreszcie zdrzemnąć, chociaż na chwilę). A jeszcze inna zgłosiła zaginięcie. Przez kilka godzin chłopcy w mundurach i z pałkami przeczesywali teren wokół domu, póki pies tropiciel nie znalazł ciała ukrytego w piwnicy, pod podłogą. W chwilach, gdy owe nieszczęsne kobiety odyskiwały świadomość tego, co zrobiły, mogły już tylko krzyczeć. I wiercie mi, krzyczały — i to jeszcze jak!

W takich okolicznościach każdy na moim miejscu musiałby ugiąć się pod ciężarem ohydy i przyznać, że świat jest doprawdy miejscem okropnym. No więc ugięłam się, bo co miałam zrobić?

— Możesz wreszcie zabrać ode mnie swoje rzeczy? — usłyszałam od lekarza któregoś dnia

w pracy. — Najlepiej dzisiaj po południu. Chyba że mam je spalić.

Pojechałam. Drzwi otworzyła czarna pantera; całkiem naga, jeśli nie liczyć złotej bransoletki na kostce. Lekarz też był nagi. Z wrażenia o mało nie spadłam ze schodów. To było na pierwszym planie, a na drugim — moje rzeczy, rozwleczone po całym mieszkaniu: szczotka do włosów zrobiona z włosia dzika, szylkretowe spinki po babce, książki, mnóstwo książek, szyfonowy szlafrok w kolorze flaminga, zwanego przez niektórych ptakiem Schiaparelliego, i trzy tuziny mniejszych i większych drobiazgów. „Rety, jak nic musiał tędy przejść huragan” — powiedziałam sobie, a potem zaczęłam to zbierać.

Czarna pantera nie wyglądała zbyt dobrze w jasnym świetle i bez sukienki; miała obwisłe piersi, za to nie miała kompleksów.

— Dzia, mogłabyś się łaskawie pośpieszyć? Mamy ciekawsze zajęcia.

Jakby tego było mało, ocierała się o lekarza zwyczajem burych kotek.

— To nie trumna — odpowiedziałam. — Zmieścimy się obie.

Nic innego nie przyszło mi do głowy.

— Masz rację, misiu, to wariatka. Do tego sika w łóżku. Jak ty w ogóle mogłeś się z nią zadać?

— Wszystko z rozpaczy. Tak bardzo tęskniłem za moją żabką — wymruczał w jej ucho lekarz, choć jak na mój gust bardziej przypominało to skomlenie. — Najważniejsze, że nic nas już nie łączy.

Nie byłam pewna, czy to prawda, i to było najgorsze.

W domu towarowym przez dwie godziny buszowałam na dziale dziecięcym. Jeździłam w górę i w dół na ruchomych schodach, ale nikt nie zapytał, czy się zgubiłam.

Zgubiłam się. Szukam drogi do domu.

Kupiłam dwa testy ciążowe i butki. Tak na wszelki wypadek. Były maciupeńkie, jak dla lalek.

— To dla tatusia. — Ekspedientka bardziej stwierdziła, niż zapytała. — Czeka panią milusi wieczór. Pamiętam, jak mój mąż spadł z krzesła ze szczęścia.

Uśmiechnęła się, więc ja też się uśmiechnęłam.

Pierwszy test zrobiłam w obskurnej toalecie obok reala. Serce waliło mi jak oszałałe. No więc najpierw jedna kreska, dwie sekundy, w trakcie których moje serce musiano słyszeć w całym markecie, ba, w mieście całym, a potem druga kreska. Ot tak, po prostu. Powinnam być wściekła albo coś takiego. Prawda, że powinnam? Ale wcale nie byłam. Tam, w obskurnej kabinie obok reala, byłam gotowa urodzić to dziecko, serio, byłam gotowa urodzić od razu całe przedszkole, całe boisko dzieci.

W drodze do domu o wszystkim mówiłam „my”: „teraz czekamy na przystanku”, „teraz wsiadamy do autobusu”, „wolimy usiąść na środku czy przy szybie?”, „pewnie, że przy szybie, żeby lepiej widzieć cały ten świat, oprawiony w ramki, specjalnie dla nas: ulice i domy, i parki, i twarze ludzi w mijanych autobusach, jak rozsypane monety, coraz to dalej i dalej”. Tak oto z liczby pojedynczej zmieniałam się w mnogą. I wykrzyczałam moją mnogość samochodom jadącym na zachód. I wykrzyczałam ją samochodom jadącym na wschód. I zabrałam ją ze sobą do mojego pokoiku, na najwyższe piętro kwietnia, tylko po to, by nad ranem stwierdzić, że odeszła.

Tej nocy przyśniły mi się noworodki: wszystkie w ażurowych czepkach przewiązanych błękitną wstążeczką; rumiane i pulchne, kołysały się w gałęziach drzew, zwyczajem wisielców. Aż można się było przestraszyć. Niemowlaki na parkanach, ulicach, trawnikach, oblepiające trotuary, jak oblepiała je niegdyś plaga motyli (to było tuż przed śmiercią babki). Przedszkolaki na wirujących karuzelach, podskakujące z każdym obrotem na grzbietach cukrowych koni.

Dzieci, wszędzie dzieci. Rzygające mlekiem na matki, na ich ciężowe sukienki w kolorze wymiocin.

W tym śnie wszystkie kobiety mają usta błękitne jak Dolly — uświadamiam to sobie i zaczynam bać się na dobre. Moja matka też tam jest; obraca w dłoniach nóż do filetowania ryby; bardzo smutno patrzy mi w oczy; mówi: „Dziewczynko, spodziewasz się śmierci”.

Obudził mnie ból brzucha. Krew? No pewnie, że krew. Wszędzie.

Na wszelki wypadek przeczytałam instrukcję. Dwa razy. Ręce tak mi się trzęsły, że zanim trafiłam gdzie trzeba, posikałam sobie przedramiona i dłonie. Wreszcie zakropiłam na test czerwono-żółty mocz. Czekałam i modliłam się, serio: „Spraw, Boże, kimkolwiek jesteś, czymkolwiek, żeby zostało we mnie coś z tego dziecka”.

Pasek stopniowo zabarwił się na czerwono. Pojawiła się jedna kreska. Tylko jedna. Mieć dwie błękitne kreski i nagle zostać z jedną — czy to w ogóle jest jakaś tragedia?

Krew ściekała po moim udzie, więc gapiłam się na nią, jakby odpowiedź była we krwi kapiącej na podłogę; patrzyłam, jak tworzy orientalne wzory na brudnych kafelkach i chciałam, żeby to wszystko miało jakiś sens. Ale nie miało. W brzuchu czułam straszliwy ucisk, jakby jakaś ogromna dłoń próbowała zacisnąć się we mnie w pięść. Ta dłoń miała tysiąc palców i każdy sięgał serca. Do dzisiaj tak sięga.

Krew — to się tylko tak mówi, ale potem to już nie było tak pięknie: jeden po drugim wypadały ze mnie kawałki galaretowatego mięsa; miały być domem albo gniazdem, albo czymś takim, ale teraz były całkiem do niczego.

To mógł być poród, to mógł być pożar lasu — jedno i drugie są czerwone, trwają godzinami. To mógł być koniec jakiegoś świata, ale życie toczyło się dalej i ja toczyłam się razem z tym życiem. Byłam jak gałąź niesiona przez rzekę, popychana raz w jedną, raz w drugą stronę, klinująca się między kamieniami, spadająca w dół wodospadu, nieświadoma, że wszystko, co ją spotyka, jest jedynie czymś chwilowym i nieważnym w drodze do morza, do jego bezkresnej, niczyjej wieczności.

Każdego dnia chodziłam do pracy i z niej wracałam. Odwiedzałam ojca i matkę (po moim ślubie ojciec, o dziwo, został u matki). Czasami wychodziłam gdzieś z Joanną. W sumie zachowywałam się nijak, czyli normalnie. Tylko na widok małych dzieci chciało mi się krzyczeć.

Aż nadeszła ta dziwna niedziela, tak podobna do innych niedziel, kiedy to ubrana na czarno, niczego nie przeczuwając, poszłam na przypadkowo wybrany pogrzeb. Kondukt, do którego ochoczo dołączyłam, od razu wydał mi się inny niż wszystkie. Zaskoczył mnie widok białej trumienki z liliowym wieńcem; ta trumna była tak mała, że można ją było unieść jedną ręką. Musiała być pusta. Na pewno. Była zbyt krótka, żeby kogoś zmieścić. Wtedy jeszcze nic nie wiedziałam o trumnach dla dzieci; dopiero dużo później stałam się prawdziwą specjalistką w tej materii.

Zaraz za trumną szło młode małżeństwo, pomiędzy nimi pyzaty chłopczyk. W górze błękitne niebo, doskonale obojętne. Doszliśmy na miejsce. Dół też był za krótki i chyba dopiero tam, nad tym grobem, dotarło do mnie, że będą chować dziecko.

Nas, żałobników, była tylko garstka i wszyscy milczeliśmy. Księdzu też nie bardzo szło mówienie o całym tym — „alleluja!” — zbawieniu. Pызaty chłopiec grzebał patykiem w wilgotnej ziemi.

— Zostaw go, niech się bawi — powiedziała żona do męża, który już-już miał go skarcić. — On przecież nic z tego nie rozumie.

Kiedy już zakopano trumnę, żałobnicy zaczęli się modlić, a potem jeden po drugim wrócili do domów z uczuciem ulgi, że to nie o nich chodziło tym razem. Jakoś nie mogłam tak po prostu odejść, więc zostaliśmy tam w piątkę: ja, młode małżeństwo, ksiądz i pyzaty chłopiec, który

właśnie przestał grzebać w ziemi i podniósł na matkę błękitne oczy (miał je po ojcu).

— Mamusiu, Bartuś jest taki mały, to jak on mógł umrzeć? Ja tego nie rozumiem. Przecież on jest jeszcze dzieckiem. Jest mniejszy nawet ode mnie.

— Był, Piotrusiu, mówi się „był” — poprawiła go matka.

Jej głos był bezbarwny. Wyglądała jak moi pacjenci na lekach. W jej sposobie mówienia było coś, co sprawiało mi ból.

— To on już nie jest i już więcej nie będzie? — Piotruś koniecznie chciał się upewnić.

— Bartek umarł.

— Ale mówiłaś przecież, że jest w niebie?

— Umarł i poszedł do nieba. — Kobieta odpowiadała mechanicznie jak automat, który w każdej chwili gotów jest się zepsuć.

— A po co tam poszedł? Przecież wszystko jest tutaj: ja i ty, i tata, i nocnik Bartka, i miś panda, i wóz strażacki z czerwoną drabiną. I widelec, na który można zostać nawidelcowanym, gdyby się było akurat kluseczką.

W tym miejscu wtrącił się ksiądz, choć osobiście uważałam, że to nie jego sprawa.

— Wszystkie dzieci idą po śmierci do nieba, bo były dobre i Pan Bóg je zabiera, żeby mieć je przy sobie — odezwał się w te słowa.

— Znaczy, że on te dzieci nawidelcował? Ten Pan Puk to złodziej! Kradnie cudzych braciszków. Powiedz, mamusiu, żeby w tej chwili oddał Bartka. Każ mu, ty przecież wszystko możesz.

Ale mamusia nic nie powiedziała, za to ksiądz uparcie obstawał przy swoim.

— Chłopczyku, zrozum, w niebie każde dziecko zostaje aniołkiem.

— Ale ja wcale nie chcę zostać aniołkiem!

— O czym ty mówisz, synku? — odezwał się ojciec; popatrzył na Piotrusia wzrokiem tak nieprzytomnym, jakby dopiero co wynurzył się spod wody. — Przecież ty nie umrzesz.

— To ja nie pójdę do nieba? Bo jestem niedobry, a jak Bartek był greczny, to poszedł, i tam Pan Puk go zrobił za aniołka, znaczy, że go przebrał?

— Oj, pójdiesz do nieba, nie martw się, pójdiesz, ale dopiero jak będziesz bardzo stary — zniecierpliwiła się matka.

— A kiedy będę stary? Najpierw muszę urosnąć i dopiero potem? Mamusiu, a jak Bartek będzie rósł, to ta trumna jest taka zaczarowana i razem z nim urośnie? No bo inaczej to on się nie zmieści, będzie z niej wystawał i będzie mu okropnie niewygodnie.

— Co za głupstwa opowiadasz? Bartek umarł mały i taki zostanie.

— To dzieci po śmierci nie rosną? — zdziwił się Piotruś i dalej kombinował: — Czyli jak będę stary i pójdę do nieba, to ja poznam Bartka, ale czy on mnie pozna? Już wiem, do tego nieba wezmę ze sobą takie zdjęcie z teraz. Zrobisz mi je, mamusiu? A ty kiedy umrzesz? No bo jak będę taki stary, starusieńki, to chyba nie zostawisz mnie samego.

— Chłopczyku, twój braciszek jest teraz w lepszym świecie — ksiądz wtrącił się po raz drugi, aż miałam ochotę dać mu po uchu.

Bo — wyznam wam szczerze — nie mogłam oderwać oczu od ucha tego księdza: monstrialnie dużą małżowinę wieńczył u dołu mięsisty płatek; skóra na tym płatku sprawiała wrażenie delikatnej jak jedwab; całość przypominała gardziel egzotycznego kwiatu, bo ja wiem, orchidei albo agapantu.

— Jak tam jest lepiej, to co pan tu robi? — rezolutnie spytał chłopiec.

— Synku, nie mówi się „pan”, tylko „proszę księdza” — zbeształ go ojciec.

— To ten pan nie jest panem? Dlatego chodzi w sukience? — Ale wcale nie czekał na odpowiedź, tylko zaczął maszerować tam i z powrotem, jak mały żołnierz. — Wiesz, mamusiu,

ja się gniewam na Bartka, że sobie od nas poszedł. Jak pójdę do nieba, to wcale nie będę się z nim bawić, tylko pokażę mu język, o tak. — To mówiąc, wystawił język na wierzch.

— Piotrek, przestań — powiedziała kobieta-automat. — Jak będziesz niegrzeczny, to nigdzie nie pójdziesz. Zrozum, dziecko, twój braciszek jest teraz z Bogiem, babcią i dziadkiem.

— I z Azą? Bo Aza też zdechła, tak jak Bartek?

— No właśnie! — wyrwało się matce.

— Mamusiu, a co to jest śmierć? To ta trumna jest śmierć? Ta ziemia z grobu jest śmierć? — Wszyscy milczeli, nawet ksiądz, więc Piotruś mówił dalej: — A może ta cała śmierć to tylko taka zabawa i jak mu powiemy: „Wstawaj, Bartek, jest już rano”, to on wstanie i powie: „A kuku, ale was nabrałem!”. A co, jeśli babcia i dziadek też się tak schowali i ciągle czekają, ale nikt im nie mówi: „wstawajcie!”, to oni nie mogą krzyknąć: „a kuku!”. Że też na to wcześniej nie wpadłem. Niech to szlag jasno trafi! — zaklął, tak jak umiał, a umiał nie bardzo.

— Piotrek, ty się nie wyrażaj.

Ojciec pogroził mu długim, chudym palcem, ale Piotruś udawał, że wcale go nie słyszy. Przez chwilę grzebał w ziemi, wyciągnął tłustą glistę, zakopał z powrotem, a potem wytarł ręce w czerwone spodenki (pamiętam, na pewno były czerwone!).

— Mamusiu, ale jak to jest, że oni wszyscy byli, a już ich nie ma?

— Umarli. Jak by ci to wyjaśnić? Zniknęli — powiedziała matka, spokojna po lekach.

— Jak to zniknęli? Czy oni pękli? Ja tego nie rozumiem.

— Nie, nie pękli. Zniknęli. Oni nie byli jak bańki mydlane, to pomyśl sam, dziecko, jak oni mogli pęknąć?

— Myślę, mamusiu, i myślę, i aż mnie głowa boli od tego myślenia, i ciągle nie wiem, mamusiu, gdzie Bartek jest, jak go nie ma?

— Ile razy mam powtarzać? Bartuś jest w niebie! — wrzasnęła matka, a owszem, wrzasnęła, bo znalazła się właśnie na granicy wytrzymałości, załamania nerwowego czy czegoś w tym rodzaju.

— Ale przecież on wcale nie jest w niebie, tylko w tej ziemi, w tej trumnie, to czemu mnie kłamiesz? I co zrobią aniołki, jak Aza będzie miała małe?

To właśnie w tamtym momencie usłyszałam czyjś spazmatyczny szloch. Zupełnie jak wtedy, gdy w zoo, a konkretnie w wiwarium, królewski pyton dusił mysz dropiatą; no więc ta mysz chrobotała pazurkami o szybę, a potem przestała; na koniec, jak już spełzły z niej wszystkie plamki, ktoś zaczął strasznie płakać i okazało się, że to byłam ja.

A dalej to już ryczałam na całego: nad Bartkiem, nad nimi i nad sobą też. Mieć dwie błękitne kreski i zostać tylko z jedną — nawet jeśli niewielka, to jednak tragedia. Och, moja ty tragiczna bohaterko, przenieś ten ciężar przez siedem rzek, zakop go w siedmiu grobach. A potem co?

Potem, jak przystało na tragiczną bohaterkę, w kawalerce na ostatnim piętrze kwietnia płakałam i płakałam, jakbym chciała wypłakać z siebie mały ocean. I wiercie mi, chciałam — oj, jeszcze jak!

Napuściłam wodę do wanny, myśląc: „Dziewczynko, obmyj się z tego, jeśli potrafisz. Jeżeli jeszcze jesteś zdolna”. Weszłam do wody, tak jak stałam, w czarnej sukience. Zanurzyłam głowę, patrząc, jak z moich nozdrzy ulatują w górę bąbelki powietrza. Dobrze wiedziałam: nic to nie da. Ponieważ nic nie zostawia śladu i nic nie można z tym zrobić. Ponieważ nie ma nic, nie ma nic do zrobienia.

12. Królowa pszczół

Nie, to nie było piekło. Ta mała sala w prywatnej klinice — pełna ludzi w szeleszczących fartuchach i w maseczkach na twarzach — pośrodku której Joanna mrużyła oczy w mocnym świetle lamp, niczym niedoświadczona aktorka po raz pierwszy wkraczająca na scenę. Tyle że

Joanna nigdzie nie wkraczała: leżała na plecach, ze zgiętymi nogami, ze stopami w błękitnych foliowych butach (takich z białą gumką ciasno opinającą kostki), opartymi o metalowe strzemiona, no więc leżała tam, zaciskając dłonie na uchwytach biegnących po obu stronach ginekologicznego fotela (te uchwyty przypominały tramwajowe poręcze) i płacząc, bo właśnie wyrwali z niej dziecko, a ja, która stałam nad jej głową i próbowałam nie patrzeć ani w dół, ani w górę, na tych ludzi bez twarzy, pomyślałam, że piekło tak właśnie mogłoby wyglądać.

Jeden lekarz, dwie pielęgniarki, anestezjolog w pogotowiu, ja, w szeleszczącym fartuchu, maseczce, rękawiczkach i błękitnym czepku („Trzeba uważać na zarazki!”), płacząca Joanna i krwawa jatka pomiędzy jej nogami, dosłownie rzeźnia tam w dole — a mówiło się na to sztuczne poronienie.

Zapomniałam o dziecku, a ono też tam było: miniaturowa laleczka w kawałkach.

Lekarz — pozbawiony twarzy, więc nijaki — uwijał się gorączkowo, jakby trafił na żyłę złota, wrzucając to, co wyciągnął z Joanny, do trzymanego przez pielęgniarkę naczynia. Do lśniącego basenu w kształcie ludzkiej nerki — do jakiego zwykle sikali obłożnie chorzy — trafiały po kolei: nóżka, druga nóżka, rączka prawa i lewa, na końcu, w jednym kawałku, tułów i główka.

Spodziewałam się czegoś w rodzaju rybionosych embrionów, jakie widziałam niegdyś w prosektorium — stały na zakurzonych półkach pomiędzy resztą preparatów — ale to było prawdziwe dziecko. Wszystko miało na swoim miejscu. Przynajmniej przedtem. Teraz brzuch dziecka wyglądał jak przemielony kotlet; jelita — bo to chyba były jelita — wiły się na podobieństwo białej wstążeczki, a wyżej — jak w muzeum osobliwych eksponatów — można było podziwiać cienkie, różowe powieki, za duże do tej małej twarzy. Ale najbardziej przygnębiający był fakt, że to dziecko było dopracowane w każdym detalu. To nie była żadna tam rybka czy kawałek bliżej nieokreślonej materii o konsystencji mięsa. Ba, miało nawet palce na końcu miniaturowych stóp i dłoni. Zdawało mi się, że do mnie macha i zaraz zacznie płakać.

— Każ im przestać! — krzyczała Joanna. — Każ im schować je z powrotem!

I muszę wam powiedzieć, że kiedy tak wyła i jęczała, przypominała operową śpiewaczkę z ustami ułożonymi w doskonałe „O”.

Ilekoć zaczynała krzyczeć — a tego dnia krzyczała tak wiele — zamaskowany lekarz marszczył czoło.

— Proszę natychmiast zrobić z nią porządek — zwracał się do mnie; przez tę maseczkę brzmiał jak Lord Vader. — W takich warunkach nie mogę pracować.

Czułam, że lepiej go nie złościć; posłusznie chwyciłam Joannę za trupio bladą rękę i powtarzałam, że wszystko będzie dobrze, nie wolno jej tylko patrzeć na to, co dzieje się tam, w dole. Wtedy przestawała krzyczeć i w tej nagłej ciszy, która rozstępowała się wokół nas nieoczekiwanie, jak tafla wody pod ciężarem tonącego ciała, można było usłyszeć melodyjny brzdęk, kiedy szczypce uderzały o krawędź basenu, plaśnięcie, kiedy zwalniały uścisk, upuszczając do naczynia to, co przed chwilą wydobyły z Joanny, i szelest, kiedy ręce lekarza, przystrojone w białe rękawiczki i zielony kitel, poruszały się tam i z powrotem, tam i z powrotem, robiąc to, co trzeba było zrobić.

Tak właśnie brzmiała muzyka świata owego wieczoru w małej sali w prywatnej klinice, do której przyjęto Joannę z rozpoznaniem martwej ciąży. O tym, że ciąża była martwa po wstrzyknięciu w płód chlorku potasu, nie mógł wiedzieć nikt poza nami. Mimo to miałam wrażenie, że lada moment wkroczy na salę specjalna brygada gibkich mężczyzn w czarnych kuloodpornych kamizelkach. Wycelują w nas lśniące lufy pistoletów, na naszych piersiach i czołach pojawią się czerwone punkciki, a potem rozlegnie się donośne trach, a w nas zakwitną czerwone kwiaty. Na razie kwitły tylko w Joannie.

„Co ja tu robię?” — pytałam samą siebie. Wy pewnie też chcielibyście wiedzieć.

Godzinę wcześniej Joanna zapukała do moich drzwi, oświadczając, że ma w sobie martwe dziecko i że umrze, jeśli go nie urodzi.

— Doktorek zrobił mi zastrzyk, ale coś jest nie tak. Pojedziesz ze mną do szpitala?

Nie będę ukrywać, nie ma we mnie nic z bohaterki, nie miałam ochoty pakować się w ten cały bałagan. Poza tym — przyznaję — byłam wściekła na Joannę. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nie ulec pokusie, powiedzieć jej: „Goń się, suko!” i raz na zawsze wyrzucić z obskurnej kawalerki i z mojego życia, ale kiedy zobaczyłam krew na podłodze — nagłe rozarium na wyliniałym linoleum, które niegdyś, w latach dawnej świetności, było chyba dywanem — mogłam jej już tylko współczuć.

Opowiedzieć całą historię?

— To był jakiś koszmar, a nie ciąża — oświadczyła Joanna miesiąc wcześniej. — Ale, dzięki Bogu, mam to już za sobą. — A potem ułożyła się wygodniej na starej błękitnej kanapie, której zepsute sprężyny trzeszczały szaleńczo przy każdym ruchu, jakby chciały powiedzieć: „Tak, tak, trzeba jej wierzyć, ona wie, co mówi”.

Kawalerka, którą wynajęłam, miała być umeblowana — każdego miesiąca właściciel żądał ode mnie dodatkowej opłaty, upierając się, że to prawda — ale w rzeczywistości całe jej wyposażenie stanowiła owa nieszczęsna błękitna kanapa.

O czym jeszcze mówiła Joanna? O aborcji, i robiła to z taką obojętnością, jakby chodziło o prosty kosmetyczny zabieg, bo ja wiem, o zrobienie trwałej ondulacji. No więc ona leżała, jak na kozetce, ja występowałam w roli psychiatry i — z braku innych mebli — siedziałam na podłodze, słuchając trzeszczenia sprężyn, miarowego jak przy seksie. Zastanawiałam się, dlaczego tak trzeszczą. Być może kanapa, stojąca tu całą wieczność, pamiętająca kolejnych lokatorów, ich życie i sprawy, ich pojawienia się i zniknięcia, może ta stara zniszczona kanapa była po prostu zmęczona kurestwem.

— Nie patrz tak na mnie — powiedziała Joanna.

Musiała wyczytać z mojej twarzy, co o tym wszystkim myślę, choć oczywiście w imię naszej wielkiej przyjaźni z całych sił próbowałam to ukryć; niestety, co się tyczy talentów aktorskich, akurat tego nie odziedziczyłam po mojej pięknej matce.

— Nie patrz tak na mnie — powtórzyła. — Ta cała ciąża to wyłącznie twoja wina. To był twój ślub i twój striptizer.

No tego już było za wiele.

— A ojciec dziecka, znaczy Brad, znaczy, jak on ma w ogóle na imię?

— Nie wiem, nie pytałam — wyznała z rozbrajającą szczerością. — Nawiasem mówiąc, przyznasz, że niezłe z niego ciacho.

Przyznałam. Zapytałam, czemu się nie zabezpieczali.

— Bo to nieromantyczne — rzeczowo wyjaśniła.

— No to masz, co chciałaś: romantyczne poczęcie w damskiej toalecie.

Te słowa ją dotknęły, ale tylko trochę.

— Mówisz jak mężczyzna. Moja droga, ty chyba jesteś szowinistką. W ogóle nie rozumiesz kobiet.

Było w tym coś z prawdy: nie byłam pewna, czy mam coś wspólnego z kobietami, czy mam coś wspólnego z sobą samą.

Kanapa trzeszczała na całego, kiedy Joanna spytała:

— Powiedz, tylko szczerze, wzięłabyś ode mnie to dziecko, ale wiesz, tak na zawsze?

No więc bym nie wzięła. Zresztą i tak było już po wszystkim, a przynajmniej tak wtedy myślałyśmy.

— Ja bym je urodziła — westchnęła Joanna — ale starzy nie chcieli nawet o tym słyszeć. Grozili, że zakręcą kurek.

Bładziutka i drobna, z tymi swoimi równo przyciętymi włosami (w tej chwili miały kolor indygo w smugach światła padającego przez okno, bo oto pełznące po niebie słońce zbliżało się do zenitu, a potem stanęło w zenicie i tonął w nim cały pokój) wyglądała jak hinduska rzeźba z kości słoniowej — wiecie, taka mała, filigranowa kobietka.

Pamiętam, to była niedziela, ale nie chodziłam już na pogrzeby. Siedziałam na podłodze, słuchałam trzeszczenia sprężyn, liczyłam błękitne żyłki na białych dłoniach Joanny, całe cholerne dorzecze, jej prywatny Nil. A potem przyszły mi do głowy słowa takie jak „meandry” i „kapilary”, i pomyślałam, że są bardzo ładne. Dziecko Joanny też byłoby ładne. I wszystko jedno, czy byłoby podobne do niej, czy do Brada.

— „Załatw to”, powiedziała matka i wysłała do zaufanego doktora — mówiła dalej. — Zbadał mnie, nie powiem, bardzo dokładnie, dał mi tabletkę i miało być po wszystkim. Odczekałam dwa tygodnie i przyszedłam na kontrolę.

Wyciągnęła z torebki flakonik perfum (zwykle nosiła ich ze sobą kilka) i popsikała nimi szyję i nadgarstki; zrobiła to po raz drugi w ciągu kwadransa — no naprawdę, miała na tym punkcie hyzja. Po każdej jej wizycie długo musiałam wietrzyć mieszkanie, ale, szczerze mówiąc, niewiele to dawało: te wszystkie bergamotki, róże, narcyzy, olejki paczuli i neroli, kumaryna, akacja farnesa i jagodlin wonny dosłownie wrastały w moje ściany. Wstałam, żeby otworzyć okno, zanim rozboli mnie głowa.

— To miało być rutynowe badanie, niby żeby sprawdzić, czy wszystko jest cacy, ale ja wiedziałam swoje, znaczy, że doktor chce na mnie zarobić coś ekstra i nawet mi to nie przeszkadzało. Miałam żal do starych, więc pomyślałam: „Stać ich, niech płacą!”. A tu doktor wyjeżdża z tekstem, że ciągle jestem w ciąży. No bez przesady. Pan jesteś lekarz czy baran? Po drugiej takiej tabletkę myślałam, że się wykrwawię. Znowu dwa tygodnie, a on, ten partacz, ten konował jeden, zagląda we mnie i mówi, że nie jest pewien. Ja mu na to, że musi być pewien, bo tam, do tych tabletek, dają taki składnik, który robi z mózgu płodu miazgę, a, co jak co, żadnego dałna nie zamierzałam urodzić. Ani innego potworka.

Jakbym słyszała moją matkę; no słowo daję, miałam ochotę zrzucić ją z tej trzeszczącej kanapy.

— Na trzecią tabletkę było za późno, no to doktor podłączył mnie do odkurzacza. Jak zaczął, to myślałam, że odwrócę się cała na lewą stronę. Chwała Bogu, że jestem bogata, bo inaczej w tym popieprzonym zacofanym kraju zwiastowań i Matek Boskich, w którym mężczyzna umywa ręce, a kobieta to nic więcej niż samica, ma rodzić i się płodzić, musiałabym chyba sama sobie zrobić tę aborcję, bo ja wiem, po rumuńsku, drutem do robótek.

Fakt, to jej nie groziło; jej głos zdawał się niemal koloraturowy od owej radosnej beztroski typowej dla ludzi, którzy nie muszą się o nic troszczyć — żyją jak królowie.

— To był jakiś pasożyt normalnie, a nie dziecko. — Wstała, założyła najmodniejsze w tym sezonie pantofle i niedbałym ruchem poprawiła na kostce bransoletkę utkana z migoczących diamencików, efektowniejszych niż ogon komety. — Najważniejsze, że to już koniec.

Ale to nie był koniec. Ani wtedy, ani miesiąc później — przyjechała i zakrwawiła całą podłogę, łącznie z wyliniałym dywanem, wyglądającym jak linoleum, a potem wszystkie koce, jakie miałam w mieszkaniu, użyte w charakterze bandaży między jej nogami, kiedy wiozłam ją do szpitala; ani w małej, sterylnej sali, gdzie kawałek po kawałku wrywali z niej dziecko — to też nie był koniec. I nawet dziś rano, kiedy, stojąc na progu mojego domu, wsłuchana w oddalający się dźwięk dzwonka roweru listonosza, wyjęłam z koperty ostatni list od Joanny i popatrzyłam na jej pismo — małe ślimaczki i zawijasy — to nadal nie był koniec. Ponieważ

coś, czego nie ma, nigdy się nie skończy. Właśnie dlatego przepuszczają przez nią prąd w słonecznej Kalifornii.

„Czułam się jak porcelanowa lalka na dnie skrzyni, pośród innych nikomu niepotrzebnych przedmiotów — czytałam. — Albo uśpiony owad wtulony w kłęby waty (depresja, tak to nazwał lekarz). Teraz mam się lepiej. Trzymam się życia, najmocniej jak mogę, jakbym wierzyła, że jest czymś specjalnym. Moja droga przyjaciółko, pamiętasz jeszcze czasy, gdy byłyśmy młode?”

Byłyśmy młode tamtego późnego popołudnia, w samochodzie, kiedy wiozłam ją — półprzrytomną — przez miasto przemawiające językiem syren. Koce między jej nogami miały kolor kwitnących begonii; begoniowo czerwony stawał się fotel i miasto za szybą, kiedy w witrynach sklepów zachodziło naraz dwa tysiące słońc. Na niebie pojawiła się karminowa luna, jakby świat płonął, jakby płonęła Ziemia z jej upartym, szaleńczym obrotem. Na wystawach manekiny: ślepe, nieruchome, zastygłe w swych niezmiennych pozach. Kocham cię, męski torsie do mierzenia koszul! Wyjdiesz za mnie, bezręka, bezgłowa Afrodyto? Och, *mannequin*, małe niebo kalek. I wtedy pomyślałam, że to musi być sen: Joanna wykrwawiająca się na tylnym siedzeniu, płonący świat za szybą i ja — mniej więcej żadna, jak zawsze. To musiał być zły sen, nie mogło być inaczej.

Samochód utknął w korku, a wiecie jak to jest, gdy się stoi w korku: z przodu czerwone ślepie aut, w lusterkach jasność jak przy stworzeniu świata; i naraz robi się tak cicho, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech; i tylko krew szumi, jak zawsze, kiedy krąży, naśladując kosmiczną wędrówkę Ziemi wprawionej w ruch przez *primum movens*, tak krąży ta krew, a czasem się rozlewa, nie znając przyczyny ani przeznaczenia.

Światło stop. Pauza. Na horyzoncie zachodzące słońce, jego czerwona kreska, a jeszcze niżej miasto, które za chwilę zacznie krwawić dalej, i raz, i dwa, i raz, i dwa. Umiłowani, oto światło żółte, po nim symfonia klaksonów, trąbek, pokrzykiwań zza uchylonych szyb: „Na co czekasz, baranie?”. „Hej, ty, krowo, śpisz?”. Miasto krwawi, ale nie umrze. Umrą ludzie: ci w autach, na chodnikach, we wzniesionych wzdłuż ulic domach, których jasne okna, jak oczy obcych bożków mają nas obietnicą, że zdołają rozproszyć nadciągającą ciemność. Umrą wszyscy oni: zniechęceni i ukochani. Tysiące grobów do wypełnienia. Czy widzisz to także, nieznanym przechodniu? Znikniesz i ty, nie zostaniesz sam.

Puszczają hamulce, już piszcza koła — to jest rytm miasta. Trwa obłądna podróż znikąd, donikąd. Umiłowani, choć nie stajemy się od tego lepsi, zielone światło ponagla: „jedź!”. A my jedziemy.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do prywatnej kliniki, Joanna oświadczyła, że nie zostanie tam sama („Nigdy! Za nic w świecie!”), więc pielęgniarka — przysadzista kobieta nawykła do rozmaitych fanaberii i dziwactw — przystroiła mnie w te wszystkie niezbędne błękity. Zdaje się, że wzięła nas za lesbijki, które zafundowały sobie dziecko, nie wiadomo po co, i oto spotkała je zasłużona kara. Być może myślała właśnie o tym (nie jestem pewna, czy w ogóle o czymś myślała), kiedy sznurowała sterylny fartuch na moich plecach (raz po raz szeleścił); z trzaskiem naciągała mi na dłonie gumowe rękawiczki, podczas gdy ja wsłuchiwałam się w krzyk Joanny w sali obok (tego dnia tak wiele razy przyszło jej krzyczeć).

I pomyślałam, że świat się powtarza. Kilka dni wcześniej pojechaliśmy z ojcem do domku za miastem i wtedy było dokładnie tak samo: słyszałam przeraźliwy krzyk, ale niczego nie widziałam.

W tym miejscu powinnam zaznaczyć, że wyjazd z ojcem na wieś był dla mnie czymś w rodzaju tortury: przez cały czas trzęsłam się ze strachu — co prawda leciutko, ale zawsze; zbyt dobrze pamiętałam wigilijne polowanie, moją chorobę i koniec świata, który po niej nastąpił. „Ciekawe, co stanie się tym razem” — pytałam samą siebie; czułam, że w powietrzu wisi jakiś

dramat. No i miałam rację.

Wracaliśmy znad rzeki i nagle ojciec podniósł ręce do góry, jak ktoś, kto się poddaje, wołając: „Widziałaś? krogulec schwytał w locie jaskółkę!”, a ja udawałam, że tak, że jasne, ale tak naprawdę stałam w miejscu, z którego widać było drzewo, trochę nieba i znowu drzewo, więc wcale nie widziałam tej nieszczęsnej jaskółki w locie, tylko potem, na ziemi, to, co z niej zostało; nie było tego tak znowu wiele.

— Zawsze wszystko przegapiasz. — Ojciec nie krył rozczarowania; zorientował się, że kłamałam. — Wszystko przez to, że nie jesteś chłopcem. Mieliśmy raz chłopca... — A potem podzielił się ze mną sekretną historią ciąży mojej matki; szkoda że nie powiedział mi tego, kiedy byłam mała: może nie czułabym się winna, że żyję, nie aż tak winna.

Za pierwszym razem na świat miał przyjść syn — rodzice byli tego pewni — ale to, co wydostało się z matki, nie było synem, nawet najmniejszym, tylko krwawą plamą na majtkach i na siedzeniu też; wszystko za sprawą wypadku. A było to tak: wracali z naszego domku na wsi, kiedy przed samochód wbiegła sarna, a za nią koziołek. To musiała być ruja albo coś takiego. Sarna zdążyła przebiec, ale koziołek, zamroczony seksem, nie miał żadnych szans; z suchym trzaskiem uderzył w maskę i krew popłynęła z brzucha mojej matki. Z ojca też coś popłynęło, to chyba były łzy; na chwilę umilkł i stało się dla mnie jasne, dlaczego nienawidzi saren.

Za drugim razem to była dziewczynka, ale rodzice nie chcieli dziewczynki, więc matka poszła na zabieg. Powołała się na złe warunki materialne; w tamtych czasach nie było to niczym nadzwyczajnym.

— Za późno pani przychodzi. Płód to spore cacko — powiedział matce lekarz. — No i po co było tyle czekać?

— Ależ, panie doktorze, przybiegłam od razu, jak tylko ustalono, że to nie jest chłopiec.

Ponoć matka przekonywała tego lekarza długo i z werwą, ale oświadczył, że tego nie zrobi.

— „Nie ma mowy”, tak jej powiedział. Ten człowiek musiał być zupełnie bez serca.

Trochę mnie to wszystko zaskoczyło, nie powiem, ta cała opowieść ojca, a to dlatego, że moja piękna matka — oczywiście w czasach, kiedy ją znałam — wyrażała się o tych sprawach nieco inaczej. Ściślej mówiąc, miała poglądy zbliżone do owych przyzwoitych, solidnych mężatek, według których istota rodzaju żeńskiego powinna egzystować jako: a) pogardzana prostytutka, b) cnotliwa dziewica, c) cierpliwie rodząca matka. „Chrystusowa” sąsiadka posuwała się nieco dalej; twierdziła mianowicie, że zezwalanie na usunięcie ciąży będącej skutkiem gwałtu to przesadny sentymentalizm.

— Bóg kocha wszystkie dzieci — powtarzała. — Pod żadnym pozorem nie można popełnić zbrodni przerywania ciąży.

— Nawet jeśli kobiecie grozi pewna śmierć? — spytałam ją kiedyś.

— Nawet! — odpowiedziała.

No naprawdę, miałam ochotę kopnąć ją w twarz.

— Chwała Bogu, że wyskrobki są zabronione — powiedziała mi kiedyś matka — inaczej nie byłoby żadnej kary dla tych wszystkich pierdolnic gotowych iść do łóżka z każdym Jasiem czy Frankiem.

Ale dawniej moja piękna matka myślała jednak trochę inaczej. Ojciec opowiadał, że lekarz pozostał niewzruszony na żale i płacze, na owo wielkie matczyne larum. Jak doradziły matce życzliwe pielęgniarki, najlepiej zrobi, jeśli wywoła krwotok. Posłuchała ich rady: celowo spadła ze schodów, tam, w tym szpitalu, i o mało nie skręciła karku.

— Tego dnia mieli taki młyn na oddziale, że nawet nie dali mi znieczulenia. Myślałam, że umieram — opowiadała potem ojcu, a ojciec powtórzył to mnie. — Chciało mi się sikać. Wołałam pielęgniarki, ale żadna nie miała dla mnie ani krztyny czasu. Jakimś cudem dowlokłam

się do ubikacji i właśnie tam, w śmierdzącej chlorem kabinie, urodziłam, to znaczy prosto do sedesu wypadł ze mnie kawałek surowego mięsa, ale jeśli się uparłam, mogłam dopatrzeć się kształtu dziecka w tym czerwonym, galaretowatym czymś. Musiałam majaczyć z gorączki, bo pomyślałam, że to maleńka dziewczynka i że jednak jest śliczna. Wyglądała jak niedokończona Kaplica Sykstyńska. — Nigdy nie była poetką ta moja matka, ale podobno tak właśnie powiedziała. — Przez chwilę zdawało mi się, że ta dziewczuszka płynie. Nie płynęła. Była martwa. Leżała twarzą do dołu w brudnej wodzie i moim moczu stojącym w odpływowej rurze. „Może powinnam dać jej jakoś na imię albo ochrzcić, albo cokolwiek innego”, takie i inne myśli przelatowały przez moją głowę, a ja po prostu tam stałam z czołem przytkniętym do ściany przesiąkniętej wyziewami chloru, aż dotarło do mnie, że nic już nie da się zrobić. Przed wyjściem z kabiny spuściłam wodę.

Historia mojej nieszczęsnej siostrzyczki przypominała mit o Kybele — takiej córeczce, której ojciec nie chciał, bo nie była synem, więc wyniósł ją na wysoką górę, żeby tam umarła. „Tam zdychaj” — powiedział jej ten ojciec, pośród białych czaszek. Moja nieszczęsna siostrzyczka skończyła jeszcze smutniej: spuszczone ją w sedesie. Jakby wcale nie była dzieckiem tylko odpadkiem. Albo gównem.

Rodzice nie doczekali się chłopca. Co prawda matka zaszła w kolejną ciążę, ale zmienili prawo i nie chciało się jej więcej spadać ze schodów, więc urodziłam się ja.

Tak oto ojciec zakończył swoją opowieść, a potem była już noc. W małym pokoju pachnącym butwiejącym drewnem ułożyliśmy się obok siebie na łóżkach polowych. Krew z krwi, ciało z ciała. I kiedy tak leżeliśmy, nie mogąc zasnąć, przewracając się z boku na bok, przy każdym ruchu wydobywając z zardzewiałych stelaży metaliczne trzeszczenie, niczym stroiciele egzotycznych instrumentów — brzmiało to jak muzyka sfer — no więc wydobywaliśmy te kocie dźwięki z naszych zardzewiałych łóżek, mając już za sobą trochę wymuszonej czułości i trochę „dobranoc”, ojciec poprosił, żebym opowiedziała mu coś o sobie.

Zapadło krepujące milczenie, z tych najbardziej niezręcznych; mogłam usłyszeć ćmy uderzające o rozdęty pęcherz żarówki na ganku, gdzie zostawiliśmy zapalone światło, ospałe muchy zataczające nad nami senne kręgi, a także równomierny oddech ojca niby wprawiony w ruch metronom i moje własne serce, które wcale nie biło, tylko zaczęło warczeć. Poza tym było cicho i bałam się, że w tej nagłej nieruchomej ciszy, której nie zakłócało nawet najłżejsze trzaśnięcie sprężyny (czy to nie złośliwość?), ojciec jak nic usłyszy moje serce i że jego warczenie wyda mu się czymś głęboko niestosownym. Ale ojciec zapytał tylko: „Aniolku, śpisz?”, więc udałam, że tak.

A potem naprawdę zasnęłam. Śnił mi się chłopiec w stroju skauta: stał na masce czerwonego cadillaca i machał na mnie, wołając: „Chodź, chodź, króliku!”. Posłusznie wsiadłam do auta i ruszyliśmy; podróżowaliśmy godzinami w asyście przesuwających się za szybą pejzaży, szarych od pyłu — jechaliśmy naprawdę szybko — pod niebem pełnym połysku, niemal szklistym, zupełnie jakby pomalowano je damarowym werniksem. Nie wiedziałam, dokąd zmierzamy, ale miałam fatalne przeczucie, więcej, byłam pewna, że jakiegokolwiek miejsce na Ziemi było naszym celem, kiedy tam dotrzemy, wszyscy będą martwi. I naprawdę byli.

To było straszne, zdążyć w sam raz na wschód martwego miasta: przygnębiająca cisza, bezruch, i tylko światło brzasku kołysało się w gałęziach drzew, a potem pięło z wolna po wschodnich elewacjach opustoszałych budynków.

Niżej rozpościerał się przed nami widok jak z filmów katastroficznych: na ławkach w parkach, na parkanach, na ulicach i trotuarach — wszędzie leżały ciała. Kobieta z głową na krawędzi chodnika, jej złote loki okalające śliczną twarz, niby aureola, a może pełną we wszystkie strony jak jadowite złote węże, nie wiem. Dziewczyna podobna do Japonki, jej

jedwabna pończocha zrolowana na kostce, a wyżej biała plama obnażonego uda. Stary mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej wełny: leżał na plecach z otwartymi oczami, ale nie widział już niczego, nawet nas. Tych ludzi były dziesiątki, setki, tysiące, o różnych kolorach skóry, różnej płci i w różnym wieku. I były tam dzieci, mnóstwo dzieci. Coś mi mówiło, że ja i chłopiec mieliśmy ich uratować, ale nie zdążyliśmy.

W tym śnie podróżowaliśmy przez wiele dni i wiele miast, i zawsze przyjeżdżaliśmy za późno. Miałam ochotę się rozplakać. Chłopiec był spokojny; stał na masce cadillaca i rozkładając ramiona jak do lotu, mówił: „Króliku, wszystko będzie dobrze. — Powtarzał to za każdym razem. — Dzisiaj zawiedliśmy, ale jutro musimy ruszyć dalej”.

Jutro było wtedy, gdy otworzyłam oczy. Spowita całunem bladego światła z mnóstwem migoczących drobinek kurzu, które unosiły się tuż nad moją głową na kształt maciupęnkich balonów, nasłuchiwałam, co z moim sercem. Nic. Zupełnie nic. Oddech ojca — to było wszystko, co usłyszałam — przyływ i odpływ, przyływ i odpływ: wprawiony w ruch ocean. Przez okno zajrzało do mnie słońce, które właśnie wschodziło, i to mi przypomniało o wszystkich dzieciach, które umarły, zanim w ogóle zaczęły żyć — tych dzieci było tak wiele, że mogłyby jedno po drugim zapełnić wszystkie miasta świata — o moim dziecku, siostrze i bracie (byłam niemal pewna, że chłopiec ze snu był moim bratem). I raptem moje przekłete serce znów zaczęło warczeć, zupełnie jakbym hodowała pod żebrami czarnego psa.

„Są takie dni, kiedy nasz pies staje się duchem naszego martwego psa” — pomyślałam wtedy, nad ranem, stojąc w oknie i patrząc na świt, który różowił niebo, upodobniając je do szlifowanego agatu — z symetrycznymi pasami biegnącymi z północy na południe, a może inaczej — a świeża, zimna bryza powietrza, zwana wiatrem, poruszała firankami, wędrując jak zawsze od wyżu do niżu, posłuszna naturze i jej prawom.

No i tak już zostało: mój czarny pies warczał we mnie przez cały dzień — czasem całkiem cichutko, to znów głośniej — i chwilami to się nawet ładnie komponowało z szumem drzew (szumiały naprawdę pięknie, kiedy przesadzaliśmy z ojcem kwiaty w ogrodzie). A już na dobre rozkręciło się to moje psie serce po tym, jak ojciec wypuścił z rąk ogromną kamionkową donicę z gardenią. Zrobił to, bo miał dobry powód: ugryzła go w palec czarna mrówka. Donica rozbiła się, ukazując naszym oczom ukryte w jej wnętrzu mrowisko. Zbieraliśmy skorupy w nadziei, że będzie je można jeszcze skleić. Ojciec był nieostrożny i skaleczył się w palec. No i wtedy, co tu dużo mówić, wpadł w taką złość, że zaczął skakać po ziemi, klnąc i depcząc wszystko na oślep. Byłam pewna, że mrówki w obliczu miazdzącej (dosłownie!) przewagi rzucą się do ucieczki, ale zamiast tego lśniące, czarne punkciki raz-dwa pomaszerowały w stronę rozsypanych tu i ówdzie bladożółtych, podłużnych jajeczek, podobnych do szklanych kapsułek. Chciały je przenieść w bezpieczne miejsce; śpieszyły się przy tym okropnie i poganiały nawzajem, łaskocząc się czułkami, zupełnie jakby wołały: „Ratować dzieci! Ratować dzieci!”.

— Przekłete mrówki — powiedział ojciec, kiedy zmęczył się na tyle, by dać sobie spokój ze skakaniem. Po wylewie miał problemy z krążeniem i jego krew nie krzepła we właściwy sposób, a wtedy, w ogrodzie, w ogóle nie krzepła, tylko kapała ze zranionego palca i wsiąkała w piasek.

Krew Joanny nigdzie nie wsiąkała. Patrzyłam, jak cieknie na musztardowe kafelki. Co do mnie, tam, w tej małej prywatnej klinice, wsłuchana w krzyk Joanny, w oddechy szeleszczące przez maseczki anestezjologa, dwóch pielęgniarek, jednego lekarza i moją — czyli Lord Vader razy pięć — i znajome warczenie wydobywające się z mojej piersi, pomyślałam, że oto znów oglądam wymarłe miasto, że mrówki są od nas dużo lepsze, a być człowiekiem to niewiele znaczy. Tak czy inaczej, trzymałam na swoim posterunku, trzymałam Joannę za rękę i nie zważając na zdobiące jej paznokcie tipsy w kolorze lilaróż (wbijała je we mnie do krwi, na serdecznym palcu została mi po tym śliczna blizna), mówiłam, że już za chwilę będzie po wszystkim;

powtarzałam to za każdym razem, kiedy jej usta, błękitne jak u Dolly, układały się do krzyku.

Zapytałam, czy przetoczą Joannie krew.

— Nie ma potrzeby, nie straciła jej znowu tak wiele — powiedział lekarz. — To tylko wygląda tak strasznie.

Możecie mi wierzyć: wyglądało strasznie. To mogło być piekło. Wyciągano z Joanny kawałek po kawałku coś, co ułożyło się w kształt dziecka i teraz leżało sobie w basenie — dziecko w wersji puzzle.

Wreszcie lekarz skończył. Jedna z pielęgniarek bawełnianą gazą otarła mu pot z czoła. Druga, ta, która trzymała basen, wrzuciła jego zawartość do pojemnika z napisem „Odpadki organiczne”. Pamiętam, że na neurofizjologii mieliśmy identyczne pojemniki; ilekroć skończyliśmy robić swoje, wrzucaliśmy do nich pootwierane żaby o ciałach jak pęknięty agrest; studenci medycyny dorzucali od siebie, co tam mieli najlepszego (głównie pokrojone myszy, psy i koty). Raz w tygodniu przyjeżdżał wóz z wymalowanym z boku hasłem „Utylizacja odpadków organicznych”. Po jego odjeździe wokół zakładu jeszcze przez długi czas unosił się w powietrzu smród padliny.

Dziecko Joanny i Brada czekała podobna przejażdżka; miało pojechać do dużego szpitala i zostać spalone razem ze strzykawkami, bandażami, wyciętymi organami, guzami i amputowanymi nogami. I pomyślałam, że moja matka — wtedy, w śmierdzącej chlorem ubikacji — jednak wiedziała, co robi. Wyobraziłam sobie moją siostrzyczkę, jak — pozostawiona w środowisku naturalnym płodów, czyli w wodzie — wyrusza w zupełnie inną podróż: niczym tycia czerwona rybka płynie odpływem i dalej, przez sto rwących rzek, przez tysiąc wodospadów; a na końcu wyobraziłam sobie taką rzekę, która wpada do największego z błękitnych oceanów — to właśnie na jego dnie do dzisiaj mieszka moja siostrzyczka, niedokończona Kaplica Sykstyńska.

— Można opuścić nogi — powiedział lekarz, zanim wyszedł.

Bogowie, patrząc na nas, oni milczą, to prawda. Ale czy płaczą? Czy drżą?

13. Jak zabić dziewczynę kawałek po kawałku?

Do mieszkania obok wprowadziła się Agata. My, sąsiedzi, wiedzieliśmy o niej trzy rzeczy: ma obrzydliwie bogatego ojca, starego wyliniałego psa i raka. Zanim ją poznałam, obcięli jej jedną pierś, potem drugą; truli chemią, aż wyłysiała.

Na strychu, obok listów od ojca, trzymam tekturowe pudło. Nazywam je moim małym prywatnym muzeum — przechowuję w nim pamiątki po wszystkim, czego już nie ma. Jakbym nie wiedziała, że to nic nie da.

Ekspонат numer jeden przedstawia zdjęcie z czasów liceum: oto Agata uwieczniona jako pin-up girl z ukośnie przyciętą grzywką i wiśniowymi ustami. Ubrana w koronkową bluzkę retro w kolorze kości słoniowej (a może nude, a może beige) i papużkowo zieloną atlasową spódnicę w kształcie bombki, siedzi na krawędzi wysokiego muru. Na tym zdjęciu zawsze wieje wiatr; nadyma spódnicę Agaty, nadając jej kształt atomowego grzyba, i pin-up wygląda, jakby za chwilę miała spaść.

Humpty Dumpty na murze siada.

Humpty Dumpty pięknie upada.

Zdradzę wam sekret: ilekroć oglądam ekspонат numer jeden, przychodzi mi na myśl właśnie ten wierszyk.

Ekspонат numer dwa to błona fotograficzna; kiedy jej dotykam, wydaje suchy szelest. Zdjęcie z mammografii, widziane pod światło, przedstawia pierś, ale wystarczy odwrócić je na bok i wygląda to trochę jak macica. Za każdym razem mój wzrok przykuwa kulisty kształt w jej wnętrzu, coś jakby embrion w łonie matki. To ulubione zdjęcie Agaty. Oprawiła je i powiesiła

nad łóżkiem.

W niektóre noce budziła mnie stukaniem w ścianę; wiedziałam, że ma się gorzej, wymiotuje i nie chce być sama.

— Znowu rzygam osami.

— Robi się z ciebie królowa matka.

Żartowałyśmy obie; nic innego nie można było zrobić.

Któregoś dnia zabrała mnie ze sobą do hospicjum dla dzieci. Sale z maleńkimi łóżeczkami z łatwością można było pomylić z plantacją bawełny, kiedy trwa zbiór i biały puch zdaje się wprost wirować w powietrzu. Wszystko było białe. A pod tą bielą, jak gdyby przyprószone śniegiem, leżały sobie kijanki w kataplazmie. Dzieci znikwały jedno po drugim; wolontariusze chodzili na palcach, uśmiechali się smutno albo modlili. Uciekałam stamtąd, aż się kurzyło — mówię jak było, a było tak, że nie chciało mi się nic, tylko rzygać, całkiem jakby ktoś, pac-pac, z całej siły walnął mnie w brzuch.

— Za dużą wagę przywiązujesz do śmierci — powiedziała Agata. — Jedno jest nie do uniknięcia: to, że się umiera.

Pies Agaty nosił imię Jezus. Było to stare poczciwe psisko-hybryda — krzyżówka cocker-spaniela z buldogiem — nie da się ukryć, jego lata świetności minęły bezpowrotnie, tak jak minie wszystko: słońca, gwiazdy i nawet ta wielka cisza, którą ktoś czulszy od nas, kto wie, może jakaś boska istota, rozpina nocami nad miastem. No więc ten Jezus z każdego spaceru przynosił martwe ptaki. Rozkładające się ptasie truchełka czuć było w całym domu (przynaję, w tamtych czasach takie rzeczy jeszcze robiły na mnie wrażenie). Za to Agata — trzeba ją było widzieć! Coś tam nucać, układała na kuchennym blacie te wszystkie gołębie, wróble czy inne ptasiopodobne stworzenia, przeobrażające się na naszych oczach w czarną, bezkształtną masę, i zabierała się do pracy. Wytwarzała *papier mâché* i nakładała na gnijące ciała, a te zamieniały się w jej rękach w małe skarby. Gotowe umieszczała w trumienkach z kartonowych pudełek, folii i celofanu, przystrojonych tuzinami wstążeczek, płatkami kwiatów i Bóg wie czym jeszcze. Mówiła, że to ją uspokaja. Kiedy już skończyła, ptasie truchełka można było z łatwością pomylić z cukierkami w luksusowych bombonierkach; wszystko przez te sreberka.

Każdego wieczoru, tuż przed zapadnięciem nocy, wychodziłyśmy z Jezusem na spacer. Dla sąsiadów była to nie lada gratka. Dość powiedzieć, że nie raz, nie dwa psi staruszek zrywał się ze smyczy, a my, chcąc nie chcąc, urządzałyśmy groteskowe widowisko, próbując przywabić go z powrotem. Byłyśmy parą ubranych na czarno dziewczyn, wołających na ulicach miasta: „Jezus! Jezus!”. Być może brano nas za dewotki albo nawiedzone pannice w stylu głodującej Walijki, Sary Jacob, nie wiem. Bywały dni, kiedy chmury zasnuwały niebo, tworząc coś w rodzaju czarnego laminatu; wówczas — wiedząc, że za chwilę spadnie deszcz i przemoczy nas doszczętnie — traciliśmy wiarę; byliśmy zmęczone tym naszym wołaniem, bezcelowym, zupełnie bezowocnym. Tak muszą czuć się ludzie, którzy się modlą.

Eksponat numer trzy to folder protez piersi. Pamiętam dzień, w którym Agata dostała go od lekarza. W przychodni czekałam na nią na korytarzu — bardzo długim i bardzo białym — a potem poszłyśmy do fast fooda.

— Mam ochotę na trochę śmieci — powiedziała. — Dwa burgery, poproszę, ale bez krowizny.

— Bez mięsa — przetłumaczyłam, zanim zdążyła o coś spytać dziewczyna w żółtej firmowej czapeczce, patrząca na nas wzrokiem co najmniej tępym.

Czekając na jedzenie, zabrałyśmy się za oglądanie folderu. Hasło na pierwszej stronie głosiło: „Nasze protezy piersi — lepsze niż prawdziwe”. Tuzin fasonów, kształtów, kolorów; parada żelatynowych meduz, na widok których Agata straciła apetyt. Co do mnie, odechciało mi

się jeść, kiedy opowiedziała mi o swojej ostatniej mastektomii: jeden ze stażystów w jej trakcie zatelefonował do patologa, aby mu oznajmić, że asystent właśnie usunął pierś, i on, ten patolog, już frunął jak jaskółka z drugiego gmachu szpitala po świeży preparat.

— Świeże są o niebo lepsze od utrwalanych w formalinie — tłumaczyła mi Agata.

— Łatwiej w nich znaleźć powiększone węzły chłonne, obcięte razem z cyckiem. A ten stażysta to też był niezły. Tak lizał dupę chirurgowi, że aż mu głównym zalatywało z ust.

Tam, na operacyjnym stole, była pod jakąś felerną narkozą: nie mogła nawet mrugnąć, za to wszystko słyszała.

— Jak ten jaskółczy zaczął się cieszyć, że spadłam mu z nieba, bo właśnie taki preparat jest mu na gwałt potrzebny do badań, miałam ochotę krzyknąć: „Zboczony złodzieju, oddawaj mój cycek!”.

Prawda, z tej łykowatej dziewczyny była nie lada buntowniczką; czułam to nawet teraz, kiedy siedziała naprzeciw mnie wycieńczona chorobą, wychudzona, chrząstkowata, z łysą głową, z rozszerzonymi źrenicami ogromnych migdałowych oczu (prześliczne były te oczy).

Po chemioterapii drobne, kościste przedramiona Agaty zdobiły sińce o barwie dojrzałych śliwek — miała wyjątkowo cienkie żyły i stale dochodziło do ich pęknięcia, zwłaszcza gdy wprowadzania igieł podejmowały się jędre pielęgniarki z długimi nogami, za to bez zręczności i wprawy.

— Pytam się tego rzeźnika z dyplomem, po co ten pośpiech. Nawet nie wie, czy przeżyję, a już mi wciska cycki z plastiku. Zaczął coś pieprzyć, że to przyspieszy gojenie, polepszy rokowania. Na razie mam nosić tymczasowe protezy, takie balony podobne do stężalego budyniu. Potem, tak mi tłumaczył, dobierze się właściwy ciężar, kształt, no i wielkość, o jakiej zawsze marzyłam. To ja mu mówię, że jak te plastikowe cycuchy są takie dobre, no to chwała Bogu, że mi moje chlasnął. Takie foldery powinni rozsyłać po więzieniach i innych tego rodzaju przybytkach, żeby faceci mieli się do czego ślinić przy frezowaniu pały.

Czwarty numer wśród eksponatów to skierowanie do szpitala na kolejną operację, tym razem wycięcia węzłów chłonnych pachwin.

— Cholera jasna, będą mnie tak kroić, aż nic nie zostanie. Ty wyjdiesz za męża, okocisz się, a ja co? — powiedziała pewnego wieczoru, rzucając na moje kolana pismo dla dorosłych pod tytułem „One to lubią”.

Jasne, że nie pisałam słowem o moim feralnym ślubie i feralnym dziecku; miała wystarczająco dużo własnych problemów.

— Zanim dam się znowu chlastać, potrzebuję mężczyzny.

Otworzyłam gazetkę: wszędzie cycki. Duże, małe, sprężyste, sterczące, nagie, w biustonoszach, bez biustonoszy, z rzemykami, piórami, koralikami, a nawet z agrafkami wbitymi w sutki na stronach ogłoszeń sado-maso.

— Gdybym była lesbijką, to byłoby prostsze — przy każdej stronie wzdychała Agata.

Uwierzycie? Przekartkowałyśmy całą gazetkę i znalazłyśmy tylko pięciu mężczyzn.

Pierwszy wyglądał na brakujące ogniwo w teorii ewolucji; był włochaty jak małpa. Ogłaszał się jako seksmachina — no, skromny to on nie był. Pozował do zdjęcia w białych, a właściwie szarych od brudu skarpetach. Na tle opuszczonych do kolan dresów zwisała jego wątpliwa męskość. Agata była oburzona.

— Mój Boże, nawet mu nie stoi. Jak mu nie wstyd startować do ludzi z takim flakiem!

Z drugiego zdjęcia uśmiechał się do nas podtatusiały czterdziestolatek z dorodną łysiną i brzuchem w kształcie samochodowej opony; na jego nadgarstku mienił się złotem bazarowy rolex.

— Spójrz na tego fiutka — powiedziała Agata. — Całe szczęście, że nosimy ubrania, inaczej

w mięsny ktoś mógłby go pomylić z kabanosem.

Trzeci z amantów dziarsko dzierzył w jednej dłoni penisa we wzwodzie, w drugiej — dezodorant. Nie rozumiałam po co, ale Agata zaraz mi to wyjaśniła:

— A to cwaniak. Dezodorant ma służyć za porównanie, ale, jak widzisz, trzyma go trochę z tyłu, a zdjęcie zrobiono z żabiej perspektywy. Tym sposobem wszystko, co jest na pierwszym planie, wydaje się wielgachne jak u osła.

Czwarty żigolak wyglądał zachęcająco. Stał po kolana w jeziorze, prężąc mięśnie, na których lśniły w słońcu kropelki wody. Możliwe, że to była rusałka, ale nie byłam pewna, czy istnieją rusałki w wersji *homme* i co ewentualnie można by było z nimi zrobić. Ten tutaj zamiast twarzy miał biały balonik. Podpis pod zdjęciem głosił: „Jeśli lubisz być poniżana, zadzwoń, oferuję znęcanie psychiczne i fizyczne, będę twoim panem”.

— Też mi gratka — dziwiła się Agata. — Tego rodzaju atrakcje można mieć za darmo, wystarczy wyjść za mąż.

Ostatni anons zamieścił osiemnastolatek o długich rękach i jeszcze dłuższych palcach. Na czarno-białym artystycznym zdjęciu prezentował piękne młode ciało.

— Ten jest w porządku — ucieszyła się Agata.

Tak, co jak co, ale ten chłopiec mógł wzbudzać pożądanie, dużo pożądania. Doczytałam ogłoszenie do końca i zamarłam.

— Ale to jest oferta tylko dla mężczyzn — wydukałam.

„One to lubią” nie zachowało się w charakterze eksponatu. Wszystko przez Agatę, która wpadła w furję i porwała pismo na dziesięć tysięcy maleńkich kawałeczków.

Numer pięć — mój ulubiony — to bilet wstępu do klubu go-go. Poleciała mi go Joanna — to właśnie stamtąd zamówiła Brada na mój wieczór paniński.

Jeśli chodzi o Joannę, od dnia spędzonego w prywatnej klinice — czerwonego jak zachód słońca — nie miała się zbyt dobrze. Postanowiła wyjechać i wyjechała. Ostatni raz widziałam się z nią na lotnisku: zanim wsiadła do samolotu, stojąc na biało-błękitnych schodkach, machała do mnie na pożegnanie, a potem robiła się mniejsza i mniejsza (samolot najpierw kołował, wreszcie odleciał), aż stała się ruchomym białym punktem na nieruchomym niebie, a jeszcze później zamieniła się w listy, które znajdują na progu mojego domu, białe i sztywne, mniej więcej raz na miesiąc.

Co do klubu go-go, był dokładnie taki, jak myślałam. Na schodach jakaś napalona para gniotła nawzajem swoje ubrania, póki nie przegonił ich stamtąd ochroniarz.

— Szukacie pracy, dziewczyny? — zagadnął nas. — Szef jest dzisiaj w dobrym humorze. Może was przyjmie, jeśli będziecie dla niego miłe. Ale ty, skarbie... — Wskazał na Agatę. — ... będziesz musiała nosić perukę. Łysa pała nikogo nie podnieca.

— My z ogłoszenia: „Męski striptiz w każdą środę”.

— A, to co innego. Na górę po schodach. Trzeba przejść przez główną salę, potem korytarzem prosto i pierwsze drzwi w prawo.

— Ślicznie dziękujemy.

— Zboczone zdziury — rzucił za nami, sądząc, że nie usłyszymy.

Sodoma i Gomora, a przynajmniej tak pomyślałaby moja babka, zresztą może nic by nie pomyślała, tylko od razu zesłaby na zawał. Dlaczego? Dlatego: powietrze w głównej sali zdawało się przesiąknięte wilgocią i seksem; stroboskopowe światła pulsowały w takt muzyki — czerwone, fioletowe, niebieskie. Na scenie kolorowe Madonny oplatały się wokół rurek jak węże, ba, można powiedzieć, że kręciły się w kółko niczym koniki na karuzeli. Mężczyźni, siedzący przy zastawionych alkoholem stolikach, byli więcej niż zachwyceni; wydawali z siebie dźwięki, rzeźące dźwięki.

— Jak widzisz, Bóg się nie pomylił — Agata próbowała przekrzyczeć muzykę. — To musiał być chłopak, tam, w Betlejem. Do dziewczyny, nawet na krzyżu, wołaliby: „Lalunia, pokaż cycki!”

Orgiastyczny striptiz trwał w najlepsze i — kiedy odwróciłam się za siebie, zanim stamtąd wyszłyśmy — ujrzałam niebieskie, fioletowe i czerwone cipki, całkiem łyse, mignęły mi na pożegnanie, ja im pomachałam.

Zgodnie z instrukcjami ochroniarza przeszłyśmy przez korytarz, wybrałyśmy pierwsze drzwi w prawo i trafiłyśmy do obskurnej, zadymionej sali z podświetlanym barem i sceną w kolorze zgniłej zieleni. Na tej właśnie scenie samczyk o ciele pływaka kręcił biodrami we wszystkie strony, wywołując gorący aplauz zgromadzonej widowni. Przypominał Chrystusa, przynajmniej tego z obrazków o ukrzyżowaniu: miał włosy do ramion i pieluchowatą przepaskę na biodrach.

Rozejrzałyśmy się, tylko po to, by stwierdzić, że zdecydowanie zaniżamy średnią wieku.

Przy barze mieścił się klub „kuguarzyc” — siedziały tam na odessanych z tłuszczu zadach, z twarzami chirurgicznie pozbawionymi kości policzkowych (wąskie podbródki znowu są na topie), z małymi noskami, wielgachnymi ustami (przez te usta przypominały ryby miętusy) i skórą gładką jak porcelana (botoks, a może coś jeszcze gorszego), wszędzie i zawsze gotowe prezentować światu sztuczne rzęsy i paznokcie, ondulowane czupryny, dekolty lśniące złotem za sprawą drogich koliai, do tego silikonowe biusty wypływające z ciasnych gorsetów. Rety, co za parada podwiedłych primadonn! Wierciły się na krzesłach, płaciły za drinki platynowymi kartami byłych mężów i zadzierały noski z uczuciem wyższości, jakby były pewne, że oto rzucają perły przed wieprze.

Pod sceną było jeszcze gorzej. Wyglądało to na zlot seniorek. Tłoczyły się tam cudze babcie, które nie zamierzały zejść na zawał. Stado żylastych, ptasich kobiet. No cóż, kiedyś z pewnością były piękne i nawet teraz, mimo piętna, jakim naznaczył je czas, kiedy wziął je w obroty, nadal chciały, żeby ktoś je kochał, jakiś święty z kościoła pod wezwaniem Litość. Pomarszczone, przystrojone w eleganckie garsonki żwawo kołysały się na boki; tańczyły hula-hula, wyciągając banknoty w stronę Chrystusa-pływaka. Nie ma co, staruszki były więcej niż hojne. Zdaje się, że tylko jedna prezentowała się w naturalnych włosach: były farbowane na rudo i tak delikatne jak u niemowląt; reszta nosiła peruki.

Striptizer właśnie zrzucił z bioder przepaskę. „Kuguarzycy” wygwizdywały sobie płuca z entuzjazmu, a ptasie babcie jak oszalałe rzucały na scenę pieniądze; tam i z powrotem wędrowały dłonie upstrzone starczymi plamami (coś jak piegi, tylko gorzej). Ubrany w skąpe lateksowe slipy, tam i z powrotem w takt muzyki wywijiał tyłkiem pływak, a potem zszedł ze sceny.

— To już? Nawet nie zrobił golasa? — zdziwiła się Agata. — To niesprawiedliwe!

Babcie nie zdążyły jeszcze dojść do siebie, a już na scenę wkroczył atletycznie zbudowany dzieciak w stroju Zorro, ale my, nie czekając na jego występ, opuściłyśmy salę ze striptizem i, idąc przed siebie długim korytarzem, trafiłyśmy do burdelowej części klubu. Bo owszem, mieli tam także burdel.

— Do nas to raczej przychodzą panowie — oświadczył właściciel ze złotym zębem na przodzie. Ochroniarz nie kłamał, faktycznie był w dobrym humorze. — Takie z was ślicznotki, że sam bym się na to pisał, gdybym był ciut młodszy, ale niestety, testowałem dzisiaj nowy personel, a ile, do kurwy nędzy, można jechać na viagrze? Zajrzyjcie, dziewczynki, do męskiej przebieralni. Chłopcy, jak ich znam, chętnie załapią się na dodatkową kasę.

Bałam się, że w kąciku striptizerów spotkam Brada. Ale nie spotkałam. Chłopcy — a było ich czterech — śmiali się i gawędzili w najlepsze, wydając z siebie odgłosy tokujących głuszców. Na nasz widok umilkli. Agata wyjaśniła, czego tu szukamy.

— Jestem po mastektomii — dodała.

Że też musiała być taka znowu uczciwa — prawdziwy kryształek prawdomówności! Trzech striptizerów z miejsca odwróciło się do nas plecami i tyle ich widziałyśmy. Za to czwarty, bardzo opalony i bardzo wysoki, uśmiechnął się, figlarnie mrużąc oczy.

— Ja to zrobię — powiedział.

Tak po prostu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że mówią na niego Zozo.

Zabrał Agatę do tej części klubu, gdzie mieściły się burdelowe buduary, a ja poszłam zobaczyć peep-show.

Po doświadczeniach z Fioną i jej chłopcem powinnam mieć dosyć oglądania seksu na żywo — tak pewnie sądzicie — ale nic z tego: nadal byłam niepoprawna; zdarzało mi się patrzeć na ludzi, myśląc o tym, w jaki sposób ci ludzie się kochają. W autobusach, parkach, bankach wyobrażałam sobie kobiety i mężczyzn, sam na sam, same ciała. Napalone głosy zamiast policjantów, zamiast lekarzy, zamiast szeregu nudnych papierowych urzędniczek. Bo nawet one jęczą, zagryzając róg poduszki; wbijają paznokcie w spocone uda, wydając odgłosy marcujących kotek. Uwierzcie, nawet one.

Tam, na peep-show, zaprowadzono mnie do maleńkiego pokoju z ogromną szybą, zasłoniętą z zewnątrz atłasową kurtyną. Kiedy zamknięto za mną drzwi, w tym pokoiku bez światła — jeśli nie liczyć żółtej lampki na suficie, przypominającej żarzący się odwłok świetlika — poczułam się nieco klaustrofobicznie. Usiadłam na krześle, które — jak zdążyłam zauważyć, zanim pozostawiono mnie w ciemności przerzedzonej żółtym, febrycznym blaskiem — było właściwie czymś w rodzaju tronu: miało obicia z purpurowego atłasu, mahoniowe oparcie i kunsztownie zdobione podpórki (też z mahoniem), na końcu których wyrzeźbiono głowy lwów, po jednej z każdej strony, a potem pomalowano je na złoto. O rany, z tymi złotymi lwami pod lewą i pod prawą dłońią czułam się jak prawdziwa królowa. Albo biskup. Albo taki ktoś.

No i się zaczęło. Kurtyna uniosła się w górę, z głośników popłynęła zmysłowa muzyka, potem coś w nich zatrzeszczało i wszystko ucichło. Przed moimi oczami trwał seks na żywo. Buduarek, do którego zaglądałam przez szybę, był dobrze oświetlony; po podłodze pełzało fluorescencyjne światło. Ściany obito ciemnoróżowym aksamitem, tłoczonym w jasnoróżowe orchidee o jedwabistych języczkach; dość powiedzieć, że przez te wszystkie kolory i języczki buduarek przypominał cipkę. Pośrodku obracał się ruchomy podest barwy wenge; razem z nim obracało się łóżko, przykryte bordową kapą zdobioną na krańcach błyszczącą bordiurą, a razem z tym łóżkiem obracali się chłopiec i dziewczyna.

Po awarii głośnika dysponowałam wyłącznie wizją. Wszystko rozgrywało się w ciszy, co z miejsca nasunęło mi skojarzenie z naukowymi ekspedycjami na dno oceanu, w trakcie których poważni panowie badają życie podwodnych stworzeń.

Ale ta dziewczyna — rety, nie mogłam oderwać od niej wzroku! Miała wygląd gazeli o fiołkowych oczach. Klęczącej gazeli. Jej delikatnie brzoskwiniowe nagie ciało o sterzących sutkach wiło się i tam, i tu, no we wszystkie strony. Mężczyzna — bo to jednak był mężczyzna, a nie chłopiec — taranował ją od tyłu w ekstatycznym rytmie. Ach, jakże chyże były ich ruchy. Och, jakże pięknie drżały im nozdrza. I ach, i och! Usta mieli otwarte, zupełnie jak wtedy, kiedy się tonie i wynurzając się tylko na chwilę spod przytłaczająco obojętnej wody, próbuje się zaczerpnąć zbawienny haust powietrza.

Podest obracał się szybciej i coraz szybciej poruszał biodrami mężczyzna. Wreszcie w mimowolnym odruchu odgiął głowę do tyłu; przez jego ciało przebiegł dreszcz. Nie wiem dlaczego, ale właśnie wtedy fiołkooka gazela zacisnęła powieki; jedną ręką miętosila róg bordowej kapy, drugą wyciągnęła przed siebie, na oślep, jak ktoś, kto szuka pomocy albo przebaczenia. I to był, niestety, koniec. Kurtyna opadła. W szybie mogłam zobaczyć już tylko

moją twarz, kiedy świetlik w pokoiku rozżarzył się mocniej. I pomyślałam o ludziach z innych kabin. Czy czują się samotni (czułam się samotna) i co będą robić potem?

Potem był striptiz kobiety bez jednej nogi.

„Dziewczyno, to pokaz dla świrów” — zdziwiła się bileterka.

Spojrzałam na zegarek — miałam dużo czasu. Oprócz beznogiej kobiety, czekając na Agatę, obejrzałam pokaz bukkake, ale pomieszczenie, do którego zaglądałam przez szybę, było tak ciemne, że równie dobrze mężczyźni mogli wylewać na twarz tej dziewczyny jogurt, a nie spermę, a ta dziewczyna mogła być rzeźbą z porcelany i nikt by tego nie zauważył. Potem były seksualne akrobacje dwóch wygimnastykowanych bliźniaczek i karła. Wymięklam dopiero przy siostrach syjamskich. Jeszcze przez wiele dni prześladowały mnie ich upudrowane twarze z karminowymi usteczkami i jeden kręgosłup, spinający dwa ciała jak kłamra. Był to układ idealnie symetryczny: długie, blade palce długich, bladych dłoni wślizgiwały się do wnętrza przeciwległej pochwy, jakby to wcale nie była wagina tylko gardziel drapieżnego kwiatu — królestwo *orchis*. Tego było za dużo, nawet jak dla mnie.

„Starczy tych dziwactw jak na jeden wieczór” — powiedziałam sobie. Wróciłam do sali z męskim striptizem, gdzie na scenie podrygiwał w najlepsze spocony grubas. Ten grubas, niestety, poszedł na całość; kiedy zerwał z siebie slipy, obnażając owłosione krocze (dobry Boże, co to był za widok!), staruszki zawyły z zachwytu. Pod sceną zrobił się naraz straszliwy tłok i w tym całym zamieszaniu jedna z babć zgubiła perukę; w falującym geriatrycznym tłumie raz po raz migała jej łysa głowa. Niebieska, czerwona, fioletowa.

Agata też tam była. Czekala na mnie przy barze. W zamglonych oczach miała nowy wyraz.

— Teraz mogę już umrzeć — powiedziała. Czyli że była szczęśliwa.

W ogóle ten cały klub i peep-show zafundowała mi Agata. Po redukcji mojego etatu ledwo dawałam sobie radę. Coraz częściej spóźniałam się z czynszem za kawalerkę z widokiem na cmentarz i z błękitną kanapą, zmęczoną kurestwem; żyłam o wodzie i sucharach. Ostatecznie po kilku tygodniach dreptania z miejsca na miejsce, zatrudniono mnie dodatkowo na pół etatu w świetlicy terapeutycznej dla trudnych dzieci. Znaczący, tak mówiło się wtedy, bo teraz mówi się „dzieci ekstremalne”. Jak sytuacje albo sport.

Świetlica mieściła się w najgorszej dzielnicy miasta i — wiercie mi — lepiej tam nie chodzić bez opieki kogoś bardzo, ale to bardzo dorosłego. Rozsypujące się domy z odłazającym tynkiem, podwórka chrzczone uryną, pijackie burdy, bijatyki, brzemienne kobiety pijące wodę brzoową albo borygo — każdego popołudnia, w drodze do pracy, czekały na mnie takie obrazki. I inne też.

Na przykład te trzy kobietki (dziewczynki właściwie): ach, jak się cieszą ze spotkania, w ruch idą stosowne pierdoły: „mój Boże”, „szmat czasu”, „wyglądasz jak anioł”; robią buzi-buzi, a potem radośnie paplają przez kwadrans; przypominają papużki, gotowe jeść sobie z dzióbków — tak się kochają — ale jak tylko pierwsza z nich sobie pójdzie, z pozostałych wychodzą dwie małe suczki.

— Widziałaś, jak się pchała z pryszczatą mordą do całowania. Jeszcze nam sprzeda jakąś francę.

— Racja, bo czy my wiemy, komu przed chwilą obciągała i w której bramie?

Jeszcze w trakcie studiów ostrzegano mnie, że każdy terapeuta prędzej czy później natrafi na taki przypadek, który zalezie mu za skórę — dostanie na tym punkcie kręćka: nie będzie mógł spać, nie będzie mógł jeść, w ogóle nic nie będzie mógł. Długo w to nie wierzyłam, a potem spotkałam Paulinkę. Ze wszystkich dzikich dzieci ona była najdziksza. Kilka razy na godzinę szła do łazienki i myła ręce — co tam myła, szorowała; wkrótce skóra na jej dłoniach zrobiła się czerwona jak surowe mięso.

Czasami przyłapywałam ją na liczeniu półek w kuchennych regałach: z góry do dołu, z dołu do góry, a potem od nowa. Wcześniej — żeby w ogóle wejść do tej kuchni — wykonywała serię dziwnych gestów przywodzących na myśl plemienne rytuały; te gesty miały ją przed czymś ochronić, ale przed czym, nie wiedziałam.

Aż któregoś dnia, po przyjeździe do pracy, znalazłam ją kucającą na środku korytarza. Był to widok, którego nie sposób zapomnieć. Zapomnę go po śmierci, nie wcześniej. Jak mnie zakopią, wtedy zapomnę. Ziemia zetrze to z moich powiek. Dziecięce bawełniane majteczki okręcone wokół kostek, dziecięce różowe paluszki i to, co robiły, a przede wszystkim mokrą od łez twarzyczkę.

— Dlaczego mnie gwałcisz? — krzyczała Paulinka, masturbując się kompulsywnie.

Potem — jak gdyby nigdy nic — przyszedł jej ojczym i ją zabrał; nie chciał nawet ze mną rozmawiać.

— Poczekaj, córcia, wpierdolę ci w domu — to było wszystko, co powiedział.

Dzwoniłam, gdzie się dało, szarpałam się jak ryba na wędce — bezskutecznie. Nie mogłam spać, nie mogłam jeść, nic nie mogłam.

Następnego dnia złożyłam Paulince wizytę. Chociaż nie bardzo mi było wolno. I dopiero wtedy dowiedziałam się od jej matki — tleniona blondynka, na oko lat trzydzieści, ale z dużym przebiegiem, poza tym szczenna, mniej więcej siódmy miesiąc — że od dłuższego czasu dziewczynka sprawia masę kłopotów: nie chce zostawać w domu sama z ojczymem, poza tym wpada w dziwne transy, w trakcie których rysuje penisy na ścianach („Duże kutasiochy i małe kutasiki!” — jak ujęła to tleniona); kiedy indziej robi się całkiem apatyczna („Normalnie śnięta ryba!”), a tej właśnie nocy zrobiła sobie szereg nacięć po wewnętrznej stronie przedramion i na nadgarstkach („Mówię paniusi, sznyty normalnie!”).

Matka zgodziła się na hospitalizację („A zabieraj ją, pani!”) i Paulinka trafiła na oddział dziecięcy mojego szpitala. Jej stan był fatalny.

— Ona ma tylko osiem lat i nienawidzi swojego ciała — wieczorem opowiadałam o wszystkim Agacie; siedziała na podłodze, kończąc kolejną trumienkę, z tych ptasich.

— Słyszałaś o pająkach? Kiedy uplotą pajęczynę, uważają ją za część swojego ciała, ale jeśli pajęczyna zostanie zniszczona, porzucają ją bez żalu.

— Nie miałam o tym pojęcia — przyznałam.

— Każdego dnia przetykamy półtora litra śliny i nikogo to nie brzydzi. Ale jeśli naplujesz, powiedzmy, tak do połowy szklanki i poproszę cię, żebyś to wypila, po pierwsze primo: wcale tego nie zrobisz, po drugie primo: dlaczego?

— Ponieważ wypluta ślina nie należy już do mnie.

— No widzisz. Tak samo jest z tą małą. Ktoś ukradł jej ciało i ona jest w kropce: nie może go odzyskać ani porzucić, ani w ogóle nic z nim zrobić.

Zastanawiałam się, czy Agata mówi o Paulince, czy o sobie. Rzadko oglądała się za siebie. Wiedziałam tylko, że jej matka zmarła, kiedy Agata była mała. Co się tyczy jej obrzydliwie bogatego ojca, ilekroć przyjeżdżał, udawała, że nie ma jej w domu; mówiła, że tylko na to zasługuje po tym, co jej zrobił.

Którejś niedzieli długo dzwonił do jej drzwi, potem zapukał do mnie; posiedział kwadrans, wypił herbatę, zostawił pieniądze. Czerwony był cougar, którym odjechał, i krew między nogami Agaty, kiedy do niej poszłam.

— Odkąd podają mi hormony, bez przerwy cieknę.

— Pytał, czy masz się dobrze — powiedziałam, kładąc pieniądze na stole.

— Zabierz to! Niczego od niego nie chcę.

— No to co mam z nimi zrobić?

— A to już twój problem.

— Kiedyś będziesz musiała się z nim zobaczyć: nie dla niego, dla siebie.

— Nie zasięgam niczyich rad w sprawie mojego ojca — powiedziała Agata, a oznaczało to: „Dosyć! Oto nokautujący argument w naszej rozmowie”.

A pieniądze wydałam. Dzikim dzieciom zawiozłam worek zabawek (czułam się przez to jak Święty Mikołaj). Dla Agaty kupiłam prezent nieurodzinowy (uwielbiałyśmy ten rodzaj prezentów, można było je sobie wręczać przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku); podarowałam jej ogromną szklaną kulę, żeby miała gdzie trzymać te swoje ptasie trumny. Sobie też zrobiłam prezent, a jakże — była to skromna ślubna sukienka, którą wypatrzyłam na pchlim targu. Nie wiem, po co ją kupiłam. Nie zamierzałam brać ślubu ani nic takiego, ale lubiłam ją przymierzać. Po stracie dziecka czułam się niepotrzebna i pusta jak sukienka bez ciała; nie byłam pewna, czy gdzieś w środku, we mnie, mieszka jeszcze jakaś kobieta.

Każdego dnia odwiedzałam Paulinkę na dziecięcym oddziale.

— Robimy, co możemy, ale rokowania są bardzo złe, bardzo. — Lekarz prowadzący potwierdził tylko moje obawy.

Choć tleniona płakała i błagała, sprawa trafiła do prokuratury. Dziewczynkę zbadał biegły sądowy. Był to szpakowaty mężczyzna z bujną sarmacką brodą.

— Popelniono przestępstwo, nie mam wątpliwości. Dziecko opisuje ze wszystkimi detalami budowę członka, fizjologię wzrodu i wytrysku.

No i doszło do rozprawy. Tleniona i ojczym wynajęli adwokata o twarzy à la pupa niemowlaka. Od razu wiedziałam, że go nie polubię, jeszcze zanim zaczął mówić. A mówił naprawdę pięknie. Chcecie posłuchać?

— Paulina W. już we wczesnym dzieciństwie lubiła konfabulować. Nie potrafi pogodzić się z odejściem ojca i obecnością w domu nowego partnera matki. Całe to przedstawienie to nic innego niż tania próba skupienia na sobie uwagi — perorował „Pupa” na rozprawie.

Ten sprytny lisek znalazł nawet biegłego, który gotów był to potwierdzić.

Zapytany przez sąd, czym wytłumaczy znajomość detali anatomicznych i fizjologicznych u tak małego dziecka, „Pupa” oświadczył:

— Mój klient przyznaje się do wychowawczego zaniedbania. Nieopatrznie zostawił w magnetowidzie taśmę z nagraniami pornograficznymi, które Paulina W. obejrzała bez jego zgody, pod jego nieobecność.

No brawo, brawo. Masz rację, moje serce — nic, tylko warczeć.

Sędzia oddalił powództwo, stwierdzając, że, owszem, bardzo żał mu dziecka, ale, niestety, nie stał przy łóżku ze świeczką.

A na świetlicę nie poszłam ani tego dnia, ani nigdy więcej. Nie potrafiłam dać sobie rady z całą tą pieprzoną bezsilnością. Leżałam na tapczanie Agaty i rzygałam osami.

— Świat nie spoczywa na twoich ramionach. — Agata próbowała mnie pocieszać. — Jest taka buddyjska praktyka: gdziekolwiek jesteś, wyobraź sobie, że wcale cię tam nie ma. Spróbuj, to nic trudnego. Na przykład ten pokój, czy coś zmieni się w nim bez nas?

Siedziała na podłodze, w pozycji lotosu. Podawali jej nowe leki; wystarczyła jedna porcja i spuchła jak żaba nadmuchiwana przez słomkę. „Mały Budda” — pomyślałam.

Kilka tygodni później cudowne leki zatrzymały chorobę. Agata była uratowana. Żeby to uczcić, urządziłyśmy odświętną kolację z pieczonym bakłażanem i białym winem (nazywało się Sol de Mediterráneo Moscatel, ale Agata wołała nazwę „hiszpański sikacz”), po którym chichotałyśmy jak nastolatki. Brakowało tylko aniołów sypiących confetti na nasze głowy.

— Jutro jadę zobaczyć się z ojcem — powiedziała Agata na dobranoc. — Zaopiekuj się Jezusem, bo nie będzie mnie dłużej.

Rano, kiedy się obudziłam, już jej nie było.

Czego mi wtedy nie powiedziała, to że jej ojca nie będzie w tym czasie w domu.

Znaleźli ją po tygodniu.

Gdy dotarła na miejsce tamtego dnia, założyła stary płaszcz swojej matki. Poszła do garażu. Zabrała ze sobą whisky, tabletki nasenne, slipy Zozo i szklaną kulę pełną ptasich grobów. Usiadła na przednim siedzeniu wysłużonego czerwonego cougara. Włączyła radio i silnik.

Humpty Dumpty na murze siada.

Humpty Dumpty pięknie upada.

Nikt z ludzi króla nie był już w stanie

Złożyć Humpty'ego w jeden kawałek.

14. Już dobrze, Alicjo

No i pięknie — znowu byłam sama. Nie macie pojęcia, ile kosztowało mnie to całe życie: poranki, przedpołudnia, popołudnia, wieczory i noce, patrzenie, jak północ wpelza w czwartą nad ranem, a jeszcze później tuż nad horyzontem formuje się śliczne, świeże słońce.

Co do mnie, nie byłam śliczna ani świeża. Ani trochę.

Przez większość czasu snułam się po mieszkaniu Agaty, uzbrojona w płócienną, kraciastą chustkę z kordonkowym obszyciem (frywolitki — robota mojej babki) i raz po raz wycierałam w nią nos (towarzyszył temu odgłos ciurkania), po pierwsze primo, natrafiając we wszystkich lustrach, szybach i innych tego rodzaju gładkich powierzchniach na odbicie wymizerowanej, dość wymiętej twarzy z oczami czerwonymi jak u królika (dobry Boże, czy to mogłam być ja?), po drugie primo, rozmyślając o moim warczącym sercu (warczało, a jakże!) i o wiszącym nade mną fatum, za sprawą którego nie potrafiłam nikogo utrzymać przy życiu. Krótko mówiąc, użalałam się nad sobą na całego. I mogłabym przyznać: jestem tylko tchórzem wołającym: „ja”, „moje”, „mnie”, przez cały dzień, nawet w wannie.

„Jestem tylko tchórzem” — powiedziałam sobie, leżąc w wannie któregoś płaczliwego popołudnia, świadoma, że jutro też będzie popołudnie i pojutrze. Dopóki żyjemy, skazani jesteśmy na wszystkie te dni i tygodnie, wschody i zachody słońca, bo one nadal będą biegły swoim zwykłym rytmem, aż pewnego dnia dopadnie nas natłok drobnych i większych spraw, niezalutwionych w porę: niezapłacone rachunki, zepsuty kran, wspomnienie o kimś, do kogo chciałoby się wrócić i wszystko wytłumaczyć.

Niestety, nie potrafiłam przyjmować wyroków losu bez wyrazu zdumienia układającego moje usta w wielkie operowe „O” — na tym polegał mój problem — no więc nie potrafiłam przyjmować skazujących wyroków całkiem tak, jakbym czekała na nie od zawsze. Ach, gdyby tak dla odmiany wciągnąć na wargi uśmiech Mona Lisy, który podobno jest tajemniczy, a który według mnie znaczy ni mniej, ni więcej, tylko: „Witajcie nieszczęścia, oto jesteście”. Nic z tego, w klubie stoików nie mieliby ze mnie żadnego pożytku.

Zostałam sama i owego płaczliwego popołudnia — pomiędzy wycieraniem nosa w kraciastą chustkę z frywolitkami mojej babki i myciem ciała mydłem pachnącym liliami — przyszło mi na myśl, że czas zrobić życiowy remanent. Nie wyglądało to zbyt pięknie: miałam prawie dwadzieścia siedem lat, trzy przyjaciółki, z czego dwie martwe, chorego ojca, stukniętą matkę, męża — przez kilka godzin — i byłam trochę w ciąży. Niezbyt pięknie? Jak tylko zaczęłam o tym myśleć, miałam ochotę się utopić.

Byłam zła na Agatę. Czmychnęła awaryjnym wyjściem, zostawiając mnie z całym tym bałaganem, depresją i wyliniałym psem. Bardzo byłam zła.

Niewiele wiedziałam o psach. Kiedy byłam mała, mieliśmy wprawdzie Bimbo, wilczarza, którego ojciec zabierał na polowania. Z tym Bimbo były same nieszczęścia. Stale zrywał się ze smyczy i ganiał za psami sąsiadów, a jak tylko któregoś dopadł, chwycił za kark, potrząsał raz

i drugi, rozlegał się suchy trzask à la walące się drzewo i było po wszystkim. To znaczy prawie, bo do naszych drzwi niczym osobliwa procesja pielgrzymowali właściciele — dwie, trzy osoby dziennie. Wołając o pomstę do nieba, wymachiwali sflaczałymi pupilami przed twarzą matki i za każdego z tych nieboraków trzeba było płacić, słono płacić. No i matka płaciła, klnąc pod nosem; ojciec wzruszał ramionami, a właściciele odchodzili jeden po drugim, pozostawiając w naszym mieszkaniu owe nieszczęsne psie truchelka.

Leżały dosłownie wszędzie: na rozsuwanej wersalce, na podłodze w mahoniowy wzorek udający kunsztowny zbytek inkrustacji, nawet na stole — któregoś popołudnia rozkładał się na nim w najlepsze czarny ratlerek i czerwony powój wyrastał mu z ucha. Poza tym mieliśmy jamniki, sznaucery (ze względu na charakterystyczną bródkę zwane „brodaczami monachijskimi”), buldogi, pekińczyki, pudle, kilka mieszańców, które zostawiono u nas gratis — matka oświadczyła, że zapłaci za nie, no pewnie, jak tylko niebo spadnie na ziemię — ba, mieliśmy nawet doga arlekina. Trzeba oddać Bimbo sprawiedliwość — nie był wybredny, mordował jak popadło.

Było jasne, że prędzej, czy później ten jego instykt zabójcy doprowadzi nas do ruiny. Pewnie dlatego matka nienawidziła Bimbo. Znienawidziła go jeszcze bardziej po tym, jak zagryzł kota sąsiadki. Mój Boże, co się wtedy działo! Prawdziwy armagedon! Przyjechała nawet policja na sygnale. Bo ten kot to nie był taki tam byle bury kiciuś, tylko kocur z tych najbardziej kocich: rosyjski, błękitny, wieloletni champion. Sąsiadka szykowała go właśnie do wystawy; jeśli liczyła na główną nagrodę, trochę się przeliczyła, bo ostatecznie — jak zaprotokołował dzielnicowy, trzeźwy jak świnia — to my mieliśmy zapłacić za to, co z niego zostało, a co można opisać następującymi słowami: „błękitna szmata z dwoma obwisłymi frędzlami w miejscu uszu”.

Cała ta sprawa z krwiożerczym wilczarzem trwała naprawdę długo — w naszej okolicy dawno skończyły się psy — a trwałyby jeszcze dłużej, gdyby ojciec przez pomyłkę nie zastrzelił Bimbo na polowaniu (podobno wziął go za sarnę). Ojciec bardzo to przeżył. Chciał go nawet wypchać i postawić na nocnym stoliku, w charakterze posągu albo lampy, no w każdym razie czegoś reprezentacyjnego, ale matka wybiła mu to z głowy, więc ostatecznie wrzucił ścierwo do rowu wykopanego pod fundamenty kliniki dla zwierząt, wygłaszając przy tym żalobną mowę, która sprowadzała się do tego, że była to naprawdę dobra psina.

Jezusa, w przeciwieństwie do Bimbo, w zupełności zadawała martwe ptaki; jak dawniej znosił je do mieszkania Agaty. Oprócz nich na podłodze leżały kartonowe pudełka, koronki — za sprawą moli z dnia na dzień coraz bardziej ażurowe — suszki roślin, celofan, co rusz migocący w promieniach słońca, jakby tuż obok moich stóp przepływała srebrna, fluoroscencyjna ryba; za oknem miasto w rozkwicie, pęknięty kwiat późnego sierpnia i pomyślałam, że kiedyś ktoś będzie musiał to wszystko posprzątać.

Niewiele zmieniło się w pokoju Agaty, od kiedy zniknęła. Wpełzła do czarnej dziury, a ja nie mogłam jej dosięgnąć. Była niczym cudzoziemiec z kraju, który przeraża, a który mimo to darzy się szacunkiem. Czekałam na jej powrót — czekałam, serio — jakbym nie rozumiała, że jej nieobecność to coś, czego nie liczy się na godziny, nie na dni, tygodnie, nawet nie na lata. No więc to było na zawsze. Ale ile trwa zawsze?

Tak więc snułam się po jej mieszkaniu i jak ognia unikałam sąsiadek. Czy was także wyprowadzają z równowagi te wszystkie schludne stare kobiety, toczące się po chodnikach z torbami na kółkach, plotkując i turkocząc; unoszące brwi w grymasie niedowierzania; pytające siebie nawzajem: „Dlaczego to zrobiła? Była taka ładna”. Albo wielokrotne matki, te w różowych okularach, maszerujące ulicami w ubraniach od Caritasu, ciągnące za sobą tuzin tłustych bobasów niczym ogon latawca, wmawiające sobie i innym, że zawsze i wszędzie życie jest piękne. Optymistki albo idiotki. W każdym razie idiotki.

Krótko mówiąc, nie podzielałam ich entuzjazmu, ba, bywały noce, kiedy bałam się zasnąć. No bo na przykład pusty wagon mógł oznaczać tęsknotę albo równie dobrze, że wróci Holocaust, a w takim razie lepiej nie zmrużyć oka przez resztę stulecia.

Jedno było pewne: Agata umarła, a ja nie dowiem się nic o jej śmierci, choćbym żyła sto lat. Nie zobaczę jej więcej, prędzej oślepnę od wpatrywania się we wschodzące słońce, ten bezmiar połysku sprawiający ból oczom.

O czym jeszcze myślałam o tej porze życia, kiedy blaknie matowe światło gwiazd zawieszonych na niewidocznych nitkach ekliptyki? Że chciałabym mieć łódkę i morze w roli przyjaciela; chciałabym stać się niewidzialna albo przynajmniej na jakiś czas zniknąć. Patrząc na słońce, wschodzące nad uspionym miastem (właściwie był to palimpsest, a nie miasto), miałam wrażenie, że rozpadnę się z nadmiaru piękna; czułam jednocześnie ból i jakiś rodzaj pocieszenia.

„Panna, horoskop na sierpień: nie ulegaj złudnym nadziejom, nie czeka cię nic dobrego” — przeczytałam to w jakiejś gazecie. No i to była prawda, bo zaraz po zniknięciu Agaty wyrzucili mnie z pracy.

Początek końca mojej kariery w wariatkowie przypadł na dzień, w którym zwołano konsylium lekarskie, aby omówić najciekawsze przypadki; co tam omówić — rzucaliśmy się na nie jak stado głodnych hien.

Pierwszy był mężczyzna z czerwoną kreską biegnącą wokół szyi. Wyglądało to tak, jakby zawsze i wszędzie nosił zawiązaną pod brodą czerwoną wstążkę. Poderżnął sobie gardło kuchennym nożem, ale chirurdzy ślicznie go zaszyli, zanim do nas trafił. Dziwiłam się, że przeżył.

— Nie widziałas wielu samobójców, więc pozwól, że udzielę ci kilku dobrych rad — zwrócił się do mnie mój jednodniowy małżonek, który, o losie, w trakcie konsylium siedział akurat koło mnie. — Jeżeli używa się noża do poderżnięcia gardła, mało komu udaje się taki zamiar. Żeby zrobić cięcie szyi, trzeba odchylić głowę do tyłu, a wtedy tętnice szyjne cofają się poza mięśnie i ostatecznie przecięta zostaje tylko tchawica, która przy takim ułożeniu głowy wysuwa się do przodu. To samo z nadgarstkami. Odgina się dłoń ku tyłowi, przez co tętnice znikają poza brzegiem kości. Dochodzi do otwarcia kilku drobnych żył, co nie jest groźne, ale wystarczy, żeby narobić niezłego bałaganu. Gdyby przy cięciu zgiąć nadgarstek w kierunku dłoni, o, to byłaby dużo ciekawsza historia.

Potem pielęgniarze przyprowadzili numer dwa, czyli mężczyznę, który regularnie odbywał sam ze sobą stosunki analne — rzadkie to i trudne, ale możliwe; ten nieboraczek tylko tak mógł osiągnąć satysfakcję. Ukłonił się nam i my mu się ukłoniliśmy.

— Czy ktoś chciałby to zobaczyć? — uprzejmie zapytał; co jak co, ale był naprawdę dobrze wychowany.

Jakoś nikt z nas nie kwapił się do oglądania tego cudu. Znaczący prawie nikt, bo tuż przy moim uchu rozległo się głośnie: „Ja poproszę!”. Zgadnijcie, kto tak wołał z zapalem i już-już zrywał się z miejsca. Jasne, że mój lekarz. No i poszedł sobie na to popatrzeć, a ja pomyślałam: „Dziewczyno, musiałaś być ślepa”. Więcej nie miałam czasu o nim myśleć, bo pielęgniarze wprowadzili na salę kobietę-dziecko; prowadzili ją we czterech, co samo w sobie, nawet w wariatkowie, było widokiem dość niecodziennym.

— Witaj, Alicjo — zwrócił się do niej ordynator mojego oddziału. — Bardzo się cieszę, że do nas wróciłaś.

Ale wcale nie brzmiał, jakby się cieszył.

W tym miejscu powinnam chyba coś wyjaśnić: w tamtych czasach wierzyłam jeszcze, że ludzie są jednak dobrzy. A nie powinnam w to wierzyć — nie po pierwszym liście, jaki przysłała do mnie Joanna. Pisała o nowojorskim samobójcy, który balansował na krawędzi dachu jednego z wieżowców i o tłumie gapiów w dole. Zablokowano kilka ulic i częściowo unieruchomione miasto prażyło się w słońcu odbijanym w nieskończoność w oknach tego biurowca — bo to był biurowiec — mytych raz na jakiś czas przez dumnych Indian, smagłych uchodźców z Meksyku i krępych Portorykańczyków. Ci w dole, żądni wrażeń, spodziewali się nie lada widowiska, ale samobójca był z tych niezdecydowanych. Miasto drżało z niecierpliwości; miasto było zmęczone czekaniem. Policjanci, strażacy, przypadkowi przechodnie, spacerowicze, matki odbierające dzieci z przedszkoli i kierowcy stojący w korkach — wszyscy byli zmęczeni. Nawet Joanna. Wkrótce miała dosyć Nowego Jorku i ostatecznie przeprowadziła się do Kalifornii, ale tamtego popołudnia wszędzie wokół widziała falujący, rozgorączkowany tłum, uzbrojony w kamery i telefony, i mężczyznę, który nie wiedział, co ze sobą zrobić, hen w górze, na dachu. A potem nie widziała już nic, bo zamknęła oczy, w chwili gdy mężczyzna stanął na gzymsie —

podniecony tłum w dole skandował: „Jump! Jump!” — no i skoczył. To powinno dać mi do myślenia w kwestii, czy ludzie są bez serca.

Co się tyczy Alicji, jak już mówiłam, w pierwszej chwili można było wziąć ją za dziecko, a w każdym razie za kogoś bardzo młodego. Jednak wbrew temu złudnemu wrażeniu była to przejrzała kobieta o tragicznej twarzy. Dawniej musiała być skandalicznie piękna. Jeśli zostało w niej coś pięknego, z pewnością były to oczy: duże, dziecięce, hipnotyzujące, o błyskających białą białkach i ogromnych źrenicach lśniących osobliwym blaskiem, jak u ludzi, którzy noszą soczewki kontaktowe albo — jeszcze bardziej — u mojego ojca w dniu, kiedy spawał przęsła płotu przy myśliwskim domku, ale zapomniał o ochronnych okularach: przez kilka następnych godzin jego źrenice zdawały się żarzyć. I nie wiem, czy to przez te oczy, czy z innych jeszcze powodów, dość że kiedy wprowadzono Alicję, wszyscy poczuliśmy się nieswojo.

Uwolniona z uścisku pielęgniarzy, obnosiła tę swoją tragiczną twarz po sali, na wszystkie strony rzucając szybkie, rzeczowe spojrzenia. Myślę, że gdyby nie nasza obecność, zajrzałaby pewnie nawet pod stół.

Od lat przebywała w różnego rodzaju zakładach. Przeniesiono ją do nas z innego szpitala po tym, jak pobiła pielęgniarza.

— A mówiłam mu Bill, Bill mu było, nie trzeba było zaglądać do mnie przez kominek. Za mała na to z ciebie jaszczurka. I wiecie co, chciałabym bardzo, żeby te małe stworzenia nie były takie drażliwe!

Później, kiedy już się zaprzyjaźniłyśmy, nazywała mnie Kicią z Cheshire, ale tego pierwszego dnia przywitała mnie nieco inaczej.

— Anno Mario, czy widzisz to, co ja widzę? Robaczywa kurwa na naszym oddziale? To pewne jak fakt, że łasice są łasicami!

Taka była ta moja Alicja. Taki był tamten gorący sierpień, kiedy nic nie mogło skończyć się dobrze — tak przynajmniej twierdził horoskop.

— Właściwie co ja tu robię? — pytała Alicja, ilekroć miała się gorzej. — O ile faktycznie „to” jestem ja, bo nigdy nie byłam tak mała, jak teraz, nigdy! Kiciu, ruszaj i zabierz mnie stąd! Nie przepadała za resztą personelu, a ordynatora wprost nie cierpiała.

— Och, rozmowa z nim jest bezcelowa, to zupełny idiota. Wyrzucicie go z sali! Stłumcie go! Szczypcie! Utnijcie mu wąsy! Ach, ci idioci, próbowałam już między korzeniami drzew, próbowałam na brzegach strumieni i wszędzie idioci. Nie można kiwnąć palcem, żeby ich nie spotkać.

— Co też ona mówi? Przecież to luminarz! — protestowały pielęgniarki.

— Lubi nas? Nie sądzę. A tak przy okazji, czy zauważyłaś, Anno Mario, jakie te siostrzyczki są do siebie podobne? — pytała samą siebie. — Wszystkie bielusieńkie i w czepkach. Aż dziw, że nikogo to nie dziwi. — I zaraz sobie odpowiadała: — Ach, nie bądź niemądra, Alicjo, w końcu są siostrami.

Jedno jest pewne: Alicja miała kota. Często śpiewała dziwaczne piosenki:

Stary niedźwiedź w słońcu lśni, zjeść nas ani mu się śni.

W nosie ma węgorze. Gorzej być nie może.

Zawsze już będziemy my. Hopla, hopla! Zawsze już będziemy my.

— Każdą piosenczkę, nawet tę najmilszą, jak powszechnie wiadomo, najlepiej jest skończyć na końcu — w te oto słowa zwróciła się do mnie któregoś popołudnia; przed chwilą przestała śpiewać i ostatnie dźwięki wisiały jeszcze w powietrzu. — Zdradzę ci drugi sekret: ta piegowata pielęgniarka, wiesz która, ma taki dar, że kiedy na mnie patrzy, gniją mi od tego nogi. A teraz, Kiciu, ty zdradź mi sekret i powiedz, co będzie na posłodki częstunek? Kadryl z homarami, zgliwiały ser biały, a może coś gorszego? Ale czy może być coś gorszego?

Powiedzmy... zupa z pieprzu? Och, moja droga, to całkiem możliwe, wszystko jest dzisiaj niesamowite... a jednak... a jednak... wolałabym stać się kimś innym. Myślę, że nawet bym mogła, gdybym tylko wiedziała, jak zacząć.

Zwykle wyręczałam salowe — nie uwierzycie, wszystkie, co do jednej, bały się Alicji — i przynosiłam jej do pokoju talerz z obiadem (rozgotowane ziemniaki, szarobury kotlet z czegoś, co wyglądało na kawałek tektury, a może stary portfel, plus na wpół surowe buraki, marchewka albo inna kolorowa papka bliżej nieokreślonego pochodzenia); no i wtedy zaczynał się lament, znaczy, jak to mówiła Alicja, *lamentoso*. Tego dnia było tak samo.

— To ma być częstunek? — spytała, patrząc na mnie z urazą. — Jest gorzej niż strasznie. Doprawdy, Anno Mario, żółwiciejącą zupą nas nęca, zupą, och, zupą nadobną, a ta cała kucharka nadaje się raczej do ścięcia. Dlaczego nie przynoszą nam cętkowanych strusjajek? Cóż za tępe istoty! Czyżby nie wiedzieli, że w gruncie rzeczy wszystkie małe dziewczynki bywają węzami?

— Jakiekolwiek są twoje grzechy, proś o ich odpuszczenie, moje dziecko. Na początek odmów „Aniele Boże, stróžu mój” — pewnej niedzieli zwrócił się do Alicji spowiednik, który raz na tydzień kręcił się po szpitalu jak bączek. Widocznie wierzył, że zdoła ją zbawić.

Alicja ochoczo wyszła na środek sali, uroczyście skrzyżowała ręce na piersi i zaczęła deklamować z powagą:

Anielskie zorze, królów bój, lecz los nasz jest kaprawy.

Kto zamordować kogoś chce, ten potrzebuje prawy.

— Jak możesz się z nią spoufalać? — dziwiły się pielęgniarki. — Po tym co zrobiła?

— A co dokładnie zrobiła? — pytałam.

— Sza, to zbyt straszne, żeby o tym rozmawiać. — I wszystkie, co do jednej, zakrywały usta dłońmi, serio, w tej samej chwili, całkiem jakby się zmówiły. Fakt, nasze pielęgniarki miały mnóstwo gracji, mogłyby spokojnie brać udział w synchronicznym balecie albo czymś takim.

Po tym, co powiedziały (a właściwie czego nie powiedziały), zżerała mnie ciekawość. Dowiedzieć się czegoś więcej — o, to akurat nie była taka prosta sprawa. Do akt pacjentów dostęp mieli wyłącznie lekarze, a ja — jak pamiętacie — nie byłam prawdziwym lekarzem. Owszem, paradowałam sobie po oddziale w tym moim kitlu, błękitnym bardziej niż stado błękitków na błękitnym niebie w nagłym przelocie, z limonkowym notesem w garści i z bardzo uczonym wyrazem twarzy, ale nikt z personelu nie traktował mnie poważnie. Zwłaszcza ordynator.

— A po co ci akta, skarbie? Chcesz się bawić w lekarza? Cała ta twoja psychologia to jedne wielkie czary-mary. Same teorie, a gdzie fakty? My, psychiatrzy, mamy psychotropy, prąd, lobotomię. Wy macie figę z makiem.

Rozmowa z nim była bezcelowa; Alicja miała rację — to był zupełny idiota.

Tak więc, koniec końców, wykrałam te akta, bo co miałam zrobić? Do dziś trzymam je u siebie na strychu.

„Przypadek Alicji L. Diagnoza: schizofrenia paranoidalna. Chora hospitalizowana po raz pierwszy w wieku szesnastu lat. Leczenie: terapia elektrowstrząsowa. Chora nie stanowi zagrożenia (poziom agresji zero). Korzysta z przepustek. Podczas jednej z nich poznaje starszego, żonatego mężczyznę. Nawiązuje z nim romans, zachodzi w ciążę. W chwili obecnej znajduje się pod opieką matki, gdzie pozostanie do porodu. Pomimo iż chora nie jest ubezwłasnowolniona, wskazane jest pozbawienie jej praw rodzicielskich. Tego wymaga dobro społeczne”.

Pod taką oto śliczną notatką podpisał się ówczesny lekarz prowadzący, obecnie ordynator mojego oddziału. No i to dziecko naprawdę jej zabrano, zaraz po porodzie, jeszcze w szpitalu. A potem Alicja uciekła od matki.

„Synchroniczne pielęgniarki jednak przesadzały, nie zrobiła nic strasznego” — tak pomyślałam. A potem przeczytałam to:

„To była niezwykle surowa zima. Chora, żeby nie zamarznąć, bez celu jeździła pociągami z jednego końca kraju na drugi. Wysiadała na nieznanym sobie stacjach, aż trafiła do miasta W. («Jakiś przechodzień upuścił bilet z nazwą tej stacji i to był znak, że koniecznie muszę tam jechać» — zeznała). Błądziła po mieście, aż trafiła w okolicę parku, gdzie dzieci lepiły bałwana. W parku spotkała samotnego chłopczyka ciągnącego sanki («Najpierw usłyszałam kroki na śniegu, właściwie trucht, bo to był prosiak, ale ciekawa jestem, Anno Mario, od kiedy to prosiaki jeżdżą na sankach. No więc kiedy ten wieprzek znalazł się tuż koło mnie, postanowiłam go wyprzedzić. Wiedziałam, że, idąc ścieżką, nie będzie mógł zboczyć z drogi. Tak pędziłam, że później musiałam czekać na niego kwadrans, a dalej wszystko potoczyło się samo, w tamtej chwili oberwała się za mną lawina i nie było odwrotu»)

I wtedy przypomniałam sobie, że już gdzieś o tym słyszałam. Tak, swego czasu to była głośna sprawa. „Bestialski mord dziecka”, „Kobieta wampir” — dwadzieścia lat wcześniej krzyczały nagłówki gazet. Zastanawiałam się wówczas, jak też wygląda taki potwór: ma dwie głowy, w tym jedną gadzią, a jedną hieny, cztery ręce, tysiąc łusek i zęby ostre jak szpileczki? No, to teraz przynajmniej już wiem.

Do karty choroby dołączono kopię pierwszego przesłuchania:

— Pamięta pani, co się stało?

— To było dziecko Księżnej. Zaszłam je od tyłu. Zadałam kilka ciosów nożem, jeden z przodu, resztę z boku.

— Co pani wtedy czuła? Wściekłość?

— Sama nie wiem. Chyba raczej rozpacz, a potem zdziwienie.

— Zdziwienie?

— Że tak trudno jest kogoś zabić. Byłam pewna, że ten prosiak upadnie po pierwszym ciosie, ale wcale nie upadł, tylko próbował uciec, przebierał racicami i okropnie kwiczał.

— A potem?

— Nie pamiętam zbyt dobrze. Chyba zaklinował mi się nóż i nie mogłam go wyciągnąć z tego kwiczącego prosiaka, no i wtedy pomyślałam, że na filmach nie pokazują tego jak należy. Zwłaszcza że ten wieprzek był bardzo nieuprzejmy. Z początku próbował mnie ugryźć, potem trochę się uspokoił, za to od stóp po koniuszek głowy upaść mnie czymś czerwonym. Ach, ta dzisiejsza młodzież! Dopiero po szóstym ciosie wszystko poszło jak trzeba: prosiak zrobił się bezwładny i leciał mi przez ręce. Ułożyłam go tam, na śniegu. Specjalnie wybrałam takie miejsce, gdzie było dużo śniegu, żeby miał miękko.

Tamtego dnia przeklinałam moją ciekawość. O, wielkie nieba, lepiej by było, gdybym nigdy tego nie przeczytała. Ilekroć spjrzałam na Alicję, miałam ochotę krzyczeć. No i krzyczałam.

— Alicjo, dlaczego go zabiłaś? Przecież nie jesteś potworem. — A jednak była potworem, z jedną ludzką głową, bez łusek i innych takich; właściwie wyglądała jak każdy.

— Dlaczego? Równie dobrze mogłabym spytać Królika: „Powiedz, o moje ty futerko i wąsy, gdzie schowałeś klucz od drzwi ogrodu”. Ludzie i ten ich duchowy kanibalizm. Nie masz pojęcia, jak to jest obudzić się któregoś dnia i zamiast dziecka mieć czerwone morze.

Tyle to akurat wiedziałam; i że nic z niczym nie da się porównać: mój ból z jej bólem.

— Och, doprawdy, to, co się tu dzieje, jest nazbyt paskudne — Alicja mówiła dalej.

— Gdybym chciała zobaczyć kawałek nieba, musiałabym stanąć ani na półpięcie, ani na śródpięcie, ale na wszystkich dziesięciu paluszkach naraz. Swoją drogą, jak to dobrze, Anno Mario, że trenowałam treny zawczasu. Tylko dlatego we właściwym momencie mogłam powiedzieć z dumą: „Żegnajcie, moje maleńkie, drogie moje stopy! Byłyście mi dotąd tak

bliskie. Ciekawa jestem, kto wam teraz będzie wkładał buciki i pończoszki w owym czyściutkim pokoiku”. Bo, rozumiesz, Anno, nie rosłam w rozsądnym tempie i kiedy spojrzałam w dół, nie było tam ani Paryża, ani Rzymu, ani francuskich myszy, ani tym bardziej błękitnych ryb w liberyjskich liberiach, tylko mój coraz większy brzuch i zrozumiałam, że płacz nic tu nie da, a zresztą byłam zbyt dużą dziewczynką na to, żeby płakać. Poza tym zwykłam dawać sobie dobre rady, ilekroć nie mogłam sobie z czymś dać rady, więc powiedziałam: „Żegnajcie, moje kochane stopy, a ty, mój drogi brzuchu, spróbuj zrozumieć, co mówi wąż, moja matka, w chwilach, gdy akurat nie mówi: «Mam cię, gołąbku», zwyczajem wszystkich węży. Więc słuchaj no, brzuchu, jeśli urośniesz jeszcze trochę, to wcale nie byłoby korzystne”. A potem w szpitalu zniknęli mi dziecko. Oni potrafią tak zrobić, żeby kogoś zniknąć. I wtedy, w zimie, pomyślałam: „Jeżeli nie odejdę stąd z tym prosiakiem, na pewno go zabiją, najdalej za dzień lub dwa”. Czy pozostawienie go tam nie równałoby się po prostu morderstwu?

— Ale ten chłopiec nie był dzieckiem Księżnej.

— Robaczywa kurwo, niewiele wiesz, to pewne. W dół, w dół, w dół! Czy ten upadek nigdy się nie skończy? W dół, w dół, w dół! A ono, to biedne, małe stworzonko, wcale nie chrząkało, nie oddychało nawet, tylko było czerwone. Gdyby wyrosło, byłoby okropnie brzydkim dzieckiem, ale wydaje mi się, że jako prosiak było raczej ładne, więc pojęłam, że niesienie go gdziekolwiek byłoby niedorzecznością.

Tego, co robiłyśmy w owej chwili, z pewnością nie można było nazwać rozmową.

— Dlaczego?! Dlaczego?! — krzyczałam, jakby teraz to i tak nie było już wszystko jedno.

— Zdziwniej, słyszysz, zdziwniej! — krzyczała Alicja.

Pamiętam, to był ten gorący sierpień, kiedy dotarło do nas powietrze znad Sahary, a do mnie dotarło, że do niczego się nie nadaję.

Opowiedzieć? Opowiadam.

Dalej wszystko potoczyło się samo: w tamtej chwili oberwała się za nami lawina i nie było odwrotu ani dla mnie, ani dla Alicji — uderzała pięściami w ścianę tuż obok mojej głowy.

— Ty robaczywa kurwo! — wrzeszczała. — Zaraz cię ślicznie zajebię! Pierdolnę ci raz dwa i znikniesz!

I nie wiem, czy to była mała burza, czy tylko jej twarz, która zmieniała się tak gwałtownie, jakby właśnie przepuszczali przez Alicję prąd. Ale prąd przepuścili przez nią dopiero potem.

Krzyki zaalarmowały dwóch pielęgniarzy — to gruby Phobos i jego brat Deimos przybiegli z kaftanem; w duecie sapali z wysiłku, ganiając Alicję wokół stołu. No więc ona uciekała, oni ją ganiłi, a ja robiłam, co mogłam, żeby powstrzymać tych dwóch grubasów, trzęsących się z furii. Długo jeszcze byśmy tak biegali — w kółeczko, w kółeczko — gdyby do sali nie wpadł ordynator.

— Dziewczyno, co ty wyprawiasz? Odsuń się w tej chwili!

Zrobiłam, co kazał. Alicję wepchnięto w kaftan i zawieziono do brzydkiego, ponurego pokoju — tej części lokalu, w której wybrednym klientom serwowano elektrowstrząsy. Po wszystkim oddali ją światu cichą jak popsuta muszla.

— Jak się czułaś? — spytałam, kiedy już doszła do siebie, to znacząco mniej więcej do siebie. — Bardzo bolało?

— Dawniej bolało jak diabli. Wtedy podłączali elektrody do obu półkul naraz. Teraz jest całkiem przyjemnie. Wszyscy są dla mnie mili. Pochylają się nade mną i czuję się ważna. A swoją drogą, dobrze zrobiłaś, Kiciu, że posłuchałaś lekarza. Na takich trzeba bardzo uważać. Przypuśćmy, że on, mimo wszystko, mógłby okazać się furiatem.

Co prawda ordynator nie był furiatem, ale, tak czy inaczej, wymówienie dostałam w ekspresowym tempie. Napisano w nim, że nie nadaję się do tej pracy, ponieważ jestem ślepa na

potrzeby pacjentów („To wy jesteście ślepi!”), kwestionuję autorytet lekarza („Tego idioty? No jasne!”), a tak w ogóle, że nie mam serca („Sami nie macie serca, skurwysyny!”).

Zanim odeszłam na dobre, zairzałam na mój stary oddział.

— Od dzisiaj będę czekał na ciebie i Lalę. Wrócisz, zanim umrę? — spytał Zbyszek.

— No pewnie. Do tego czasu zdążę.

— Bo umrę, jak będę bardzo stary? Czy dlatego, powiedz, dlatego ty zdążysz?

— Tak, dlatego.

— I będę miał białe włosy jak Anna?

— Tak, będziesz miał jej włosy.

— I jak z tej całej starości będę miał brodę, taką, aż dotąd? — To mówiąc, złapał się za kostki. — Dopiero wtedy umrę, powiedz?

Musiałam się uśmiechnąć. Zbyszek najwyraźniej zapomniał, że salowy codziennie go goli.

Odwiedziłam Paulinę, ale tleniona i ojczym zaraz po rozprawie zabrali ją do domu; nie pomogłam nikomu, nawet jej.

Jasne, że czułam się podle.

Alicja czekała na mnie w ogrodzie, z dnia na dzień coraz bardziej wrześnie. Stała pod rozłożystym klonem, z którego spadł pierwszy samobójczy listek.

— To eukaliptus — oznajmiła. — A ja jestem koala.

— Jesteś misiem koala?

— Misiem nie. Misią!

Nie wiem, co mi wtedy strzeliło do głowy, dość, że złapałam ją za rękę i to był błąd; czego jak czego, ale gwałtownych ruchów to ona nie lubiła; taka była ta moja Alicja.

— Wszystko zepsułaś, Kiciu. Przytul mnie teraz. Znowu się boję.

Stojąc tam, na krawędzi lodowca, czując zbliżającą się do nas lawinę, tuliłam ją, mój Boże, jak ja ją tuliłam. Jakby była tamtym prosiakiem z sankami, nowojorskim desperatem, który, hop, skoczył z dachu, Agatą, dzieckiem Joanny albo moim dzieckiem — wszystkimi, których już nigdy nie będzie.

„Nie potrzeba mi żadnego czyściciela — tak wtedy pomyślałam. — Faceta z filmów o mafii. Moje są czarne, czarne serca. Moje są pełne ługu wanny”.

— Dobrze, już dobrze — powiedziała Alicja. — Tak. Teraz mogę już iść.

III. Imago. Piękni chłopcy: Eros i Tanatos

15. Ja i mój faker

Tej jesieni w kobietach wiele było lata. Kantata, bo one, te kobiety w kolorze letnim, na ulicach i bulwarach, na promenadach i w parkach — słowem wszędzie — odsłaniały dekolty i uda (błogosławione niech będą ich uda), podziwiając z wysokości obcasów jesień i miasto, i moje normalne życie. Znaczy to, co z niego zostało.

No dobrze, przyznaję: ta cała normalność wyszła mi bokiem; poniosłam porażkę, z tych miażdżących, bez szans na powtórkę albo chociaż przerwę od tego świata i tej jesieni, a możecie mi wierzyć, cholernie potrzebowałam przerwy. Serio, nie miałam się dobrze. Myślałam o tym, jadąc na pogrzeb.

Wokół kobiety — tam i z powrotem — nosiły uśmiechy na promiennych twarzach jak na tacach, podawały je światu, a świat przyjmował to z leniwym zaskoczeniem, jak przyjmuje się wszystko, z wyjątkiem miejsc, w których się było. Przeklinałam każdą z tych kobiet. Były gibkie jak łanie, złote jak zboże i dużo mogły. Co mogłam ja? Mogłam im tylko zazdrościć.

Działo się to w śróde, we wrześniu, miesiącu małych czerwonych cukierków, betuli i klonów, kanarkowych jak zachód słońca (wyłączając jaskrawoczerwony klon ginnala i *acer rubrum*), cytrynowych robinii, zielonożółtych lip z wysoko sklepionymi, dość zwartymi koronami, które

jednak nie sprawiały wrażenia rozłożystych, a raczej wąskich i wzniesionych; do tego należy dodać — dla pełnego obrazu — intensywnie rdzawe ambrowce, dęby o falisto wyciętych brzegach blaszek, a także kasztanowce, których dłoniaste liście falowały na wietrze kipiącym, kaskadowym złotem. Czyli że wrzesień — od dwudziestu siedmiu lat miesiąc moich urodzin, ale tego roku po raz pierwszy sezon zakopywania samobójczych dziewczyn.

I kiedy tak jechałam w kierunku północ-północ-wschód, w stronę cmentarza, mijając po drodze ulice i parki, i kobiety jak posągi ze złota, zostawiając po lewej i po prawej ludzi, którzy dokądś pędzili, kłócili się albo całowali, i tak bardzo chcieli żyć, przyszło mi do głowy, że jednak jestem biedna. Nie da się ukryć, wiodło mi się gorzej niż innym.

Weźmy na przykład pogrzeby. Obliczyłam, że na każdego przypada mniej więcej dziesięć. To może być babcia, to może być dziadek (zwykle mnożymy to przez dwa), ktoś z dalszej rodziny, znajomy, który zginął w wypadku samochodowym („w trakcie przymusowej lekcji tańca dla opornych”, jak mawiała Joanna), sąsiad, którego z wzajemnością nie lubiliśmy (próbujemy od dwóch tysięcy lat i jakoś ciągle nam nie wychodzi to całe miłowanie bliźnich). Poza tym — dużo później — ojciec, matka (tak naprawdę chyba dopiero wtedy dociera do nas, że umrzemy), czasami dziecko, jeśli mamy pecha, jeszcze później współmałżonek (częściej u kobiet) albo ktoś z rodzeństwa, a na końcu my. Na dobrą sprawę tylko tego ostatniego pogrzebu nie urządzają bez nas.

Oczywiście są tacy, którzy zawyżają średnią; mowa o starych ludziach: wdowach i wdowcach spędzających niemal całe dni na cmentarzach — ci stają się dla nowo grzebanych czymś w rodzaju geriatrycznych komitetów powitalnych. No i byłam ja. Z fatum, które wisiało sobie nade mną w najlepsze i z moim przeklętym warczącym sercem.

— Czarna plamko na martwym horyzoncie, pochwalaj, masz więcej niż większość! — wołała za mną Alicja zza żelaznej, zdobionej festonami kraty w dniu, w którym wyrzucili mnie z pracy.

I wiecie co? Alicja miała rację. Chcę przez to powiedzieć, że to nie ja umarłam.

Autobus, którym jechałam, był pełen ludzi, tłoczyli się wszędzie: mężczyźni zalatujący skórą, potem i zjełczałym tłuszczem (niezbyt przyjemnie), rozwrzeszczane bobasy, bękarty, babcie — wszystko na „b” — i jeszcze złote kobiety i te ich sukienki w kolorze rzekotkowej zieleni, i każdy zmierzał do jakiegoś celu, a ja myślałam tylko o jednym: czy mają wystarczająco dużą trumnę, żeby nas wszystkich zmieścić. Wybrałam autobus, żeby być bliżej ludzi, ale mimo to czułam się samotna. Właściwie czułam się samotna bardziej niż zwykle. Patrzyłam przez brudną szybę na rozmyty pejzaż i słońce, które pławiło się we własnych pokładach zużytego blasku; trzpień utrzymujący niebo w granicach horyzontu. Może było mi wszystko jedno, a może płakałam, pod tym słońcem, pod tym niebem obojętnym jak plecy przechodnia.

A potem był cmentarz i znowu Agata.

Wiele było lata w Agacie tej jesieni. Wyglądała zjawiskowo. Zobaczyłam ją w kaplicy, leżącą w dębowej trumnie. Nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę ona, chociaż obicie trumny tłoczone było w drobny wzorek faktów. Przez chwilę zdawało mi się, że oto leży tam moja błękitnosta Dolly, ta z ostrego porno; wszystko przez zbyt mocny makijaż — od perłowego cienia powieki Agaty lśniły niczym nikiel. Nie pozwolili jej iść tysej do grobu. Na głowie miała perukę w mahoniowym kolorze, a na niej balejaż — od czubka głowy rozchodziły się promieniście pasemka blond; oglądane z góry, układały się w kształt małej gwiazdy. Paznokcie u rąk i nóg — była w butach z odkrytymi palcami — pomalowano lakierem w kolorze zielonego groszku. Nie wyglądała na dziewczynę po mastektomii; na wysokości piersi rysowały się dwa wzgórza sporych rozmiarów. „Ostatecznie przygotowali jej silikonowe protezy” — pomyślałam („sztuczne cycki” — poprawiłaby mnie Agata). Ubrali ją w krwistoczerwoną jedwabną bluzkę zdobioną

cekinami i atlasową spódnicę w kształcie bombki, tę ze zdjęcia, ale tym razem nie nadymał jej wiatr i poza zdjęciem już nigdy więcej jej nie nadmie.

Krótko mówiąc, Agata wyglądała jak święta. I tak pachniała. Jak tylko zbliżyłam się do trumny, poczułam słodki różany zapach. Twarz i dłonie miała lekko złote — jak te kobiety, które widziałam po drodze — jakby dopiero co wyszła z solarium. Wszystko jędrne i ponętne; żadnego śladu gnicia. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe. Zresztą nie tylko ja. Ci sąsiedzi, którzy ją znaleźli, byli tak zaskoczeni, że najchętniej pokazywaliby ją sobie palcami.

Kiedy, miesiąc temu — w samym środku lata — znaleziono zwłoki sąsiada mieszkającego kilometr ode mnie, do moich drzwi zapukał policjant. Wytłumaczył mi, co i jak, a potem zawarczał:

— Trzeba zidentyfikować ciało. Pani pójdzie z nami.

No i poszliśmy. Trafiliśmy w epicentrum burzy — ktoś otwierał okna na oścież, żeby pozbyć się smrodu (oczywiście nic to nie dało), ktoś wymiotował na malachitowo zielony trawnik, tuż przed drzwiami (ja, na szczęście, byłam przed śniadaniem), nadgorliwy policjant wrzeszczał na dzieci tłoczące się przy bramie, że nie ma tu nic do oglądania (czyli że kłamał), a to, co leżało na kanapie, nie było wcale moim sąsiadem, tylko czarną, bliżej nieokreśloną substancją o konsystencji drożdżowego ciasta, które za długo stało w cieple i ostatecznie wyciekło z brytfanny.

— Poznaje go pani? — spytał policjant.

— Nie — odpowiedziałam i to była prawda.

Policjant nie to chciał usłyszeć, więc warknął pod nosem: „cholera jasna!”, a potem kazał mi podejść tak blisko, że kiedy stanęłam, niemal dotykałam kanapy kolanami.

Co tu dużo mówić, okropnie śmierdziało. Cuchnęło do tego stopnia, że nawet ja, która do tego czasu zdążyłam niejedno zobaczyć i jako tako przywyknąć do trupiego zapachu — ale o tym to wam jeszcze opowiem — pochyliwszy się nad zalatującą breją, musiałam odwrócić głowę. Fale torsji dosłownie dźgały mój żołądek, całkiem jakbym połknęła czterech jeźdźców apokalipsy, pędzących na apokaliptycznych rumakach w cztery strony świata.

Miałam ochotę czmychnąć cichcem, ale policjant był nieubłagany — stał za mną jak cerber. „Jakiś sadysta czy co?” — przeszło mi przez głowę. Ale kiedy zaczął rzygać na dywanik, zrobiło mi się trochę głupio. Co do mnie, w ciągu tych kilku minut opanowałam się na tyle, że mogłam śmiało obejrzeć to coś, co najwidoczniej nie miało nic lepszego do roboty, jak tylko leżeć i śmierdzieć.

Przedtem to był człowiek płci męskiej. Miał długie brudne paznokcie i jeszcze dłuższe włosy, tłuste i pozlepiane w strąki. Jeśli chodzi o twarz, niewiele z niej zostało. Język — to wszystko, co widziałam. Miał rozmiary krowiego ozora. Doprawdy, był tak wielki i obrzmiały, że żadnym sposobem nie mógłby się zmieścić w niczych ustach. Do tego był całkiem niebieski, a dokładniej ciemnoniebieski, a jeszcze dokładniej jagodowy.

— No jak? Namysliła się pani? — zawarczał policjant, kiedy skończył rzygać.

Powiedziałam mu, że jeśli to coś ma być panem takim-a-takim, to można go poznać tylko po palcach. Bo mój sąsiad miał długie i bardzo piękne palce. Bardzo. Osobiście uważałam, że to straszne marnotrawstwo, kiedy używał tych swoich artystycznych dłoni do przewalania gnoju. Z takimi palcami mógłby być Szopenem albo Rachmaninowem, ale ostatecznie był śmierdzącą breją z krowim ozorem wywalonym na wierzch, półpłynną substancją — czarną, z akcentem jagodowym — rozkładającą się w najlepsze na kanapie.

Policjant nie był zachwycony, ale ostatecznie to ja miałam rację — naprawdę poznali go po palcach. W zakładzie medycyny sądowej pobrali od trupa odciski; ze względu na stopień rozkładu w pierw musieli odciąć palce, jeden po drugim, potem moczyć w formalinie, a jeszcze

później w olejku terpentynowym. Całe szczęście, że mój sąsiad był notowany.

Na razie przysłali dwóch techników. Jeden z nich był najwidoczniej nowicjuszem.

— Patrz, Władziu, i ucz się — powiedział ten bardziej doświadczony. — Dziwna rzecz, nie ma muszysk, bo widzisz, Władziu, tu się powinno od tego roić. A teraz powiedz, chłopcze, co my tu mamy? No, nie wstydz się, śmiało.

— Mamy tu denata — wydukał Władzio, który najwidoczniej był chłopcem nieśmiałym.

— Dobrze, Władziu, widzisz, jak chcesz, to potrafisz. Oj, trochę nam ten denat cieknie. Bądź tak dobry i spróbuj odwrócić go na bok.

Władzio, który najwidoczniej poza tym, że był chłopcem nieśmiałym, był także chłopcem uczynnym, spróbował.

— Panie starszy! — krzyknął raptem. — Klient nam przeleciał przez kanapę!

No i to była prawda, bo mój półpłynny sąsiad w kilku miejscach po prostu wsiąknął w tapczan.

— Nie ma rady, Władziu, trzeba zabrać klienta do zakładu.

— Z tą kanapą?

Tak więc — sami rozumiecie — Agata nie powinna wyglądać jak święta; nie po tygodniu leżenia w cieple; nie po sekcji, bo owszem, pochlastali ją aż miło. Prokuratura wykluczyła udział osób trzecich — niespecjalnie się z tym spieszyli — i wreszcie można ją było zakopać. O dziwo, mimo tego całego opóźnienia Agata nie była żadną czarną breją. Wyglądała, jakby zasnęła i lada chwila miała się obudzić. Inni chyba też tak myśleli, bo podchodzili do trumny na palcach (przypominało to zabawę w „Stary niedźwiedź mocno śpi”), jakby sądzili, że za moment wstanie. Nie wstała. Była pachnąca, śliczna i martwa.

— To ma być śmierć? — złościła się Agata pewnego razu, gdy oglądałyśmy w teatrze ostatni akt „Hamleta”, ten, w którym aktorzy jeden po drugim upadają z hukiem. — Tej ciszy nie da się udawać. Wytrawia jak kwas. Jak pocałunek. Tak po prostu. Czasem chcesz jej powierzyć prześwietlone zdjęcia, na których, nikt nie wie, uśmiechasz się, czy płaczesz. — A ponieważ płakałam (zwykle płacę na scenach umierania), dodała: — Po czyjej śmierci, przy którym grobie zrozumiesz, że zawsze płaczesz nad sobą.

Teraz też płakałam. Pewnie, że nad sobą.

Żałobnicy chodzili wokół trumny jak trusie, niektórzy gładzili policzek Agaty, inni całowali. Nikt nie odwracał twarzy i nikt nie rzygał. A potem ją zakopaliśmy i było po wszystkim. Ale nie dla mnie.

— Prawda, że ci od pogrzebów pięknie ją przyszykowali? — powiedział jej obrzydliwie bogaty ojciec, kiedy składałam mu kondolencje. — Prawdziwe dzieło sztuki. Taką ją zapamiętamy.

— Podobno zrobili jej rekonstrukcję twarzy.

— Patrz pani! — szeptały między sobą sąsiadki, schludne staruszki z torbami na kółkach; tłumnie przybyły na pogrzeb, ale trzymały się trochę z tyłu, jakby bały się, że stara poczciwa śmierć mogłaby sobie o nich przypomnieć.

To właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałam o balsamacji (bo tak ci od pogrzebów mówią na balsamowanie) i o innych harcach, jakie wyprawia się przy zmarłych. Eureka, eureka, to było coś dla mnie! Tak oto moje życie zyskało nowy cel, a możecie mi wierzyć, cel był mi wtedy naprawdę potrzebny. I pieniądze też.

Problemy zaczęły się już na starcie. Sądziłam, że znalezienie posady w trupiarni to banalnie łatwa sprawa. Ale wcale nie było to łatwe. Więcej — to było niemożliwe. Jeszcze tego dnia obeszłam trzy zakłady pogrzebowe.

„Trzeba mieć silną psychikę do tej roboty, dlatego z zasady nie zatrudniamy kobiet” — mniej

więcej coś takiego usłyszałam w dwóch pierwszych, a w trzecim, że mam niezłą dupę i że jak chcę pracować z trupami, powinnam pomyśleć o mięsnym.

Przyznaję, miałam ochotę się poddać.

Wieczorem, po pogrzebie, poszłam do klubu go-go. Wierzyłam chyba, że spotkam tam Agatę: znajdę ją, jak przedtem, przy barze w sali z męskim striptizem i przez chwilę zdawało mi się, że naprawdę ją widzę. Wiecie, jak to jest, gdy za długo patrzycie w słońce, a potem prześladuje was tysiąc białych słońc, mnożących się z każdym mrugnięciem, i jeszcze raz, i jeszcze. Tak samo było z Agatą: zjawiała się gdziekolwiek spojrzalam, krwistoczerwona (od tej jedwabnej bluzki, w którą ubrali ją do trumny) i martwa (od tej śmierci, którą miała w środku).

A w klubie nic mnie nie cieszyło. Ani nagie dziewczyny, wijące się przy rurach, piękne, drapieżne, zwinne jak węgorze. Ani podnieceni mężczyźni wydzielający z okolic pach i kroczy zapach samców (intensywna piżmowa woń, od której kręciło mi się w głowie). Ani staruszki w sali obok; mogłabym przysiąc, że były to te same babcie, które widziałam rano na pogrzebie.

Nie cieszył mnie nawet Zozo. Właśnie dawał występ. Wydał mi się młodszy niż za pierwszym razem i ciut wyższy. W trakcie striptizu mrugnął do mnie porozumiewawczo na znak, że pamięta. Przyszedł — jako tako ubrany — zaraz po występie.

— Zastanawiałem się, czy wrócić. A gdzie Agata? — spytał, rozglądając się po sali.

Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. Przyjrzał mi się uważnie i musiał zobaczyć cień w mojej twarzy (długi był ten cień, który rzuciła Agata), bo powiedział:

— Więc to już? Cholera, szkoda. Naprawdę ją lubiłem.

No i wtedy zaczęłam płakać. Bo wiecie, płacz, to jedna z niewielu rzeczy, jakie potrafię robić naprawdę dobrze. Agata nieraz żartowała, że z głodu nie zginę.

„To jest szczególny talent, dziewczyno. Tak płaczą tylko na niemych filmach. Zrobiłabyś karierę jako profesjonalna żalobnica” — mówiła.

Tam, w klubie go-go, kolejny młody półbóg przeżył muskuły na scenie, jedne staruszki pokrzykiwały z entuzjazmem, inne chichotały, a ja zalewałam się łzami i pewnie zamieniłabym się w maleńkie śliczne morze, gdyby Zozo nie objął mnie ramieniem i stamtąd nie wyprowadził.

Szliśmy długim korytarzem, a potem był ciasny, zatechły pokój z bordowymi ścianami, brudnymi zasłonami i purpurową pościelą tłoczoną w różyczki. Wyobraźcie to sobie: płaska łąka, cała z purpury, przesiąknięta do cna dymem papierosów (kto palił te papierosy i po co?). To właśnie w tym pokoju, słysząc rżenie łóżka i jęki dobiegające zza ściany tak cienkiej, jak gdyby zrobiono ją z dykty — a trzeba wam wiedzieć, że przez te bordowe ściany słychać było, jak się ziarenko piasku upuści — opowiedziałam Zozo całą prawdę o tym, co stało się z Agatą (czy ktokolwiek wie, co stało się naprawdę?).

Za ścianą mężczyzna krzyczał, dochodząc, łóżko trzeszczało, ja na zmianę mówiłam i płakałam, a kiedy już nie miałam siły płakać, Zozo zapytał:

— Wychodzisz czy zostajesz?

No i zostałam.

Były to jasne i czyste godziny, niebieskie godziny, kiedy wieczór niezauważalnie przetopił się w noc, nie tracąc nic ze swojej pierwotnej magii, a my, którzy nie zapaliliśmy w pokoju światła, mogliśmy obserwować, jak błękitny zmierzch ogarnia z wolna także i nas. Za oknami migotały uliczne latarnie, z początku niemrawo, jakby budziły się z długiego snu, zaraz potem ich szklane kielichy wypełniły się blaskiem (błogosławione niech będą latarnie blasku pełne i błogosławiona chwila żywota twojego, to święte tu i teraz). Więc była noc i jęki za ścianą (i — tego mogę być pewna — tam, za ścianą, słychać było nasze), i można było sądzić, że ludzie są blisko, ale nie było w tym prawdy, bo ludzie byli strasznie daleko.

Działo się to we wrześniu, owej cieplej jesieni, w miesiącu godzin do wynajęcia.

Wiele było lata tej jesieni we mnie. Jakbyśmy zamieszkali we wnętrzu spadającej gwiazdy, trawiła nas gorączka i, możecie mi wierzyć, Zozo wiedział, do czego służą bordowe pokoje. Gdyby był monterem, nadawałby się do montowania prawie wszystkiego, prawie wszędzie.

— Co to było? — przestraszył się, kiedy po raz pierwszy zbudził we mnie rzekę.

Pomyślałam, że znowu się zacznie, ale on głęboko zajął mi w oczy, a oczy miał takie, że można było od tego stracić co najmniej głowę, a potem śmiertelnie poważnie powiedział:

— Nieważne. Cokolwiek to było, rób tak dalej.

Umówmy się, że poznacie początek i koniec. Pośrodku czułość. Dużo mieliśmy tej czułości. Więc najpierw przesiąknięta dymem pościel, jej purpurowa łąka, potem moje mieszkanie albo jego — wszystko jedno. Za każdym razem miasto zostawało po drugiej stronie. Za oknem rozpraszały się pudrowe światła najwyższych latarni w powietrzu parującym od nagrzanego ziemi, kiedy Zozo poruszał się we mnie: chłopiec we mgle. Był naprawdę wysoki. Ilekroć chciałam go pocałować, przypominało to wspinanie się na wodospad. Nad ranem leżeliśmy obok siebie, w półśnie, a może w półodrętwieniu, jedno jest pewne: nieludzko zmęczeniu.

— Muszelko... — On mógłby wtedy spytać. — ...przez jakie sny płyniesz, przez jakie morze? Powiedz, bo mógłbym umrzeć tu, przy tobie, z głową obok sztormu, z ręką na twoim ciepłym zagłębieniu.

A ona? Co powiedziała by ona? Że kiedy śpi przy nim (czoło dotyka jego czoła, dłonie dotyka jego dłoni), śni jej się tancerka w błękitnej sukience. Śni jej się tancerka na scenie. Jaszczurca dziewczynka w tiulowych fałdach sukni. Jej ciało wiruje. Wspaniałe akrobacje. Ewolucje cyrkówki, aż wstrzymujesz oddech. Szybciej, szybciej jeszcze! Ciało pręży się, pęka, a kiedy pęka, wytryskają z jej brzucha czerwone słońca. Czerwone kwiaty. Wszystkie drapieżne.

Gdyby właścicielowi kawalerki przyszło wtedy do głowy otworzyć drzwi zapasowym kluczem (podobno nigdy się z nim nie rozstawał, a przynajmniej tak mnie straszyl) i niespodziewanie wejść do mieszkania, jestem pewna, że wcale nie zobaczyłby nas, tylko mięso, paciorki szlifowanych granatów na mojej szyi, jak drobinki pieprzu, i mięso. Jakbyśmy byli obrazem — martwa natura: kobieta i jej faker.

Wszystko to działo się w wynajętych pokojach i musicie zrozumieć, że purpurowa, przesiąknięta dymem łąka, studencki tapczanik (u niego) i błękitna kanapa (u mnie), trzeszcząca przy każdym ruchu, do cna zmęczona kurestwą, cóż... z pewnością nie są to miejsca, w których on mógłby mówić do mnie: „serduszek”, „drobiażdżku”, „moje zwierciadełko, chcę się w tobie przeglądać ze śmiechem” i inne tego rodzaju lukrowane głupstwa, jakie zwykle się szeptać kobiecie do ucha. Niestety, nie mieliśmy do dyspozycji żadnej intymnej, romantycznej przestrzeni — wiecie, o czym mówię — słodkich pokoików, gdzie można by, pozostając przez nikogo niesłyszany, do woli krzyżeć i jęczeć. Te ściany mogłyby jednak stawiać nieco grubsze, nie uważacie? A swoją drogą, czy zdarzyło się wam słyszeć kogoś, kto krzyczy długo i głośno, a potem cisza i gotowi jesteście pomyśleć, że to już koniec, ale właśnie wtedy z jego gardła wydobywa się krzyk głębszy, jeszcze i jeszcze („I czy ten ktoś, kochanie, to zawsze jesteś ty?” — tak pytał mnie Zozo).

Ilekroć musieliśmy się rozstać, gorączka, która trawiła nasze ciała, trawiła je zjadle. Nie wiem jak Zozo, ale ja w takich chwilach czułam, że moje ciało to gruzy świątyni, którą zburzył Samson. Przytykałam do zimnej szyby rozpalone czoło i dłonie („Te nasze dłonie, tak często zajęte wykonywaniem rzeczy bezużytecznych, dłonie mordercy, grzesznika, czarnych ludzi o czarnych sercach, wszystko jedno, kiedy dłonie, jak kwiaty ku słońcu, wyciągają się po dotyk” — tak wtedy mówiłam do siebie na głos), i to pomagało.

Tak więc zazwyczaj byliśmy ze sobą w dobrych stosunkach, nawet bardzo. W przerwach opowiadałam mu o moim stukniętym lekarzu, nieszczęsnym ślubie i ostatniej pracy, czyli

o niczym ważnym. Zozo też mi coś opowiedział. Że kiedy jest mu smutno, robi zdjęcia. Fotografował martwe zwierzęta.

— Chcesz zobaczyć? — spytał i powiedziała, że chcę, że pewnie, ja, która kochałam wszystko, co martwe, więc pokazał mi drozda w czerwonym pudełku obitym atłasem, kilkanaście psów, otwartych stąd dotąd, i dwa tuziny rozjechanych kotów. — Koty nie potrafią ocenić odległości — tak mówił Zozo. — W jednej chwili czekają na chodniku, w następnej trach, lecą prosto pod koła.

Poza tym mieliśmy słońce, które gdy wschodziło, należało tylko do nas (znacie te wschody, kiedy niebo centymetr po centymetrze nasiąka brzoskwiniowym blaskiem?), przedpołudnia, popołudnia, wieczory, straszliwie długie godziny bez siebie, kiedy gorączka rosła, osiągając zenit, czterdzieści stopni i więcej, i wreszcie noce, głębokie i lśniące (mój Boże, jak ja je kochałam, te nasze noce, te nasze draperie jedwabiu).

— Kiedy po raz pierwszy opublikowano rentgenowskie zdjęcie, ludzie sądzili, że oto udało się sfotografować śmierć — powiedział Zozo, któregoś razu, gdy leżąc na łóżku, gapiałam się na księżyc. Najbliższe Ziemi ciało niebieskie wyglądało na zdezorientowane: nie wiedziało, która to godzina i czy ma zejść, czy wzejść; ja też nie wiedziałam.

Zozo, posiadacz najbliższego mi ciała, żałował, że nigdy nie zobaczy własnego szkieletu, tej, jak się wyraził, „cierpliwiej, cudownej konstrukcji”. Fakt, miał w sobie wiele cudownych rzeczy, ale akurat tej jednej wolałabym nigdy nie oglądać.

Ktoś inny na moim miejscu powiedziałby być może, że mieliśmy świat u naszych stóp, ale, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie mieliśmy wtedy świat. Za to z całą pewnością do naszej dyspozycji był Jezus (u mnie) i fotografie pośmiertne (u Zozo). „Post mortem” — tak głosił napis na grzbiecie grubego albumu. A w środku martwi ludzie: w trumnach, na łóżkach, w ciemnych garniturach i białych koszulach — trupie chiaroscuro — osobno i w duecie. Stare czarno-białe kobiety w zapiętych pod szyję wiktoriańskich sukniach, z kościstymi dłońmi splecionymi na piersi; usta niektórych były lekko rozchylone i widać było zepsute zęby. Żywi też tam byli: mąż obejmował umarłą żonę, matki trzymały woskowe dzieci na kolanach, te duże i małe, i te najmniejsze w becikach białych, w kryzach koronek, a każde wyglądało jak śpiący aniołek.

Jak tylko zobaczyłam te zdjęcia (przez trzy godziny przeglądałam ten album, strona po stronie), opowiedziałam Zozo o moim nowym życiowym celu, a wtedy on poznał mnie z tanatocosmetyczką, Leną, która okazała się, ni mniej, ni więcej, tylko wcieleniem mojej własnej, prywatnej Nemezis. Ale to jest już całkiem inna opowieść.

W tej opowieści koniec był równie gwałtowny jak początek — Zozo wpadł na szalony pomysł: chciał mianowicie, żebyśmy pracowali razem.

— Masz problemy ze znalezieniem pracy, a peep-show to będzie świetna zabawa, zobaczysz.

Pamiętacie gazelę o fiołkowych oczach? Właśnie rozstała się ze swoim chłopcem, tym samym, który pamiętnego wieczoru nacierał na nią od tyłu jak taran; w klubie przeważnie występowały pary i złotozęby właściciel, ten od viagry, gotów był zatrudnić nas dosłownie od zaraz.

Co do jednego Zozo miał rację, miałam problemy ze znalezieniem pracy. Przez jakiś czas dorabiałam sobie w domu starców, gdzie starszankowie żyli tym swoim cichym roślinnym życiem, ale przebywanie wśród ludzi w podeszłym wieku działało na mnie przygnębiająco. Starość to w gruncie rzeczy powolne przyzwyczajanie się do śmierci. Starzy ludzie wstają coraz rzadziej; w końcu już tylko siedzą albo leżą, a jeśli przypadkiem spadną w nocy z łóżka, nie mogą się podnieść. Któregoś ranka znajdujemy ich na podłodze w jakiejś niemiłosiernie niewygodnej pozycji, całych zdrętwiałych. Albo martwych ich znajdujemy. Jeśli jednak żyją, długo trzeba ich

masować — od góry do dołu i we wszystkie strony — żeby przywrócić prawidłowe krążenie, aż staną się na powrót różowi jak prosięta i z wdzięczności zaczną puszczać do nas oko. Bo mówią coraz mniej; język stopniowo ich zawodzi: najpierw zostaje im kilka prostych zdań, potem kilka słów, na końcu wydają z siebie same okrzyki: „aj, aj, aj!” i „ho, ho, ho!”. Zazwyczaj rośnie im apetyt, ale to nie trwa długo, wkrótce chcą już tylko spać, no i śpią całymi dniami, aż pewnego dnia zasypiają na zawsze.

To było trudne dla tych ludzi: tak stać jedną nogą w grobie. Nie każdy potrafił się z tym pogodzić. Przekonałam się o tym na własne oczy, gdy znaleźliśmy jednego z naszych pensjonariuszy w łóżku z dziewczyną z domu nie całkiem prywatnego. Zaalarmowały nas krzyki tej dziewczyny. Wpadliśmy do pokoju. Leżała tam twarzą w dół, taka młoda i śliczna, i z wysiłku sapała. Gruby staruszek wdrapał się na nią, podpierając się laską, a teraz przygniatał ją całym ciężarem i płakał, a ta dziewczyna to już nie była dziewczyna, tylko wierzgający kucyk, który próbuje zrzucić z pleców jeźdźca. Viagra spisała się na medal — to prawda, męskości tego staruszka nie można było nic zarzucić — za to reszta jego ciała wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpaść. Zrozpaczony grubasek nie mógł się ruszyć, dosłownie wgniatał tę dziewczynę w łóżko. Koniec końców musieliśmy go z niej ściągać, podczas gdy reszta pensjonariuszy stała na korytarzu i, podobna do trupy Mikołajów, pokazywała go sobie palcami, wołając: „ho, ho, ho!”. I to by było na tyle, jeśli chodzi o moją karierę w domu starców.

Miałam nadzieję, że Zozo żartuje z tą pracą w burdelu złotozębego, ale nie żartował, a trzeba wam wiedzieć, umiał być uparty. Tak oto, w skrócie, doszło do tego, że w dniu moich dwudziestych siódmych urodzin zamiast na romantyczną randkę zabrał mnie na *swingers party*.

Jak wiecie, miałam za sobą kilka dość nietypowych doświadczeń, ale tego wieczoru — ubrana w zwiewną koszulkę i ciasne lateksowe majtki (przyzwoite ubrania zostawiłam w metalowej szafce, całkiem zwyczajnej, takiej, jakie mają w szkołach, na basenach i na siłowni też) — wkroczyłam na podświetlony parkiet i poczułam się gorzej niż strasznie. Na nogach miałam buty na obcasie, te z błękitnym kwiatkiem. Spośród wszystkich butów na całym świecie i w mojej szafce z butami wybrałam właśnie te. Chciałam, żeby tym razem przyniosły mi szczęście — tak sobie wmawiałam, ale tak naprawdę chyba już wtedy wiedziałam, że to się nie może udać.

Ludzie, którzy mnie otaczali, też byli nie całkiem ubrani. Kobiety miały na sobie zwiewne koszulki, przezroczyste topy albo błękitne peniuary, spod których prześwitywało śnieżnobiałe ciało (przypominały przez to tuzin gipsowych Maryj). Jeszcze inne nosiły skape stringi — takie z dziurką — i biustonosze, na które składały się praktycznie same fiszbiny, przez co obnażone piersi nie wyglądały jak piersi, tylko jak wypukły relief. Miło było patrzeć, jak te cycate Madonny przechadzają się to tu, to tam. Gorące, małe kobietki. Śliczne i głupie albo po prostu głupie.

Jak mówił mi Zozo, swingersi najbardziej cenili nagość, ale tego wieczoru nikt się na to nie odważył; przynajmniej na razie. Mężczyźni, a była ich mniejszość, mieli na sobie lateksowe majtki — podobne do moich — albo spodnie. I wszystkich czuć było alkoholem. Barman uwijał się, przygotowując drinki. Gdyby nie otaczające mnie półgolasy, pomyślałabym, że to normalny bar.

Nie powiem, był to klub na najwyższym poziomie. Ściany wyłożone były lustrami. Z głośników sączyła się muzyka w stylu modern. Do naszej dyspozycji mieliśmy jacuzzi, saunę, natryski, klubowe drinki, bar, szwedzki stół, a na pierwszym piętrze i w piwnicy fikuśne łóżka i tapczany.

— Wszystko, czego potrzeba do dobrej zabawy — jeszcze w szatni wytłumaczyła mi właścicielka, rubensowska szatynka o twarzy z wosku (nie wiem jak reszta, ale ta twarz

wyglądała, jakby miała za sobą kilka operacji, niekoniecznie udanych). — Nasi goście to kochające się pary i małżeństwa, a także układy dwa na jeden i singielki. Bez obawy, nie spotkasz tu samotnych panów. Dla nich organizujemy oddzielne imprezy, tak zwane gang-bangi, gdzie na jedną chętną przypada kilku chętnych.

Potem przybliżyła mi nieco tutejsze obyczaje. Zaczynało się od prysznic i żadne „brałem w domu przed wyjściem” nie mogło tu nic pomóc.

— Mężczyźni to z natury brudasy i trzeba ich pilnować — takimi oto mądrościami dzieliła się ze mną rubensowska.

Ale prawdziwego bzika miała na punkcie depilacji okolic intymnych.

— Na dzień dzisiejszy to po prostu norma — tak mówiła. — Osób z „zarostem” praktycznie się już nie widuje, a jeśli przypadkiem się zdarzą, są tu u nas jak na widelcu. Większość bywalców unika jak ognia nawet przelotnego kontaktu z takimi orangutanami.

Dopilnowała, żebym się przebrała („Nie, kwiatuszku, nie możesz zostać w zwyczajnych ubraniach, trzeba pokazać światu trochę ciała!”) i zanim wyszłam z damskiej szatni, założyła mi na ramię białą opaskę — znak, że jestem debiutantką i jako takiej przysługuje mi nietykalność. „Jak emisariuszowi wyruszającemu na pokojowe rokowania” — przeszło mi przez głowę.

— Opaski są dozwolone tylko za pierwszym razem. Bez twojej zgody nikt cię nie dotknie, kochanie, ale wyglądasz mi na taką, która lubi dobrą zabawę. — To mówiąc, woskowa dama dała mi siarczystego klapsa.

A teraz stałam na podświetlanym parkiecie, pośrodku lustrzanej sali, nieopodal baru z neonami pulsującymi fioletowym światłem, pokazując światu trochę ciała (dużo ciała!), raz po raz poprawiając ukradkiem (czy da się to zrobić ukradkiem w sali wyłożonej lustrami?) wrzynające mi się w pupę lateksowe majtki.

Przy barze trwała część zapoznawczo-towarzyska, czyli zwyczajnie, jedni rozmawiali, inni flirtowali, jeszcze inni udawali, że świetnie się bawią (nie wiem, dlaczego ludzie tak często to udają). Ja udawałam, że wcale się nie boję, chociaż — szczerze mówiąc — byłam przerażona. Od dziecka zazdrościłam gołębiom, które wiedzione samozachowawczym instynktem zaalarmowane nagłym poruszeniem natychmiast zrywały się do lotu. Niestety, nie miałam tego ich instynktu, bo gdybym go miała, w tamtej chwili powinien dawać mi znaki w rodzaju: „Uciekaj, dziewczyno, na co czekasz?”.

Czekałam na Zozo, który najwyraźniej nie wyszedł jeszcze z szatni. Rozglądałam się za jakimś dobrym miejscem, w którym mogłabym się schować; wybrałam sofę stojącą w najciemniejszym kącie. Niestety, u swingersów nie mieli wystarczająco ciemnych kątów. Nie minęły dwie minuty i jakiś siwobrody mężczyzna (a właściwie fioletowobrody, zważywszy na światło migoczące nad barem), trącił mnie w kolano, przechodząc. Grzecznie przeprosił i myślałam, że pójdzie dalej, ale nie poszedł, tylko stanął jak wryty; wpatrywał się we mnie przeszywającym wzrokiem (powiedziałabym, że mnie tym wzrokiem rozbierał, ale nie bardzo miał z czego). Czyli że po prostu stał tam i patrzył. No to ja już wiedziałam, że zaraz się zacznie. Czułam, jak kurczę się pod jego spojrzeniem, robiłam się mniejsza i mniejsza, a przynajmniej chciałam się zrobić. Niestety, patrząc realnie, było mnie tyle, co zawsze, tylko jakby jednak trochę więcej w za ciasnych majtkach i w tej cholernej koszulce, zwiewnej i na wpół transparentnej.

— Widzę, że jesteś tu nowa, perełko. Co powiesz na to, żebyśmy skoczyli razem na piéterko? — przemówił sinobrody i, nie czekając na odpowiedź, ruchem więcej niż zamaszystym rozpiął slipy (miały z przodu coś w rodzaju małej kieszonki).

Ponieważ on stał, a ja siedziałam, jego pomarszczony, żylasty kutas znalazł się dokładnie na wysokości mojej twarzy. Czułam się z tym co najmniej niefajnie. Powiedziałam, że chętnie, że

może innym razem i wskazałam na opaskę, ale nie byłam pewna, czy to wystarczy. Nie wystarczyło. Siwobrody uznał, że udaję trudną do zdobycia. Widziałam, jak rośnie jego zainteresowanie, bo ono rosło w oczach — naprawdę! — mogłam to poznać po tym nieszczęsnym kutasie.

— A ty co tu robisz? — raptem usłyszałam znajomy głos.

Odwrociłam głowę i aż podskoczyłam z wrażenia. Mój Boże, oto szła w moją stronę... Czy to możliwe? Tak, nie było wątpliwości — to była Fiona!

— Cieszysz się, że mnie widzisz? — spytała, bezceremonialnie odsuwając na bok siwobrodego i sadowiąc się koło mnie na sofie.

Czy się cieszyłam? Byłam wniebowzięta.

— Spotkać cię tutaj, no coś takiego — dziwiła się Fiona. — Zawsze brałam cię za świętą. Pierwszy raz cię widzę, a wpadam tu często. Jako singielka nie muszę płacić. Ale prawda, że świetnie wyglądam?

Wyglądała nieludzko. Była jeszcze chudsza niż dawniej i cała w brokacie; przez ten brokat — na piersiach i wszędzie — lśniła jak perła, z tych rzecznych. Kiedy pochyliła się do przodu, byłam pewna, że pięknie jej kręgosłup, a łopatki i żebra lada moment przebiją skórę — taka była chuda. W dziecięcym przedstawieniu mogłaby robić za kościotrupa. Policzki całkiem jej się zapadły, przez co twarz przypominała twarze ludzi z Auschwitz. Gdybym się uparła, mogłabym tam, w tym klubie, policzyć jej wszystkie kości. Z lekcji biologii pamiętałam, że ludzka dłoń składa się z dwudziestu siedmiu kosteczek, ale ile mogło ich być w całym ciele, przyznaję, że nie wiedziałam. W ogóle niewiele wiedziałam, ja, która w dniu moich dwudziestych siódmych urodzin, otoczona przez stada nieobliczalnych golasów, szukałam ratunku w osobie Fiony-kościotrupka. Nie wiem, czy mogło być gorzej.

Od słowa do słowa opowiedziała mi o swojej nowej diecie. Była to dieta tasiemcowa.

— Nie masz pojęcia, jakie cuda może zdziałać jeden mały robal — mówiła zachwycona, i jeszcze, jak każdego dnia jadła tatar, żeby się zarazić, do tego surowe rybie głowy, serca i wątroby. — Jesz karpie złociste przez tydzień i efekt murowany.

Niestety, jeśli chodzi o jej chłopca, niewiele to pomogło.

— W sumie jest jeszcze gorzej. Próbowалам wszystkiego. Robiłam z nim nawet dogging, ale, wyobraź sobie, on już nawet nie chce się ze mną całować. Mówi, że brzydzi go mój robal. Do reszty zwariował. To chyba moja sprawa, na jakiej jestem diecie. Swoją drogą, szkoda, że nie potrzebujesz już lokum. A może potrzebujesz?

Pokręciłam głową. No, tego by tylko brakowało. Nie wrócę do Fiony. Za nic.

— Miałam po tobie kilka współlokatorek, ale żadna się nie nadawała. Zanim zaczęłam tu zaglądać, byłam właściwie zrozpaczona — radośnie paplała. — O, widzę, że patrzysz na moje piersi.

Wcale nie patrzyłam, ale teraz spojrzałam; powiem wam jedno — piersi miała śliczne, delikatne i drobne jak pąki kwiatu, właściwie nagie, tylko sutki zakrywała para cekinowych meduz (już kiedyś widziałam coś podobnego).

— Chcesz ich dotknąć — nie zapytała, tylko stwierdziła, chociaż wcale nie chciałam. — Nie krępuj się. Śmiało!

I wtedy — serio, dopiero tam, w tym klubie — zrozumiałam: wcale nie chodziło o chłopca; to Fiona miała problem, chciała, żeby ogromnie ją podziwiano — ogromnie.

Nie ma co, u swingersów była podziwiana. Siwobrody, który — nie uwierzycie — przez cały ten czas stał nad nami, wywijając na boki kutasem, zdążył o mnie zapomnieć i coraz wyraźniej kleił się do niej. Nie dowiem się nigdy, co z tego wyniknęło, bo na sali zjawił się Zozo, oznajmiając, że już czas, że teraz będziemy się kochać.

— Ale tak przy wszystkich? — Byłam przerażona.

— Słuchaj, kochanie, to nic takiego — uspokajała mnie Fiona-kościotrupek.

Zozo wziął mnie za rękę i zaprowadził na pięterko, a tam, mój Boże, to już był zupełny koniec świata. Dookoła kłębiły się ciała. To nie byli ludzie, na pewno nie ludzie, to były dzikie zwierzęta. Prężyły się spocone, tu i ówdzie smagle, to znowu jasne i jeszcze jaśniejsze, miejscami łyse, gdzie indziej porośnięte, i całe w piegach. Splatały się, to znów rozplatały. Niektóre wrzeszczały nieludzko, jakby — powodowane obłędem płci — nie wiedziały, czy jeszcze żyją, czy może już umarły; gdyby umarły, poszłyby do piekła — tego jestem pewna. Zresztą już teraz przypominały orszak potępieńców, „Ogród rozkoszy ziemskich” Boscha albo coś takiego.

Kiedy Zozo posadził mnie na fikuśnej kanapie w celu dość jednoznacznym, kątem oka dostrzegłam kobietę leżącą obok mnie na plecach: rozchyłała nogi tak szeroko, jakby właśnie próbowała przekroczyć Ganges.

— Musisz oswoić się z tym, że inni będą patrzeć, żeby na peep-show nie dać plamy — powiedział Zozo, gładząc mnie po dłoni.

I pomyślałam, że te ciała wokół mnie nie powinny jęczeć — jęczały, a jakże! — zamiast tego powinno się z nich wydobywać warczenie, wycie i inne tego rodzaju dźwięki, i wtedy naprawdę usłyszałam warczenie, gdzieś głęboko, we mnie. Moje warczące serce, och, do cholery, jesteś zupełnie bezużyteczne!

Zozo zdejmuje spodnie, no i wtedy zaczyna się najgorsze — robię drugą rzecz, jaka, poza płaczem, wychodzi mi naprawdę dobrze; jeśli to właśnie znaczy „uciekać”, uciekam, jeszcze jak uciekam, a Zozo, który próbuje mnie gonić, potyka się i upada, zaplątany w spodnie. Więcej się nie oglądam, bo oto jestem już na schodach, na parterze, zdejmuję buty i pędzę jak strzała obok baru z fioletowym światłem, prosto przez parkiet, na którym tańczą pół ludzie, pół zwierzęta (tańczcie sobie, tańczcie!), wypadam na ulicę, a tam już na mnie czeka *aglais urticae* (Bóg mi świadkiem, drogie wy moje rusalki pokrzywniki, tego roku spóźniłyście się nieco z tym całym waszym tragicznym zwiastowaniem!).

Mam dwadzieścia siedem lat i spójrzcie tylko, jak pięknie uciekam, jeśli to właśnie znaczy „uciekać”. Jeśli to właśnie znaczy „popępniać duży błąd”, popełniam duży błąd.

16. Szanowni Państwo, Trupy i Trupiarki

A pewnego dnia Lena po prostu wkroczyła w moje życie, podobna do huraganu, który nie ogląda się na nic, niszczy wszystko. Le-o-nar-da, Le-o-nar-da — za każdym razem, gdy wypowiadam to imię, język skacze mi po podniebieniu: małe, różowe zwierzątko szamoczące się w pułapce. Byłam w pułapce. Lena miała nade mną władzę absolutną, o ile chciałam pracować z trupami. Przyznaję, cholernie działała mi na nerwy — cholernie. To wina Zozo, że ją poznałam. Nie miałam pojęcia, czy ze sobą spali; wołałam myśleć, że nie.

— Swego czasu ja i on... Cóż... to mogła być wielka *l'amour*. — Teatralnie zawieszając głos i posyłając mi spojrzenie, z tych morderczych. — Jak tylko zadzwonił, już wiedziałam: zatęsknił za Leneczką. Okropnie szkoda, że wyjechał, no prawda, cipcia?

Pewnie, że szkoda. Bo Zozo na serio wyjechał — znajomy załatwił mu pracę w jednym z berlińskich klubów — i zostawił mnie samą. Znaczy z trupami.

A tych *l'amour* miała Lena masę. Były niesłychanie tragiczne i wielkie, wszystkie, co do jednej. I tak w ciągu miesiąca spotykała się — w sposób symultaniczny — z bokserem, facetem od sztucznych kończyn, hodowcą lisów, dźwigowym, nawet z księdzem. Ostatnio żyła z cyrkowym treserem koni.

— Ale z niego to jest świntuch do szczęcianu, no prawda? Którejś nocy budzę się, patrzę, a tu on mnie w najlepsze bzyka na śpiocha. *Anyway*, zanim zaczął, mógł mnie jednak obudzić, no tak

czy nie? A on się mnie pyta, co za różnica, skoro i tak zawsze leżę jak kłoda.

Nie mam pojęcia, co mężczyźni widzieli w Lenie. Ja widziałam „Madonnę Littę” da Vinci. Tylko usta miała cholernie wąskie — w dzieciństwie musiano wybić jej kilka zębów, inaczej zabrakłoby miejsca dla nowo rosnących — ale jeśli przymknąć oko na ten drobiazg, była to wykapana „Madonna”. Za jej sprawą obraz Leo obrzydł mi na długie miesiące. I jeszcze jedno o ustach Leny: były krzywe jak diabli; fachowo nazywa się to uzębienie szczupacze, takie z wystającą dolną wargą. Wołaliśmy na nią „Zębatka”. Ale to było trochę później, kiedy na dobre dołączyłam do personelu kostnicy, czyli trupy trupów.

W ogóle z tej całej Leny to niezła pokraka. Na przykład ten jej kręgosłup: mój Boże, wielkie, śliczne S. Przeszła dwie operacje, podczas których klepali w nią dłutem i młotkiem, zupełnie jakby komponowali dodekafoniczną symfonię. Za pierwszym razem włożyli jej do środka pręt, który miał być tytanowy, ale nie był; wdało się zakażenie i omal nie umarła („Aniołki już tam na mnie czekały, no prawda?” — tak o tym opowiadała). No i musieli drugi raz ją kroić i wszystko wyciągać.

— Gównu, nie robota! — złościł się lekarz, ten sam, który podmieniał pręty; tytanowe wynosił do prywatnej kliniki. — Hrabianka jedna, że też musiała od razu ropieć.

Fakt, bardzo brzydko z jej strony. Tak więc była garbata — po tych operacjach nawet bardziej niż przedtem — szczupacza, do tego straszna jędza. Wcześniej była fryzjerka w zakładzie dla żywych. Musiała przerzucić się na zmarłych po tym, jak w trakcie ondulacji spaliła włosy jednej z klientek. Co tam włosy — spaliła jej całą skórę na głowie.

— A nie lubiłam cholery! — opowiadała. — Naciągnęłam kudły tej pudlicy na wałki, tak fest, z całej siły, chociaż dobrze wiedziałam, co z tego będzie, no tak czy nie? Zaczęło ją szczypać zaraz po zabiegu. Mówiłam, że tak trzeba, niech no tylko wytrzyma i wszystko będzie cacy, no prawda? Idiotka uwierzyła. A następnego dnia, kiedy przyszła, ach, co to był za widok! Z bólu nie zmrużyła oka. Włosy wychodziły jej śliczniutko, całymi garściami. A ta jej skóra: normalnie Freddy Krueger. Żebyś ty widziała, cipcia, jaką miała minę. *Anyway*, należało jej się, bo to była straszna francucha. Wołę zdechlaczki: siedzą cicho, są grzeczne i nie grymaszą. No i w kostnicy nie trafiają mi się żadne wredne pizdeczki.

Z tym to akurat miała rację: zwłoki, kiedy już oswoimy się z ich obecnością — nie uwierzycie, jak szybko to idzie — okazują się wymarzonym wprost towarzystwem, o niebo lepszym od golasów ze *swingers party* albo pensjonariuszy domów starców. Martwi niczego ode mnie nie chcieli, nie można było ich zranić, nie odczuwali bólu i nie bali się starej pocziwej śmierci; właściwie wyglądali uroczo.

— To zwykle zimne mięso — mówiła o nich Lena.

A co najważniejsze, byłam im całkowicie obojętna. Mogłam nucić piosenki z reklam albo dłużyć w nosie, słowem — robić wszystkie te rzeczy, za które zabieramy się dopiero wówczas, gdy świat zostawia nas w spokoju. Zmarli pozostawali zaskakująco życzliwi; zimni jak szkło albo metal, po prostu leżeli na zimnych metalowych blatach, niczego nie dając i nic nie chcąc w zamian.

Niestety, na moje nieszczęście, Lena nie była martwa, czyli że coś chciała.

— Załatwię ci, cipcia, pracę w trupiarni pod jednym tylko warunkiem — oznajmiła bez skrępowania przy naszym pierwszym spotkaniu. Nie miała w sobie nic z owych nieśmiałych, jaskółczych dziewczątek, które przy byle okazji chowają się po kątach, całe w pąsach.

Jedno trzeba przyznać: miała ta Lena fantazję — od dziecka marzyła o białej sukience i jeszcze bielszym ślubie. I oto teraz, z moją i z Bożą pomocą, zamierzała znaleźć sobie męża. A mąż to miał być nie byle jaki: obrzydliwie bogaty i przystojny jak diabli.

— Najlepiej szukać w kościele — mówiła. — Tak przeczytałam w jednym piśmie. Nawet raz

tam poszłam, ale jak tylko zaczęli te swoje „w górę serca” i „z duchem twoim”, a potem: padnij, powstań, padnij, powstań, wiedziałam już, że nie dam rady. Nie mam do tego zdrowia, no prawda? Trzeba bywać, tak napisali, tam, gdzie pokazują się ludzie kulturalni, tacy po studiach i z karierami.

No to zabrałam ją do filharmonii.

Przyznaję, to była katastrofa na całej linii. Bo z Leną już jakoś tak jest, że zawsze komuś przeszkadza, zaraz są przez nią kłopoty. Umówiliśmy się na rogu ulicy takiej-to-a-takiej, no i czekałam tam na nią, co rusz zerkając na zegarek. Zjawiła się po trzech kwadransach. Ale, mój Boże, jak ona się ubrała! Wyglądała na tanią kurwę: w tandetnej króciusieńkiej spódniczce z ekoskóry i w różowych pończoszках, w musztardowym gorseciku, więcej odsłaniającym niż zasłaniającym (zdawało mi się, że lada moment jej piersi — dwie poduszki powietrzne — po prostu wyskoczą z gorsetu i walną mnie w twarz). Całość wieńczył neonowo żółty płaszczyk. Ten płaszczyk był z lateksu i przy każdym ruchu a to trzeszczał, a to piszczał; chrobotał przez całą drogę, jak wielka mysz.

— Robię wrażenie, no prawda, cipcia? Jak nie padną tam wszyscy na kolana z zachwytu.

Byłam pewna, że padną, ale raczej trupem. Lena szła przodem i co chwila zarzucało ją leciutko na boki — wzorowała się na Marilyn Monroe i tak jak jej blond idolka (nie mylić z „idiotką”) miała zwyczaj obcinania dwóch centymetrów obcasa w jednym bucie z każdej pary; miało to podkreślić uwodzicielskie kołysanie bioder i dodać ruchom kobiecej gracji. Nie wiem jak Marilyn Monroe, ale — szczerze mówiąc — Lenie gracji od tego nie przybywało: wyglądała po prostu na pijaną.

„Nic, tylko zwariować” — pomyślałam, gdy znalazłyśmy się przed bramą filharmonii (słysząc było dźwięki fortepianu, to zbliżające się ku nam, to znów cofające na podobieństwo morskiej fali), a potem pomyślałam to po raz drugi, bo bileter nie chciał nas wpuścić, biorąc nas za kobiety niespecjalnie ciężkich obyczajów. Kiedy grubo spóźnione weszliśmy na salę i przeciskałyśmy się ku naszym miejscom, widzowie pochrząkiwali znacząco (serio, widownia pełna była świni). Wreszcie usiadłyśmy i miałam nadzieję, że jest już po wszystkim.

— Patrz, cipcia, jeszcze nie zaczęli. Dopiero stroją instrumenty. Mówiłam, żeby tak nie lecieć.

W ciemnej sali fluorescencyjny płaszczyk świecił jak chore słońce. Lena nie chciała zostawić go w szatni („Nie ma mowy, jeszcze ktoś ukradnie” — tak powiedziała). Zresztą może to była zwyczajna guma, a nie lateks, bo płaszczyk, który wcześniej z lekka popiskiwał, ho, ho, teraz trzeszczał na całego. Wszystko przez Lenę, która z nudów nie mogła usiedzieć na miejscu.

— Rety, co za chamstwo — narzekała. — Mogliby już zacząć. Widzą przecież, że ludzie czekają, no prawda?

Przez chwilę miałam wrażenie, że znalazłyśmy się pośrodku wężowiska: syczało wszędzie wokół. A jedna egzaltowana staruszka o sztucznych zębach postanowiła raz-dwa zrobić z nami porządek.

— Łaskawe panie — tak nas nazwała — w takich warunkach trudno, doprawdy, rozkoszować się muzyką. Cisza, potrzebna jest cisza! Oto występuje przed wami kochanek Euterpe, światowej sławy arcywirtuoz.

— Chyba arcybubek — zgasiła ją Lena. — *Anyway*, jak nie umiesz się, babciu, skupić, to na drugi raz nie pchaj się między kulturalnych ludzi, tylko puść sobie w domu płytę. Najlepiej nagrobną.

— Ja sobie wypraszam! — zachnęła się wiekowa dama.

— Babcia, ty mi tu nie szalej, bo ci trumna z dupy wystaje. Tylko patrzeć, będzie z ciebie zdechlaczek, trafisz do Leneczki, a Leneczka już cię wymaluje pięknie jak ta lala. Zębki ci

zabierzemy, bo nie idzie się pod ziemię z takimi fest ząbkami. Kieckę też ściągniemy i te pierścionki, i korale. Nie takie kiecki ściągaliśmy z trupiarek, jak pracowałam w Stanach. Po co ma się to wszystko marnować pod ziemią, no prawda, babcia?

Więcej nikt nie zwracał nam uwagi, a zaraz potem wszyscy klaskali. Lena też.

— No nareszcie, zaczynają! — zawołała.

Właśnie wtedy wirtuoz złożył cztery ukłony w cztery strony świata (trzy razy kłaniał się widowni — na prawo, na lewo, pośrodku — i raz orkiestrze, którą miał za sobą); wręczono mu kwiaty (śnieżnobiałe kalie, całkiem jak tuzin śnieżnobiałych lejków, do tego dalie, które ze względu na kształt i układ płatków przypominały owoce nacinane ostrym nożykiem, jakie w ekskluzywnych restauracjach zwykło się kłaść na talerzu obok jedzenia, dla dekoracji) i razem z orkiestrą zszedł ze sceny. Migał mi jeszcze przez chwilę pośród tych wszystkich puzonów i trąbek. Świnie z widowni też sobie poszły i zostałyśmy same, a raczej prawie same, bo przyszła sprzątaczką.

— Pani wie, kiedy oni wreszcie zaczną ten cały koncert? — zagadnęła ją Lena.

— Koncert? Złociutka, właśnie się skończył.

Dużo później Lena opowiedziała mi więcej o latach spędzonych w Stanach i o tamtejszych kostnicach. Pierwsza mieściła się w piwnicy szpitala na Wall Street i wyglądała jak śmietnik. Wszystko przez kartony, z których wysypywały się na podłogę stare ubrania i te nowe, jeszcze nierozpakowane. Na okratowanych drzwiach wisiały laski i parasolki — nagle bezużyteczne — do tego paski, pończochy i inne części garderoby. Ciała leżą tam w maleńkich wnękach, odgradzonych od siebie ściankami z pleksi, sufit jest niski i kable na podobieństwo dziwnych dzikich pędów zwisają wprost nad twarzami zmarłych. Tuż obok znajduje się prawdziwy śmietnik — wystarczy wyjrzeć przez piwniczne okienko. Śmieciarki dzień i noc mijają drzwi, którymi wywozi się ciała. A kilka pięter wyżej, w najnowocześniejszym szpitalu świata, wyszkolony personel potrzebuje góra dziesięciu sekund na przeprowadzenie pełnej reanimacji.

— Pięknie to tam nie było, ale przynajmniej mieliśmy spokój. Nie zaglądał do nas nikt z rodziny, żadnych żałobnych ceregieli. Ktoś opłacony odbierał trumny z wkładką i zawoził prosto na cmentarz — opowiadała Lena. — Później pracowałam u jednego Żyda. Miał milutki domeczek, a na parterze trupki. Zdechłaczki, tak na to mówił, no prawda? Oczywiście nie przy rodzinach, bo przy nich taki zdechłaczek to był „szanowny nieboszczyk”, „nieodżałowane szczątki” lub „drogi pan N.N”.

Szybko nauczyłam się, że w branży pogrzebowej słowa takie jak „sztywniak”, „zwłoki” czy „trup” były tabu, a jeśli z rozbitej czaszki wypływał mózg, udawaliśmy, że to wcale nie jest mózg, tylko rodzaj pianki. Nie uwierzycie, jak bardzo ludzie są wrażliwi na to, co dzieje się ze zmarłym.

— Ten cały Żyd nie był specjalnie romantyczny. Lubił mnie bzykać tam, z tymi trupami. Domek miał milutki, więc nie narzekałam, ale za takie cuda to mi ciut za mało płacił, no prawda? No to wymyśliłam, żeby z trupiarek ściągać markowe kiecki, kiedy je już sobie wszyscy obejrzeliby w pokoju pożegnań, na chwilę zanim poszły do piachu.

— I chowaliście te kobiety nagie? — zapytałam.

— Cipcia, za kogo ty mnie bierzesz? — obruszyła się Lena. — Kupowaliśmy dla nich ciuchy w second handzie. Nieźle można było na tym dorobić. Ściągaliśmy te kiecki we dwoje, ja i taki jeden José. Ale zaraz się z tym Żydem pokłóciłam, i wcale nie o te sukienki, nawet nie o José, bo z nim też kręciłam na boku, tylko o to, że ponoć nie umiem robić loda. No naprawdę, ten staruch chyba ześwirował. Mówił, że za długo trzymam w ustach, no tak czy nie? To mu powiedziałam, że zostaje mu tylko Renia Rączkowska, bo na Leneczkę nie ma co liczyć. No i mnie pogonił. Szowinista był z niego na całej linii.

Ale najgorsza była kostnica koronera w Los Angeles. Wielkie sale, trzypiętrowe łóżka, prycze — w sumie miejsce dla ośmiuset ciał. Co chwila przywożą nowe; ustawiają w pionowej pozycji, robią zdjęcie, na koniec upychają gdzie się da. Po większość denatów nikt się nie zgłasza i ta olbrzymia kostnica jest przepelniona. Znajdziecie tam wszystko: zwłoki osób o nieustalonej tożsamości, niewyjaśnione zgony, samobójstwa, morderstwa, ofiary narkotyków i porachunków gangów. Ciała są nagie; leżą tam miesiącami, zawinięte w przezroczysty plastik — w kostkach nóg i na szyi przewiązuje się go białym sznurkiem. Chorych na AIDS oznacza się czerwoną plaketką. Niektórzy są w zaawansowanym rozkładzie. Lena opowiadała mi o obnażonych kościach widocznych przez plastik, o brakujących rękach czy nogach, kałużach brunatnej cieczy na podłodze, słowem o tej rupieciarni ciał, które leżą, siedzą albo stoją oparte o ściany, o wszystkich tych ludziach zastygłych w najróżniejszych, nieraz dziwacznych pozach, niczym żyźwiarze zatrzymani w trakcie rittbergera. I pomyślałam, że można by tam urządzić wystawę sztuki nowoczesnej: olbrzymie białe sale zalane światłem i rzeźby, wszędzie rzeźby, mniej więcej osiemset.

Ja też oglądałam ludzkie figury. Ale, w przeciwieństwie do Leny, wcale nie musiałam jechać w tym celu do Los Angeles i zwiedzać kostnicy koronera, jakby to było muzeum. Właściwie to zaczęłam od atlasów anatomicznych; przeglądałam je godzinami, strona po stronie, by koniec końców przerzucić się na rzeźby z ludzi. Ich autorem jest specyficzny artysta (nie jestem pewna, czy można go tak nazwać), Niemiec, Gunther von Hagens, anatom, który na co dzień zajmuje się wykonywaniem pomocy naukowych: mózgow pokrojonych w plastry, kończyn wyglądających jak małe dzieła sztuki z harmonijnym splotem mięśni i ścięgien, i całych ludzi obranych ze skóry, jak obiera się owoce, ale nie po to, żeby ich zjeść, tylko żeby sprawdzić, co też tam mają w środku. Wszystko to von Hagens konserwuje na amen wynalezioną przez siebie metodą plastynacji.

Trzeba przyznać, że Gunther — jak każdy dobry Niemiec — wierzy w *arbeit* i jest oddany sprawie; w wolnym czasie zaplastynował sobie masę ludzi, nieomal armię, a teraz podbija z nimi Europę. Jego kontrowersyjna wystawa nosi nazwę „Cielesne światy”. I wszystko to trupy. Jedne biegają, inne tańczą balet albo po prostu stoją sobie przepołowione, bo co mają robić, a jeszcze inne jadą, patataj, patataj, na martwym koniu i będą tak jechać bez końca. Von Hagens zaplastynował nawet słonia. Ale najgorszy jest ten mężczyzna, z którego zdarto skórę i kazano mu ją trzymać, jak płaszcz; jeśli von Hagens ma rację co do trwałości plastynacji, będzie ją tak trzymał dość długo, powiedzmy przez najbliższe dziesięć tysięcy lat — jest w tym, przyznacie, coś okrutnego.

A te atlasy i rzeźby oglądałam z myślą o mojej nowej pracy. Wszystko na nic; chcę przez to powiedzieć, że na początku nie dali mi się nawet zbliżyć do trupa. Za to kazali mi sprzątać. Bez przerwy.

Nasz dom pogrzebowy był to jednopiętrowy domek w kolorze łososiowym; wyglądał zupełnie zwyczajnie, jak każdym inny dom — przynajmniej z zewnątrz. Jeśli weszło się przez frontowe drzwi, te od strony ulicy, trafiało się prosto do biura. Obok była kaplica z krzyżem, sztucznymi kwiatami, krzesłami ustawionymi po lewej i po prawej stronie katafalku. Mieliśmy też garaż, w którym trzymano dwa czarne karawany. Jeśli ktoś życzył sobie kremacji, trumnę zawożono do krematorium jednej z dużych firm pogrzebowych. Wyglądało jak pięciogwiazdkowy hotel: z luksusowymi skórzanymi sofami, z przeszkloną gablotą pokoju pożegnań, z alabastrowo białymi sklepieniami w stylu tokańskim. Dużo jasnych, przestronnych powierzchni. To miejsce kojarzyło się z wakacjami, a nie ze śmiercią; brakowało tylko basenu.

U nas też było ładnie. Może nie na pięć gwiazdek — powiedzmy dwie — ale nadal ładnie. Najbardziej lubiłam przytulne pomieszczenie, które nazywaliśmy pokojem dla trumien. Zawsze

uważałam, że trumny mają w sobie coś barokowego, przez te wszystkie ornamenty. No więc w tym pokoju barokowe trumny stały na metalowych stojakach albo po prostu jedna na drugiej; piętrzyły się aż pod sufit. Przypominały kosmiczne kapsuły czekające na pasażerów i kiedy złożyło się w taką trumnę ciało, można było pomyśleć, że nieboszczyk to wcale nie jest nieboszczyk, tylko nowy rodzaj kosmonauty albo jeden z bohaterów książek Juliusza Verne'a: lada chwila wyruszy w podróż, hen, do wnętrza ziemi.

Zazwyczaj, żeby dostać się do kostnicy, korzystałam z tylnego wejścia, od strony podwórza (kaplica miała, co prawda, drzwi prowadzące wprost do kostnicy, ale, poza rzadkimi chwilami, gdy akurat wystawialiśmy tam jakiegoś sztywniaka, te drzwi trzymano zamknięte). Sama kostnica składała się z kilku oddzielnych sal tworzących prawdziwy labirynt. W największej, z lodówkami zajmującymi całą ścianę, zawieszono na suficie lampy to zapalały się, to gasły, bucząc jak rój zwariowanych trzmieci. Można było od tego oszaleć. Żeby zagłuszyć te przekłete świetlówki, włączałam Nirvanę na słuchawki; zwłaszcza „Smells Like Teen Spirit” zdawało się pasować do okoliczności.

Jak tylko zamknęło się wejściowe drzwi, zostawiając za sobą świat rzeczy doczesnych, szło się zielonym korytarzem i trafiało prosto do przygotowalni; to tutaj szykowano ciała. Był to jasny, wyłożony zielonymi kafelkami pokój o dwóch wychodzących na podwórze oknach. Te okna były okratowane z zewnątrz, a od środka pokrywała je gęsta siatka dla ochrony przed owadami. Ściany pomalowano olejną farbą na jasnozielony kolor; przy nich trzy porcelanowe umywalki.

Kiedy weszłam tam po raz pierwszy, przygotowalnia była pusta. Stały tam tylko trzy stoły okolone kanałami ściekowymi, z lejem pośrodku — z boku te stoły wyglądały jak obudowane zielonymi kafelkami wanny — i jeżdżące na kółkach metalowe brytfanny, podobne do tej, na której dawno temu leżała moja babka. Potem stale natrafiałam tu na przykryte prześcieradłami ciała i za każdym razem przychodziły mi na myśl hotelowe wózki, którymi przywozi się gościom śniadanie niemal do łóżka. Później dowiedziałam się, że dawniej było jeszcze zabawniej: wózki w trupiarniach miały ogromne rowerowe koła, chyba po to, żeby zmarli mogli sobie urządzać Wyścigi Pokoju w wersji *post mortem* — brakowało im tylko gołąbka.

W ogóle w zakładzie pogrzebowym wszystko było poziome: wózki, stoły, a przede wszystkim ci ludzie, leżący na nich na plecach — monotony, płaski pejzaż. Na początku trudno było mi się do tego przyzwyczaić. To właśnie tam zdałam sobie sprawę, że życie wyraża się przez wertykalność. Kiedy żyjemy, jesteśmy pionowi. Horyzontalne jest wczesne dzieciństwo i starość, i sen. I śmierć — ta jest pozioma w sposób wieczny.

Oprócz stołów i brytfann, i wózków dla trupów, w przygotowalni znajdowała się szklana gablota i szafki pełne chemikaliów, do tego bielizniarka z fartuchami, kitlami, ręcznikami i gumowymi rękawiczkami. Narzędzia trzymaliśmy na metalowych stolikach albo na niezwykle szerokich okiennych parapetach — świetnie się do tego nadawały. Był tam także boczny pokój, w którym trzymano teczki z dokumentacją każdego przypadku — właściciele, miłe starsze małżeństwo, mieli w sobie coś z Niemców: aż do przesady pilnowali porządku w papierach.

Jak opowiadała Lena, w Los Angeles mieli oddzielną salę dla dzieci. My, co prawda, nie mieliśmy takiej, dzieci mieliśmy za to sporo. Właściwie było ich tak wiele, że przeznaczono dla nich specjalny kącik; oddzielono go od reszty plastikową ścianką, żebyśmy nie musieli ich wszyscy oglądać.

Dziećmi i świeżymi trupami zajmował się Bazyl (świeży trup to taki, którego nie poddaje się zabiegowi balsamowania, a raczej balsamacji, bo tak mówiło się na to w tutejszym żargonie), balsamacje, rekonstrukcje i inne tego rodzaju cuda przeprowadzał tanatoplastyk Erwin, do Leny należało pięknie zmarłych; moim królestwem była łazienka.

— Jesteś sprytna, ale takich tu nie trzeba — powiedział pierwszego dnia Bazyl i kazał mi sprzątać. — Każda praca, nawet ta przy zwłokach, powinna być czysta i zorganizowana.

No i sprzątałam. Ja, z moim tytułem magistra psychologii, z doświadczeniem w pracy z wariatami, każdego ranka chwytalam za kubel i szmatę (myślę, że można to nazwać upadkiem) i szorowałam podłogę tak długo, aż zaczynała lśnić tym rodzajem blasku, jakim lśnią chińskie misy zdobione laką. Specjalnym środkiem, nietoksycznym i niepalnym, odkazałam nosze, stoły, przyrządy do balsamowania, ba, nawet ściany. Rozpylałam go także w szufladach lodówki i tuż nad ciałami, z którymi pracował Bazyl — pochylał się nad nimi, jakby lada moment miał złożyć na ich ustach pocałunek.

W kostnicy musieliśmy uważać na bakterie, grzyby i owady. Zwłaszcza muchy były utrapieniem. Rodziny zmarłych padłyby trupem, gdyby, zaglądając do trumny przed pogrzebem, znalazły larwy tuczące się na dziadziusiu czy stryjkę. Z tego powodu zamontowano w oknach zielone moskitiery, a środki do czyszczenia, których używałam, były owadobójcze. Ale największy problem mieliśmy z krwią — to właśnie ona rozkłada się najszybciej i zaczyna śmierdzieć. Na szczególnie krwawe okazje miałam specjalny płyn o zapachu cytrynowym, do tego preparat, który czyścił świeże i stare plamy (nie tylko z krwi, bo z trawy i z tuszu sądowego też, co przydawało się przy ciałach po sekcji), i środek do dezodoryzacji, który rozpylałam ile wlezie. Poza tym były żele, pianki, mydło sączące się z dozowników zamontowanych nad umywalkami, a nawet balsam z pszczelim woskiem — łagodny dla dłoni. Do tego elektryczny dezynfektor i mikrodyfuzor, ba, miałam nawet swój własny kieszonkowy odświeżacz powietrza „Funerbio” i można by sądzić, że byliśmy przez to wszystko pachnący i rześcy, ale nie było w tym ani krzty prawdy.

Przez naszą przygotowalnię przechodziło mniej więcej sto sześćdziesiąt zwłok w miesiącu; większość w ogóle nie pachniała trupem (potrzeba mniej więcej pół dnia leżenia w temperaturze pokojowej, żeby ciało zaczęło wydzielać delikatną woń skruszałego mięsa lub, jeśli wolicie, mięsnego sklepu), ale czasami zdarzał się przypadek w zaawansowanym rozkładzie i dopóki nie wziął się za niego Erwin, przygotowalnię wypełniał odór śmierci: ciężki, przesłodzony zapach; nie był to zapach gnijących kwiatów ani owoców, ani rzeźni, tylko coś pomiędzy. W takich chwilach przydałaby się Joanna ze swoim bzikiem na punkcie perfum. Co do mnie, wzięłam się na sposób: przy klientach o szczególnie bogatym bukietcie zapachowym stosowałam patent z perfumami pod nos — wystarczyło kilka kropeł nałożonych nad górną wargę i szło jakoś wytrzymać. Na szczęście, kiedy Erwin skończył robić swoje, nawet najgorszy trup przypominał w zapachu szare mydło.

Kiedy przeprowadziłam się na wieś, dowiedziałam się, że miejscowi nazywają zakład pogrzebowy „smutnym domkiem”, ale tam, u nas, to tak znowu smutno nie było.

Czasami czułam się tak, jak musi się czuć załoga kosmicznego statku w tych swoich ślicznych, nowiutkich skafandrach — po przyjeździe do pracy zakładałam na siebie plastik i lateks. Wszystko przez HIV i żółtaczkę. Mieliśmy maseczki higieniczne jednorazowe, trójwarstwowe i z zaworkiem, fartuchy ochronne i czepki na gumce, rękawiczki winylowe, pudrowane i bezpudrowe, do tego kilka modeli kombinezonów. W tych wszystkich fartuchach i maseczkach wyglądaliśmy na złot pszczelarzy.

Mówią, że do wszystkiego można się przyzwyczaić; być może to prawda. Wkrótce przywykłam do sprzątania, chociaż, co tu ukrywać, bałagan to mój żywioł albo, jeśli wolicie, moja ulubiona pora roku.

Gdyby kazano mi wówczas wybierać pomiędzy kostnicą a wariatkowem, bez wahania wybrałabym nasz dom pogrzebowy w kolorze łososiowym. Czasami, pucując narzędzia i stoły, zastanawiałam się, czy te dwa miejsca coś ze sobą łączy. Łączyło. Przekonałam się o tym

w kwietniu. W prima aprilis i tu, i tam dostawaliśmy masę telefonów, coś koło setki. Dzwonili do nas żartownisie z pytaniem, czy zastali Kasię, Basię, Anię, i — kto wie — może były tu takie, ale z całą pewnością nie mogły podejść do telefonu.

Od samego początku opiekę nade mną roztoczył Bazyl; pełnił rolę mojej prywatnej Beatrycze, o ile tak to można nazwać. Miał pomarszczoną twarz (od tych wszystkich lat, które przeżył, a było ich wiele) i szklane oko (nie wiem od czego). Miał także kota, Cyryla, ale nazywaliśmy go wszyscy Małym Bazylem lub Bazylem Drugim.

To od Bazyla „Beatrycze” Dużego dowiedziałam się, co trzeba zrobić z trupem przed pogrzebem. Dla mnie to było coś ciekawego, dla niego po prostu rutyna. Zaskoczyło mnie, że nie ma przy tym żadnych okropności, w rodzaju tych, jakie widziałam na starych filmach o Dzikim Zachodzie; mowa o gnijących truposzach wystawionych na widok publiczny, co należy rozumieć: rzuconych byle jak na drewniane wózki; o zarośniętych twardych mężczyznach, którzy w życiu radzili sobie ze wszystkim — napadali na dyliżanse, mordowali Indian — a teraz nie skrzywdziliby nawet tych oto much spacerujących w najlepsze po na wpółotwartych oczach i włączających tym twardzielom bezczelnie do nosa. No więc tego u nas nie było. Ani wyschniętych dziewczynek, które zmarły na suchoty, a potem obłożone lodem leżały w smutnych trumienkach.

Kiedy byłam mała, matka opowiadała o tym, jak moja prababka poślizgnęła się i rozbiła czaszkę o kant stołu. Zwłoki wystawiono w kaplicy, pod głową prababki ułożono lód i matka mówiła, że ten lód trzeba było wymieniać co kilka godzin i że za każdym razem był czerwony. Od krwi. „Makabra” — tak wtedy myślałam i że nigdy, przenigdy nie dotknę się do trupa, ale u nas, w zakładzie, wcale nie było tak źle.

Zrozumcie mnie dobrze: widok martwych ludzi jest na swój sposób straszny. Twarze przybierają charakterystyczny, trupi wygląd: wystrzają się rysy, zapadają usta i oczodoły. I mogłabym właściwie wziąć to za kiepski horror, taki, na którym mimo wszystko trzeba się jednak choć trochę bać, dla zasady. Nasza kostnica nie miała w sobie nic z horroru, a to dlatego, że martwe ciała były zupełnie, ale to zupełnie bezbronne. Nie wywoływały we mnie strachu, który podobno jest naturalny. Jeśli się zastanowię, muszę dojść do wniosku, że to była raczej czułość.

Oczywiście nie za pierwszym razem, bo kiedy w jakiś tydzień po moim zatrudnieniu wreszcie zobaczyłam Bazyla przy pracy, wrażenie, jakiego doznałam, było wprost piorunujące. Wszystko przez to, że zmarli krzyczą. Rety, i to jeszcze jak!

Akurat wtedy przywieźli nowe ciało i Bazyl zabrał się za mycie. Zwłaszcza przy zawałowcach było z tym sporo pracy: w chwili śmierci puszczają zwieracze i taki klient od pasa w dół cały jest w gównie. No więc Bazyl musiał wyszorować tego trupka, zanim wpakował go do chłodni. Potem jedna po drugiej otwierał szuflady lodówki, żeby pokazać mi co i jak, a ja pomyślałam, że równie dobrze to mógłby być ul, cały z metalu, komora obok komory, i że z otwartych ust trupów lada moment wyleci rój rozwścieczonych pszczoł. Widok tuzina — chyba był ich tuzin — bezwładnych, nagich ciał skojarzył mi się z miejsca ze stosami kobiet i mężczyzn uduszonych cyklonem B w Auschwitz (kiedy byłam mała, myliłam cyklon z cyklamenem, czym doprowadzałam babkę do pasji, zwłaszcza w kościele, gdy stare kobiety składały u stóp Syna, znaczy Bożej owieczki, różańce i bukiety z cyklamenów perskich w cyklamenowym kolorze, a ja darłam się wniebogłose, aż pod gotycką kopułę kościoła: „Spójrz, babciu, oto Jezus, Król Żydowski, hej, kroczy sobie pośród cyklonu!”); nie mogłam na to nic poradzić.

A dzieci — bo owszem, Bazyl pokazał mi także dzieci — te wyglądały jak wazy z alabastru, poza tym trochę jak emaliowe wanienki z czarną dziurą odpływu (przez te otwarte usta), ale najbardziej jak małe, białe zwierzątka z miasta Hiroszima (powiedzcie coś, dzieci, kto was obrócił, dzieci, i dlaczego w nicość?).

No więc zmarli darli się ile wlezie, tyle że nikt ich nie słyszał. Chyba tylko ja. Niektórzy byli młodzi, inni starzy. Mieli szkliste, puste spojrzenie i żaden nie patrzył na mnie. Nie byli już ludzcy. Nie bardzo. Na przykład ta kobieta-ryba, fastrygowana czarną nicią; po sekcji (nieudolnej, pewnie kroili ją studenci) zaszyli ją dokładnie, nawet powieki. Ale nawet taka pocerowana wszerek i wzdłuż nie przestawała się drzeć, bo szczęk jakoś nikt nie był łaskaw jej zamknąć. Nie twierdzą, że mieli je od razu zszywać, ale mogli chociaż owinać jej głowę bandażem.

Krótko mówiąc, wszyscy oni razem wzięci, z tymi opuszczonymi zuchwami, wyglądali jak chór z greckiego dramatu, oko w oko z zagładą w ostatnim akcie, a przynajmniej tak wtedy pomyślałam.

„Jakże będę śmieszna — powiedziałam sobie — kiedy już umrę i też będę tu leżeć, pomiędzy innymi ciałami o brzuchach śniętych ryb, z sufitem rozciągającym się nade mną jak bezmiar połysku, zanim zamkną mnie w lodówce. I czy będzie mi zimno?”

Większość ludzi uważa kostnicę za miejsce wielce egzotyczne, ale — nie chcę was martwić — każdy (nawet wy, nieznani przyjaciele) prędzej czy później będzie musiał tu trafić — i trafi. Wiem to na pewno, poza tym wiem niewiele. Że z prędkością światła dosięga nas ciemność i dokąd płynie krew, kiedy nie ma się serca. No i że ja też będę krzyżeć. Na pewno. Wiem, że kiedy umieramy, otwieramy usta, jakbyśmy pozdrawiali kogoś z oddali. W każdych ustach jest język, w każdej głowie ul. Wiem, że oddech jest cumą tuż nad przepaścią. I że umrzemy wszyscy, chociaż wcale nie razem i nie w tym samym czasie.

A teraz pozwólcie, że opowiem wam, jak pracował Bazyl. Rety, jak on się starał! Kiedy wreszcie pokazał mi, co potrafi, aż mi szczeka opadła z wrażenia, całkiem jak tym trupkom. A teraz ja wam pokażę i niech ktoś mi coś powie.

Bazyl należał do starej szkoły. Jednoosobowa manufaktura śmierci — tak można o nim powiedzieć. Najpierw było rozbieranie i mycie świeżej dostawy; zdejmowało się ze zmarłych buty, ubranie, bieliznę, zegarki, biżuteryjne drobiażdżki: łańcuszki, medaliki, kolczyki, pierścionki, obrączki i inne rodzinne pamiątki — mieliśmy do tego specjalny przyrząd, przypominał kształtem otwieracz do konserw. Przy tym całym rozbieraniu Bazyl chodził na paluszkach, żeby niczego nie zepsuć.

— Trzeba uważać — mawiał — oni patrzą i, kto wie, może mogą się jeszcze zemścić.

Ale gdzie tam, oni nie mieli głowy do zemsty. Nie protestowali nawet wtedy, gdy zabieraliśmy im wszystko i zostawialiśmy nagich. W zamian każdy dostawał identyfikacyjną opaskę z papierową wkładką na dane. Powiedzmy, że to była bransoletka — prawdziwe cacko. Żeby było taniej, kupowaliśmy je w pudełkach po sto sztuk. Nie wszędzie tak było, bo w szpitalach zamiast bransoletki przywiązywało się trupowi do dużego palca u nogi plakietkę: coś jak karta biblioteczna albo brelok, taki jak do kluczy. To ja już wolałam te nasze opaski, choć ich widok — stu sztuk naraz — wprawiał mnie w przygnębienie; myślałam o tych wszystkich nazwiskach, które ktoś niezwykle uprzejmy w przyszłości będzie musiał na nich wypisać; o moim też.

Bazyl miał swoje zasady. Gdyby to zależało od niego, nigdy nie wpuszczalibyśmy do kostnicy żywych — przenigdy!

— Tfu, precz z łapami! — tak mówił do rodziny zmarłego, znaczy, kiedy już wszyscy sobie poszli. — Czy oni nie wiedzą, że śmierć to ciężka praca? Umarli potrzebują spokoju, a tu, patrzcie, całe tabuny, łzawe procesje. No to jest już niegrzeczne, z czymś takim do ludzi. Egoiści jedni! Jakby nie wiedzieli, że zmarły musi teraz myśleć wyłącznie o sobie.

Bo Bazyl uważał, że śmierć jest czymś dobrym, a na pogrzebie trzeba się cieszyć; najchętniej wołałby nad trumną jak buddyjscy mnisi: „Koniec zmartwień, koniec trosk!”

A mówiąc o procesjach, przesadzał; rodziny „świeżych” zaglądały do nas rzadko. Jeśli mieli jakieś życzenia, zostawiali w biurze karteczki („Dopilnować, żeby włosy nie leżały płasko!”, „Makijaż ma być naturalny!”) i zwykle dołączali do nich rzeczy, które mieliśmy włożyć do trumny. Ale czego tam nie było? Różańce, medaliki, pierścionki, rodzinne zdjęcia, maskotki, piersiówki z alkoholem, karty do gry, krzyżówki, muszelki, papierosy, kamyki, ciupagi, laski, nowiutkie piłki (nienapompowane), rakiety do tenisa, a raz nawet kompas — zastanawiałam się, jaki kierunek będzie wskazywał pod ziemią.

Wkrótce przekonałam się, że Bazyl ma szczególny stosunek do kobiet — dzielił je według wieku na dwie kategorie. Stare nazywał profesjonalnymi wdowami. I rzeczywiście, w czarnych garsonkach retro z moheru czy krempliny odpornej na gniecienie, z siwymi włosami, z woalkami, chustkami, słowem z całym żałobnym kramem, wyglądały jak wyliniące czarne ptaki (co gorsza, wszystkie przypominały moją babkę). Gorzej, jeśli trafiła się nam młoda żałobniczka, bo w jej obecności Bazyl dostawał kręćka, normalnie chodził po ścianach; stawał się nienaturalnie przymilny i wylewny, świergotał jej do ucha komplementy, krótko mówiąc, próbował ją poderwać. Na całego. Dawał za wygraną dopiero wtedy, gdy nieszczęsna dziewczyna, zgięta wpół nad ciałem tego, kogo kochała (ojca, męża, brata), wybuchała spazmatycznym płaczem.

— Ach, to tak — mówił wówczas Bazyl i przygryzał wargi.

Z kobietami już jakoś tak jest, że nie chcą odejść od ciała same. Za każdym niemal razem ktoś z rodziny musiał je siłą odciągać. Zwykle w pojedynkę, czasem we dwóch, a raz to nawet we czterech. Krzyki dolatywały do naszych uszu jeszcze z korytarza i słyszeliśmy je, dopóki nie trzasnęły wejściowe drzwi. Czułam się wtedy winna. Jakbym stała po stronie śmierci, jakbym miała z nią coś wspólnego — nie wiem dlaczego. A co robił Bazyl? Bazyl się złościł.

— Zmarły nie potrzebuje płaczu. Zmarłemu nie wolno przeszkadzać. A one, te durne baby, nawet po śmierci nie dadzą człowiekowi spokoju. „Mieliśmy tyle planów”, „Jak mogłeś zostawić mnie samą?”, „A dzieci? Co będzie z dziećmi?”. Ha, czekajcie, płaczki, udajecie trudne do zdobycia, ale jedno jest pewne, będę miał tutaj każdą z was, ślicznotki. — A potem to jego jedyne oko robiło się ze złości wąskie jak szparka. — Tak, tak, kochanie — cedził przez zęby Bazyl — jeszcze do mnie trafisz, to tylko kwestia czasu.

Mogłabym mieć mu to za złe, ale któregoś razu podejrzałam, jak, złorzecząc żywym, jednocześnie głaszcząc przedramię zmarłego, jakby chciał powiedzieć: „Już dobrze, już dobrze”. A zanim schował tego mężczyznę z powrotem do lodówki — myśląc, że tego nie widzę — chwycił go delikatnie za rękę i zdawało mi się, że ręka zmarłego odwzajemnia uścisk.

Chyba właśnie wtedy dotarło do mnie, że praca z ciałami to czysty surrealizm.

W przypadku zwłok świeżych zaczynało się rano, w dniu pogrzebu. Bazyl wyjmował ciało z lodówki, dokładnie mył (lubiłam słuchać, jak szumi prysznic, jak wesoło dźwięczy woda biegnąca w rowkach wyżłobionych w metalowym blacie, a potem bulgocze w odpływie) i rzucał na nie czysty ręcznik.

— Jak obeschną sami, bez wycierania, wyglądają bardziej świeżo — tłumaczył.

W czasie, kiedy drogi pan N.N. sechł, Bazyl zabierał się za drugie śniadanie. Zastanawiałam się, jak on może jeść, jak gdyby nigdy nic, tak przy tym trupie.

— To nie jest znieczulica — powiedział mi za pierwszym razem, kiedy jego spojrzenie spotkało się z moim.

A jednak to była znieczulica. Wkrótce ja też się przyzwyczaiłam. Patrząc na zmarłych, nie widziałam już antycznego chóru, tylko pływalnię — chyba przez te zielone kafelki w głównej sali i w korytarzu, i przez odpływ na środku podłogi w sali, gdzie myliśmy ciała — po prostu wielki, zielony basen, taki jak ten, w którym pewnego razu omal się nie utopiłam, ale nie nauczyłam się pływać. I wszędzie leżeli nadzy pływacy — nic, do czego nie można by się

przyzwyczać.

Jeśli ciało długo czekało na pogrzeb, wyglądało dość wymizerowanie — leżąc w lodówce, zaczynało wysychać, jak każde mięso. Aby przywrócić twarzy zaokrąglony i świeży wygląd, Bazyl robił podskórne iniekcje roztworu soli fizjologicznej — była to jedna z jego sztuczek. Ale to były wyjątki. Zazwyczaj po myciu, dezynfekowaniu na zewnątrz (wacikami nasączonymi odkażającym płynem przemywamy okolice ust i oczu, następnie splukujemy płyn silnym strumieniem wody, oprócz tego wcieramy antybakteryjny krem w odbyt — u mężczyzn — albo w odbyt i w pochwę — u kobiet), po dezynfekowaniu od wewnątrz (robimy cztery zastrzyki po dwieście mililitrów odkażającego płynu do jamy brzusznej i opłucnej, gdzie gnicie zaczyna się najszybciej), następuje upiększanie, czyli korygowanie wszystkich niedociągnięć, aby drogi N.N. wyglądał w trumnie wyjściowo; chodzi tu o takie drobiazgi jak usunięcie muszych larw — jeśli zdążyły się zadomowić — pozbycie się przykrego zapachu z ust czy wytarcie nosa. Potem obcina się paznokcie, które rosną nawet po śmierci, a mężczyzn goli (Bazyl używał jednorazowych maszynek, a w tych wielokrotnego użytku po każdym trupie wymieniał nożyk).

Spytałam go kiedyś, czy to nie strata czasu, to całe upiększanie.

— Za życia chuchamy na siebie i dmuchamy — odpowiedział — a do grobu mamy być wrzuceni tacy byle jacy: sini, potargani, nieogoleni, z brudnymi paznokciami? Co jak co, ale na własnym pogrzebie człowiek powinien wyglądać pięknie.

Golenie zmarłych niespecjalnie różni się od golenia żywych, tylko skóra nie jest już tak elastyczna i trzeba bardzo uważać, żeby jej nie zaciąć; taka rana już się nie zablizni, martwa skóra nigdy się nie zrośnie. Używało się do tego zwykłej pianki albo specjalnego kremu do masażu — fakt, sprawdzał się świetnie jako krem do golenia; poza tym używaliśmy go na okrągło: nałożony na rękę, przedramiona i twarz trupa, nawilżał skórę, a dzięki lanolinie pozostawiał ją miękką i podatną na formowanie.

— Twarz i dłonie to podstawa w tej pracy. Zazwyczaj to jedyne miejsca odsłonięte w trumnie, dlatego musimy poświęcić im szczególną uwagę — pouczał mnie Bazyl, ugniatając leżącego w brytfannie mężczyznę, jakby ten był z plasteliny. A wszystko po to, by zatrzeć ślady cierpienia.

Najlepiej, kiedy ktoś zmarł we śnie; tacy szczęściarze mieli na twarzy błogi spokój. Za to pechowcy, którzy zginęli w wypadku, nawet po śmierci wyglądali na zaskoczonych. Oddzielną grupę stanowiły uśmiechnięte trupy. Byli to ludzie, których wargi zastygły pod wpływem natychmiastowego stężenia pośmiertnego — następowało już w chwili agonii albo zaraz po niej; grymas zdobiący ich twarze wyglądał na uśmiech Jokera z „Batmana”. Jakby stara poczciwa śmierć była żartem. W dodatku w złym guście.

— A czemu nieboszczyk tatuś taki wesolutki? — skarżyły się rodziny, więc właściciele wołali Bazyla, a ten raz-dwa wspinał się na katafalk i zanim zeszła się reszta krewnych, ścierał trupowi uśmiezek z ust. Szkoda, bo tych uśmiechniętych lubiłam najbardziej.

Włosy wystające z nosa (zwłaszcza u starszych mężczyzn było ich zatrzesienie) wycinało się małymi chromowanymi nożyczkami, a na koniec wcierało się w nozdrza dezynfekujący płyn. Potem braliśmy się za oczy. Ach, co to była za feeria! Paryski błękit, błękit krwi gołębiej, szmaragdowe, butelkowe, dropiate, zielone z fioletowym słońcem otaczającym źrenicę niby atol lagunę, szare i kocie, i w kolorze bursztynu — no, słowo daję, nie było dwóch takich samych. A jeden klient miał oko szklane. Bazyl, kiedy je wyjął, omal nie rozplakał się ze wzruszenia; w promieniach słońca lśniło w jego wielgachnej dłoni jak złota rybka. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Prawda jest taka, że u każdego trupa w kilka godzin po śmierci oczy wyglądają, jakby były ze szkła: patrzą przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

Aby przywrócić wypełnienie zapadniętych powiek, upychało się pod nie kuleczki waty. Nic

tak nie wystrasza żywych, jak pogrzeb, w trakcie którego główny bohater otwiera oczy; damy mdleją, świat się kończy, bo oto trup ożył. Żeby zapobiec tego rodzaju atrakcjom, wynaleziono specjalne wkładki. Są to plastikowe krążki, nieco większe od szkieł kontaktowych, z wypustkami z jednej strony; te wypustki działają jak zaczep — dzięki nim powieki już się same nie otworzą.

Zapadnięte policzki też formowaliśmy, a jakże. Używało się do tego gąbki lub ligniny. Do ust wkładało się wkładki absorpcyjne. No i trzeba było jakoś te usta zamknąć. Mieliśmy do tego plastikowe wkładki (działały analogicznie jak te do oczu), ale Bazyl wołał stare sposoby, czyli „tańcowała igła z nitką”: zszywał szczęki przez nozdrza. Robił to specjalną zakrzywioną igłą.

— Cała zabawa polega na tym, żeby przeciągnąć nitkę za zębami, wyjść przez jedno z nozdrzy, przeciągnąć nitkę przez przegrodę w nosie, a dalej poprowadzić ją przez drugą dziurkę z powrotem do ust. — On mówił, a ja patrzyłam; przypominało to przyszywanie guzika.

Niekiedy trafiał nam się trup z zaciśniętymi szczękami. Bazyl kłął wówczas na czym świat stoi — nie da się ukryć, dodawało nam to pracy: musieliśmy rozewrzeć szczęki, co ze względu na stężenie pośmiertne nie było takie znowu proste. Jasne że można było wstrzyknąć takiemu delikwentowi coś na zwiotczenie mięśni. Był też tańszy sposób, kojarzyło mi się to z otwieraniem weków, kiedy wieczko za mocno się zassie i trzeba pomóc sobie nożem.

Ale nawet wtedy zmarły nic sobie z nas nie robił; po prostu leżał z głową na sześciopozycyjnej podstawce i ani drgnął. Jak gejsza, która śpi na drewnianym wałku, żeby nie popsuć kunsztownej fryzury. Co do nas, zostawialiśmy czesanie na sam koniec. Wcześniej było jeszcze podwiązywanie prącia (u mężczyzn), wkładki absorpcyjne wpychane do pochwy (u kobiet) i zszywanie odbytu — albo lignina, albo pampersy — jak kto woli (Bazyl wołał zszywanie).

Czy mówiłam już, że miał wielgachne dłonie? Jak u niedźwiedzia. Wcześniej tylko raz widziałam coś takiego; to było w fabryce guzików u mojej matki, gdzie ich posiadacz uwijał się zręcznie, dziurkując maleńki butelkowitzelony krążek, lśniący jak księżyc albo moneta. Bazyl też się uwijał, zszywając czyjś odbytu; pod maseczką perlił mu się pot, a gumowe rękawiczki raz po raz naciągały się na tych jego ogromniastych palcach, tak mocno, że aż trzeszczały i myślałam, że lada moment pękną; one i reszta świata też.

— Ze zmarłymi trzeba grzecznie, żadnych świństw.

„Wiemy, wiemy, bo mogą się zemścić” — tak sobie pomyślałam, a Bazyl mówił dalej.

— Jak zaczynałem w tym fachu, pracowali ze mną różni tacy. Pili i urządzali po nocach harce. To były wstrętne rzeczy, głównie z kobietami. Jeden lubił stare. Jak nie było żadnych do roboty, był tak zawiedziony, że chodził tam i z powrotem od ściany do ściany. Zdarzało się, że brał trokar, tę dużą, wydrążoną igłę służącą do wysysania, i wpychał zmarłemu w kuśkę, niby że mu stoi. W końcu się zapił i poszedł do grobu. Jest sprawiedliwość, o to jestem spokojny. Piaskalski wszystko wyciągnie.

No a potem to już było ubieranie. Zdarzało się, że rodziny przynosiły odzież rozciętą na plecach i wtedy Bazyl strasznie się złościł.

— Zabierać mi te dziurawe łachy! Trochę szacunku! Co to za pomysł, żeby ubierać ludzi w popsute rzeczy?

Myślę, że byłby naprawdę zły, gdyby dowiedział się o mojej babce leżącej w trumnie w rozpiętej sukience, z gołymi plecami.

Na koniec układał włosy według wskazówek na karteczkach; zwyczajne czesanie, nic wymyślnego. Robieniem prawdziwych fryzur i pięknieniem zajmowała się Lena, oczywiście, o ile rodzina sobie tego życzyła, ale zazwyczaj krewni życzyli sobie niewiele; chyba mało kto wiedział, jak wiele mamy do zaoferowania. A może ci ludzie po prostu byli skąpi, bo to całe pięknienie nie było takie znowu tanie.

Tak więc do Leny należały ciekawsze przypadki — VIP-y pośród zmarłych — a reszta, czyli trupi *basic* — o, to już było królestwo Bazyla! Robił tak zwany makijaż zero: nakładał puder, trochę różu, czasami korektor. Pozostawało tylko założyć zmarłemu pozycjoner rąk (coś jak kajdanki) i *voilà*, gotowe. A potem to była już trumna, wystawienie w kaplicy, podróż czarnym, lśniącym karawanem, a na koniec pogrzeb.

Mijał pierwszy miesiąc w mojej nowej pracy i właśnie skończyliśmy szykować ciało — znaczy ja bardziej patrzyłam, niż pomagałam — i takie eleganckie, i pachnące trafiło do kaplicy najkrótszą drogą (w takich przypadkach otwierano drzwi między kaplicą a nami).

Już miałam wziąć się za sprzątanie, myśląc, że na dzisiaj to koniec, ale właśnie wtedy przywieźli nową dostawę, czyli worek z wkładką. Zdziwiło mnie, że ten worek jest biały, bo na filmach wszystkie worki na zwłoki są czarne.

— Trzeba zająć się tym od razu, żeby potem było jak najmniej sprzątanego. No chyba że ktoś lubi babrać się w gównie — powiedział Bazyl, rozpinając zamek błyskawiczny. Odkąd się ze mną oswoił, lubił wzywać mnie do pomocy.

W worku leżała ruda dziewczyna. Nie sądzę, żeby była starsza ode mnie; to raczej ja — z każdą mijającą sekundą — stawałam się starsza od niej. Miała perfekcyjną fryzurę — jakby dopiero co wyszła od fryzjera — delikatny makijaż (idealny przykład makijażu zero), do tego umalowane paznokcie (francuski manicure z białym półksiężycem wieńczącym każdy palec). Ubrana była w małą czarną z wielgachnym dekoltem — sukienka ciasno opinała drobne piersi i biodra. Krótko mówiąc, ruda wyglądała prześlicznie, jakby wcale nie wiedziała, że nie żyje.

— Serce się człowiekowi kroi, jak widzi takie marnotrawstwo — szczerze zmartwił się Bazyl. — Mogłaby iść do piachu od razu, tak jak jest.

Na worku, od wewnętrznej strony, na wysokości ust zebrała się para; to była tylko wilgoć, ale wyglądało to jak ślad po oddechu, jak gdyby dziewczyna jeszcze żyła. Zdawało mi się, że wyczuwam wokół niej energię, powiedzmy, duchową obecność. Do czoła przykleiło się jej kilka wilgotnych od potu kosmyków. Na policzkach rozmazało się trochę tuszu i widać było ślady łez. I można by pomyśleć, że ruda po prostu śpi: śni jej się coś złego i dlatego płacze przez sen. Nie spała. Serce stanęło. Szczęka opadła. No i to był koniec.

— To co? — powiedział Bazyl. — Chyba możemy zaczynać.

17. Ukochani zakopani albo druga śmierć Łazarza

— Zabiłaś go! Całkiem go zabiłaś!

Pierwszy raz słyszałam, żeby Erwin krzyczał. Drugi właściwie. Teraz sobie przypominam: wcześniej to było na Bazyla, a raczej na tego drugiego, zwanego Bazylem Małym, znaczy, że na kota. Ale, do cholery, co to był za kot! Szary, perski, złośliwe bydlę. I to właśnie bydlę, wyobraźcie sobie, jak gdyby nigdy nic kręciło się po zakładzie i wylegiwało na głowach zmarłych; do tego trzęsło się za świńskimi płuckami, którymi karmił je Bazyl — ten to dopiero umiał być zabawny, mamrotał wówczas głupstwa w rodzaju: „Grzeczny kiciuś, dobre płucko, jedz!” — i, cholerny pech, to właśnie płucka doprowadziły kiciusia do zguby, w dodatku nie świńskie, tylko ludzkie.

Zasadniczo kocur miał trzymać się podwórka, no w ostateczności powiedzmy, że biura, ale coś nie bardzo się trzymał. A kiedyś to nawet wlaźł do lodówki.

— Kostnica to nie jest miejsce dla kota! — Właśnie wtedy Erwin krzyczał po raz pierwszy i ja mu się wcale nie dziwię. Bo Bazyl Mały był wcielonym diabłem. Chodziło głównie o sposób, w jaki patrzył na świat tymi swoimi wielgachnymi ślepiami w kolorze butelkowej zieleni; no więc patrzył tak jakoś dziwnie, trochę morderczo, jakby chciał powiedzieć: „Zaraz was załatwię, i ciebie też, ślicznotko”. Jasne że nienawidził nas na swój koci sposób. Nawet mu zazdrościłam tej nienawiści do nas. Że może to robić tak całkiem bezkarnie.

„A kysz” — wołałam nieraz ile sił w płucach, ale to bydlę jedno, ten perski nicpoń, nic sobie ze mnie nie robił. Pasjami żarł płucka i potem rosło w nim wszystko, ale głównie brzuch. Myślałam, że tak będzie już zawsze. No chyba że któregoś dnia skończą mu się podroby świńskie, a wtedy, o, to już na pewno załatwi nas wszystkich, raz-dwa i po kolei: Dużego Bazyla, Erwina, Lenę, ale najpierw mnie.

Historia Małego Bazyla potoczyła się jednak inaczej, jak kamień. Pewnego razu przewracał taborety i wózki dla trupów, i to tak sprytnie, że utworzyły coś w rodzaju piramidy — taka była z niego bestia cyrkowa. Na koniec dobrał się do szafki, w której Erwin schował ludzkie flaki. Rzecz jasna, normalnie nie trzymaliśmy ludzi w kawałkach luzem po szafkach, ale tego właśnie dnia przywieźli ciało po sekcji i żeby przeprowadzić balsamację, Erwin musiał wypatroszyć je na nowo — każdy narząd trzeba było zabezpieczyć osobno. Zdążył akurat rozpruć luźne szwy (tak to już jest, że po sekcji trupa szyje się byle jak, jak worek) i wyjął wszystkie te puzzle, które każdy człowiek nosi w sobie, w środku, kiedy wezwano go do pilnego przypadku. No to wrzucił te flaki do naczyń, zaalał chemikaliami, wstawił do górnej szafki i pojechał.

Mały Bazyl tylko na to czekał. Raz-dwa zrobił przemeblowanie, otworzył szafkę, dobrał się do płucka w formalinie i zatrzał na amen. Po jego śmierci Duży Bazyl okropnie płakał. Nie wiedziałam, że człowiek ma w sobie aż tyle łez. A co się tyczy perskiego łajdaka, zakopaliśmy go na podwórku, na tyłach zakładu. Pogrzeb miał ładny. Kiedy wszyscy już sobie poszli, ułożyłam w tym miejscu ogromny biały kamień, tak jak robi się to z granitami i marmurami na grobach naszych zmarłych. Żeby mieć pewność, że nie wrócą.

Gdybym powiedziała, że po wypadku Małego Bazyla — zaiste tragicznym — mieliśmy trochę spokoju, musiałabym skłamać. Mieliśmy ciało chłopca z kierownicą wbitą w mózg lepki jak mango („Dzieciom raz na zawsze powinno się zabronić jeździć na rowerze” — powiedział wtedy Bazyl). Mieliśmy kobietę zadżganą przez męża kuchennym nożem; jej plecy pokrywały rany w kształcie pijawek, po pięć centymetrów każda — zdążyłam zmierzyć je linijką, zanim Erwin wypełnił je uszczelniaczem („Mężczyznom raz na zawsze powinno się zabronić brać sobie żon, a już na pewno kupować kuchennych noży” — powiedziałam ja). Mieliśmy samobójczynię — po skoku z wieżowca — z twarzą pokrytą wybroczynami, znaczy w pnących pnączach, ale za dużo z tej twarzy nie zostało („O Chryste!” — powiedziała Lena), właściwie tylko oczy, jak stara porcelana albo niebo, kiedy jest bardzo błękitne. I motocyklistę mieliśmy, takiego z urwaną głową, która na dobre utkwiała w czerwonym kasku z wymalowanymi po bokach żółtymi płomieniami; przywieźli go do nas razem z tym kaskiem. To wszystko, tak myślę, to mieliśmy właśnie.

Ten motocyklista to był ów pilny przypadek, do którego pojechał wtedy Erwin, zostawiając w szafce flaki kotu na pokuszenie. Często dostawaliśmy tego rodzaju wezwania i niekiedy Erwin zabierał mnie ze sobą; robił mi takie małe *tout passe* — miło z jego strony — jakby chciał, żebym zapamiętała sobie śmierć i że jest jak koncert życzeń, w którym puszczają same okropne piosenki, ale akurat wtedy pojechał sam. Nigdy nie jeździł z pustymi rękami; zabierał w sumie pięć walizek: w pierwszej środki kryjące rany pośmiertne, w drugiej kosmetyki do makijażu, w trzeciej materiały do odlewów, silikon, woski, słowem *stuff* do rekonstrukcji, w czwartej płyny i pompy, a w piątej — ostatniej — igły, pęsety, szpatułki i strzykawki. I muszę wam powiedzieć, że z tymi walizkami był absolutnie samowystarczalny — prawdziwy człowiek orkiestra.

Ale i tak przywieźli go do nas, tego chłopca z urwaną głową. Bez głowy go przywieźli, bo ktoś zapomniał spakować ją do worka i Erwin musiał po nią wracać.

Sporo tak jeździliśmy i jeśli nie chodziło o wypadki, chodziło głównie o miłość.

Za pierwszym razem wezwano nas na tory; tam Erwin mi pokazał, co robi z nami wielka miłość, jeśli dodamy do niej coś równie wielkiego, na przykład ciuchcią. Mogłabym tak stać i patrzeć na to bez końca. Głowa, ręka i piersi należały jeszcze do tej dziewczyny. Reszta wyglądała jak podroby, którymi w istocie była. Raz-dwa zebraliśmy większe kawałki, po nich mniejsze strzępy i pociąg mógł wreszcie ruszyć. Wiadomo, nie znaleźliśmy wszystkiego, więc zabrał ze sobą trochę tej miłości: rozwoził ją potem od stacji do stacji.

Albo ten chłopiec, który pod oknem byłej narzeczonej odstrzelił sobie głowę. Wszędzie fragmenty mózgu i czaszki. No, trochę tego było, jakby ktoś rozbił porcelanowy wazon; wiedziałam, że tego wazonu nikt już nie skleci.

— Trzeba będzie odmalować framugi — powtarzała w kółko była narzeczone, teraz to już bardzo była. No i odmalowali je potem na biało, jak do ślubu.

Albo wtedy, ta żona, cała w pijawkach i mąż z kuchennym nożem. Jej kochający mąż.

— Co ja zrobiłem? Tak bardzo ją kochałem. — Słyszałam, jak płakał, zanim go zabrali, cały w czerwieni, jakby dopiero co skończył kroić pomidory na sos do spaghetti.

Nie wiem jak policja, ale ja mu wierzę. Gdyby nie kochał jej tak bardzo, nie dźgnąłby jej nożem. Nie dwanaście razy.

Zresztą, sami widzicie, co ja wiem o miłości, prócz tego, czego dowiedziałam się w kostnicy? Owszem, dobrze było pamiętać, że Zozo jest gdzieś tam, w wielkim świecie. W nocy, kiedy nie mogłam zasnąć, myślałam właśnie o nim. Albo gdy zabierałam Jezusa na spacer: patrząc, jak płoszy gołębice, siadałam na ławce i było mi smutno, bez Zozo, bez celu, bez atropiny, która mogłaby wprowadzić w ruch moje ptasie serce. Bez sensu mi było. Ale żeby od razu miłość? No bez przesady.

Lubiłam pracować z Erwinem. Był nawet ładny na swój sposób. Patrząc na jego dłonie, maleńkie jak u kobiet — właściwie były tak drobne, że przypominały wielkością parę ślepych kociąt — myślałam, że mogłabym się zgodzić, gdyby mnie gdzieś zaprosił. Nie zaprosił mnie nigdy i nigdzie, i jestem mu za to dozgonnie wdzięczna. Bo Erwin trochę śmierdział. Kiedy stawało się obok niego — blisko, bliźniuteńko — w pierwszej chwili czuć było piżmo i ambre, zaraz potem przebijał spod tego drażniący zapach rozkładu. Moja nauczycielka niemieckiego, *Fräulein Jędza*, zwykła w takich razach mawiać, że kielbasa trąci rybą. Fakt, Erwin trącił trupem. To nie była jego wina. Przez te wszystkie lata przeszedł ową specyficzną wonią, typową dla ludzi, którzy kroją zmarłych; coś jak zdechły pies albo szlachtuz, albo rybnie łuski leżące w zlewie od miesiąca.

Pamiętam, jak babka, w ramach akcji „Wielbić i Służyć”, kazała mi odwiedzać sąsiada, obłożnie chorego starca, któremu gnily nogi. Jego pokryte odleżynami ciało miało kolor lilaróż i śmierdziało tak strasznie, że przy pierwszej wizycie wyrzygałam się jeszcze przed drzwiami, na korytarzu; moje wymiociny też miały kolor lilaróż, a jakże!

Spytałam kiedyś Erwina, czy zapach gnijących ciał mu nie przeszkadza.

— Skądże — odpowiedział. — Przy cięższych przypadkach robi się słodko w ustach, ot, tyle.

Mieliśmy formalinę i inne chemikalia — no perfumy to nie były. Oczywiście są i takie płyny, które w ogóle nie pachną, a jeśli już, to całkiem ładnie, na przykład syropem owocowym. A jeden miał nawet zapach poziomki.

Erwin był mistrzem w tym, co robił: konserwował i upiększał, zacierając oznaki cierpienia, choroby i urazów.

— Na pogrzebie moi zmarli są w lepszej formie niż niejednen żałobnik — zwykł mawiać, i to była prawda: taki trup wyglądał po prostu jak ktoś, kto zasnął. Całkiem jak Agata.

Jeśli akurat nie miałam nic do sprzątnięcia i nie wołał mnie Bazyl, żeby mi pokazać, jak

zaszywa się trupowi usta albo odbył, pomagałam Erwinowi. Pomagałam — to się tak tylko mówi, a chodziło raczej o to, żeby nie przeszkadzać.

Za każdym razem Erwin zaczynał od studiowania karty zgonu. Dopiero potem decydował, co będzie robił, jak i czym. Bo samych płynów do balsamacji mieliśmy kilka rodzajów: do codziennych, normalnych zgonów, do nowotworów, oparzeń i zgniótków, do repatriacji oceanicznych (tak producenci płynów określali te przypadki, gdy trzeba było wysłać kogoś w podróż, daleko, hen, przez morze), do opóźnionego balsamowania i tych, co leżeli pod lodem, i do przypadków delikatnych — specjalny płyn z lanoliną, gwarantujący miękkość konserwacji i elastyczność tkanek — czyli że do dzieci. Odcień skóry też był ważny. Były płyny, które pozostawiały naturalną karnację, ale większość zawierała czerwony barwnik. Dla młodszych szedł Plasdopake, dla starszych Chromatech.

Zwłaszcza w listopadzie mieliśmy dużo pracy; dużo samobójstw przez powieszenie. Maskowaliśmy bruzdy wisielcze, uwijaliśmy się jak pszczołki.

No i były wypadki. Jeśli ktoś nie miał części twarzy, Erwin stosował tanatoplastykę, która jest czymś w rodzaju sztuki. Prosił rodzinę o zdjęcie zmarłego i zabierał się za rekonstrukcję. Wypełniał woskiem ubytki, nadawał kształt tej kupie mięsa, która jeszcze wczoraj była człowiekiem ze zdjęcia, odtwarzając wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Słowem: rzeźbił, lepił i ugniatał, i tak godzinami.

Jeśli na przykład brakowało skóry, Erwin przeszczepiał ją z pośladka albo uda. Gdy brakowało nogi, wykorzystywał specjalne formy z pianki. Dłonie robił z silikonu. Z takiego samego silikonu wytwarza się asortyment zapełniający półki sex shopów: dilda w rozmiarach *large*, znaczy wielgachne penisy, i w *small* rozmiarach waginy, znaczy cipki. Ale tego u nas nie było. Były za to sztuczne gałki oczne, gumowe uszy, nosy, łuki brwiowe, peruki. Rety, ile Erwin miał z tym wszystkim zachodu.

Nieraz lepienie trwało aż do nocy; wtedy z nim zostawałam. Chodziło głównie o to, żeby nie pracować samemu — na wypadek zawału czy nagłego omdlenia — ale też o to, że ciekawiło mnie to, co robił. Jeśli zmarły był w kilku kawałkach, rozkładaliśmy szczątki na stole i układaliśmy w zarys ciała. Ubytki wypełnialiśmy ligniną, a potem Erwin ślicznie wszystko zszywał; szwy maskowało się woskiem i fluidem.

— Lignina, oto klucz do sukcesu! Wpychamy ją do jam ciała i *voilà*, wypełnia, wchłania i nadaje kształt — mawiał. Przypominało to faszering kurczaka.

A z tym motocyklistą też mieliśmy problem. Znaczy z jego głową, bo za nic nie chciała dać się wyjąć. Myślałam nawet, że tak go pochowamy: w kasku czerwonym jak grzebień kogutka albo wóz straży pożarnej, z żółtymi płomieniami wymalowanymi po bokach; ustawimy głowę na katafalku, opuścimy szybkę i zza tej szybki motocyklista będzie wszystkich pozdrawiać: „Hej, popatrzcie tylko na mnie, spójrzcie, jak sobie pięknie umarłem”. Tak się nie stało, bo Erwin wreszcie ją wyciągnął. Trochę mu potem zajęło to całe szycie i maskowanie, głównie dlatego, że szyja w miejscu oderwania była poszarpana jak diabli. Nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się gładkiej, różowej powierzchni, czegoś w rodzaju krojonego w plastry zimnego mięsa.

Tak właśnie wyglądało wtedy moje życie: trupy rano, trupy w południe, a wieczorem — nie zgadniecie — też trupy. Najpierw byli ludźmi z sercem i ze wszystkim, a jak skończyło z nimi życie, trafiali do nas, do zakładu, a kiedy my już z nimi skończyliśmy, szli pod ziemię i kto by poznał, że w ogóle byli?

Pomiędzy nami, pracownikami kostnicy, istniały silne więzi, prawie jak w tajnym stowarzyszeniu. Nie mówię tu o dziewczynach z biura, te bez przerwy się zmieniały — blondynka, brunetka, znowu blondynka, zresztą co za różnica? — ani o kierowcach karawanów, całych na czarno, z tymi swoimi purpurowymi kołnierzami i twarzami tak obojętnymi, jak twarze

ludzi w autobusach, ani o właścicielach: miłe starsze małżeństwo, podobne do Niemców. Nosiciele trumien też nie trzymali z nami: bezzębni chłopcy w białych rękawiczkach chichoczący przed kościołem (nieraz miałam ochotę krzyknąć: „Boże, co za bydło! Niech ktoś ich przywoła do porządku, bo ja wiem, niech ich uszczypnie! Co bardzo bym chciała zobaczyć: dokąd idą potem, a kogo kochają?”). Ale oto czas dźwigać trumnę, więc wciągają na gęby ten swój sztuczny smutek, udają uduchowionych, i to jeszcze jak! Zwłaszcza ksiądz. Jezu, jak on zawodzi tym swoim wypranym z płci głosem, jakby między nogami nie miał ani tego, co męskie, ani żeńskie, ani nic. Na drugim planie orszak żałobników, jak stado otepiałych zwierząt. Kierunek marszu: cmentarz.

A bezzębni chłopcy zabawiali się jeszcze w ten sposób, że, niosąc trumnę, urządzali zawody w psuciu atmosfery. Mieliśmy na nich same skargi, więc na ich miejsce zatrudniono czterech starszych. Też byli bezzębni, ale przynajmniej nie puszczali bąków.

Oni wszyscy należeli do reszty świata. Ale nie my. I nawet dzisiaj odczuwam to boleśnie, kiedy ktoś mnie komuś przedstawia, mówiąc: „To jest pani taka-a-taka. Wyobraź sobie, że pracuje z trupami”. No wołałabym, żeby nie wyobrażali sobie tak znowu wiele. Dlaczego innych nie przedstawiają w ten sposób? To jest pani Basia z sekstelefonu, a to pan Eustachy, rzeźnik, król świń.

No i kto by pomyślał, że kostnica była tym miejscem, ku któremu zmierzałam od samego początku, nie pytając dokąd. Masz, co chciałaś, dziewczynko, teraz to udźwignij. Ale przynajmniej nie byłam sama.

Znacie to nieoczekiwane poczucie wspólnoty, kiedy w kinie wy i ktoś siedzący za wami chichoczece dokładnie w tych samych momentach pośród grobowego milczenia reszty sali — ten film, który leci, to nie jest komedia, z pewnością nie komedia — więc dalej śmiejecie się już niejako razem? I gdy lecą napisy końcowe, i jeszcze później, kiedy wychodzicie z seansu i spoglądacie w górę, a tam leci niebo, takie odległe, takie odwieczne, z gwiazdami jak trzy tuziny migoczących koralików (właśnie trwa koronowanie ziemi), nie czujecie się już sami. A przynajmniej nie aż tak bardzo.

— Rusz ten swój kościsty tyłek — powiedziała do mnie Lena tego dnia, gdy Bazyl znalazł Małego Bazyla, i poszliśmy go zakopać, i byliśmy niejako razem.

Kiedy wszyscy już sobie poszli, ułożyłam na ziemi duży biały kamień, a potem to już trzeba było frunąć jak jaskółka, żeby pomóc Erwinowi dokończyć tego trupa po sekcji. Kobieta — bo to była kobieta — leżała przed nami taka otwarta i pusta. Myślałam o tym, kogo ona kochała i jak bardzo, a Erwin nie wiem, o czym myślał, kiedy mył podroby, które z niej wyjął, przekładał do specjalnych biodegradowalnych worków i zalewał, każdy z osobna, płynem konserwującym. Worki szły z powrotem do ciała, a ciało — posypane w środku dezynfekującym proszkiem, jak kurczak przyprawą, zaszyte, zabezpieczone i wysterylizowane — szło pod ziemię. Z tymi workami. Za to bez płucek — te zjadł Mały Bazyl.

Wszystkie kobiety, jak już zdejmą ubrania, są takie same — tak mówią, ale to nieprawda. Tylu cipek, ile widziałam w kostnicy, to w życiu nie widziałam! A, jak już wiecie, widziałam niejedno. Różne były te cipki, jak różne są twarze. Włochate i gołe, jasne i rude, i kędzierzawe; jedne były nieforemne, żeby nie powiedzieć krzywe, a inne przeciwnie: idealnie symetryczne, małe jak u dziecka, dosłownie bułeczka; były cipki siwe i pulchne, i strzyżone w serduszko, i nawet panny elegantki z kolczykiem w łechtaczce, i z fałdkami warg sromowych wystającymi z nich jak małże albo brzeżek ślimaka, albo koronki, jedwabiste i śliskie, i różowe. Mówię wam, napatrzyłam się do woli. To miasto miało dużo kobiet, dużo cipek miało to miasto; prędzej czy później trafiały do nas albo gdzie indziej, a potem to już na pewno trafiały pod ziemię. Ale nie Matka Boska, ona jedna nam się wywinęła. Wszystko przez sztukę z wniebowzięciem. Poszła

prosto do nieba, nieuczesana, z brudnymi zębami i bez makijażu. Jasne, chciałabym to zobaczyć!

A cipka nad cipkami, Lena, nadal działała mi na nerwy, ale miałam na to sposób: wyobrażałam sobie, że jest z wosku. Jedno trzeba jej przyznać: w tym, co robiła, była więcej niż dobra; serio, za te wszystkie trupy należały jej się owacje na stojąco. Lubiłam myśleć o niej jak o Chagallu tanatokosmetyki.

Zazwyczaj rodzina nie miała zielonego pojęcia, jak lubiła malować się zmarła.

— Usta na czerwono — mówili na przykład.

A samego tylko czerwonego koloru Lena miała chyba z dziesięć odcieni. No to prosiła o kolorowe zdjęcie. Włosy cięła i fryzowała szybko, sprawnie i też ze zdjęcia, chociaż czasami włos był już tak przyzwyczajony, że po myciu i suszeniu sam układał się jak za życia.

Ale nie myślcie, że zawsze szło gładko.

— Co ja mam niby zrobić z tym sianem? — skarżyła się Lena przy cięższych przypadkach. — Mogłaś, paniusiu, zanim umarłaś, iść do fryzjera, no tak czy nie? Biedna Leneczka. Loczki zakreć, peruczkę dobrać, a innej to znowu zrobić balejaż. I co jeszcze? Może dupeczkę miodem wysmarować? O *tempora!* O amorek! Ani się obejrzę, każą mi nakładać hennę.

Jezu, jak ona narzekała. Przypominała zepsute radio, które odbiera tylko jedną stację: „Witajcie w programie «Świat jest parszywy i dlatego go nienawidzisz»”. Miałam ochotę ją wyregulować, żeby nadawała cokolwiek innego, bo ja wiem, godowy śpiew wielorybów albo zamieć śnieżną.

— Zachciało im się szpileczek i teraz maluj u nóg pazury, dobra kobieto. — Tą dobrą kobietą to niby była Lena. — Rób tipsy, męcz się, dobra kobieto, ze śmierdzącymi syrami, a potem pchaj spuchnięte giczoly w za ciasne buciczki. Same pieprzone Kopciuszki, no prawda? Manicure, pedicure, wzorki zasrane i szlaczki, jakby trumienny bucik nie wystarczył.

Najbardziej lubiła gołębie staruszki o łagodnych sercach. „Moje dziewczynki” — tak na nie mówiła. W dniu pogrzebu wygładzała im zmarszczki kostkami lodu i staruszki były prawie jak nowe. Mężczyzn malowało się rzadko, za to przy kobietach każdej zaznaczało się przynajmniej brwi, rzęsy i usta, ale zazwyczaj Lena robiła pełny makijaż. Do tuszowania przebarwień i pośmiertnych zasinień używało się specjalnych mocno kryjących preparatów, odpornych na zmiany temperatury. W chłodni jest około pięciu stopni Celsjusza, w pokoju pożegnań dwadzieścia parę i zwyczajne podkłady musiałyby spłynąć. Nasze robiono na bazie formaliny. Raz Lena wypróbowała któryś na sobie, miała być od tego piękniejsza i gładsza, ale dorobiła się tylko wysypki.

Kosmetyki dla żywych też się przydawały, pozwalały Lenie osiągnąć naturalny końcowy efekt. Rety, ile ona tego miała! Gromadziła bez umiaru te wszystkie lakiery i szminki, znosiła je kilogramami i potem walały się pomiędzy cętkami słońca układającymi się w egzotyczne, arabskie wzory na kafelkach.

I kiedy Lena pogniewała się z Erwinem, poszło im właśnie o kosmetyki. Chciał, żeby kupowała tylko *cruelty-free*. Bo Erwin miał fioła na punkcie praw zwierząt. Mówił, że na zwierzętach testuje się niemal wszystko, zaczynając od leków, a kończąc na pampersach czy zabawkach dla dzieci.

Pokazał mi zdjęcie z takiej wiwisekcji: to była tycia biała myszka; przyszpilona do podłoża wyglądała jak Zbawiciel rozpięty na krzyżu; brzusek zdobiło podłużne cięcie, a dalej czerwień i jeszcze więcej czerwieni. „Biedny mysi Chrystus” — pomyślałam.

Za to Lena powiedziała, że to wszystko nieprawda, bo kiedy testuje się na zwierzętach szampon, to znaczy, że się je w tym szamponie myje. No to on jej powiedział, że wygląda mu na idiotkę, a ona mu na to, że on jej wygląda na takiego, co lubi giczki cielejące. To było w sam raz tyle, żeby go rozwścieczyć, bo Erwin nie jadał giczek cielejących ani w ogóle mięsa. I wtedy, na

Lenę, to wcale nie krzyczał, przeciwnie, mówił bardzo, ale to bardzo cicho. To było coś o kobietach. Że wszystkie są takie same: lubią szelest — sukienek, banknotów. I nie mają serca. Chyba wiedział, co mówi: naoglądał się trochę tych kobiet od środka.

Kiedy, jako młody chłopak, załapał się do pracy w zakładzie, zajmował się dosłownie wszystkim: nosił trumny, pomagał przy zwłokach, przewoził ciała na sekcję.

Potem zrobił dyplom technika sekcyjnego i drugi dyplom, z tanatopraksji — tyle o pracy. A w wolnych chwilach też nie próżnował: uwalniał zwierzęta z laboratoriów. Koncerny farmaceutyczne apelowały do ekologów, żeby tego nie robić, znaczy nie porywać im zwierząt, ponieważ po pierwsze są własnością koncernów, po drugie mogą roznosić choroby, które im wszczepiono, po trzecie naraża to koncern na straty materialne i opóźnia proces badań, a po czwarte oni i tak kupią sobie nowe. Ekolodzy też apelowali, ale kto by tam ich słuchał.

Chcecie wiedzieć, jakie jeszcze zdjęcia pokazał mi Erwin? Z testów samochodowych i z rzeźni. Nie sądziłam, że to może mieć ze sobą coś wspólnego, ale miało — świnię. Nie dość, że przerabiali je na bekon — nie, tego im było mało — kazali im jeździć samochodami. „Świnię mają podobny do ludzi rozkład flaków — tak mówił Erwin. — W dodatku można je nakłonić do przyjęcia pozycji siedzącej w samochodzie, co czyni je idealnymi kandydatkami do testów zderzeniowych”.

A to świnię, znaczy z tych naukowców.

Nie wiem, ile świń zginęło w sumie w wypadkach samochodowych. Ani ile ginie ich każdego dnia w rzeźni, szybko i bezboleśnie (no dobra, tylko szybko). Wierzycie w humanitarne zabijanie? O tym to akurat możecie zapomnieć. Erwin pokazał mi kiedyś krowy, wiszące do góry nogami, z poderżniętymi gardłami. Na pierwszym zdjęciu widać wyraźnie, że krowy płaczą, cyk-cyk, następne zdjęcie: te same krowy w wersji półtusze („Proszę państwa, w tym sezonie modny jest róż i czerwień”), cyk-cyk, krowy są puste, ich własne skóry powiewają za nimi jak barokowe sukienki. Dużo jeszcze zdjęć pokazał mi wtedy Erwin, ale i tak więcej krów nie pamiętam, tylko że spadł deszcz i byłam cała mokra, tam, na podwórzu, kiedy stałam i patrzyłam na zjedzone rano śniadanie, teraz ułożone w mandalę na trawie.

I kiedy tak stałam, moknąc i marznąc, coś mi się przypomniało.

— Co to jest? Co to jest? — dawno, dawno temu zapytałam matkę. Liczyłam sobie mniej więcej cztery lata i nie miałam zielonego pojęcia, co to może być: ten miły, miękki przedmiot, który matka dała mi do zabawy.

— Królicza łapka — odpowiedziała.

— A gdzie jest reszta?

— Właśnie ją zjadłaś.

W ciągu następnych miesięcy matka opowiadała o tym mojej nawiedzonej babce i ciotce, i „chrystusowej” sąsiadce, i listonoszowi, i kioskarce, i każdemu, kto tylko chciał tego słuchać, i wszystkich niezmiennie to bawiło.

— Żebyście widzieli jej minę — mówiła. — Uśmiełam się do łez. — I oni też się śmiali, że dzieci takie naiwne są i szczerze.

To prawda: byłam naiwna. Myślałam na przykład, że świnię są bardzo zabawne: nie robią nic innego, tylko biegają, różowią się i chrumkają, i dają mięso jak krowa mleko; mają naprawdę dobre życie. Ale to wcale nie było tak. Nie miały nawet szczęśliwego dzieciństwa, bo zabija się głównie dzieci. Któregoś lata zobaczyłam to u ciotki na wsi. Ledwo taki prosiak skończył roczek, zaraz pakowali mu nóż pod pachę, a potem machali świńską raciczką (żeby mięso jak najdłużej było świeże, trzeba wykrwawić zwierzę, póki żyje, dopóki serce pompuje krew) i ktoś mógłby pomyśleć, że prosiaczek radośnie pozdrawia resztę świata: „Żegnajcie, kochani, oto się wykrwawiam!”. Tak naprawdę biedaczek krzyczał coś w rodzaju: „Jak mogliście mnie tak

zawieść? Stworzył mnie Bóg i widział, że byłem dobry, tak napisano w Biblii! Mielście się mną opiekować, no i co?!”.

Tak było w małej skali, bo w dużej — jak wynikało z Erwinowych zdjęć — mieli do tego specjalną salę zwaną salą wykrwawiania, no a tam to już była pełna automatyzacja. Guziczek, bzzz, do góry nogami jedzie sobie świnka, no to ciach, świnko, coś ci cieknie, świnko, guziczek, bzzz, papa, świnko, szerokiej drogi!

Tego Erwin nie powinien mi pokazywać. Jak już się napatrzyłam na te wszystkie fotki, zrobiło mi się jakoś tak dziwnie. Morderczo mi się zrobiło. Łapałam się na tym, że stojąc w kolejkach albo jadąc samochodem, a także w urzędach, na poczcie, a nawet w kostnicy, patrząc na Lenę, myślałam: „Zaraz cię załatwimy, świniou, wpakujemy ci pistolet do uboju między te twoje świńskie oczka (oczka świni wcale nie są świńskie, są jak dwa czarne paciorki), tak cię urządzimy, że nawet nie chrumkniesz. Chcesz z nami zadrzeć, świniou?!”. Można chyba powiedzieć, że już wtedy zaczynałam mieć się trochę gorzej.

A Lena też pstrykała fotki — umalowanym trupom — chociaż nie bardzo jej było wolno. W podręcznikach kryminalistyki na wszystkich fotografiach umarłych zasłania się im oczy czarnym prostokątem — na wypadek gdyby nie życzyli sobie, żeby ktoś robił im zdjęcia. Ja myślę, że by sobie nie życzyli. Lena, pstryk-pstryk, nikogo nie pytała. Chciała, żeby pozostał jakiś ślad dla potomnych, zanim taki jej VIP, jeden z drugim, pójdzie pod ziemię, gdzie zacznie gnąć i śmierdzieć, i w ogóle zrobi się bardzo, ale to bardzo fuj! W takich chwilach świniowałam jej w myślach jak nie wiem co.

No a z tym całym gniciem to było tak...

Jeśli nie robić zastrzyków (pierwszy w podbrzusze, drugi w opłucną, a potem jeszcze raz to samo i tu, i tu, w sumie cztery szpryce po dwieście mililitrów płynu odkażającego), trup zamieniał się w biologiczną bombę. Po prawej stronie pod żebrami pojawiała się zielona plamka, a zmarły robił się siny. Jak ojciec kuzyna albo moja babka: im to nawet tych zastrzyków nikt nie zrobił.

— Gnucie zaczyna się od flaków — mówił Bazyl, no i miał rację.

Rozkładają nas nasze własne bakterie. Najwięcej mamy ich w jelicie grubym. Zielona plamka rośnie i ciemnieje, w końcu obejmuje cały brzuch. W czasach, kiedy trup leżał w domu aż do pogrzebu, można było sobie na to popatrzeć, tak opowiadał Bazyl. I nawet teraz czasem widuję to u mnie, na wsi. Tak wygląda pierwsza faza: świeża. Komórki trawia swoje własne błony, wylewa się z nich zawartość, która zaczyna krążyć wewnątrz ciała, i życie bakterii rusza pełną parą.

A później człowiek zamienia się w balon, cały z błękitu — przypomina to nagły przelot błękitków na niebie rozpostartym w górze albo tuzin róż Blue Moon. Bakterie wcinają nas w najlepsze; jedząc, wytwarzają gaz, którego nie możemy z siebie wydalić (bardzo mi przykro, jesteśmy martwi). Ta faza nazywa się „wzdęcia”, a wygląda to tak, jakby ktoś nas napompował. Puchnie nam brzuch, pęcznieje język (robi się krowi jak u mojego sąsiada i za nic nie mieści się w największych nawet ustach), a mężczyznom puchną genitalia. Na ciele tworzą się pęcherze, skóra wzdyma się jak naleśnik na rozgrzanej patelni. I tak to sobie trwa, aż coś w nas ustąpi. Pęknie znaczy.

Potem idzie już z górki. Rozpuszczają się najpierw flaki, dalej płuca, a mózg — o konsystencji zupy — wylewa się przez uszy. Z każdego otworu w ciele, ba, nawet przez skórę sączy się z nas brunatny płyn: wielkie pieprzone *pantha rei*. Na końcu tej całej historii topimy się jak bałwanek; zostają po nas małe kałuże. Poza tym zostaje skóra (czasami) i kości, bo zanim te znikną, miną setki lat, tysiące.

Tyle o samym gniciu, a przecież są jeszcze muchy, larwy, mięsożerne żuki, całe to najmilsze

robactwo. Pomyślcie, kochani, tak wiele jeszcze rzeczy przed nami!

Ale nie wszyscy chcieli tak gnić. To właśnie dla nich wymyślono balsamację. Zabalsamowane ciało wcale się nie rozkłada, następuje jego mineralizacja, mówiąc po ludzku — zamienia się w proch. No chyba że podniosą się wody gruntowe, bo kiedy trumna nasiąknie, nie pomoże nam nic, naprawdę nic.

Na czym jak na czym, ale na balsamacji to się Erwin znał. Zazdrościł szczęściarzowi, któremu dostał się papież Polak.

— Ach, pomyśl, co by to było za szczęście, gdyby to właśnie mojej skromnej osobie powierzono balsamowanie głowy Kościoła, nie wspominając o reszcie ciała. Tysiące pielgrzymów, miliony, podziwiałoby moją pracę! — tak mówił Erwin, bo był trochę próżny.

Jego mistrzem i duchowym patronem był chyba sam Alfredo Salafii. Ludzie mają różne marzenia, na przykład taki Erwin marzył o zwiedzaniu katakumb kapucynów w Palermo; właśnie tam znajduje się Rosalia Lombardo, zwana Śpiącą Królową — najważniejsze „dzieło” Salafiiego.

Rosalia, moi mili, to jedna z najlepiej zachowanych mumii na świecie. Ta zmarła w 1920 roku dwulatka ma wszystko na swoim miejscu: idealnie zachowane narządy wewnętrzne, brzoskwiniowy kolor skóry, blond włosy ozdobione wielką żółtą kokardą, ba, nawet rzęsy. I wcale nie wygląda na zamarynowaną, nie ma w sobie nic z przerażających, woskowych mumii, jakie widuje się tu i ówdzie. Cud, prawdziwy cud! A oto przepis: „Jedna część gliceryny, jedna część formaliny nasyconej siarczanem cynku i chlorkiem, i jedna część alkoholu nasyconego kwasem salicylowym”.

„Biedna Rosalia — myślałam nieraz — ile to już lat trzymają ją w szklanej trumnie na marmurowym postumencie, jak prawdziwą Śpiącą Królową, ale gdzie jest ten królewicz, który mógłby obudzić ją pocałunkiem, wrócić ją światu, no gdzie?”

Fakt, sprawa z Rosalią była beznadziejna. Równie beznadziejna wydała mi się ta cała kabała, w którą wpakowałam się tamtego dnia, gdy przyłapał mnie Erwin. Wcześniej krzyczał tylko raz, na Bazyla, a teraz krzyczał na mnie, a patrzył tak, że aż przeszły mnie ciarki. Te jego śliczne niebieskie oczęta były zimne, tygrysie i bez litości.

— Coś ty najlepszego zrobiła? Jak mogłaś go tak zabić?!

No sama nie wiem, jak ja mogłam?

Erwin trochę przesadzał, ale w jednym miał rację — nie wyglądało to dobrze: zamiast bladego rudzielca w wieku mniej więcej śmiertelnym na stole w kostnicy leżał przypalony indyk, a dokładniej indyk, który właśnie wyszedł z solarium. A wszystko przez moją nadgorliwość. Ale Erwin też był trochę winien: nie powinien zostawiać mnie samej z ciałem; nie powinien stwarzać mi tego rodzaju pokus.

Śpieszę wyjaśnić, w czym rzecz: balsamację mógł przeprowadzać tylko wyszkolony personel, ktoś z dyplomem i umiejętnościami — no na pewno nie ja — inaczej więcej można było zepsuć, niż naprawić. I ja właśnie co nieco popsulałam. Jak Boga kocham, jak dają mi sprzęt i trupa, powinni do tego dołączać instrukcję, jak do zupki w proszku: „Balsamacja w iluś tam łatwych krokach”. A tak co?

Dobrze przeprowadzony zabieg przypominał cud z Łazarzem, ten jego słynny powrót zza grobu. W każdym razie moja babka nazywała to cudem, ale jak dla mnie Jezus postąpił bardzo podle. Było mi żal Łazarza. Było mi żal, że musiał umrzeć dwa razy. Byłam zła na Jezusa.

Erwin też był zły, ale bardziej na siebie niż na mnie. Bo to było tak...

Jak tylko zaczęliśmy balsamację, przycupnął na krześle i zasnął. Potem to się okazało, że w nocy nie zmrugał oka. On i inni ekolodzy pojechali na akcję uwalniania małp. Byli nawet nieźle przygotowani, mieli ze sobą środki do uspokajania zwierząt i niewielkie klatki —

niewielkie, bo spodziewali się małpek z gatunku rezus. Dopiero na miejscu stwierdzili, że nie ma tam żadnych małych małpek, jest za to świnia, cztery orangutany i jeden otwarty kot. „Trudno — powiedzieli sobie ekolodzy — przecież nie możemy ich tak zostawić”. No i przewozili tę całą menażerię niemal do rana. Kot oddał ducha jeszcze w samochodzie. Dwie z czterech małp po odłączeniu od aparatury zapadły w śpiączkę, a reszta była w takim szoku, że zaatakowała ekologów; jednego to nawet pogryzły do krwi. Najlepiej wyszła na tym wszystkim świnia: koniec końców zamieszkała z Erwinem. W bloku z nim zamieszkała. Czasami ich odwiedzam.

No a jak zasnął, zostałam sama z tym trupem. Wcześniej Erwin zrobił wszystko jak trzeba: zdezynfekował ciało, przełamał stężenie pośmiertne — masował i uciskał mięśnie, które, przez to, że pozostawały w permanentnym skurczu, mogłyby zwiększać ciśnienie w arteriach — potem w poszukiwaniu tętnicy obmacał szyję z prawej strony, a jak już ją znalazł, zrobił niewielkie podłużne nacięcie. I nic. Znaczący zero krwi. Przynajmniej na razie.

Efekt balsamacji wygląda ładnie, ale nie sam zabieg. Dużo później jeden lekarz powiedział mi, że widział to raz w życiu i że dziękuje, to mu wystarczy. Jest przy tym dużo krwi, całkiem jak w rzeźni, i jeśli ktoś nie lubi jej widoku, może się nieźle przestraszyć.

W zakładzie pogrzebowym przydaje się znajomość anatomii, a jeśli akurat ma się z tym problem, zawsze można skorzystać ze ściagi, czyli z tablicy o wymiarach jeden na jeden, na której rozrysowano rozmieszczenie poszczególnych narządów i głównych naczyń. Ktoś przezorny zawiesił ją u nas w zakładzie na jednej ze ścian. Chyba dla mnie ją zawiesił, bo Erwinowi z pewnością nie była potrzebna.

U mężczyzn szuka się tętnicy szyjnej, u kobiet i dzieci lepiej sprawdza się tętnica udowa. Wyciąga się ją na zewnątrz specjalnym instrumentem, który wygląda jak szydełko z płaską rączką. W niektórych przypadkach trzeba się wcześniej sporo nagłowić, jak uszczelnić rozerwane naczynia i wpompować płyny w martwe ciało; Erwin nazywał to „łataniami” i używał do tego cienkich gumowych rurek. Żeby wprawić krew w ruch, potrzebowaliśmy pompy; w chwili śmierci serce przestaje działać, więc trzeba je było czymś zastąpić.

Instrumenty, których używaliśmy, przypominały srebrne sztucce ułożone równiuseńko jeden przy drugim, jak w ekskluzywnej restauracji. Były tam kaniule w różnych rozmiarach, para małych pincet, dwa szydełka, czyli haki do naczyń, kleszcze zaciskowe, nożyczki i skalpel, zakrzywiona igła do szycia, trokar (trochę jak śrubokręt i srebrny krzyż w jednym). I lśniło to wszystko pięknie, i mieniło się w słońcu, wypełniając przygotowaną feerią migotliwych błysków.

Tętnica wyglądała, jakby była z gumy. Erwin raz-dwa ją przeciął i do jednego jej końca podłączył wąż biegnący od pompy, przypominało to kroplówkę. Ten wąż — właściwie to mógłby być wąż ogrodowy, tylko końcówkę miał metalową, taką, jak do nadmuchiwanie piłki czy materaca — zahaczało się o duży palec u lewej nogi trupa, żeby się nie majtał. Za pomocą małych kleszczy zaciskało się górną część tętnicy, blokując przepływ. Kaniule podwiązywało się do naczyń ligaturą. Podobnie szykowało się żyłę i kiedy maszyna poszła w ruch, krew, wypierana przez wpompowywany płyn, wylewała się na zewnątrz: płynęła rurką prosto do zlewu. Jakbyśmy wykrwawiali prosiaka — tak było. No to papa, świnko!

Tego dnia Erwin kazał mi dalej masować ciało (bo owszem, aby płyn rozchodził się równomiernie, trzeba było robić trupowi masaż), a sam przycupnął na krześle i zasnął. „Dobra, rudzielec, damy sobie radę! — przeszło mi przez głowę. — Niech on sobie śpi, a my tu, rachciach, uwiniemy się ze wszystkim, a jak się obudzi, to strasznie się zdziwi”.

Z początku szło dobrze: konserwujące płyny rozchodziły się po ciele, stopniowo nasączały tkanki. W miarę jak ubywało krwi, zniknęły zasinienia, przebarwienia i plamy opadowe; skóra stawała się na powrót natłuszczona i elastyczna, słowem wracał jej naturalny wygląd, a ciało

odzyskiwało właściwy obrys. Ten punkt programu kojarzył mi się z pompowaniem materaca. Z kolei widok krwi wylewanej do umywalki miał w sobie coś smutnego. Nawet bardzo. No jehowi to by na to nie poszli. Ani Żydzi — ci uważali, że „Nefesz ciała mieszka we krwi jego”; ten cały *nefes* to była dusza; no więc przy balsamacji spuszczało się ją prosto do ścieków.

Jedno trzeba nam przyznać: to było coś więcej niż mumie Egipcjan i ich balsamowanie (z tym to akurat nie mieliśmy nic wspólnego — u nas, poza przypadkami ciał po sekcji, nie wyjmowało się z nikogo flaków, a już na pewno nie wydłubywało się mózgu przez dziurki w nosie), więcej niż Eva Peron i wstrzyknięta w nią parafina, ba, więcej niż relikwija ojca Pio, czyli cud formaliny. Sam Salafii by się nie powstydział. Nasze chemikalia przez zabicie bakterii i denaturację białek zatrzymywały procesy gnilne, a muchy to nie chciały na takim ciecie nawet siadać.

„Żadnych larw, żadnych larw” — o tym właśnie myślałam, kiedy masowałam trupa, a masując, nuciłam sobie, a co tam, ale po cichutku, żeby nikogo nie obudzić: ani śpiącego Erwina, ani rudego Łazarza, który też zaczął wyglądać, jakby spał; odmłodził, ciało odzyskało naturalny obrys, skóra nabrała rumieńców, nie była już pomarszczona i podobna do papieru. Bo wcześniej Łazarz wyglądał jak zwiędnięta marchewka.

Ciekawiło mnie, czy tam, na dole, też jest marchewkowy; nie mogłam tego widzieć, ponieważ miejsca intymne przykrywaliśmy ręcznikiem, zgodnie z zasadą, żeby w trakcie zabiegu okazywać szacunek zmarłym. Z tego samego powodu nigdy nie używaliśmy ciał w charakterze stołów — nie kładliśmy na nich narzędzi, mimo pokusy.

Właśnie obejrzałam sobie dłonie Łazarza — stały się na powrót mięsiste i miękkie — i ułożyłam je skrzyżowane na jego piersiach, kiedy zabrakło w pompie płynu. „Nie martw się, Łazarzu, przecież tak cię nie zostawię!”. Zaraz zabrałam się za sporządzanie własnej mieszanki.

Okropnie podobały mi się te wszystkie buteleczki z płynami w różnych kolorach: od żółtego, przez rozmaite odcienie fioletu; był płyn różowy i brzoskwiniowy, i nawet winogronowa czerwień. Chwytałam, co tam było po ręką, i mieszałam ze sobą w mieszającej maszynie, czyli w czymś w rodzaju miksera połączonego z pompą, całkiem jakbym chciała, żeby Łazarz zagrał w totka. I żeby wygrał. „Uwaga, maszyna losująca, start!”. Włączyłam, co trzeba, no i się zaczęło. „Trzymaj się, Łazarzu!”.

Było jasne jak słońce, że coś spałam. Skóra, która przedtem była naturalnie jasna — jak to u rudych — robiła się coraz ciemniejsza. „Może — powiedziałam sobie — trzeba to puścić w drugą stronę?”. Pamiętałam, że na koniec, jak zostawało mniej więcej dwadzieścia procent płynu, Erwin podłączał cały sprzęt do drugiego końca tętnicy, tego, na którym teraz zaciskały się kleszcze. Tak też zrobiłam. Nie było to łatwe i wcale nie pomogło. Zapomniałam, że trzeba zmniejszyć ciśnienie (płyn miał do przebycia o wiele krótszą drogę), i jak tylko włączyłam pompę, ciśnienie wypchnęło oczy na wierzch. *Pop-off*, wystrzeliły te oczy, no może nie jak pusta kukurydza albo korek z butelki, ale jednak. „Och, mój ty biedny Łazarzu! Idzie mi z tobą o niebo gorzej niż Jezusowi” — przeszło mi przez głowę.

I wtedy właśnie wpadłam na najgorszy możliwy pomysł: zacisnęłam kleszcze na tym końcu żyły, który dotychczas wisiał sobie luzem (potem to się okazało, że pod żadnym pozorem nie można tego robić). W mgnieniu oka Łazarz zaczął puchnąć. „No, świnko, tak być nie może — powiedziałam sobie. — Zaraz zrobimy z tobą porządek!”. I już, już chwytałam za trokar, żeby, tak jak zwykł robić to Erwin, przeprowadzić gruntowne czyszczenie: wbić wydrażoną igłę mniej więcej pięć centymetrów nad pępkiem, mniej więcej pięć centymetrów z prawej strony, podłączyć trokar do aspiratora i oczyścić narządy wewnętrzne z płynów, które mogłyby potem, w trakcie pogrzebu, wyciekać przez oczy i nos, a tego przecież byśmy nie chcieli. Właśnie dlatego należało starannie odessać zawartość żołądka, trzustki, jelit, pęcherza moczowego

i macicy. Znaczący macicy to Łazarz akurat nie miał, ale cała reszta się zgadzała. Czyli że co? Zaczynamy?

Ale nie zaczęliśmy, bo obudził się Erwin i zaraz zaczął krzyczeć. Rety, rety, że zabiłam Łazarza i inne takie. Oczywiście, wcale nie mówił „Łazarz”, ale przecież to o niego mu chodziło. A ja stałam tam z tym nieszczęsnym trokarem w ręku i wyglądałam bardzo głupio. Nie chciało mi się nawet płakać.

Potem to się okazało, że użyłam złych płynów — zamiast tych do jasnej karnacji — w dodatku zapomniałam rozcieńczyć ich w wodzie i właśnie dlatego Łazarz wyglądał jak indyk z solarium.

Biedny Erwin, musiał wszystko po mnie poprawiać i nawet dobrze mu to wyszło. Spuścił z trupa moją wybuchową mieszaninę, przepłukał i zaczął od nowa, a jak już skończył, zawiązał żyły i tętnice. Nacięcie na skórze zaszył zakrzywioną igłą; użył też uszczelniającego proszku, na wypadek wycieków. Jak już odessał ze środka trokarem, co tam było do odessania, zrobił coś odwrotnego: tym samym trokarem wprowadzał do narządów formalinę (płyn z pompy tu nie dochodził). Ten cały trokar zostawiał dziurkę w brzuchu zmarłych, taki drugi pępek. Zaślepiąło się go zaślepką i grzebaliśmy ich takich zaślepionych. A oczy ulepił Erwin Łazarzowi nowe, z waty.

Na koniec, żeby naprawić wygląd dłoni, wstrzyknął płyn bezpośrednio pod skórę. Potem przysłała Lena „Pstryk-Pstryk”, dała na to makijaż i nie było nawet tak źle.

Właściwie mogło być gorzej: niedoświadczonym tanatopraktorom zdarzało się zbyt mocno wysuszyć trupa. Dochodziło wówczas do strupienia i nie dawało się tego cofnąć. Ale Erwin i tak się gniewał, i byłam pewna, że lada moment naskarzy na mnie właścicielom podobnym do Niemców i wylecę z pracy jak z procy, może nawet szybciej.

A teraz drugie zdarzenie, które — choć odrażające, makabryczne i w ogóle że ach! — aż wstyd przyznać, wyszło mi na dobre.

— Ktoś próbował wypieprzyć nam ciało — tymi słowami powitał mnie Erwin następnego dnia, jak tylko przyszłam.

No i nie kłamał. Ktoś buszował z ciałem. Zaraz, zaraz, ale z jakim ciałem? Z moim Łazarzem?! „Oj, bardzo nieładnie” — pomyślałam i wszyscy chodziliśmy na palcach, a Bazyl to taki był zgorszony, że aż trząsał się ze złości. Nawet Lena „Pstryk-Pstryk” była taka jakaś niewyraźna i bardzo milcząca, całkiem jak nie ona. Oj, coś za bardzo była milcząca.

I wtedy coś mi się przypomniało: wieczorem, zanim wyszłam, zdawało mi się, że kątem oka widzę Lenę bujającą się na stole w przygotowalni. W jedną i w drugą, w jedną i w drugą — tak się bujała. Została po godzinach, żeby do końca naprawić Łazarza, którego ja tak niecznie zepsułam, więc przepelniona wdzięcznością do niej pomyślałam, że to całe bujanie to tylko przywidzenie spowodowane nadmiarem wrażeń.

Teraz to Łazarz był naprawdę biedny, taki pobrudzony, z kończynami rozrzuconymi na boki w ich permanentnej nieruchomości (zaraz po balsamacji ciało zaczyna sztywnieć), z wielgachnym penisem, jądrami jak piłki (u balsamowanych mężczyzn powiększają się genitalia, i to jeszcze jak!), do tego z wygolonym krocem. Nie powiem, zwłaszcza ta łysa plama między nogami wprawiła mnie w osłupienie, bo normalnie mężczyźni mieli w tym miejscu dżunglę.

— No i kto to zrobił? — denerwował się Erwin, krusząc przy tym chleb, którym w domu zamierzał poczęstować porwaną świnię. Znaczący uwolnioną.

„Ja wiem, ja wiem!” — wszystko we mnie chciało krzyczeć, ale kierowana bliżej nieokreśloną przezornością siedziałam cicho. Zresztą nie miałam dowodów.

A potem Erwin, który z tego wszystkiego zapomniał, że się na mnie gniewa, zdecydował:

— Nikomu ani słowa. Udamy, że nic się nie stało. Musimy trzymać się razem.

No i mnie nie wyrzucili.

Ostatnio, kiedy Lena przywiozła do mnie na wieś Małą, przypomniała sobie o Łazarzu.

— Ale była heca, jak przypiekleś tego ryżego, no prawda? — Trzęsła się ze śmiechu, aż Mała podskakiwała na jej kolanach. — Pamiętasz? Omal mnie wtedy nie przyłapali, jak z nim buszowałam w przygotowaniu.

W jakiś czas później igraszki Leny wyszły na jaw, ale wtedy, przynajmniej przez chwilę, mieliśmy trochę spokoju, a raczej oni mieli trochę spokoju, bo ze mną było coraz gorzej. Świat usuwał się spod moich nóg jak krawędź lodowca, zupełnie jakbym była alpinistą wysoko w górach, którego zawiodła lina i można było już tylko patrzeć jak spada, ergo nic nie było można.

— Nie miałaś pojęcia, dokąd zmierzasz, cipcia. Zupełnie nie radziłaś sobie z życiem.

I pomyślałam, że lubię, kiedy kończy się lato; gęsi odlatują tym swoim ażurowym kluczem i wszystko nas zostawia.

A Lena długo jeszcze mówiła o tym, co wydarzyło się potem i że nikt nie mógł tego powstrzymać. Ja nie mogłam tego powstrzymać. Ale nie wierzcie jej. Mogłam.

18. Wypychanie zwierząt domowych

— Nieprawda, nie umarł — powiedziała matka, kiedy ubierałam ją na pogrzeb.

— Widziałam wiele trupów, ale on nie był trupem.

Matka nie miała racji — ojciec był więcej niż martwy. O jego śmierci dowiedziałam się, jak wszyscy, po czasie. Tego dnia robiłam pranie. Wywiesiłam na balkonie bordowe majtki i stanik z satyny w kolorze czerwonego wina, wtedy jaskółki spadły z nieba, a potem spadł deszcz i nic mi nie wyszło. Po drugiej stronie ulicy zatrzymała się kanarkowa taksówka. Powoli zaczęła się z niej gramolić rachityczna kobieta. Przypominała pajaka o długich, chudych odnóżach, próbującego wydostać się z pudełka zapalek: najpierw szeroko rozstawione nogi, jedna po drugiej, potem mała głowa; wyglądało to naprawdę zabawnie.

„Zaraz, zaraz — powiedziałam sobie — przecież to sąsiadka mojej matki, ta z Chrystusem w sercu”. No to ja już wiedziałam, że moja piękna matka coś zmalowała. I mogłabym udawać, że wcale mnie nie ma — ani w domu, ani nigdzie — ale sąsiadka, niech szlag ją trafi, była cwana, jak żyję, nie dałaby się na to nabrać. Przez chwilę z gracją godną cyrkówki balansowała na krawędzi chodnika, próbując otworzyć parasol, ale był zepsuty, więc ostatecznie położyła sobie na głowie tę nieszczęsną parasolkę w wersji szary, wiotki przedmiot przypominający martwego gołębia, a potem, mrużąc oczy, rozpoznała mnie w dziewczynie na balkonie najwyższego piętra — wzrok to ta jędrza miała niezły — i wrzasnęła tak głośno, że musieli ją słyszeć w całej kamienicy.

— Dziecko, przywożę nowiny! Mamusia zwariowała! Tatuś nie żyje!

Fakt, dobrą córką to ja nie byłam. Prawdę mówiąc, byłam córką fatalną. Gdyby to była praca, dawno powinni mnie zwolnić. Nie widziałam rodziców od kilku miesięcy i jakoś mi ich nie brakowało. Wiem, to nie do końca ładnie z mojej strony. Pewnie wolelibyście usłyszeć coś innego, ale mówię jak było, a było właśnie tak, i tak jest, i tak będzie, i nikt, i nic już tego nie zmieni.

I kiedy sąsiadka wspinała się po schodach — a może, zwyczajem wiedźm, frunęła nad poręczą, kto ją tam wie — myślałam o tym, że oto wszystko się dopełniło i ojciec zniknął. Znaczący na dobre, bo zniknął od dawna — kurczył się w sobie, chudł i mizerniał. Mięsożerny Bóg już czekał, ten który nie zna litości, pochłonie wszystko i wszystkich, mnie też.

Tatuś od dłuższego czasu nie wyglądał dobrze; przypominał kunsztowny bibelocik, z którym trzeba się obchodzić nader ostrożnie. Jego skóra, choć pomarszczona, była delikatniejsza niż

woda albo płatki kwiatów, powiedzmy tulipanów. Mogłam się o tym przekonać, ilekroć go całowałam: raz na powitanie i drugi raz, na pożegnanie, a on łaskawie nadstawiał policzek — tak to już jest w miłości.

— Tłuściochu, tłuścioszku, truskaweczko, turkawko. — Pamiętam, jak podczas mojej ostatniej wizyty u rodziców matka gdakała w nieskończoność, szczęśliwa, że wreszcie ma go dla siebie, a on w odpowiedzi uśmiechał się dziecięcym, bezmyślnym uśmiechem. Taki uśmiech widziałam wczoraj u Małej: coś niesamowitego, trochę wodospad, a trochę wschód słońca, jeden z tych osobliwych podarunków, które po prostu istnieją i nie są przeznaczone ani dla mnie, ani dla was, ani dla nikogo.

Nikomu nie byłam potrzebna, a już na pewno nie rodzicom. Wtedy, podczas mojej ostatniej wizyty, czułam, że im przeszkadzam, jak zwykle. Najchętniej schowałabym się do szafy. No to przestałam ich odwiedzać. Dopiero po czasie miało się okazać, jak wiele przez to straciłam. Tymczasem minęła zima i wiosna eksplodowała liśćmi, ptakami i burzami też.

— To wszystko jedna wielka anomalia. Jak nic zbliża się koniec świata. Najpierw fala nieznośnych upałów, a teraz deszcze i pioruny — szczebiotała ta od Chrystusa.

Zdążyła wejść po schodach — albo wfrnąć nad poręczą, kto ją tam wie — i właśnie rozstawiała w przedpokoju ociekający wodą parasol.

Sąsiadka zawsze była stara, ale teraz tłuszcz, który dawniej tworzył na jej policzkach poduszcзки jarmowe, po prostu spłynął w dół, upodabniając jej twarz do mordy buldoga. Nie rozstawiała się z różańcem; srebrny Chrystusik huśtał się na nim we wszystkie strony, fikając koziołki. Mała, lśniąca świnka.

Przeszliśmy do pokoju i usiadliśmy naprzeciw siebie. Nie mogłam nie zauważyć, że w beżowych rajstopach na prawej nodze sąsiadki leci oczko; wpatrywało się we mnie natrętnie.

— Śmierdziało, owieczko, okropnie śmierdziało. Coś jak wielka kupa. Wszyscy szanują twoją matkę, więc nikt nic nie mówił. Jedni podejrzewali, że to popsuta lodówka, inni, że pęknięta rura. Jak pomyśle, że on przez cały czas tam leżał...

Dopóki moja piękna matka wychodziła z mieszkania, pokazywała się tu i tam, rozdawała na prawo i lewo uspokajające uśmiechy, nikt nie robił z tego sprawy. A potem przestała wychodzić. Ale śmierdziec nie przestało. „Dosyć!” — powiedzieli sąsiedzi i oto właśnie tego dnia wyważono drzwi, i policjanci w asyście komitetu sąsiedzkiego rozsypali się po sypialni jak sto czarnych perełek. Bo nie gdzie indziej, tylko w sypialni leżało na łóżku coś, co zalaływało gorzej niż zepsute mięso — mój tatuś.

Nie było go tak znowu wiele. Owinięte bandażami ciało przypominało larwę w kokonie, która być może zdołałaby się w coś przepoczwaczyć, na przykład w motylka *aglais urticae*, gdyby zostawiono ją w spokoju. Obok mumii, obejmując trupa, leżała wariatka — moja piękna matka. Kiedy sanitariusze próbowali przełożyć ją na nosze, rzuciła się na nich z nożem. Koniec końców matkę ubrano w śliczny biały kaftanik i zawieziono do wariatkowa.

— A twój tatuś, owieczko, nadal tam leży. Jakoś nikt nie chciał go zabrać.

Ta od Chrystusa mówiła dalej. To było chyba coś o moich obowiązkach wobec rodziny i Boga, i wobec wspólnoty mieszkańców, krótko mówiąc, że spoczywa na mnie nie byle jaka odpowiedzialność, ale nie słuchałam. Patrzyłam na strugi deszczu na szybie, na moknące na balkonie pranie. „Jak dobrze, że pada — pomyślałam. — Niebo płacze, jak to dobrze, skoro ja nie mogę płakać”.

Mój Boże, ile ja się wtedy namęczyłam z moją piękną matką. Bo matka nie wierzyła, że ojciec umarł. Twierdziła, że zasnął przed kilkoma tygodniami, zasnął kataleptycznym snem, ale nawet kiedy tak sobie spał w najlepsze (znaczy kiedy w najlepsze sobie nie żył), bez przerwy do niej mówił. Ubzdurała sobie w swojej małej głowie, że tatuś, mimo wieku i choroby, stanowi

obiekt pożądania wszystkich znanych i nieznanym jej kobiet. Była pewna, że sąsiadki zżera zazdrość, dlatego naświetlały ich przez ściany niewidzialnymi promieniami.

— Zawistne stare jędze chciały nas zabić — opowiadała już w szpitalu. — Od tego można umrzeć na amen.

Ale wtedy, w ciągu owych makabrycznych tygodni, nie powiedziała o tym nikomu, nawet mi. Ilekroć przychodziło jej do małej głowy, że ojciec naprawdę mógł umrzeć, kładła się obok niego na łóżku, przemawiała czule do trupa, głaskała, całowała po twarzy. W nocy zdawało jej się, że słyszy jego oddech, miarowe bicie serca. Dotykała palcami miękkiego ciała, czuła bijące od niego ciepło. I to ją uspokajało. A za dnia nacierała tatusia olejem i sokiem z cytrusów (wierzyła, że odżywia się przez skórę, jak jakiś superbohater). Wietrzyła pokój, sprzątała mieszkanie. Raz na tydzień wychodziła z domu — kupowała świece, lepy na muchy, zapachowe choinki, kwiaty. I pomarańcze kupowała. Kilogramami.

A później w ogóle przestała wychodzić. Wszystko przez spiskowców, którzy przypuścili szturm, jak tylko spuściła trupa z oczu. „No co oni zrobili z tatusiem, ci cholerni bandyci?! Napompowali go jak balon, przemalowali — najpierw na niebiesko, potem na czarno — wylupili oczy, polewali żrącymi płynami, aż skóra zaczęła pękać, a prześcieradło i poduszki zalatywać czymś kwaśnym”. Ale nawet wtedy moja piękna matka nie dała za wygraną. Domowymi sposobami naprawiła tatusia: puste oczodoły zalepiła plastrem, w popękana skórę wtarła wazelinę, ciało ciasno owinęła bandażami — i był prawie jak nowy. A potem to już czuwała przy nim w dzień i w nocy, w dzień i w nocy. I modliła się. Serio. Żeby nie umarł.

Ale to wszystko wyjaśniło się dużo, dużo później.

Deszcz przestał padać i właśnie wtedy powinny zacząć płakać — ślicznie i rzewnie, jak tego ode mnie oczekiwano — ale nie zaczęłam. Sąsiadka uznała, że jak tak, to trudno, zrobiła, co do niej należało, i może zostawić mnie samą. Została mi po niej kałuża brudnej wody w przedpokoju — za duża, żeby ją zignorować, za mała, żeby się w tym utopić.

„Trzeba coś zrobić z ojcem” — pomyślałam i zadzwoniłam do Erwina. Wiedziałam, że w takich przypadkach można na niego liczyć. Nieraz dostawał telefon, że jest ciało, które leży w domu od miesiąca, i nikt nie jest w stanie tam wejść; on wchodził i robił swoje. Umówiliśmy się na miejscu.

Miasto — po gwałtownym deszczu — było sparaliżowane, wyglądało jak pejzaż po końcu świata. Kiedy dotarłam do domu matki, nie czułam smutku ani żalu, czułam tylko smród. Śmierdziało już na klatce, ale w mieszkaniu było o wiele gorzej. W sypialni, na widok ojca, zrobiło mi się niedobrze. Chciałabym opowiedzieć to jakoś inaczej, że byłam dzielna i w ogóle, ale — nic na to nie poradzę — było właśnie tak.

Spodziewałam się tłumy żadnych sensacji gapiów, ale smród skutecznie wszystkich odstraszył. Nawet policjantów wykurzył: wszyscy uciekali byle dalej stąd.

Mieszkanie udekorowano jak na ślub albo pogrzeb. Obok łóżka stał tuzin wazonów ze zwiędłymi kwiatami. Na komodzie tliły się aromatyzujące świece; jakoś nikt ich nie zgasił, za to ktoś przytomny otworzył okna na oścież. Na firankach i zasłonach falowało na wietrze kilkadziesiąt zapachowych choinek, udając drzewa, cały las. A na łóżku leżała sobie biała larwa — ojciec.

— Jesteś blada jak trup i trzęsą ci się dłonie. Poczekaj na zewnątrz — powiedział Erwin, który właśnie przyjechał. — Zmykaj. Nic tu po tobie.

Co to, to nie. Nie zdradzę tatusia! A że dla Erwina byłam bezużyteczna, to fakt.

No to poszłam do tatusiowego pokoju i przez kwadrans przeglądałam rzeczy, które dopiero co należały do niego, a teraz to do nikogo już nie należały; sprawiały przygnębiające wrażenie. Na oparciu krzesła wisiła koszula. Miała jeszcze jego zapach, ale ten ładny, z czasów, gdy żył.

I kiedy tak siedziałam na łóżku, które dopiero co było łóżkiem ojca i może nawet wcale nie wiedziało, że już nim nie jest, bo raz po raz wydawało z siebie to samo charakterystyczne skrzypienie, no więc kiedy siedziałam tam z twarzą wtuloną w brudną koszulę, zrobiło mi się bardzo smutno.

„Więc to już koniec? — pomyślałam. — Jak to możliwe, że rzeczy zostają na swoich miejscach i czy czują się porzucone, te nasze rzeczy, bez nas? I czy ktokolwiek zdołałby je pocieszyć, bo na pewno nie ja.

Kiedys nie było tego pokoju — w tym miejscu była puszcza albo morze, albo lodowiec ze swoim wielkim białym jęzorem — i kiedyś go nie będzie. Tego bloku, ulicy, miasta. Za sto lat albo za tysiąc wszystko obróci się w proch. Przez wojny, epidemie, potop, uderzenie meteorytu — wszystko obróci się w proch i kto by poznał, że w ogóle było?”. Tak sobie myślałam, bo było mi smutno, ale płakać nie zaczęłam.

A potem przypomniałam sobie o ptakach. Czytałam o nich w porannej gazecie. W pewnym włoskim mieście, ot tak, tysiące ptaków frunęło z nieba ulewnym deszczem. Pomyślałam o kawkach (to zdaje się były kawki), o ulicach i trotuarach zasypanych ciałami martwych zwierząt i że ja żyję, ale nie wiem dlaczego.

Właśnie wtedy zjrzał do mnie Erwin i przypomniał mi o ubraniu do trumny. Drogi, dobry Erwin, pamiętał o wszystkim! W mojej ukochanej szafie znalazłam paradny garnitur ojca, z latami na łokciach, ten, w którym niczym akwizytor pojawił się pewnej zimy przed naszymi drzwiami; pomyślałam, że będzie idealny. W kieszeni marynarki natknęłam się na porcelanową świnkę, jedną z tych, które latami wysyłałam ojcu na urodziny. Widocznie nosił ją zawsze przy sobie i tym cudownym zrzędzeniem ona jedna ocalała z holocaustu świnek. Jak pamiętacie, ostateczne rozwiązanie kwestii świńskiej przeprowadził Obersturmführer SS, moja matka, wpadłszy w furję po tym, jak ojciec od niej uciekł.

Matka często wpadała w furję.

— Nie spieszyłaś się, córca — powiedziała następnego dnia, kiedy przyjechałam po nią do szpitala; była zła, że musiała spędzić tam całutką noc. — Bardzo możliwe, że przez twoje lenistwo tatuś nie żyje, bo powiedzieli mi właśnie, że umarł. A jeszcze wczoraj miał się całkiem dobrze. Dziecko, zabiłaś własnego ojca, i jak ty z tym będziesz żyć?

A jak dowiedziała się, w co zamierzam ubrać ojca do trumny — rety, to się dopiero działo! Jej zdaniem trup powinien być elegancki. Długo musiałam jej tłumaczyć, że owszem, tak było dawniej, ale dzisiaj ludzie wolą ubierać zmarłych w T-shirty i dzinsy, bluzy z kapturem, nawet dresy. Dla kobiet były balowe sukienki albo ślubne, z białym welonem, a jedną pochowaliśmy w jej ulubionym szlafroku, różowym i w misie.

Chociaż, za radą Bazyla, trzymałam się z daleka od dzieci, wiedziałam, że dla chłopców przynoszono piłkarskie stroje i było ich tak wielu, jakby Bóg organizował mistrzostwa świata w piłce nożnej pod ziemią. Dziewczynki chowano w kostiumach baletnic; frunęły do grobów małe, białe ptaszki, wszystkie śliczne jak moja Kasia. Albo taki obrazek: w komunijnych sukienkach małe dziewczynki w małych trumienkach.

Jakie czasy, takie obyczaje. Mimo to matka miała mi za złe. Niełatwo było ją do czegoś przekonać. Wypisać ją ze szpitala też nie było łatwo.

— Robi to pani na własną odpowiedzialność. — Przy tej okazji mój stary ordynator groził mi palcem; myślałam, że lada moment wsadzi mi go w oko. Jedno jest pewne: nie tęsknili za mną tam, w tym szpitalu. — Myśleliśmy, że to zabójstwo, ale, jaka szkoda, wszystko wskazuje na przyczyny naturalne. Swoją drogą, pani matkę i tak powinno się sądzić: za nieudzielenie pierwszej pomocy. Teraz już wiadomo, w kogo się pani wdała.

A matka chciała jak najszybciej wrócić do ojca, żeby wszystkiego dopilnować; bała się, że

inaczej mógłby zostać pogrzebany żywcem przez ich wspólnych wrogów.

— To zupełna wariatka — skarżył się ordynator-idiota. — Uważa, że wszyscy przeciwko niej spiskujemy. Cały personel.

Z tym to akurat miała rację: jak ich znam, to na pewno spiskowali.

O dziwo, po nocy spędzonej w szpitalu matka była jak nowa. Z wielką werwą zabrała się do rzeczy: dzwoniła, gdzie trzeba, i z radością zapraszała gości, jakby czekał nas nie pogrzeb, tylko garden party. A czekał nas jednak pogrzeb, w dodatku miał się odbyć w ekspresowym tempie. Niektórzy krewni zarzucali nam nawet, że próbowaliśmy — jak to ujęli — „uciec z trupem na cmentarz”, ale wystarczyło raz spojrzeć na tatusia, żeby przestać nam się dziwić.

Erwin i ja mieliśmy masę pracy; niemal nie wychodziliśmy z kostnicy. Rozkład był tak zaawansowany, że przy odwijaniu bandaży odpadały fragmenty skóry i mięśni, pokryte grubą warstwą wazeliny. Nie było skąd i czego przeszczepić, a w ogóle to tam, pod tymi bandażami, tatuś był chudy jak szpilka. W dodatku cały się ruszał.

— Larwami się nie przejmuj — pocieszał mnie Erwin. — Zjedzą każdego. Wyjątkiem jest balsamacja, a tak to muchy zawsze zdążą złożyć jaja. Potem, w grobie, wykluwają się larwy, po nich przychodzi czas na mięsożerne chrząszcze, a później roztocza.

Tatuś był na etapie larw. Najwięcej miał ich w pępku. Wyglądały jak ruszające się ziarenka ryżu. Jeśli zbliżyło się twarz do trupa — lepiej tego nie róbcie — można było usłyszeć jak jedzą; brzmiało to, jakby ktoś chrupał płatki śniadaniowe, chrup, chrup. Entomolodzy nie lubią muszych larw, nazywają je małymi kurwami; wcześniej nie rozumiałam, dlaczego tak mówią, ale teraz, patrząc na ruszającego się trupa, skłonna byłam przyznać im rację. No to Erwin ulepił mi nowego tatusia, bo przez te małe kurwy, przez upał i przez moją piękną matkę ten był już całkiem do niczego.

Nie takie cuda umiał robić Erwin. Znał się na topielcach i pogorzelnach. Łatał ludzi, do których dobrały się szczury. A kiedy robił rekonstrukcje kończyn, miałam wrażenie, że pracujemy w rzeźni: wszędzie było pełno mięsa. Erwin wkładał w to mięso specjalny pręt (czasem biały, a czasem niebieski), formował kształt takiej na przykład nogi kulkami z ligniny, a potem ślicznie wszystko zszywał. Co prawda zrekonstruowany zmarły wyglądał po tym jak szmaciana lalka wypchana trocinami, ale lepsza taka noga niż żadna.

Erwin nie zwracał uwagi na smród i larwy; uwijał się przy tatusiu jak pszczołka. Zeszła nam na tym calutka noc, a tatuś ciągle nie był gotowy.

Nad ranem usłyszałam hałas z korytarza; wyjrzałam, żeby zobaczyć, kogo tu do nas niesie. A, to Ivo, przyjaciel Erwina. Na powitanie błysnął mi w oczy białą zębów; można było od tego oślepnąć.

Ivo pracował w zakładzie medycyny sądowej. Poznałam go przy ekshumacji zwłok. Znaczy przy ciastusiu. A ten cały ciastuś to też nie był piękny widok: w trzy miesiące po pogrzebie wykopane ciało było cuchnącą, ciastowatą breją, na której żerowały owady. Chyba właśnie dlatego Ivo miał mi się już zawsze kojarzyć z trupami, zgniłkami i robakami też.

No więc wtedy, przy tamtej ekshumacji, nie było rady: trzeba było zabrać ciastusia do kostnicy, razem z tym całym kramem — z obawy przed zafałszowaniem wyników badań toksykologicznych nie mogliśmy użyć środka owadobójczego — i potem chrząszcze uciekały z sekcyjnego stołu. Ganiałyśmy je z Bazylem po całym zakładzie. W sumie zbieraliśmy dwie reklamówki wszelkiego dobra, takiego w chitynowych pancerzach i takiego bez. Wcześniej nie wiedziałam, że jest tyle rodzajów robactwa. Tyle rodzajów śmierci.

— Chujnia z grzybnią! Jesteśmy tylko oczkiem w łańcuchu pokarmowym — powiedział wtedy Ivo, patrząc na biegające po podłodze chrząszcze. To on nas w to wszystko wrobił, bo tego trupa powinien kroić u siebie, a nie u nas.

Za to Bazyl był wprost zachwycony. Bo Bazyl kochał robale. Godzinami mógł o nich opowiadać. Dowiedziałam się wtedy, że takie na przykład żuki grabarze to pantoflarze na całej linii. Do tego monogamiści: łączą się w pary na całe życie. Samiec po odnalezieniu padliny wydziela charakterystyczną woń i wydaje z siebie skrzypiące dźwięki przywabiające samicę. Razem zakopują zdobycz. W tym celu przyroda wyposażyła grabarza w specjalne czułki, czyli w parę wielkich czarnych szczot. Jeden owadzi duecik może w kilka godzin zakopać mysz nawet pół metra pod ziemią. W komorze z padliną samica składa jaja; potem razem z samcem karmią młode — jak ujął to Bazyl — „pyszczek w pyszczek”.

— Mrówki też są ciekawe — opowiadał, gdy Ivo z Erwinem kroili ciastusia na porcje, a ja, ukryta przed smrodem w chmurze detergentu, myłam chłodnię, komora po komorze; w niektórych miejscach zebrało się trochę krwi i trzeba było porządnie szorować. — Pamiętam, jak kiedyś mrówki rudnice chciały dostać się do mysiego truchła, konkurując o nie z grabarzem — mówił Bazyl. — Spryskiwały go kwasem mrówkowym, a on odbiegał i wracał, odbiegał i wracał, aż wreszcie dał za wygraną. A taka na przykład ćma trupia główka potrafi wydawać dźwięki, dzięki którym pszczoły z chęcią wpuszczają ją do ula: wlatuje do środka i wszystko im psuje.

Gniazdo os opisywał jako ozdobny lampion z czerpanego papieru. Z kolei larwa chrząszcza majowego przypominała mu dziecko w beciku. Ja uważałam, że jest odwrotnie; ale to było zanim poznałam Małą.

Zdaniem Bazyla nie za bardzo różniły się od robaków, a już na pewno nie różniły się od nich, jeśli chodzi o seks.

— Ile te biedne samce muszą się nastarać — tak mówił. — Te wszystkie śpiewy, tańce, prezenciki, drobne oszustwa i po co? Żeby ciut się poseksić i zostać zjedzonym?

Trutnie też giną przez seks. Te, którym udaje się w trakcie lotu godowego zapłodnić pszczele matki, umierają z wyczerpania. Całą resztę — żyjącą na rachunek roju — pszczoły robotnice usuwają z uli pod koniec lata; wypędzone trutnie giną z zimna i głodu.

— Co innego taki na przykład pan pluskwa... — opowiadał Bazyl. — O, ten to dopiero ma barbarzyńskie metody igraszek miłosnych. Nie jest wybredny, seksy, co popadnie. Jego ostry narząd kopulacyjny przebija skorupkę tego, kogo złapie, więc żaden normalny robal nie pisałby się dobrowolnie na taką zabawę.

Było jasne, kim chciałby być Bazyl, gdyby był owadem. No na pewno nie panem modliszką. Ja, ze swojej strony, opowiedziałam mu co nieco o pająkach. Wiedziałam od Agaty, że wszystko, co znajdzie się na pajęczej sieci, jest potencjalnym pożywieniem. Samczyki kanibalek, dużo mniejsze od samic, wymyślają rozmaite fortele, zanim zaryzykują znalezienie się na talerzu swojej wybranki. Tańczą na przykład i trzeba zaznaczyć, że nie są to byle jakie pąsy, tylko prawdziwy balet. Niekiedy pająk podarowuje pani pająkowej muchę w kokonie w nadziei, że samica pożre ją zamiast niego w trakcie seksualnego aktu. I Bazyl wzruszał się nad losem owych much. Bo Bazyl kochał nawet muchy.

— Gdyby nie one, infekcje położyłyby świat zwierząt na łopatki — tak wtedy powiedział, przy tym ciastusiu, i Lena, która akurat przyszła do pracy, przyznała mu rację.

Jasne, że Lena nie ganiała wtedy z nami za robakami: ona to zawsze ma szczęście!

— Co wy tu wyprawiacie, cipcia? — spytała. — Cuchnie, jakby ktoś przez cały dzień pierdział na akord.

No to pokazaliśmy jej ciastusia i te robaki w reklamówkach, i wtedy ona przypomniała sobie, że musi lecieć, bo zostawiła włączone żelazko. Ale zanim sobie poszła, opowiedziała nam co nieco o czerwioterapii. Tę niekonwencjonalną metodę leczenia stosuje się gdzieś w Stanach. Jak mówiła Lena, w tej całej zabawie najgorszy był moment, gdy po zdjęciu ostatniej

warstwy gazy oczom patrzących ukazywało się mrowie larw pełzających po różowej, czystej skórze; wcześniej była to ropiejąca rana, ale robactwo wyjadło obumarłą tkankę. Widok niezbyt przyjemny, pacjentów brało na wymioty, za to pielęgniarzka bez mrugnięcia powieką polewała ranę eterem z buteleczki i teraz można już było patrzeć, jak larwy jedna po drugiej skręcają się i spadają w opatrunek. Jeśli ktoś nie był tym wszystkim zachwycony, to właśnie czerwie. No i pacjenci. Ponoć małe, białe robaczki wywołują powszechne obrzydzenie.

Oj, wywoływały. Mogłam się o tym przekonać teraz, gdy małe kurwy pospadały z tatusia; leżały wszędzie, nawet na podłodze.

Na ich widok Ivo, który dopiero co wszedł i raz po raz posyłał mi filmowy uśmiech amanta — ten uśmiech fruwał tuż, tuż nad tatusiem-zgniłkiem — przypomniał sobie, jaką miał przeprawę z muchami jeszcze w czasach studenckich. Nie uwierzycie, jak trudno zdobyć larwy much, kiedy potrzebuje się ich do badań. A student medycyny, z którym Ivo dzielił pokój, akurat bardzo ich potrzebował. Zamówił dużą ilość larw muchy plujki — niezwykle żywotnego gatunku. Larwy przysłało mu w piątek. Beztronski student wyjechał do domu. Przez weekend larwy dojrzały i uwolniły się z puszki; w poniedziałek — kiedy wrócił — w całym akademiku roiło się od much.

A potem było już tylko o seksie, bo o tym to Ivo mógł gadać godzinami: o dupczeniu, dymaniu, posuwaniu, ruchaniu, bzykaniu — słowem o wszystkim od pasa w dół.

— Wybiorę się w weekend na dupcing. — Co w języku Iva miało znaczyć „dancing z widokami na dupczenie”. — W końcu wiosna, panie. Foczki rzuciły tony ubranek. Te dekolciki, kolanka, ramionka. Na przykład dzisiaj na poczcie: w okienku rycząca czterdziestka, ale całkiem, całkiem. Dekolt do pępka. A jakie bimbały! I stempluje, pach-pach, a bimbały, bach-bach, podskakują i tak przy każdym stemplu. Gapiliśmy się obaj, ja i jeden facet. A jemu to jeszcze było mało. Co rusz ją strofował, żeby mocniej przykładła się do pracy. O ma! Pojechałbym z nią na Hiszpana między te bimbały.

Erwin pochrząkiwał znacząco (a może chrumkał) i kończył lepić tatusia, ja nałożyłam na usta mój specjalny uśmiech numer cztery, który jest jak za mocno naciągnięta gumka i w każdej chwili może pęknąć, ale Ivo wcale nie zwracał na nas uwagi; rozkręcił się na całego. Koniecznie musiał nam opowiedzieć jak odkryto viagrę.

To miał być lek na krążenie czy serce i nawet jest, tyle że pod inną nazwą. Jak każdy lek ta mała niebieska tabletką przeszła fazę testów w laboratorium i na zwierzętach („No tylko nie na zwierzętach” — złościł się Erwin). Na koniec przyjmowali ją zdrowi ochotnicy i chorzy leczeni ambulatoryjnie. Idzie to tak: medykamenty rozdaje się z górką, chorzy zgłaszają się na kontrolę, a po skończonym cyklu badań — ten cykl może trwać nawet pół roku — to, czego nie zużyli, wraca do magazynu. Z paniami nie było żadnego problemu, ale panowie — dziwnym trafem — tym razem walczyli o swoje zapasy jak lwy.

— No i wtedy wyszło na jaw, że mała niebieska tabletką działa nie tylko na serce. Cha, cha, cha. — Śmiech Iva niósł się dźwięcznie przez całą kostnicę, a mnie się zdawało, że to dzwony dzwonią na tatusiowe zmartwychwstanie.

Za sprawą nieprzespanej nocy, Iva i z kilku jeszcze innych powodów dzień pogrzebu był dla mnie koszmarem. Ojca powieziono hen, w świat, znaczy w śmierć, czarnym luksusowym karawanem, a ja pojechałam po matkę. Jak już wiecie, marudziła trochę przy ubieraniu.

— Wcale nie był trupem — powiedziała.

Było jasne, że zaczęło jej znowu trochę odbijać.

— Zawiesiłaś się, córcia? — zapytała, a chodziło jej o to, że się zamyśliłam. — Mówię, że nie był trupem i nadal miałby się dobrze, gdyby nie była z ciebie taka leniwa kluska i gdyby ci przekłęci lekarze nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Dopóki go pilnowałam, był bezpieczny.

To one go zabiły, te stare jędze. Dobrały się do niego, kiedy mnie zabrali. Wiadomo, tylko na to czekały.

Byłam zbyt zmęczona, żeby się z nią kłócić; nawet nie miałam siły jej współczuć.

A potem był cmentarz i mały problem. Duży właściwie. Grabarze nie zdążyli wykopać grobu, nawet nie zaczęli, właśnie zdejmowali płytę z imieniem babki. Bo ojciec niczego się w życiu nie dorobił, nawet grobu i miał stać się pasażerem na gapę — trafić do głębinowego dołu i spędzić tam wieczność razem z babką. Jednego mogłam być pewna: babka nie byłaby tym wszystkim zachwycona. „Hola, hola, bestio!” — wołałaby teraz, gdyby tylko mogła, gdyby miała usta, i wszystko, ale pewnie i tak spod tej ziemi nie byłoby jej słychać. W mojej rodzinie kupno głębinowego grobu uważano za inwestycję — znacie moją matkę — i od zawsze było wiadomo, że ktoś dostanie się babce na to wspólne leżenie plackiem. Sądziłam, że to będzie matka, a nie ojciec. Ale mogło być gorzej — to mogłam być ja.

O dziwo, mimo krótkiego czasu wieść o śmierci ojca dotarła do każdego z krewnych (a słowo „krewny” pochodzi od słowa „krew”) i na pogrzeb zjechała się cała rodzina. Był nawet wujek Lolek, ten, za którego matka chciała mnie wydać w jakimś innym czasie, w jakimś innym życiu.

W trakcie nabożeństwa kursowałam pomiędzy grobem babki a kaplicą, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pot ciekł mi ciurkiem po plecach, ale nie było rady — trzeba było pilnować grabarzy; niepilnowani gotowi byli mi zniknąć i bałam się, że będę musiała sama wykopać ten grób. Za każdym razem gdy szłam sprawdzić, jak idą im postępy w pracy, zostawiałam matkę pod opieką jednej z ciotek. Owa ciotka słynęła z dziwactw; teraz też dała popis. Przyjechała na pogrzeb z psem, rudym cocker-spanielem; trzymała go na rękach, jak dziecko, i z miłością tuliła do piersi, też jak dziecko. Nie byłoby w tym może nic specjalnie dziwnego, gdyby pies był żywy.

— Nie byłam gotowa na odejście Fifi. Po prostu musiałam go wypchać — szeptała do matki w kaplicy, tyle tylko, że był to szept teatralny. — Między nami wszystko jest jak dawniej. Za dnia Fifi leży na swoim ulubionym miejscu, a w nocy śpimy razem. Nigdy się z nim nie rozstaję. Wiem, że jest szczęśliwy, uśmiech dosłownie nie schodzi mu z pyska. A oczy, kochaneczko, to nawet zrobili mu lepsze, bo niebieskie, i kiedy tak na nas patrzy, wygląda, przyznasz, przepięknie.

Fifi zwisał bezwolnie z jej ramienia; tak jak mojej matce było mu wszystko jedno.

A jak umarł mój tatuś, nie umiałam zrobić tej sztuczki z łzą w kąciuku oka. Inni też nie płakali, znaczy, że nie ja jedna się popsulałam.

Co do grabarzy, byli to dwaj młodzi chłopcy o płowych lwich grzywach i mięsistych wargach. Wyglądali jak bracia. Za którymś tam razem zastałam ich z nagimi torsami. Dobry Boże, czy ty jednak nie przesadzasz? Żeby takie oto widoki i to w dniu pogrzebu ojca!

Tego dnia Bóg, jeśli istniał, naigrawał się ze mnie na całego, a oni, ci chłopcy, nie mieli pojęcia, że rozmawiam z Bogiem, bo rozmawiałam z nim po cichutku. Siedzieli na kopcu wilgotnej czarnej ziemi, palili papierosy i wygrzewali się w słońcu. Obok nich, w trawie, leżała płyta zdjęta z grobu babki. Litery na płycie były złote i złote były lwie grzywy, a nawet słońce, złote gurami wysoko w górze, a w dole grób, jak rana. Świeża była ta rana i głęboka. Zajrzałam do środka. Byłam ciekawa, co też zostało z babki po tych wszystkich latach, w trakcie których ja zakochiwałam się i odkochiwałam, umierałam i zmartwychwstawałam na zmianę — w sumie nie robiłam nic ważnego. Wiedziałam od Erwina, że jeśli chodzi o szybkość rozkładu, nic nie jest pewne. Dużo zależy od gleby: w suchej i piaszczystej zwłoki rozkładają się wolniej; zdarza się, że po dwudziestu latach kości nadal są połączone, zachowane są chrząstki, a nawet włosy na głowie. Przy ekshumacjach nieraz wyciągano z piachu niemal nienaruszone skórzane buty i płaszcze.

— Dawniej wszystko było solidniejsze niż teraz, żadne tam *made in China* — tak powiedział mi kiedyś Erwin i chyba miał rację.

Z babką nie mogło być dobrze; jej trumna rozpadła się i zgniła. Szukałam wzrokiem żółtego Chrystusa, tego, który tańczył hula-hula w dniu jej pogrzebu. „Jest, jest!” — już miałam zawołać, ale to były tylko żółte kości babki. „Daj mi duszę, resztę zabierz” — modliła się za życia. No to teraz powinna być szczęśliwa.

— Lepiej tam nie zaglądać — powiedział lwi chłopiec. — Dokopaliśmy się ciut za głęboko, ale zaraz przysypie się z wierzchu i wszystko będzie gites.

Na razie nie było gites. Pomiedzy kośćmi wiły się robaki. Coś dla Bazyla. Białe, różowe i czarne. Te ostatnie przypominały kształtem szczypawki. Myślałam, że tak jak stoję, wpadnę tam, do tego grobu. „Zakopcie mnie, chłopcy, mam dosyć!”.

Lena opowiadała mi o amerykańskich cmentarzach — tam wiedzą, jak zrobić tak, żebyśmy się nie bali. U nich w ogóle nie widać ziemi, ani centymetra; tym sposobem nie pokazuje się żałobnikom żadnych robaków: przyszłych towarzyszy zmarłego w podróży przez wieczność. W trakcie pogrzebu dół zakrywa trumna, dookoła kładzie się zielone płótno albo trawę, ale nie tę prawdziwą, tylko sztuczną, z plastiku. Jakbyśmy wszystko mieli pod kontrolą. Nawet śmierć. Ale to nie całkiem było tak.

— Dawniej, jak likwidowało się grobek, człowiek wiedział, na czym stoi — wyjaśnił mi lwi chłopiec. — Ot, wykopywało się same gnaty. Czasem trafiła się czacha i jak była ładna pogoda, można było pograć sobie w piłę. A teraz to normalnie przejebane. Mija dziesięć lat, a truposz nawet nie nadgnął. Ma twarz i, kuźwa, wszystko normalnie, i tylko strasznie się krzywi, jakby miał wieczną sraczkę.

— To przez chemiczne żarcie — wtrącił drugi brat, bo jak nic musieli być braćmi.

Przez to całe kursowanie tam i z powrotem omal nie przegapiłam momentu, kiedy matka, jak przystało na profesjonalną wdowę, rzuciła się na trumnę i zaczęła okładać ją pięściami. Jakby nie wiedziała, że nie ma sensu pukać — nikt jej nie otworzy. Bo ojca wystawiono w kaplicy w zamkniętej trumnie. To nie miało być tak, ale kiedy ja pilnowałam grabarzy, ktoś przezorny zanitował wieko, ze względu na matkę. Krewni ojca maczali w tym palce, z wujkiem Lolkiem na czele. Może i mieli rację, bo w takim stanie matka gotowa była w trakcie pogrzebu wywlec tatusia z trumny. Było mi żal mnie i Erwina: cała nasza praca poszła na marne.

— Dlaczego nie płaczesz, córcia? Jesteś gorsza niż Hitler! — W którymś momencie matka zaczęła na mnie wrzeszczeć; ślicznie wrzeszczała, na całą kaplicę, rety, mało mi ucho nie odpadło. Trzeba przyznać, że z tej mojej matki to jednak jest szatański babsztyl. — Nie masz w sobie ani krzty ludzkich uczuć? — zapytała, kiedy już skończyła wrzeszczeć.

Mam w sobie wiosnę, mogłam jej odpowiedzieć, mam w sobie coś z Hitlera. Tak, ten piekielny babsztyl, moja matka, miała trochę racji. Właściwie mogłabym być nazistką, tak myślę, a chodzi mi o to, że zawsze kochałam niebieskookich chłopców. Całe szczęście, że przez to całe kursowanie miałam twarz mokrą od potu — matka, obejrzwawszy mnie z bliska, uznała to chyba za łzy i dała mi spokój.

Ludzi była masa; nie mieścili się w kaplicy. Nawet nie wiedziałam, że mamy aż tylu krewnych. Za życia nikt dla nikogo nie ma czasu, ale na pogrzeb — o, to co innego, zaraz się wszyscy zlecą. A raz to prawie zderzyłam się z moim kuzynem; nadal był śliczny. „A co wy się tak całujecie?” — ktoś mógłby powiedzieć. Ale gdzie tam, daleko nam było do całowania. Ktoś go zawołał i poszedł, i byłam zadowolona, że nie trzeba rozmawiać o pogodzie, prząść tej starej przędzy.

A jak szliśmy z kaplicy do grobu, tłumnie, znaczy wszyscy razem, z trumną, z księdzem i niemalże ze śpiewem, to już całkiem nic mi się nie chciało; nawet płakać mi się nie chciało.

Matce nie chciało się iść i trzeba było prowadzić ją za rękę jak małą dziewczynkę. Pomagała mi ciotka — niebieskooki Fifi zwiślał z jej szyi jak szal, jak szal — a ja myślałam o tym, że drzewa wyglądają na umarłe, a i tak odradzają się na wiosnę każdego roku. I że nie mam pojęcia, jak one to robią. Tego dnia coś we mnie umarło — czułam to wyraźnie — i wcale nie zamierzało się odrodzić. W dodatku okropnie bolały mnie nogi. Normalnie Bóg się na mnie uwziął; koniecznie musiał mnie wkurwić.

Na szczęście grób był gotowy. Lwi chłopcy, tak jak obiecali, przysypali babkę z wierzchu i wszystko było gites; chociaż, kto wie, może zabrali sobie babciną czaszkę, żeby pograć w piłkę — pogoda była do tego w sam raz.

Kuzyn też tam był. Jedną ręką obejmował córeczkę, drugą ręką żonę (zdaje się, że znów była w ciąży). Na widok jego szczęśliwej rodziny coś ukłuło mnie w serce, ale tylko trochę.

Cóż by było, gdybym to ja stała obok niego, zasypiała przy nim i przy nim się budziła, a on wchodziłby we mnie, jak się wchodzi w rzekę, coś by było, gdyby liczba pojedyncza zaczęła być mnogą, jedlibyśmy śniadania, obiady, kolacje, odwiedzilibyśmy znajomych i oni by nas obejmowali na pożegnanie, zmywalibyśmy, prali, do pracy chodzili, do łóżka, jedno powietrze mieli w płucach, radości mnożyli przez dwoje, smutki na dwoje dzielili, rozmawiali, kłócili, godzilibyśmy się długo i czule, dzieci byśmy mieli piękne jak rzeźby, kupili nasz pierwszy stół, samochód pierwszy, zamieszkalibyśmy razem w małym domku z czerwoną dachówką, w małym miasteczku o czerwonych dachach, przywykli do siebie, wzajem w siebie wrośli, jak ludzie, którzy po wielu wspólnych latach, nie mogą usnąć bez siebie w podróży, w hotelu obcym, w zimnym łóżku, gdybyśmy zawsze i wszędzie, nawet oddzielnie, jednak byli: my? Cóż by było, gdybym przytyła po ciąży, znalazłby zmarszczkę na mojej twarzy, pierwszy włos siwy, a potem inne i nadal mnie kochał, coś by było, gdybyśmy zestarzelili się razem, on, trochę ślepy, mrużyłby oczy, ja wrzeszczałabym jego imię, przygłucha, siedzielibyśmy na ganku, trzymali się za ręce, patrząc, jak słońce zachodzi, ogromne nasze słońce, potem noc zapada, wyciąga ku nam ramiona, otula nas wreszcie, wreszcie nas pochłania, jedna dla wszystkich, dla wszystkich ta sama przecież śmierć?

Gdybym tylko się go nie wyrzekła, och, gdybym tylko... Ale tak było i tak jest, i nic, i nikt już tego nie zmieni. Nawet Bóg, który najwyraźniej nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko mnie wkurwiać.

Zakopali mi tatusia, a ja nic nie mogłam zrobić, nawet się rozplakać.

A co powiedział ksiądz, zanim sobie poszedł?

— Módlcie się, bracia i siostry: w imię Ojca i Syna...

Po pogrzebie matka miała się gorzej, a potem, w nocy, przyśnił jej się tatuś. Mówił, że zakopano go żywcem: jest mu zimno pod ziemią, ma coraz mniej powietrza i oddycha z trudem; robaki przeciskają się przez szpary i pełzną, całe mrowie, a on, zatrzaśnięty w trumnie, nic nie może zrobić, więc żeby ona, jego wierna żona, ruszyła wreszcie kościste dupsko i łaskawie mu pomogła. I żeby muchozol ze sobą wzięła albo coś.

Obudziła się zrana potem, sprawdziła, czy śpię (spałam, niestety) i w nocnej koszuli wykradła się z domu. Zanim trafiła na cmentarz, długo błądziła po mieście, rozświetlonym pulsarami neonów. Bloki przypominały chińskie lampiony. Okna, powleczone od wewnątrz światłem padającym z ekranów telewizorów, miały w sobie coś przytulnego, przywodziły na myśl świecące szklane kule, pookręcane w błękitny i czerwony jedwab — to było wszystko, co matka zapamiętała z tamtej nocy i co mogła powtórzyć najpierw lekarzom, a potem mnie.

Reszty dowiedziałam się sama.

O świcie znalazł ją cmentarny stróż. Przeżegnał się na jej widok, myśląc, że to zjawa. Matka nie była zjawą. Właśnie skończyła odkopywać świeży grób ojca i podważała łomem wieko

trumny. A stróża zdzieliła łomem za to, że próbował ją powstrzymać. Jak już wywlekła tatusia na wierzch, chciała zasypać dół i babkę, ale nie zdążyła. Spłoszył ją przeraźliwy krzyk stada zasuszonych staruszek; skrzeczały jak ary, jedna przez drugą.

No dobrze, przyznaję, ja też krzyczałam. Z ciepłego łóżka pognałam prosto na cmentarz. Coś mi mówiło, że znajdę tam matkę. Ale ludzie nie byli specjalnie mili: pokazywali ją sobie palcami. A matka biegła. Och, jak ona biegła! Miała świetne tempo. Gdyby urządzano zawody w biegu z trupami na plecach, miałyby duże szanse na olimpijskie złoto. Uliczki cmentarza wyłożone były kocimi łbami, na których ojciec podskakiwał, bum-bum i bum-cyk-cyk, jak paralityk. E tam, żaden był z niego superbohater; to i owo mu odpadło, ale nie widziałam dokładnie — kibicowałam matce.

Nieprzytomnego stróża zabrała karetka (ktoś przytomny musiał ją wezwać). Po matkę też przyjechali. A jakże. Zanim zdążyła wybiec za bramę, dostała zastrzyk i nowiutki kaftanik.

— Ale skąd ona miała tyle siły? — dziwiły się staruszki.

— U wariatów to normalne. Jak pacjent dostanie szału, to jakby sam diabeł w niego wstąpił. I czterech chłopu sobie nie poradzi — wyjaśniał piegowaty sanitariusz, ukradkiem ocierając pot z czoła.

— Ach tak... — Staruszki pokiwały głowami i powróciły do swoich staruszkowych zajęć, jak pszczoły, instynktownie.

Tak to właśnie było z moim biednym tatusiem; w sumie zakopywaliśmy go dwa razy, a babka przewracała się od tego w grobie, dosłownie się przewracała — każdą kosteczką osobno. A jak matkę zabrali do szpitala i jak tam się za nią wzięli — o tym to szkoda nawet mówić.

— Mówił, że znajduje we mnie wszystkie najpiękniejsze rzeczy świata — powiedziała matka dużo, dużo później; tego dnia miałyśmy odwiedzić tatusia na cmentarzu, ale na razie matka wspominała stare dobre czasy, krojąc zimne mięso.

I pomyślałam, że kobiety zrobione są z mięsa: biodra i pośladki, uda i piersi, i wszystkie najpiękniejsze rzeczy świata.

— Pamiętam, jak wyciągnęli cię ze mnie — powiedziało mięso, które, pozwólcie, chwilowo będziemy nazywać moją matką. — Pchali tak, że cała byłaś w siniakach. Jakbyś wcale nie chciała zobaczyć świata.

„Wcale nie chciałam” — pomyślałam.

A potem pojechałyśmy sprawdzić, jak też ten nasz tatuś ma się na cmentarzu. Noce bywały zimne i martwiłam się, że marznie, ale — jasna sprawa — nie powiedziałam o tym matce.

— To był najszczęśliwszy miesiąc w moim życiu — wyznała nad grobem, poprawiając czarną woalkę. — Że też musieli go zakopać. Wolałabym go wypchać.

Tablica babki wróciła na swoje miejsce, tyle że teraz leżała trochę krzywo. Złote litery lśniły jak dawniej, i te nowo dopisane też.

Zostawiłyśmy na grobie tulipany. Szłyśmy alejką, wróble ćwierkały, wtedy odwróciłam się po raz ostatni. Tatuś w dole, kwiaty na górze, potem płatek po płatku wszystko odpadnie, kostka po kosteczce wtopi się w ziemię, aż nie zostanie żaden ślad; zupełnie.

No to módlcie się, bracia i siostry: w imię ojca i córki.

19. No to ciach, stąd dotąd

A dalej to już posypało się wszystko. Opuściłam kawalerkę i wróciłam do matki. Nie żeby miałam na to specjalną ochotę, po prostu ktoś musiał to zrobić.

— Co też one wyprawiają z tymi trupami? — złościł się Bazyl.

Mówił trochę o mojej matce, ale więcej o Lenie, bo właśnie wtedy ją przyłapali. Miała klucze od zakładu i mogła wślizgiwać się tylnym wejściem i — o ile Erwin i ja nie rekonstruowaliśmy akurat jakiegoś klienta z tuzina kawałków, jakbyśmy składali meble z Ikei —

mogła spędzać noce na nadprogramowej działalności, dopóki właściciele, miłe starsze małżeństwo (w tamtej chwili trochę mniej miłe), nie zastali jej na stole w przygotowalni: miała na sobie krew i wszystko inne. Wyrzucili ją tak jak stała; znaczy wcześniej pozwolili jej się ubrać. Zawiadomili kogo trzeba, ale nie było żadnych skarg; myślę, że nie chcieli rozgłosu.

Mówiło się różne rzeczy, brzydkie rzeczy, rzeczy haniebne. Wszystko to było podobne do Leny, ale nie wiedziałam czemu mam wierzyć. Niewiele wiedziałam o nekrofilach. Na jednego trafiłam jeszcze w wariatkowie; był siwy, wariat, i kochał swoją siostrę. Siostra też go kochała, więcej niż brata, ale on nie chciał nawet o tym słyszeć.

— Żadnych świństw, żadnych świństw! — powtarzał pan X.

Za to jak umarła — no to już były same świństwa. Odkopał grób, otworzył trumnę, ale nie wystartował w zawodach w biegu z trupami, jak moja matka, tylko tam, w tym grobie, przez dobrych kilka godzin wyprawiał takie rzeczy, aż nagrobki popękały ze zgorzenia, a figury dziewic wznosiły ku niebu oczy i dłonie, zawodząc: „Boże, że też musiałeś zrobić nas z kamienia, a nie z mięsa”.

— Wybaczcie, śliczne Matki Boskie. Nie żeby wam czegoś brakowało. Chętnie bym się wami zajął, ale w tym życiu kocham tylko siostrę.

Matki Boskie jęczały z żalu i złości („No jak on mógł nas tak odtrącić?!”), pan X też jęczał i tylko siostra nie jęczała, i to wcale nie dlatego, że zaszyli jej usta. Jasne, że był schizofrenikiem. Od czasu bezceństw na cmentarzu skarżył się na piasek: mówił, że chrzęści mu pod zębami.

— Twierdzą, że oszalałem, ale co oni wiedzą? Żyłem jak ślepiec — powiedział mi kiedyś. — A siostra to była igła w moim sercu, wbita jak nóż, jak nóż. Moja noga jest częścią krzesła, krzesło jest częścią podłogi i tylko ściana jest ścianą. Mówią, że oszalałem. Ale kim jestem, żeby w to wierzyć?

Swoją drogą ta jego siostra to też miała szczęście, całkiem jak mój tatuś — zakopywali ją dwa razy.

Co do Leny, chyba ją potępiano, ale tylko trochę. Każdy chciał wiedzieć, jak ona to robi.

— Tak, to jest pytanie! — mówiła z przekąsem. — Mężczyźni tkwią w błędzie, że do zaspokojenia kobiety potrzebna jest penetracja. Co za bzdura! Jakby najwrażliwszą częścią nie był jej przód, no tak czy nie? A dotykanie, bliskość, pozycja sześćdziesiąt dziewięć, nawet trzymanie dłoni? Jasne, że ciało tylko tam leży, ale ma to coś, co pozwala mi czuć się szczęśliwą. Żywi faceci są do niczego.

Fakt, wyjąwszy Zozo, byli do niczego.

— Żaden nie potrafił dać mi satysfakcji. Lecą tylko na moje ciało.

Lena nie była sprawiedliwa — ona też leciała na ciała. Jeśli tylko mogła, wybierała te po balsamacji: sztywne, z powiększonymi genitaliami — jak Łazarz. Ponoć robiła to rzadko — przez tę całą hecę z AIDS.

— Kręcą mnie młodzi, zadbani chłopcy. Miałam z nimi trochę zabawy, ale ryzyko też jest duże, no prawda?

— To bardzo interesujące — odpowiadali ludzie, co należy przetłumaczyć: „Nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego”. Inni zmywali się zaraz jak akwarelka, czego nie trzeba tłumaczyć. A niektórzy nic nie robili. Chociaż nie, odwracali oczy i to była ta jedna jedyna rzecz, jaką robili.

A treser koni tak jej powiedział:

— Nie jesteś nawet prawdziwą kobietą. Wynoś się stąd! Idź pieprzyć martwe ciała!

Inni też coś mówili: że zawsze ją podejrzewali albo „jak mogłaś zrobić coś takiego?” i tylko ja jedna nic nie powiedziałam. Może ją rozumiałam, a może było mi wszystko jedno. A może być, że miałam już wtedy wszystkiego dosyć.

Żeby zrozumieć, czym jest przepaść, trzeba znaleźć się na krawędzi przepaści. Co do mnie,

po prostu wróciłam do matki, a ona biła na głowę każdą z katastrof tego świata. Jezus też z nami zamieszkał, chociaż matka, dobrze wiem, wolałaby go wypchać. „Właściwie — tak sobie wtedy pomyślałam — powinna zmienić imię: lepiej pasowałoby do niej «Mały Adolf»”.

A bez Leny w pracy to już nie było to samo. Właściciele — bardzo nie mile starsze małżeństwo — stracili zaufanie do kobiet. Patrzyli na mnie podejrzliwie, jakby sądzili, że jak tylko spuszcza mnie z oczu, raz-dwa wyrucham im jakiegoś trupa.

W takiej oto atmosferze pewnego dnia Ivo wziął mnie na stronę i oznajmił, że w zakładzie medycyny sądowej zwolniła się posada prosektora. Prosektorowi nie wolno było kroić zmarłych ani ich patroszyć. Do jego obowiązków należało utrzymywanie w czystości narzędzi, rozbieranie ciał przed sekcją, a po wszystkim zaszywanie ich i mycie. Poza tym trzeba było obracać zwłoki, rozwierać klatkę piersiową, piłować żebra, przełamywać mostek i odpiłowywać sklepienie czaszki. Z powodu tego całego piłowania i łamania Ivo uznał, że nie byłabym dobrym prosektorem; pasowałam mu za to w sam raz na laborantkę.

Cała ta propozycja była czymś w rodzaju zadośćuczynienia: od jakiegoś czasu Iva gryzło sumienie. Wcześniej nie wiedziałam, że Ivo w ogóle ma sumienie. Z kolei on nie wiedział wcześniej, że ten robaczywy trup, którego lepiliśmy z Erwinem w zakładzie, podczas gdy Ivo zabawiał nas opowieściami o skaczących bimbałach i viagrze, to był mój tatuś. I teraz, kiedy już się dowiedział, było mu trochę głupio. Za bycie laborantką płacili o niebo lepiej niż za sprzątanie w trupiarni, no i to był ten diabeł, który mnie skusił.

— Jest rzeczą bardzo ważną, aby przy tak trudnym i odpowiedzialnym zadaniu, jakim jest sekcjonowanie, zapewnić lekarzowi bezpośrednie protokołowanie spostrzeżeń — tłumaczył mi dyrektor, kiedy mnie przyjmował.

Ivo był więcej niż zadowolony; nie znosił papierkowej roboty.

No i odtąd tonęłam w regulaminach i protokołach. I w smrodzie, bo śmierdziało u nas że aż strach. Z produktów rozkładu białek, potocznie zwanych „trupim jadem”, najgorsza jest putrescyna (woń psujących się ryb) i kadaweryna — mówiło się na nią „smród do wyrzycania”. Obie te substancje są niebezpieczne wyłącznie w kontakcie bezpośrednim — poprzedni laborant załatwił się nimi w trakcie daktyloskopowania nadgniętego Stefana — za to wachać można je sobie było do woli. To właśnie dzięki nim zwłoki leżące w ciepłe nabierają bogatego i głębokiego aromatu. Całkiem jak mój tatuś: nic, tylko rzygać. Myślałam, że dadzą mi na to jakiś cudowny środek: maść mentolową pod nos albo coś takiego.

— Naoglądałaś się za dużo filmów, gołąbeczko — powiedział zatrudniony razem ze mną prosektor.

Patent z perfumami też się na nic nie zdał; było mi po nich jeszcze gorzej. Nie pomagały ani klimatyzacja — włączona podczas krojenia — ani dym z papierosów, na przerwach.

— Na to, gołąbeczko, nie ma rady. Musisz się po prostu przyzwyczaić.

Prosektor miał rację; przyzwyczaiłam się trzeciego dnia. Najgorsze, że trupi smród wynosiłam z prosektorium: ciągnął się za mną aż do wieczora.

Policjanci z dochodzeniówki radzili sobie w ten sposób, że — zanim weszli na miejsce zbrodni, żeby spisać do protokołu okoliczności znalezienia nadpsutego denata: plec, w co był ubrany, jak leżał i tak dalej, punkt po punkcie, ze wszystkimi szczegółami — przycinali papierosy, tak by po ich zapaleniu dym leciał im prosto w nozdrza; powstrzymywało to odruch wymiotny. U nas ten sposób nie mógł się sprawdzić, a to dlatego, że my musieliśmy przebywać w towarzystwie zgniłka nieporównywalnie dłużej.

Jeden Ivo nie miał problemu z „efektami specjalnymi”, jak mówiło się u nas na trupi odór — stracił węch jeszcze w dzieciństwie. To był wypadek w fabryce z chemikaliami, w której pracował jego ojciec, a przynajmniej tak słyszałam.

Ivo opowiadał, jak w czasach studenckich koledzy z akademika, wiedząc, że zamierza zaprosić do siebie którąś tam z kolei narzeczoną, podrzucili mu do pokoju skunksa; to nie był żaden z tych dozodoryzowanych okazów z usuniętymi gruczołami, jakie pokazują nam w zoo (mają rację, że tak robią, inaczej, na Boga, kto normalny poszedłby do zoo?). No i ta dziewczyna, jak już przyszła, zaraz dostała ataku torsji, a potem to już wszyscy rzygali, ślicznie i po kolei, najpierw ci koledzy, potem cały akademik, i tylko na Ivie nie zrobiła wrażenia oleista ciecz wystrzeliana przez skunksa na lewo i prawo. Ale ubrania i meble i tak musiał spalić. W sumie brak wężu mu nie przeszkadzał; jedyne, na co narzekał, to że nie czuje nic a nic, jak mu kobieta siada na twarzy.

— Putrescynę i kadawerynę można znaleźć nawet w spermie — powiedział mi kiedyś. — Cała zabawa tkwi w stężeniu. W nasieniu nikomu nie zaszkodzą, za to nadają mu charakterystyczny smak.

I odtąd tak to już wyglądało: pół dnia spędzałam w prosektorium, a pół w kostnicy. Jedną nogą byłam tam, a drugą tu. Ktoś powinien mnie wtedy ostrzec, że nie wyjdzie mi to na dobre. Ale tylko matka coś powiedziała, a mianowicie, że jestem głupia.

— I po to cię kształciłam? Miałas być, dziecko, psychologiem, wciskać ludziom kit i skubać ich z forsy, a nie urabiać się po łokcie w trupiarni.

Z tym to moja piękna matka nie miała racji, nie wkładałam w nikogo rąk po łokcie; ten akurat punkt programu należał do Iva.

Bazyl mówił, że miałam szczęście, nie mogłam trafić lepiej. No nie wiem. Z zewnątrz zakład medycyny sądowej przypominał szkołę muzyczną, z którą sąsiadowało mieszkanie mojej babki: klasyczny neorenesansowy pałacyk z kopułami i kolumnami, z fasadą w kolorze bitej śmietany, słowem torcik wiedeński. Wyglądało to całkiem smakowicie, ale wystarczyło wejść do środka, żeby stracić apetyt na resztę dnia. Mieliśmy wszystko, co trzeba: jasną, nowoczesnie urządzonej salę sekcijną o dwóch oknach, podłogę w marmurkowy wzorek, starodawny stół do sekcji — szary blat z marmuru, na którego powierzchni liczne kanały ściekowe tworzyły egzotyczne wzory przypominające zdobienia na twarzach Aborygenów — a obok stał ten nowoczesny, całkiem jak ogromna blacha do ciasta; do jego skraju dobudowano zbiornik na wodę, nad nim niklowe kurki. Dalej, w niewielkiej wnęce, metalowy regał pełen półek z leżącymi na nich ciałami owiniętymi w plastik; wyglądało to jak przechowalnia bagażu w dworcowej poczekalni. Poza tym stolik na narzędzia, słoje, chemikalia, a na drzwiach miedziana tabliczka z godzinami

otwarcia (zwłaszcza prosekator skrupulatnie ich przestrzegał).

— Porządek musi być — tak mawiał.

Nie powiem wam, jak miał na imię, nawet żadnego nie wymyślę. On by się strasznie zdenerwował — oj, strasznie — gdyby wiedział, że o nim opowiadam, więc pozwólcie, że będziemy go nazywać „Panem Porządnikiem”. On mówił na mnie „gołąbeczka” albo — jeszcze lepiej — „laluchna”, no i sami powiedzcie, jak można go było nie lubić? A jak mył narzędzia — o, to już na pewno trzeba go było lubić, dobrze wam radzę. A szło to tak: nóż obosieczny z szerokim ostrzem, zwany nożem Virchowa (wyglądał jak żydowski nóż do obrzezania), otwierak, zgłębniki, nożyce do kości, nożyczki kulkowe, dłuta, młotki, skalpele, kilka innych rodzajów noży, piłki do kości, sonda do pocisków, osteotomy, spinki przezskórne, szczęki autopsyjne, prowadnica do autopsji żył, pęsety, haki, kleszcze (całkiem jak ten kaganiec u ginekologa kostuchy, pamiętacie?), igłotrzymacze i trepan do trepanacji czaszki, bo do czego by innego. Wystarczy wam? Te narzędzia były naszym utrapieniem. Powinny być zrobione z hartowanej stali, ale zamiast tego użyto mało wytrzymałych stopów i narzędzia wyginały się i łamały. „Pan Porządniki” płakał ze złości. Poza tym mieliśmy metalową miarę, cyrkiel do pomiarów głów noworodków, łyżkę do czerpania i gąbkę, zakrzywioną igłę i szpagat do szycia zwłok po sekcji, i papierki lakmusowe: czerwone i niebieskie. Do otwierania czaszki prosekator używał piły elektrycznej — taki mały remake „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną” — a kiedy ta się zepsuła, piłował czaszki ręczną piłą. Jeszcze jak piłował! Całe pomieszczenie wypełniał zapach podobny do spalenizny; opiłki kości wirowały w powietrzu i wciągaliśmy je do płuc — nic przyjemnego.

Z sali sekcyjnej przechodziło się do gabinetu, a tam już na nas czekały eleganckie fornirowane meble, wygodne fotele, na środku pokoju długi stół, na stole trzy mikroskopy. A w rogu szeroka szafa biblioteczna i najnowsze wydania fachowych dzieł. Ach, gdyby tylko można było schować się w tej szafie. Iwo kochał swoją pracę; ja nienawidziłam tego i do dziś nienawidzę. Tak naprawdę nikt nie wierzy w to, że umrze; no więc spędzenie dwóch godzin na krojeniu zwłok wbija to do głowy brutalnie i raz na zawsze.

— Nie ma powodu, żeby autopsja robiła na nas aż takie wrażenie — w te słowa odezwał się do mnie Ivo, kiedy pierwszego dnia przyłapał mnie w chwili słabości (przyznaję, trochę mnie mdliło, zwłaszcza na początku). — Jeśli spojrzeć na to ze statystycznego punktu widzenia, bez przerwy ktoś odchodzi z tego świata, w każdej sekundzie — tak powiedział, a ja policzyłam, ile osób zdążyło umrzeć pomiędzy moim wdechem a wydechem i było ich okropnie dużo.

— Śmierć i gnienie to sprawa całkowicie naturalna — kontynuował Ivo. — Doprawdy, czemu miałyby nas przerażać?

Doprawdy, nie wiem.

Oczywiście, niejedno widziałam u nas, w kostnicy, ale tutaj było dużo gorzej. W ciągu najbliższych miesięcy przyszło mi oglądać świat od brzydkiej strony. Wszystko przez ludzkie namiętności. Nie będę ukrywać, ofiary zabójstw miały w sobie coś hipnotyzującego — zwłaszcza te z miłości. Ale nie zawsze chodziło o miłość; była jeszcze chciwość, zawiść, był gniew i inne rzeczy ludzkie. Na naszym stole łądownali ludzie w kawałkach i inni, z głową jak siekany kotlet. Najgorsi byli ci z pożarów — brakowało im oczu: puste oczodoły wyglądały jak dwa małe groby.

Obowiązywała nas laboratoryjna czystość. Po każdym badaniu trzeba było odkażać nie tylko narzędzia, ale także stół i podłogę. Z tego powodu sala sekcyjna przesiąknięta jest chemikaliami i ci, którzy pracują przy trupach, muszą się często myć. Oczywiście mieliśmy odzież ochronną — fartuchy, a nawet kalosze — plus specjalny komplet do sekcjonowania zmarłych na AIDS.

Większość patologów używa gumowych rękawiczek (ba, robią tak wszyscy przy różnego rodzaju akcjach pakowania denatów do worków). W najgorszym wypadku chwytają ciało przez

folię — to może być pierwsza lepsza reklamówka czy co tam mają pod ręką. Ale nie Ivo. Przy świeżych zwłokach nie chciał nawet o tym słyszeć; rękawiczki zakładał tylko przy klientach w zaawansowanym rozkładzie, przy ekshumacjach, a już koniecznie przy „pływakach”, inaczej zwanych „szuwarkami”. Twierdził, że guma osłabia zmysł dotyku, co może prowadzić do błędów w interpretacji danych, a na takie nie mogliśmy sobie pozwolić. A z zarazków nic sobie nie robił, i to do tego stopnia, że zdarzało mu się palić podczas sekcji (rzadko, ale jednak): od czasu do czasu kładł papierosa na stole sekcyjnym, a potem nonszalancko wkładał go z powrotem do ust.

Taki już był ten Ivo. Seks też uprawiał bez zabezpieczeń. Matko, ile ja się musiałam nasłuchać o tym jego seksie. Zwykle zaczynało się już przy badaniu odzieży. Szukało się uszkodzeń, śladów krwi, prochu, zabrudzeń, słowem wszystkiego, co mogło być ważne. Przebiegało to w dwóch etapach: po pierwsze oglądało się „trupa-eleganta” — bo tak Ivo mówił na ubrane zwłoki — po drugie rozbierało się denata i oglądało samą odzież.

— Stary! — owego pierwszego dnia zwrócił się do prosektora, jakby mnie tam wcale nie było. — Te całe feromony to jedno wielkie gówno. Możesz mnie nazwać jeleniem, nie powiem, spróbowałem. Namaściłem się od stóp po czubek głowy, à propos głowy, nie spieprz wszystkiego, jak ostatnio, przy tamtym cięciu koszyczkowym. Piątek był, wieczór, siedzę w najdroższym w mieście lokalu, aż dupa mi wrasta w stołek. I co? I, kurwa, nic! A łań od zatrzęsienia. Porozbierane, spocone, gorące. Defilowały mi przed nosem, w jedną, w drugą, jak wojsko, stary, i żadna na mnie nawet nie spojrzy. W pizdę palec, a nie feromony. Szpetny nie jestem, nie powiem. Na solarium bywam? Bywam. Na siłowni? Bywam. No to po tych feromonach dziunie powinny ustawiać się w kolejce, żeby zrobić mi lodzika.

Fakt, na punkcie seksu miał bzika. I na punkcie śmierci też. Uważał, że jedno nie może istnieć bez drugiego.

— Takie na przykład jednokomórkowce, te to mają dobrze. Nie ma u nich płci, rozmnażają się przez podział i dzięki temu nie znają śmierci. Ale tam, gdzie w przyrodzie pojawi się seks, nie ma rady, bracie, zaraz trzeba zdychać — tak mówił Ivo, podczas gdy prosektor odwracał „trupa-eleganta” z powrotem na plecy. — Spójrz tylko, bracie, na Ewę z Adamem: raz się pociuściali i wylecieli z raju na pysk. Jakby chłopaczyna wiedział, co go czeka, nie pchałby tego węża, gdzie nie trzeba.

I tak to już było, że Ivo gadał, och, jak on gadał. Mieliśmy z tym spokój tylko wówczas, gdy w sekcji brał udział prokurator; taki był z niego gbur, że nawet Ivo wołał siedzieć cicho.

Jak już skończyliśmy z „trupem-elegantem”, nadchodził czas na oględziny zewnętrzne, czyli badanie nagich zwłok, a leniwi lekarze w ogóle nic więcej nie robili.

— O ma! Co za partacze! — Ivo nie miał o nich dobrego zdania. — Oględziny są, owszem, ważne, ale tylko sekcja może pozwolić na ustalenie, czy rany powstały za życia, czy po śmierci. Do tego daje nam całą masę informacji o zmarłym: co zjadł na swój ostatni posiłek, na co chorował, czy zaraził się jakimś gównem wenerycznym. Pamiętasz ciastusia? — zapytał mnie wtedy, pierwszego dnia w prosektorium, a ja pomyślałam, że jakże mogłabym zapomnieć. — Na podstawie oględzin zewnętrznych stwierdzono postrzał głowy. Zamknięto kochanka żony. W trakcie procesu pojawiły się wątpliwości, zarządzono ekshumację, a przy sekcji wyszło na jaw, że faceta załatwiono trutką na szczury. Stał za tym nie kto inny, tylko żona, a gach, owszem, strzelił, ale już do truposza. Chciał wziąć winę na siebie, taki był z niego kochaś.

Ivo nigdy by sobie nie pozwolił na takie partactwo; z niego to był prawdziwy pies na przestępców: tropił i szukał, i zawsze coś znalazł. Czasem jeszcze nie zaczął kroić, a już znał przyczynę zgonu. Na przykład przy porażeniu prądem — można to rozpoznać po małych, okrągłych oparzeniach skóry z fioletowo-czerwoną obwódką. Ale zanim mógł się zabrać za to całe tropienie, trzeba było rozebrać trupa, co wcale nie jest łatwą czynnością. Zwłaszcza

ściągnięcie butów z cholewami wymaga wiele zachodu i potrzeba do tego dwóch ludzi. No i ja im przy tym wcale nie pomagałam.

— Baba w kostnicy? To niedopuszczalne. No chyba że w charakterze zmarłej.

Tak mówił „Pan Porządniczy”. Bo „Pan Porządniczy” jakoś mnie nie lubił. Złościło go na przykład, że wzrusza mnie los rodzin.

Z rodzinami osób zaginionych to było tak, że stale ktoś do nas zaglądał; no pchali się drzwiami i oknami, pytając, czy niezidentyfikowany zmarły jest może akurat ich czy nie bardzo. I ja ich rozumiałam, znaczy, że chcieli to wiedzieć. Niestety, nie można było tego powiedzieć o całej reszcie personelu i tych na górze też. Mieliśmy na to nawet śliczny specjalny paragraf w naszym ślicznym specjalnym regulaminie. Zgodnie z tym paragrafem okazanie zmarłego krewnym mogło odbyć się tylko na wniosek policji. Koniec końców odsyłaliśmy rozpaczające rodziny do komisariatu, zamiast dać takiego trupa na wystawę, jak zrobiłby każdy szanujący się sklep. Rety, ile pracy by nam to zaoszczędziło. Bo zmarłych o nieustalonej tożsamości opisywaliśmy szczególnie starannie, liczyliśmy im nawet plomby. Potem trzeba było robić im daktyloskopię i fotografować zwłoki — *en face* i profil — koniecznie z otwartymi oczami, co, jak mówił prosek, „niezwykle ożywiało twarz”. Lena „Pstryk-Pstryk” byłaby zachwycona.

Ale zanim zabraliśmy się za zdjęcia, przeprowadzaliśmy trupa toaletę. Z początku sądziłam, że chodzi tu o czesanie, malowanie i inne takie, ale niestety, chodziło o coś innego...

Twarze ludzi w zaawansowanym rozkładzie ulegają deformacji, przypominają maski na Halloween. Gazy gnilne wysadzają na wierzch gałki oczne, ciało staje się rozdęte, a głowa okrągłutka, jak piłka; u mężczyzn dochodzi do pośmiertnej erekcji — od tych gazów. Za to u świeżych trupów rzadko widywało się wzwód. Dotyczyło to głównie wisielców. Bardzo żałowaliśmy ich z Bazylem. Bardzo.

— Trzeba łamać im kuśki, żeby nie sterczały w trumnie — mówił Bazyl, a potem już nic nie mówił, za to słychać było charakterystyczny trzask pękających tkanek, jakby ktoś przełamywał dorodną marchewkę, tak to brzmiało.

No więc w zakładzie medycyny sądowej było przynajmniej o tyle lepiej, że nie trzeba było nikomu nic łamać.

Mało kto wie, że nadpsuci zmarli robią się czarni na podobieństwo ziemi, w której ich złożą. Przez tę ciemną skórę i murzyńskie rysy — mięsiste nosy i charakterystyczne, szerokie wargi — wyglądają jak grubi Murzyni. No takich to nikt by ich nie rozpoznał. Dlatego, zanim chwyciliśmy za aparaty, zanurzaliśmy głowę nadgniętego delikwenta w roztworze formaliny, nacinaliśmy skórę twarzy i pod bieżącą wodą wypłukiwaliśmy gazy z tkanki podskórnej, dzięki czemu zmarły przestawał wyglądać jak dmuchany materac. Nawilżaliśmy zmętniałe rogówki, by przywrócić im naturalny połysk. Jeśli brakowało oczu, wstawialiśmy sztuczne. Gorzej, gdy do ciała dobrały się zwierzęta, szczególnie szczury lubiły obgryzać trupom palce, uszy i nosy, i w ogóle co tam wystawało. Jeśli denat leżał przysypany ziemią, porastała go pleśń — z białym nalotem na twarzy wyglądał całkiem jak Dziadek Mróz.

Prokurator-gbur miał to do siebie, że — o ile w ogóle zaszczyił nas swoją obecnością — odzywał się rzadko. Jeśli dobrze sobie przypominam, tak naprawdę ożywił się tylko raz: przy kobiecie Murzynce. Miał to wątpliwe szczęście, że wezwano go wtedy w teren.

— To był mały domek na uboczu. Przyjeżdżam, a tu nic niezrobione. Chłopcy z dochodzeniówki pokazują mi przez okno, że coś czarnego tam leży na łóżku. „Wilczur albo jakieś inne bydło” — myślę i już mam ich opieprzać, że po chuj zawracają mi głowę, ale coś mnie tknęło. „Panowie, wywalać szybko!” — mówię. Rozbiło się to wszystko w trzy dupy i jał nie zaleje nas fala much. Biblijna plaga właściwie. A śmierdziało tam na miejscu nawet gorzej niż teraz, bo to się tam wszystko kisiło w tym smrodzie. No i tak ją znaleźliśmy, tę oto

czarnulkę — tak mówił prokurator. — „Trafiła nam się gruba” — wołam do chłopaków, którzy jeszcze nie weszli do środka. No i oni zrozumieli, że normalnie, z nadwagą, puszysta znaczy, a mnie chodziło o to, że tylko patrzeć i nam babsko pęknie.

Spojrzałam na czarnulkę. Fakt, była tak wydęta od gazów, że rzeczywiście wyglądała, jakby lada moment miała wybuchnąć; gdyby wybuchła, sprzątanie po niej zajęłoby nam miesiąc.

— Buźka to jeszcze jako tako, ale reszta przykryta była kołdrą, a pod tą kołdrą, Jezu, no sami widzicie. O tam, rusza się, rusza!

Faktycznie się ruszało. Nie żeby czarnulka ożyła — to larwy wprosiły się do niej na bankiet, więcej: na kilkutygodniowy turnus z wyżywieniem.

— Jezu, one są wielkości palca — przesadzał prokurator.

No słowo daję, naprawdę go to kręciło.

Chyba tylko dlatego kazał nam przeprowadzić sekcję, choć okoliczności (drzwi i okna zamknięte od środka, klucze zostawione w zamku, a także ułożenie ciała) z góry pozwalały wykluczyć udział osób trzecich. Tak więc regulaminowo pokroiliśmy wtedy tę czarnulkę. Specjalnie dla pana prokuratora. On kazał, my kroiliśmy — tak to działało.

A inne punkty regulaminu też były nie z tej ziemi: „Przed sekcją nie okazujemy zwłok Rodzinie” (żeby było zabawniej, rodzina pisało się dużą literą, niby że z szacunkiem albo jakoś tak), za to „przed zamknięciem trumny tożsamość zwłok musi być potwierdzona przez osoby najbliższe” (no i to było nieludzkie, pokazywać im ich ukochanych zmarłych dopiero na koniec, takich pokrojonych), „informacja o terminie sekcji przekazywana jest telefonicznie” („Halo, halo, będziecie dziś kroić nadgniętego Stefana?”), „wydawanie zwłok odbywa się w godzinach...” i „ubieranie zwłok nie jest obowiązkiem pracowników kostnicy” (no więc my kroiliśmy ich żony, matki, córki, a potem oni sami musieli je odebrać i ubrać, i opłakać), „zażalenia i wnioski należy składać na piśmie” (oj, pisali do nas, jeszcze jak pisali). Mój ulubiony był podpunkt ósmy: „Zakład pobiera opłaty za przechowywanie zwłok” i tu następował cennik; majstersztyk — całkiem jakbyśmy byli hotelem.

— Moje drogie dziecko... — tak zwracał się do mnie prosekto, ale równie dobrze mógłby mówić: „moje drogie mięso”. — Co ty wiesz o świcie? Jąder na pewno nie preparowałaś klientowi metodą pachwinową. A chociaż język wyciągałaś? Jelito cienkie, ciekaw jestem, laluchna, robisz na ostro czy tak jak grube? Żeby uniknąć wycieków z jamy gębowej, ligninę łaskawa byłaś wpychać tylko do ust czy do przełyku też? — No słowo daję, wszystko chciał wiedzieć.

Ale, przyznaję, raz to mi pomógł. Bo gdybym była sama, umarłabym na zawał: dolatywały do nas dźwięki szalejącej na zewnątrz burzy i ktoś, wszystko jedno kto, przez przypadek potracił stół, na którym leżało ciało młodzieńca. Martwa ręka osunęła się i zatrzymała dopiero na moim kolanie, i nie zdążyłam się nawet porządnie przestraszyć, a „Pan Porządnicki” już mnie uspokajał:

— Proszę, proszę, klient chwyta za kolanko, a za chwilę wstanie. Mówiłem nie zatrudniać baby, bo nam wyposzczone chłopy pouciekają spod noży i kto ich będzie ganiał?

Prosektora chyba najbardziej złościło to, że nie robię nic innego, tylko patrzę i notuję, i wcale im nie pomagam.

Jak już rozebrali zwłoki i obejrzeni zdjętą odzież, Ivo przeprowadzał dokładne oględziny — bardzo dokładne: wpychał paluchy, gdzie tylko się dało.

— Prawego górnego siekacza brak — dyktował mi na przykład do protokołu. — Narządy płciowe prawidłowo owłosione. Wargi sromowe dobrze rozwinięte, w kolorze brudnozielonym. Łechtaczka blad różowa, średniej wielkości. Przez otwór w błonie dziewiczej z łatwością przechodzą dwa palce.

W gabinecie mieliśmy całą kolekcję preparatów, tych z różnymi rodzajami błon dziewiczych też; miały służyć edukacji studentów. A ci studenci byli naprawdę szurnięci — wystarczyło spuścić ich z oczu i wynosili z prosektorium te cipki w formalinie.

— Boże, co też z nich wyrośnie? — pytałam.

— Lekarze — odpowiadał Ivo.

Ubolewał nad tym, że studentom reglamentuje się trupy.

— Za mało ludzi przekazuje swoje ciało na cele naukowe — mawiał. — Zaraz po wojnie to były czasy. Zwłoki leżały na ulicach, tylko brać i kroić. Samych czaszek było do zatrzęsienia. To dlatego mieliśmy wtedy takich świetnych fachowców. Dzisiaj studenciak dostaje plastikowy odlew, ale to jest zwyczajne gówno, więc co się dziwić, że przed egzaminem co sprytniejszy wykopie sobie z cementarza prawdziwy czerep, zamiast uczyć się z tej chińskiej tandety.

Nad jednym jeszcze ubolewał: zawód medyka sądowego nie cieszył się zbyt dużym poważaniem.

— Inni lekarze lekceważą naszą pracę. Zabawne, jak potem jeden czy drugi trzęsie się ze strachu, bo oskarżono go o błąd w sztuce lekarskiej. O, wtedy to, co robimy, wydaje mu się nagle bardzo ważne. — Pamiętam, że tak mówił Ivo wtedy, mojego pierwszego dnia w prosektorium, a mówiąc to, sprawdzał narzędzia leżące na stoliku. Wszyscy myślą, że do krojenia zmarłych używa się skalpela, ale to nieprawda, służy do tego nóż o szerokim ostrzu. Ivo używał noża Virchowa, chociaż niektórzy szatkują nim wyłącznie mózg. Jak kapustę.

Medycy sądowi to jedyni ludzie, którzy nie przejmowali się robieniem sekcji. Właściwie przypominali psychopatów. Zazwyczaj ludzie mają naturalny opór przed okaleczeniem drugiego człowieka, nawet martwego. Może to i dobrze, inaczej o byle głupstwo wbijalibyśmy w siebie noże w parkach, autobusach i gdzie tylko się da. Co do mnie, też się przed tym wzdragam; chociaż w tym jednym jestem normalna. A Ivo potrafił odpiłować komuś rękę i nawet nie mrugnąć — ot tak. Jeszcze na studiach nauczył się myśleć o zwłokach w oderwaniu od osób, którymi były, nazywał je pustą skorupą. Fakt, jak już z nimi skończył, naprawdę były puste. Ale ja tak nie umiałam; widziałam ciała, co były ludźmi i ktoś ich kiedyś kochał.

— Na studiach mają na to sposób: uprzedmiotowienie — powiedział mi wtedy, tego pierwszego dnia. — Aby ułatwić studentom depersonalizację, ciało, które ma być krojone, zawija się w gazę. Odwija się ją pomału, dzięki czemu widać tylko ten kawałek, który właśnie kroisz. Zapominasz, że to człowiek. Nic się nie bój, poradzimy sobie z tą twoją wrażliwością.

Ale ja wcale nie chciałam, żeby sobie poradzili.

Wszyscy mówią, że Ivo jest dobry w tym, co robi. Ja myślę, że jest najlepszy. Ma silne nerwy. Widział dosłownie wszystko: topielców, samobójców, ofiary morderstw. Jeśli martwe ciało było mapą, on umiał ją czytać. Przy badaniu na zator mózgowy potrafił pokroić trupa nawet w wannie pełnej wody, serio.

Ale teraz, przy naszej pierwszej sekcji, kiedy patrzę na jego ręce, wygląda, jakby miał tremę. Wreszcie zbiera się w sobie, przecina skórę na czaszce, od ucha do ucha, półkolistym cięciem — wygląda to tak, jakby malował trupowi uśmiech z tyłu głowy — i szybkimi ruchami obciąga ją z jednej strony na twarz, a z drugiej na kark. Twarze umarłych, którzy mają być krojeni, mają w sobie coś niepokojącego i kiedy znikają, przykryte skórą jak naciągniętą na nie gumową maską, robi się trochę łatwiej; odtąd to, co przed nami leży, nie wygląda już jak człowiek. Pod koniec sekcji o człowieczeństwie będą nam przypominać ufrizowane włosy; te wszystkie loki, jeże, grzywki, farby, pasemka — ta troska o wygląd, dopóki żyjemy, jedno jedyne ogniwo łączące nas i leżące na stole bryłę mięsa.

Teraz następuje trudniejsza czynność: przepiłowanie i zdjęcie pokrywy czaszki. „Pan Porządnicki” w szybkim tempie wykonuje przepisowe ruchy: przy pomocy dłuta rozszerza

powstałą szczelinę i uderza młotkiem. Co do mnie, trochę na to patrzę, ale tak jednym okiem; udaję, że jestem bardzo zajęta: oni robią swoje, Ivo dyktuje, a ja zapisuję wszystko dużymi literami.

Ivo chwyta za nożyczki, a to, co mi dyktuje, to czysta poezja: „Opona twarda gładka, lśniąca, o kolorze perłowym”; no całkiem jak księżyc. Wystarczy kilka ruchów nożem i mózg otwiera się jak książka.

A potem to już nie było tak pięknie, bo kazali mi robić zdjęcia obrażeń i zmian chorobowych; przydałaby się do tego Lena „Pstryk-Pstryk”.

Jak już skończyli z głową, zabrali się kolejno za klatkę piersiową i brzuch, a wyglądało to tak, jakby Ivo kaligrafował trupowi na piersiach wielką literę „I” (czasami kroilo się zmarłych w krzyż, jak jabłko). Jeśli trup był nieświeży, po cięciu wydobywał się z niego gaz gnilny; klimatyzacja chodziła na full, ale i tak robiło mi się słabo. Martwe ciało nie krwawi i tylko dlatego dawałam radę patrzeć na to całe krojenie. W tętnicach nie spotykało się krwi, znajdowaliśmy ją w żyłach, zwykle w postaci skrzepów.

Wtedy, za pierwszym razem, krew zaczęła się już rozkładać i żyły tworzyły malowniczą brudnoczerwoną siatkę; przypominały dwa tuziny rozwidlających się jęczyczków. Ivo zrobił w skórze poniżej mostka niewielkie okienko, włożył w nie dwa palce, uniósł powłoki brzuszne lekko do góry i poprowadził cięcie między palcami aż do spojenia łonowego; musiał przy tym uważać jak diabli, żeby się nie skaleczyć. Kiedy prosektoz skończył walczyć z mostkiem, odłożył go na sekcyjny stół. Przyszło mi wtedy do głowy, że ten bezmózgi człowiek, który leży przed nami na plecach, to wcale nie jest człowiek, tylko samochód, a my zaglądamy mu pod maskę. Ale tak naprawdę bliżej nam było do patroszenia.

Czerpak — kiedy już poszedł w ruch — wyglądał jak chochla i mogłabym sądzić, że klarowny, lekko żółtawy płyn wybierany z otrzewnej to kompot z mirabelek; trzeba było zmierzyć jego objętość, a „Pan Porządnicki” to nawet go wachał.

Narządy klatki piersiowej, szyi i jamy ustnej wyciągało się w jednym kawałku. Najpierw Ivo ostrożnie odciął skórę na szyi, tak by nie przeciąć jej na wylot i nie zeszpecić zwłok (miło z jego strony, że nie dodawał Erwinowi pracy). Potem włożył dłoń w usta trupa, chwycił za język i — mniej delikatnie — wyciągnął wszystko na wierzch, przełożył na stół sekcyjny, trzymając w dalszym ciągu za ten język; w tamtej chwili Ivo wyglądał jak demon z horrorów, Manitou albo ktoś taki. To, co wyciągał, było bardzo zakrwawione — normalnie szlachtuz — więc Manitou-remake obmył narządy pod bieżącą wodą; każda najdrobniejsza plamka, każda zmiana mogła stanowić istotną wskazówkę. Rety, ile tego było: mieliśmy plamki Tardieu albo Wiszniewskiego, te wszystkie objawy Wylera, Martina, Perthesa; że też Ivo się w tym nie pogubi. Ale on wie, co robi — obmacuje i tnie płuca. Wreszcie zabiera się za serce, długo obraca je w dłoni. Otwiera lewą komorę, zbiera i mierzy zawartą w niej krew. Jeśli krew zmieniła się w skrzep, oddzielał go szczypczykami, ale tym razem gnijąca krew pieni się jak szampan. Potem robi parę nacięć i pokazuje nam świeże wylewy krwawe, stare blizny i zmiany miażdżycowe. Sercem Ivo zajmuje się osobiście. A któregoś razu „zajął się” nim „Pan Porządnicki”, no i okropnie mu się oberwało.

— Poharatałeś to serce kompletnie! — wymyślał mu Ivo. — Nawet ona zrobiłaby to lepiej. — „Ona” to niby miałam być ja, miło z jego strony, ale nie miał racji. — Lepiej zostań przy rozbieraniu, piłowaniu, szyciu i myciu.

No i został.

Ale oto czas na jamę brzuszną. Odcięte jelita ześlizgują się na podłogę, mój Boże, i gówno, i cały ten topniejący tłuszcz! Tego, co Ivo tu wyprawia, nie można już nazwać badaniem. Wyjęte narządy leżą z boku, obok trupa, ułożone w kupkach: żołądek zarzucony na wątrobę, pęcherz moczowy na górze, a odbytnica na dole. Ciach-ciach, idą w ruch nożyczki i noże. Na końcu jelito

cienkie i grube, i odbytnica, obmyte, porozcinane na całej długości, lądują w osobnych naczyniach.

Czasami znajdowaliśmy w ludziach ciekawostki: kiedyś z rozciętego żołądka kobiety wysypały się gwoździe, agrafki, spinki do włosów i moneta pięciogroszowa. Z innych narządów lubiłam zwłaszcza widok nerek: były wiśniowe i wcale im nie przeszkadzało, że Ivo skrobie je nożykiem. Pęcherzyk żółciowy też był ładny; kiedy przecięło się go małymi nożyczkami i wypłukało żółć, jego powierzchnia przypominała miniaturowy plaster miodu.

Podczas tego całego krojenia Ivo podawał mi do protokołu dokładny opis stanu każdego z narządów i zmian w ich obrębie. Na koniec osobiście wypełniał punkt dotyczący przyczyny zgonu. I jeszcze tylko podpis i opinia dla sądu.

I tak to szło: „Pan Porządnicki” obracał, łamał i piłował, Ivo kroił, badał, i dyktował, ja odgrywałam swoją rolę we wszystkich trzech punktach programu: głowa, klatka piersiowa, jama brzuszna. A czasem sekcjonowało się dalej, nawet kończyny. Wyobrażałam sobie wtedy, że jesteśmy celnikami — bardzo skrupulatnymi, przyznaję — sprawdzamy, czy zmarły nie próbuje przemycić czegoś do grobu; rozpruwamy go, jak się rozpruwa walizki i płaszcze, wszereż i wzdłuż. Na samym końcu na stole leżał ogromny kawał zimnego mięsa; gorzej, to było coś w rodzaju mielonej karmy dla zwierząt (na przykład „Mięсны kęs”). Pracowało się w ogromnym skupieniu i Ivo mógł przeprowadzić góra trzy sekcje dziennie. Ja miałam dosyć już po jednej. A on i „Pan Porządnicki” stali tam w zakrwawionych kitlach, w zawieszonych na szyi gumowych fartuchach, zakrwawionymi rękami szperając w trupach. Ciały znosiły wszystko ze spokojem; nie można było ich zranić. Po prostu leżały na sekcyjnym stole. Postacie, które kiedyś były naszymi drogimi braćmi i ojcami, naszymi pięknymi żonami i córkami.

Szczególnym przypadkiem, kiedy Ivo musiał zaczynać od klatki piersiowej — a nie od głowy — był zator serca. Rozcinał wtedy skórę poniżej obojczyków, począwszy od trzeciego żebra w dół, przecinał chrząstki żebrowe, przepiłowywał mostek i otwierał worek osierdziowy — prosektor unosił jego brzegi za pomocą pincet, haczyków lub kleszczyków Kochera, zależy, co tam miał pod ręką. Następnie ktoś (zwykle ja) nalewał wody do środka, do tego trupa. Było w tym coś niesamowitego: patrzeć na czyjeś serce, ten niepozorny woreczek przywodzący na myśl egzotyczne ptaki o czerwonych brzuszku albo dorodną czerwoną paprykę. A serce pływało sobie w najlepszym, choć jeszcze kilka dni temu musiało kogoś kochać. Bo tak to już jakoś jest, że kocha każdy, no każdy, dosłownie: „Ala kocha kota”, „mamusia kocha tatusia”, „kochasz mnie?”, „kocham”, „love” i „kiss, kiss”, i tylko Bóg jest taki ogromny, że sam jeden kocha nas wszystkich. A Iwowi to chyba nie przychodziły do głowy podobne myśli, gdy wprawnym ruchem zanurzał serce i nakłuwał skalpelem górną ścianę prawej komory, potem kolejno: prawy przedsionek, lewą komorę i lewy przedsionek — wszystko pod wodą. Drobne banieczki rozpraszały się jak w wodzie sodowej; czy były, jak dużo, jakich rozmiarów — notowałam.

Kiedy pracowałam w kostnicy, próbowaliśmy naprawić, co tylko się da. Tutaj było odwrotnie — wszystko psuliśmy.

Mieliśmy specjalną wagę do ważenia wyjętych z trupa kawałków. Mózg mężczyzny to było średnio tysiąc czterysta gramów, kobiety tysiąc trzysta, a noworodka trzysta trzydzieści, czyli mniej więcej tyle, co męskie serce — kobiece było lżejsze i miało rozmiar zaciśniętej pięści. Przez to całe ważenie dostawaliśmy mnóstwo listów od rodzin; wyzywano nas w nich od zbrojców, nekrofilów, bestiofilów, pedofilów i psychopatów, słowem od bardzo złych ludzi. Wszystko przez to, że w protokole z sekcji, którego kopia trafiała także do rodzin, narządy wymieniało się razem z ich wagą i ci biedni ludzie musieli czytać na przykład o tym, ile ważyło serce ich ojca; nikt nie bawił się w eufemizmy z branży pogrzebowej: mózg to był po prostu

mózg, nie żadna pianka. A jeden list można by śmiało nazwać miłosnym; przysłał go ojciec dziecka sekcjonowanego przez Iva, na długo zanim pojawiłam się w zakładzie. Zaczynał się od „ja bym was wszystkich, skurwysyny”, a ciąg dalszy to były zdaje się słowa na „z”, jak „zgnoić”, „zajebać” i „zerżnąć”.

W ogóle zarzucano nam, że nie sekcjonujemy z szacunkiem; padały przy tym określenia w rodzaju „odarcie z godności” i „upodlające”. Na Boga, jeśli w ogóle można rozpruwać ciało i wyjmować flaki na wierzch, a potem kroić w plastry i na dodatek robić to wszystko z szacunkiem, z całą pewnością tak właśnie robiliśmy!

Zresztą nikt nie zostawiał nam wolnej ręki, na wszystko mieliśmy śliczne specjalne paragrafy. Nie wolno było na przykład sekcjonować zamrożonego ciała. To właśnie od Iva dowiedziałam się, że dorosły człowiek rozmraża się dwadzieścia godzin, dziecko najwyżej kilka. Jak kurczak.

Przepisy określały też rodzaj oświetlenia — najlepsze było światło dzienne — kolejność krojenia, wszystkie narzędzia i inne przedmioty potrzebne do sekcji. I tak przy podejrzeniu zatrucia liczbę słoików na narządy określono na pięć (dawniej na trzy, bo to się co chwila zmieniało). A szło to tak: słoik numer jeden — żołądek plus zawartość („Obecny!” — wołał prosekator, ilekroć trafiła nam się taka przyjemność, a ja zaznaczałam to w protokole, czyli stawiałam ptaszka we właściwym miejscu), słoik numer dwa — duża pętla jelit (cienkie wyglądało jak pęto białej kiełbasy, z kolei grube jak niebotycznie rozepchana kiszka — przysmak „Małego Adolfa”, znaczy mojej matki), słoik numer trzy — duży kawał wątroby, słoik numer cztery — nerki wraz z moczem (dodatkowo sam mocz należało pobrać z pęcherza i umieścić w półlitrowej butelce) i słoik numer pięć — mózg w kształcie galaretowatej meduzy, najpiękniejszy kwiat pośród kwiatów. Poza tym były jeszcze dwie małe buteleczki, do których pobieraliśmy krew. Przy braku krwi w zwłokach mieliśmy do wyboru: ciecz przesiękową, zawartość stawu kolanowego albo płyn z gałki ocznej. No i Ivo zwykle wybierał oko; to, co robił, kojarzyło mi się ze słynną makabryczną sceną z „Psa andaluzyjskiego”, choć nie używał noża, tylko igły.

A potem nasze śliczne słoje jechały do instytutu ekspertyz sądowych; za ich pakowanie i wysyłkę odpowiadał „Pan Porządnicki”. Dwa razy mieliśmy przy tym niezłą wpadkę. Za pierwszym razem „Pan Porządnicki” włożył narządy do słoików z formaliną i szlag trafił chemiczną czystość wymaganą w takich przypadkach. Ci z chemii sądowej okropnie się wściekali, że wysłaliśmy im nie próbki do badań, tylko marynaty. No to posłaliśmy im samą formalinę do testów porównawczych i jakoś sobie poradzili. Za drugim razem było jeszcze gorzej; „Pan Porządnicki” nie zabezpieczył słoików jak należy, potłukły się w drodze, wprawiając w przerażenie posłańca — biedaczek nie wiedział, co wiezie, a pokrowców z tego auta to nigdy nie doprał.

Odtąd stale patrzyłam prosekatorowi na ręce. Po skończonej sekcji wrzucał z powrotem do ciała pokrojone narządy, skrawki skóry, tkanek i tłuszczu, i zaszywał trupa luźnym ścięciem, jakby szył worek. Oczywiście przy żywym kliencie nikt by sobie nie pozwolił na rozłazące się szwy i niedbałe pętelki, ale tak to już jest, że tak właśnie szyje się trupy, prosekator nie był w tej kwestii wyjątkiem. Ale z nim to coś było mocno nie tak, bo jak tylko spuściłam go z oczu, zdarzało mu się wypychać ciała gazetami i taki zmarły szedł pod ziemię, niosąc innym zmarłym — zamiast dobrej nowiny — nagłówki w rodzaju: „Tsunami zabiło miliony”, „Rozbił się autokar pełen dzieci”, „Dobiegają końca wybory prezydenckie”.

Niektórzy nie dostawali swoich narządów z powrotem, jak puzzle, z których pogubiły się kawałki i nikt ich już nie ułoży. Z tymi ich wnętrznościami to było tak: brało się taką kolekcję na deskę do krojenia i przystępowało do pracy. Czasami trzeba było coś zasuszyć, dajmy na to mózg w cienkich plasterkach; przypominało to suszenie grzybów; ponieważ nie wolno nam było

używać do tego grzejników, tacę z plasterkami stawiało się w pobliżu elektrycznego wiatraczka. W razie potrzeby świeże tkanki, a nieraz całe serca, przykryte wilgotną ściereczką, zamykało się na noc w lodówce, a nazajutrz zaczynaliśmy dzień od porannego recitalu organowego: wszyscy obducenci przynosili tace z wycinkami i pokazywali je sobie nawzajem; wyglądali przy tym jak kelnerzy, który w wytwornym lokalu zachwalają gościom danie specjalne. Medycy wymieniali się między sobą tacami i zaczynały się zakłady. Ja i prosektor stawialiśmy na Iva; nie robiliśmy tego przez wzgląd na zawodową lojalność, ale dlatego, że jeśli ktoś mógł tu wygrać, to tylko on.

— Spójrz na tę soczystą wątróbkę! — powiedział któregoś ranka, podnosząc jeden ze skrawków. Ścisnął go lekko i krew wypłynęła na powierzchnię, to mu wystarczyło.

— Przewlekłe przekrwienie wątroby spowodowane niewydolnością serca.

Do mnie należało zajmowanie się tkankami utrwalanymi w formalinie. Wyjmowałam je ze słoï, kroïłam na cieniutkie plasterki — na desce, na jakiej zwykle kroi się chleb albo mięso — i barwiłam do badań. Ivo potrafił całymi godzinami siedzieć tuż obok mnie, pochylony nad mikroskopem. Był zapamiętałym zbieraczem eksponatów: wyjmował z ciał kamienie żółciowe, oplukiwał, suszył i umieszczał w specjalnych buteleczkach. Są tacy, którzy kolekcjonują kolorowe kamyczki znalezione na plaży, ale, cóż, widać można i tak.

A oto przepis na przetwory z mózgu: dorodny mózg o wyglądzie jędrnego kalafiora zawijamy w gazę i umieszczamy w odpowiednio dużym naczyniu, do którego wlewamy dziesięcioprocentowy roztwór formaliny; marynowanie mózgu trwa dwa tygodnie.

Niektóre mózgi wcale nie przypominały kalafiora, tylko szwajcarski ser, a to za sprawą gromadzących się w nich gazów gnilnych. A niektóre trupy śmierdziały serem, w dodatku zjełczałym. Były to ofiary morderstw, których zwłoki ukryto na dnie rzeki albo stawu; zanurzone w mule, nie wypływały. Jak wyjaśnił mi Ivo, w tych warunkach ludzki tłuszcz zamienia się w mydło, ale jak dla mnie wyglądało to bardziej na wosk powleczony wapnem. Taki trup rozpadał się w rękach — kruszył się jak rzeźba z gipsu.

Wstyd się przyznać, nie tylko lekarze urządzali zakłady, bo ja i prosektor też. Samobójstwo czy zabójstwo? — oto jest pytanie. Miałam sposób, żeby to rozpoznać: ci, którzy sami odebrali sobie życie, sprawiali wrażenie spokojniejszych, a nawet uśmiechali się leciutko, w każdym razie tak mi się zdawało. Z kobietami było o tyle prościej, że zazwyczaj zabijały się, kiedy akurat miały okres, serio.

Ale Ivo — jasna sprawa — nie korzystał z naszych podpowiedzi, sam wiedział, na co zwracać uwagę.

Na przykład przy podejrzeniu gardła dokładnie oglądał uszkodzenia na ubraniach, rany na ciele i ślady krwi. Samobójcy przed zadaniem cięcia odsłaniali szyję, rana biegła od lewej do prawej — przy osobach praworęcznych — a jej linia zdradzała niepewną rękę i wahanie. Trzymająca narzędzie ręka powinna być zakrwawiona; zwykle ludzie podcinają sobie gardło na stojąco (często przed lustrem), więc na ciele i ubraniu powstają charakterystyczne zacieki krwi, przypominające czerwony krawat. Jeśli te rzeczy się nie zgadzały, a w dodatku Ivo znajdował na palcach rany obronne, było jasne, że ktoś taki nie zabił się sam.

Czasami zabójcy próbowali nas zmylić; dajmy na to najpierw strzelili komuś w skroń, następnie, chcąc upozorować samobójstwo, wkładali pistolet do ręki ofiary. Na skutek postępującego stężenia pośmiertnego palce trupa zaciskały się na broni. I właśnie to od razu było podejrzane. Przy prawdziwym samobójstwie pistolet zazwyczaj wypada z ręki delikwenta zaraz po oddaniu strzału.

— Co za ignoranci! — tak mówił Ivo o tych zabójcach partaczach.

Z takim samym politowaniem traktował reżyserów kina akcji. Zwłaszcza sceny wszelakich uduszeń i zadzierzgnięć pozostawiały, jego zdaniem, wiele do życzenia.

— Dzisiejsze filmy zalatują gównem — mówił. — Generalnie filmowcy popełniają dwa rodzaje błędów. Albo idzie to u nich za szybko. Hyc, sprawca doskakuje do klienta, zaciska pętlę i ofiara pada martwa, podczas gdy tak naprawdę mogłaby góra stracić przytomność. Albo przeciwnie, sprawca dusi i dusi, a klient, owszem, wywala oczy na wierzch, ale tylko po to, by zaraz, pach, pach, przerzucić sprawcę przez ramię, a potem docisnąć go jeszcze kolankiem do ziemi. Wierutna bzdura. Przy przypadkowym nawet zadzierzgnięciu, kiedy coś oplącze się wokół szyi i zaciśnie, ofiara nie może się uwolnić, i nic jej nie pomoże to, że nie wisi, tylko stoi, i że wygląda to całkiem niegroźnie: po dziesięciu sekundach straci przytomność. Zanim umrze, to oczywiście potrwa dużo dłużej. Miałem tu u mnie chłopczyka, który włożył głowę w pętlę, tak na próbę, żeby poćwiczyć cyrkową sztuczkę. Cyrkowcem w każdym razie nie został.

Jak mówił Ivo, tym, którzy się wieszają, też zdarza się nieraz rozmyślić; dyndając na sznurze, próbują się jakoś uratować, ale nie bardzo mają jak.

— Nawet jeśli dosięgną stołeczka, zanim wyjmą głowę z pętli, stracą przytomność, a dalej to już sznur zrobi swoje.

Na ogół zabójcy nie grzeszyli oryginalnością: najwięcej mieliśmy przypadków zadźgań.

— Nóż to najłatwiej dostępne narzędzie zbrodni. Każdy ma go pod ręką — tak wyjaśnił mi to Ivo.

Z pewnością miała go pod ręką pewna kobieta, która zadźgała niewiernego męża. Najpierw przywieźli do nas tego męża w worku, potem tę kobietę, a policjant na korytarzu zawodził tak, że było go słycać w całym gmachu.

— Wieżowiec, dziesiąte piętro, otwarty balkon, w pokoju facet z nożem w sercu, my spisujemy co i jak, a ta babeczka niby coś tam odpowiada i nagle, hyc, jak nie da susa przez balkonowe drzwi — tak mówił mi ten policjant, kiedy wyszłam do niego na korytarz ze szczytną intencją ofiarowania mu chusteczki; od dziecka wrażliwa jestem na łzy. — Nigdy sobie nie daruję, że tego balkonu nie zamknąłem. „Nic nas nie rozdzieli, nawet śmierć” — to były jej ostatnie słowa — powiedział, zanim zabrał się za wysmarkiwanie nosa.

To prawda: śmierć nie zdołała ich rozdzielić — pokroiliśmy ich tego samego dnia.

Rety, a ci samobójcy — jak oni kombinowali! Niektórzy już na pierwszy rzut oka wyglądali na wariatów, bo kto normalny obciąłby sobie penisa sekatorem albo własnoręcznie wyrwał mosznę? Nie było wątpliwości: byli wariatami i męczył ich seks. Jeden to na nic nie mógł się zdecydować: przeciął sobie szyję brzytwą, ale ciął zbyt płytko, no to chwycił za siekiere — na jego głowie znaleźliśmy szereg ran rąbanych, wszystkie powierzchowne — koniec końców rzucił się pod pociąg.

Ivo miał własną teorię: twierdził, że mężczyźni najczęściej zabijają się w poniedziałki, a kobiety w niedziele. Ale czasem zabijali się razem; mówiło się na to samobójstwo we dwoje (no bardzo romantycznie, całkiem jak randka). Zazwyczaj mężczyźni się wieszali, kobiety się truły, chętnie truły też swoich mężów.

— Cholerne trucicielki — złościł się Erwin, kiedy mu o tym opowiadałam. — To jest argument, żeby się nie żenić.

Nasz rekordzista, siedząc w wannie, zadał sobie siedemdziesiąt sześć ran małym scyzorykiem. Inny delikwent wbił sobie w głowę gwóźdź drewnianym obcasem pantofla; z rozczarowaniem stwierdził, że wcale nie umarł, a jedyne, czego się dorobił, to bólu głowy, wezwał więc pogotowie. Ale trzeba przyznać: dopiął swego — zmarł w szpitalu cztery dni później. Na zapalenie opon mózgowych.

Mieliśmy też mężczyznę, który chyba się nudził, bo rozerwał się granatem (no tego nawet Erwin by nie poskładał). Ale najciekawszy ze wszystkich był pewien rzeźnik: tak umiejętnie przeprowadził cięcie, że niemal odciął sobie głowę — ciął od strony karku, aż po kręgosłup

(Erwin z radości skakał pod sufit, kiedy mu o tym opowiadałam).

Oczywiście niektórzy umierali śmiercią naturalną, na skutek choroby połączonej z wysiłkiem.

— Zdziwiłabyś się, jak wielu ludzi umiera w kiblu — powiedział kiedyś Ivo; żartował, że zabiły ich obstrukcje.

Wielu zabijał seks, zwłaszcza starszych mężczyzn, którzy nie potrafili odmówić sobie gorącego *coitusu* z dużo młodszą partnerką. Grzeczni starszycy też nie mogli czuć się bezpiecznie: zdarzało się, że zabijała ich proteza zębowa, której nie wyjęli na noc — obluźnywała się i dusiła ich we śnie. To ja już wolę seks.

Po kilku tygodniach w prosektorium myślałam, że widziałam już wszystko, ale kiedy przywieźli damulkę z wypatroszonym mózgiem, zmieniłam zdanie. Owszem, miała potrójny sznur perełek i sukienkę od Alberty Ferretti, brakowało jej tylko kawałka głowy — obcięło ją śmigło prywatnego samolotu. Ivo żartował, że to było zabójstwo: samolot i cała reszta należały odtąd do jej piątego męża.

— Miał facet fantazję. Ciekawy sposób na pozbycie się żonki — tak mówił. — Z takim starym pudłem chajtnął się pewnie tylko dla forsy.

A jak wysiadła nam klimatyzacja, no to już w ogóle nie szło wytrzymać; nawet prosektora brało na wymioty. Dyrektor zdecydował, że tak nie może być dalej i kazał nam korzystać z przyszpitalnych prosektoriów. Braliśmy ze sobą zestaw małego Kuby Rozpruwacza — kawałek materiału ze specjalnymi kieszonkami, nad którymi narysowano kształty poszczególnych narzędzi, w sam raz na takie okazje. Przez te obrazki przypominało to dziecięcą zabawę. Lubiłam się w to bawić — nożyczki tutaj, a skalpel tu — i oczywiście zawsze coś pokręciłam, ale Ivo wcale się nie gniewał. Za to prosektor gotów był udusić mnie na miejscu; jak już by ze mną skończył, wyglądałabym jak świnia z czerwonką. Ale Ivo zaraz by poznał, że zostałam uduszona — po wybroczynkach w oczach.

„Tu umarli uczą żywych” — głosił napis w szpitalnym prosektorium. Za pierwszym razem nie nauczyli nas zbyt wiele. Wszystko przez Iva, który, zamiast kroić, przez dobre trzy kwadransy opowiadał znajomemu lekarzowi o swoim urlopie. Ten lekarz miał zeza i nosił w klapie kitla obrazek Matki Boskiej, ale i tak się ślinił.

— Stary, to był niewypał na całej linii — opowiadał Ivo. — Spotykałem się wtedy z jedną sarenką. Wygrała wycieczkę w jakieś orienty, no to łaskawie z nią pojechałem. Przyjeżdżam na lotnisko, patrzę i oczom nie wierzę: sarenka czeka na mnie z plecaczkiem. O ma! Z miejsca wymiękłem i pytam ją, czy ona jest w harcerstwie albo inne takie, bo dorośli ludzie na urlop biorą nesesery, walizki, podróżne torby, kurwa, cokolwiek, ale nie plecaczek. A ona do mnie, że to przecież nieważne, bo i tak ja to będę nosił. „Pal sześć — pomyślałem — grunt, że na miejscu będzie bzykanie”. A gdzie tam, stary! Wracam wieczorkiem do pokoju z Tour de Hotel, a ona już śpi, znaczy właściwie nie śpi, tylko bez przerwy kaszle, że niby chora. Kaszała mi tak przez całą noc. Następnego dnia wstaję wściekły, bo wściekły byłem sakramencko, wiadomo, nie zmrużyłem oka. Harcereczka brała prysznic, to myślę sobie, zajrzę do tego jej plecaczka, z braku innych możliwości podniety chociaż bieliznę sobie pooglądam przy robótkach ręcznych. Patrzę i co widzę? Tuzin majteczek i wszystkie w biedronki, a tak to wyglądało, jakby to kropkowane robactwo je oblażło. „Nie no, dzidzia — pomyślałem — biedroneczki mogą sobie nosić dzieci, a nie ktoś, kto aspiruje do miana kobiety”. Jak tylko zobaczyłem te pantalony, już wiedziałem: z bzykania będą nici, a z urlopu horror. I znikąd, chłopie, poratowania. Bo ta cała wycieczka to były strupieszale baby plus przewodniczka z ryjem świni i jedyne przyzwoite dupy to były dwie głupie lesbije, niech szlag je trafi.

A potem było o tym, co też tam jedli. Bo jedli tam psa.

— Pieczony burek z ryżem to lokalny przysmak, za który słono trzeba płacić — opowiadał Ivo. — To nie są żadne tam kundle, tylko specjalne mięsne rasy.

Tamtejsi hodowcy najpierw głodzą psy, potem podają im surowy ryż, a dopiero kiedy zwierzęta napelnia żołądki, dostają do picia wodę. Pod jej wpływem zjedzony wcześniej ryż zaczyna pęcznieć i psy wiją się z bólu. Znaczy na pewno by się wiły, gdyby miały na to miejsce — są upchnięte po kilka w ciasnych klatkach stojących w pełnym słońcu. Po południu, kiedy upał staje się znośny, zabija się je tępą drewnianą pałką — trzeba uderzać po kilka razy, dlatego czeka się do popołudnia, inaczej ci, którzy uderzają, mogliby się zmęczyć — a wieczorem, po upieczeniu razem z wnętrznościami, psy trafiają na stół ekskluzywnych restauracji. Ivo nieźle się załatwił tym swoim burkiem: przez resztę wycieczki klęczał nad muszłą klozetową.

— Czułem się, stary, jak na pielgrzymce, bo wiedz, że w młodości, owszem, jeździłem. O ma! Takiego ruchania, jakie na nich odchodzi, nie znajdzie się nigdzie indziej.

Po nieudanym urlopie pocieszał się krótko i skutecznie; poznał kogoś w Internecie. A lekarz, ten od Matki Boskiej małoobrazkowej, tylko słuchał i łypał okiem, a jak doszło do pikantnych szczegółów, był już całkiem obśliniony.

— Nie ma, chłopie, rady. Trzeba nastukać się w klawiaturę, żeby stuknąć w realu — mówił Ivo. — No i stuknąłem ostatnio panią prawnik. Zameżna, dupiasta, dzieciata, niemal ideał. Najpierw, że jestem jej ciekaw, bo taka jest niby wielce interesująca, potem, że od dziecka jestem samotny i tylko przy niej czuję, że mógłbym, i tutaj wstawiasz, stary, według fantazji, wszystko jedno co, a na koniec to już chwaliłem na chłama te jej wątpliwe wdzięki. Umówiliśmy się w parku i z miejsca nas wzięło. Opłaciło się, bracie, tracić czas na pierdolety. Tylko ławka była cholernie twarda, ale za to jaki spontan. Trochę się wzbraniała, że niby w miejscu publicznym, że przecież ludzie, ale skoro uległa nawet Bastylia, ona też musiała ulec. Jak się kobitka rozkręciła, ho, ho, zeszło nam do północy. No i nas w tym parku zamknęli. „Dupa blada” — myślę i podsadam to jej wielgachne dupsko, żeby przelazła przez ogrodzenie, a to były, ja wiem, dwumetrowe sztachety. Na szczycie zahaczyła spódnicą i jak się naraz nie zaczęła szarpać. A tam akurat od strony ulicy było dużo latarni i jakaś para staruszków wyszła zza rogu. Tamci idą powoli, majestatycznie, a ona w ryk. „Czego ryczysz? — pytam. — Bo z tego wszystkiego zapomniałam założyć majtki” — mówi. To ja już nie czekałem, tylko, hyc, przez ogrodzenie i mówię do niej: „niech każdy się martwi o siebie”, a do tych staruszków, że wcale jej nie znam. A swoją drogą to był cholernie piękny widok, gdy siedziała tam, w górze, taka rozkraczona i świeciła gołą pipką.

Jasne, że był z niego kutas.

Niespecjalnie lubiłam jeździć do szpitali. Wiedziałam, że umiera w nich masa ludzi i to jest straszna śmierć; tam to dopiero wiedzą, jak odrzeć człowieka z godności.

Wtedy, za pierwszym razem, chciałam odpocząć od paplaniny Iva, więc poszłam na górę, jak to się mówi, przewietrzyć się. I kiedy tak szłam korytarzem, zawołała mnie tleniona blondynka; leżała w sali, którą mijałam, zajmowała łóżko tuż przy drzwiach i właśnie zabierała się za konsumpcję salami.

— Siostrzko, proszę rozstawić parawan. — Wzięła mnie za jedną z pielęgniarek. — Ciężko tak jeść obok cmentarza.

„Cmentarz” to była inna kobieta, leżąca w rogu, krztuszająca się w agonii i tak chuda, że niemal przezroczysta. Zwieźli ją na dół pół godziny później.

Wprost koszmarnie wrażenie robił na mnie fakt, że ciała zwożone windą do szpitalnej kostnicy były jeszcze ciepłe. No na to nikt mnie nie przygotował. „Zbudźcie się, Łazarze!” — chciałam do nich wołać.

— Świeża dostawa mięska! — wołał za każdym razem prosektor, a ja byłam pewna, że taki trup, jeden z drugim, zeskoczy z wózka, jak tylko go uszczypnę.

Ale salowi, którzy zwozili na dół te trupy, nie pozwalali mi ich szczypać. Zamiast tego rozbierali je, szorowali „kąpielowiczów” — tak w szpitalach mówi się na zwłoki, które trzeba umyć — i pakowali do lodówki. Nieraz zdarzało się, że „kąpielowicz” puszczał bąki, a to dlatego, że w martwym człowieku większość rzeczy w środku ciągle działa. Na przykład żołądek: trawi jedzenie jeszcze przez osiem godzin.

Ciało nie wie, że umarło. Gdy lekarz zapisze godzinę ustania akcji serca — jak każą mu te wszystkie okólniki, załączniki i regulaminy postępowania w razie śmierci — ono nadal bije i będzie tak biło przez następnych czterdzieści minut, całkiem jak u żaby. Tych skurczy, co prawda, nie słychać, ale da się je stwierdzić w badaniu elektrokardiograficznym. Co więcej u takiego świeżego trupa można badać „odruchy” — czego ci lekarze nie wymyślą? — nadano im miano reakcji superwitalnych; taki mały *danse macabre* w ramach światowego programu tanecznego. I tak „odruch” Zsaco — skurcz mięśni uda po uderzeniu tępym przedmiotem — występuje nawet sześć godzin po śmierci. Można też drażnić trupa prądem ze zwykłej płaskiej baterii. No i są zabawy z atropiną: źrenice reagują na nią jeszcze przez wiele godzin. A chlorek histaminy wstrzyknięty pod skórę powoduje *erectores pilorum*.

— Czyli że sztywniak dostaje gęszej skórki. — Wszystko to wyjaśnił mi Ivo, kiedy wróciłam na dół.

Lekarz od Matki Boskiej już sobie poszedł i mogliśmy zabrać się do pracy. Prosektor rozbierał trupa, Ivo szykował narzędzia, a ja pomyślałam, że za życia tacy jesteśmy ważni, a po śmierci, jak nas kroją i drażnią, nie różnimy się od zwykłej żaby.

Stopniowo śmierć zaczynała wygrywać i obejmowała całe ciało; panoszyła się ta śmierć jak nie wiem co. Skóra stawała się trupio biała, aż wreszcie przyjmowała niezbyt wyjściową barwę (różnie na to mówiono: szarobiała, ziemista, woskowa); nie wyglądało to specjalnie pięknie.

— Z chwilą zatrzymania akcji serca — tłumaczył mi Ivo — ustaje krążenie, a krew, ulegając sile ciężkości, zaczyna opadać ku dołowi.

Prowadziło to do powstania plam opadowych, najbardziej widowiskowego ze znamion śmierci. Przez te plamy niektórzy zmarli wyglądali jak chorzy na różyczkę, u innych wykwitwały na ciele skupiskami, przypominając kwitnący cyklamen — ładni byli ci ludzie, tacy cali w płatkach. A jeszcze inni nie różnili się od plażowiczów, którzy za długo się opalali i słońce zostawiło im różowy kolor tu i tu, i tutaj też. Plamy zdawały się żyć własnym życiem; czasami pojawiały się już w trakcie agonii, a potem, w ciągu następnych godzin, wędrowały, utrwały się, a nawet bladły pod silnym uciskiem. To byli mali sojusznicy Iva, bo dzięki nim wiedział, czy zmieniono ułożenie ciała, czy w chwili śmierci człowiek był w ubraniu, czy i jaki przedmiot uciskał na skórę (wówczas pozostawało na niej odbicie owego przedmiotu — biała przestrzeń wolna od plam). Plamy różniły się w zależności od okoliczności zgonu: normalnie były sinoczerwone, inne malinowe (przy zatruciach, głównie tlenkiem węgla), a jeszcze inne jasnoczerwone (jeśli zwłoki znajdowały się w miejscu wilgotnym i zimnym). A ci, którzy zmarli w wyniku wykrwawienia — Ivo mówił, że ktoś im zrobił drenaż — wcale nie mieli plam i byli bardzo biali. U wisielców, których przez dłuższy czas nikt nie odciął, krew spływała do stóp i dłoni; wyglądało to tak, jakby mieli na sobie rękawiczki i skarpetki w kolorze ciemnolila.

O innym ze znamion śmierci — stężeniu pośmiertnym — wiedziałam co nieco już wcześniej; nieraz w kostnicy przełamywaliśmy je z Bazylem. Tak naprawdę nie miało to nic wspólnego z łamaniem, po prostu masowaliśmy ciało, zginaliśmy i rozginaliśmy kończyny tak długo, aż przestały stawiać opór i można było swobodnie ubrać trupa. Nie wolno było robić tego gwałtownie, żeby nie rozerwać mięśni. Poza tym Ivo był tak miły i pokazał mi kiedyś ciało

człowieka w pełnym stężeniu. Ten mężczyzna leżał na boku z podkurczonymi nogami, z rękami lekko zgiętymi w łokciach. Jego dłonie zacisnęły się w pięści. Wyglądał jak embrion. Jakbyśmy, nawet umarli, chcieli wrócić z powrotem do łona matki. Do jakiegokolwiek łona.

Przyznaję, jedna rzecz nie dawała mi spokoju: czy lekarzom często zdarza się pomylić, jak niegdyś, przy mojej ślicznej Kasi, i zwieźć windą na dół kogoś, kto żyje. Bo taki na przykład Petrarca — obudzony przez przeciąg — „zmartwychwstał” na cztery godziny przed własnym pogrzebem. Inkwizycja skazała na śmierć medyka, który omal nie pokroił żywego człowieka, a całkiem niedawno w jednym z przyszpitalnych prosektoriów lekarz zmarł na zawał po tym, jak rzekomy trup obudził się na sekcyjnym stole po nacięciu nożem i chwycił biednego medyka za gardło.

— Taki był z niego lekarz, jak ze mnie kosmonauta — powiedział Ivo. — Trudno się dziwić sztywniakowi, że się zdenerwował.

To był nasz drugi dzień w szpitalu i kroiliśmy właśnie starszą kobietę — jeszcze jak kroiliśmy! Dla Iva to była strupieszka baba, dla mnie kasoleta. Wcześniej wyglądała jak zwiędła pietruszka, a teraz — taka rozcięta — przypominała „Ubieranie poślubionej” pędzla Maxa Ernsta. Jej oczy straciły połysk, stały się matowe; rogówki pomarszczyły się i pofałdowały, sprawiało to wrażenie popękanej porcelany (znacie te drobne pęknięcia, jakie powstają na delikatnej, gładkiej powierzchni przy najłżejszym uderzeniu?); na spojówkach w kącikach oczu zauważyłam trójkątne brązowe plamy. Ale tęczęwki nadal były zielone, najpiękniejszym na świecie odcieniem zieleni. Kiedy umierała, jej źrenice musiały się rozszerzyć, potem lekko zwęzić, a teraz ich średnica wynosiła siedem milimetrów, co zwykle się nazywało „ustawieniem trupim”.

Kobieta nawet nie mrugnęła, kiedy Ivo wycinał jej pochwę. Właściwie więcej niż pochwę — wykonał szerokie cięcie okrążające krocze i wyjął połączone ze sobą narządy płciowe: macicę z jajowodami, jajnikami, pochwą i sromem. Umocował to wszystko na przygotowanej wcześniej deseczce; wyglądało to na surrealistyczną rzeźbę i myślę, że gdyby wysłać to na konkurs sztuki nowoczesnej, Ivo na pewno by wygrał.

A gdybyśmy urządzali konkurs na najdziwniejszy przypadek śmierci, zwycięzcą byłby jeden facet, który popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę z pistoletu na kulki; musiał oddać kilkanaście strzałów i zabrało mu to trochę czasu, ale w końcu dopiął swego. Jeszcze inny też był niezły: chcąc zaimponować dziewczynie, zagrał w rosyjską ruletkę półautomatycznym pistoletem.

— I foczka spytała, czy on to przeżył. Uwierzysz? — zapytał Ivo.

Po tym, co tu widziałam, gotowa byłam uwierzyć niemal we wszystko. Mieliśmy dziecko, które wypadło z samochodu, podczas gdy jego matka wykonywała skręt kierownicą; przejechała mu w sam raz centralnie przez głowę. I faceta, który próbował osiągnąć większy orgazm przez strangulację, ale to mu nie wyszło, za to wyszło mu coś innego: udusił się nylonową pończochą.

— Strzelił chłopak samobója. Z wieszaniem nie ma żartów. Są tacy, co myślą, że to zabawa — powiedział wtedy Ivo, zdejmując mu z szyi nylony.

Kiedy Bazyl mówił, że dobrze trafiłam, nie miał, niestety, racji: nie mogłam trafić gorzej, miałam tego szpitala po dziurki w nosie. Wystarczył tydzień i czułam się jak mięso przepuszczone przez maszynkę. Wszystko przez atmosferę szpitala, przez prosektora, który kończył właśnie szyć tego faceta od strangulacji, ale głównie przez Iva, który nie chciał się zamknąć. Zdawało mi się, że gada bez przerwy od tygodnia.

— Jeden mój znajomy miał chorobliwie zazdrosną żonkę. — Ledwie zamknął usta, znowu je otwierał. — A filutka z niej była jakich mało, ciągle strzelała do mnie oczami, prawdziwa gryzетка, do tego nie byle jaka aktoreczka i taki miała sposób na tego swojego nieszczęsnego

męża, że mu się co jakiś czas wieszala. Wszystko miała pięknie obcykane: siedziała sobie w okieneczku, widziała, jak parkuje i miała wyliczone, ile minut zajmie mu droga na górę, taka z niej była zmijka. On wchodził na klatkę, drałował po schodach, a ona w tym czasie głowę w pętlę, bo od rana miała przygotowane: taborecik, sznur, pętelkę, wszystko pięknie, no i ona hyc z taborecika, i w sam raz się poddusiła, tak że akurat kiedy wchodził, była deczko sina. Szacowny małżonek odcinał ją, cucił, bił się w piersi, że to niby jego wina i że on się poprawi. Kino, spacer, papużki, kurwa, faliste nierozłączki, czego to on nie robił, a gryzетка czekała codziennie z ciepłym obiadem. Aż się żoneczka przeliczyła. Traf chciał, ona tam przeprowadza swój mały szantażyk, wszystko według wzoru, a szacowny małżonek spotkał na klatce sąsiada. Zaczęli gadać o tym i o owym. On sobie gadał, a ona dyndała. Ale pogrzeb miała śliczny. Ludzi zeszło się kupa, a samych jej kochanków to chyba był tuzin.

Chyba z tuzin lekarzy pokiwał mu głową w odpowiedzi. Od kilku dni schodzili się do nas na sekcje. Wieść o tym, że Ivo jest naprawdę dobry, rozeszła się po szpitalu lotem błyskawicy i każdy chciał go zobaczyć przy pracy. Dla nich to była prawdziwa atrakcja, coś jak pokaz iluzji. Mieli oczywiście swoich obducentów, ale żaden nie dorastał mu do pięt. Ivo był zachwycony — nie co dzień trafiała mu się taka publika — słowem czuł się jak ryba w wodzie. Prosektor szył trupa, lekarze klaskali i tylko ja miałam tego wszystkiego dosyć.

Ale oto przed nami gwóźdź programu: na stołach ułożono najbardziej zmasakrowane zwłoki, jakie przyszło nam badać. Znalezione je w kontenerze na śmieci. To była cała rodzina: ojciec, matka i dziecko. Pisały o tym wszystkie gazety. Ciała wypatroszono; usta wypchano brudnymi szmatami i kiedy Ivo zaczął je wyciągać — a ciągnęły się kilometrami, jakby nigdy, przenigdy nie miały się skończyć, jak chusty z cylindra magika — chwyciły mnie mdłości; nawet prosektor się po tym rozchorował. Ale Ivo, który właśnie ogląda rozebrane zwłoki, udaje twardziela.

Kobieta zginęła od strzału w potylicę. Ślady opalenia na skórze wskazują na strzał oddany z odległości trzech, czterech metrów. Rany ani otworu wylotowego nie ma, co oznacza, że użyto miękkiej ołowianej kuli. U mężczyzny jest inaczej, natrafiamy na coś nietypowego — w większości wypadków bez trudu można odróżnić ranę wlotową od wylotowej, ale nie tutaj: rana na piersi, nad lewą sutką, i ta na górnej części łopatki są identyczne.

— Sprawa gmatwa się, a przez to staje się ciekawa — mówi Ivo i już pruje jak strzała ostrzem przez ciało. Otwiera kanał, którym szła kula, i idzie jej śladem: przez serce, ocierając się o lewą krawędź kręgosłupa i dalej pod kątem trzydziestu pięciu stopni, wreszcie dociera do górnego skraju łopatki i wyjmuje jej wyłamany kawałek. — Wszystko jasne, tutaj kula straciła impet, zanim wyszła z ciała, to wyjaśnia, dlaczego rana wylotowa nie jest większa.

Potem przyszła kolej na dziecko, ale nie wiem, jak zginęło, bo wyszłam pod pozorem zaczerpnięcia świeżego powietrza. Tak naprawdę nie chciałam płakać tak przy wszystkich.

Tydzień później naprawili klimatyzację i znów mogliśmy kroić ludzi u nas, w zakładzie. Z tą klimatyzacją to zdążyli w ostatniej chwili, bo nazajutrz po jej naprawieniu przywieźli do nas topielca. I dopiero wtedy okazało się, że nie mam pojęcia o smrodzie.

„Pływacy”, jak ich nazywaliśmy, byli najgorszymi przypadkami. Wystarczyło wejść do budynku, a już się wiedziało, że dzisiaj będziemy jakiegoś kroić: trupi odór przenikał przez wszystkie pięć pięter, nie można było przed nim uciec.

— Dzisiaj, gołabeczko, pokażemy ci coś naprawdę ciekawego.

I pokazali mi brudnozielony, porośnięty przez wodorosty worek rozdęty gazami. Kiedyś to musiał być mężczyzna. Teraz to był gigantyzm Caspra. Leżał w wodzie co najmniej dwa tygodnie, zanim wypłynął i ktoś na niego trafił.

— Zwłoki dzieci i grubasów wypływają szybciej — powiedział Ivo. — Oceniając zmiany na skórze stóp i dłoni, możemy określić, jak długo ciało moczyło się w wodzie.

I naprawdę oglądał „szuwarkowi” stopy. Wiedziałam, że po dwóch, trzech godzinach naskórek na opuszkach palców robi się gruby i pomarszczony, całkiem jak w długiej kąpieli. Czego nie wiedziałam, to że po dwóch dniach marszczą się nie tylko palce, ale całe dłonie — mówi się na to „skóra praczeki” (no tyle to nigdy w wannie nie siedziałam). Po sześciu dniach skóra staje się kredowobiała, a dnia siódmego Bóg odpoczywał, a skóra topielca dawała się przesuwać względem podłoża.

— Tutaj jest jeszcze ciekawiej. Popatrz — powiedział Ivo i naprawdę kazał mi patrzeć.

Naskórek odchodził tak, że można go było ściągnąć z całej dłoni, w jednym kawałku, razem z paznokciami. Mówiło się na to „rękawiczowanie”, a na tę ściągniętą skórę „rękawiczki śmierci”.

— Nie chciałabyś ich, laluchna, przymierzyć?

„Pan Porządnicki” miał chyba nadzieję, że zemdleję i będzie mógł mnie cucić. Ale nie zemdlałam. Nawet gdy kazali mi wypełnić „rękawiczkę” parafiną i zrobić daktyloskopię. Potem patrzyłam, jak Ivo rozkłada topielca, wyjmuje narządy i wyciska z nich wodę, no całkiem jakby wykreczał brudną ścierkę. W laboratorium w tej wyciśniętej wodzie, nazywanej topielczym płynem, będą szukali okrzemek, obecnych przy śmierci przez utonięcie. Narządy, po tym jak Ivo już z nimi skończył, nie przypominały tych u reszty ludzi. Płuca, kiedy ich dotknęłam, sprawiały wrażenie gumowej poduszki.

A ten topielec to chyba się na mnie wziął: następnego dnia spotkałam go drugi raz, u nas w kostnicy. Akurat jak weszłam, Erwin kończył walczyć ze smrodem: posypał ciało proszkiem neutralizującym przykry zapach, a wyglądało to, jakby je solił. Potem wprowadził igłę punkcyjną pod mostek i ściągał płyny przy użyciu pompy; zebrało się tego piętnaście litrów. Kiedy już nic więcej nie dało się wycisnąć z topielca, owinał ciało w płótno i ubrał w specjalny kombinezon z folii wyłożonej środkiem chłonnym; taki kombinezon był w stanie zaabsorbować do szesnastu litrów płynów. A wszystko po to, żeby w trakcie pogrzebu nic nie ciekło. Rodzina topielca była bardzo zadowolona — o ile łatwiej go było kochać, kiedy nie śmierdział. A nam, którzy go kroiliśmy, nikt nie podziękował.

Następnej nocy przez tego topielca nie mogłam zasnąć. Nasłuchiwałam przez ścianę, co robi moja matka, znaczy „Mały Adolf”. W jakiejś gazecie przeczytałam, że Rudolf Höss dał na imię swojej córce, urodzonej w Oświęcimiu, Anneliese. Aniołeczek? No nie mogę, też wymyślił. Kiedy ja sobie czytałam, Bazyl dostał zawału. Po odejściu Leny nie wyrabialiśmy się z pracą i musiał zostać w zakładzie sam, samiuteńki. Wystraszyły go narzędzia, które spadły na podłogę. Na śmierć go wystraszyły. Myślał biedaczek, że to zmarli chcą się zemścić za Lenę i za to jej całe baraszkowanie. Znaleźli go rano: przeżył, ale wylądował w szpitalu.

Odtąd Erwin i ja tonęliśmy w pracy, i nie miał kto zająć się dziećmi; wzięłam to na siebie. Kursowałam na trasie: kostnica-sekcje i wszyscy mówili, że jak tak dalej pójdzie, to oszaleję; wszyscy, nawet Lena. Ale kim byłam, żeby w to wierzyć?

A zeszłej nocy śniłam o powodzi. I o tym, że płacę. Jak płacę? Bardzo. Dźwigam kości moich zmarłych — nieznośny ciężar, który nic nie waży — a przede wszystkim, że pochylamy się nad wodą, a ona podnosi się ku nam i nas ogarnia.

20. Wyjaśnij coś martwemu dziecku, słońce

Czas, żebym opowiedziała, jak doszło do tego, że Lena była w ciąży. Zanim Mała przyszła na świat, wydarzyło się to i owo; przetoczył się nad nami prawdziwy huragan, a przynajmniej tak się wtedy czułam. Na okoliczność tej całej ciąży Lena puszyła się jak paw. Żebyście ją widzieli! Nic tylko wstawić jej twarz w obrazek Matki Boskiej i paść na kolana, i dalej zawodzić: zanościć dziękczynne modlitwy daleko, hen, daleko. Zachodziliśmy w głowę, kto też może być ojcem; Ivo żartował, że urodzi się pogrobowiec.

— Biorąc pod uwagę jej wyczyny, nie jest to niemożliwe — tak powiedział. — U sztywniaka można znaleźć ruszające się plemniki nawet trzeciego dnia po śmierci.

Czyżby Łazarz? No nie, bez przesady. Na samą myśl o tym ścierpła mi skóra aż po koniuszek dużego palca u nogi; dopadło mnie moje własne *erectores pilorum*, jak u potraktowanych histaminą trupów. Ulżyło mi, kiedy dowiedziałam się, że Lena ma jednak dla tego dziecka jakiegoś ojca.

— Jeśli to będzie chłopiec, dam mu imię po tatusiu. Wiedziałaś, że „Tomasz” znaczy „bliźniak”? — zapytała mnie któregoś dnia; choć wyrzucili ją z pracy, spotykałyśmy się nadal; Lena uważała, że jestem jej to winna.

I wtedy sobie przypomniałam, że faktycznie, przed paroma tygodniami poznała mnie z jakimś tam Tomaszem. Z początku wzięłam go za dziewczynę o chłopięcej figurze, ale to jednak był chłopak; prawdziwe chucherko: sama skóra i kości, tyczka właściwie. To było wtedy, gdy Lena była gładka i śliczna, a przynajmniej tak uważała — właśnie zrobiła sobie botoks: wstrzyknęli jej jad kiełbasiany („Tutaj, tutaj. — Pokazywała palcem. — I tutaj też.”). Dosłownie skakała z radości.

— Od razu wyglądam na dziesięć lat mniej. Usteczka mam jak cukiereczek.

Ale kiedy ten cały jad się poprzesuwał, to już nie było tak znowu pięknie: brwi Leny uniosły się i tak już zostały, co przez następnych sześć miesięcy nadawało jej twarzy wyraz permanentnego zdziwienia; przypominała Dumbo z kreskówki Disneya.

No więc tamtego wieczoru byłam z nią w klubie takim-a-takim i patrzyłam, jak tańczy z nieśmiałym Tomaszem-tyczką, ale tylko przez chwilę, bo zaraz poszłam do domu. Szybko się nudzę wśród ludzi. A nazajutrz Lena była wściekła.

— To musi być pedał. Zrobiłam, cipcia, wszystko jak trzeba — opowiadała. — Nawet trick z butami. Tak się zataczałam, że niby za dużo wypiałam. Odprowadził mnie najpierw do domu, potem do sypialni. No to sru, podsunęłam mu pod nos kolanko. A tam mini, pończoszki, widać dużo ciała, bluzka z cyckami i buty, aż dotąd, te sznurowane. Mówię, żeby pomógł mi zdjąć to cholerstwo, bo przecież sama nie dam rady, no prawda? Jak ściągnął jeden bucik, zaczęłam go smyrgać nogą w pończoszce to tu, to tam, że niby przypadkiem. On twarzo nic, dalej zdejmuję. Ja się tam przeję, dziką kotkę odstawiam, a on mówi: „To ja już pójdę”. No i poszedł.

Ale teraz skłonna była twierdzić, że Tomasz z miejsca zakochał się w niej bez pamięci.

— Wszyscy myślą, cipcia, że się wyskrobie, ale nie mam zamiaru.

No i wtedy wyszła na jaw sprawa gwałtu. Oczywiście Lena upierała się, że to wcale nie był gwałt, ale ja wiedziałam swoje.

— Może i go zgwałciłam, ale tylko trochę — przyciśnięta do muru zeznała przed sądem, prychnąwszy jak rozzłoszczona kotka, chociaż ciągle wyglądała jak ten nieszczęsny Dumbo.

A Tomasz i tak przegrał sprawę, którą jej wytoczył.

— Ale z ciebie pizda — powiedziała Lenie, bo tylko ja jedna mu uwierzyłam; po ogłoszeniu wyroku czułam się obrzucona błotem, w środku.

Przez jakiś czas unikałam Leny. Minęło kilka tygodni i zaczęłam nawet wierzyć, że wreszcie będę miała z nią spokój. Zrozumiałam, że nic z tego nie będzie, tego dnia, gdy zjawiała się u nas, w zakładzie; miała szczęście, że nie było właścicieli — dają słowo, tak jak stała, wpakowaliby ją do chłodni.

Erwin opowiadał mi właśnie o promesji. Ekologiczny pogrzeb — tak na to mówiono, a chodziło o to, żeby człowieka przerobić na kompost. W promatoriach trumnę z płyty wiórowej zanurza się w ciekłym azocie: jeden litr azotu na kilogram ciała. W azotowej kąpielii trup zamarza i taki zamrożony, jak pulpety albo indyk, trafia na pas transmisyjny. Dalej jest tak: pas zaczyna wibrować, pod wpływem drżenia zmarły kruszy się i rozpada. Po odparowaniu wody i usunięciu

metali ciężkich (plomby, implanty) zostaje nam trup w wersji instant; ma różowo-beżowy kolor, nie śmierdzi, jest poręczny i lekki jak błyskawiczna zupka. Trupka w proszku przesypuje się do trumienki ze skrobi ziemniaczanej, zakopuje i gotowe: może służyć roślinom jako nawóz.

— Ciekły azot to przemysłowy odpad. Dzięki promesji jako gaz zostaje uwolniony do atmosfery, której jest naturalną częścią — cieszył się Erwin. — Metalowe kawałki wyciągnięte z ciała można poddać recyklingowi. Nic się nie marnuje, nawet odparowana woda. Na razie nawadnia się nią parki pamięci, gdzie rodziny zmarłych sadzą drzewa, ale w przyszłości można by iść krok dalej i wykorzystywać ją na przykład jako wodę do żelazka.

Oj tak, mój tatuś nadawałby się w sam raz do prasowania; starczyłoby go dla całego bloku i dla tych z przeciwka też.

— A czy nie można kompostować zmarłego w jednym kawałku, bez tego całego rozdrabniania? — I z miejsca wyobraziłam sobie dobrego wnuczka, który na przymie kompostu przerzuca widłami babcie.

Ale, niestety, nie było można. Jak wyjaśnił mi Erwin, ludzkie ciało jest na to zbyt duże, zaraz zaczyna psuć się i śmierdzieć, całkiem jakby brało udział w wyścigu przez wieczność: „Uwaga, do gnicia, gotowi — start!”. Żeby trup mógł się kompostować — bo gnicie i kompostowanie to dwie zupełnie różne sprawy — trzeba by było pociąć go na kawałki, ale do tego jakoś nikt się nie palił. No chyba że Ivo albo psychopaci w rodzaju „Dżinsowego” — oni jedni tak. I pomyślałam o porąbanych ludziach z Tybetu, o tym, jak w trakcie buddyjskich pogrzebów ćwiartuje się zawinięte w białe płótno ciało mnicha, by rzucić je na pożarcie sępom, i o tym, że zmarły żyje dalej — w tych sępach. W innych rejonach zwłoki zostawiało się nagie i w całości, tylko gdzieś nacięte nożem, co ułatwiała zwierzętom dostęp do mięsa. Siekiera szła w ruch dopiero po kilku dniach, gdy z człowieka pozostał sam szkielet: rozbijało się nią grubsze kości, tak by sępy mogły je pożreć w postaci miazgi. Mówi się na to „powietrzny pogrzeb” albo „pogrzeb niebiański”.

Z kolei Ewenkowie, rdzenni mieszkańcy tajgi, robią coś przeciwnego: chowają swoich zmarłych w skrzyniach zawieszonych w koronach drzew. W ten sposób chronią ciała przed zwierzętami — ziemia jest tam zbyt zmarznięta, by w niej kopać. Zdarzało się, że myśliwych owijano w skóry renów i grzebano na stojąco w dziupli drzewa — no cóż, można i tak.

To właśnie drzewa najbardziej podobały mi się w tej całej promesji. Sadziło się je na grobach, podlewało, pielęgnowało, a kiedy już urosły, w upalne południe można było skryć się w rzucanym przez nie cieniu, wsłuchując się w szum liści i w górujący nad nim radosny świergot wędrownych ptaków, przesuwających się po niebie, choć wyglądało to tak, jakby niebo było muślinem albo chintzem, który te ptaki rozpinają nad ziemią od krańca do krańca horyzontu. W takich momentach — tak sobie wyobrażałam — na żałobników spływał spokój w związku z tym całym *non omnis moriar*. Ale ludziom nie bardzo podobało się przerabianie bliskich na nawóz.

— Idioci! — złościł się Erwin. — Sądysz może, że inne opcje są ciekawsze?

No więc nie są. Taki na przykład pogrzeb tradycyjny, czyli zabawa w chowanego, to nic innego niż stare dobre gnicie. Bo to się tak tylko mówi: „W proch się obrócisz”.

— Poniżej dwóch stóp nie ma tlenu niezbędnego do prawidłowego rozkładu, a to oznacza, że każde zakopane ciało będziegniło aż miło — powiedział Erwin, a ja pomyślałam o grubych Murzynach, ciastusiach i innych tego rodzaju atrakcjach.

Jest jeszcze kremacja, ale nigdy nie byłam za paleniem ludzi w piecach; przywodzi mi to na myśl Niemców, obozy i mojego dziadka, tak chudego, kiedy wrócił z Dachau, jakby był rzeźbą z kości i mięsa. Mordercy do dziś lubią ten sposób pozbywania się ciał, choć jest on czasochłonny: spalenie zwłok dorosłego człowieka w zwykłym piecu kuchennym opalonym

drewnem może zabrać nawet czterdzieści godzin.

— Lepiej nadają się do tego piece chlebowe — powiedział mi kiedyś Ivo. To było tego dnia, gdy wybieraliśmy z popiołu kości noworodka; wyglądały jak koraliki, mnóstwo koralików. — Całkowite zwęglenie małego ciała nastąpiło po co najmniej dwóch godzinach. Tyle samo zajęłoby spalenie głowy albo nogi kogoś dorosłego.

W krematoriach radzą sobie o wiele lepiej: spopielają całych ludzi w góra dwie godziny. Ale w jedno nie wierzcie: to nie jest estetyczne. Pałace się mięso wydziela akroleinę, podobną w zapachu do kościelnych świec z podłego łożu. Skóra i włosy zajmują się od razu; mięśnie kurczą się pod wpływem żaru: trup zgina kończyny, a czasem niemal siada, wyważając przy tym wieko trumny; brzuch pęka — rozrywa go tworząca się w nim para wodna; mózg ulega stopieniu, upodabniając się do lepkiej masy w rodzaju ciągutki, a rak wcale nie chce się spalać — o tym wszystkim wiedziałam od chłopców z krematorium; z tyłu pieca mieli specjalne okienko, przez które mogli sobie co nieco pooglądać.

— Jasne, że nie pokazujemy tego rodzinom: sztywniaków z mózgiem jak topiony serek — powiedział mi kiedyś jeden z tych chłopców, jasnooki, wysoki i smukły. — Krewni mdleliby nam tu jeden po drugim i kto by ich cucił?

Te rodziny to w ogóle nic nie wiedziały. Sądziły na przykład, że zmarły sam z siebie spala się na proszek, nie miały pojęcia, że na koniec duże fragmenty czaszki i kości mieli się w specjalnym urządzeniu do rozdrabniania szczątków; w sumie to taki duży młynek do kawy. Za to urny faktycznie mieli ładne, taki na przykład onyks pakistański, czarna zebra albo marmur pejzażowy. No i nowość: urny dla zwierzątek, z wyrzeźbioną łapką pieska albo w kształcie mrau-mrau kotka.

— Krematoryjne piece wydzielają do atmosfery ogromne ilości dwutlenku węgla i toksyczne związki rtęci z plomb — tłumaczył mi dalej Erwin tego dnia w zakładzie, myjąc zwłoki.

Powinam mu w tym pomóc, ale nie miałam do tego głowy: od rana byłam mocno kołowata (słowo z repertuaru mojej pięknej matki). Przez okratowane okno wpadało do nas słońce i chyba przez to słońce nic mi się nie chciało.

— Przy klasycznym pogrzebie też nie jest pięknie — kontynuował Erwin. — Całe to gówno przenika do wód gruntowych.

Aby ograniczyć stopień zanieczyszczenia, zwłoki spala się w nielakierowanych trumnach bez metalowych okuć. I dobrze, przynajmniej tym kremowanym nie grozi, że na ostatnią drogę dostaną „Chrystusa-Chińczyka”, jak moja babka, żeby im tańczył radosne hula-hula. Dużym powodzeniem cieszą się trumny ekologiczne EKO-2000, zrobione z tektury.

— Są przyjazne dla środowiska i tańsze. W zeszłym roku przyznano im złoty medal na Targach Sztuki Cmentarnej „Nekropolie” — powiedział Erwin i od razu poznałam, że jest nimi co najmniej zachwycony. Mnie osobiście nie przekonywały owe trumny-medalistki. Pomyślałam, że człowiek spakowany w tekturę musi wyglądać jak wielka paczka, nie wiedziałam tylko, do kogo można by ją było wysłać.

Krematoria buduje się wyłącznie w dużych miastach, a to dlatego, że ogień powinien palić się nieprzerwanie; naprzemienne rozpalanie i studzenie pieca jest nieekonomiczne, poza tym niszczy jego wewnętrzną konstrukcję. Tylko metropolie są w stanie zapewnić odpowiednią liczbę klientów; zwłoki czekają w kolejce, a gdy chłopcy z krematorium chcą dorzucić kogoś do pieca, na chwilę przykręcą płomień. Ci chłopcy muszą uważać na trupów-zamachowców, czyli tych z rozrusznikiem serca.

— W przeszłości zdarzało się, że za sprawą rozrusznika dochodziło do eksplozji. Mogło to uszkodzić piec — tłumaczył mi Erwin.

Obecnie, żeby uniknąć tego rodzaju atrakcji, rodzina zmarłego wypełnia kwestionariusz

(„Rozrusznik serca: nie posiada/posiada — właściwe zaznaczyć”).

— To tych z rozrusznikiem się nie spala? — naiwnie spytałam.

— Jasne, że się spala — odpowiedział Erwin, który poza tym jednym jedynym razem, kiedy na mnie krzyczał, miał do mnie cierpliwość wprost anielską. — Tylko wcześniej trzeba z nich to i owo wypruć.

Przy kremacji zabronione jest wkładanie do trumny przedmiotów, które mogłyby wpłynąć na proces spalania. Temperatura pieca musi być pod ścisłą kontrolą, a duże ilości papieru, łatwopalne płyny albo na przykład baterie mogłyby gwałtownie ją podnieść. Dlatego wprowadzono prohibicję na alkohol, książki, gazety, przenośne telewizorki i radjka. Biedne trupki: nie wolno im było zabrać ze sobą w ten piekielny płomień ani piersiówki — dla kurażu — ani nawet Biblii.

Nie tylko rozruszniki wypruwano z trupków, bo tytanowe pręty też — takie, jakiego zabrakło dla Leny; usuwano je ze zwłok jeszcze w szpitalach. Przypominało to wyciąganie ości z wielkiej śniętej ryby. Jasne że te pręty nie stwarzały żadnego zagrożenia; chodziło o to, że lekarze mogli sobie na nich dorobić. Ciekawi mnie, co ci lekarze mówili potem pacjentom w prywatnych klinikach, do których trafiały takie pręty *second hand*: „Dam panu dziesięć procent zniżki, bo towar był używany”? Albo: „Prawie nówka, mało śmigana”?

Całe to spalanie i grzebanie nie jest tanie. Nic dziwnego, że naukowcy od lat głowią się nad wynalezieniem nowego sposobu utylizacji zwłok; „pozbycie się ciała” — tak na to mówią, całkiem jak mordercy. Ostatnio wymyślili kąpiele w ługu, a znaczy to mniej więcej tyle, co ten mój czyszciciel z filmów o mafii, który przychodzi i wszystko sprząta.

Zastanawiałam się, czy nie za szybko pozbywamy się naszych zmarłych, jak pustych opakowań.

— Wolalabyś poczekać, aż zaczną śmierdzieć? — odpowiedział Erwin, kiedy go o to spytałam i nie pozostało mi nic innego, jak tylko przecząco pokręcić głową.

„Och, gdzie te czasy, gdy czuwało się przy nieboszczyku w dzień i w nocy, a potem, już po pogrzebie, przez czterdzieści dni odprawiało uroczystości żałobne, żeby jego dusza nie zabłądziła w tej całej wieczności? — tak wtedy pomyślałam. Te czterdzieści dni wzięłam sobie od różokrzyżowców. — A cała reszta co?”

O tym właśnie rozmawialiśmy z Erwinem, kiedy w drzwiach stanęła Lena, trzymając pod pachą bardzo brzydkie dziecko. Rety, paskudne było to dziecko jak nie wiem.

„Ale zaraz, zaraz, jak ona mogła tak szybko urodzić?”. Pomyślałam, że to musi być cud, zwiastowanie, gołąbek i cała reszta świętych. Ale żaden cud to nie był — to była lalka.

— Reborn, nie żadna lalka — wyjaśniła nam Lena. — Poznajcie Emmę Poppy. Przywitaj się, Emmo. Robiła ją rebornistka z Wiednia. Wszczepiła Emmie piękne gęste włoski z amerykańskiego moheru. Każdą kępkę skręca się ręcznie. Trzeba je myć w specjalnym szamponie i szczotkować szczotką dla niemowląt. Spójrzcie na efekt ślinki cieknącej po brodzie, czy nie jest cudowny?

Nie wiem jak Erwin, ja nie uważałam, żeby był cudowny.

A Lena tego dnia paplała jak najęta:

— Emmo, powiedz swojej nowej mamie, czy nie jesteś słodkim bobasem? Jesteś, ach jesteś, słońce ty moje, no naprawdę.

Rety, ile roboty jest z takim rebornem; wykonanie jednego zajmuje wiele godzin. Za ich podstawę służą formy z winylu. Wypełnia się je winylowym i szklanym granulatem oraz polyfilem, aż do uzyskania ciężaru ciała dziecka. Winylową formę maluje się ręcznie, nakładając warstwy „skóry” z wielką precyzją, dzięki czemu załamania i fałdki mają realistyczną barwę i strukturę. Używa się do tego farb, które — podobnie jak glinę — utrwała się przez wypalenie,

a całość, tak jak olejne obrazy, zabezpiecza się werniksem. Przy wykonaniu rebornów liczy się realizm. To właśnie dlatego są brzydkie: zapłakane, opuchnięte i całe w sztucznej ślinie. Skóra ma być odwzorowaniem skóry dziecka: delikatnej, pełnej zaczerwienień, zgrubień, skaz i prześwitujących spod niej żyłek. Oczy wykonuje się ze szkła, przez co spojrzenie zyskuje głębię, a na rzęsy najlepiej nadają się jedwabiste włosy małych dzieci.

Takie lalki kupują głównie kolekcjonerzy, matki w żałobie i kobiety bezdzietne, a także singielki, pragnące splendoru macierzyństwa z tymi wszystkimi wózeczkami, ubrankami, chustami i z takim dzieckiem, które w każdej chwili można rzucić w ką.

— Reborny są trendy — tłumaczyła nam Lena, co rusz wywracając oczami, co miało znaczyć: „gdzie wy się uchowaliście”. — Nie dostaniecie ich w pierwszym lepszym sklepie.

Atrapy niemowląt coraz częściej sprawiali sobie ludzie, których dzieci dorosły i opuściły rodzinny dom; lalki wzorowano wówczas na zdjęciach ich pociech z jakże szczęśliwych czasów pieluszkowych. Z Emmą było inaczej: za wzór posłużyło zdjęcie dziecka, które zmarło.

— Znajoma, od której ją sobie pożyczyłam, przeżyła, cipcia, nie lada tragedię — wyjaśniła Lena i zaraz musiała mi wszystko opowiedzieć.

Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby mi tego nie opowiadała. No nie ze szczegółami. Bo to było tak: ta znajoma dostała skurczów, jak trzeba, więc pojechała na porodówkę, jak trzeba, a tam czekał na nią lekarz, któremu okropnie się spieszyło. Masował jej brzuch, opukiwał, uciskał — no mało na nim nie usiadł. A jak dziecko zaczęło się wreszcie rodzić, próbował wyciągnąć je na siłę.

— Panie doktorze, może panu pomóc? — dopytywała się położna.

— Spokojna głowa, dam sobie radę — odpowiedział jej lekarz, któremu okropnie się spieszyło, i nawet się uśmiechnął, ale już po chwili uśmiech spełznął mu z twarzy, jak wąż.

— Ups, coś chrupnęło... — to było wszystko, co powiedział. Bo chrupnęło naprawdę.

Zaraz zleciało się stado mew w bieli. I wyciągnęli z tej dziewczyny dziecko z pękniętym kręgosłupem, i przez chwilę stali tak wszyscy całkiem nieruchomo, jak wobec cudu albo końca świata.

A teraz ja, bardzo mi przykro, muszę wam opowiedzieć o czymś innym.

Mój sąsiad hoduje króliki. Kiedy zamieszkałam na wsi, pomyślałam, że fajnie mieć takich puchatych miniaturowych sąsiadów, ale z króliczkami nie zawsze jest pięknie. Bo na przykład, gdy dopadną takiego złe psy, robi się niezły bałagan. Wielki bałagan zrobił się wczoraj, gdy usłyszałam pisk, wybiegłam przed dom i znalazłam w trawie króliczka, z którym psy właśnie skończyły. Miał przetrącony kręgosłup i nie mógł się ruszać. Kiedy go podniosłam, zdawało mi się, że niosę maleńkie dziecko. Był spokojny; po prostu patrzył na mnie, marszcząc ten swój czarny, lśniący nos i byłam na tyle głupia, by sądzić, że go uratowałam. Zniosłam go do domu, ale kiedy chciałam wypuścić go z rąk, zaczął przeraźliwie krzyczeć. Mój Boże, jak on wrzeszczał! W jednej chwili zrobił się bezwładny, głowa majtnęła się na bok i było po wszystkim. Ot tak, po prostu. Maleńkim ciałem wstrząsały jeszcze konwulsje, ale królik już nie żył. Po pięciu minutach jego oczy stały się mętne, po dziesięciu wyglądały jak popękana porcelana — wtedy jeszcze był ciepły. Zakopałam go w ogrodzie, pod drzewkiem czereśni.

Oczywiście tego dnia w zakładzie, gdy Erwin szykował zwłoki, a Lena opowiadała mi o swojej znajomej i porodzie-horrorze, nie miałam pojęcia, że koniec końców wyląduję na wsi, ale wczoraj, jak tylko zobaczyłam bezwładną króliczą główkę, majtającą się na boki, zrozumiałam, że z tym dzieckiem to musiało być właśnie tak.

A znajomą Leny dali wtedy na jedną salę z dziewczyną, której dziecko umarło jeszcze w łonie (lekarze, zanim wywołali poród, kazali tej dziewczynie czekać w szpitalu dwie doby — to jest czterdzieści osiem godzin, dwa tysiące osiemset osiemdziesiąt minut, sto siedemdziesiąt

dwa tysiące osiemset sekund i każda jest piekłem — z tym martwym dzieckiem w środku). Było mi żal tych kobiet. Było mi żal, że nie mogły nic zrobić, co najwyżej dać pokaz płaczu w duecie.

— Biedna dziewczyna wpadła w depresję, mąż ją zostawił, ale ma Emmę.

Czego Lena mi wtedy nie powiedziała, to że pożyczyła sobie Emmę bez pytania.

— Pomyślałam, że powinnam przyzwyczać się zawczasu, no prawda, żeby była ze mnie mamuśka pierwsza klasa — tak mi to później wyjaśniła.

No i tak to już było, że ciągała ze sobą tę gumową kukłę wszędzie: na jogę, na basen i na solarium też. A już koniecznie na nasze wspólne obiady kończące się nieco mniej wspólnym rachunkiem: Lena była bez pracy, więc to ja musiałam płacić za nas obie i pamiętać o napiwku dla kelnera, i jeszcze się przy tym uśmiechać.

— Za tydzień ja stawiam, cipcia — za każdym razem obiecywała.

Jezu, ile ta Lena jadła; gdyby nie inni goście w restauracji, połknęłaby chyba samego szefa kuchni.

— Przejdę na dietę, jak tylko dzidzius się urodzi — powtarzała w kółko i udawała, że w to wierzy.

Ilekrót zaczynała mówić o swoim dzidziusiu, robiło mi się słabo. Widok Emmy też nie pomagał: od razu stawała mi przed oczyma moja nieszczęsna ciotka i zwisający z jej szyi wypchany Fifi.

— Sama nie wiem, na co mam ochotę — zastanawiała się Lena któregoś razu, kiedy zjadła już tyle, że ja na jej miejscu musiałabym dwa razy pęknąć. — Może na słodką bułeczkę?

I pomyślałam, że sama wygląda jak słodka bułeczka.

A Ivo niczemu się nie dziwił.

— O Lenkę się nie martw. Milusie z niej kurwiątko.

Spytałam, co ma na myśli.

Tego dnia przywieziono do nas rozkawałkowane zwłoki i właśnie układaliśmy je na stole w porządku anatomicznym. Ten człowiek — o ile były to zwłoki jednej osoby — był więcej niż niekompletny. Niektóre fragmenty były świeże, inne znajdowały się w końcowej fazie rozkładu: gdzieniegdzie widać było kości. Ponieważ trup nie miał ani głowy, ani narządów płciowych, nie mieliśmy pojęcia, czy to mężczyzna, czy kobieta.

— Trzeba będzie obejrzeć kości z bliska — powiedział Ivo i wypreparował miednicę i kość udową, tłumacząc mi, że kościec kobiety jest mniejszy i słabiej rozwinięty; przy tej okazji wyjaśnił mi także, jak radzą sobie medycy, kiedy chcą ustalić liczbę ofiar w masowych grobach. — Bierze się wówczas pod uwagę na przykład lewe kości udowe albo kości podbródka, czyli tak zwane kości policzne. A Lenka spadnie jak zwykle na cztery łapy. Nie sądzisz chyba, że zaciążyła przez przypadek? Ponoć ten jej chłopaczek jest bogaty do wyrzygania. Święty Augustyn miał rację: kobieta to zwierzątko amoralne.

W dzieciństwie nie przepadałam za świętym A. i tak mi zostało. On uważał, że nieochrzczone dzieci będą smażyć się w piekle, ja uważałam, że chyba oszalał. O tym A. opowiadała mi babka. I o sąsiadce, która w czasie wojny wyniosła dziecko z płonącego domu; miała tylko kilka kropel zimnej wody, zastanawiała się, czy lepiej ochładzać niemowlę, czy może je ochrzcić; wybrała to drugie i dziecko umarło.

— Ale przynajmniej nie poszło do piekła — cieszyła się babka.

Tak, to najważniejsze.

— Wyobraź sobie, cipcia, Tomaszek mnie unika — skarżyła się Lena w kilka dni po mojej rozmowie z Ivem. — No cóż, jego strata. Chce czy nie chce, będzie mi musiał bulić kupę forsy. Od tego są sądy. Koniec z wypruwaniem sobie flaków. Będę spać do południa i żyć jak królowa. Ma się główkę na karku, no prawda, cipcia?

Więc jednak Ivo miał rację: milusie z niej było kurwiątko.

Aż wstyd przyznać, nie myślałam więcej o Lenie, a to dlatego, że bez reszty zajmowały mnie martwe dzieci. Czas upodobił się do serii ruchów w szachach, z których każdy kolejny umożliwiał następne. Zasnęłam z trudem. Prawie nie jadłam. Unikałam matki. Po powrocie z pracy szłam do parku, siadałam na ławce i gapiałam się w niebo, podczas gdy Jezus płoszył wypłowiałe od słońca gołębie. Potrzebowałam powodu do życia. Potrzebowałam atropiny, żeby wprawiła w ruch moje ptasie serce. Zaprawdę czułam się bezdomna, jak kobieta, która sypiała na ławce tuż pod moim oknem; ilekroć ją spotykałam, machała do mnie, jakby rozpoznawała we mnie jedną ze swoich. Jasne że miałam się gorzej. Właśnie dlatego chodziłam do parku. Albo do któregoś z tych ślicznych przeszklonych galerii handlowych. Żeby być bliżej ludzi.

Ale po kolei... W pracy nie działa się dobrze. Dzieci, wszędzie dzieci. Chociaż nie, czasami to były płody, a te uważano za wyrób ludzkopodobny — nikt się tam z nimi specjalnie nie szczypał. Znaczyły tyle, co kawałek mięsa: no to, siup, do pieca. Warunek był jeden: żeby nie robić tego w kotłowniach. Mój Boże, co za bajzel! Lekarze mówili zapłakanym rodzicom — bo przecież miały te dzieci rodziców — no więc mówili im to, co zwykle: „Bardzo nam przykro, przepisy, przepisy!”. Nie obchodziło ich, że ktoś rwał włosy z głowy i dostawał spazmów. Ważne, czy dziecko urodziło się żywe, czy martwe i w którym tygodniu. Miałam ochotę wydrapać im oczy.

W szpitalnych kostnicach nie lubili dzieci — mogłam się o tym przekonać, gdy jeździliśmy tam z Ivem — sprawiały problem, tak jak wszystko, co niewymiarowe. Ale dzieci to jeszcze nic; najgorsi byli zmarli mierzący powyżej metra dziewięćdziesięciu albo o wadze przekraczającej sto pięćdziesiąt kilogramów: nie mieścili się w szufladach chłodziarek.

W jednym z listów Joanna opisała mi trudności, z jakimi borykają się amerykańskie uczelnie medyczne: coraz mniej ciał nadaje się do badań. „Górną granicę wagi ustalono na osiemdziesiąt kilogramów — tak napisała. — Tego kryterium nie spełnia większość dawców. Planuje się podnieść normę do stu, ale to nie załatwi sprawy”.

Będzie jeszcze gorzej. Ameryka jest społeczeństwem grubasów. Wiele kontrowersji wywołują coraz częstsze przypadki, gdy śmiertelnie chorzy ludzie, pragnący udostępnić swoje ciała dla dobra nauki, spotykają się z odmową — studenci anatomii po prostu ich nie chcą, z grubasów niewiele się można nauczyć. W trakcie sekcji trzeba najpierw przebić się przez warstwy tłuszczu, co jest zadaniem wielce niewdzięcznym. „Zanim umrzecie, przejdźcie na dietę” — nawołują amerykańscy lekarze. Biedni puszyści, no bardzo biedni, te parszywe świny nie chcą ich nawet kroić! W dodatku ciała z nadwagą mają „krótszy termin przydatności”, jak mówią studenci. „Grubi gniją szybciej” — taki napis powinno się umieszczać na pudełkach od ciastek i na lodach też.

Z płodami było przynajmniej o tyle lepiej, że zajmowały mało miejsca. Mieściły się w sam raz w ozdobnych szkatułkach, do jakich wkładali je ci z rodziców, którym udało się wygrać batalię ze szpitalem, tym zimnym kolosem. Załatwili formalności, słali pisma, gdzie trzeba, złożyli trzy tysiące podpisów i ostatecznie pracownicy kostnicy mogli im wręczyć maleńki prostokątny pakunek zawinięty w celofan — wyglądało to jak prezent. Ci z kostnicy zachowywali się bardzo ładnie, nikt nie chciałby przecież dostać dziecka w słoiku.

Ale czasami zdarzało się i tak, że wcześniej z płodu zrobiono preparat; rodzice mogli go sobie obejrzeć zza szyby jednej z gablotek: stał tam w słoju pełnym formaliny. Ich ukochana rybka pośród innych rybek.

— Nie ma dramatu. Dorzucimy wam jakiś inny płód gratis — uspokajał ich dyrektor szpitala.

— A te dzieci nie mają duszy? — zapytałam któregoś dnia tego lekarza od małoobrazkowej

Boskiej Matki, co wylegiwała mu się na kitlu, na klapie. — Raczej tak, raczej nie, nie mam zdania? Niech Matka Boska nie podpowiada!

Nigdy nie byłam mocna z nauk Ojców Kościoła — może dlatego, że Kościół nie miał żadnej matki, poza tą jedną, którą ukradł Bogu — ale ta cała dusza to musiało być coś okrutnie ważnego. A płody to ważne nie były: palili nimi w szpitalnych piecach albo robili z nich preparaty, czyli pakowali do słoików, jak przetwory na zimę.

Lekarz przez chwilę wahał się, którą z odpowiedzi wybrać w naszym małym quizie; chciał nawet skorzystać z pytania do publiczności, ale telefon do Watykanu był zajęty.

— Z jednej strony — dociekałam — traktujecie je jak wyciętą nerkę albo amputowaną nogę, z drugiej mówicie, że są święte i zabraniaacie aborcji.

Ale tego to mi lekarz nie umiał wyjaśnić, za to okropnie mnie skrzyczał.

A to, jak kończyły się nieudane aborcje, mogłam obejrzeć sobie z bliska, kiedy pracowałam z Ivem. Każdego miesiąca trafiały do nas ofiary pokątnych rzeźników. Bardzo różne były te kobiety. Co je łączyło? Każda miała cycki i dziurę, i pecha, bo wylądowała w naszym zakładzie.

— Dobrze im tak — cieszyła się moja matka, kiedy jej o tym opowiadałam. — Spotkała je zasłużona kara.

Ale ojcowie tych dzieci — bo przecież miały te dzieci ojców — niczym nie ryzykowali, wysyłając swoje dziewczyny, narzeczone, żony i kochanki na zabieg. I kiedy one wykrwawiały się na śmierć, oni dalej mieli się świetnie. I to by było na tyle, jeśli idzie o równouprawnienie.

Ci od polityki prorodzinnej powinni przyjść do nas, do zakładu, i na własne oczy zobaczyć, jak pomysłowe potrafią być matki, jeśli chodzi o pozbywanie się niechcianych dzieci.

Obejrzeliby tu sobie wszystko z bliska: noworodka na długie tygodnie zostawionego w hotelu, w walizce, aż wysechł na wiór (wyglądał jak mumie z Palermo: człekokształtne istoty o suchej, twardej skórze, podobnej do płótna); dziecko w kawałkach — całkiem jak to Joanny i Brada, tylko trochę większe — i inne dziecko, do którego dobrały się larwy much (jego delikatna skóra wyglądała jak sito). A o tych uduszonych pepowiną to szkoda nawet mówić.

Najpopularniejszym sposobem pozbycia się noworodka było rozbicie jego główki.

Dzieciobójczynie robiły to: a) uderzając dzieckiem — o podłogę, ścianę albo meble, b) uderzając w dziecko — kamieniem, butem, nawet pięścią.

„Głupie kurwy” — mówił na nie Ivo, a ja, jak już wiecie, wolałam myśleć o nich jako o siostrach Medei.

Opowiadał, że najgorsza rozerwała swoje dziecko na tysiąc kawałeczków i za nic nie mogli tego poskładać. Miałam szczęście, że mnie to ominęło.

Załapałam się za to na płód, który martwy spędził w łonie matki długie tygodnie; maleńkie ciało można było zginać we wszystkie strony, jak gumową lalkę.

— To efekt maceracji, czyli powolnego rozmiękania — wyjaśnił mi Ivo. — I ten żółty kolor też.

Faktycznie, wyglądało to dziecko jak mały Chińczyk.

Ivo, poza cipkami i śmiercią, miał jeszcze jedną pasję: książki historyczne. Dowiedziałam się o tym w dniu, w którym kroił tego Chińczyka.

— Podczas głodu na Ukrainie... — tak opowiadał, a przeczytał to w jakiejś bardzo mądrej książce. — ...gdy ten stary szatan, Stalin, rozkułaczał kułaków, ludzie padali jak muchy, a grzebanym dzieciom brakowało wątróbek. Stanowiły nie lada przysmak. Mówiło się na to wątróbka po sowiecku, ale ten tutaj, szczęśliwie, ma wszystko w komplecie.

Ivo miał dobrą rękę do dzieci — no trochę już się ich w życiu nakroił: był noworodek kiszony w beczce z kapustą i trójka rodzeństwa w zamrażarce (matka nie potrafiła się z nimi rozstać, więc trzymała je w niej latami, serio, obok pulpetów), a nawet dziecko-pieczeń, które

trafiło na sekcyjny stół prosto z piekarnika — mój Boże, czego ten Ivo nie widział. Ja widziałam tylko tego Chińczyka z gumy, dziecko przejechane przez matkę i bliźniaków, którzy umarli jednocześnie — zatruli się tlenkiem węgla; stół sekcyjny wydawał się przy nich nieskończenie wielki, ułożyliśmy na nim, jedno przy drugim, ich małe ciała.

Oprócz preparatów z cipkami, mieliśmy też pomoce „dziecięce”, ale Ivo nie trzymał ich na wierzchu.

— Studenci to jeszcze gówniarze — powiedział mi kiedyś — stroiliby sobie żarty w rodzaju: „a teraz uśmiech do rodzinnego albumu”, a tutaj nie ma nic śmiesznego.

To prawda: nic śmiesznego tam nie było. Był cyklop w formalinie, czyli płód z cyklopią. Jego jedyne oko — ogromne i leżące pośrodku gumiastej główki — wpatrywało się we mnie ze smutkiem; wyglądało jak oko opatrznoci na banknocie jednodolarowym. Drugi preparat był większy — zamarynowano w nim noworodka z bezmózgowiem. Jego zdeformowana główka przypominała wklęsły worek w jaskrawoczerwonym kolorze. Jak wyjaśnił mi Ivo, takie dzieci umierają jeszcze w łonie, a jeśli rodzą się żywe — jak ten nasz — żyją góra kilka godzin.

— Taką ciężę powinno się przerywać, żeby zaoszczędzić matce cierpienia — tak powiedział. — Ale co zrobić, gdy głupi babsztyl mówi, że jest wierzący i koniecznie chce urodzić?

Tu wtrącił się do rozmowy prosekator, który stwierdził, że o wiele częściej babsztyl rodzić nie chce, ale albo ustawodawca w swojej wszechmądrości odmawia mu prawa do aborcji, albo urzędnicy tak długo przeciągają całą sprawę, aż wreszcie zabieg nie jest już możliwy i koniec końców zmusza się nieszczęsną kobietę do urodzenia dziecka-kaleki. Znaczący „Pan Porządnicki” nie mówił na to „dziecko”, tylko „bezmózgi potworek”.

— Najgorzej mają ci w szpitalach — powiedział. — Zgodnie z przepisami matce, dla jej dobra, nie pokazuje się po porodzie takiego dziwoląga. Pakują go do słoika i ślą do nas, w ramach ciekawostki.

Ale ja wcale nie uważałam, żeby to ci w szpitalach mieli najgorzej.

Prosekator ubolewał nad tym, że nie mamy innych preparatów:

— Pokazałbym ci chętnie, laluchna, potworka z sirenomelią albo arlekina rybią łuskę.

— Te okropności naprawdę go kręciły.

Co do mnie, byłam zdecydowanie wdzięczna za to, że nie ma u nas więcej martwych dzieci.

Za to w mojej drugiej pracy — no to już był prawdziwy wysyp, urodzaj nad urodzaje; właściwie można powiedzieć, że nie pracowałam w kostnicy, tylko w fabryce lalek.

Rebornistka — chciałam, żeby tak właśnie na mnie mówiono — i nawet nie szło mi źle, ale czasami, przyznaję, zdarzało mi się przeklinać w duchu Bazyla za to, że musiał dostać tego całego zawału.

— Jak ty tak możesz? — dziwiła się moja piękna matka, kiedy opowiadałam jej o pracy.

Nawet Lena nie okazała mi zrozumienia.

— Daj sobie spokój z dziećmi, cipcia. Co ty, kurwa, Boga w sercu nie masz?

Kiedy myślę o tym teraz, nie umiem powiedzieć, w którym momencie życie zaczęło się ode mnie odsuwać — bardzo łagodnie, bardzo delikatnie — jakby rzeczy nie miały żalu za sprawiony im zawód. Może to było wtedy, gdy musiałam po raz pierwszy przyszykować dziecko, a może dużo później, kiedy kazali mi jedno pokroić. Tak naprawdę nigdy się nie dowiem, kiedy właściwie zaczęłam się rozklejać, bo że rozkleiłam się na amen, to fakt. Pewnie że na zewnątrz istniał inny świat, gdzieś tam, na wyciągnięcie ręki, z żywymi ludźmi, z całym tym gwarem, z oknami, które hen daleko ktoś zamykał albo otwierał, jakby chciał jeszcze witać kogoś, żegnać, i każde powtarzało słońce w nagłym, niespodziewanym błysku, ale ten świat nie był mój — już nie mój — i rozsądniej było trzymać się z daleka od ślubów, chrztów i innych szczęść ludzkich; zresztą świat lepiej sobie radził beze mnie.

To moje pierwsze dziecko to było niemowlę, któremu objawił się miłosierny Bóg pod postacią zespołu nagłej śmierci łóžeczkowej; wyglądało jak prosię. Aż wstyd przyznać, w ogóle mnie to nie ruszyło. Zdawało mi się, że kąpię reborna, ubieram, a potem pakuję do pudełka, w którym będzie czekał, aż ktoś go kupi. Czy mówiłam już, że miałam się źle?

A dzieci przybywało, niemal codziennie pojawiały się nowe. Leżały przede mną w równych rzędach, ze stopami na boki. Staralam się nie myśleć o tym, skąd się tu wzięły i dokąd pójda potem. Niektóre wyglądały jak śnieżnobiałe przedmioty wykonane z egipskiego alabastru, tak delikatne, że można je było zarysować paznokciem. Lubiłam myć im włosy; używałam szamponu *no more tears*, jakbym wierzyła, że martwe dzieci mogą jeszcze płakać. W popękane piętki wcierałam krem. Czego nie lubiłam, to zakładać malcom rajtuzów: zawsze był problem, żeby je naciągnąć na ich pulchne nóżki i nie uszczypnąć ich przy tym, nie zadrapać ani nic. No i butki: te nigdy nie chciały dać się założyć, jakby wszystkie moje dzieci były siostrzyczkami i braciszkami Kopciuszka.

— Trzeba ci będzie obciąć piętę albo palec, żebyś mogła pójść na bal z królewiczem — powiedziała kiedyś do jednej z dziewczynek; do siebie właściwie.

I tak to szło. Szykowałam reborna za rebornem: chłopców w aksamitnych marynareczkach i blade dziewczynki w komunijnych sukienkach — wiązałam im na włosach welurowe kokardki — wszystko ręczna robota. Znosiłam do kostnicy wstążeczki, koronki, falbanki, nawet suszone kwiaty z mieszkania Agaty, i doszywałam do dziecięcych ubranek.

Ilekcroć wynosiłam coś od Agaty, uświadamiałam sobie, że oprócz ciała materialnego, astralnego czy eterycznego, mamy jeszcze inne ciało: składają się na nie gromadzone przez nas rzeczy. U Agaty było tego naprawdę dużo. Uprzątnięcie jej mieszkania zajęło mi kilka miesięcy. Jej ojciec nie miał na to siły, więc to mnie przypadło w udziale rozdawanie na prawo i lewo jej stu dwudziestu par butów i czterdziestu płaszczy. Byłam gotowa ją za to znieńawidzić. Żałowałam, że nie ma takiej trumny, do której można by było to wszystko wpakować. Razem z tęsknotą.

Trumienki dla dzieci najczęściej były białe, ale w związku z rosnącym zapotrzebowaniem na rynku pojawiły się także kolorowe: różowe dla dziewczynek, dla chłopców niebieskie, a nawet maleńkie skrzynie na płody, takie ze złotymi okuciami. *Business is business*. Na tych trumienkach w pokoju trumien siedziały sobie pluszowe misie w bardzo przystępnej cenie i jeśli tylko rodzice chcieli, wkładaliśmy pluszaka do trumny, żeby pochowano go razem z dzieckiem. Kiedy nikt nie widział, podkradałam trochę misiów dla pozostałych szkrabów — żeby nie było im tak bardzo smutno.

Większe dzieci pomagał mi dźwigać Erwin; nieśliśmy je delikatnie, jakbyśmy bali się, że wyrwiemy je ze snu.

Od kiedy zostaliśmy tylko we dwoje, mieliśmy masę problemów. Z tym całym dźwiganiem też. Najgorsze były ciała po balsamacji; wpompowywane płyny znacząco dodawały wagi: na przykład ktoś, kto ważył sto kilogramów, mógł po balsamacji ważyć nawet sto pięćdziesiąt. Wrzucić takiego delikwenta do trumny — to było wyzwanie! A trumny mieliśmy prześlizne, do wyboru: mahoń, koniak, rustikal, natural, szlachetne matowe albo wykończone na wysoki połysk, z wyściółką w kolorze écru czy też liliowym — wszystko jedno, bo na końcu ziemia przyjmowała całe to nedorzeczne piękno i nie oddawała nic.

Rodzice, którzy do nas przychodzili, wyglądali jak kruche przedmioty ze szkła — miałam wrażenie, że rozpadną się przy pierwszym dotknięciu. Niektórzy zaciskali oczy (jak inaczej oszukać to, co się dzieje?), a jedna z matek dostała ataku epilepsji. Została nam po niej jasnożółta kałuża moczu — połyskująca w promieniach słońca jak skóra salamandry — i dziecko nam zostało: jej życie i jej wszystko.

— Tylko cud, tak mówił lekarz, tylko cud go uratuje — powiedział mąż tej kobiety. — No to rozcięli go odtąd dotąd, ale cudu nie było. Byliśmy przy nim w szpitalu. Nagle wyjrzał przez okno i mówi do nas, że tam dzieci grają w klasy; te dzieci są ubrane w czarne garnitury, a twarze mają tak białe, jakby ktoś przyprószył je mąką. Wołają na niego, żeby do nich poszedł. Wyjrzelśmy przez okno, ale nic tam nie było — opowiadał, wciskając długopis między zęby epileptycznej żony; właśnie kończyła podrygiwać. — A na koniec my już wiedzieliśmy, że to koniec, mówił coś o deszczu martwych ptaków, że nie poszły do nieba i chciał wiedzieć, dlaczego nasze cienie nas gonią.

— Ślicznie cię proszę, wyjaśnij mi to, słońce — powiedziałam na głos, kiedy już sobie poszli.

A potem przyszedł Bazyl; właśnie wypisali go ze szpitala. Koniecznie chciał wiedzieć, jak też sobie radzę.

— Nadajesz się do dzieci — powiedział, jak się już napatrzył. — Myślałem, że zaczniesz pękać pierwszego dnia.

Zaczęłam pękać przy trzylatku, który powinien trafić do Iva. Wzdłuż i wszerz różowego ciałałki niby pnące pnącza biegły krwiaki: purpurowe, sine, czerwone; najwięcej miał ich na głowie; układały się w figury Lichtenberga. Nogi i brzuszki były poparzone wszędzie, z wyjątkiem kolan i pachwin.

— Wkładali go do wrzątku — wyjaśnił mi Bazyl. — Przez te wszystkie lata zdążyłem się napatrzeć na to gównu.

Tym razem nie szło mi mycie; zdawało mi się, że chłopiec kuli nogi, ilekroć polewałam go wodą.

Później przez jakiś czas miałam spokój. Znowu bawiłam się w mamę rebornistkę, dopóki nie przywieźli do nas dziewczynki wyniesionej z płonącego domu. Za późno wyniesionej. Nie miała w sobie nic ludzkiego, wyglądała jak przypalony indyk z krwistoczerwoną różą na piersiach.

Myślałam, że nie może być gorzej, ale mogło — zaraz potem dostała mi się czwórka rodzeństwa: Zosia (sześć miesięcy), Antek (trzy latka), Bronka (pięć lat) i siedmioletni Stefan. Ich matka, porzucona przez męża, wpadła w depresję; zabrała dzieci na wycieczkę za miasto, zamiast piknikowego kosza wzięła ze sobą sznur i korzystając z pierwszej okazji, zabiła dzieci — powiesiła na drzewie całą czwórkę. Zaczęła od starszych, które mogłyby uciec; młodsze, niczego nie rozumiejąc, nie próbowały się nawet bronić. Ta kobieta — remake z Magdy Goebbels — mówiła, że tak będzie dla nich lepiej. „Gdzie byli wszyscy, kiedy to się stało?” — pytały nagłówki gazet. No właśnie, gdzie wtedy byliśmy?

Nie potrafiłam nic przy nich zrobić. Po prostu siedziałam tam i trzymałam Zosię za małą stopę. Tak znalazł mnie Erwin, ale wcale nie krzyczał.

— W porządku, dziewczyno. Lepiej idź do domu — powiedział, a ja nie byłam pewna, czy w ogóle mam jakiś dom.

— Mam tu dla ciebie coś specjalnego, złotko — przywitał mnie lekarz, ten od Matki Boskiej małoobrazkowej, kiedy kilka dni później wezwali nas z Iwem do szpitala po mały tobołek zawinięty w prześcieradło. — Będiesz mogła do woli szukać sobie duszy.

I pomyślałam, że Bóg powinien go pokarać, dać mu na imię Niemysław albo jakoś tak.

Tobolek włożyliśmy do reklamówki i przewieźliśmy do zakładu w metalowej trumnie.

— Mamy przesrane — powiedział Ivo na miejscu, kiedy zapoznał się z aktami sprawy.

Potem rozwijał brudny biały materiał, no kilometrami, aż pomyślałam, że Niemysław zrobił nam kawał, ale właśnie wtedy z prześcieradła wypadł noworodek. No i ja już wtedy wiedziałam, że takie życie nie jest dla mnie.

Znacie to uczucie, kiedy nabieracie w dłoń sól do kąpieli, zanurzacie rękę w wannie pełnej

wody i choćbyście nie wiem jak mocno zaciskali pięść — i tak nic nie zostanie? No więc wtedy, w prosektorium, czułam się właśnie tak.

„Pan Porządniczy” na widok noworodka wpadł w popłoch i, wymawiając się nagłym bólem brzucha, poszedł do domu; zupełnie jakby miał okres. Jedno trzeba mu przyznać — wiedział, co robi. Gdybym miała pojęcie, co mnie czeka, jak nic wzięłabym nogi za pas.

— Mamy tu zwłoki noworodka płci żeńskiej, ubranego w białą koszulkę. Długość ciała trzydzieści siedem centymetrów, waga tysiąc sto gramów. Stężenie pośmiertne ustąpiło — dyktował mi Ivo. Potem zawołał mnie do siebie, bo ktoś musiał zastąpić prosektora i tym kimś, niestety, byłam ja.

Obwód główki mierzyliśmy sznurkiem, a poszczególne wymiary twarzyczki cyrklem. Ten noworodek był doskonale proporcjonalny, chyba sam Michał Anioł musiał go wymyślić. A potem Ivo znowu dyktował, a ja wypełniałam protokół: czy i gdzie ciało jest zabrudzone krwią, mazidłem skórnym, smółką, szpara powiekowa (czy zrośnięta), twarz pulchna czy pomarszczona jak u starców, czy skórę daje się ujmować w fałdy, poza tym długość paznokci, linia owłosienia, szpara sromowa (ziewająca czy zamknięta), jak wygląda pępownina — jest tłusta, chuda, wilgotna, galaretowata, sucha, gładka, zawężlona, a może poskręcana — zaznaczyć właściwe. Noworodek znosił to wszystko ze spokojem i tylko mnie się zdawało, że lada moment zacznie płakać. Chciałabym, żeby zaczął.

Kości dzieci można pomylić z kośćmi zwierzątek, tak powiedział mi wtedy Ivo.

— Wiedziałaś? — zapytał.

Nie miałam pojęcia. Ani o tym, że ze wszystkich ludzkich organów macica najdłużej opiera się gniciu. Było w tym coś wzruszającego: jakby ta część kobiety do końca stała po stronie życia, nawet po śmierci.

— Jeśli policji nie uda się odnaleźć ciała noworodka — kontynuował Ivo — samo łóżysko wystarczy do ustalenia, w którym miesiącu nastąpił poród. A jak nie ma łóżyska, też nic nie szkodzi. Jeszcze długo wychodzi z rodzącej coś w rodzaju popłuczyn mięsnych.

I opowiedział mi o kobiecie, która co rusz chodziła w ciąży, ale dzieci jakoś nie miała. Sąsiedzi zaczęli podejrzewać, że zakopuje je w ogródku.

— Oczywiście, wszystkiemu zaprzeczała, ale jak znaleźliśmy u niej sztywne, szare plamy po wodach płodowych na bieliźnie i pościeli, zaczęła pękać. Chodziła po podwórku i pokazywała palcem: tam i jeszcze tam, i tutaj też. Mówiła, że dzieci rodziły się martwe. Wszystkie tak mówią. Ale nic się nie bój, od tego tu jesteśmy, żeby to ustalić.

Kiedy zamilkł, zrobiło się tak cicho, jakbyśmy leżeli pod śniegiem — dokładnie tak — jakby spadł śnieg i w swoim białym miłosierdziu wytłumił wszystkie dźwięki. No ale żeby Ivo siedział cicho — naprawdę, to było coś niezwykłego! Przyjrzałam mu się kątem oka. Na co dzień zgrywał twardziela, ale teraz wpatrywał się w martwą dziewczynkę, jakby chciał, żebyśmy zapamiętali ją właśnie taką, to znaczy zanim ją otworzymy.

Główkę cięto się mocnymi nożyczkami — no naprawdę, nożyczkami; skojarzyło mi się to z robieniem dziecięcych wycinanek, wiecie, takich z kolorowej bibułki. Ale to nie były wycinanki. A z tymi nożyczkami to jeszcze nie koniec; po otwarciu czaszki cięciem koszykowym (mówiło się tak dlatego, że główka miała po nim kształt małego koszyczka), Ivo wbił ich ostry koniuszek pod żuchwę i przeciął skórę bródki, aż po dolną wargę. Żeby dokładnie obejrzeć gardło, wyciągnął języczek z ust pincetą. A dziewczynka po prostu tam leżała i już nie była taka śliczna. Rozkroiliśmy ją na krzyż, jak jabłko. Pionowe cięcie rozwidłało się nad pępkiem i biegło w dół aż do pachwin, a wyglądało to tak, jakby Ivo namalował jej na brzuszku odwrócone zwyczajne „V”.

No więc dobrze, będę się streszczać — zrobiliśmy, co następowało: ustaliliśmy wysokość

przepony (rękoczyn pierwszy) i wyjęliśmy z dziewczynki płuca z językiem, podniebieniem miękkim i gardłem. I pomyślałam, że ja i Ivo jesteśmy likaonami, które patroszą ofiarę: dosłownie w kilka minut rozrywają ją na części. A potem Ivo wrzucił to wszystko do wody.

— Sprawdzimy, czy płuca pływają — powiedział i przyszło mi do głowy, że cofnęliśmy się do czasów czarownic i inkwizycji: tam też o czymś życiu przesądzała „próba wody”.

Wrzucić, wyłowić, wrzucić, wyłowić — każde płuco oddzielnie, każdy płat oddzielnie i nawet każdy najmniejszy pęcherzyk; porzrywałam to wszystko na kawałki (rękoczyn piąty i dalsze). Ale duszy nie znalazłam.

Dobry Boże, poproszę o inny zestaw pytań, bo ja wiem, jakąś miłość albo las pod śniegiem, albo skowronki, jak lecą prosto do nieba, coś, za co mogłabym być choć trochę wdzięczna. Ale coś mi się jednak wtedy dostało: żołądek, który pływał.

— Jeśli pływa sam żołądek, to znak, że dziecko wprawdzie urodziło się żywe, ale żyło bardzo krótko — tłumaczył mi Ivo. — A wypełnienie powietrzem całych jelit, tak jak tutaj, do tego pozytywny wynik próby płucnej, nie pozostawia żadnych wątpliwości: nie ma mowy o martwej ciąży. Ten noworodek urodził się żywy i dalej miałby się świetnie, gdyby ktoś mu w tym nie przeszkodził.

A potem to już matka przyznała się do wszystkiego.

— Mamy trójkę i mąż powiedział, że nie ma mowy o następnym. I że to moja wina. A do doktora to nawet nie poszłam. Żal mi było tej mojej dziewczynki. Zaraz po urodzeniu ubrałam ją ciepło, włożyłam do reklamówki i wyniosłam na śmietnik. Miałam nadzieję, że ktoś ją znajdzie, tyłu tam się teraz kręci za złomem i puszkami. Zdążyłam, zanim mąż wrócił z pracy.

A jak ją skazali, nawet się nie zdziwiła. To do niej należały rzeczy parszywe: truła myszy, topiła kocięta, zawoziła psy do uśpienia, słowem robiła porządek z tym wszystkim, czym życie — bezgraniczne w swojej szczodrości — obdarowywało jej rodzinę z nadatkiem. Mąż był na to zbyt delikatny, nawet nie trafił do aresztu. „Okropieństwo!” — bulwersowali się wszyscy. Pewnie, że okropieństwo.

Nazajutrz po krojeniu błękitnej dziewczynki weszłam do gmachu medycyny sądowej krokiem co najmniej niepewnym. Zastanawiałam się, co też tam na mnie czeka tym razem. Byłam jak mysz, która wprawdzie przeczuwa coś złego, ale jeszcze nie wie, że lada moment wpadnie w pułapkę.

— Powinnaś zobaczyć coś ładnego, tak dla odmiany — powiedział na mój widok Ivo i zabrał mnie do szpitala.

Znaczy, że musiałam wyglądać naprawdę źle.

Nie żeby tak znowu bardzo się mną przejmował. Znaczyłam dla niego tyle, co tonący w kałuży żuczek, któremu w odruchu ciekawości podaje się patyk, żeby zobaczyć, jak też on sobie dalej poradzi.

Tak czy inaczej, pojechaliśmy.

Zawsze uważałam, że szpitalne korytarze są jak odnogi białej rzeki; można zgubić się w tej bieli, wędrować bez końca. Szliśmy z Iwem, lewa-prawa, przez oddział położniczy. Mijaliśmy właśnie salę, gdzie za szybą pielęgniarki o ciałach modelek krzątały się przy noworodkach. Każda zgrabna, zwinna, młoda. Oto wprawnym ruchem przewijają, podkarmiają z butelek, poprawiają kocyk, następne. Uwijają się jak pszczoły i miodna jest ich instynktowna słodycz. Śpiewają, być może, jak robią to hiszpańskie koronczarki przy pracy, w każdym razie wyglądają, jakby miały śpiewać.

Tak jak ćmy lecą do światła, tak świeżo upieczone matki ciągnęły tabunami do tej przeszklonej sali. No te nie wyglądały na modelki. Wszystkie krowio ciężkie, obolałe, z ciągnącymi szwami w krocach. Przypominały kółko zwariowanych kobiet. Przywierają do

szyby — kobiety-płaszczki; śmiały się, pokazując sobie palcami małe zawiniątka; wołały jedna przez drugą: „Moje! Moje!”, choć z tej odległości pomarszczone twarzyczki wyglądały tak samo — kilku wrzeszczących, kilku śpiących starców. Kobiety-płaszczki odchodziły od szyby, tylko po to, by zaraz wrócić, jakby brak dzieci sprawiał im fizyczny ból.

— A oto i porodówka — powiedział wreszcie Ivo.

Nie wiem, co też ładnego miało być na porodówce. Zastanawiałam się nad tym, kiedy wyszedł do nas lekarz. Przywitał się z Ivem i zapytał, czy rodziłam i czy widziałam to już wcześniej. Odpowiedziałam odpowiednio na pierwsze „nie”, na drugie „tak” — trochę skłamałam, ale pomyślałam, że popołudnie spędzone z Joanną w prywatnej klinice, po którym została mi blizna na serdecznym palcu i listy raz na miesiąc, to przecież też jest coś.

— Proszę założyć kitel i czepek, i zapraszamy — powiedział lekarz. — Zwykle nie wpuszczamy jałówek, bo gdyby zobaczyły tę całą babraninę, poszlibyśmy z torbami: za nic nie chciałyby rodzić. Wprawdzie kręci się filmy instruktażowe dla młodzieży, ale poddajemy je retuszowi. Usuwa się z nich krew, morze krwi, i potem pierworódki są więcej niż zaskoczone — tak mi powiedział. — Przywożą śliczne, mięciutkie piżamki, ale dajemy im nasze, szpitalne, bo po co mają sobie wszystko brudzić. Raz trafiła się nam modelka. Ta to dopiero nie miała pojęcia, na co się pisze. Przyjechała rodzić w koronkach. Cały oddział miał z niej ubaw. A tatusiowie mdleją u nas jak na zawołanie. Niebożątka, myśleli chyba, że to zabieg higieniczny.

To nie był zabieg higieniczny. Na podłodze stała krew — morze krwi — salowa ścierała ją mopem. W chwili gdy weszliśmy, podniosła stojące na stoliku naczynie z dwoma kawałkami mięsa — łożyskiem i pępowiną z poprzedniego porodu — i wrzuciła jego zawartość do wiadra, a ja pomyślałam, że to cyrk, a ta tutaj to treserka, która za chwilę będzie karmić lwy.

Na drugim planie zobaczyłam pochwę leżącą pośrodku sali. Znaczy, nie mieli tam samej pochwy, tylko całą kobietę, ale ze względu na pozycję, którą kazano jej przyjąć, na pierwszy rzut oka tak właśnie to wyglądało. Rodząca, ubrana w męski podkoszulek, leżała (siedziała?) na fotelu porodowym (czy to narzędzie tortur można nazwać fotelem?) z uniesionymi nogami, przytroczonymi do prowadnic. Nie widziałam jej twarzy, tylko brzuch, olbrzymi jak wzgórze, a niżej czerwono-purpurową waginę, rozwartą jak usta operowej śpiewaczki: wielkie, śpiewne „O”. I jeszcze ręce — te pulsowały na metalowych poręczach w rytmie skurcz, rozkurcz, znowu skurcz.

Trafiliśmy na sam koniec porodu. Wagina wydała z siebie cichy dźwięk, coś jakby „och”, kiedy lekarz chwycił nożyczki, te z kolei wydały z siebie „ciach”; cięcie sięgało aż po pośladki. A potem było już po wszystkim: lekarz uniósł w górę zakrwawione dziecko; wyglądało jak królik wyciągnięty z cylindra.

— Gdzie jest moje słoneczko, mój chłopiec? — spytała rodząca; ponieważ nadal nie było widać jej twarzy, wyglądało to jak „Gadająca pochwa show”.

Nikt jej nie odpowiedział; wszyscy byli zajęci, a ja już wiedziałam, że z dzieckiem nie jest dobrze. Nie oddychało, więc za karę dali mu klapsa. Bez skutku. Próbowali jeszcze wielu sztuczek. Drzwi otwierały się i zamykały, ludzie w białych kitlach biegali nerwowo we wszystkie strony. A chłopiec był już gdzie indziej i wcale nie zamierzał wracać.

Wolałabym wam powiedzieć, że nic się nie stało. Ale coś się stało i już się nie odstanie, choćbyśmy wszyscy nie wiem jak chcieli. Czas upodobnił się do serii ruchów w szachach, a Bóg, fatum, los — nazwijcie to jak chcecie — był tą figurą, przed atakiem której nie można było się obronić.

— To nie może być prawda! — krzyczała matka-niematka. Podniosła się z fotela i pierwszy raz zobaczyłam jej twarz: miała kolor czerwony i szeroko otwarte usta; właściwie wyglądała jak pochwa.

To jest ten moment, kiedy wszyscy odwracają oczy i ręce same podnoszą się do ust — czyli że to koniec. Kobieta dostała zastrzyk: nie chodziło, rzecz jasna, o jej dobro, tylko o to, żeby przestała krzyczeć. Jej okaleczona wagina wyglądała żałośnie i zdawało mi się, że ta wagina płacze, że wstrząsa nią szloch, ale to tylko rodziło się łożysko. Aby przyspieszyć jego poród, położna pociągnęła za wystający spomiędzy nóg kobiety koniec pepowiny, jakby sądziła, że rodząca ma w brzuchu robótkę, którą można, ot tak, popruć. No i naprawdę było można — przy którymś tam szarpnięciu łożysko, nieoczekiwanie dla wszystkich, upadło z plaśnięciem na podłogę. Treserka lwów znów robiła swoje: nerwowo jeździła mopem, tam i z powrotem; podniosła z podłogi ciepłe jeszcze mięso.

A błękitny chłopiec? On jeden był spokojny. Tak spokojny, jakby wcale nie był stąd. Leżał pod wrzącym światłem lamp, niczym meteoryt tylko na chwilę zatrzymany w locie. Albo supernowa. Albo słońce.

„No to wyjaśnij mi coś, słońce — przeszło mi przez głowę. — Dobrze, wyjaśnię ci coś, dziewczynko: gdziekolwiek odejdziesz, będzie staw uśpiony, na brzegu zwierzęta łagodne i ciche”.

21. Jej wysokość nerwica i inne kurwiątko

A teraz o moim załamaniu nerwowym.

Mylą się ci, którzy sądzą, że potrzebny jest do tego co najmniej koniec świata; wystarczy rozwiązana sznurówka, pęknięta torba z zakupami i trzy pomarańcze toczące się po ulicy coraz dalej i dalej. Albo nieoczekiwany układ plam słońca na chodniku, tak piękny, że tylko stać i płakać.

Powiem wam, jak się czułam: źle. Jakakolwiek wybrałam drogę, nie mogłam dojść do siebie. Miałam wrażenie, że lada moment po prostu rozlecę się na kawałki. Na dobre się rozlecę, całkiem jak Humpty Dumpty, i żadna siła nie złoży mnie z powrotem.

Ivo dał sobie spokój z pokazywaniem mi rzeczy ładnych, i dobrze, bo jeszcze jeden taki numer i musiałabym go udusić jak nic.

W porządku, przynajmniej: ja też odstawiłam mu numer — zwędziłam z pracowni „dziecięce” preparaty. Od jakiegoś czasu dręczyła mnie myśl o ciałkach pękających jak śliwki i o cuchnącej cieczy, chlup-chlup, chlupoczącej w cylindrycznym słoju i tym w kształcie prostopadłościanu, podobnym do małej klatki, i chciało mi się płakać. Wyglądało na to, że będą je tak trzymać — w charakterze makabrycznej ciekawostki — do końca świata. Jedno było jasne: jeśli ja nie pochowam tych niebożąt, nie zrobi tego nikt.

Za ten mój wybryk oberwało się potem studentom — bo to właśnie ich Ivo posadził o kradzież i trochę skrzyczał — ale nie było mi ich specjalnie żal, a to dlatego, że: po pierwsze, Ivo był z gruntu pobłażliwy, po drugie, należało im się już wcześniej, za cipki.

Ale opowieści o tym, jak jechałam podmiejskim autobusem z łopata w jednej ręce i dziećmi w reklamówce w drugiej, w myślach powtarzając, że jadę posadzić drzewo, wymówkę, jaką przygotowałam sobie na wypadek, gdyby ktoś mnie znieścacka zaczepił (oczywiście, nie zaczepił mnie nikt), no więc tego akurat wam oszczędzę.

Lena-Nemesis nie zamierzała mnie oszczędzić. Nie wystarczały jej już same obiadki; namówiła mnie na wyprawę do teatru — następny dobry powód, żeby ją przeklinać.

— Jesteś mi to winna, cipcia — powiedziała dzień po mojej wycieczce za miasto, parując przede mną z tą swoją pupą jak poduszeczka krawiecka; aż brała mnie ochota, żeby wbić w nią szpilkę.

„To kara za te dzieci” — przeszło mi przez głowę i poczułam się jak współczesna wersja Antygony.

I kto wie, gdyby nie ten cholerny teatr, być może nie przytrafiłyby mi się te wszystkie

zwariowane rzeczy, które w ciągu następnych kilku dni wywróciły moje życie do góry nogami. No dobrze, przytrafiłyby się — nie jestem aż tak naiwna. Ale Lenę i tak przeklinałam — oj, jeszcze jak!

A ten cały spektakl to też była porażka. Dobry Boże, bo co też nam tu pokazywano? Golasy, same golasy! A nie, bo mężczyźni aktorzy byli jednak ubrani: hasali po scenie w obcisłych cielistych majtasach w rodzaju tych, jakie widuje się w balecie. To nie był balet, ale też byli nieźli: biegali w tę i w tę, i wydawali z siebie dźwięki podobne do ryczenia krów i innych rogatych zwierząt, aż chciało mi się ryczeć ze śmiechu. Krótko mówiąc, ludzie na scenie wyglądali na nienormalnych. I ci na widowni też.

Siedząca obok mnie kobieta nerwowo wierciła się w fotelu, raz po raz wydając z siebie cierpiętnicze westchnienia. W pierwszej chwili wzięłam ją za fest wariatkę, zastanawiając się, dlaczego zawsze dostaję wariata — chcę przez to powiedzieć, że ktoś pomyłony, choćby miał dziesięć tysięcy miejsc, koniec końców i tak siądzie przy mnie. Ale kiedy ci w majtasach zaczęli tarzać się po scenie i wić jak dżdżownice, zrozumiałam, że ona ma rację: nie pozostaje nam nic, tylko wzdychać.

No nie tego się spodziewałam, idąc na spektakl o Holocaulście.

Kiedy byłam mała, nie podejrzewałam nawet, że to słowo oznacza całopalną ofiarę, kojarzyło mi się raczej z haustem powietrza. Pasjami oglądałam stare zdjęcia Żydów. Byli czarno-biali i czuć ich było ziemią, serio, nawet przez fotograficzny papier, aż coś mnie ścisnęło w żołądku. Tak naprawdę chodziło o to, że ja już wiedziałam, co się z nimi stanie.

Pamiętam Żydówki z wiedeńskiego gimnazjum, rocznik trzydziesty pierwszy. Młodziutkie jasne twarze jak gladiole zwrócone w stronę fotografa, jakby był słońcem, ale w prawym górnym rogu już czaiła się pleśń. To było prawdziwe dzieło sztuki — te dziewczyny podobne do saren; całymi godzinami potrafiłam wpatrywać się w ich zadarte figlarnie noski, zmrużone oczy i usta, które dawno temu, na długo przed moim narodzeniem, rozerwał pocisk, ciężki, ciemny obol.

Pstryk, inne zdjęcie, już z czasów wojny: na rynku miasta stłoczono starobiblijne piękności o kruczoczarnych włosach. Czego ja nie zobaczę, to że w następnym kadrze wejdą w ogień. Zdjęcie milczy, ale wiem aż za dobrze: ten kadr to krzyk i nic oprócz krzyku, bo oto kończy się świat — ot tak, po prostu — na nieskończoną liczbę nienarodzonych pokoleń.

Sz szczególnie lubiłam fotografie dzieci, małych jak ja, jak ja uśmiechniętych, chociaż zdążyły dawno temu umrzeć. I gdzie jest ich czas, co przesypał się jak ziarenka piasku w klepsydrze ze złota? W jednej chwili całe życie przed nimi, w następnej: pusta przestrzeń.

Dziadek — ten który wrócił z Dachau — też miał zdjęcia; znalazłam je w szufladzie u babki: plac obozowy, a na nim stosy martwych ludzi podobnych do śledzi. Nad nimi stali mężczyźni w czarnych płaszczach i z czarnymi sercami (nieprawda, oni to w ogóle serc nie mieli). Niektóre twarze — i ofiar, i katów — nie były niczym więcej, tylko rozmazaną, czarno-białą plamą; pomyślałam wtedy, że ta plama to może być każdy, nawet ja. Nie chciałam wiedzieć, ale wiedziałam: wiele mieliśmy wagonów i prochów; wielu mieliśmy braci i wiele sióstr.

Ale tutaj, na scenie, nie było żadnej całopalnej ofiary. Nawet smutno tu nie było. Ot, typowy przykład „Holocaust business”. Troiło mi się w oczach od atletycznie zbudowanych chłopców — naprawdę śliczni byli ci chłopcy, typy nordyckie w obcisłych majtasach — z obnażonymi torsami gładkimi jak kamień, z ustami niby kielichy egzotycznych kwiatów, z ustami otwartymi jak rana albo chrapy na wpół zdziczałych zwierząt, no więc z tymi swoimi bardzo czerwonymi ustami. I dziewczyny — te były całkiem nagie, wygolone gdzie trzeba — o krągłych kształtach Botticellowskiej Wenus wynurzającej się z kąpieli (mój Boże, cóż to za piękność!).

Hola, hola, nie myślcie sobie, że te blondaski to byli esesmani, lalczki gestapo albo coś w tym stylu, bo oni właśnie grali Żydów. Powiedzieć „grali” to jednak przesada: po prostu biegali

we wszystkie strony, tarzali się po scenie i ryczeli jak zwierzęta, co miało znaczyć, że okropnie cierpią. Musiałam z całych sił przygryzać policzki, żeby się nie roześmiać — co jak co, w teatrze chciałam być grzeczna. A na cholere z grzecznością! Po kwadransie skapitulowałam — siedziałam tam i ryczałam ze śmiechu. Ta obok też miała dosyć; rozwdychała się na całego, wypuszczała z siebie taśmowo „ach” i „och”. Jej westchnienia poruszały mnie do głębi. Pomyślałam, że łączy nas porozumienie dusz, co najmniej.

— Boże, kto to napisał? — zwróciłam się do niej w przerwie pomiędzy jej dwustutysięcznym ochem a achem.

No i wtedy spojrzała na mnie tak, jakbym to ja robiła tu za fest wariatkę, a potem wysyczała przez zęby:

— Mój mąż. Siedzi za panią.

Od tamtej pory nie chodzę do teatru i Lena może sobie prosić i grozić, a nawet wyruszyć w tej intencji do Częstochowy na kolanach — do teatru nie pójdę i już! Chyba że na przedstawienie dla dzieci — o, to co innego. Bo z dziećmi nie można się nudzić. Na „Królowie Śnieżce” krzyczą na całe gardło: „Nie jedz tego jabłka, bo zatrute!”. A gdyby tamtego dnia były na sali, rechotałyby razem ze mną i — jestem pewna — naśladując aktorów, tarzałyby się po podłodze, wierzgając z rozkoszą.

Lena też była rozczarowana; rozglądała się po sali, szukając idealnego kandydata na męża — było jasne jak słońce, że na Tomaszka nie ma co liczyć — ale niełatwo jest kogoś uwieść, kiedy po scenie biegają nagie Wenus — wcielenie doskonałości — a ty jesteś akurat w ósmym miesiącu ciąży: masz brzuch wielkości góry.

— Chuj z tego będzie. Lepiej chodźmy zapalić — powiedziała w antrakcie i już dreptałyśmy jak Japonki o porcelanowych twarzach po czerwonym dywanie, długim i brudnym.

Palarnia znajdowała się tuż za foyer i wyglądała obiecująco. Za to przejście przez foyer oznaczało wojnę; z miejsca osaczyły nas kwieciste sztukaterie zdobiące ściany aż po kopułę sufitu (od razu skojarzyła mi się z Kaplicą Sykstyńską), do tego trzy tuziny alabastrowych aniołków i innych stworzeń o wylupiastych oczach — te wpatrywały się w nas z takim natężeniem, jak gdyby były żywymi istotami, które ktoś za karę zamurował w ścianie — plus cała reszta barokowych ornamentów i tandetnych bibelotów (czy wspomniałam, że foyer było złote?). „Kicz, po prostu kicz” — powiedziałam sobie.

Co się tyczy nas, takie umalowane i blade, z twarzami Japonek, wyglądałyśmy naprawdę prześlicznie; mogłam to sprawdzić w jednym z lustek. Bo owszem, mieli tam także lustra, ogromne i lekko matowe, podzielone na małe prostokąty i kwadraty, przez co nieco deformowały odbicie, a kiedy tak szłyśmy, w nieskończoność rozmnażały naszą, jakże świętą, trójcę: mnie, Lenę z brzuchem jak Himalaje i niesioną przez nią Emmę, która — co oczywiste — występowała w charakterze dzieciątka. A która z nas była ojcem, a która duchem, długo można by się sprzeczać. I sprzeczałyśmy się, jasne, ale nie o to, tylko ciut wcześniej, o Emmę.

Nie wiem, dlaczego Lena zawsze musi mieć ze sobą coś gumowego i czemu to z miejsca wszystkim przeszkadza. Uwierzycie? Pracownicy teatru dali się nabrać: myśleli, że Emma jest najprawdziwszym dzieckiem, a z takim za żadne skarby świata nie chciano nas wypuścić.

— To gorsze niż pies — stwierdziła bileterka, szeroko się do nas uśmiechając; nauczyli jej tego na kursie obsługi klientów; myślałam, że lada moment wypadnie jej szczeka. — A jak zniemacka zacznie płakać albo robi kupę? A tu, proszę pań, jest oaza kultury i sztuki. Wyżyny ludzkości tu są — tak nam powiedziała.

Najgorszy ze wszystkich był zgrzybiały szatniarz; wyglądał jak satyr.

— Ale suchar! — powiedziała Lena.

A szatnia to było jego królestwo, gdzie każdego wieczoru trzeszczą wieszaki, ciężkie od

plaszczy, a ciągle pojawiają się nowe: kurtki, narzutki, futrzane etole, prawdziwe lisy ze sztucznym szkiełkiem zamiast oka, ale za to z jakim włosiem! Ale nawet on, ten samozwańczy król, musiał w końcu ulec przed furią Leny. Bo Lena była nieugięta: krzyczała i tupała, i wszyscy okropnie się bali, że zaraz zaczną rodzić.

Koniec końców miałyśmy za sobą połowę przedstawienia i szłyśmy w antrakcie przez to cholerne złote foyer — mijaliśmy właśnie wąskie biureczko stojące pod ścianą z szyldem „Galeria sztuki taka-a-taka” — wywołując ogólne poruszenie: Lena, trzymająca gumowe dziecko, ciężarna, w dodatku cała w czerni, rudowłosa Emma i ja, uśmiechająca się przepraszająco, nie wiem dlaczego. I pomyślałam, że lustra są biedne, bardzo biedne, w każdym z tych niezliczonych kawałeczków nie mogą nic innego, jak tylko nas powtarzać; miałam ochotę rozbić je wszystkie, za jednym zamachem załatwić sobie jakieś czterdzieści tysięcy lat nieszczęścia.

Powiem wam prawdę: nigdy nie dotarłyśmy do palarni. A szkoda, bo z obiciami foteli w kolorze piasku (te fotele wyglądały na nieziemsko miękkie), z małymi palmami ustawionymi wzdłuż ścian przeszklonej sali, palarnia sprawiała wrażenie palmiarni albo oazy, no w każdym razie miejsca, w którym mogłabym wreszcie trochę odpocząć, a — możecie mi wierzyć — cholernie potrzebowałam odpoczynku.

Nic z tego. Świat miał wobec mnie inne plany. Tego dnia w teatrze objawił mi je tak nagle, że z wrażenia mało nie upadłam.

— Przecież to jestem ja — powiedziałam, kiedy pierwszy szok minął i odzyskałam mowę; wskazałam przy tym na coś, co w pierwszej chwili można było wziąć za jedno z lusterek w foyer.

— No bardzo dziwne, cipcia. — Lena nie mogła darować sobie złośliwości; pomyślała widocznie, że do reszty zbzikowałam, ale kiedy spojrzała we wskazanym przeze mnie kierunku, musiała przyznać, że to naprawdę dziwne, bo, owszem, to byłam ja, ale rozebrana nie mniej niż te blondaski, co przed chwilą ganiały po scenie, robiąc za Żydów.

Oto wisiałam sobie całkiem naga w złotym foyer pośród tandetnych bibelotów i wyłupiastookich aniołków. Żeby wszystko było jasne: nie wisiałam tam sama; otaczał mnie wianuszek Chrystusów o dobrotliwych rysach, z których każdy wyglądał jak hermafrodyta.

„Nie może być!” — pomyślałam. A właśnie, że być mogło — bo był to obraz! Mój obraz!

Pozwólcie, moi drodzy, że w tym miejscu zwrócę się do kolekcjonera, który korzystając z pośrednictwa „Galerii sztuki takiej-a-takiej”, postanowił mnie sprzedać: „Złotko, jestem ci dozgonnie wdzięczna”.

— No, no, cicha woda. Od tej strony cię nie znałam, cipcia — zdziwiła się Lena, a potem nie dziwiła się już niczemu, kiedy nie wróciłyśmy na spektakl, tylko raz-dwa pobiegłyśmy w strugach deszczu (deszcz, koniecznie!) do najbliższego bankomatu.

Zezowata właścicielka galerii, zanim wręczyła mi mnie w wersji gołej i dwuwymiarowej, skasowała moje dwie pensje. No tyle to mi nie chcieli płacić nawet za wersję trójwymiar z Zozo na peep-show.

W wiosenne dni, kiedy deszcz nie chce przestać padać, a na parapecie za oknem stroszą pióra zmoknięte ptaki (czasem to jest kos, a czasem kopciuszek — jedno i drugie każdego roku zakładają gniazda na poddaszu i co rano ptasimi trelami zamieniają moją sypialnię w ptaszarnię), z kubkiem gorącej herbaty w dłoni siadam w starym, pogryzionym przez psy fotelu (dobiło go zwłaszcza ostatnie szczenie) i kontempluję mój akt. Lubię na niego patrzeć. Już zawsze będę na nim młoda i zaspana — nawet jak umrę; taka olejna i naga na wieki wieków będę spadać prosto w ciepłe dłonie malarza, amen.

Ale wtedy to tak znowu pięknie nie było: wydałam wszystko, co do grosza, i przez jakiś czas zdana byłam na niełaskę matki; podkradałam jej z lodówki, co tylko się dało, dopóki nie założyła

klódki.

I tak miałam szczęście — sądząc po karteczkach na innych obrazach (było tam naprawdę dużo zer, ciągnęły się i ciągnęły, i wcale nie chciały się skończyć) — malarz osiągnął to, o czym od zawsze marzył: stał się obrzydliwie bogaty i sławny.

— O tak, to wielki artysta. Mistrz, że tak powiem, wyżywa się w malarstwie sakralnym. Jezus to jego znak rozpoznawczy — tak mówiła zezowata kustoszka, wtedy, w tym teatrze. — Jego słynna surrealistyczna wizja jeziora Genezaret z tonącym Zbawicielem to prawdziwe arcydzieło. Bili się o nią na aukcji w Monachium. Naprawdę się bili, że tak powiem, fizykalnie. A ten tu obrazek sprzedajemy za bezcen — skrzywiła się, mówiąc o moim akcie, aż lewe oko poleciało jej, „że tak powiem”, w bok; z trudem powstrzymywałam się, żeby się nie gapić. — Sam mistrz przyznaje, że to był zwykły błąd.

No jakbym nie wiedziała!

Tego dnia opuszczałam teatr z obrazem pod pachą, z Leną, która szła obok mnie w milczeniu, niczemu się już nie dziwiąc i z uczuciem totalnej porażki. „Właściwie powinnam ubierać się na biało — tak wtedy pomyślałam — na znak bezwarunkowej kapitulacji”.

Bywały dni, kiedy mój smutek obracał się przeciwko wszystkiemu, co żywe. Chcecie przykładu? Jakiś tydzień przed wyprawą do tego cholernego teatru spotkałam się z Fioną. Tyle tylko, że ktoś mi ją podmienił: miejsce Fiony-kościotrupka zajęła panna trupia główka. Miała skórę i kości, i ziemistą cerę, ale tam, w środku, to chyba nie miała już nic. Nie wyglądała ludzko, ani trochę! Zastanawiałam się, jak można być tak chudym i stać, i się nie złamać. I czy wiatr jej nie zdmuchnie jak świeczki na torcie? Czy jej nie porwie, hen w przestworza, żeby pofruwała pomiędzy chmurkami? „Powinna nosić sznurek przywiązany do nogi — powiedziałam sobie. — Fiona-lekka-jak-balonik, jasne, że powinna, w związku z wysokim ryzykiem zdmuchnięcia”.

Ale Fiona nie wybierała się między chmurki. Fiona płakała. Porzucił ją chłopiec, przez którego chodziłam niewyspana dawno temu, w prehistorycznych czasach moich studiów. Nie potrafiłam jej nawet współczuć.

— Wszystko przez jedną lesbowatą grubaskę. Widziałam, że na niego leci, ale byłam spokojna. Bo jak tu nie być, skoro wyglądała jak różowy serdel? Na wszelki wypadek zaproponowałam trójkącik, żeby mieć ją na oku. On miał jej nie dotykać ani ona jego, taka była umowa. Mogłam się odprężyć i przeżywać rozkosz.

— A co oni z tego mieli? — naprawdę byłam tego ciekawa.

— Też pytanie! Mogli pieścić do woli moje bajecznie szczupłe ciało. Dziwne, że im to nie wystarczyło.

No, bardzo dziwne.

Panna trupia główka była zupełnie załamana.

— To już przesada. Ja mogę wszystko zrozumieć, naprawdę, ale żeby zostawić mnie dla grubaski?

„Przynajmniej został jej pasożyt” — tak sobie wtedy pomyślałam. Oj, został! Za nic nie mogła się go pozbyć, choć próbowała wszystkiego. A lekarze to ponoć zbledli, kiedy w trakcie badania na monitorze ukazał się ich oczom piękny pięciometrowy okaz. Właściwie był tak wielki, że powinno mu się nadać imię.

— Będą musieli mnie pokroić, żeby go wreszcie wyjąć. — Opowiadając mi o tym, zalewała się łzami; pomoczyła mi całe ramię.

Faktycznie, była to jakaś tragedia. Przynajmniej dla niej. I może nawet miałabym siłę przejąć się tym wszystkim, ale jakoś nie miałam.

W wolnym czasie, czekając na operację, panna trupia główka całymi dniami śledziła

grubaskę i chłopca. Muszę się wam do czegoś przyznać: naprawdę im zazdrościłam. Chciałam, żeby ktoś za mną chodził, ktokolwiek, nawet „dżinsowy” psychopata, ten od Matki Boskiej Kurewskiej. Żeby nie czuła się aż tak samotna.

Pragnęłam cudu. Pragnęłam... Już nic, już nawet nie pragnęłam, chyba że podziękować temu światu za uwagę i schować się w takim miejscu, gdzie ani śmierć, ani reszta robaczywych dziwek, ani nawet Bóg, ten wielki milczek z długim palcem, co dźgał mnie zawsze w pęknięte serduszko, nie dostaną mnie w swoje łapy. Ani żadnej rzeczy, która moja jest.

Tylko jedna Joanna mogłaby to zrozumieć, tyle że ona była strasznie, ale to strasznie daleko. Przesyłała do mnie te swoje szeleszczące, pełne zawijasów listy, z foką toczącą czerwoną piłkę, a ja nawet nie odpisywałam; już nawet tego mi się nie chciało.

„Nawet żyć mi się nie chce” — powiedziałam sobie wtedy, wracając z teatru z moim aktem pod pachą. Był wieczór, jak co wieczór (o ile zabawniej wyglądałby świat, gdyby wieczorem mogło być rano albo popołudnie, albo Zozo całujący mnie, ot tak, w kark i we wszystkie inne miejsca, które nadają się do całowania, i gdyby można było kochać się przez telefon, ale tak naprawdę)... No więc to jednak był wieczór, nic innego, i deszcz przestał padać. Szłam, prawam-lewa, wsłuchując się w pośpieszny puls metropolii, a ono, to wielkie, śliczne miasto, było głośne, świetliste i jasne, i tak bardzo chciało żyć.

„Mogłabym wejść na najwyższy dach — tak pomyślałam. — Mogłabym ubierać się na biało na znak kapitulacji i na najwyższym dachu zdjęć z siebie satynową sukienkę, puścić ją na wietrze i patrzeć, jak rozpościera się niby foliowa reklamówka albo jeden z tych papierowych japońskich kwiatów rzucanych do wody (ale po co? nie wiem), a ona, ta sukienka, mogłaby płynąć albo frunąć — wszystko mi jedno — by na koniec łagodnie opaść na chodnik, gdzie stałaby się ledwie widoczną białą plamą”.

I zrozumiałam, że za wszystkim tęsknię i że muszę powiedzieć to głośno.

Kiedy weszłam do domu, upewniłam się, że jestem sama. Miałam szczęście: matka, za namową „chrystusowej” sąsiadki, od jakiegoś czasu nawiedzała swoją osobą kółko różańcowe. Wiedziałam, że trochę jej tam zejdzie na tych wszystkich modlitwach, śpiewach i dziękczynieniach. I na jedzeniu ciasteczek też.

Raz-dwa rozebrałam się do naga, poszłam do łazienki, zatkałam korkiem odpływ w wannie i odkręciłam wodę. Przez chwilę patrzyłam, jak para przywiera do lustra, pozwalając zniknąć mojemu odbiciu, aż tam, w lustrze, nie został po mnie żaden ślad. A jednak byłam: stałam boso na wyszorowanych przez matkę liliowych kafelkach i nie czułam zimna ani ciepła, w ogóle nic nie czułam. A moje serce warczało, och, jak ono warczało.

„Dosyć!” — powiedziałam sobie, trzeba coś z tym zrobić, uciszyć to serce choćby i na zawsze. Nie zrozumcie mnie źle, wcale nie zamierzałam się zabić, to jakoś tak samo wyszło.

Żyłkę wyjęłam z maszynki, którą moja piękna matka goliła swoje piękne nogi (takich nóg nie będę miała nigdy, choćbym nie wiem jak chciała). Weszłam do wanny i przecięłam skórę na lewej ręce, tuż nad łokciem, tak jak pewien żydowski malarz, o którym kiedyś czytałam: cudem przeżył Holocaust, a potem się zabił; wcześniej malował w kółko czarne obrazy.

A potem siedziałam tam, w tej wannie, i wyobrażałam sobie, że jestem egipską królową w basenie pełnym różanych płatków. Patrzyłam na wstążeczkę wypływającej ze mnie krwi: przez moment była jaskrawoczerwona, by po chwili wyblaknąć — tak naprawdę po prostu rozcieńczała się w wodzie, ciurkającej radośnie (kurki zostawiłam odkręcone) — i wreszcie popłynąć, hen w dal, przez małą prostokątną szczelinę, która wyglądała jak otwór na żeton albo tył świnki-skarbonki. No więc czułam się jak jakaś pieprzona Nefretete: po prostu siedziałam sobie w wannie, bez zamiaru życia, bez zamiaru śmierci, ba, nawet bez zamiaru umycia się. A moi ukochani zmarli wołali i wołali; no naprawdę, mogliby się zamknąć!

„Gdzieś musi być lepiej — przyszło mi do głowy. — Pewnie, że daleko, ale przecież jednak gdzieś. Żyją tam ludzie, tacy mądrzy i śliczni, jak ja nigdy nie będę, i nic ich nie zasmuca — wcale, ani trochę — ważne, że niebo jest takie niebieskie, ważne, że ładnie zachodzi słońce”.

Ostatnie, co zapamiętałam, zanim straciłam przytomność, to biały, a właściwie szary sufit i brudna plama — jakiś stary naciek tuż nad wanną. Nie miałam wątpliwości: następny sufit, jaki zobaczę, to będzie ten w kostnicy. Raz-dwa wyobraziłam sobie, jak leżę tam, taka zimna i pozioma, i jak będą mnie myli (od razu zagrały mi w głowie pierwsze takty „Smells Like Teen Spirit”), umyją ubiorą w ślubną sukienkę — o to akurat byłam spokojna, wielki milczek już ją dla mnie wybierze — zanim w orszaku błękitnych niemowląt na zawsze zstąpię pod ziemię.

A potem to już wszystko mi się pomyliło. Najpierw był Chrystus. Usta umalowane miał błękitną szminką — wyglądał przez to jak Dolly. W dłoni trzymał pęknięte serce mojej babki. Na jego ramionach siedziało w sumie dziesięciu karłów werblistów; uderzali w małe bębenki i w rytm tych uderzeń serce babki biło.

— Rób co chcesz, kiciu — powiedział Jezus. — Ale coś mi się zdaje, że nie zmartwychwstaniesz dnia trzeciego.

A moja babka to już nie była moją babką, tylko kobietą z głową wilka; na jej ramieniu z kolei siedziała sobie czarna małpa i wskazywała na mnie palcem, coś tam wrzeszcząc swoim małpim zwyczajem.

Jezus gdzieś mi się zgubił po drodze, ale nie mam czasu go szukać, bo oto co się dzieje: z piersi kobiety kapie mleko, które zanim dotknie ziemi, zamienia się w krew. Wilkogłowa siedzi wewnątrz kręgu, usypanego z piasku i kości małych zwierząt. Boję się. Ona wie, że się boję. Patrzy na mnie z wyczekiwaniem. Przez chwilę się waham. Dostrzegam w jej dłoni rzeźnicki nóż i przekraczam krąg.

No i wtedy to dopiero rozkręciłam się na całego. Jezu, ile tego było. Najpierw ludzie, którym inni ludzie wlewają w usta gips, rozrobiony w pordzewiałych kubłach. W tle koniec świata albo wojna. Dźwięk dzwonka i raz-dwa ofiary i kaci zamieniają się miejscami. Potem ktoś zapalił światło, amfiteatr światła i nawet Goethe, gdyby tu był i raz jeszcze umierał, nie wołałby: „*Mehr Licht, mehr Licht!*”. To może być Hiroszima albo Nagasaki; błysk dwa razy jaśniejszy od słońca i co robi wybuch z ludźmi w różnych odległościach. Ja też tam jestem. Spadam na dno studni albo szybu i za kilka sekund roztrzaskam się o dno: trzy, dwa, jeden i...

Tak oto umarłam. To znaczy umarłabym, gdyby nie Jezus, a przynajmniej moja piękna matka uparcie obstaje przy tej wersji. Kupowała mu za to w podzięce psie puszki mięsne, chociaż prosiłam, by tego nie robiła. Do tych puszek trafiają psy i koty z weterynaryjnych klinik — tak mówił mi Erwin — właściciele przywożą je do uspienia (nieważne, że one wcale nie chcą spać), a potem w fabrykach przerabia się je na karmę dla zwierząt, oddzielając mięso od kości i mieląc.

— Skracasz mu tym życie — powtarzałam matce i nie wiem, czy winne były puszki, czy może coś innego, ale wkrótce po przeprowadzce na wieś zakopałam Jezusa pod krzakiem agrestu (to dobre miejsce, złe psy nie mogą go tu dosięgnąć); tak więc zakopałam Jezusa i nie zmartwychwstał dnia trzeciego.

A co do mojej legendarnej kąpieli, matka jak zwykle przesadzała. Jak tylko straciłam przytomność, zgasł ogień w piecyku gazowym; woda leciała dalej, ale była lodowata i przez tę jej lodowatość krew nie chciała już ze mnie tak ochoczo wypływać. A potem w ogóle przestała lecieć. Krew. Co innego woda. Wkrótce było jej tak dużo, że aż się przelewała; koniec końców zalałam sąsiadom mieszkanie. Wanna u matki była tak mała, że z trudem można było w niej usiąść, a co dopiero wyciągnąć nogi. Gdyby jakimś cudem udało mi się w niej utopić, pośmiertnie powinni mi za to przyznać medal.

Kiedy odzyskałam przytomność, nie czekał na mnie medal, tylko wściekli sąsiedzi. Dobijali

się ponoć do frontowych drzwi, dzwonili i krzyczeli tak głośno, jakby chcieli zbudzić umarłego. A Jezus faktycznie ujadł pod drzwiami łazienki; szczekał nawet wtedy, gdy chłopcy w mundurach wyważyli drzwi i wyciągnęli mnie z wanny, jak śniętą rybę.

Pamiętam to jak przez mgłę: tych chłopców było dwóch; ułożyli mnie na sofie, zakrywając moją nagość brudnym szlafrokiem. Szlafrok był trochę za krótki i tłoczący się w przedpokoju sąsiedzi mogli podziwiać w całej okazałości wystające spod niego moje sine stopy z pozdzieranymi piętami i brudne paznokcie z odłóżającym gdzieś lakierem w kolorze tętnicznej krwi — w owej chwili musiałam przypominać kobiety Matisse'a, a przynajmniej lubię tak myśleć. Tyle że one nie szczękały z zimna zębami. Potem zrobiło się trochę dramatycznie. Wyższy z policjantów, prawie dziecko, z całej siły uciskał mi rękę, szepcząc: „Tylko nie waż mi się umierać”. No i nie umarłam; nie chciałam mu zrobić przykrości.

Zabrało mnie pogotowie. W szpitalu lekarze założyli mi szwy; zrobili to bardzo niedbale — jakby szyli trupa — dlatego później z łatwością się rozeszły, zostawiając mi na pamiątkę paskudną bliznę.

— No i co, skarbie, pewnie ktoś ci złamał serce? — żartował ze mnie pielęgniarz.

Oplułabym go, gdybym miała siłę. Trafiałabym do raju, gdyby nie ten szpital. Zamiast tego przewieźli mnie do psychiatrika.

Rety, czego tam nie było! Niedoszłe samobójczynie, ofiary gwałtów w silnej traumie, psychotyczki, katatoniczki, wrzeszczące maniaczki naśladujące syreny straży pożarnej, dobrotliwe staruszki z dobrotliwą amnezją, w środku nocy spacerujące nago po ulicach (przywieziono je tutaj, bo po pierwsze, nie miał się nimi kto zająć, po drugie, nic lepszego nie przyszło nikomu do głowy), a także pacjentki leczone ambulatoryjnie, którym zrobiło się nagle gorzej (to może na przykład znaczyć, że próbowały kogoś zabić) — no więc koniec końców stłoczono wszystkie na trzydziestu metrach obserwacyjnej sali, a potem zgaszono górne światło i zostawiono w aureolach małych lampek nas: legion wariatek.

Jedna bez wythnienia wzywała Maryję, jej głos przypominał sygnał karetki pogotowia. Myślałam, że ogłuchnę, ale do nieba było widać strasznie daleko, bo Maryja jakoś nic nie słyszała. Inna zabawnie poruszała rękami, tam i z powrotem, jak nakręcany mechanizm, powiedzmy króliczek Duracella. Staruszka na łóżku koło mnie bawiła się różańcem: rzucał na ścianę długi wisielczy cień. Powiedziała, że nigdy się z nim nie rozstaje. Ja jej powiedziałam, że takie rzeczy wkłada się do trumien.

Miałam dość rozumu, żeby nie wołać jak reszta: „Jestem normalna! Ratunku, ratunku! Wypuście mnie stąd!” albo innych tego rodzaju głupstw. Ale pielęgniarce, zanim poszły na obchód, i tak przywiązały mnie do łóżka pasami.

— To dla twojego dobra, dziecino — powiedziała niższa.

Jak tylko wyszły, usiadła przy mnie taka jedna — ta to dopiero była fest wariatka. Miała okres i wszędzie zostawiała czerwone ślady. „Jak róże — pomyślałam. — A ona jest różanym drzewem”. Najgorsze, że miała oczy tygrysa. Właściwie wołałabym, żeby to był tygrys. „Jak nic ukryła gdzieś nóż — przeszło mi przez głowę — i teraz wbije mi go tu i tu, i tu; przyjdą pielęgniarce, znajdą mnie martwą i będą strasznie płakać. Nad sobą, nie nade mną”. Rety, ale mnie strach obleciał, aż szczękałam zębami. Szarpałam się i stękałam; pasy ani drgnęły. Ale ona wcale nie miała noża, nawet najmniejszego; po prostu posiedziała sobie przy mnie, a potem pobiegła gdzie indziej; została mi po niej śliczna różyczka.

— Pieprzona wariatka! Trzeba ją zatkać, bo wszystko nam postempluje — wkurwiały się salowe.

To było już rano, bo wreszcie nadszedł ranek. A po nim południe. A po nim zaprowadzono mnie do pokoju lekarzy.

— Witajcie, świnie! — powiedziałam, siadając przed nimi.

— Dzień dobry — odpowiedzieli, ukłonili się jeden po drugim i udawali bardzo miłych. No słowo daję, to były najgrzeczniejsze świnie, jakie w życiu widziałam.

Lekarze dosłownie prześcigali się w uprzejmościach, mówili na przykład: „Jak się dzisiaj miewa nasza miła pacjentka”, „A co też tam pani dolega” i inne tego rodzaju pierdoły. Hola, hola! Nie ze mną te numery. Nic ze mnie nie wyciągniecie, świnie!

Powiedziałam, że od dłuższego czasu nic mnie nie interesuje.

— Ale tak zupełnie nic? — spytali, notując.

Żaden nie zorientował się, że opowiadam bzdury.

— Chociaż nie, teraz sobie coś przypominam... Ostatnio zepsuło się żelazko mojej matki i poprosiła, żeby je naprawić.

— I co? Co było dalej? — Świńskie ryje aż drżały z niecierpliwości, jak galareta.

— Tam, w środku, przepalił się jakiś kabelek, więc przecięłam nożem gumową osłonkę, a potem kolejno osiemdziesiąt osiem drucików.

— Ach tak? Doprawdy? A skąd pani wie, ile ich było?

— To oczywiste. Zanim zaczęłam, wszystkie policzyłam.

Świnie dosłownie chrumkały z radości; nie chciałam ich zawieść, więc przez następną godzinę mówiłam o skręcaniu i rozkręcaniu drucików: jeden, dwa... osiemdziesiąt osiem, aż na opuszkach palców zrobiły mi się bąble.

— Ale żelazka i tak nie naprawiłam.

A potem to był już podwieczorek i świetlica, gdzie kobieta o suchej twarzy jednym ruchem palca zamieniała tuzin wariatek w chór z *cri du chat*. „Radośniej!”, wołała ta kobieta, więc wariatki śpiewały, ach, jak one śpiewały. To mogło być coś w rodzaju: „Hej, kogo obchodzi, że świat się właśnie skończył, ważne, że niebo jest takie niebieskie, ważne, że ładnie zachodzi słońce”. No słowo daję, udusiłabym je wszystkie, ciach-ciach, jedną po drugiej, gdyby nie ta ściana, którą ktoś tu kiedyś postawił na okoliczność mojego od nich oddzielenia.

A nazajutrz było o tym, jak urządziłam porządki w piwnicy na regale z przetworami. Przyszłam z moją ściereczką i wszystko sprzątałam. Ile było słoików, co miały w środku, kiedy zostały zawekowane — wymyślałam to wszystko na poczekaniu. Musiałam tylko uważać, żeby przypadkiem nie wymyśliłam mi się nic o dzieciach.

„Jesteśmy zachwycone” — chrumkały świnie, notując, a jedna to niemal biła mi brawo.

Aż do tej chwili szło mi całkiem nieźle, ale potem zrobiło się ciut niebezpiecznie, bo zaczęłam mówić im prawdę. Rety, jak ci świńscy lekarze nic nie wiedzieli; nie mieli na przykład pojęcia, że przy chorobach zakaźnych od razu na miejscu zgonu zawija się ciało w materiał nasączony płynem dezynfekującym i zamyka trumnę na dobre; dotykanie zmarłego — poza tym całym zawijaniem, jak przy zrazach — jest surowo zabronione.

— To bardzo smutne — tak powiedziałam do lekarzy, ale nie byli pewni, co mają o tym sądzić.

Na taką trumnę — umytą z zewnątrz — nakłada się worek foliowy barwy czerwonej i wiezie się trupa prosto na cmentarz. W tym czasie chłopcy w plastikowych kombinezonach — wygląda to na złot pszczelarzy — odkażają pomieszczenie, w którym przebywał zmarły, zanim został zmarłym; czyszczą wszystkie przedmioty, z którymi miał styczność, żeby nie pozostał po nim najmniejszy nawet ślad.

— To bardzo smutne — powiedziałam raz jeszcze. — Czy mnie rozumiecie?

Ale lekarze nie rozumieli. No naprawdę, wiedzieli, jak mnie wkurwić.

— Co pani tutaj widzi? — pytali, pokazując mi barwne plamy.

— Świnie — odpowiedziałam.

- A tutaj?
- Odbicie świńskich racic.
- A tu?
- Dwie świni szaleńczo tańczące fokstrota, całkiem bez głowy.
- A dalej? — pytali lekarze.

Dalej był dzień trzeci. Lekarze wypytywali mnie o różne rzeczy. Koniecznie chcieli wiedzieć wszystko o mojej matce. No tak, moja piękna matka, ta milusia laleczka z twarzą Magdy Goebbels. Kto by nie chciał słuchać o tym, jak chodziła sobie po świecie na tych swoich długich nogach. Albo o tatusiu, jak robił za danie główne na bankiecie dla larw i o tym całym zakopywaniu i odkopywaniu. Nic z tego! Nie ze mną te numery!

Dzisiaj, kochane świni, opowiem wam co nieco o musze błękitnej. Ta muchówka z rodziny plujkowatych o metaliczno niebieskim zabarwieniu tułowia i odwłoku, ten błękitny drobiazdek, mierzący w locie zaledwie dziesięć milimetrów, stanowi jeden z najważniejszych dowodów entomologicznych podczas dochodzeń w przypadku morderstw. Samica przybywa złożyć jaja na świeżym mięsie najczęściej dwie, trzy godziny po śmierci; w kącikach ust, oczu albo w nozdrzach składa około trzystu jajeczek, przypominających pokryte żółtym pyłkiem pręciki kwiatów. Rozwój larwalny muchy błękitnej przebiega, kochane świni, w trzech stadiach: w sprzyjających warunkach pierwsze ruszające się ziarenka ryżu można zaobserwować już w dziesięć godzin od złożenia jaj, chociaż zwykle czeka się na nie dobę; na drugie stadium potrzeba jeszcze jednej doby, a trzeci etap rozwoju osiągają nasze larwy w ciągu kolejnych czterdziestu ośmiu godzin. Przez cały ten czas tuczają się na zwłokach: nadtrawiają je kawałek po kawałku za pomocą specjalnego enzymu i pożerają w postaci płynnej. Mierząc długość larw — te duże wyglądają jak rozgotowany ryż albo kluseczki — znając czas między trzema stadiami, do tego badając stopień skolonizowania przez nie ciała, można ustalić czas zgonu ofiary. Ostatecznie ruchliwe larwy przekształcają się w nieruchome poczwarki, z których wylatują dojrzałe owady, zdolne do rozmnażania; na zwłokach można wtedy znaleźć puste chitynowe otoczki. Po upływie dłuższego czasu w pomieszczeniach zamkniętych może rozwinąć się na jednym i tym samym trupie kilka muszych generacji. Brawo, brawo, czas na owacje.

O tym wszystkim opowiadałam niezwykle uprzejmym świniom, ale tak naprawdę myślałam byłam już gdzie indziej. Wiedziałam, że — jak każdego samobójcę partacza — mogą mnie tu trzymać cały boży miesiąc. Oczywiście moja piękna matka dałaby radę mnie stąd wyciągnąć, gdyby tylko chciała, ale na to nie miałam co liczyć: było jasne, że nie kiwnie nawet palcem. Z tymi wariatkami stłoczonymi na trzydziestometrowej sali i z tym chórem *cri du chat* wyjąłym przez ścianę, i z tą kobietą, która każe im śpiewać, z tą kurwą o suchej twarzy — dobry Boże, nie tylko oszaleć. A kiedy w dodatku świni w białych kitlach zaczęły przymierzać się do stawiania diagnozy, wiedziałam, że czas się ulotnić.

Plan był prosty — musiałam przedostać się na mój stary oddział i przekonać mojego lekarza, znaczy jednodniowego męża, żeby wziął to wszystko na siebie. Pomogła mi w tym jedna z pielęgniarek, niemłoda, nieładna kobieta, z którą dawno temu doglądałyśmy zabójczyń i innych takich. Rety, za ile rzeczy w życiu człowiek powinien być wdzięczny!

Co do lekarza, widok mojej skromnej osoby w szpitalnym szlafroku w kolorze wymiocin nieco go zaskoczył. Nie bardzo wiedział, co ze mną zrobić, ale ostatecznie zabrał mnie na spacer do ogrodu. Tam wyznałam mu, że ciągle o nim myślę, nie mogę spać, nie mogę jeść — no nic, po prostu nic — słowem całymi dniami cierpię i tęsknię, i inne tego rodzaju brednie. I to, że tam byłam, to też przez niego. O dziwo, uwierzył. Był jeszcze głupszy, niż myślałam.

Pamiętacie czarną panterę? No więc ta jego narzeczona, czy raczej już żona, któregoś dnia postanowiła od niego odejść, ot tak, po prostu. Oznajmiła, że jest zakochana, spakowała walizkę

i przepadła. Widywano ją najpierw z jednym, sporo młodszym, potem z kilkoma. Wróciła — trochę wymięta, bardzo skruszona — a on stał w drzwiach i milczał, jakby już umarł.

Kiedy skończył mi o tym opowiadać, usiedliśmy na jednej z ławek. Lekarz co rusz spoglądał na mnie z taką nadzieją, jakbym była dla niego obietnicą nowego początku. Ja byłam omdlewająca. Uśmiechnął się do mnie i wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że już go nie Kocham.

— Czy możesz mnie stąd wyciągnąć? — zapytałam.

— Dla mojej żabci wszystko, ale musisz mi obiecać, że będziesz grzeczna.

Coś mi mówiło, że jednak się waha.

— Życie bez ciebie, najdroższy, nie ma sensu i gotowa jestem zrobić jakieś głupstwo — kłamałam jak najęta.

— Wszystko załatwione — powiedział kwadrans później.

Zdażył zniknąć i wrócić, a ja nadal siedziałam na ławce i gapiłam się na krwistoczerwone begonie.

Obok nich, w trawie, leżał na grzbiecie trzmiel ubrudzony białą farbą; wyglądał jak kulka waty. Nie zanosilo się na to, żeby kiedykolwiek jeszcze miał pofrunąć, mimo to nie przestawał się czyścić, raz po raz podejmował cały ten beznadziejny wysiłek. Ten biały trzmiel był prosty i piękny jak sutra, ale nie znałam żadnej sutry, więc pomyślałam, że to może być sutra falującej trawy.

Lekarz nawet go nie zauważył. Kazał mi się przebrać w jakieś damskie ubrania — nie mam pojęcia, komu je zwędził — i odprowadził aż do portierni, jakby chciał się upewnić, że nie będzie miał ze mną więcej problemów.

— Jedź prosto do domu i spakuj rzeczy. Wieczorem zabiorę cię do siebie. Zobaczysz, żabciu, będziemy razem bardzo szczęśliwi.

— No pewnie — przytaknęłam. Biedaczek. Nie miał pojęcia, że właśnie mu uciekam.

A świni — jestem pewna — to nawet za mną nie zapłakały. Tego dnia na oddział męski przywieziono ciekawszy przypadek. Był to facet, który próbował kopulować ze świńskim sercem. Serio. A cwany był jak nie wiem co: podłączył to serce do kontaktu — użył do tego starego kabla — i serce zaczęło pulsować jakby było nowe; facet zamierzał właśnie włożyć w nie to i owo. Uratowała go matka, która weszła do pokoju, bo inaczej jak nie zabiłby go prąd.

To była chyba jakaś era świń, bo zaraz potem przywieźli drugiego klienta prosto ze świniobicia. Znaczący po drodze zaliczył chirurgię. Najadł się półsurowego mięsa i wkrótce zaczął odczuwać silne bóle w podbrzuszu. Pijani koledzy poradzili mu dla żartu, żeby sam się zoperował. Tak właśnie zrobił — rzeźnickim nożem otworzył sobie brzuch, ot tak, jakby to były drzwi; takie małe harakiri. Wypruł sobie pół metra jelit. Erwin byłby zachwycony. I jego świnią też.

Lekarze zacierali ręce. Ja opuszczałam piekło. Byłam jak Chrystus, który zmartwychwstał dnia trzeciego.

I. Hej, mam tutaj niebo bardzo niebieskie. Larwa

1. Małe huragany, czyli sutra falującej trawy

Czyli że znacie już całą opowieść. To znaczący prawie.

Tamtego dnia opuściłam szpital, a w jakiś czas później spakowałam rzeczy i uciekłam na wieś. Wszystkiemu winien jest mój lekarz. Matka była przynajmniej na tyle uprzejma, żeby sto dwadzieścia razy na dzień powtarzać mu, że nie ma mnie w domu, no nie ma i już. W końcu wezwała do niego policję. A z tą policją to miała rację, bo lekarzowi naprawdę odbiło.

No przyczepił się jak nie wiem co: bez przerwy wystawał przed naszym blokiem — najwyraźniej dał sobie spokój z pracą — i przepytywał sąsiadów na okoliczność nagłych, niespodziewanych

objawień ze mną w roli głównej. Czułam się jak więzień; nie mogłam nawet wyjść na spacer z Jezusem, z obawy żeby go nie spotkać. „Trzeba uciekać”, powiedziałam sobie, a w tym to akurat — jak już wiecie — jestem niezła.

Decyzję o wyjeździe podjęłam ostatecznie tej nocy, gdy lekarz, nie bacząc na policję i matczyne skargi, wyśpiewywał pod moim oknem — czy raczej pod oknami sąsiadki z parteru — miłosne szlagiery, pełne głupstw w rodzaju „*bella, amore*” i tak aż do rana. Możecie mi wierzyć: śpiewać to on stanowczo nie umiał. A jak już zniknęłam, lekarz też gdzieś zniknął. Z tą parterową sąsiadką — tak mówiła matka. Kto wie, może wyszła im z tego jeszcze wielka miłość.

Kiedy ja w najlepsze uciekałam, na świecie zjawiła się córka Leny, Mała.

— Przyjeżdżam w nocy, cała w skurczach, w spazmach dosłownie, skręcam się z bólu, a ta na dyżurce, francucha jedna, nie chce mnie przyjąć. Spała sobie w najlepsze, a tu ja jej się zwałam na głowę, no wściekła była jak osa, no prawda? Nawet nie poprosiła, żebym usiadła, ale i tak siadłam — jakiś miesiąc później opowiadała Lena, wbijając przy tym szczupaczce zęby w ciasteczko.

Siedziałyśmy u mnie, w ogrodzie, i Lena była bardzo, ale to bardzo zła; nie tylko na pielęgniarkę, bo na mnie też. Zajęta przeprowadzką ani razu nie odwiedziłam jej w szpitalu. Miałam alergię na tę całą biel i świnię w kitlach. Dopiero przy dwudziestym domowym ciasteczku z konfiturką i dziurką Lena postanowiła mi jednak przebaczyć; nie powiem, żebym była jej za to wdzięczna.

— „Jak dużo wody odeszło?”, jak nie ryknie na mnie ta francucha z dyżurki — opowiadała dalej, zlizując z palców resztki konfitury. — „Jakiej wody?”, pytam. Na co ona, że jak wody jeszcze nie odeszły, to po cholereę zawracam jej głowę. To ja jej na to, że dziesięć litrów, tak strzeliłam, a tamta zgłupiała. Coś tam pobazgroliła w karcie i mówi: „Pani idzie na oddział”. No to wstałam, a jak wstałam, ho, ho, dopiero lunęło ze mnie, cipcia. Fontanna dosłownie. I to wszystko najpierw na krzeselko, potem na podłogę. A tamta w krzyk: „Stój, gdzie leżysz!”. Stanełam, a tu fontanna dalej ze mnie leci, ciur, ciur, sika po nogach. Tamta klnie, łapie za szmatę. W końcu patrzy na mnie, ale tak jakoś krzywo, jakoś tak koślawo, jakbym jej i ojca zabiła, i matkę, i szwagierkę. „A idźże mi stąd w cholereę!” — huknęła jak korytarz długi i szeroki, więc poszłam. Ale przynajmniej francucha już sobie nie pospała. Słyszałam, jak rozdzwoniły się telefony, „ciążarówki” zjechały, chyba pół miasta rodziło, a ja i tak urodziłam ostatnia. Nie znajdzie się tam jeszcze jakieś ciasteczko? Nawet najmniejsze? Nie? No wielka szkoda. A ten doktorek na porodówce, o, to też niezłe ziółko. Tak się mądrył, aż szło myśleć, że on tam rodzi, a nie ja. Nazajutrz przyszedł i, bach, jak nie siądzie obok mnie na łóżku, jak po rączusi nie zacznie smyrgać. Chyba oczekiwał, że z tej całej wdzięczności zrobię mu lodzika, taka była z niego świnią. Oni wszyscy byli świnię w tym szpitalu! Wszyscy: lekarze, salowi i pielęgniarki też, no tak czy nie? Patrzyli na mnie jak na zbrodniarkę, jakby to była moja wina, że akurat mnie dostało się popsute dziecko.

Widząc, że Lenie zbiera się na szloch, zajęłam się studiowaniem jaskółek zawieszonych coraz to niżej i niżej, jakby niebu też się zbierało na ten wielki płacz zwany deszczem. Zastanawiałam się, kto rozwiesza te jaskółki na niewidocznych sznurkach, a Lena... ta to już ryczała na całego; widocznie, tak samo, jak ja, nabawiła się alergii na tę całą biel i świnię w kitlach. A może żałowała, że nic jej nie wyszło z tym doktorkiem — kto ją tam wie. Nie minął kwadrans i deszcz strącił z nieba jaskółki, co do jednej, że nic nie zostało; przegonił nas — „Do domu, do domu!” — przez ogród świńskim truchtem. Całą twarz miałam od tego mokrą, jak od łez.

I tylko jedna Mała nie płakała. Ani kiedy wzięłam ją na rękę, ani później, gdy ułożyłyśmy ją

do snu — z braku lepszych miejsc — w starym zielonym fotelu, tym samym, który później niesforne szczenię obgryzło niemal doszczętnie, obnażając szkielet przeżarty przez korniki, masę korników. Leżała tam zawinięta w kocyk w czerwono-niebieską kratę: świetliste stworzenie o ustach za dużych do tej małej twarzy. Równie dobrze to mógł być meteoryt; najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam.

— Zachwycacie się wszyscy jak muchy gównem — powiedziała Lena, kiedy już doszła do siebie. — Powinno się ją utopić, jak topi się ślepe kocięta.

Nie słuchajcie jej. Jestem pewna, że wcale a wcale tak nie myślała. Co do mnie, jak tylko spojrzałam na Małą, zaraz przyszły mi na myśl błękitne kwiaty kwitnące pod lodem. Jej maleńka twarzyczka miała w sobie martwość marmurowej rzeźby. Wszystko przez te jej bielma. Jakby oczy Małej były sadzawkami, w których nikt nie przejrzy się ze śmiechem. Niebieska ryba przepływa, otrze się grzbietem, rozbłyśnie i zniknie. Reszta jest ogrodem, ale tutaj zamieszkała zima, mróz dotknął czoła i oczy zamarzyły. Wtedy Bóg powiedział: „Nie płacz, dziecko, mamy dla ciebie jedwab, mamy mleko. Bo straszny jest świat, lepiej go nie widzieć”.

I tylko w tamtej jednej chwili tęsknoty albo żalu — jak temu niebu — chciało mi się płakać, jakby przepływał pode mną nieznaną prąd, jakby mnie ogarniał, a Mała po prostu leżała w fotelu, zawinięta w ten swój kraciasty kocyk, niczego nie dając i nic nie chcąc w zamian.

— Ciągłe czuję wierzganie — odezwała się Lena. — Jakbym jeszcze miała ją w środku. To był niezły cyrk ten cały poród. Przyj, nie przyj, przyj. *Anyway*, na koniec położyli mi ją na brzuchu. Wyglądała jak kurczak, taki bez głowy, prosto z mięsnego, i wszędzie ta krew. A oni, ci idioci, mówią: „Gratulujemy, córka”. No naprawdę, jakbym wygrała jakiś konkurs, a to, proszę bardzo, nagroda rzeczowa.

Przynoszą i mówią „córka”, jakby mówili: „Popatrz, kamieniu, to jest twój kamień, teraz to kochaj! Krew z krwi, ciało z ciała, czerwone mięso z naszego mięsa. I mięso naszych ojców, i mięso ich ojców, i Boże, czy to się nigdy nie skończy?”.

— Chciałam ją wymienić na jakiś niewybrakowany model — powiedziała Lena — ale nie dało rady. Za dobrze pilnowali dzieci w tym szpitalu. A ten cały Tomasz, skurwysyn jeden, nie da mi na nią złamanego grosza, bo w testach wyszło, że nie jest jego. Jak nie jego, to ja już nie wiem kogo. Że też zawsze muszę mieć pecha.

Odkąd w życiu Leny zjawiała się Mała, gumowa Emma nie była już potrzebna ani jej, ani tej znajomej, która zdążyła powtórnie wyjść za męża, a nawet zająć w ciąży. Któregoś dnia — upewniwszy się wcześniej, że mój lekarz ulotnił się ze szpitala na dobre — ubrana w czarny płaszcz, kapelusz z szerokim rondem i ciemne okulary, słowem incognito, zawiozłam Emmę Alicji. Dorzuciłam jej do kompletu dziecięce butki, te jak dla lalek — jak pamiętacie, kupiłam je pewnego dnia przed pewną straszną nocą — bo po co ma to u mnie leżeć. Ach, szczęśliwa to ona była do utraty tchu. Więcej nie mieli z nią problemów, można więc powiedzieć, że coś mi się jednak w życiu udało.

Z innych dobrych nowin śpieszę donieść, że kanibal od Miko jest znów na wolności. Deportowano go z wariatkowa w Londynie do ojczyznej Japonii; ktoś zapomniał postawić ptaszka w rubryczce „Pacjent wymaga dożywotniej hospitalizacji”. Tak więc kanibal jest wolny; ten łakomy zwierzak spaceruje po zatłoczonych ulicach rozświetlonego neonami Tokio i obiecuje, że będzie grzeczny, ale, jak sam twierdzi, tak całkiem nie może za siebie ręczyć. No bo jeśli znowu się zakocha, co wtedy?

Co zdarzyło się wtedy, gdy odeszłam z pracy? Ano zdarzył się cud. Dokładniej nie u nas w zakładzie, tylko w szpitalu, do którego bardzo niemile starsze małżeństwo wysłało Erwina po ciało. Pakował właśnie do worka łykowego staruszka, gdy raptem usłyszał dobiegające z lodówki „stuk-puk”. Dobrze, że to nie był Bazyl — ten miałby drugi zawał jak nic. Ale Erwin

nie z tych, co tracą głowę. Raz-dwa otworzył właściwe drzwiczki i wyciągnął z lodówki zziębniętą dwunastolatkę; kwadrans wcześniej zwieziono ją na dół. Usta to ponoć miała fioletowe jak dojrzała jagódka, szczękała zębami i drżała na całym ciele, że aż strach. A jej matka, kiedy ją zawiadomiono, była w takim szoku, że z miejsca dostała sto stopni gorączki. Co prawda nie była to córka Jaira, obyło się bez Jezusa prestidigitatora i jego słynnego numeru „Talitha kum!”, ale i tak był to cud, prawdziwy cud. Załapałabym się na niego, gdybym nie była taka niecierpliwa.

Wszystko to zdarzyło się ładnych parę lat temu i wiedziałam, że kiedyś sama nie będę pewna: ci ludzie istnieli naprawdę, czy może tylko ich sobie wymyśliłam? Mimo próśb i grózb matki zostałam na wsi. Tutaj powoli wracam do równowagi. Powiedzmy: względnej równowagi — przyznacie, jak na mnie to już coś! Zamieszkałam w myśliwskim domku ojca, na skraju wsi. Mam rower i las, i samotność, tyle samotności, z którą nie wiadomo, co zrobić.

W zimie, kiedy spadnie śnieg, drogi stają się nieprzejezdne i mój rower nie zda się na nic; trzeba brnąć w zaspach po pas przez sześć kilometrów do najbliższego sklepu w miasteczku P. Robię to raz w tygodniu od ładnych paru lat każdej zimy. Mniej więcej w połowie drogi zamarzam; zmuszam nogi do dalszego wysiłku, krok za krokiem, w jedną, a potem w drugą stronę; czuję, jak krew tętni w moich skroniach i to jest pieśń, wiem, że to jest pieśń — skowyt, czyli triumf codzienności.

Poza tym są wczesne zimowe zimochy, które barwią widnokrąg farbą indygo, noce czarne jak włosy Kreola i sine poranki, kiedy ciało instynktownie kuli się w pościeli, szukając odrobiny ciepła. Po odejściu Jezusa przygarnęłam trzy psy, ale możliwe, że jestem w błędzie — być może to one mnie przygarnęły. W najzimniejsze noce śpimy razem; nasze ciała ogrzewają się nawzajem.

A zimą las jest taki przytulny, z rozwieszonym wyżej błękitnym niebem. Na tle ciemniejącego horyzontu wierzchołki świerków i sosen tworzą misterny koronkowy wzór. I wszędzie ta biel. Tygodnie pod śniegiem, miesiące pod śniegiem. W na wpół uśpionym lesie jest cicho jak w katedrze. Jakby życie było świętem. Bywały chwile, gdy czułam, że jest.

W zimowe wieczory, kiedy wracałam z psami ze spaceru, rozpalalam ogień w kaflowym piecu i dom wypełniał się na kilka godzin niemrawym ciepłem. I chciałabym opisać ten spokój, kiedy piec zaczyna huczeć, iskry żyją przez chwilę tym swoim czerwonym życiem, oddechy parują jak białe obłoczki, a osiem par oczu po prostu wpatruje się w ogień, no więc chciałabym wam to wszystko opisać, ale nie umiem.

— Nie umiesz zaszywać ust przez nos, to się za to nie bierz. Chwyć się lepiej za Walczakównę, zanim całkiem nam ześmierdnie — tak powiedział mi dzisiaj pan Kluska, właściciel zakładu pogrzebowego Niebiańska Radość, Błękitna 4, czynne całą dobę, bo tak się zazwyczaj przedstawiał.

I pomyślałam, że jednak wolę zimę: wtedy rzadko widuję ludzi, mam za to niebo, tyle nieba, z którym nie wiadomo, co zrobić.

W grudniu, ilekroć nie mogłam zasnąć, patrzyłam na śpiące przy mnie psy (na ich grzbiety wygięte w łuki, pyski wtulone w miękkie, jasne brzuchy, drżące uszy delikatne jak liście paproci) i myślałam o dzikich zwierzętach żyjących za ścianą (gdyby nie ściana, ocierałyby się o mnie, to jasne) — co rano znajdowałam na śniegu ich ślady.

A kiedyś znalazłam sarnę: złamała nogę i zamarzła. Ziemia była tak twarda, że nie dałam rady wykopać dla niej grobu, nawet najmniejszego. Dopiero wtedy zrozumiałam Ewenków chowających swoich zmarłych w skrzyniach zawieszonych na drzewach. Niestety, nie należałam do ich plemienia. Jedyne, co mogłam, to ukryć sarnę pod śniegiem, ale ostatecznie i tak dobrały się do niej złe psy: przez kilka następnych dni maszerowały przez wieś, ciągnąc po ziemi brzuchy

ciężkie od mięsa.

A potem był ostatni dzień grudnia i fajerwerki rozrywały niebo na maleńkie kawałeczki. O północy wyszłam przed dom. Wędrowałam polami — daleko, daleko — zapatrzona w błyski i blaski, i gwiazdy, i chciało mi się płakać przez całe to niedorzeczne piękno. To było tej zimy, kiedy we wsi obok zamordowano człowieka i wszyscy chodzili jak struci — wszyscy, nawet ja. Przez jakiś czas spałam z nożem pod poduszką. Ten nóż — z rączką z bawolej kości — miałam po ojcu. Mówię „miałam”, bo koniec końców go zgubiłam, ale nie wtedy, gdy na nim spałam, tylko gdy budowałam igloo.

Z tym igloo to było tak: śnieg, wszędzie śnieg! Polewałam go zimną wodą, a jak już zamarzł, cięłam na bloki, ustawiałam jeden na drugim i tak to szło. Tonęłam w bezkresnej bieli tak długo, aż moje oczy, patrząc na horyzont, przestały odróżniać, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna niebo. Bo nawet niebo było białe. Kiedy wreszcie skończyłam, byłam zmarznięta na kość i szczękałam zębami. Spojrzałam na słońce, na pnie drzew, na bursztynową sierść psów i moje oczy na powrót nasyciły się barwą. Powoli wracałam do życia.

A następnego dnia przyszła wiosna i wszystko mi roztopiła. Co się wtedy działo! I paki na drzewach, i psy, i ptaki, wszystko zupełnie oszalało z wrażeń. A ja czułam, że znów jestem dzieckiem: znów mnie przepelnia bezgraniczny zachwyt nad światem. „Cud! — pomyślałam. — Prawdziwy cud!”

Później też było coś z cudu, bo zaczęły wykluwać się pisklęta: mazurka, kopciuszek, drozda, a nawet sikorki czubatej — tej z maleńką białą koroną — którą mój tatuś nazywał „różaneczką”, ale nie wiem dlaczego. Jedne ptaki zamieszkały na strychu, inne na okolicznych drzewach rozwiesiły gniazda na podobieństwo gwiazd, tych błyskotek migoczących nocą między gałęziami. Każdej wiosny, każdego dnia, w każdym gnieździe maleńkie gardziołka pracują cierpliwie jak delikatne srebrne dzwoneczki. Godzinami mogłabym słuchać ptasiej muzyki — jak się przekomarzają, jak obwieszczają wszem i wobec swój triumf, wydarte nicości życia.

Niekiedy pisklęta wypadają z gniazd. Jeśli znajduję je na czas, wkładam z powrotem; jeśli przychodzę za późno, zakopuję.

Poza tym wszystko na swoim miejscu: łasica i jej ślady w kształcie drobnych kwiatów, a potem, wewnątrz kurnika sąsiada, ptaki wydrążone jak korytarz, zupełnie bez życia.

Wszystko na swoim miejscu, trupy i trupiarki, i dzieci też, aż czasem chce mi się płakać, ale co by na to powiedział pan Kluska, właściciel zakładu pogrzebowego Niebiańska Radość, Błękitna 4, czynne całą dobę?

— Nie marudź — tak powiedział mi dzisiaj, gdy szykowałam Walczakównę; nałożyłam jej róż, a potem obficie polałam ją perfumami, bo Walczakówna leżała u nas od niedzieli i zalatywała jak nie wiem co. — Jak zwykle przesadzasz — strofował mnie pan Kluska. — Do śmierci idzie się przyzwyczaić.

Pewnie, że idzie. Jej zwiastowania są wszędzie. Nie tylko tu, w zakładzie, bo u mnie na wsi też. Z pobliskiego lasu psy przynoszą do ogrodu sarnie czaszki i kości podobne do pereł: białe i gładkie, i drogocenne. Są rozprute lisy, zastrzelone dziki, myszy karmione zatrutym ziarnem, łasica z przetrąconym karkiem, kret jak czarny, pęknięty klejnot, ścierwo przejechanej kotki z czerwoną strużką sączącą się z jedwabistego pyszczka, a potem jej piszczące małe znajdowane to tu, to tam — to bezustanne pożeranie i odradzanie, jakby natura nie miała nic lepszego do roboty. Są prosiaki, cielaki, kurczęta, perliczki. Mój Boże, nie macie pojęcia, ile jest tego całego zabijania. Bezpańskich psów też — za to, że duszą kury. Właśnie dlatego każdego dnia trzeba karmić te moje i te niczyje, i cętkowane szczeniaki, które wypadły z burej suki — jak tylko, nieproszona, weszła mi do kuchni — prosto na kafelki w kolorze khaki. Tyle życia, z którym nie wiadomo co zrobić.

Ludzie też tu są. Niestety. Najwięcej widuję ich w czerwcu; suną przez wieś ze śpiewem, niosą gipsową Maryję, sypią na ścieżkę kwiaty. Ale z tą Maryją to nie mają racji. Gdybym miała kogoś wielbić, wybrałabym Santísima Muerte, Świętą Śmierć. Znosiłabym do niej nowenny i hymny, jak robią to w Meksyku — adorują ją tam na całego; to patronka więźniów, drobnych złodziejasków, handlarzy narkotyków, skorumpowanych policjantów. I kurew, bo one też się modlą, nazywając ją pieśczośliwie swoją „chudą dziewczynką”, ale o co się modlą, lepiej nie wiedzieć, bo może być, że o koniec świata, a wtedy co?

W lecie miasteczko P. wygląda z oddali jak jaszczurka prażąca się w słońcu. A sąsiadujący z kościołem staw jest jak oko, które nigdy nie może się zamknąć, bez końca musi powtarzać niebo i chmury, i gwiazdy; śluby i chrzty, i pogrzeby — całe to nasze małe życie.

Kiedy jadę na rowerze, dzwoniąc na wybojach, dzyń-dzyń, ludzie mijają mnie w tych swoich ślicznych lśniących autach, ale nie mogę dotknąć tych ludzi, więc to się nie liczy. Jest jeszcze pan Kluska; widuję go często, z tym że on nie jest żywy, a przynajmniej nie tak całkiem — jedną nogę ma sparaliżowaną i, szur-szur, szura nią po całym zakładzie. No i jego to bym wolała nie dotykać.

Sąsiedzi rzadko mnie niepokoją. Może dlatego, że golę umarłych. A może bo mieszkam pod lasem, całkiem sama, nie licząc psów i zięby ze złamanym skrzydłem. Nazywają mnie dziewczyną od trupów. Są dla mnie uprzejmi tą wymuszoną uprzejmością, jaką przeznaczamy dla tych, którzy obecnie nie są, ale w przyszłości z pewnością będą nam potrzebni. Prawda, że lepiej mi nie podpadać, bo mogę się okrutnie zemścić: kobietom dorysuję w trumnie wąsy, mężczyznom dam na powieki paryski błękit. A tym, którzy zaszli mi najmocniej za skórę, wymaluję czerwoną szminką placki na policzkach i będą wyglądać jak pochód matroszek.

Prędzej czy później jestem im potrzebna: przychodzę i robię co trzeba. Śmierć zawsze jest u nich przede mną. „Zębata” — tak na nią mówią miejscowi — jest chuda, brzydka i ma wielkie zęby; dwa razy do roku ostrzy swoją kosę — wiosną i jesienią — ale słyszą to tylko śmiertelnie chorzy. Gdy kogoś sobie upatrzy, wchodzi przez okno, staje przy łóżku i ścina kosą głowę. Aby nie wpuścić jej do wsi, ciągnie się bruzdy w poprzek wszystkich dróg i ścieżek. Drzwi i okna zamyka się na noc. Co do mnie, w lecie śpię przy otwartym oknie, można więc powiedzieć, że nie jestem rozsądna.

A śmierci są różne: do matek przychodzi głucha, żeby nie słyszeć płaczu ich dzieci; do bogatych — „Zębata” z dziurawymi rękami, żeby nie mogli jej przekupić.

— Nie przekupi jej nikt, taka to sprawiedliwa śmierteczka — nieraz mówi pan Kluska. — Kosą przez gardło przejedzie, każdemu śleпка zamknie, ożeni na zawsze z zieloną murawą.

Zanim zmarły trafi do grobu — jak mówią miejscowi: do tego „wiecznego pałacu” — ma międzylądowanie u nas, w zakładzie, chociaż najczęściej to my jedziemy do niego, do domu; zgodnie ze zwyczajem trup leży tam dwa dni, rzadziej jeden. A krewni i sąsiedzi już pędzą, już lecą (Bazyl to by tu zgrzytał zębami ze złości) — do licha, ciągną całymi tabunami; płaczą, modlą się, śpiewają „Dobry Jezu” i inne tego rodzaju szlagiery.

Umarł Maciek, umarł, już leży na desce.

Gdyby mu zagrali, podskoczyłby jeszcze.

Ja przychodzę wcześniej. Robię zastrzyk w podbrzusze, myję, ubieram, czeszę, mężczyzn golę — zwykle pomaga mi w tym jedna z krewnych — ale moi zmarli nie są piękni. Pan Kluska to prawdziwy człowiek interesu, nie lubi tracić czasu; nie bawimy się w żadną tam balsamację, ba, nawet policzków tym naszym trupkom nie wypychamy.

— Bo i po co? — pyta mnie pan Kluska, a mnie jest żal tych wszystkich trupków, wyglądających jakby umarli z głodu; bardzo mi ich żal. Tak jak tych wszystkich mężczyzn, z którymi nigdy nie będę się kochać, choć bardzo by chcieli.

Pan Kluska i ja nie nadajemy na tych samych falach; on to by wołał, żebyśmy nie robili nic, zupełnie nic, nawet tych zastrzyków.

— Taniej by wyszło nacieranie octem — powtarza mi nieraz, ale póki żyję, nie pozwolę, żeby moi zmarli zalatywali korniszonami, co to, to nie!

Grunt, że rodziny nie mają nam za złe. Nawet gdy ostatniej wiosny wystawiliśmy w kaplicy mężczyznę z rakiem wątroby, żółtego jak Chińczyk — o dziwo, krewni zmarłego byli bardzo radzi.

— Bardzo jesteśmy radzi — mówili, potrząsając ręką pana Kluski i on potrząsał wzajem wszystkim, co się tam do tego nadawało, z całego serca potrząsał.

To było wtedy, kiedy pan Kluska chodził nadąsany. Właśnie kanonizowali papieża Polaka; trąbiły o tym wszystkie stacje. Przy tej okazji nazywali go nie inaczej, jak tylko „JP2 — przyjaciel młodzieży”. I o to właśnie dąsał się pan Kluska.

— No co też oni sobie myślą? Toż to święty człowiek. I żeby tak bez szacunku? O pardąsik, wypraszam sobie!

Fakt, brzmiało to jak R2-D2, Artoo-Detoo z „Gwiezdnych wojen”.

W jakiś czas później zaprezentowaliśmy wozem i wobec klienta potrąconego przez samochód. Potrącić — o, to się tak tylko mówi, a idzie o pogruchotaną żuchwę, czaszkę rozłupaną jak dojrzały melon i mózg na wierzchu, i to w kilku kawałkach. Zasugerowałam, że może tym razem lepiej byłoby nie otwierać trumny, ale gdzie tam.

— To nie po chrześcijańsku. Sąsiedzi muszą go zobaczyć — burzyli się krewni, więc zrobiłam, co się dało, a dało się niewiele, możecie mi wierzyć. Chociaż Erwin i jego świnia pewnie umieliby to jeszcze naprawić.

Najbardziej lubię szykować stare kobiety: leżą przede mną takie spokojne, takie poziome, z bliźną po dzieciach. I żaden Jezus nie przyjdzie i żadnej nie powie: „Dziewczynko, mówię ci, wstań!”.

W domu kładzie się trupa na desce — to dlatego, kiedy ktoś umrze, miejscowi mówią, że „dostał deską w dupę”. Jak już skończę robić swoje i przyjdą wszyscy krewni, żeby uraczyć zmarłego szlagierami, siadam sobie w kąciu i patrzę. Czasami to nawet się uśmiecham, ale leciutko — tak, żeby nikt nie widział. Dlaczego się uśmiecham? Bo ludzie w żałobie są piękni: krzyczą i płaczą, i chyba po raz pierwszy w życiu niczego nie udają; aż mam ochotę ich wszystkich uściskać. Tyle piękna, z którym nie wiadomo co zrobić.

No więc siedzę w kąciu, uśmiecham się leciutko i czekam na chwilę, gdy zmarły będzie, jak to u nas mówią, „jechał na plecach”, co należy przetłumaczyć: „wyniosą go z domu w trumnie”. A jeśli rozmawiam, to tylko z dziećmi. Tyle się można od nich dowiedzieć. Na przykład, że niebo to niebiańskie pałace.

— Nie wie pani? Tam człowiek mieszka sobie w ogrodzie i tam, w tym ogrodzie, są bardzo piękne kwiaty — powiedział mi ostatnio pewien płowowłosy aniołek, któremu szykowałam babcię.

— A jak się tam dostać? — spytałam.

— Tam są takie specjalne drzwi. Dla aniołów i dla zmarłych, żeby nie byli w tym niebie sami.

— A co to jest pogrzeb? To są te drzwi?

— Nie, pogrzeb to znaczy, że nas zakopią.

— A jak nas zakopią, co potem?

— Już nic.

Małych dzieci nie zabiera się na cmentarz. Po drodze zahaczamy jeszcze o kościół, dopiero stamtąd mężczyźni — zwykle we czterech, czasem w sześciu, a raz nawet w ośmiu — niosą

trumnę dalej i niemal za każdym razem tamują ruch na skrzyżowaniu. Za nimi ciągną ubrani na czarno żałobnicy. Ja idę na końcu. No więc to wygląda tak: ksiądz na przedzie peletonu, trumna na ramionach mężczyzn, w której ciało kołysze się lekko jak w kołysce (w miasteczku P. mamy dwa cmentarze i jeśli wybieramy się na ten dalszy, nie dźwiga się trumny, tylko wiezie się ją w odkrytym karawanie), za nią żałobnicy, podobni do krążącej ulicami procesji albo nagłego przelotu złowróbnych czarnych ptaków, a dalej kawalkada aut; w tych autach siedzą kierowcy, którzy dokądś się spieszą — to jasne — ale nikt nie trąbi. To się nazywa wyprowadzenie zwłok, czyli drogiego nam ciała, czyli bardzo głupio. I można by tak iść, długo by można, i nigdzie nie dotrzeć.

Najwięcej pracy mam latem. Niemal każdego tygodnia ktoś umiera. Zwłaszcza starsi ludzie: ich serca nie wytrzymują upałów. W tym roku upały zaczęły się już w maju, gdy kwitły magnolie, a teraz mamy sierpień i Mała wczoraj w ogrodzie bardzo starannie powtarzała za mną: „magnolie”, instynktownie odwracając głowę w stronę słońca, jakby sama była kwiatem, ślicznym i zaróżowionym. W lecie Lena zostawia ją u mnie na całe tygodnie.

Tego roku sierpień jest ciepły. W dni bez trupa, kiedy akurat nie wzywa mnie do siebie pan Kluska, właściciel zakładu pogrzebowego Niebiańska Radość, Błękitna 4, czynne całą dobę, pracuję w ogrodzie. Na wiosnę zasiałam słoneczniki i teraz gapi się na mnie dwadzieścia słońc, moje prywatne czyste złoto. Gładzę ich mięsiste lodygi, mówię do nich „dzieci” i naprawdę kocham. Ze wszystkich stron, zwabione obietnicą nasion, zlatują się żółto brzuche sikorki, strojnie zięby w niebieskich czapeczkach i pełne pokory wróble w mnisich szatach. Niekiedy wysoko w górze krąży jastrząb; kreśli nad domem ochronne ciche kręgi. I wszystko to jest dobre, potrzebne jest i pożyteczne.

Chcę być pożyteczna. Jak pszczoły, które przez całe lato przylatują do na wpół zdziczałych rabat irysów i posadzonych przeze mnie begonii, do krzewów *rosa rugosa* i *rosa canina* z kwiatami jak małe, różowe filiżanki zajęte swoim pięknem, a także do mięsistej cukinii — lubię patrzeć, jak oblepione pyłkiem robotnice wylatują z żółtej krtani kwiatu; latają tam i z powrotem po całym ogrodzie, po to by wieczorem, wiedzione instynktem, powrócić do swojej królowej, która spoczywa gdzieś w pobliżu, w miodnej katedrze, w samym sercu ula.

Miejscowi nazywają pszczoły świętymi robaczkami; te pracowite owady są dla nich uosobieniem sacrum: symbolizują niepokalane poczęcie Maryi Panny. Mówią, że pszczoły nie zdychają jak inne zwierzęta, tylko umierają — jak ludzie — albo po prostu spadają; bywa, że po ciężkiej zimie spada naraz cały ul. Z powodu tej całej świętości miejscowym przychodzą do głowy różne dziwne pomysły; uważają na przykład, że po zachodzie słońca nie należy mówić o pszczołach, bo to przynosi pecha — serio — a komuś takiemu jak ja, kto na co dzień ma kontakt z trupami i śmiercią, w żadnym wypadku nie wolno ich hodować. Pewnie sądzą, że umarłabym od tego albo jakoś tak.

Ale nie tylko pszczoły są tutaj tabu, bo Żydzi też. Właściwie Polacy — tak o nich zawsze myślałam — tyle że innego wyznania. Po tych, którzy kiedyś tu mieszkali, nie został żaden ślad. Nawet po umarłych — na miejscu dawnego żydowskiego cmentarza wybudowano bloki.

— A co zrobiono ze szczątkami? — pytałam miejscowych, ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć.

Pewnego dnia pan Kluska, widząc, że to mnie trapi, pokazał mi asfaltową drogę za miasteczkiem P.

— Tych Żydków przenieśli wtedy tutaj — powiedział, wskazując palcem w dół, na ten asfalt.

No, różne już w życiu nagrobki widziałam, ale taki z asfaltu to tylko tu u nas. Myślałam nawet, że pan Kluska żartuje, ale, niestety, to była prawda. Żydowski cmentarz cudem przetrwał Niemców, za to po wojnie uznano, że to strata miejsca.

— Rozkopywali groby koparkami, a że akurat budowano drogę, przywożono tu żydowskie gnaty. Nadawały się w sam raz, dla utwardzenia — tak mówił pan Kluska.

Dopiero potem okazało się, że głupio zrobili: te kości można było sprzedać.

— Jak w Ł. likwidowali cmentarz, przyjechał rabin z Izraela i płacił za każdą kosteczkę jak za złoto. Ci z miejscowych władz to ponoć tacy byli chciwi, że podrzucali mu nawet nasze, polskie. Gnat to gnat, przecież nikt nie pozna. A ci z P. tylko zgrzytali zębami ze złości, że taki interes przeszedł im koło nosa.

Długo jeszcze mówił pan Kluska o owym złotym interesie, a ja myślałam tylko o tym, że wjeżdżając do miasteczka P., jedzie się po ludzkich kościach.

A jak rozkopywali te groby, nie dali rady wybrać wszystkiego; najmniejsze kosteczki przy budowaniu bloków trafiły razem z piaskiem do zaprawy i wychodzi na to, że w miasteczku P. mieszka się w grobowcach.

— A kto by się tym przejmował — tak mówią miejscowi. I że Żydówki miały piczki w poprzek.

Lubię moje małe życie. Kiedy pada, tak jak dzisiejszej nocy, smagany wiatrem las występuje z brzegów. Jego zieleń jest tak głęboka, że aż czarna, a on — ten mój las — wygląda jak gęsta koronka utkana z modrzewi i świerków. Myśliwski domek ojca rozpada się od lat. Na podłodze w przedpokoju ustawiłam metalowe balie i w nocie takie jak ta budzi mnie rytmiczne kapanie; godzinami leżę w ciemności i nasłuchuję. Dom spoczywa na dziewiętnastowiecznych fundamentach, śni drewno i biały kamień, śpi spokojnie ten mój dom. Deszcz zadzwoni o rynnę, Mała westchnie przez sen, gdzieś zatrzeszczy belka, zachroboczą myszy, któryś z psów zaszczeka na podwórzu, kiedy ciepły wiatr poruszy szklanymi paciorkami — toczonymi na kształt agatów — aż wydadzą z siebie wysoki, czysty dźwięk przypominający dzwonienie dzwonów w buddyjskich klasztorach. Szklane paciorki podobno mają odstraszać złe duchy, więc powiesiłam je na ganku. Potrzebuję talizmanów i zaklęć. Kiedy jest mi smutno, siadam przy oknie, dociskam do szyby dłoń i czoło, i to pomaga.

Czasami odwiedza mnie Zozo. Wrócił z Niemiec w zeszłym roku. W moim łóżku kochamy się bez pośpiechu — tak musieli kochać się pierwsi ludzie: w oszołomieniu i zachwycie — a kanarkowe promienie słońca wpadają przez okno i niby ławica małych dropiatych rybek przepływają przez nasze ciała, które znają się nawzajem. Przytulamy się, jak przytula się dobrego psa. Po wszystkich ślepe posążki naszych ciał odsuwają się od siebie łagodnie jak chmury. Tak więc w upalne, duszne popołudnia robimy w moim łóżku miłość, dużo miłości, ale nie robimy sobie nadziei. Wiemy, że, tak czy inaczej, wszystkie łóżka zostaną zapomniane — nie przez prawa ludzkie czy boskie, ale przez czas.

Za lasem jest rzeźnia. W najgorętsze dni czuję w powietrzu zapach krwi. Zdezelowanymi ciężarówkami przywożą tu cielaki zabrane od matek; w nocy słyszę ich płacz i nie mogę zasnąć. Erwin okropnie się gniewa o tę rzeźnię. Na cały świat się gniewa. Planuje któregoś dnia wysadzić ją w powietrze albo jakoś tak. Jest dość szalony, żeby to zrobić. Czasami po prostu szlocha z bezsilności — serio — opowiadając mi o tych wszystkich zwierzętach mordowanych każdego dnia (a idzie to w tysiące, setki tysięcy, miliony) i jutro znowu, i pojutrze.

— Holocaust to przy tym pikuś — tak mówi Erwin.

Każdego roku zabija się u nas czterysta siedemdziesiąt milionów zwierząt rzeźnych. Na świecie dwadzieścia cztery miliardy. I jak tu im nie współczuć? No więc Erwin bardzo im współczuje. I jego świnia też.

— Gdyby nie hodowlane zwierzęta, nie byłoby głodu — tłumaczył mi ostatnio, gdy nanosiliśmy razem błota na korytarz w bloku, w którym mieszka: żeby ta jego świnia miała w czym fikać. — Jedzenia wystarczyłoby dla wszystkich ludzi z nadatkiem, ale zwierzęta

hodowane na mięso też trzeba wykarmić, dlatego bogacze jedzą szynkę, biedacy korzonki i trawę. No i to ich humanitarne zabijanie! Przy karze śmierci największego nawet zbrodniarza nie uśmierca się przez poderżnięcie gardła.

Fakt, na to nikt by nie poszedł. I wyobraziłam sobie rzeźnie, w których zabija się krowy przez powieszenie albo na krześle elektrycznym.

Erwin najbardziej żałował cielaków i foczek, bo takie są ładne. To ja mu już nic nie mówiłam o tym, jak u mnie, za lasem, zrzucają cieleta z naczep, łamiąc im przy tym nogi, i jak one, te cielaki, umierają na brudnej posadzce z poderżniętymi gardłami, leżąc w kałuży własnej krwi. Żeby nie wierzgały, mężczyźni siadają im na głowach i czekają, aż z przeciętych naczyń wyleci cała czerwień — nie ma w tym nic ładnego — dzięki czemu mięso długo będzie smaczne i świeże, i żeby on, Erwin, jak najszybciej zrzucił na to wszystko bombę. Na mój dom też; ja się nie pogniewam.

Na razie muszą mi wystarczyć listy od Joanny. Mam też trochę rozrywek i cmentarz pełen dziecięcych grobów, maleńkich ptasich komór; być może jest to jakiś rodzaj domu, ale nie zrozumcie mnie źle: martwi mnie to, że umrzemy.

Czasami kładę się z Małą w trawie i opowiadam jej niebo, którego ona nigdy nie zobaczy, i jak to będzie, kiedy nas zabraknie. Potem leżymy naprawdę spokojnie, słuchając, jak trawa łagodnie faluje wokół, a mrówki, chrząszcze, muchy, motyle i jaszczurki przysiadają na naszych piersiach, na naszych dłoniach, na naszych oczach, jakby już teraz nie potrafiły nas odróżnić od drzew i kamieni, od ziemi, którą będziemy.

I mogłabym tak leżeć do końca świata, pod tym ogromnym niebem, pod tym ogromnym słońcem, taka mała, taka mała, nic innego nie wiem, ja, grudka ziemi, czysta taka, jakbym po długiej, mozolnej wędrówce zdołała powrócić do łona pramatki. A chmury przesuwają się nade mną, skłębione i jasne, zajęte swoim pierzastym istnieniem, niczego nie dając i nic nie chcąc w zamian.

Jasne, że czasem mam się gorzej. Są takie noce, gdy wstaję z łóżka, zakładam kalosze i ścieżką biegnącą wśród drzew maszeruję na skraj autostrady, która jak ostry nóż rozcina las na dwie części. W świetle księżyca otaczające mnie pola sprawiają wrażenie pokrytych szronem: srebrne i ciche, ciągną się bez końca. Tiry suną po szosie — obwieszzone światełkami monstrialne gąsienice nieznanymi gatunków motyli. Na wąskim pasie trawy, odgradzonym od autostrady barierkami z pleksi, kłębią się sarny; z daleka wyglądają jak wielkie, szare psy. Na mój widok prostują smukłe szyje. Ich oczy, odbijając światło latarki, świecą na żółto. Sarnie siostrzyczki, jedna po drugiej, dostojnie, bez pośpiechu, wtapiają się w czerń młodnika — wygląda to, jakby spadały na dno studni. Wreszcie znika ostatnia; dopiero wtedy zaczynam krzyczeć. Mogę krzyczeć do woli, nikt mnie nie usłyszy. Pleksi odgradza mnie od świata, od ludzi w rozpędzonych samochodach (dokąd pędzą ci ludzie i po co?) i tylko drzewa przyjmują mój krzyk, niczemu się nie dziwiąc, na swój sposób troskliwe, na swój sposób kojące, doskonale w swojej łagodnej obecności.

Albo tamtej nocy, kiedy kran piszczał jak chore zwierzę, a ja myślałam, że oszaleję. „Uciekać, uciekać!” — krzyczało we mnie wszystko. Koniec końców wdrapałam się wtedy po drabinie na strych, żeby nie słyszeć tego przekłętego kranu. No i na tym strychu mieszkałam przez tydzień, zanim pofatygował się do mnie mój sąsiad, złota rączka. Czułam się, jakbym cofnęła się w czasie. Bo to właśnie tam, na strychu, trzymam listy od ojca, tuzin tandetnych pocztówek z brokatem poprzyklejanym na konturach, akta Alicji, korale Anny, moje małe prywatne muzeum imienia Agaty, metalowe pudełko po cukrze przyozdobione serduszkami i ptaszkami o kanarkowych dzióbkach, a w nim fioletowe bawełniane majtki Kasi (to ja je ukradłam — tak, teraz mogę się już przyznać). Nawet buty z błękitnym kwiatkiem, te z pogrzebu

babki — miałam je spalić, ale kto wie, mogą się jeszcze przydać. Wyniosłam na strych całe moje pieprzone życie. Ktoś znajdzie to wszystko, kiedy zniknę? Mają wystarczająco dużą trumnę? Będą po mnie płakać? Na wszelki wypadek powinni zakopać mnie dwa razy.

W czerwcu i lipcu znajduję w ogrodzie gąsienice *aglais urticae*. Niektóre wyglądają, jakby ktoś powlókł je złotem pod niebem jak misa odlana z cyny. A potem w powietrzu roi się od skrzydeł i jest w tym piękno. „Jest w tym piękno” — mówię, kiedy patrzę na Małą, kiedy przeczuwam gnicie i gnój. A trzecie pokolenie *aglais* jest naprawdę rzadkie. Od kiedy tu zamieszkałam, nie zdarzyło się ani razu — ani jednego końca świata, żadnych tragicznych zwiastowań — i gotowa jestem sądzić, że tamto życie tylko mi się śniło.

— Co ci się śniło? — spytała staruszka, do której pan Kluska wysłał mnie dziś po południu, jak już skończyłam szykować ześmierdniętą Walczakównę.

„Ale zaraz, zaraz... — powiedziałam sobie. — Czy ta staruszka nie powinna być trochę bardziej martwa?”. Nie była. Leżała na łóżku i wpatrywała się we mnie ogromnymi błękitnymi oczyma; no więc leżała tam, umierając, jasne, że umierając.

— Co ci się śniło? — zapytała.

Śniło mi się, że umarłam. Ale nie powiedziałam jej tego. Ani że obce czarne zwierzęta krążyły nade mną przez całą noc.

— Przyszykuj mnie, córcia. Już się Zębata wedle mnie kręci. Już mi kostusia w oczy zagląda — prosiła.

Kiedy z nią skończyłam, wyglądała lepiej niż króliczek Playboya.

— Wszystko w rękach Boga — wyszeptala, a potem już nic, jakby jakieś czarne zwierzę weszło do pokoju i siadło na jej piersi. Lubiałam, kiedy Koba, najmniejszy z moich psów, kładł się na mojej piersi, ale to było coś innego.

Przyjechał lekarz, podał morfinę, odjechał. A ja przez trzy godziny po prostu siedziałam przy niej, trzymałam ją za rękę i — zrozumcie mnie dobrze — wcale nie chciałam, żeby umarła. Ale jak umierała, nie próbowałam jej zatrzymać, tylko dałam całusa w czoło i powiedziałam: „Idź! Idź i podążaj za tym, co widzisz”.

A teraz jest późna noc, leżę w ciemności — wsłuchana w deszcz, który dzwoni w baliach, ciurka i kapie, jakby nigdy nie miał przestać padać — i nie mogę zasnąć. Niedługo skończy się lato, Lena wróci po Małą i zostanę sama, i to dopiero będzie samotność! Lena bardzo się o mnie martwi i Joanna, i moja piękna matka także.

— Nie powinnaś mieszkać sama w jakimś tam lesie. Możesz umrzeć i nawet nie będę o tym wiedziała — lamentowała ta ostatnia i wcale jej się nie dziwię.

Jest wielce możliwe, że kiedyś mnie znajdą, tak jak mojego sąsiada, gdzieś po tygodniu, ale pan Kluska obiecał, że da mi wtedy dużą zniżkę. Do tego czasu każda chwila jest jak podarowany pieniążek.

„Jak podarowany pieniążek jest ta właśnie chwila” — mówię sobie. Leżę w łóżku, patrzę na Małą, na jej spokojny sen, i nie mogę zasnąć. Może być, że to przez umarłych, bo kiedy zasypiam, wracają; oni zawsze wracają w snach. Słyszę ich nawet teraz: przyzywają mnie do siebie; wołają naprawdę głośno, ale nie odpowiadam. Poprawiam kołdrę Małej, wstaję i szerzej otwieram okno.

Jasne, że wokół jest tyle ciemności, ocean ciemności. I we mnie. I we mnie... Ale to jest moja dłoń i to jest mój dom. Jest Mała i jej kraciasta kołderka. Jest oddech dziecka, jego ciepła czułość. A jutro...

Basta, ani słowa więcej, powiedziałam wam już dość, a wy mi o sobie nic; nie mam pojęcia, ile razy, słuchając mojej historii, braliście kąpiel, obcinaliście paznokcie, kochaliście się z kimś albo z samym sobą, tak jak nie wiem, co robiłam w dniu, w którym umarł Klaus Kinski i to mnie

dobija.

— To mnie dobija, w tej chwili przestańcie! — mówię, stojąc w oknie.

I tylko w jednej chwili żalu czy wahania spoglądam za siebie, ku moim pięknym zmarłym, ale oto staje się świt, tak czysty i jasny, jak w dzień stworzenia świata, a ja, otulona przez mokre od deszczu powietrze, wsłuchana w dzwonienie szklanych paciorków i śpiew pierwszych ptaków — jeszcze zaspany, jeszcze niepewny — czekam, aż wschodzące słońce rozerwie horyzont, a potem odwracam się w stronę życia.

Dobrze, już dobrze: zmarli nic nie wiedzą. Na zawsze uśpieni w łonie matki ziemi. W nocy bez końca. Kwaterze głównej snów.

Przypis

1 Ta i wszystkie kolejne wariacje na temat „Przygód Alicji w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla na podstawie tłumaczenia Macieja Słomczyńskiego.